

FANTASY & SF

PIĘTASZEK

ROBERT A. HEINLEIN

KLASYK ŚWIATOWEJ LITERATURY SCIENCE FICTION



PHANTOM

Robert A. Heinlein

Piętaszek

Przełożył Andrzej Bis
(Friday)

Data wydania oryginalnego 1982
Data wydania polskiego 1992

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

Rozdział I

Zaczął mnie śledzić, gdy tylko wysiadłam z kapsuły towarzystwa Kenya Beanstalk. Wchodząc do sektora mieszczącego Urząd Celny, Biuro Imigracyjne i Punkt Kontroli Medycznej, wiedziałam, że nie przestaje deptać mi po piętach. Minąwszy wejście, zwolniłam. Poczekałam, aż zamkną się za nim automatyczne drzwi - i zabiłam go.

Nigdy nie lubiłam podróżować tymi liniami. Czułam do nich awersję jeszcze zanim doszło do katastrofy Quito Skyhook. Kabel, który zwisał wprost z nieba, nie wiadomo czego się trzymając, nie wzbudzał we mnie zaufania - za bardzo kojarzył mi się z czarami. Z drugiej jednak strony nie miałam ani dość czasu, ani wystarczającej ilości gotówki, by móc pozwolić sobie na opuszczenie Ell-Pięć w jakikolwiek inny sposób.

Byłam zatem rozdrażniona już wtedy, gdy przesiadałam się z wahadłowca Bazy Stacjonarnej na pokład Beanstalk... ale przecież, do diabła, rozdrażnienie nie jest jeszcze dostatecznym powodem, żeby zabić człowieka. Zamierzałam jedynie unieszkodliwić go na kilka najbliższych godzin.

Niekiedy najlepiej kierować się podświadomością. Odruchowo chwyciłam upadające ciało. Uważając, by nie poplamić krwią podłogi, powlokłam je w kierunku stojących w rzędzie pod ścianą dużych, pancernych skrytek. Kciukiem martwego szpicla nacisnęłam blokadę zamka i otworzyłam drzwiczki. Wpakowałam trupa do środka, po czym zajęłam się opróżnianiem kieszeni jego marynarki. Znalezione w portfelu DT, paszport oraz karty kredytowe i gotówkę zatrzymałam dla siebie. Resztę rzuciłam na zwłoki i zatrzasnęłam schowek. Jedną z kart wsunęłam w szczelinę, poczekałam, aż automat skasuje należność, wyjęłam ją i odwróciłam się.

Przez cały ten czas za moimi plecami obserwowało mnie Publiczne Oko.

Przypuszczalnie nie było powodów do niepokoju. W dziewięciu przypadkach na dziesięć każde takie Oko krąży bez nadzoru przez okrągłe dwanaście godzin, dopóki nie trzeba skasować mu pamięci. W dziesiątym przypadku oficer bezpieczeństwa może kontrolować wszystkie jego poczynania... lecz nadal bardziej prawdopodobne jest, że drapie się po tyłku i myśli o tym, co robił ubiegłej nocy.

Zignorowałam je więc i ruszyłam w stronę wyjścia. To przeklęte Oko powinno mnie śledzić jako przemieszczający się po korytarzu obiekt o temperaturze 36.6 °C. A jednak coś je zatrzymało. Swoim elektronicznym wzrokiem Świdrowało skrytkę i dopiero po kilku sekundach popędziło za mną.

Najbezpieczniejsze wyjście z tej dosyć kłopotliwej sytuacji już po raz drugi w ciągu ostatniej godziny podsunęła mi podświadomość. Prawą ręką sięgnęłam do kieszeni po moje nieodłączne pióro; promiennik minilasera nastawiony był na maksymalną moc. Nie wyłączałam go, dopóki „martwe” Oko nie uderzyło o podłogę. Było nie tylko oślepione. Miało również spięcie w antygravitatorze i w obwodach pamięci. Załatwiłam je więc raz na zawsze - taką przynajmniej miałam nadzieję.

Starając się nie zatrzeć odcisku kciuka mojego „cienia”, ponownie wsunęłam jego kartę kredytową w szczelinę czytnika. Nie było łatwo pokonać obrzydzenie i wepchnąć Oko do schowka, w którym niewiele zostało wolnej przestrzeni. Zrobiwszy to, skierowałam się pośpiesznie w stronę drzwi. Czas już był najwyższy, aby zmienić postać. Towarzystwo Kenya Beanstalk, podobnie zresztą jak większość pozostałych linii, starało się nie utrudniać życia swoim pasażerom. Zamiast od razu przechodzić przez szereg drobiazgowych i uciążliwych

kontroli, odszukałam przebiegalnie z łazienkami i zapłaciłam gotówką za wynajęcie jednej, z nich.

Dwadzieścia siedem minut później byłam już nie tylko wykąpana. Miałam też inną fryzurę i kolor włosów, inne ubranie i inną twarz - po kwadransie, w ciągu którego zużyłam kilogramy mydła i hektolitry gorącej wody, nie zostało nic z tego, nad czym pracowałam przez ponad trzy godziny. Nie powiem, bym pałała chęcią pokazania swojej prawdziwej fizys. Musiałam się jednak pozbyć wszystkiego, co związane było z użytą już raz w tej misji tożsamością. Ciuchy, buty, torebka, szkła kontaktowe, dokumenty i cała reszta, której nie dało się zmyć, powędrowała do dematerializatora. Obecnie miałam się posługiwać paszportem wystawionym na moje prawdziwe - no, powiedzmy, że jedno z moich prawdziwych - nazwisko. Wewnątrz widniała stereografia nieucharakteryzowanej twarzy i wyraźny stempel tranzytowy Ell-Pięć.

Pozostało jeszcze zniszczyć papiery mojego „ogona”. Zanim to zrobiłam, przejrzałam je pobieżnie... i skamieniałam.

Karty kredytowe i pozostałe dokumenty wystawione były na cztery różne nazwiska.

Gdzie więc znajdowały się jeszcze trzy paszporty?!

Najprawdopodobniej gdzieś przy ich martwym właścicielu w tej cholerniej skrytce. Nie obszukałam go zbyt dokładnie - nie było czasu! - wybebeszyłam jedynie kieszenie jego marynarki.

Wrócić i sprawdzić? Zbyt ryzykowne. Jeżeli będę w kółko biegać i otwierać schowek z jeszcze ciepłym ciałem, ktoś zauważy to bez wątplenia. Zabierając zawartość portfela miałam nadzieję opóźnić identyfikację zwłok. Dałoby mi to więcej czasu na zniknięcie, ale... Zaraz, zaraz... Hmm... Paszport i karta kredytowa Diners Club należały do niejakiego Adolfa Belsena, karta American Express była własnością Alberta Beaumonta, kontem w Banku Hong-Kong posługiwał się pan Artur Bookman, natomiast Archibald Buchanan regulował swoje płatności za pośrednictwem towarzystwa MasterCard.

Cała „zbrodnia” mogła wyglądać mniej więcej tak: Beaumont - Bookman - Buchanan otwierał właśnie schowek. Belsen zaszedł go od tyłu i brutalnie zadźgał. Ciało ukrył w tej samej skrytce, której zamierzała użyć jego ofiara, po czym oddalił się pośpiesznie.

„Całkiem zgrabna historyjka” - pomyślałam. Trzeba tylko będzie jeszcze bardziej zagmatwać „fakty”. Nie zamierzałam nikomu pomagać w ustaleniu prawdy.

Wszystkie karty kredytowe znalazły się w moim portfelu; jedynie paszport ukryłam przy sobie. Nie mogłam co prawda z góry wykluczyć rewizji osobistej, istniało jednak wiele sposobów jej uniknięcia. Zawsze mogłam wręczyć łapówkę lub spróbować podszyć się pod dyplomację.

Kiedy wychodziłam z przebieralni, w sektorze pojawili się pasażerowie następnej kapsuły. Dołączyłam do nich i ustawiłam się w kolejce. Zrobiwszy uwagę na temat

niewielkiej wagi mojego bagażu, oficer Urzędu Celnego zapytał mnie, co nowego na czarnym rynku. Posłałam mu najgłupsze spojrzenie, na jakie było mnie stać - to samo, które zostało uwiecznione na zdjęciu w moim paszporcie - i facet dał sobie spokój.

Zapytałam o hotel i restaurację. Odrzekł, że w tej dziedzinie nie jest osobą najlepiej

poinformowaną, ale ma dobre zdanie o „Nairobi Hilton”. Co zaś tyczy lokali, to jeśli nie muszę oszczędzać, naprzeciwko „Hiltona” znajduje się restauracja „U Grubego”. Podają tam ponoć najsmaczniejsze potrawy w całej Afryce. Na pożegnanie życzył mi przyjemnego pobytu w Kenii.

Podziękowałam i kilka minut później byłam już w mieście, czego szybko pożałowałam. Bazę Kenya zbudowano na wysokości ponad pięć tysięcy metrów - powietrze jest tam zawsze rozrzedzone i chłodne. Samo Nairobi leży co prawda wyżej niż Denver, prawie tak wysoko jak Ciudad de Mexico, ale jest zaledwie o rzut kamieniem od równika. Powietrze było rozgrzane i ciężkie; oddychałam naprawdę z trudem. Moje ubranie prawie natychmiast stało się mokre od potu. Czułam, jak puchną mi nogi, które w dodatku bolały jak jasna cholera. Nie lubię zleceń zmuszających mnie do opuszczenia Ziemi, ale powrót z nich bywa niekiedy jeszcze trudniejszy do zniesienia.

Przypominałam sobie ćwiczenia silnej woli, mające uodpornić mnie na wszelkie niewygody. Bzdury! Gdyby mój instruktor mniej czasu spędzał na medytacjach w pozycji kwiatu lotosu i choć raz wybrał się do Kenii, być może jego lekcje mogłyby się na coś przydać. Przestałam zawracać sobie tym głowę, a skupiłam się na następującym problemie: w jaki sposób najszybciej wydostać się z owej sauny?

W hotelowym hallu panował przyjemny chłód i - co równie ważne - było tam w pełni zautomatyzowane biuro podróży. Ucieszona tym faktem weszłam do pierwszej pustej kabiny i usiadłam przed terminalem. Natychmiast pojawiła się panienka z personelu.

- Czym mogę służyć?

Odrzekłam, że poradzę sobie sama. Klawiatura tego typu nie była mi obca - zwyczajny kensington 400. Dziewczyna upierała się jednak.

- Z przyjemnością pani pomogę. Przecież po to tu jestem.

Wyglądała na jakieś szesnaście lat. Miała słodką buzię, miły głos i coś takiego, co kazało wierzyć, że naprawdę sprawiłoby jej przyjemność, gdyby okazała się przydatna. Jeżeli ktoś chce posłużyć się cudzymi kartami kredytowymi, wówczas rzeczą, której chyba najmniej pragnie, jest czyjaś pomoc. Takie przynajmniej było moje zdanie. Dlatego wsunęłam jej do ręki średniej wielkości napiwek, mówiąc, iż naprawdę dam sobie radę sama, ale zawołam ją, jeśli będę miała jakieś kłopoty. Zapewniła mnie, że wcale nie muszę jej wołać i że może tu poczekać. W końcu jednak dała za wygraną i odeszła.

Adolfa Belsena wsadziłam w pociąg do Kairu, gdzie przesiadł się na SBS*[SBS - ang: Semibalistic Ship - statek semibalistyczny] relacji Kair - Hong-Kong. Na miejscu miał zarezerwowany pokój w hotelu „Peninsula”; wszystko dzięki uprzejmości Dinera Club.

Albert Beaumont wybrał się z moją pomocą na wakacje. Liniami Safari Jets odleciał do Timbaktu, gdzie posługując się kartą kredytową American Express zapłacił za pobyt w luksusowym pensjonacie „Shangri-La” nad brzegiem Morza Saharyjskiego.

Artur Bookman poleciał do Buenos Aires. Podróż opłacił ze swego konta w Banku Hong-Kong.

Archibald Buchanan postanowił odwiedzić swój rodzinny Edynburg. Ponieważ całą drogę miał odbyć pociągiem z jedną tylko przesiadką w Kopenhadze, powinien znaleźć się na miejscu w ciągu dwóch godzin.

Wszystkie te dane - bez dat i numerów rezerwacji - wprowadziłam do komputera podróżnego, ale tylko do pamięci operacyjnej.

Zadowolona z siebie opuściłam kabinę. W recepcji zapytałam, czy podziemnym przejściem zauważonym w hallu dotrę do restauracji „U Grubego”? Panienska z ładnymi dołkami w policzkach powiedziała mi, gdzie mam skręcić. Zeszłam po schodach, lecz zamiast udać się na lunch, złapałam pierwszy pociąg do Mombasy. Za bilet zapłaciłam znowu gotówką.

Mombasa jest oddalona od Nairobi zaledwie o czterysta pięćdziesiąt kilometrów - pół godziny drogi - ale leży na poziomie morza. Fakt ów sprawia, że klimat stolicy Kenii w porównaniu z klimatem panującym w Mombasie wydaje się wręcz arktyczny. Wyniosłam się stamtąd tak szybko, jak tylko mogłam. Dwadzieścia siedem godzin później byłam już w prowincji Illinois należącej do Imperium Chicago. Można powiedzieć, że to długo, jak na przebycie łuku o długości niewiele ponad trzysta tysięcy kilometrów. Owszem, ale ja nie podróżowałam wzdłuż tego łuku. Nie używałam też kart kredytowych, nawet tych „pożyczonych”. Unikając przejść granicznych i punktów kontroli imigracyjnej, pojechałam najpierw do Wolnego Stanu Alaska. Tam przespałam się siedem godzin; nie spałam przecież prawie dwie doby, odkąd opuściłam kosmiczne miasto Ell-Pięć.

W jaki sposób? Tajemnica zawodowa. Być może już nigdy nie będę musiała korzystać z tej drogi, ale ludzie z mojej branży będą jej potrzebowali jeszcze nie raz. Szef mawia, że każdy wolny człowiek ma moralny obowiązek walczyć. Nie można przyglądać się, jak rządy terroryzują swoje narody przy pomocy komputerów, Publicznych Oczu i stu innych rodzajów elektronicznych szpiegów. Dlatego musimy utrzymywać w ruchu podziemne linie kolejowe i wprowadzać do sieci komputerowych fałszywe informacje. Pamięć elektroniczna nie jest niezawodna, a karmione cyferkami komputery są tylko bezmyślnymi maszynami. Wystarczy poprzestawiać kolejność tych cyferek, żeby oglupić cały system. Lub na przykład płacić trochę za duże podatki, skoro i tak nie można ich uniknąć. Efekt będzie taki sam.

Chcąc odbyć podróż przez pół planety bez konieczności nieprzewidzianego zbaczania z trasy, należy trzymać się kilku podstawowych zasad. Pierwsza z nich głosi: płacić zawsze gotówką. Żadnych czeków, kart kredytowych ani nic innego, co musi przejść przez komputer. I druga zasada: jeśli nie potrafisz wręczać łapówki, lepiej tego nie rób. Każdy taki transfer pieniędzy musi pozwalać odbiorcy na zachowanie pozorów uczciwości. Urzędnicy państwowi - bez względu na to, jak szczerze są opłacani - wszyscy jak jeden żywią przekonanie, że ich płace są uwłaczająco niskie. Każdy z nich ma korupcję zakodowaną w genach; inaczej ze swoimi wymaganiami nie mogliby nażreć się przy państwowym korycie. To jednak jeszcze nie wszystko. Im bardziej urzędas zdaje sobie sprawę, iż tak naprawdę nikt nie darzy go nawet odrobiną szacunku, tym bardziej żąda, aby mu go okazywać.

Zawsze starałam się pamiętać o tych wymaganiach i moje podróże przebiegały zazwyczaj bez komplikacji. Nie liczę tu faktu, że hotel „Nairobi Hilton” wyleciał w powietrze kilka minut po tym, jak znalazłam się w pociągu do Mombasy. Byłoby jednak kompletną paranoją przypuszczać, że miało to cokolwiek wspólnego ze mną.

Gdy tylko usłyszałam o zamachu, natychmiast pozbyłam się wszystkich dokumentów, które zabrałam tamtemu agentowi. Zrobiłam to jedynie w celu zachowania zwykłych środków ostrożności. Jeżeli ktoś podłożył bombę, aby wyeliminować właśnie mnie - możliwe, lecz mało prawdopodobne - był to klasyczny przypadek polowania na muchę przy pomocy siekiery. Niszczenie budynku wartego co najmniej kilkadziesiąt milionów i zabijanie, czy choćby ranienie setek niewinnych ludzi w nadziei, że ja też znajdę się między ofiarami? Nie, tak nie robili zawodowcy. Chociaż... Kto wie...?

W końcu jednak dotarłam do Imperium. Zakończyła się jeszcze jedna z moich misji o drugorzędnym znaczeniu. Wsiadłam na Lincoln Meadows pogrążona w myślach o tym, że jako skautka zdobyłam już chyba wystarczającą liczbę sprawności, by w nagrodę wydebić od Szefa kilka tygodni w R & R na Nowej Zelandii. Moja rodzinna S-grupa mieszkała w Christchurch i nie widziałam jej już od miesiący. Najwyższa pora!

Tymczasem z rozkoszą wdychałam czyste, chłodne powietrze i podziwiałam wiejski, sielankowy urok Illinois. Nie było to co prawda to samo, co South Island, ale podobnych miejsc istniało naprawdę niewiele. Mówią, że swego czasu łąki te stanowiły raj dla osadników, którzy zbudowali tu mnóstwo obskurnych faktorii. Aż trudno uwierzyć. Dziś z portu widać jedynie kilka budynków należących do przedsiębiorstwa wynajmu koni - „Avis”. Za drewnianym ogrodzeniem stały dwie wypożyczalnie powozów. Znaleźć tu można było zarówno eleganckie dwukółki, jak i stare wozy traperskie. Ja jednak postanowiłam pojechać wierzchem. Miałam już nawet zapłacić, gdy nagle ujrzałam znajome lando w stylu Lockheed i parę zaprzęzonych doń ślicznych gniadoszy.

- Wujku Jimie! Tutaj! To ja!

Woźnica dotknął batem runda wysokiego kapelusza, po czym zmusił zaprzęg do kłusu. W ten sposób lando błyskawicznie dotarło do miejsca, w którym czekałam.

Jim zeskoczył z siodła i zdjął kapelusz.

- Miło widzieć panią znowu w domu, panno Piętaszek.

Wyściskałam go, co zniósł z ojcowską cierpliwością. Wujek Jim Prufit był wcieleniem dobroci. Miał opinię gorącego orędownika papizmu. Niektórzy twierdzili, że niegdyś wpadł w zasadzkę, odprawiając sumę. Inni dodawali nawet, iż dał się złapać, aby uchronić innych. Nie znam się zbyt dobrze na polityce, ale według mnie duchowny powinien być właśnie taki. Obojętnie, czy jest nim naprawdę, czy też jako ksiądz pracuje w naszym fachu. Ja w każdym razie mogłabym się pomylić; być może dlatego, że nigdy nie widziałam prawdziwego księdza.

Gdy wsiadałam do powozu, podał mi rękę jak prawdziwej damie. Sprawilo mi to

niemałą przyjemność.

- Jak to się stało, że tu jesteś? - spytałam.

- Mistrz wysłał mnie na spotkanie, panienko.

- Naprawdę? Skąd wiedział, kiedy i gdzie się zjawię? - zdziwiłam się, zachodząc w głowę, kto z ludzi, których spotkałam po drodze, należał do siatki informacyjnej Szefa. - Czasami wydaje mi się, że Szef ma kryształową kulę.

- Rzeczywiście, niekiedy tak to wygląda. - Jim cmoknął na Goga i Magoga i powóz ruszył w drogę na farmę. Usiadłam wygodnie i odprężyłam się, słuchając przyjaźnie brzmiącego „klomp, klomp” końskich kopyt, uderzających o piasek.

Otworzyłam oczy, gdy Jim skręcał w bramę. Lando przetoczyło się pod wysokim łukiem i wjechało na podwórze. Nie czekając na pomoc, zeskoczyłam na ziemię i odwróciłam się, by podziękować Jimowi.

Dopadli mnie z obu stron.

Pocziwy, stary Jim nie ostrzegł mnie. Po prostu przyglądał się, jak próbują wykręcić mi rękę.

Rozdział II

To była moja wina. Wiedziałam przecież, że dla takich jak ja nie ma miejsca, gdzie byłoby zupełnie bezpiecznie, i że żadne inne miejsce niż to, do którego zawsze się powraca, nie nadaje się lepiej do zorganizowania zasadzki na nie pamiętającego o tej prostej prawdzie cymbała.

Najwidoczniej wykułam tę lekcję jak papuga, zamiast wziąć ją sobie głęboko do serca. No i wpadłam.

Z drugiej jednak strony trzymać się owej ponurej zasady oznacza to samo, co uważać, iż osobą mogącą cię najłatwiej zamordować jest ktoś z twojej najbliższej rodziny. Życie w strachu przed własną matką, ojcem, braćmi, siostrami...? To już lepiej być martwym. Najgłępszym błędem jaki popełniłam nie było jednak zignorowanie jakichś szczegółowych zasad bezpieczeństwa. Zlekceważyłam wyraźne, rzucające się w oczy zagrożenie. W jaki sposób „drogi wujek” Jim ustalił prawie co do minuty, kiedy przyjadę? Kryształowa kula? Nie sądzę. Mogę się mylić, ale Szef chyba nie potrzebowałby nas wszystkich, gdyby posiadał jakieś nadprzyrodzone zdolności. Z pewnością przewyższał nas inteligencją, lecz przecież nie posługiwał się czarami.

Nigdy nie informowałam go o tym, gdzie jestem. Nie wiedział nawet, kiedy opuściłam Ell-Pięć. Takie były reguły. Zdając sobie sprawę, że jakkolwiek przeciek mógłby mieć fatalne skutki, nie żądał, by meldować mu o każdym ruchu. W końcu nawet ja nie wiedziałam, że przylecę tą właśnie kapsułą, dopóki do niej nie wsiadłam. Zamówiłam śniadanie w restauracji hotelu „Steward”, wysłałam nie jedząc go, zapłaciłam za bilet w automacie na gotówkę i złapałam najbliższe połączenie. Więc jak?!

Oczywiście, obcięcie tego „ogona” w porcie Kenya Beanstalk nie oznaczało, że nie miałam innych. Jeden z nich mógł od razu zastąpić pana Belsena (Beaumonta - Bookmana - Buchanana). Możliwe, że cały czas wlokłam go za sobą. Niewykluczone też, że to, co przytrafiło się Belsenowi, wyostrzyło tylko ich czujność, dzięki czemu stali się ostrożniejsi. Nawet jeśli ich zgubiłam, to mogli odszukać mnie, gdy zatrzymałam się na Alasce. Każdy wariant był możliwy. Alaskę opuszczałam również kapsułą kablowca. Krótco po odlocie ktoś mógł przekazać przez telefon taką na przykład wiadomość: „Światlik do Ważki. Moskit odfrunął Korytarzem Międzynarodowym dziesięć minut temu. Kontrola ruchu w Anchorage potwierdza przylot na Lincoln Meadows jedenasta-zero-trzy twojego czasu”. Ktoś inny obserwował, jak wysiadałam z kapsuły i zatelefonował dalej. Inaczej Jim nie byłby w stanie mnie spotkać. Logiczne.

Taka zabawa w chowanego bywa pouczająca - pokazuje ci, że powinieneś nosić okulary... Ale dopiero wtedy, gdy prawie straciłeś wzrok.

Sama pchałam się im w łapy. Gdybym była sprytniejsza, zrezygnowałabym z przyjazdu tutaj natychmiast po zauważeniu, iż nie jestem sama. Nawet jeśli tego nie spostrzegłam, to gdy tylko Jim powiedział, że przysyła go Szef, powinnam była zwiewać do samego piekła, zamiast wsiadać do jego powozu i ucinać sobie drzemkę. Widać nie byłam jednak wystarczająco sprytna. Właśnie tego dowiodłam.

Pamiętam, że zabiłam tylko jednego z nich.

Może dwóch.

Ale dlaczego uparli się złapać mnie w tak ryzykowny sposób? Mogli przecież poczekać, aż wejdę do środka, i wtedy użyć gazu lub zastrzyku usypiającego, a potem mnie

związać. Musieli wziąć mnie żywą - to jasne. Czyżby nie wiedzieli, że agent terenowy wyszkolony tak jak ja staje się jeszcze groźniejszy, gdy zostaje zaatakowany? A może to nie tylko ja okazałam się idiotką? I po co tracili czas na bicie i gwałcenie mnie?

Cała ta sprawa wyglądała na robotę amatorów. Zawodowcy od dawna już nie stosowali takich metod przed przesłuchaniem - nie przynosiły one żadnych rezultatów. Gwałcona (lub gwałcony - słyszałam, że mężczyźni trudniej to znieść) może w najgorszym wypadku czekać, aż to się skończy, albo - jeśli jest lepiej wyszkolona i bardziej odporna - może po prostu „wyłączyć się”, zastosowawszy stare chińskie sposoby.

Zamiast metody A lub B można też przyjąć inną taktykę. Jeżeli agentka ma wystarczające zdolności teatralne, może spróbować wykorzystać je dla zdobycia psychicznej przewagi nad gwałcicielem. Nigdy nie odniosłam wielkich sukcesów jako aktorka. Jeśli jednak nie udawało mi się w ten sposób odwrócić niekorzystnej sytuacji, to przynajmniej przeżyłam.

Tym razem metoda C nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Wywołałam w każdym razie drobną sprzeczkę.

Czterech z nich - tak przypuszczałam po dotyku i zapachu ciał - zgwałciło mnie w jednej z sypialń na piętrze. Mógł to być nawet mój własny pokój, ale nie jestem pewna. Na jakiś czas straciłam przytomność, a gdy ją odzyskałam, moim jedynym ubraniem była przepaska szczelnie zasłaniająca mi oczy. Leżałam na rzuconym na podłogę materacu, a oni robili to z ponurym sadyzmem... który starałam się ignorować, zajęta metodą C.

W myślach nazywałam ich: „Słomiany Szef (zdaje się, że on tu dowodził), „Rocky”* (oni również go tak tytułowali - pewnie z powodu tego, co miał zamiast mózgu) i „Mały” (coś nie najlepiej mu szło). Imienia dla czwartego nie mogłam wymyśleć; nie wyróżniał się niczym szczególnym.[* Rock w języku angielskim oznacza skałę, głaz]

Z początku zmuszałam się, by nie okazywać obrzydzenia i wściekłości. Potem stopniowo moja pasja opadała. Nie mogłam zrobić dla siebie nic lepszego. Trudno pewnie w to uwierzyć, ale Słomianemu Szefowi starałam się nawet nie okazywać niechęci.

Zamierzałam w ten sposób zdobyć status jego maskotki albo czegoś w tym rodzaju. Słomiany Szef nie był taki zły, jeżeli potrafiło się umiejętnie połączyć metody B i C.

Najtrudniej było z Rockym. W jego przypadku kombinacja ta nie była wystarczająca.

Miał cuchnący oddech i zapomniał chyba, do czego służy mydło i ręcznik. Wiele wysiłku kosztowało mnie, by nie zwracać na to uwagi i starać się schlebiać jego prostackiemu ego.

Gdy przestał w końcu sapać nade mną, powiedział:

- Tracimy tylko czas, Mac. Ta dziwka po prostu to lubi.
- No to złaż z niej i daj jeszcze jedną szansę dzieciakowi. Jest gotowy.
- Jeszcze nie. Trzeba jej najpierw trochę przyłożyć. Może wtedy zacznie nas traktować serio.

Z rozmachem uderzył mnie w prawy policzek. Wrzasnęłam z bólu.

- Przestań - usłyszałam głos Słomianego Szefa.
- Rozkazujesz mi? Słuchaj, Mac, za bardzo obrosłeś w piórka.
- Ja ci rozkazuję. - To był nowy głos, najwyraźniej wzmocniony. Musiał

wydobywać

się z systemu nagłośniającego, ukrytego w suficie. - Mac jest dowódcą twojej grupy, Rocky. Wiesz o tym dobrze. Mac, przyślij go do mnie. Mam z nim do zamienienia parę słów.

- Ale ja chciałem tylko pomóc, Majorze!

- Rocky, słyszałeś, co powiedział ten człowiek. - Głos Słomianego Szefa brzmiał dziwnie cicho. - Zabieraj swoje gacie i ruszaj.

Nagle ciężar męskiego ciała przestał mnie przytłaczać. Nie czułam też już tego cuchnącego oddechu na twarzy. To prawda, że szczęście jest pojęciem względnym. Głos z sufitu odezwał się ponownie:

- Mac, czy to prawda, że ta mała ceremonia, którą przygotowaliśmy dla panny Piętaszek, sprawiła jej przyjemność?

- Bardzo możliwe, Majorze - odpowiedział z namysłem Słomiany Szef. - W każdym razie tak się zachowywała.

- Co ty na to, Piętaszku? Czy zawsze w ten sposób przyjmujesz kopniaki?

Nie odpowiedziałam. Gdybym powiedziała to, co myślę naprawdę - że Słomiany Szef mógłby być przyjemny w innych okolicznościach, że Mały i ten drugi ani mnie grzeją, ani ziębią, a Rocky jest sukinsynem, którego zamordowałabym gołymi rękami przy pierwszej nadarzającej się sposobności - wszystkie wysiłki poszłyby na marne. Zamiast tego opisałam dość dokładnie, co sędzę o Majorze i o jego rodzinie, kładąc szczególny nacisk na matkę i siostrę - o ile ją miał.

- I wzajemnie, skarbie - odparł słodko głos z sufitu. - Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale wychowałem się w sierocińcu. Nie mam nawet żony, a co dopiero mówić o matce i siostrze. Mac, załóż jej obrączki i przykryj ją czymś. Tylko nie dawaj jej zastrzyku.

Później z nią porozmawiam.

Amator. Mój szef nigdy nie ostrzegłby więźnia przed przesłuchaniem.

- Hej, sierotko!

- Słucham, moja droga?

- Do tego, o czym mówiłam ci przed chwilą, nie jest niezbędna ani żona, ani tym bardziej matka, tylko - że tak powiem - anatomiczne możliwości.

- Schlebiasz mi, skarbie. Robię to każdej nocy.

A więc Major miał jednak pewną klasę. Pomyślałam nawet, że po odpowiednim szkoleniu mógłby stać się niezłym fachowcem. Pomimo to był pieprzonym amatorem nie zasługującym na szacunek. Rozmieniał się na drobne, przysparzając mi tylko niepotrzebnych siniaków i potłuczeń. Przy okazji pozwolił wciągnąć się w bezsensowną dyskusję, tracąc jedynie czas, który nie wiadomo na czyją korzyść pracował. Gdyby na jego miejscu znajdował się mój szef, to do tej pory wyprułabym już z siebie wszystkie wnętrności, recytując do mikrofonu nawet te rzeczy, których nie pamiętałam.

Słomiany Szef nie był chyba najsurowszym strażnikiem. Zaprowadził mnie do łazienki i czekał cierpliwie, aż doprowadzę się do porządku. Byłam pewna, że przerwie mi w połowie lub postara się upokorzyć mnie w jakiś inny sposób. Nic takiego jednak się nie stało. To również trąciło dyletanctwem. Przechodzenie w kółko od skrajnej brutalności do uprzedzającej grzeczności bywa równie skuteczne, co zadawanie bólu. Kumuluje jego efekt. Nie sędzę, aby Mac o tym wiedział. Wydawało się, że jest z gruntu przyzwoitym facetem, pomimo tego - nie, poza tym - że lubi odrobinę przemocy. Jest to jednak wspólna cecha większości mężczyzn.

Materac z powrotem znalazł się na swoim miejscu. Mac kazał mi położyć się na plecach i rozłożyć ramiona. Przy pomocy dwóch par kajdanek przykuł mnie do nóg łóżka.

Nie były to takie same kajdanki, jakich używali oficerowie bezpieczeństwa. Wyłożone były aksamitem jak to żelastwo, którym posługują się kretyni grający w Starszego Sierżanta.

Ciekawiło mnie, kto jest takim renegatem? Czyżby Major?

Mac sprawdził, czy dobrze je zabezpieczył i czy nie mam zbyt ściśniętych nadgarstków. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, troskliwie przykrył mnie kocem. Nie byłabym zaskoczona, gdyby pocałował mnie na dobranoc. Wyszedł jednak cichutko, nie robiąc tego.

A jeśli zechciałby mnie pocałować? Miałam odwrócić twarz i próbować zniechęcić go, czy przeciwnie - pozwolić mu na to? Bardzo dobre pytanie. Metoda C opierała się na przyjęciu postawy nie-mogę-nic-dla-siebie-zrobić i wymagała idealnego wycucia, kiedy i ile można okazać zrezygnowania. Jeżeli druga strona miała choć cień podejrzenia, że udajesz, wszystkie wysiłki były bezcelowe.

Gdy już zasypiałam, doszłam do wniosku, że gdyby Słomiany Szeff próbował, odwróciłabym się.

Wyczerpana tym, przez co przeszłam w ciągu ostatnich kilku godzin, zapadłam w głęboki sen. Nie było mi jednak dane wyspać się. Obudziło mnie nagle uderzenie w twarz. Poznałam rękę Rocky'ego. Co prawda nie zdzielił mnie tak mocno jak przedtem, jednak nie powinien był robić tego wcale. Z pewnością oberwało mu się niezłe od Majora i teraz próbował odegrać się na mnie. Przyrzekłam sobie, że gdy przyjdzie czas, by go zabić, zrobię to powoli.

Usłyszałam głos Małego:

- Mac powiedział, że mamy jej nie bić.

- A czy ja ją uderzyłem? To był tylko delikatny klaps, żeby się obudziła. Stul pysk i pilnuj lepiej swoich spraw. Stój spokojnie i trzymaj ją na muszce. Nie mnie, ty idioto - ją! Zabrali mnie do piwnicy i wepchnęli do naszego własnego pokoju przesłuchań. Mały i Rocky wyszli. To znaczy wydaje mi się, że Mały wyszedł. Rocky zrobił to na pewno - zniknął jego smród.

Przez chwilę panowała zupełna cisza. Domyślałam się jednak, kto będzie mnie przesłuchiwał. I nie myliłam się.

- Dzień dobry, panno Piętaszek - usłyszałam głos Majora.

- Cześć, sierotko! - „Dzień dobry”? A więc spałam chyba dość długo.

- Cieszę się, że jesteś w dobrej formie. Ta rozmowa będzie prawdopodobnie długa i męcząca, a może nawet nieprzyjemna. Chciałbym dowiedzieć się o tobie wszystkiego, moja piękna.

- Płonę z niecierpliwości. Od czego zaczniemy?

- Opowiedz mi o tej podróży, którą właśnie odbyłaś. Ze wszystkimi detalami. I opisz w zarysie organizację, do której należysz. Mogę ci powiedzieć, że wiemy już o niej dość dużo. Jeśli skłamiesz, będę o tym wiedział; lepiej więc nie próbuj. Nie chciałbym, abyś zmuszała mnie do robienia czegoś, czego będę żałował, ale czego ty pożalujesz jeszcze bardziej.

- Och nie, nie mam zamiaru kłamać. Czy magnetofon jest już włączony? Zajmie mi to trochę czasu.

- Tak. Magnetofon jest włączony.

- O'key.

Przez następne trzy godziny wypruwałam z siebie flaki, by niczego nie pominąć.

Jedną z rzeczy, których nie cierpiał Szef, było bezsensowne tracenie agentów. Dlatego powtarzał zawsze: „Jeżeli dostanę cię w swoje łapy - śpiewaj”. Wiedział doskonale, że dziewięćdziesięciu dziewięciu spośród stu nie wytrzyma tortur. Niektórzy załamali się już w czasie długich przesłuchań, powodujących nieludzkie wręcz zmęczenie, a szprycowaniu narkotykami oprze się jedynie sam Pan Bóg. Nie żądał więc cudów.

Wysyłając agenta w teren, zawsze najpierw upewniał się, że nie wie on o niczym, co mogłoby mieć istotne znaczenie. Również kurierzy nigdy nie mieli pojęcia, co przynosili. Ja nie stanowiłam wyjątku. Nie znałam nawet imienia Szefa. Nie wiedziałam, czy jesteśmy agencją rządową, czy może częścią którejś z ponadnarodowych korporacji. Wiedziałam tylko - podobnie zresztą jak większość ludzi z branży - gdzie znajduje się farma. Ta jednak jest - a raczej była - świetnie strzeżona. Inne miejsca odwiedzałam wyłącznie siedząc wewnątrz szczelnie zamkniętego energobilu. Tak bywało, gdy zabierano mnie do ośrodka treningowego, mogącego leżeć w odległych zakątkach farmy... albo zupełnie gdzie indziej.

- Majorze, jak udało się wam zdobyć to miejsce? Było naprawdę dobrze chronione.

- Tu ja zadaję pytania, moja śliczna. Przeróbmy jeszcze raz tę część twojej podróży, która nastąpiła po opuszczeniu kapsuły Beanstalk.

Pytanie - odpowiedź; pytanie - odpowiedź. I jeszcze raz. I od nowa. Myślałam, że to nie skończy się już nigdy. Upłynęła chyba cała wieczność, zanim Major przerwał w końcu potok słów, wydobywający się po raz n-ty z moich ust.

- Posłuchaj, moja droga: Opowiedziałas mi tu bardzo przekonującą historyjkę. Nie wierzę jednak w więcej niż co trzecie twoje słowo. Zacznijmy procedurę B.

Ktoś złapał mnie za ramię i wbił igłę strzykawki. Pentotal! Miałam nadzieję, że tym cholernym amatorom robienie zastrzyków nie sprawia takich trudności, jak myślenie. Mogli bardzo szybko wysłać mnie na tamten świat - wystarczyło przedawkować.

- Majorze, chyba lepiej będzie, jak usiądę.

- Posadźcie ją.

Ktoś wykonał polecenie.

Przez następne tysiąc lat pozostanę chyba rekordzistką w dokładnym powtarzaniu w

kółko tej samej historii. Dołożyłam wszelkich starań, choć czułam się dość niewyraźnie. W pewnej chwili spadłam nawet z krzesła, lecz nikt nie przejął się specjalnie tym faktem.

Siedząc na podłodze, nie przestawałam paplać.

Nie wiem, ile czasu upłynęło do momentu, gdy dostałam następny zastrzyk. Zaczęły mnie boleć zęby. Miałam też wrażenie, że oczy wychodzą mi z orbit; ciągle jednak nie traciłam przytomności.

- Panno Piętaszek - dotarł do mnie w pewnej chwili głos Majora.

- Słucham pana?

- Czy jest pani przytomna?

- Chyba tak...

- Zdaje mi się, moja droga, że była pani uwarunkowana za pomocą hipnozy,

aby pod

wpływem środków farmakologicznych mówić to samo, co bez nich. Bardzo mi przykro, lecz muszę uciec się do innych metod. Może pani wstać?

- Myślę, że tak. W każdym razie mogę spróbować.

- Podnieście ją. I nie pozwólcie jej upaść.

Znowu ktoś wykonał polecenie. Nie byłam w stanie utrzymać się na własnych nogach, ale podtrzymywali mnie z obu stron.

- Zaczniemy procedurę C, punkt piąty.

Poczułam, jak ktoś ciężkim, podkutym buciosem miażdży palce mojej prawej stopy.

Tym razem nie krzyknęłam - wydałam z siebie skowyt bólu.

Jeśli kiedykolwiek będziecie przesłuchiwać za pomocą tortur, krzyczcie. Zgrywanie twardego rozwścieczy tylko oprawców. Uwierzcie tej, która już przez to przeszła. Otwórzcie usta i wrzeszczcie, wyjdźcie tak głośno, jak tylko potraficie.

Nie chcę przekazywać w detalach wszystkiego, co jeszcze wydarzyło się w czasie przesłuchania. Myślałam, że nie skończy się ono już nigdy. Jeżeli macie choć odrobinę wyobraźni, taka relacja przyprawiłaby was o mdłości. Do dziś jeszcze mnie samej zbiera się na wymioty, gdy o tym pomyślę. Wtedy zwymiotowałam nie raz. Nie raz też straciłam przytomność, a oni ciągle cucili mnie i pytali; wciąż od nowa.

Najwyraźniej jednak nadszedł w końcu taki moment, w którym dalsze ciągnięcie mnie za język nie miało już sensu. Odzyskałam świadomość, gdy usłyszałam nad głową głos Majora. Leżałam na wznak w łóżku - tym samym, jak przypuszczałam - ponownie przykuta doń kajdankami. Moje ciało było jednym wielkim bólem.

- Panno Piętaszek?

- Czego, do diabła, znowu chcesz?

- Niczego. Jeśli ta informacja ucieszy cię, to wiedz, że jesteś pierwszą przesłuchiwaną przeze mnie osobą, z której najprawdopodobniej nie udało mi się wydobyć prawdy.

- To idź i popłacz sobie.

- Dobranoc, moja droga.

Pieprzony amator! Każde słowo, jakie usłyszał, było najszczerzą prawdą.

Rozdział III

Ktoś przyszedł i zrobił mi jeszcze jeden zastrzyk. Ból minął prawie natychmiast. Zasnęłam.

Wydawało mi się, że spałam bardzo długo, lecz nie był to zdrowy, głęboki sen. Zmaltretowany mózg pracował nadal, produkując chorobliwe urojenia. Skądś pojawiło się nagle mnóstwo gadających, psich łbów. Całe watahy. Próbowaly ściągnąć mnie z łóżka swoimi pokrytymi pianą pyskami, pełnymi potężnych, białych kłów. Nie potrafiłam odróżnić tworów chorej wyobraźni od tego, co działo się naprawdę. Hałas i tupot wielu par butów na schodach, po których biegali jacyś ludzie, mógł być rzeczywistością. Dla mnie jednak stanowił on dalszą część sennych halucynacji; pomimo wysiłków nie udało mi się podnieść, lub choćby krzyknąć.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, gdy zaczęła mi wracać świadomość, był brak tej śmierdzącej opaski na oczach. Z przegubów moich rąk zniknęły też kajdanki. Mimo to nie poruszyłam się. Nie otworzyłam nawet oczu. Być może teraz właśnie miałam najlepszą - jeśli nie jedyną - szansę ucieczki. Należało więc działać ostrożnie.

Nadal nie ruszając się, naprężyłam po kolei mięśnie. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, aczkolwiek byłam bardziej niż trochę poturbowana. Ubranie? Do diabła z nim! Przede wszystkim nie miałam pojęcia, gdzie je po ciemku szukać. Poza tym chodziło tu o moje życie.

W pokoju nie było chyba nikogo. A może za drzwiami? Wstrzymałam oddech, wsłuchując się w ciszę. Żadnego odgłosu. Nie mogłam uzyskać stuprocentowej pewności, ale wszystko wskazywało na to, że na całym piętrze nie ma nikogo, oprócz mnie. Szybko ułożyłam plan: wstać z łóżka, bezszelestnie otworzyć drzwi i cichutko prześliznąć się schodami na drugie piętro, na poddasze. Stąd wydostać się na dach; przy odrobinie szczęścia dosięgnę chyba gałęzi potężnego dębu stojącego nie opodal ściany budynku. Pozostanie jeszcze dotrzeć do lasu. Jeśli tylko uda mi się tam dostać, nie powinni mnie złapać... ale do tego czasu będę łatwym celem.

Szansę? Jedna na dziesięć. Nawet przy optymistycznych założeniach jedna na siedem. Najprawdopodobniej jednak zauważą moje zniknięcie jeszcze zanim wydostanę się z domu... ponieważ po drodze będę pewnie zmuszona zabić kilku z nich. Mogę jedynie postarać się zrobić to jak najciszej.

Alternatywą było czekanie, aż oni wykończą mnie... co nastąpi pewnie bardzo szybko, jeśli nie zacznę działać. „Major” pewnie wiedział już, że niczego więcej ze mnie nie wyciągnie. Co prawda on również należał do tej bandy zbirów bez wyobraźni, lecz nie był raczej na tyle głupi, by pozostawić mnie przy życiu.

Jeszcze raz nastawiłam uszu. Najlżejszego szmeru. Dłuższe czekanie nie miało już sensu. Każda minuta zwłoki przybliżała moment, w którym ktoś w końcu przypomni sobie o moim istnieniu. Ostrożnie otworzyłam oczy...

- No, widzę, że nareszcie odzyskałaś przytomność.

- ...Szefer?! Gdzie ja jestem?

- Cóż za banalne powitanie. Mogłabyś zrobić to lepiej, Piętaszku. Spróbuj jeszcze raz.

Rozejrzałam się wokół. Sypialnia; możliwe, że szpitalna separotka. Żadnych okien, żadnego jaskrawego oświetlenia. Charakterystyczna, uroczysta cisza, raczej podkreślana, niż

przerywana delikatnym poszumem urządzeń wentylacyjnych.

Przeniosłam wzrok na Szefa. Wyglądał tak, jak zawsze. Ta sama, niezbyt elegancka przepaska na oku (mógłby w końcu znaleźć trochę czasu i zregenerować je lub przeszczepić sobie nowe) i ten sam niedopasowany garnitur, podobny do źle uszytej pidżamy. Kule oparł o stół, w zasięgu ręki. Trudno wyrazić, jaką radość sprawił mi jego widok.

- Nadal chciałabym dowiedzieć się, gdzie jestem. Gdzieś pod ziemią - to oczywiste - ale gdzie? I jak się tu znalazłam? I dlaczego?

- Pod ziemią, zgadza się. Kilka metrów. Gdzie dokładnie - powiem ci, gdy przyjdzie czas. Wtedy też dowiesz się, jak stąd wyjść i jak wrócić. To właśnie była ujemna strona naszej farmy - przyjemne miejsce, lecz zbyt wiele ludzi znało jego lokalizację. Odpowiedź na twoje „dlaczego” jest chyba oczywista. „Jak” może poczekać. Melduj.

- Szefie, jest pan najbardziej nieznośnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

- Długie lata praktyki, Piętaszku. Melduj.

- Założę się, że gdy pana ojciec spotkał po raz pierwszy pana mamę, nie zdjął nawet kapelusza.

- Poznali się w szkółce niedzielnej u Baptistów i oboje wierzyli w dobre wróżki. Melduj.

- Chryste, co za nudziarz! Na Ell-Pięć dotarłam bez przygód. Sztuczka z pępkiem udała się; przekazałam jego zawartość panu Mortensonowi. Potem nastąpiły nieprzewidziane kłopoty. Osiedle kosmiczne opanował jakiś nieznany etiologom wirus powodujący zaburzenia w oddychaniu. Zaraziłam się nim. Na szczęście pani Mortenson okazała się świetną pielęgniarką. Dzięki niej jakoś z tego wyszłam. Nawiasem mówiąc, chciałabym jakoś się jej odwdzińczyć.

- W porządku. Mów dalej.

- Leżałam dość długo nieprzytomna. Stąd właśnie ta tygodniowa przerwa w harmonogramie. Ale byłam gotowa do drogi, gdy tylko Mortenson powiadomił mnie, że mam już przy sobie te mikrofilmy, które miał panu przekazać. W jaki sposób, Szefie? Ten sam trick z pępkiem?

- I tak, i nie.

- To, do diabła, nie jest odpowiedź!

- Dobrze; użyliśmy tego schowka.

- Tak myślałam. Zawsze czuję coś - jakby ucisk - gdy jest pełen. Mam nadzieję, że to się kiedyś nie skończy źle.

Napięłam mięśnie brzucha i przesunęłam dłonią w okolicy pępka.

- Ej! On jest pusty! Opróżniliście go?

- Nie my. Nasi przeciwnicy.

- A więc przegrałam. Boże, to straszne!

- Nie - próbował mnie pocieszyć. - Jeśli wziąć pod uwagę wszystko, przez co musiałaś przejść, to nawet świetnie się spisałaś.

- Czyżby? Może jeszcze zasłużyłam na Krzyż Victorii? - zadrwiłam sama z siebie. -

Nie jestem debiutantką, Szefie. Zamiast wciskać mi bajeczki, lepiej niech mi pan pokaże

diagram. Powinnam była od razu o to poprosić. Za moim pępkiem, wykonawszy zabieg chirurgiczny, umieszczono niewielki schowek. Ma on zaledwie jeden centymetr sześcienny, lecz może pomieścić sporo odpowiednio spreparowanych mikrofilmów. Posiada przy tym bardzo ważną zaletę: nikt nie wtajemniczony nie domyśli się jego istnienia. Bezstronni sędziowie stwierdzili, że mam bardzo ładny brzuch i miły dla oka pępek. Dla niektórych jest to nawet większa zaleta niż śliczna twarz, choć i w tej materii nie mogę narzekać. Dzięki specjalnemu zwieraczowi z silikonowego elastomeru mój pępek wygląda zupełnie naturalnie, bez względu na to, czy kryje się coś za nim, czy też nie. Ów sztuczny mięsień spełnia tę samą rolę, co zwieracze odbytnicy i pochwy, działając samorzutnie nawet podczas snu lub utraty przytomności. Aby włożyć coś do skrytki, należało jedynie zamoczyć to w odrobinie galaretki K-Y albo innego nieorganicznego kremu i nacisnąć mocno kciukiem. Problem stanowiły przedmioty o spiczastych krawędziach, ale i to jakoś wytrzymałam. Wyjęcie przesyłki było równie łatwe. Wystarczyło naciągnąć palcami obu rąk skórę wokół pępka i napiąć mięśnie brzucha.

Sztuka przemykania rzeczy wewnątrz ludzkiego ciała ma długą tradycję. Do klasycznych sposobów należy używanie w tym celu otworów nosowych, ust, żołądka,

odbytnicy, pochwy, kanałów uszu oraz niebezpieczna i niezbyt praktyczna egzotyczna metoda polegająca na wszczepianiu niewielkich przedmiotów pod skórę w owłosionych miejscach.

Wszystkie te sposoby znane są każdemu celnikowi i agentowi służb specjalnych - tak państwowych, jak i prywatnych - na całej Ziemi, w osiedlach kosmicznych, na Księżycu, na innych planetach i w ogóle wszędzie tam, gdzie dotarł człowiek. Możecie więc o nich zapomnieć. Jediną klasyczną metodą, niekiedy nadal skuteczniejszą od nowoczesnych, jest „Podwójny List”. Ale „Podwójny List” jest sztuką naprawdę wysokiego lotu. Poza tym, nawet jeśli zostanie perfekcyjnie skonstruowany, zawsze może dostać się w ręce półgłówka, który pod wpływem narkotyków wszystko wyśpiewa.

Teraz, gdy schowek w moim ciele został odkryty, z pewnością pojawi się mnóstwo kurierów i zwykłych przemytników, stosujących tę taktykę. Najprawdopodobniej zacznie ona być używana na tyle powszechnie, że z naszego punktu widzenia stanie się zupełnie bezużyteczna. Tylko patrzeć, jak celnicy zaczną pchać swoje brudne paluchy w każdy pępek. Może nie powinnam tak myśleć, ale mam nadzieję, że będzie ich kłuło w oczy zachowanie niektórych podróżnych; pępek to bardzo wrażliwe miejsce.

- Słabą stroną tej metody, moja panno, zawsze stanowił fakt, iż podczas zręcznie prowadzonego przesłuchania...

- Oni nie byli zręczni.

- ...czy też pod wpływem tortur lub środków farmakologicznych mogłaś zostać zmuszona do wygadania się o istnieniu skrytki.

- To musiało stać się wtedy, gdy nafaszerowali mnie penthotałem. Nie przypominam sobie, bym powiedziała im coś przedtem.

- Możliwe. Niewykluczone jednak, że otrzymali informację z jakichś innych źródeł.

Oprócz nas jest jeszcze kilka osób, które znają sprawę; trzy pielęgniarki, dwóch chirurgów, anestezjolog. Być może to jeszcze nie wszyscy. W każdym razie wystarczająco dużo. Ktoś mógł wygadać się przypadkowo lub - co bardziej prawdopodobne - po prostu zdradzić nas.

Tak czy owak, nasi przeciwnicy przechwycili przesyłkę. Nie ma jednak o co rwać sobie włosów z głowy. Na mikrofilmie, który dostał się w ich ręce, jest dokładny spis restauracji, sporządzony na podstawie książki telefonicznej dawnego miasta Nowy Jork z 1928 roku. Bez wątplenia gdzieś jakiś komputer pracuje teraz nad złamaniem szyfru i odczytaniem tekstu zakodowanego w tej liście. Zajmie mu to wiele czasu... bo tam nic nie jest zakodowane. To atropa.

- I po to musiałam ganiać na Ell-Pięć, chorować tam przez tydzień, latać kablownicami i dać się zgwałcić tej bandzie zбочeńców?!

- Wybacz mi to ostatnie, Piętaszku, ale czy naprawdę sądzisz, że ryzykowałbym życie mojej najlepszej agentki, gdyby ta misja nie była rzeczywiście ważna?

Pochlebstwem można kupić prawie każdą kobietę. Pewnie dlatego właśnie pracuję ciągle dla tego aroganckiego skurczybyka.

- Teraz nie rozumiem już nic, Szefie.

- Dotknij blizny po usunięciu wyrostka robaczkowego.

- Że co? - Wsunęłam rękę pod prześcieradło i dotknęłam brzucha. - Co jest, do cholery?

- Nacięcie nie było dłuższe niż na dwa centymetry, dokładnie wzdłuż tej blizny.

Mięśnie brzucha nie zostały naruszone. Przesyłkę wyjęliśmy mniej więcej dwadzieścia cztery godziny temu, przeprowadzając taką samą „operację”. Powiedziano mi, iż przy zastosowaniu przyspieszonych metod leczenia ran nawet ty sama nie zauważysz nowej blizny na starej.

Cieszę się, że Mortensonowie tak dobrze o ciebie dbali, chociaż wiem, że sztuczne objawy choroby, jakie u ciebie wywołali, z pewnością nie były przyjemne. Musieli to jednak zrobić, abyś nie wiedziała o istnieniu drugiej, właściwej przesyłki. Przy okazji: tam naprawdę panuje epidemia.

Szef przerwał. Ciągle unikałam pytania o to, co w końcu prznosiłam. Mógł mi nic nie odpowiedzieć. Po chwili odezwał się ponownie:

- Wspominałaś coś o podróży powrotnej.

- Owszem. Jeśli jeszcze kiedyś będzie mnie pan wysyłać poza Ziemię, chcę lecieć pierwszą klasą w jakimś porządnym statku antygravitacyjnym. Nie mam zaufania do tych hinduskich sztuczek z linami.

- Według analiz kablownice są bezpieczniejsze od jakichkolwiek innych statków. Katastrofę w Quito spowodował sabotaż, a nie wada materiału.

- Sknera.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych impertynencji. Możesz sobie latać antygravitatorowcami wtedy, gdy pozwalają na to okoliczności i czas. Tym jednak razem były powody, byś podróżowała kapsułą Kenya Beanstalk.

- Może tak, ale ktoś mnie śledził po tym, jak z niej wyszłam. Gdy tylko znaleźliśmy się sami, zabiłam go.

Przerwałam. Kiedyś być może uda mi się ujrzeć na jego twarzy wyraz zaskoczenia, ale na to przyjdzie mi pewnie jeszcze długo poczekać.

- Potrzebuję chyba trochę odpoczynku, Szefie. Coś ze mną nie w porządku.

- Doprawdy? Co masz na myśli?

- Zbyt łatwo przychodzi mi zabijanie. Ten typ nie zrobił nic, co usprawiedliwiłoby jego śmierć. Deptał mi po piętach - to prawda. Powinnam jednak była potrząsnąć nim zdrowo

- tam albo w Nairobi - lub co najwyżej ogłuszyć go.

- Później pogadamy o twoich potrzebach. Mów dalej.

Opowiedziałam mu o Publicznym Oku, o Belsenie i jego czterech wcieleniach oraz o

tym, jak wysłałam je w cztery strony świata. Na koniec opisałam z grubsza, w jaki sposób dostałam się na farmę.

- Nie wspomniałaś nic o wybuchu w hotelu - stwierdził z lekkim wyrzutem w głosie.

- Szefie! Chyba nie sądzi pan, że miało to cokolwiek wspólnego ze mną? Byłam w połowie drogi do Mombasy.

- Mój drogi Piętaszku, jesteś zbyt skromna. Olbrzymia liczba ludzi straciła już kupę pieniędzy, próbując wyeliminować cię z gry. To, co stało się na farmie, było jedną z takich prób. Możesz śmiało założyć, z małym prawdopodobieństwem popełnienia błędu, że zamach w „Hiltonie” został zorganizowany wyłącznie w celu zabicia ciebie.

- Hmm... Przypuszczam, Szefie, że domyślał się pan tego. Nie można było jakoś mnie ostrzec?

- Miałaś być jeszcze bardziej ostrożna? Bardziej czujna? Bzdury! Po cóż miałbym zwracać ci głowę mętnymi ostrzeżeniami przed niejasnym niebezpieczeństwem. Kobieto, nie popełniłaś przecież żadnego błędu!

- Do diabła, właśnie że zrobiłam. Jim wyjechał mi na spotkanie, chociaż nikt nie wiedział, kiedy pojawię się na Lincoln Meadows. A ja, głupia, rzuciłam się mu w ramiona, choć powinnam była zniknąć mu z oczu i odlecieć pierwszą złapaną kapsułą...

- Po czym zorganizowanie naszego rendez-vous stałoby się prawie niemożliwe, co byłoby równoznaczne z utratą przesyłki - dokończył za mnie. - Moje drogie dziecko; gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, rzeczywiście wysłałbym po ciebie Jima. Nie doceniasz siatki wywiadowczej, w której zorganizowanie włożyłem tyle wysiłku; informowano mnie na bieżąco o każdym twoim ruchu. Najprawdopodobniej Jim dostał wiadomość o przypuszczalnym czasie twojego przylotu od jednego z naszych ludzi. Możliwe jednak, że nasi przeciwnicy również dysponowali dokładnymi danymi, choć nie sądzę, by tak było.

- Gdybym wiedziała o tym wcześniej, przerobiłabym go na paszę dla jego koni. Lubiałam go, Szefie. Gdy przyjdzie pora, chcę zlikwidować go sama. Jest mój.

- W naszym zawodzie nie ma miejsca na osobiste urazy.

- Nie żywię ich wiele, lecz Wujek Jim to wyjątek. Jest co prawda jeszcze jedna taka sprawa, ale o tym porozmawiamy później. Teraz niech mi pan powie, czy to prawda, że Jim był pastorem?

Prawie udało mi się go zaskoczyć.

- Gdzie usłyszałaś te brednie?

- Tu i tam. Plotki.

- Czego to ludzie nie wymyślą! Pozwól, że ci to wyjaśnię. Prufit należał do ludzi łatwo ulegających wpływowi. Spotkałem go w więzieniu, gdzie zrobił coś dla mnie. Coś na tyle ważnego, że znalazłem dla niego miejsce w naszej organizacji. Popełniłem błąd.

Niewybaczalny, głupi błąd. Tacy jak on nigdy się nie zmieniają. Chciałem jednak uwierzyć, że tak nie jest - to słaba strona mojego charakteru, którą uważałem już za wyeliminowaną.

Niestety, myliłem się. Mów dalej, proszę.

Opowiedziałam, jak wpadłam w zasadzkę.

- Było ich czterech czy pięciu.

- Sześciu. Rysopisy?

- Żadnych, Szefie. Byłam zbyt zajęta. No, może jeden. Przyjrzałam mu się przez

moment, gdy go zabiłam. Wzrost około metra siedemdziesiąt, waga siedemdziesiąt pięć lub sześć kilogramów. Mógł mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Blondyn, gładko ogolony.

Słowiański typ urody. Ale zapamiętałam tylko jego. Stał ciągle, niewrażliwy na ciosy, dopóki nie złamałam mu karku.

- A ten drugi, którego zabiłaś, był blondynem, czy raczej brunetem?

- Belsen? Na pewno brunet.

- Nie on. Chodzi mi o tego na farmie. Zresztą nieważne. Zabiłaś dwóch i wyeliminowałaś na długo trzech, zanim udało im się rzucić na ciebie. Musiałaś mieć naprawdę dobrego instruktora. My w czasie ucieczki nie mogliśmy zrobić nic, żeby cię ostrzec, dlatego bez trudu urządzili zasadzkę. Nie docenili jednak twoich możliwości. Zrobiłaś tam niezłą jatkę, zanim przygnietli cię ciężarem własnych ciał. Gdy wróciliśmy, by cię odbić, ci dwaj byli już w ziemi, a pozostali trzej ciągle leżeli nieprzytomni. Wychodzi więc na to, że w końcowym rozrachunku ty wygrałaś całą tę rozróbę. Coś jeszcze?

- To w zasadzie wszystko. Potem był zbiorowy gwałt i przesłuchanie. Najpierw użyli narkotyków, a gdy to nie dało rezultatów, zabrali się do tortur.

- Przepraszam cię za ten gwałt, Piętaszku. Wiem, że to musiało być odrażające. W podobnych okolicznościach rzadko jednak obywają się bez tych rzeczy.

- Och, nie ma co robić z tego tragedii. W końcu nie byłam już dziewczicą. Nie mogę powiedzieć, by sprawiło mi to rozkosz, ale zdarzały się już okazje, po których czułam się bardziej rozczarowana. Czegóż miałam się spodziewać po tych prostakach? Wersalskich manier? Jednego z nich chcę jednak dostać w swoje ręce. Muszę go mieć! Tak samo, jak Wujka Jima. Może nawet bardziej. Nie znam jego twarzy, ale rozpoznam go wszędzie. Chcę, żeby cierpiał, zanim pozwolę mu umrzeć.

- Mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem wcześniej. Szukanie osobistej zemsty jest w naszym zawodzie błędem. Zmniejsza szansę przetrwania.

- Dla tego sukinsyna zaryzykuję. Nie chcę mścić się za gwałt, Szefie. Zrobili to pewnie na rozkaz, myśląc, że zmiękczą mnie przed przesłuchaniem. Ale ten parch mógł przynajmniej umyć się i wyszorować zęby. Ktoś powinien też powiedzieć mu, że to niegrzecznie bić kobietę, z którą się wcześniej spółkowało. Nie wiem, jak on wygląda, ale nie zapomnę jego głosu i smrodu, jaki wokół siebie rozciągał. Znam też jego pseudonim: Rocks albo Rocky.

- Jeremy Rockford.

- Pan go zna?! Gdzie on jest?

- Widziałem go tylko raz, i to przelotnie. Niewielu jednak jest ludzi odpowiadających twojemu opisowi. Requiescat in pace.* [*Requiescat in pace (łac.) - spoczywa w pokoju

- Nie żyje? Szkoda. Mam nadzieję, że umierał, zdając sobie z tego sprawę.

- Raczej tak, Piętaszku. Nie opowiedziałem ci jeszcze wszystkiego, co wiem...

- A czy robi pan to kiedykolwiek?

- ...bo chciałem najpierw usłyszeć twój raport. Ich atak na farmę powiódł się dlatego, że Jim Prufit odciął zasilanie na krótko przedtem, zanim uderzyli. Tylko kilkoro z nas miało broń przy sobie. Większość została z gołymi rękami. Zarządziłem ewakuację i część naszych ludzi uciekła tunelem wykopanym w czasie budowy domu. Przykro mi, że to się stało, lecz trzech najlepszych - tych trzech, którzy w chwili ataku byli uzbrojeni - zapłaciło już Charonowi za przeprawę na drugi brzeg Styksu. Tunel był otwarty, dopóki nie usłyszałem, że wtargnęli doń napastnicy. Wówczas musiałem wysadzić go w powietrze. Potem trochę czasu zajęło mi zebranie odpowiedniego oddziału i zorganizowanie kontruderzenia. Najtrudniej było zdobyć kilka bojowych energobill. Nawet decydując się na atak bez nich, musieliśmy przecież mieć choć jeden jako ambulans dla ciebie.

- Skąd wiedzieliście, że żyję?

- Z tego samego źródła, z którego dowiedzieliśmy się, że ci, którzy weszli za nami do tunelu, nie byli naszą tylnią strażą. Podśluch. Wszystko, co zrobiłaś i co tobie zrobiono, wszystko, co powiedziałaś i co powiedziano tobie, było podśluchiwane i nagrywane. Zajęty przygotowaniem akcji, nie mogłem kontrolować tego osobiście, ale w wolnych chwilach odtwarzano mi najważniejsze fragmenty. Jestem z ciebie naprawdę dumny, dziewczyno. Na podstawie rozmieszczenia urządzeń podśluchowych ustaliliśmy, gdzie cię przetrzymują i ilu cię pilnuje. Wiedzieliśmy, że jesteś skatowana, i orientowaliśmy się, jak bardzo. Przez przekąźnik w energobilu śledziłem sytuację aż do momentu, gdy uderzyliśmy - to znaczy nasi ludzie uderzyli - na dom. Ja dowodziłem z pojazdu. Czterej spośród nich - w tym jeden uzbrojony tylko w nożyce do cięcia stali - odszukali i zabrali ciebie. Cała akcja trwała trzy minuty i jednaście sekund. Potem podłożyliśmy ogień i wynieśliśmy się stamtąd.

- Szeffie! Podpalił pan swoją ukochaną farmę?

- Gdy okręt tonie, nikt nie martwi się o los mesy oficerskiej. I tak nie mogliśmy już z niej korzystać. Podpalając farmę, zniszczyłem wiele kompromitujących dokumentów oraz tajnych i quasi-tajnych urządzeń. Przede wszystkim jednak chodziło o to, by dzięki pożarowi domu łatwiej i szybciej sprzątnąć tych, którzy poznali jego sekrety. Budynek został otoczony jeszcze zanim użyliśmy miotaczy. Strzelaliśmy do każdego, kto próbował uciekać przed płomieniami. Był tam między innymi twój znajomy, Jeremy Rockford! Gdy wyszedł bocznymi drzwiami, kurtka na nim już płonęła. Przez chwilę zawahał się i upadł. To go zgubiło. Sądząc z ryku, jaki wydobywał się z jego gardła, nie miał raczej lekkiej śmierci.

- Do diabła, Szeffie, mówiąc, że chcę, aby cierpiał, nie miałam na myśli robienia z niego żywej pochodni.

- Gdyby nie zachowywał się jak koń, który nie chce uciekać z płonącej stajni, mógłby zginąć tak, jak inni - szybko i bezboleśnie - od ładunku laserowego. Nie braliśmy jeńców.

- Nie chciał pan nikogo przesłuchać?

- W zasadzie powinienem. Nie wiesz jednak, mój drogi Piętaszku, jaka wtedy panowała atmosfera. Wszyscy znali te taśmy z twoich przesłuchań. Każdy najdrobniejszy szczegół od początku gwałtu aż do końca tortur. Chłopcy nie wzięliby nikogo żywcem, bez względu na rozkazy. Dlatego nawet nie próbowałem ich wydawać. Stałaś się dla swoich kolegów niemalże przedmiotem uwielbienia. Nawet nie masz pojęcia, jak są do ciebie przywiązani. Nawet ci, których nigdy nie spotkałaś i najprawdopodobniej nie spotkasz. - Szeff sięgnął po kule i podniósł się z trudem. - Jestem tu już o siedem minut dłużej, niż pozwolił mi twój psycholog. Zaraz przyjdzie pielęgniarka i poprawi ci łóżko. Śpij i wracaj do zdrowia.

Gdy wyszedł, długo jeszcze myślałam o tym, co powiedział. „Przedmiot uwielbienia”, „przywiązanie”... Nie mogę powiedzieć, żeby te słowa nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Jeśli tak naprawdę do nikogo się nie należy - takie słowa znaczą wszystko. Szczególnie dla kogoś, komu na każdym kroku przypomina się, że nie jest człowiekiem.

Rozdział IV

Nadejdzie taki dzień, kiedy to ja będę górą w dyskusji z Szefem. Nie myślcie jednak, że po raz pierwszy.

Zdarzało się już, że to moje było na wierzchu. Zazwyczaj wtedy, gdy mnie nie odwiedzał.

Zacząło się od różnicy zdań na temat tego, jak długo miała trwać moja rekonwalescencja. Byłam gotowa jechać do domu lub wrócić do służby już po czterech dniach. Nie zamierzałam co prawda pchać się od razu na pierwszą linię. Mogłam na początek przejąć lżejsze obowiązki albo polecieć na Nową Zelandię i tam leczyć rany.

Zresztą, nie było ich znowu tak wiele: kilka oparzeń, cztery połamane palce, proste złamanie prawej kości piszczelowej i strzałki, trochę bardziej skomplikowane zmiążdżenie palców i kości obu stóp oraz niewielkie pęknięcie czaszki. Miałam też odcięty prawy sutek, lecz nie było to groźne, choć wyglądało paskudnie.

Pamiętani tylko zmiążdżenie stóp. Resztą musieli się zająć, gdy moje zmysły przytępił już ból. Nic więc dziwnego, że tego nie zarejestrowały.

Któregoś dnia Szef powiedział:

- Wiesz przecież dobrze, Piętaszku, że sama regeneracja twojej brodawki piersiowej zajmie co najmniej sześć tygodni.

- Przecież to tylko prosty zabieg kosmetyczny. Dobry chirurg plastyczny załatwi to w ciągu tygodnia. Tak mi powiedział dr Krasny.

- Posłuchaj, młoda damo. Po pierwsze, zostałam pokiereszowana w czasie pełnienia zleconej przeze mnie misji. Po drugie zaś, uważam się za człowieka mającego moralny obowiązek zachowania i chronienia wszystkiego, co piękne. Te dwa powody są w twoim wypadku wystarczające, by trzymać cię tutaj - choćby pod strażą - tak długo, jak będzie tego wymagała sztuka terapii. Posiadasz urzekająco śliczne ciało, lecz obecnie znajduje się ono w żalonym stanie. Nie zamierzam przejść nad tym do porządku dziennego. Ono musi wrócić do poprzedniego wyglądu.

- Nie mam nic przeciwko zabiegom kosmetycznym, mówiłam już przecież. Nie oczekuję jednak, bym kiedykolwiek miała mleko w tej piersi. To bez znaczenia dla kogoś, z kim pójdę do łóżka.

- Piętaszku, możesz wmawiać sobie, że nigdy nie będziesz chciała mieć dzieci, lecz estetyczna i funkcjonalna pierś to coś zupełnie innego niż chirurgiczna imitacja. Twoi potencjalni kochankowie mogą nie zdawać sobie z tego sprawy, ale ty i ja wiedzielibyśmy. Nie, nie, moja droga. Wszystko ma być tak, jak przedtem.

- Hmm... A kiedy pan zamierza zregenerować swoje oko?

- Nie bądź arogancka, moje dziecko. W moim przypadku czynnik estetyczny nie gra żadnej roli.

Moje cycki stary się więc tak dobre, jak przedtem; może nawet lepsze.

Co do łatwości, z jaką przychodziło mi zabijanie, również nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka. Kiedy ponownie wspomniałam o tej sprawie, Szef skrzywił się, jakby zjadł coś kwaśnego.

- Nie przypominam sobie, Piętaszku, abyś kiedykolwiek zabiła bez wyraźnej potrzeby.

Czyżbyś sprzątnęła kogoś, o kim nie wiem?

- Nie, nie - odrzekłam pośpiesznie. - Za każdym razem był pan o tym

informowany.

Nikt też nie zginął z mojej ręki, zanim nie zaczęłam dla pana pracować.

- A potem zawsze robiłaś to w samoobronie. Gdzież więc jest problem?

- W przypadku Belsena nie można mówić o żadnej samoobronie. Facet nie tknął mnie nawet palcem.

- Beaumont. Najczęściej tego nazwiska używał. Samoobrona czasami opiera się na zasadzie: „Zrób przeciwko komuś to, co on może zrobić przeciwko tobie, ale zrób to pierwszy”. De Camp, o ile dobrze sobie przypominam, albo któryś z pozostałych zwolenników dwudziestowiecznej szkoły filozofii pesymizmu. Poprosiłem o dostarczenie mi dossier pana Beaumonta. Możesz do niego zajrzeć; być może wówczas zmienisz zdanie.

- Sama wiem, że nie był harcerzem i nie szedł za mną po to, aby dać mi buzi; sprawdziłam przecież, co miał w portfelu. Ale wtedy było już po fakcie.

Szef milczał przez chwilę, namyślając się.

- Wiesz, czym różni się kurier od zawodowego zabójcy? - zapytał w końcu chłodnym tonem.

Szczęka opadła mi na dół.

- Podstawowa różnica między nimi polega na tym - ciągnął dalej, najwyraźniej zirytowany - że kurier zabija zawsze w obronie własnej. Często instynktownie, bez namysłu. I zawsze z pewnym prawdopodobieństwem popełnienia błędu. Nie każdy posiada twój talent błyskawicznego kojarzenia faktów i wyciągania właściwych wniosków.

- Co takiego?!

- Dokładnie to, co słyszałaś. Brak ci jedynie pewności siebie. Dobry zawodowy zabójca nigdy nie kieruje się instynktem; zabija w sposób przemyślany i planowy. Jeśli jego plan zawodzi na tyle, że musi uciec się do samoobrony, wówczas jest nieomalże pewne, iż można postawić na nim krzyżyk. Planując pozbawienie kogoś życia, wie, jak to zrobić. Wie także, dlaczego. W tej dziedzinie zatrudniam również jedynie fachowców. Czy chcesz zostać jednym z nich?

Zbaraniałam. Planowe zabijanie? A raczej - nazywając rzecz po imieniu - mordowanie? Wstać rano z łóżka, zjeść w miłym towarzystwie śniadanie, a następnie zaaranżować spotkanie ze swoją ofiarą i z zimną krwią poderznąć jej gardło? Po czym wrócić do domu i uciąć sobie poobiednią drzemkę, jak gdyby nigdy nic?

- Nie, Szefie. Nie sądzę, abym nadawała się do tej roboty.

- Wcale nie twierdzę, że masz do niej predyspozycje. Tymczasem jednak przemyśl to sobie. Byłbym ostrożny co do celowości osłabiania twojego instynktu samozachowawczego. Ponadto mogę cię zapewnić, że jeżeli nawet do tego dojdzie, wówczas nigdy już nie wrócisz do zawodu kuriera; przynajmniej nie w moim zespole. Ryzykowanie życia wtedy, gdy nie jesteś na służbie, to twoja prywatna sprawa. Ja jednak nie zamierzam wysyłać w teren kogoś, kto z premedytacją pcha się pod topór.

Nie przekonał mnie, ale nie byłam już taka pewna swoich racji. Kiedy powtórzyłam, iż nie chcę zostać zawodowym zabójcą, wydawał się nie słuchać. Burknął tylko pod nosem, że da mi coś do przeczytania i wyszedł.

Myślałam, iż wyświetli mi coś na ekranie terminalu w moim pokoju. Zamiast tego po dwudziestu minutach zjawił się jakiś młody - no, powiedzmy, młodszy ode mnie - człowiek. Przyniósł prawdziwą książkę z papierowymi kartkami. Na okładce widniały stemple:

„ŚCISLE TAJNE”, „WYŁĄCZNIE DO CELÓW SZKOLENIOWYCH”, „OTWIERAĆ

TYLKO NA WYRAŻNE POLECENIE”. Przyjrzałam się jej tak, jak gdybym miała do czynienia z jadowitym wężem.

- To dla mnie? Zaszła chyba jakaś pomyłka.

- Starszemu Panu nie zdarzają się pomyłki. Niech pani tu podpisze.

Przerzuciłam kilka stron.

- To jakieś bzdury pod hasłem „Miej oczy otwarte”. Ja czasami śpiam.

- W takich wypadkach niech pani połączy się z Archiwum i poprosi referenta do spraw klasyfikacji dokumentów. To ja. Będę tu w podskokach. Tylko niech się pani postara nie zasnąć, dopóki tu nie dotrę. Niech się pani bardzo postara.

- O'key. - Podpisałam pokwitowanie. Gdy podniosłam wzrok, ciągle na mnie patrzył.

W jego oczach było coś więcej niż zainteresowanie.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz?

- Jest pani naprawdę piękna, panno Piętaszek.

Masz ci los! Nigdy nie wiem, jak zachować się w takiej sytuacji. To prawda, że jestem nieźle zbudowana, ale przez ubranie raczej tego nie widać.

- Skąd znasz moje imię?

- Przecież wszyscy wiedzą, kim pani jest. Wtedy, dwa tygodnie temu, na farmie... to była pani.

- Ach, rzeczywiście, byłam tam. Zapomniałam już.

- Za to ja pamiętam dokładnie - powiedział z błyszczącymi oczami. - To była moja pierwsza akcja bojowa. Cieszę się, że mogłem wziąć w niej udział.

Złapałam go za rękę (co ja wyrabiam?!), przyciągnęłam do siebie, wzięłam jego twarz w obie dłonie i pocałowałam. Był to pocałunek z tych pół na pół siostrzanych i pół na pół oznaczających „zrobmy to!”. Możliwe, że należało sprecyzować dokładniej jego znaczenie, ale mój referent był na służbie, a mnie nie skreślono jeszcze z listy chorych. To nie fair dawać obietnice, których nie można dotrzymać; szczególnie młodzieńcom z błyszczącymi oczami.

- Dziękuję, że mnie ratowałeś - rzekłam, opanowując się i zdejmując dłonie z jego policzków. Zarumienił się, lecz gdy wychodził, wyglądał na bardzo zadowolonego. Czytałam tak długo, aż przyszła pielęgniarka i zbesztła mnie. Wszystkie pielęgniarki muszą to robić od czasu do czasu.

Nie zamierzam cytować tych wynurzeń jakiegoś chorego umysłu. Wystarczy sam spis treści:

Rozdział pierwszy - Jedyna śmiertelna broń.

I następne:

Zabójstwo jako wyrafinowana sztuka.

Zabójstwo jako narzędzie w polityce.

Zabójstwo dla zysku.

Zabójcy, którzy zmienili bieg historii.

Towarzystwo Krzewienia Eutanazji.

Reguły Cechu Zawodowych Morderców.

Zabójcy-amatorzy: czy powinni być eksterminowani?

Najemni mordercy - przyczynek do historii.

„Uziemianie”, „mokra robota” - czy eufemizmy są niezbędne?

Materiały doprać seminaryjnych - techniki i narzędzia.

Nieźle, co? Miałam wszelkie powody, żeby tego nie czytać. A jednak przeczytałam.

Piekielnie fascynująca lektura. Popłuczyny. Postanowiłam nigdy już nie wracać do tematu mojego instynktu samozachowawczego. Jeśli Szef będzie chciał o tym pogadać, niech zacznie sam.

Podeszłam do terminalu, wywołałam archiwum i oświadczyłam, że potrzebuję referenta do spraw klasyfikacji dokumentów, aby powierzyć mu opiekę nad pozycją numer taki i taki, i proszę, żeby zabrał ze sobą moje pokwitowanie.

- Tak jest, panno Piętaszek - odpowiedział jakiś kobiecy głos.

Oto, co znaczy sława.

Czekałam niecierpliwie, modląc się w duchu, by ów młodzieniec nie zwlekał zbyt długo. Wstyd powiedzieć, lecz ta książka sprawiła, że poczułam się nagle dosyć nieswojo.

Był środek nocy, niedługo miało zacząć świtać. Wokół panowała martwa cisza. Gdyby mój referent dotknął mnie teraz, z pewnością zapomniałabym o swojej chwilowej niedyspozycji.

Mówiąc szczerze, potrzebowałabym wówczas pasa cnoty z olbrzymią kłódką.

Niestety jednak, nie pojawił się. Możliwe, że skończył już służbę. Zamiast niego w drzwiach stanęła starsza kobieta; ta sama, z którą rozmawiałam przez terminal. Poczułam jednocześnie i ulgę, i rozczarowanie. Ze względu na to drugie zrobiło mi się w dodatku przykro. Nie wiedziałam, czy powodem był długi okres rekonwalescencji, czy też może dyscyplina personelu szpitalnego. Nie chorowałam na tyle często, by móc odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Urzędniczka oddała mi pokwitowanie i zabrała książkę, po czym ni stąd, ni zowąd, zapytała:

- Czy ja również dostanę buzi?

- ...To pani także tam była?!

- Tak jak prawie wszyscy, moja droga. Tej nocy odczuwaliśmy bardzo dotkliwe braki personalne. Ja nie jestem najlepsza na świecie, ale w czasie szkolenia miałam całkiem niezłe wyniki. Oczywiście, że tam byłam. Jak mogłabym stracić taką okazję?

- Dziękuję, że mnie pani ratowała - powtórzyłam już po raz drugi tej nocy. Pocałunek miał być jedynie symboliczny, nie ja jednak zadecydowałam o jego charakterze. Był brutalny i zarazem namiętny. Moja wybawicielka dała mi jasno do zrozumienia, że gdybym kiedyś zechciała... mogę na nią liczyć.

Cóż miałam robić? Bywają takie sytuacje, w których nie da się postępować według powszechnie przyjętych reguł. Ryzykowałam swoje życie, aby ocalić moje - to nie ulegało wątpliwości. Co prawda Szef opowiadał o całej akcji jak o poobiednim spacerku, lecz on nawet totalne zniszczenie Seattle określiłby jako „zaburzenia sejsmiczne”. Zawdzięczając jej życie, nie mogłam tak po prostu powiedzieć jej, żeby odchrzaniła się ze swoimi amatorami. Nie opierałam się więc, lecz nie zrobiłam też nic, co mogłoby ją zachęcić. Zrozumiała chyba moją niemą odmowę, bo nagle przerwała, nie wypuszczając mnie jednak ze swych

objąć.

- Skarbie - zapytała - pamiętasz, co powiedziałaś temu bękartowi, którego nazywali Major?

- Mniej więcej.

- Między naszymi ludźmi krąży piracka kopia taśmy z tej części przesłuchania.

Wszyscy jesteśmy dumni z ciebie i z tego, w jaki sposób z nim rozmawiałaś. Szczególnie ja.

- I pewnie to właśnie ty jesteś owym małym chochlikiem, dzięki któremu kopia nagrania wydostała się poza Archiwum.

- No wiesz?! Jak możesz tak myśleć? - Wyszczrzyła zęby w łobuzerskim uśmiechu. -

A nawet jeżeli; miałabyś coś przeciwko temu?

Chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią.

- Nie. Jeśli ludziom, którzy mnie uratowali, sprawia przyjemność słuchanie moich

pogawędek z tym sukinsynem, nie mam nic przeciwko temu. Nie jest to jednak mój normalny styl prowadzenia konwersacji.

- Nikt tak nie uważa. - Klepnęła mnie w ramię. - Chodzi o to, w jaki sposób zachowałeś się w tej konkretnej sytuacji. Każdy chciałby zachować się podobnie; niewielu jednak na to stać.

- Chyba przesadzasz.

Zdaje się, że nie miała zamiaru wychodzić. Na szczęście przyszła pielęgniarka mająca nocny dyżur i tonem nie znoszącym sprzeciwu kazała mi położyć się do łóżka.

- Cześć, Złociutka. Dobranoc, moja droga - pożegnała nas urzędniczka i wyszła.

Złociutka (to chyba nie było jej imię) wzięła do ręki strzykawkę ze środkiem nasennym. Zaprotestowałam jedynie dla formalności.

- Nie przejmuj się Anną - powiedziała. - W gruncie rzeczy równa z niej dziewczyna, pomimo swoich dziwactw. W ramię czy w pupę?

Przyszło mi na myśl, że Złociutka prawdopodobnie podglądała nas przez terminal. Prawdopodobnie? Z pewnością!

- Czy ty też tam byłaś? To znaczy na farmie, gdy została podpalona.

- Wtedy już nie. Razem z tobą siedziałam w energobilu lecącym tak szybko, jak tylko było to możliwe. Wyglądałaś bardzo źle.

- Nie wątpię. I jestem ci wdzięczna. Nie pocałujesz mnie na dobranoc?

Jej pocałunek nie miał w sobie nic z pożądania.

Później dowiedziałam się, że była wśród tych czworo, którzy wynieśli mnie z farmy.

Jeden człowiek dźwigający potężne nożyce do cięcia stali, dwóch następnych z bronią w ręku... i Złociutka, uzbrojona jedynie w apteczkę pierwszej pomocy. Nigdy jednak o tym nie mówiła. Ani wówczas, ani później.

Pobyt w klinice wspominam jako pierwszy w moim życiu - z wyjątkiem wakacji w Christchurch - okres, kiedy byłam naprawdę szczęśliwa. Każdej nocy i każdego dnia.

Dlaczego? Bo nareszcie czułam, że jest ktoś, komu na mnie zależy.

Oczywiście, nikt z was nie domyśla się, przez co przeszłam w ciągu tych wszystkich lat. Teraz nie noszę już dokumentów tożsamości z wielkimi literami SIL (lub nawet ZA)

wydrukowanymi na każdej stronie. Wchodząc do publicznej toalety nie muszę obawiać się, że pozwolą mi skorzystać tylko z ostatniej kabiny. Ale fałszywe dokumenty i wymyślone drzewo genealogiczne nie dają poczucia przynależności. Chronią jedynie przed dyskryminacją i pomiataniem. Posiadając je, ciągle jednak ma się świadomość, iż nie istnieje taki kraj, w którym uważano by cię za pełnoprawnego obywatela. Jest natomiast wiele miejsc, skąd można cię deportować, sprzedać, lub nawet zabić, jeśli prawda wyjdzie na jaw. Lista przodków Sztucznej Istoty Ludzkiej nie jest przesadnie długa. Miejsce urodzenia? No, ja niezupełnie „urodziłam się”. Zostałam odwzorowana w Trójuniwersyteckim Laboratorium Inżynierii Życia w Detroit. Mój projekt powstał w Stowarzyszeniu imienia Mendela* [* Johann Gregor Mendel (1822-1884) - biolog czeski, uważany za twórcę genetyki] w Zurichu podczas długich debat jego członków. Nie mam więc antenatów pośród pasażerów „Myflower”. Nie znajdziecie też mojego nazwiska w Księdze Katastralnej* [*Księga Katastralna (ang. Domesday Book) - spis wszelkiej własności w Anglii z czasów Wilhelma Zdobywcy]. Moje akta (a właściwie jedyny „ocalały” komplet) wskazują na to, że urodziłam się w Seattle - mieście, które uległo zagładzie w czasie trzęsienia ziemi. Jeśli ktoś chciał, żeby „zginęły” jego dokumenty i najbliżsi krewni, nie mógł wybrać lepszego miejsca.

Ponieważ nigdy nie byłam w Seattle, studiowałam uważnie wszystkie kroniki, zapiski i zdjęcia, jakie wpadły mi do ręki. Uczciwi i prawi mieszkańcy byłego miasta nie mogli przecież przyłapać mnie na tym, że nie wiem, gdzie znajdował się ratusz.

Ale Złociutkiej, Anny i Terence’a (tak miał na imię mój referent) nie musiałam się obawiać. To, czym wówczas mnie obdarzyli, nie miało w sobie nic z fałszu ani sztuczności. Zresztą, nie chodzi tylko o nich. Dotyczy to ponad dwóch tuzinów ludzi, z którymi spotkałam się choć raz, zanim dr Krasny skreślił mnie z listy chorych. W tamtym rajdzie na farmę było ich jeszcze więcej; sama nie wiem, ilu. Zgodnie z doktryną Szefa członkowie jego organizacji nie znali się nawzajem. Wyjątek stanowiły okoliczności, w których spotkanie było konieczne. Jeśli ktoś wykonywał jakąś misję, również nie znał nigdy jej szczegółów. Powód był prosty i logiczny: nie możesz zdradzić tajemnic, nie wiedząc, czego dotyczą, podobnie, jak nie możesz zdradzić człowieka, którego istnienia nawet się nie domyślasz.

Lecz owe zasady nie zostały stworzone wyłącznie po to, aby ich ślepo przestrzegać. Skoro już raz doszło do spotkania między agentami, mogli oni bez przeszkód kontynuować znajomość na stopie koleżeńskej. Co prawda Szef nie popierał takich kontaktów, nie był jednak głupcem, by próbować ich zabraniać. Wiedząc o tym, Anna często wpadała do mnie wczesnym wieczorem, gdy zaczynał się jej dyżur.

Nie oczekiwała rewanzu za tamtą noc na farmie. Nie miała co prawda zbyt wielu okazji, lecz gdyby się postarała, mogłaby znaleźć kilka. Nie próbowałam jej zniechęcać - co to, to nie! Jeśli pokazałaby mi jakiś nie zapłacony rachunek, nie tylko z radością dałabym jej gotówkę, ale jeszcze przekonałabym ją, że sama wpadłam na ten pomysł.

Nigdy jednak tego nie zrobiła. Sądzę, że była podobna do delikatnego (i nadzwyczaj rzadko spotykanego) mężczyzny, który przynigdy nie dotknie kobiety, jeżeli ona nie chce być dotknięta. Anna wyczuwała to instynktownie i nie zaczynała od nowa.

Pewnego wieczora, krótko przed wypisaniem mnie z kliniki, czułam się wyjątkowo świetnie. Tego dnia zdobyłam dwoje nowych przyjaciół - ludzi, którzy brali udział w wypadzie na farmę. Próbowałam właśnie wytłumaczyć Annie, dlaczego ma to dla mnie tak wielkie znaczenie, gdy nagle zorientowałam się, że zaczynam mówić niezupełnie to, co

chciałam.

Anna przerwała mi.

- Posłuchaj, moja droga, co ci powie twoja starsza siostra.

- Pewnie wyszłam na idiotkę?

- Niezupełnie. Przypominasz sobie tę noc, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy?

Zwróciłaś mi wtedy pewną książkę. Wiele lat temu Starszy Pan obdarzył mnie najwyższym zaufaniem w sprawach ściśle tajnych, książka, którą mi oddałaś, jest tam, skąd mogę ją wziąć kiedy tylko zechcę. Nigdy jednak nie otworzyłam jej i nigdy tego nie zrobię. Pieczęć mówi jasno: „OTWIERAĆ TYLKO NA WYRAŹNE POLECENIE”, a mnie nikt nigdy nie wydał takiego polecenia. Ty ją czytałaś, lecz ja nie znam nawet tytułu; jedynie numer w katalogu. I tak jest z całym personelem. Jesteśmy zespołem bojowym, elitarną legią cudzoziemską, której członkowie szczytą się tym, że w dniu zaciągu zapomnieli o swojej dotychczasowej przeszłości. Jeżeli na przykład mielibyśmy zwerbować kogoś, kto powstał w laboratorium genetycznym, jakiegoś humanoida, urzędnik personalny wiedziałby o tym. Sama jestem takim urzędnikiem. Podrobienie dokumentów, czasami operacja plastyczna, w niektórych przypadkach usunięcie identyfikatora laboratoryjnego, i rozpoczęcie nowego życia... Kiedy już znajdzie się między nami, nie musi uciekać przed polowaniami i deportacją. Może nawet spokojnie założyć rodzinę i nie drzeć ciągle w obawie o los swoich dzieci. Każdy z nas jest doskonale wyszkolony w sztuce zapominania. A teraz posłuchaj, moja droga: Nie wiem, co miałaś na myśli, ale jeśli to coś, o czym nie zwykłaś opowiadać, nie opowiadaj mi. W przeciwnym razie jutro rano znienawidzisz sama siebie.

- Nie! To nieprawda!

- W porządku. Jeżeli za tydzień nadal będziesz tak uważała, wtedy wysłucham cię. Umowa stoi?

Anna miała rację. Gdy minął tydzień, przeszła mi ochota do zwierzeń. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach jestem przekonana, że wiedziała. Tak czy owak, przyjemnie jest mieć świadomość, że zależy na tobie komuś, kto uważa, iż SIL-e nie są nieludzkimi monstrami.

Nie dbam o to, czy któryś z moich pozostałych przyjaciół wiedział lub choćby domyślał się prawdy. Szef wiedział z pewnością, lecz on nie był przyjacielem; był S z e f e m. Nagle uświadomiłam sobie, że dla przyjaciół nie powinno stanowić różnicy to, czy byłam normalnym człowiekiem, czy sztuczną istotą ludzką. Naprawdę liczył się jedynie fakt, iż byłam częścią ich zespołu - zespołu Szefa.

Któregoś ranka zjawił się Szef. Postukiwał kulami i dyszał ciężko z wysiłku.

Złociutka pomogła mu wejść i posadziła go na fotelu dla gości.

- Dziękuję, siostró. Nie będę już pani potrzebował - powiedział, odstawiając kule na bok. Następnie zwrócił się do mnie: - Zdejmij ubranie.

W jakichkolwiek innych okolicznościach byłaby to albo sprośność, albo mile widziana propozycja. W tych okolicznościach oznaczało jedynie, że Szef chce, abym zdjęła ubranie. Złociutka skwitowała to lakonicznym skinieniem głowy i wyszła, choć należała do tego gatunku pielęgniarek, które wylałyby wiadro wody na łeb samego Siwy-Niszczyciela, gdyby

spróbował wejść w ich kompetencje. Szybko zrzuciłam ciuchy i czekałam. Szef obejrzał mnie od stóp do głów.

- Na pierwszy rzut oka wszystko w porządku.

- Też mi się tak wydaje.

- Dr Krasny zrobił ci test na laktację. Wynik jest pozytywny.

- Rzeczywiście, robił jakieś sztuczki z moimi hormonami. Wydzieliło się nawet trochę mleka. Parę kropel. To było dziwne uczucie.

Szef odchrząknął.

- Odwróć się. Ponieś do góry prawą stopę. Dobrze, a teraz lewą. Wystarczy. Wygląda na to, że rany zagoiły się.

- Ja też mam takie wrażenie. Doktor powiedział, że cała reszta również wróciła już do normy. Nic mnie nie boli i nie swędzi, więc chyba nie kłamał.

- Możesz się ubrać. Według dr. Krasny'ego twoja kuracja jest zakończona.

- Czuję się naprawdę dobrze.

- „Dobrze” to pojęcie względne.

- O'key: jestem zdrowa jak ryba.

- To się dopiero okaże. Jutro rano wyjeżdżasz na rekonwalescencję. Zacznesz też trenować. O dziewiątej masz być spakowana i gotowa.

- Gdy mnie tu przywieziono, mój jedyny bagaż stanowiły przykre wspomnienia; pakowanie nie zajmie mi więc zbyt wiele czasu. Będę jednak potrzebowała nowego DT, paszportu, nowej karty kredytowej i odrobiny gotówki.

- Wszystko to otrzymasz przed wyjazdem.

- I jeszcze jedno, Szefie. Nie sądzę, bym potrzebowała rekonwalescencji. Zamierzam udać się na Nową Zelandię. Odkładałam pobyt w R & R już tyle razy, że zasłużyłam chyba w końcu na kilka tygodni płatnego urlopu. Nie jest pan przecież nadzorcą niewolników.

- Piętaszku, ile lat upłynie jeszcze, zanim przekonasz się, że ilekroć nie pozwalałam ci na twoje zachcianki, robię to wyłącznie dla twojego dobra i dla dobra naszej organizacji?

- Coś takiego! Biję się w piersi, Wielki Biały Ojciec. W dowód wdzięczności przyślę panu pocztówkę z Wellington.

- Z jakąś ładną Maoryską, jeśli łaska; gejzery już widziałem. I niech ci się nie wydaje, że ominie cię trening. Decyzję o tym, kiedy będzie można go zakończyć, pozostawiam tobie; chcę jednak, aby twoja sprawność, refleks, instykt i orientacja były takie, jak gdybyś urodziła się na nowo.

„Urodziła się na nowo”? Pan raczy żartować, Szefie, w dodatku nie mając do tego talentu. „Moją matką była próbówka, moim ojcem skalpel był”.

- Przestań wreszcie z uporem maniaka wracać do sprawy, którą dawno już powinnaś uznać za nieistotną.

- Czyżby? Trybunały międzynarodowe twierdzą, że nie mogę zostać obywatelką żadnego kraju. Według Kościoła nie posiadam duszy, bo nie jestem „człowiekiem zrodzonym z mężczyzny i kobiety”. W oczach prawa w ogóle nie jestem człowiekiem. Według pana to nieistotne?

- Prawnicy to osły. A dokumenty dotyczące twojego pochodzenia zostały wykradzione z kartoteki laboratorium i zniszczone dawno temu. Na ich miejscu leży teraz kompletne

dossier kogoś, kto nigdy nie istniał.

- Dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej?

- Bo dopóki nie zaczęłaś popisywać się swoimi chorobliwymi kompleksami, nie widziałem takiej potrzeby. Zrozum wreszcie, że w twoim wypadku natura została oszukana w sposób perfekcyjny. Gdybyś jutro spróbowała przyznać się do swojego „rodowodu”, nie znalazłabyś nikogo, kto byłby w stanie go potwierdzić. Możesz powiedzieć każdemu; nie ma to żadnego znaczenia. Tylko po co? Czy nie rozumiesz, iż jesteś kobietą tak samo jak Matka Ewa?! Nawet bardziej; jesteś tak bliska ideału, jak bliskie ideału były wyobrażenia twoich twórców. Jak sądzisz - dlaczego zająłem się właśnie tobą, choć nie miałaś żadnego doświadczenia ani nawet bladego pojęcia o tej profesji? Dlaczego wydałem małą fortunę na twoją edukację i trening? Odpowiem ci: bo w i e d z i a ł e m. Czekałem kilka lat, aby upewnić się, że jesteś dokładnie tą osobą, którą chcieli stworzyć twoi architekci. A potem nieomalże cię straciłem... - Na jego twarzy pojawił się grymas mający zapewne być uśmiechem. - Sprawiasz mi kłopoty, dziewczyno. Ale porozmawiajmy o twoim treningu. Czy możesz posłuchać mnie jeszcze przez chwilę?

- Tak jest, sir.

Nie próbowałam opowiadać mu, co znaczy wychowywać się w laboratoryjnym

sierocińcu. Normalni ludzie żywią przekonanie, że wszystkie osierocone dzieci są takie same. Nie wspominałam o plastikowej łyżeczce, będącej jedynym narzędziem, jakim potrafiłam posługiwać się przy jedzeniu, dopóki nie skończyłam dziesięciu lat. Nie chciałam też, żeby dowiedział się, jak po raz pierwszy wzięłam do ręki widelec, jak wbiłam go sobie w policzek i jak wszyscy śmiali się ze mnie. Zresztą nie chodzi tylko o to. Jest milion rzeczy, które różnią normalne dzieciństwo od dorastania jako zwierzątko.

- Będiesz trenować ze swoim instruktorem walkę wręcz. Zanim odwiedzisz rodzinę w Christchurch, musisz powrócić do dawnej formy. Myślę też, że najwyższy czas, abyś nauczyła się używać broni ręcznej; łącznie z tą, o której może jeszcze nigdy nie słyszałaś. Jeśli zmienisz specjalność, nie będziesz mogła obejść się bez niej.

- Ale ja nie mam zamiaru zmieniać specjalności.

- Tak czy owak, powinnaś wiedzieć, jak się z nią obchodzić. Nadeszły czasy, gdy nawet kurier musi nosić przy sobie broń gotową w każdej chwili do użycia. I nie gardź zabójcami, Piętaszku. Tak jak wszyscy, mają oni swoje zalety i wady, i tak jak wszyscy, oni również są potrzebni. Rozpad Stanów Zjednoczonych to poniekąd właśnie ich dzieło. Na nieszczęście ci akurat byli rzeźnikami bez wyobraźni. Możemy jednak posłużyć się lepszym przykładem. Co wiesz o wojnie prusko-rosyjskiej?

- Niewiele. Głównie to, że Prusacy musieli zapłacić zwycięzcom olbrzymie kontrybucje.

- Tę wojnę wygrało tak naprawdę zaledwie dwanaścioro ludzi; chyba mówiłem ci już o tym. Siedmiu mężczyzn i pięć kobiet. A najcięższą bronią, jaka została przez nich użyta, był pistolet kaliber sześć milimetrów.

- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek opowiadał mi pan bajki.

- Posłuchaj, moja droga. Potęga umysłu jest niezmiernie rzadko spotykanym towarem. Dlatego najlepszym sposobem na obezwładnienie każdej stworzonej przez człowieka

organizacji jest zniszczenie jej mózgu. Wystarczyło jedynie kilka „wypadków”, by cała pruska machina wojenna zamieniła się w bezmyślny, niezdolny do działania motłoch. Nikt jednak nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie doszło do klęski. Przed bitwą głupcy w generalskich mundurach wyglądają tak samo, jak genialni stratedzy.

- Tylko tuzin ludzi?! Czy to była nasza robota, Szefie?

- Wiesz dobrze, że nie lubię tego rodzaju pytań. Nie, to nie my. Ja nie wplątywałbym nas w żadną z międzynarodowych wojen; rzadko jest jasne, po której stronie stoi słusność. Ale tamten zespół niczym nie różnił się od naszego.

- Ja jednak nadal nie mam zamiaru zostać specjalistką od mokrej roboty.

- Nigdy nie chciałem, żebyś nią została. A teraz pozwól, że nie będziemy już wracać do tego tematu. Rano masz być gotowa do wyjazdu.

Rozdział V

Dziewięć tygodni później wyruszyłam na Nową Zelandię.

Nie jestem zarozumiała, ale zawsze wiem, co mówię. Kiedy dr Krasny wypisywał mnie z kliniki, byłam „zdrowa jak ryba” - to prawda. Przede wszystkim jednak byłam po prostu pacjentem, który powrócił do zdrowia i miał już dosyć opieki pielęgniarek. Mogłam nawet startować na olimpiadzie - wcale nie wycisnęłabym z siebie ostatnich potów. Kłopot w tym, że olimpiady nie odbywały się już od lat.

Kiedy wchodziłam na pokład SBS „Abel Tasman”, kapitan zrobił do mnie oko.

Musiałam więc wyglądać nieźle. Kiwnęłam mu ze swego siedzenia, czego nie zrobiłabym nigdy w czasie pełnienia misji. Występując w roli kuriera, z reguły nie próbowałam urozmaicać harmonogramu. Tym jednak razem byłam na urlopie i zamierzałam z tego korzystać. Najwyraźniej nie zapomniałam jeszcze, w jaki sposób zabrać się do sprawy. Być może pomógł mi trochę nowy kostium - ostatni krzyk mody o nazwie „superskin”. Przed podróżą kupiłam sobie cały komplet i założyłam go jeszcze w sklepie. Wszystkie sekty, które uprawianie seksu uważają za grzech, noszenie tego rodzaju odzieży uznają z pewnością za grzech śmiertelny. To tylko kwestia czasu.

Kiedy kapitan przechodził obok mojego fotela, ciągle mocowałam się z pasem bezpieczeństwa.

- Panna Baldwin, nieprawdaż? - raczej stwierdził, niż zapytał. - Czy w Auckland będzie ktoś na panią czekał? Tak piękna kobieta nie powinna znaleźć się w międzynarodowym porcie bez odpowiedniej obstawy.

Już chciałam mu odpowiedzieć, że nie tak dawno zabiłam faceta wykazującego podobną troskliwość, ale powstrzymałam się. Kapitan mierzył sobie jakieś metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i mógł ważyć dobre sto kilogramów. Nie znaczyło to wcale, iż był gruby. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści pięć lat, a jego blond czupryna przywodziła na myśl raczej pracownika SAS*, [*Skandynawskie Linie Lotnicze] aniżeli oficera ANZAC*. [*Australijsko-Nowozelandzkie Towarzystwo Lotnicze] Jeśli mówiąc o obstawie miał na myśli siebie, warto się było zastanowić.

- Nikt na mnie nie czeka - odrzekłam, nie przestając mocować się z zapięciem - ale przesiadam się zaraz na wahadłowiec na South Island. Jak działają te sprzączki?

Gdy pochylił się nad moim pasem bezpieczeństwa, wykrzyknęłam:

- Och! Czy naszywki na pańskim mundurze oznaczają, że jest pan kapitanem?

- Zgadza się. Ian Tormey, do usług.

- Pierwszy raz w życiu widzę prawdziwego kapitana.

- A ja pierwszy raz widzę tak uroczą i czarującą kobietę. Szukam właśnie towarzystwa na dzisiejszy wieczór. Może zje pani ze mną kolację?

- Wygląda pan na interesującego mężczyznę. Przykro mi, że muszę pana rozczarować, nie mam jednak czasu.

W tym momencie mógł się wycofać, nie tracąc twarzy. Mógł też uzbroić się w cierpliwość i próbować dalej. Wybrał to drugie.

Uporawszy się z zapięciem pasa - ciasno, ale bez przesady, i nie próbując przy tym mnie obmacywać - powiedział:

- Może pani mieć kłopoty ze złapaniem połączenia. Jeśli poczeka pani chwilę, aż wysiądą wszyscy pasażerowie, chętnie odprowadzę panią na pokład Kiwi. Tak będzie o wiele

szybciej, niż gdyby miała pani sama przeciskać się przez tłum.

„Między naszym przylotem a odlotem mojego wahadłowca jest prawie czterdzieści minut - pomyślałam. - Ale postępuj tak dalej, mój kapitanie, a kto wie...?”

- Dziękuję bardzo. Jeśli naprawdę nie sprawi to panu kłopotu...

- Będzie mi bardzo miło, panno Baldwin.

Lubię podróże statkami semibalistycznymi. Te przeciążenia przy starcie, jak gdyby fotel miał za chwilę wyrwać się z podłogi i zatrzymać dopiero na tylnej ścianie kabiny; te minuty swobodnego opadania, kiedy ma się wrażenie, że żołądek podchodzi do gardła, i to długie, powolne szybowanie przed powrotem na Ziemię. Żaden inny sposób przemieszczania się nie jest tak ekscytujący. Gdzież indziej można równie przyjemnie spędzić pół godziny nie zdejmując bielizny?

Pod koniec podróży zawsze dręczy mnie to samo pytanie: czy pas startowy jest wolny? Statek semibalistyczny może podchodzić do lądowania tylko jeden raz. Co prawda według broszurek reklamowych żaden SBS nie wystartuje, dopóki nie otrzyma potwierdzenia z portu docelowego; nie każdy jednak - tak jak rodzice Szefa - wierzy w dobre wróżki. A co z tymi durniami, którzy zostawiają prywatne energobile gdzie popadnie? Kiedyś, siedząc w barze w porcie Singapur, widziałam, jak trzy SBS-y wylądowały w ciągu dziewięciu minut... Nie, nie na tym samym pasie. Na przecinających się pasach! Obok rosyjskiej ruletki jest to zapewne jedna z bardziej ekscytujących rozrywek.

Często podróżuję w ten sposób, gdyż taki mam zawód. Zawsze jednak zamykam oczy, gdy pojazd dotyka ziemi, i otwieram je dopiero wtedy, gdy czuję, że stoimy w miejscu. Podróż niczym nie różniła się od poprzednich. Nie była na tyle długa, by mogła stać się męcząca. Po wylądowaniu poczekałam, aż wszyscy wyjdą. Byłam przekonana, że kapitan Tormey mnie nie zawiedzie. Rzeczywiście, nie kazał na siebie czekać zbyt długo. Bez pytania chwycił moją torbę podróżną i zarzucił ją sobie na ramię. Nie protestowałam zbyt usilnie. Odprowadził mnie aż do stanowiska odpraw wahadłowców. Zarezerwował mi miejsce na pokładzie „Kiwi”, po czym prześliznąwszy się wzrokiem po napisie „TYLKO DLA PASAŻERÓW” wszedł do hali odlotów i usiadł obok mnie.

- Szkoda, że wyjeżdża pani tak szybko. Z reguły upływają trzy dni, zanim statek gotowy jest do powrotu. Przez te trzy dni nie będę miał co ze sobą począć. Moja siostra mieszka tu razem z mężem, ale teraz oboje są w Sydney. Nie znam tu więcej nikogo „Już cię widzę, jak spędzasz cały wolny czas z siostrą i szwagrem” - pomyślałam.

- Tak mi przykro. Wiem, jak się pan musi czuć. Sama rzadko widuję się z rodziną. Oni mieszkają w Christchurch, a ja pracuję daleko stąd. To bardzo duża rodzina. Wzięłam ślub z

S-grupą.

- O! To ilu ma pani mężów?

- Wszyscy mężczyźni zadają mi to samo pytanie, zupełnie nie rozumiejąc natury S-grup. Pan pewnie myśli, kapitanie, że „S” oznacza „seks”?

- A tak nie jest?

- Mój Boże, oczywiście, że nie! „S” oznacza „spokój”, „szczęście”, „szacunek”, „samowystarczalność” i wiele, wiele innych rzeczy. Naturalnie, może oznaczać także seks, lecz seks jest bardzo łatwo dostępny w każdym miejscu. Nie byłoby potrzeby tworzenia takich rodzin jak S-grupy dla samego tylko seksu.

W rzeczywistości „S” oznaczało „syntetyczną rodzinę”. Określenie to wprowadzone zostało przez prawodawstwo Konfederacji Kalifornijskiej - pierwszego niepodległego stanu

powstałego na terenie byłego USA, który zalegalizował S-grupy. Stawiam dziesięć do jednego, że kapitan Tormey dobrze o tym wiedział.

- Nie zauważyłem, by seks naprawdę był czymś, o co nie trzeba za każdym razem usilnie zabiegać.

„Nie, mój kapitanie. Nie tędy droga - pomyślałam. - Z twoją wysoką, wspaniale umięśnioną sylwetką, z twoimi błyszczącymi, jasnymi oczami i taką ilością wolnego czasu w Auckland i Winnipeg... w dwóch miejscach, w których nigdy nie brakowało samotnych kobiet, potrzebujących opieki...? Proszę, wymyśl coś innego”.

- Zgodzę się natomiast - ciągnął dalej - iż to jeszcze nie powód, żeby się żenić. Ja nawet nie nadaję się do małżeństwa. Należę do tych, co to chodzą zawsze własnymi ścieżkami. Ale S-grupa wygląda na idealne rozwiązanie. Miałbym zawsze dokąd wracać.

- To prawda.

- A ta, do której pani należy... jaka jest duża?

- Ciągłe interesują pana moi mężowie? Mam ich trzech. I trzy siostry do wyswatania. Sądzę, że spodobałyby się panu wszystkie trzy. Szczególnie Lispeth - najmłodsza i najładniejsza. Liz jest rudowłosą Szkotką, lubiącą trochę poflirtować. Dzieci? Oczywiście, mamy je. Co wieczór próbujemy je policzyć; są jednak zbyt ruchliwe. Mamy też mnóstwo psów, kaczek i kotów. Cały ten zwierzyniec trzymamy w wielkim ogrodzie pełnym krzaków dzikiej róży, kwitnących prawie okrągły rok. W domu panuje zawsze trudny do opisania hałas i zamęt, ale jesteśmy naprawdę szczęśliwi. Musimy tylko ciągle uważać, aby nie pozadeptywać się nawzajem.

- Wszystko to brzmi zachęcająco. Nie potrzebujecie przypadkiem jeszcze jednego męża, który nie może być w domu zbyt często, za to zabezpieczy rodzinie dostatnie życie? Ile potrzeba, żeby się wkupić?

- Porozmawiam z Anitą. Pan chyba jednak nie mówi serio, kapitanie.

Gawędziliśmy dalej, lecz żadne z nas nie traktowało tej rozmowy zbyt poważnie.

W

końcu wymieniliśmy numery kodów komunikacyjnych. Obiecałam, że przedstawię jego

ofertę reszcie rodziny, gdy tylko dotrę do Christchurch. Ian - prosił, abym przestała tytułować go „kapitanem” - miał mieszkanie w Auckland. Umówiliśmy się, że wpadnę tam przy najbliższej okazji i przekażę mu odpowiedź.

- Płacę za czynsz od czasu, gdy moja siostra i jej mąż wyprowadzili się do Sydney. Zazwyczaj jednak nie korzystam z tego locum więcej, jak przez sześć dni w miesiącu. Gdybyś zatem znalazła się kiedyś w mieście i nie miała gdzie wziąć prysznic, zdrzemnąć się lub nawet przenocować, po prostu daj znać.

- A jeśli ty albo ktoś z twoich przyjaciół będzie akurat korzystał z mieszkania?

- To mało prawdopodobne, lecz w takich wypadkach komputer domowy wie o tym

zawsze kilka dni wcześniej. Zresztą sam przecież mogę przekazać ci wiadomość. Poza tym mieszkanie jest na tyle duże, że nie przeszkadzałybyśmy sobie.

Podobała mi się jego cierpliwość i jego grzeczny upór. Dałam mu więc do zrozumienia, iż nie będę się opierała... jeśli wystarczy mu odwagi i zechce stanąć twarzą w

twarz z moimi mężami, współżonami i gromadą rozwrzeszczanych dzieciaków. Nie sądziłam, aby zecheiał. Wysocy, przystojni i wolni mężczyźni, mający ciekawą i dobrze płatną pracę, nie muszą wkładać tyle wysiłku w tak prostą rozrywkę.

W pewnej chwili głośniki przestały podawać informacje o przylotach i odlotach. Przez moment panowała cisza, po czym odezwał się ten sam - lecz już nie tak beznamiętny - głos:

- Z prawdziwą przykrością zawiadomimy państwa o totalnym zniszczeniu Acapulco. Wiadomość tę usłyszeliście dzięki Korporacji Transportu Wewnątrzplanetarnego. Naszą dewizą jest hasło: „Szybkość - Sprawność - Bezpieczeństwo „

Twarz kapitana Tormeya pobladła nagle z gniewu.

- Kretyni! Banda kretynów!

- Kogo masz na myśli? - zapytałam.

- Całe to Meksykańskie Królestwo Rewolucyjne. Suwerenne stany nigdy chyba nie

nauczą się, że nie mogą podjąć równorzędnej walki z ponadnarodowymi korporacjami. Oto, dlaczego nazwałem ich kretynami. Oni nimi są.

- Jak pan może... Jak możesz tak mówić, lanie?

- Przecież to oczywiste. Każdy niepodległy stan, nawet jeśli to jest Ell-Cztery czy jakiś inny asteroid, stanowi cel łatwy niczym tarcza. Natomiast próba zniszczenia którejkolwiek spośród ponadnarodowych korporacji jest tym samym, co próba pokrojenia mgły. Z kim chcesz walczyć? Z IBM? A gdzie jest IBM? Owszem, wszyscy znają adres biur zarządu: skrytka pocztowa numer taki i taki, Atlantic City, Wolny Stan Delaware. Ale to nie jest cel. Setki biur i fabryk oraz miliony ludzi IBM znajdują się na terytoriach innych stanów, a jeszcze więcej jest ich w kosmosie. Nie można w to wszystko uderzyć, bo to oznaczałoby wojnę każdego z każdym. A jak sądzisz, czy IBM może pokonać... powiedzmy Wielką Rosję?

- Nie mam pojęcia - przyznałam. - Wiem tylko, że Prusy połamały sobie zęby, próbując tego dokonać.

- Lecz dla IBM podjęcie takiego przedsięwzięcia lub rezygnacja z niego zależy wyłącznie od jego opłacalności. O ile mi wiadomo, koncern nie zatrudnia żadnej quasi-armii ani nawet specjalistów od sabotażu. Musiałby pewnie kupić odpowiednią ilość bomb i rakiet, co z pewnością zajęłoby trochę czasu. To nie stanowi jednak problemu. A Wielka Rosja grzecznie poczekałaby na atak, gdyż - w przeciwieństwie do IBM - Wielka Rosja musi pozostać tam, gdzie jest. Będzie tam ciągle, obojętnie - za tydzień czy za rok; nieruchoma, niczym tarcza na strzelnicy. Korporacja Transportu Wewnątrzplanetarnego dowiodła właśnie słuszności takiego rozumowania. Meksykanie założyli, że zarząd koncernu nie zaryzykuje potępienia przez opinię publiczną i nie odważy się niszczyć meksykańskich miast. Ci staromodni politycy zapomnieli, iż ponadnarodowe korporacje nie muszą liczyć się z opinią publiczną tak bardzo, jak rządy niepodległych stanów. Ta wojna jest już skończona.

- Szkoda. Acapulco było naprawdę uroczym miastem.

- I byłoby nim nadal, gdyby ideologia Rewolucyjnej Rady imienia Montezumy nie miała tak głębokich korzeni w dwudziestym wieku. Oczywiście obie strony zachowają twarz. Korporacja Transportu Wewnątrzplanetarnego odegra parodię przeprosin i zapłaci odszkodowanie. Potem, bez zbędnego rozgłosu, Rada wydzierżawi ten teren oraz eksterytorialny korytarz powietrzny nowej spółce, która będzie miała meksykańską nazwę i

siedzibę. Nikt nie powiadomi opinii publicznej, że sześćdziesiąt procent udziałów otrzyma Transport Wewnątrzplanetarny, a pozostałe czterdzieści podzielią między sobą właśnie ci politycy, którzy posunęli się odrobinę za daleko i doprowadzili do zniszczenia Acapulco.

W słowach kapitana Tormeya brzmiała gorycz. Nagle przyszło mi do głowy, że jest

chyba starszy, niż przypuszczałam.

- Ian - zapytałam - do kogo należy ANZAC?

- Nie wiem na pewno; być może stąd mój cynizm.

Po chwili podniósł się ze swojego fotela.

- Twój wahadłowiec stoi już przy śluzie - rzekł zmęczonym głosem. - Pozwól, że pomogę ci zanieść bagaż.

Rozdział VI

Christchurch jest najbardziej uroczym miastem na tej planecie.

Powinam właściwie powiedzieć: „we wszechświecie”, gdyż poza Ziemią nie ma tak naprawdę ładnych miast. Na Księżycu są wyłącznie podziemne osiedla. Ell-Pięć z zewnątrz przypomina składnicę złomu, a od wewnątrz tylko jeden łuk wygląda jako tako. Na Marsie prawie wszystkie kolonie podobne są do ziemskich mrówkowców, i tak samo jak one cierpią z powodu poronionych projektów, w myśl których każde skupisko Ziemian nie powinno różnić się od Los Angeles.

Christchurch nie ma w sobie nic z przepychu Paryża, gwaru Rio czy majestatu Rzymu. Posiada za to niepowtarzalny urok, przy którym gaśnie świetność wielkich metropolii. Melancholijny nastrój Placu Katedralnego, delikatny wdzięk fontanny stojącej przed Ratuszem Miejskim i soczysta zieleń sławnych na cały świat ogrodów botanicznych, pomiędzy którymi leniwie toczy swe wody dostojny Avon - wszystko to stwarza atmosferę przepojoną takim spokojem, jakiego próżno by szukać w Paryżu, Rio czy Rzymie.

„Grecy wychwalają Ateny” - to prawda. Ale ja nie jestem obywatelką Christchurch, o ile słowo „obywatel” może mieć w ogóle jakiegokolwiek znaczenie dla kogoś takiego jak ja. Nie jestem nawet Nowozelandką. Douglasa spotkałam w Ekwadorze. To było jeszcze przed katastrofą Quito Skyhook. Cieszyłam się z tego szalonego romansu, w którym ciągle obawa przed tym, że Douglas dowie się, kim jestem naprawdę, mieszała się z zapachem mokrych od potu prześcieradeł. Jego propozycja zaskoczyła mnie. Ochłonęłam nieco, gdy zrozumiałam, co oznacza. Nie prosił, bym mu cokolwiek obiecywała. Chciał jedynie, bym odwiedziła jego S-grupę i przekonała się, czy mogę ją polubić i czy oni będą w stanie polubić mnie. To było coś zupełnie nowego. Wróciłam do Imperium i opowiedziałam o wszystkim Szeffi. Następnie postawiłam ultimatum: albo natychmiast dostanę cały swój zaległy urlop, albo składam rezygnację. Burknął pod nosem coś na temat żeńskich hormonów, po czym powiedział kiedy mam ponownie stawić się do pracy. Gdy wróciłam do Quito, Douglas ciągle jeszcze był w łóżku.

W tamtych czasach przedostanie się z Ekwadoru na Nową Zelandię przedstawiało nie lada problem. Pojechaliśmy więc pociągiem do Limy i dopiero tam wsiedliśmy na pokład SBS. Poleciliśmy dokładnie nad Biegunem Północnym, lądując w Porcie Zachodnioaustralijskim, w Perth. Dzięki odśrodkowej sile Coriolisa ta właśnie trasa miała profil najgorszy z możliwych. Do Sydney dotarliśmy Transaustralijskimi Liniami Kolejowymi, a stąd poduszkowcem przez Auckland do Christchurch.

Podróż zajęła nam prawie dwadzieścia cztery godziny. Tłukłam się klasą ekonomiczną po najdłuższych trasach jedynie po to, żeby przekroczyć Pacyfik, choć Quito i Winnipeg leżą prawie w tej samej odległości od Auckland. Nie dajcie się zwieść pozorom, patrząc na mapę - spytajcie swego komputera. Winnipeg jest zaledwie o tysiąc osiemset kilometrów dalej. Okrążyła doba zamiast czterdziestu minut. A jednak nie miałabym nic przeciwko dłuższej nawet podróży. Byłam z Douglasem i zwariowałam ze szczęścia.

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin pokochałam całą jego rodzinę. Nie spodziewałam się tego. Zamierzałam jedynie spędzić z Douglasem cudowne wakacje. Obiecywał, że na nartach będzie tak świetnie jak w łóżku, co nie oznaczało bynajmniej rezygnacji z tego drugiego. Wiedziałam o obowiązku przespania się z każdym z jego współmężów, gdyby któryś mnie o to poprosił. Taka perspektywa wcale mnie jednak nie

przerażała. Sztuczne istoty ludzkie nie traktują spółkowania w sposób tak zasadniczy jak większość normalnych ludzi. Niektóre laboratoria genetyczne wyspecjalizowały się nawet w tworzeniu i szkoleniu idealnych kochanek, sprzedawanych następnie tej czy innej korporacji w charakterze panienek do towarzystwa. Takie było również moje przeznaczenie, zanim nie kupił mnie Szef. Kontrakt, jaki z nim podpisałam, dotyczył czegoś zupełnie innego. Nawiasem mówiąc wkrótce po jego podpisaniu ulotniłam się na ładnych kilka miesięcy. Ale to już całkiem inna historia.

Nigdy nie byłam fanatyczną zwolenniczką monogamii. Tak mnie nauczono i nie widziałam potrzeby, by to zmieniać. Nie nauczono mnie natomiast niczego o życiu w rodzinie.

Pierwszego dnia wszyscy zapomnieli o podwieczorku, przyglądając się z rozbawieniem, jak baraszkuje na dywanie z siedmioma młodzieńcami, z których najstarszy liczył sobie jedenaście lat, a najmłodszy nosił jeszcze pieluszkę. Towarzyszyły nam dwa lub trzy psy i pewien młody kocur noszący imię Mister Underfoot z racji swego nadzwyczajnego talentu bycia jednocześnie na każdym centymetrze kwadratowym olbrzymiej podłogi.

Nigdy w swoim dotychczasowym życiu nie doświadczyłam czegoś podobnego. Chciałam, żeby to się nigdy nie skończyło.

Na narty zabrał mnie nie Douglas, lecz Brian. Domki narciarskie na Mount Hutt są naprawdę prześliczne, ale po dziesiątej wieczorem ogrzewanie w sypialniach przestaje działać; trzeba się więc do kogoś mocno przytulić, żeby nie zmarznąć.

Wkrótce po naszym powrocie Vickie zaciągnęła mnie do rodzinnej owczarni, gdzie

zawarłam znajomość z Lordem Nelsonem. Był to wyhodowany w laboratorium wielki

owczarek szkocki, potrafiący mówić. Lord nie miał zbyt wysokiego mniemania o rozsądku swoich podopiecznych. Sądzę, iż jego opinia była w pełni uzasadniona.

Któregoś dnia Bertie i ja wybraliśmy się do Dunedin - miasta zwanego przez niektórych Edynburgiem Południa. Dunedin jest bardzo ładne, lecz to nie to samo, co Christchurch. Całą noc spędziliśmy na parowcu pływającym wokół krainy fiordów. Był to jeden z tych uroczych stateczków, wyposażonych w kabiny tak małe, że dwie osoby ledwie mogły się w nich pomieścić. Biorąc jednak pod uwagę chłody panujące o tej porze roku na południowych krańcach wyspy, ciasnota stanowiła raczej zaletę niż wadę.

Nie ma na całej Ziemi miejsca mogącego się równać z cieśniną Milford. Byłam kiedyś na wycieczce wzdłuż Lofotów. Owszem, ładne fiordy. Ale daleko im do tutejszych.

Możliwe, że zachwyty, jaki budzi we mnie South Island, podobny jest do ślepego zachwyty, który odczuwa matka, patrząc na swego pierworodnego. North Island może

przecież także urzec swymi Jaskiniami Świetlików, gorącymi źródłami i gejzerami, strzelającymi raz po raz w niebo. Wszystko to prawda. Lecz na North Island nie ma Alp Południowych... i nie ma Christchurch.

Mleczarnię należąca do rodziny pokazał mi Douglas. Dla kogoś, kto masło widywał dotychczas jedynie zapakowane w kostki, widok tych potężnych kadzi był naprawdę sporym zaskoczeniem. Tego samego wieczora Anita przedstawiła mnie Zarządowi Cechu. Powoli zaczynało do mnie docierać, że chciałabym zostać z nimi na zawsze. W myślach powtarzałam coraz częściej: „Boże! Co ja zrobię, jeśli zapytają, kim jestem?”, potem: „Boże, co ja zrobię, jeśli nie będą o nic pytać?”, aż w końcu zostało tylko: „Boże, co ja zrobię?!”

Nigdy nie mówiłam Douglasowi, że jestem humanoidem.

Słyszałam o takich, co chełpią się, iż SIL-a rozpoznają wszędzie. Bzdury. Oczywiście, nawet w tłumie każdy dostrzeże karła lub człekokształtną postać o czterech ramionach. Lecz jeśli specjaliści od inżynierii genetycznej skupią swe wysiłki na powołaniu do życia istoty o przeciętnej ludzkiej powierzchowności (to znaczy takiej, którą można zdefiniować jako „sztuczną istotę ludzką”, a nie „żywego artefaktu”), wówczas nikt nie będzie w stanie dostrzec różnicy pomiędzy nią a normalnym człowiekiem; nawet inny genetyk.

To prawda, że jestem odporna na raka i większość pozostałych chorób; nie mam tego jednak wypisanego na czole. Posiadam nadzwyczajny refleks, ale nigdy nie popisywałam się chwytaniem muchy w locie przy pomocy kciuka i palca wskazującego. Nie demonstruję swojej zręczności bez wyraźnego powodu.

Obdarzono mnie nieprzeciętną pamięcią, nieprzeciętnym wyczuciem czasu, przestrzeni i sytuacji oraz nieprzeciętną zdolnością do nauki języków. Lecz jeżeli myślicie, iż wykazałam się genialnym IQ, to jesteście w błędzie. W szkole nauczono mnie między innymi wypełniania testu w taki sposób, aby precyzyjnie zdobyć z góry ustaloną liczbę punktów, a nie dowieść możliwości mojego intelektu. Zawsze starannie maskowałam swoje nadzwyczajne uzdolnienia. Wyjątek stanowiły okoliczności, w których ktoś lub coś zmuszało mnie do ich użycia. Zazwyczaj chodziło wtedy albo o wywiązanie się z powierzonej misji, albo o ocalenie własnej skóry. Najczęściej jednak o obie te sprawy jednocześnie. Jedynym miejscem, w którym nie daje się ukryć tego, co naprawdę potrafię, jest łóżko. Na szczęście olbrzymia większość mężczyzn wszelkie objawy perfekcji w

tej

dziedzinie skłonna jest przypisywać własnej inwencji i doskonałości. Jeśli dobrze się zastanowić, męska próżność to nie wada, lecz zaleta. Umiejętnie ją wykorzystując, można zrobić z każdym facetem to, co się tylko chce. No, może niezupełnie z każdym. Szef posiada jedną cechę, działającą na mnie jak płachta na byka. Ten człowiek wykazuje absolutny brak próżności. Nie ma takiego sposobu, który pozwoliłby wodzić go za nos.

Od momentu, w którym zaczęłam dla niego pracować, nie musiałam już obawiać się, że ktoś odkryje, kim naprawdę jestem. Wszystkie znaki na moim ciele, mogące świadczyć o jego laboratoryjnym pochodzeniu, zostały skrupulatnie i bez śladu usunięte. Zniknęły nawet inicjały wytatuowane dawno temu na wewnętrznej stronie mojej górnej wargi. Nikt nie był w stanie udowodnić mi, iż nie zawdzięczam życia biologicznej superrulecie, w której krupierem była MatkaNatura, a graczami - miliard plemników.

Lecz w S-grupie od każdej współżony oczekiwano czegoś więcej niż zabaw na dywanie z gromadą dzieciaków. Oczekiwano od niej również powiększenia owej gromady. Dlaczego nie?

Potrafiłabym wymienić wiele przyczyn, dla których nie mogłam sprostać tym

oczekiwaniom. Chociażby mój zawód; byłam kurierem pracującym dla quasi-militarnej organizacji. Wyobraźcie sobie mnie w dziewiątym miesiącu ciąży, jak taszcząc przed sobą olbrzymi brzuch, próbuję bronić się przed atakiem.

Istniał też inny, równie ważny powód. My, SIL-e rodzaju żeńskiego, mamy trochę inne spojrzenie na problem macierzyństwa.

No bo po co rwać się do tego, by mieć dzieci? Żeby nosić je od chwili poczęcia aż do urodzenia we własnym ciele? Przecież to absurd! A nawet jeżeli, to czyż metoda in vitro nie jest bardziej rozsądna i o wiele prostsza, niż in vivo? Gdy po raz pierwszy zobaczyłam kobietę w zaawansowanej ciąży, byłam już zupełnie dużą dziewczynką. Z początku myślałam, że jest śmiertelnie chora. Kiedy wyjaśniono mi przyczynę owej „choroby”, dostałam torsji. Nawet dziś, choć upłynęło tak wiele lat, nadal mdli mnie, gdy o tym pomyślę, Rodzić dzieci w potwornych męczarniach, patrząc na ubabrane krwią ręce akuszerki? Po co?! Po co w ogóle rodzić dzieci? Wbrew zdrowemu rozsądkowi? Każdy przecież wie, iż ta nieszczęsna planeta i tak już cierpi z powodu przeludnienia. Po co pogarszać sytuację? Im dłużej tu zostawałam, tym częściej myślałam, że gdy przyjdzie czas, by podjąć jakąś decyzję, będę zmuszona powiedzieć im, że nie mogę mieć potomstwa. Zresztą, niewiele mijalo się to z prawdą. Nie zadawali mi jednak żadnych pytań; przynajmniej nie na temat dzieci.

W ciągu następnych kilku dni żyłam życiem rodziny. Zmywałam naczynia po podwieczorku, plotkując i chichocząc z innymi kobietami; wsłuchiwałam się w zgiełk, jaki robiły dzieci, dokazując na podwórku ze zwierzętami, a wieczorami przesiadywałam wraz z innymi w ogrodzie. Po prostu należałam.

Któregoś ranka Anita spytała mnie, czy nie przeszłabym się z nią po parku.

Podziękowałam mówiąc, że obiecałam pomóc Vickie w kuchni. Po kilku minutach doszłam jednak do wniosku, iż nie ma sensu odwlekać tej rozmowy w nieskończoność. Odnalazłam Anitę w odległym zakątku pomiędzy drzewami; siedziała na ławeczce i zdawała się czekać na mnie. Gdy usiadłam obok niej, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Marjorie, moja droga. - Tak nazywałam się w Christchurch, gdyż takiego imienia używałam w Quito, gdy poznałam Douglasa. - Obie wiemy, dlaczego Douglas zaprosił cię tutaj. Czy jesteś z nami szczęśliwa?

- Bardzo szczęśliwa!

- Wystarczająco, by pragnąć pozostać wśród nas?

- Tak, tylko... - Nigdy nie dano mi szansy powiedzenia: „tak, tylko że ja nie mogę mieć dzieci”. Anita przerwała mi energicznie:

- Może lepiej będzie, jeśli najpierw ja coś ci powiem, moja droga. Czas już, by porozmawiać o twoim wianie. Gdybym pozostawiła tę sprawę naszym mężczyznom, nikt by się nie odważył wspomnieć o pieniądzech. Albert i Brian dostali bzika na twoim punkcie, podobnie jak Douglas; doskonale ich zresztą rozumiem. Lecz ta S-grupa stanowi w takim samym stopniu rodzinę, jak i rodzinne przedsiębiorstwo; ktoś więc musi dbać o interesy, i tym kimś jestem ja. Będąc głównym księgowym i szefem rady nadzorczej w jednej osobie, nie mogę kierować się jedynie emocjami. - Uśmiechnęła się, odkładając na bok wełnę i druty. - Zapytaj Briana; on nazywa mnie Ebenezer Scrooge. Nigdy jednak nie zaproponował, że przejmie choć część moich obowiązków. Możesz zostać w tym domu tak długo, jak tylko zechcesz; cóż znaczy jedna buzia więcej przy stole tak długim jak nasz. Lecz jeśli pragniesz

dołączyć do rodziny formalnie, trzeba będzie podpisać kontrakt. Każdy spośród nas musiał to swego czasu zrobić; inaczej nigdy nie wiedziałabym, jak wygląda stan naszego majątku. Obecnie trzy głosy i trzy udziały stanowią własność Briana. Ja i Albert posiadamy po dwa udziały i tyle samo głosów. Dalej Douglas, Lisseth i Victoria; każde z nich ma po jednym udziale i jednym głosie. Jak zapewne zauważyłaś, ja dysponuję zaledwie dwoma głosami spośród dziesięciu... ale gdybym w ciągu kilku najbliższych lat zagroziła rezygnacją, pewnie natychmiast otrzymałabym votum zaufania. Naturalnie, pewnego dnia będę musiała zrezygnować i zostać Anitą „nie ruszaj się z kuchni”. Mój pogrzeb odbędzie się jeszcze tego samego dnia wieczorem. Tymczasem jednak staram się jakoś wywiązywać ze swoich obowiązków. Nawet dzieci posiadają po jednym udziale; nie mają tylko prawa do głosu. Gdy któreś z nich opuszcza dom, otrzymuje cały swój udział w gotowce. Stanowi on wówczas albo wiano, albo kapitał początkowy... albo pieniądze wyrzucone w błoto, o czym nie chcę nawet myśleć. W każdym razie takie wypłaty kapitału nie mogą być dokonywane żywiołowo. Kiedy trzy z naszych dziewcząt wychodzą za mąż w ciągu jednego roku, sytuacja staje się skomplikowana, jeśli nie była wcześniej przewidziana. Powiedziałam jej, że wszystko to brzmi jak przemyślany i bardzo sensowny układ oraz że nigdy nie przyszło mi do głowy, iż można w tak doskonały sposób zabezpieczyć byt dzieciom (prawdę mówiąc nie miałam o tych rzeczach zielonego pojęcia).

- Wszystko, co robimy, robimy przede wszystkim dla ich dobra - mówiła dalej Anita. - W końcu to właśnie dzieci powinny być główną troską rodziny. Myślę, iż teraz rozumiesz, dlaczego każdy, kto chce się przyłączyć do naszej grupy, musi najpierw wykupić udział. Inaczej cały system nie ma sensu. Małżeństwa zawierane są przed Bogiem w niebiesiech, lecz rachunki trzeba płacić tu - na ziemi.

- Amen - odrzekłam.

A więc koniec z marzeniami; trzeba wrócić do rzeczywistości. Nie potrafiłam ocenić nawet w przybliżeniu wartości majątku Rodzinnej Grupy Davisona, lecz była to z pewnością bardzo bogata rodzina, nawet jeśli mieszkała bez służby w starym domu pozbawionym automatów. Tak czy owak, nie było mnie stać na kupno udziału.

- Douglas powiedział mi, że nie wie, czy masz jakieś pieniądze, czy też nie. Pieniądze w rozumieniu kapitału.

- Nie mam.

Nawet nie podniosła oczu znad swojej robótki.

- Ja również ich nie miałam, gdy byłam w twoim wieku. Ale masz przecież jakiś

zawód, nieprawdaż? Może mogłabyś pracować w Christchurch i kupić udział za zarobione pieniądze? Zdaję sobie sprawę, że znalezienie pracy w obcym mieście nie jest łatwe; mam tu jednak pewne znajomości i układy. Czym się zajmujesz na codzień? Nigdy o tym nie opowiadałaś.

„I niech mnie Bóg broni” - pomyślałam. Odrzekłam jej - zgodnie z prawdą - iż moja praca ma charakter poufny, a pracodawcy nie upoważnili mnie do jakichkolwiek rozmów na temat prowadzonych przez nich interesów.

- Nie mogę tak po prostu porzucić obecnego zajęcia i szukać nowego w Christchurch - zakończyłam. - Wydaje się więc, że wyczerpałyśmy wszystkie możliwości. Naprawdę bardzo chciałabym zostać jedną z was, ale - jak widać - jest to niestety nierealne.

Ponownie przerwała mi:

- Nie po to zaczęłam rozmawiać z tobą o kontrakcie, moja droga, aby opuszczać ręce przy pierwszej napotkanej trudności. Ja nie akceptuję słowa „nierealne”. Musimy po prostu ustalić, co zrobić, aby to stało się realne. Brian chce ci oddać jeden ze swoich udziałów, a Douglas i Albert gotowi są poprzeć go pro rata, aczkolwiek jeszcze mu nie zapłacili. Mając jednak na uwadze dobro wszystkich członków rodziny, postawiłam veto wobec tego projektu. Niepotrzebnie tylko wspomniałam coś o baranach na wiosnę w nawiązaniu do jego autorów. Zgadzam się natomiast, abyś przejęła jeden udział Briana jako swego rodzaju kredyt, którego gwarancję stanowiłby twój kontrakt pracy.

- Ale ja nie mam żadnego kontraktu.

- Więc go zdobędziesz. Jak dużą sumę miesięcznie będziesz mogła wpłacać, jeżeli

nadal będziesz pracowała tam, gdzie teraz? Nie poganiam cię - uchowaj Boże! Radzę tylko, abyś spłaciła cały kredyt jak najszybciej. Pamiętaj, że działa on identycznie jak dług ciążący na nieruchomościach: im większe są raty, tym prędzej majątek jest twój.

Nigdy nie posiadałam żadnych nieruchomości. Nigdy też nie miałam prawdziwej rodziny.

- Czy możemy przeliczyć to na złoto? Naturalnie, nie widzę przeszkód, by zamienić je na dowolną walutę, lecz wolałabym rozliczać się w złocie. Chcę być wobec was uczciwa.

- W złocie? - Nareszcie coś ją poruszyło. Wyjęła ze swej torebki przenośny transponder i wystukała kod terminalu komputerowego. - Myślę, że ze złotem mogłybyśmy zrobić lepszy interes.

Przez chwilę jej palce błędziły po klawiaturze, a oczy śledziły z uwagą pojawiające się na małym ekranie liczby. W końcu pokiwała głową.

- Tak, znacznie lepszy, choć muszę przyznać, iż jeszcze nigdy nie handlowałam tym kruszcem.

- Mówiłam przecież, że mogę zamienić go na gotówkę, według aktualnego kursu.

Weksle ciągnięte na Południowoafrykańskie Towarzystwo Akceptacyjne będzie można bez trudu zdyskontować w walucie nowozelandzkiej. Gdybym akurat znajdowała się poza Ziemią, operacji dokonałby automatyczny depozyt bankowy. Podaj tylko nazwę banku.

- Bank Ziemi w Canterbury; jestem jego dyrektorem.

- ...Co nie pozostaje bez znaczenia dla reszty rodziny.

Kontrakt podpisałyśmy nazajutrz, a pod koniec tygodnia wzięłam ślub. Legalnie i w majestacie prawa. Uroczystość odbyła się w kaplicy katedralnej, a ja miałam na sobie prawdziwą suknię ślubną.

W następnym tygodniu wróciłam do pracy, trochę smutna i bardzo szczęśliwa. Przez najbliższe siedemnaście lat miałam wpłacać na rodzinne konto 858.13 NZ\$ miesięcznie. Mogłam również robić to częściej i w większych ratach. Po co? Przecież i tak nie zamieszkałabym w domu, dopóki musiałam pracować. Pieniądze na pokrycie wypisywanego co miesiąc weksla nie spadały z nieba. Więc po co? Z pewnością nie z powodu seksu. Do łóżka mogłam pójść z każdym, z kim miałam ochotę.

Przyczyna była zupełnie inna. Chciałam jak najszybciej dostąpić przywileju zmywania naczyń po podwieczorku, chciałam móc baraszkować na dywanie z gromadą rozwrzeszczanych brzdąców i ich zwierzyncom, chciałam wieczorem usiąść na ławce w

ogrodzie i posłuchać, co nowego w mleczarni i jak się mają podopieczni Lorda Nelsona. Pragnęłam mieć tę świadomość, że gdziekolwiek rzuci mnie los, zawsze będę mogła wrócić do miejsca, w którym robienie tych rzeczy stanowiło część moich praw - praw kogoś, kto należy.

Tak, ja po prostu chciałam należeć.

Gdy tylko prom wystartował, zadzwoniłam do domu. Słuchawkę podniosła Vickie. Musiałam odczekać dość długą chwilę, zanim przestała pisać z radości i pozwoliła mi podać orientacyjny czas przylotu. Miałam zamiar zatelefonować wcześniej z Auckland z hali odlotów Kiwi Lines, lecz kapitan Tormey nie dał mi szans. Zresztą, nic się nie stało. Co prawda prom leciał z prędkością ponaddźwiękową, lecz międzylądowania w Wellington i Nelson były wystarczająco długie, bym mogła spodziewać się w Christchurch kogoś, kto wyjdzie mi na spotkanie. W każdym razie miałam nadzieję, że ktoś taki się znajdzie. Czekali wszyscy. No, może niezupełnie wszyscy. Z wnętrza dużego, transportowego energobilu wysypała się jedynie pracująca część rodziny. Jako hodowcy bydła i owiec nie mogliśmy się obejść bez środka transportu; otrzymaliśmy więc zgodę na posiadanie prywatnego energobilu. Nie zwykliśmy jednak używać go w mieście. Brian zrobił wyjątek jedynie ze względu na mnie.

Od mojej ostatniej wizyty w Christchurch upłynął prawie cały rok. Było to ponad dwa razy dłużej, niż wynosił którykolwiek z poprzednich okresów mojej nieobecności w domu. Dzieci z pewnością zmieniły się nie do poznania, szczególnie Ellen. Była zaledwie jedenastoletnią dziewczynką z warkoczykami, gdy Douglas przywiózł mnie tu po raz pierwszy. Teraz wyrosła na młodą damę w uniwersyteckim wieku.

Anita i Lispeth zostały w domu i przygotowywały wraz z innymi przyjęcie z okazji mojego przyjazdu. Znowu będą mi robić wymówki, że nie dałam znać wcześniej, a ja znowu będę próbowała wytłumaczyć, że jeśli w mojej pracy dostaje się urlop, to lepiej złapać pierwszy SBS, niż rozglądać się za telefonem. Zresztą, czy naprawdę musiałam umawiać się na wizyty we własnym domu?

Wkrótce wylądowałam na dywanie, otoczona zgrają małych urwisów. Mister Underfoot - psotliwy kociak, gdy spotkałam go po raz pierwszy - czekał na swoją kolej z godnością, do której zobowiązywał go status kota-seniora. W końcu powoli podszedł i przyjrzawszy mi się najpierw uważnie, zaczął się ocierać o moje nogi, mrużąc przy tym przyjaźnie.

Byłam w domu.

W czasie kolacji zapytałam:

- A gdzie jest Ellen? Ciągle w Auckland? Sądziłam, że w czasie wakacji uniwersytet jest zamknięty.

Spojrzałam w stronę Anity, oczekując odpowiedzi, lecz ona zdawała się nie słyszeć.

Czyżby ogłuchła? Z pewnością nie. Już miałam powtórzyć pytanie, gdy usłyszałam głos

Briana.

- Marjie...

Spojrzałam na niego. Nie powiedział nic więcej. Jego twarz wyglądała niczym kamienna maska. Pokręcił jedynie głową w ledwie dostrzegalny sposób.

„Ellen tematem tabu? Cóż się stało, Brianie?!” - pomyślałam. Postanowiłam jednak odłożyć rozmowę na bardziej stosowny moment, gdy będziemy sami. Anita przy każdej okazji podkreślała, że kocha jednakowo wszystkie dzieci, bez względu na to, czy jest ich biologiczną matką, czy też nie. Wszyscy jednak wiedzieli o jej wyjątkowym przywiązaniu do Ellen.

Późnym wieczorem, gdy w całym domu panowała już cisza, a Bertie i ja byliśmy już prawie w łóżku, do drzwi zapukał Brian i nie czekając na „proszę” wszedł do środka.

- Wszystko w porządku - powiedział Bertie. - Możesz iść spać. Sam poradzę sobie z moją „przegraną”.

W myśl zasad loterii, w którą graliśmy co wieczór, aby wybrać kochanka, ten, kto przegrywał, spędzał noc ze mną.

- Przestań błaznować, Bert. Czy Marjie wie już o Ellen?

- Jeszcze nie.

- To trzeba jej powiedzieć. Kochanie - zwrócił się do mnie - Ellen wzięła ślub bez zgody Anity... i Anita wściekła się o to. Dlatego też lepiej nie wspominać przy niej nic na temat Ellen. Sama zresztą dobrze ją znasz, więc nie muszę ci tłumaczyć. A teraz zmykam, zanim zaczniesz mnie szukać.

- Obiecałeś pocałować mnie na dobranoc. Mógłbyś nawet zostać. Czyż nie jesteś również moim mężem?

- Tak, skarbie, oczywiście. Ale Anita jest teraz bardzo przewrażliwiona. Wolałbym uniknąć sytuacji mogącej ją rozdrażnić jeszcze bardziej.

Pocałował mnie w czoło i już go nie było.

- O co tu chodzi, Bertie? - spytałam, gdy zamknął za sobą drzwi. - Dlaczego Ellen nie może wyjść za męża za tego, za kogo chce? Jest przecież wystarczająco dorosła, by sama o tym decydować.

- Niby masz rację, lecz jej wybór naprawdę nie był najszcześniejszy. Wyszła za Tongana i zamieszkała w Nuku.

- A Anita uważa, że powinni mieszkać tu, w Christchurch?

- Co takiego? Ach, nie! Nie o to chodzi. Ona jest w ogóle przeciwna temu małżeństwu.

- Ale dlaczego? Chyba ten człowiek nie zrobił jej niczego złego?

- Marjorie, czyżbyś nie dosłyszała, co powiedziałem? To przecież T o n g a n!

- Owszem, dosłyszałam. A kimże ma być, skoro mieszka w Nuku? Ellen szybko pewnie dojdzie do wniosku, iż na tej planecie znajdzie się kilka miejsc, gdzie klimat jest nieco łagodniejszy, lecz to już jej problem. Nadal jednak nie widzę powodu, który tak bardzo wytrącił Anitę z równowagi. Musi być jeszcze coś, o czym nie wiem.

- Ależ wiesz o wszystkim. Chociaż może... Tonganowie nie są białymi ludźmi tak jak my. To barbarzyńcy.

- Skąd ci to przyszło do głowy?! - Podniosłam się i usiadłam na skraju łóżka, przerywając to, czego jeszcze właściwie nie zaczęliśmy. Nie potrafię kochać się i dyskutować jednocześnie. - To najbardziej cywilizowani ludzie na całej Polinezji. Jak sądzisz, dlaczego odkrywcy archipelagu nazwali zamieszkałą przez nich część „Wyspami Przyjaznymi”? Czy w ogóle kiedykolwiek byłeś tam?

- Nie, ale...

- Ja natomiast byłam. Nie licząc klimatu, jest to rajski zakątek. Może sam się kiedyś przekonasz. A ten człowiek - czym się zajmuje? Jeśli po prostu całymi dniami siedzi i rzeźbi dla turystów figurki z mahoni, potrafiłabym jeszcze zrozumieć obiekcje Anity. Ale czy rzeczywiście tak jest?

- Nie. Wątpię jednak, by stać go było na utrzymanie żony. A Ellen nie może utrzymywać męża; nie skończyła jeszcze nauki. On jest biologiem, specjalistą od flory i fauny morskiej.

- Rozumiem. - Nie należy do bogaczy. A do Anity nic nie przemawia tak, jak pieniądź. Lecz nie jest przecież biedakiem. Prawdopodobnie zostanie profesorem na uniwersytecie w Auckland lub w Sydney. Nawet biolog może stać się zamożnym człowiekiem. Odkrycie jakiejś nowej rośliny lub zwierzęcia może mu przynieść bajeczną fortunę.

- Kochanie, ty ciągle nic nie rozumiesz.

- Więc mnie oświeć!

- Hmm... Ellen powinna wyjść za męża za kogoś takiego jak my.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Kogoś, kto mieszka tu, w Christchurch?

- To byłoby wskazane.

- Bogatego?

- Nie miałbym nic przeciwko. Nie lubię tych cwanych chłopców z polinezyjskich plaż, którzy poślubiając białe dziewczęta dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze wyczują duże pieniądze.

- Tu cię boli! Sam będąc bez grosza po prostu zgarnął jej udział, czy tak?

- Nie... Niezupełnie... Do diabła, dlaczego nie mogła wyjść za białego? Chcieliśmy dla niej czegoś lepszego niż to, w co się sama wpakowała.

- Wiesz co, Bertie? Słucha się ciebie niczym Araba mówiącego o Żydzie. Sądziłam, że Nowa Zelandia wolna jest od tego rodzaju przesądów. Pamiętam, jak Brian przekonywał mnie, iż Maorysi pod względem przekonań politycznych i tolerancji rasowej nie różnią się niczym od Anglików.

- Bo to prawda. My jednak mówimy o czymś zupełnie innym.

- Wobec tego nic już nie rozumiem.

A może to Bertie niczego nie rozumiał? Tonganowie są Polinezyjczykami, tak samo

jak Maorysi. Gdzież więc tkwi problem?

Dałam sobie spokój. Nie przyleciałam tu z drugiego końca świata po to, żeby dyskutować o zięciu, którego w życiu nie widziałam na oczy. „Zięć”... Co za osobliwy pomysł. Zawsze sprawiało mi przyjemność, gdy któreś z dzieci wołało na mnie „mama”, a nie Marjie, lecz nigdy nie pomyślałam, że mogę mieć zięcia. A teraz według nowozelandzkiego prawa byłam ni mniej, ni więcej, tylko teściową. Dobrze sobie.

Leżałam cicho, próbując przestać o tym myśleć i pozwalając Bertiemu, by mnie pieścił. Muszę przyznać, że wiedział, jak się do tego zabrać.

Już po chwili byłam pochłonięta demonstrowaniem mu, jak bardzo jestem szczęśliwa, że wróciłam do domu. Wszystko wokół przestało istnieć.

Rozdział VII

Następnego ranka, zanim wstałam z łóżka, postanowiłam nie wspominać nic na temat Ellen i jej męża. Zamierzałam czekać, aż ktoś inny poruszy ten problem. Ostatecznie, nie mogłam przecież zająć konkretnego stanowiska przed poznaniem wszystkich szczegółów. Nie myślałam bynajmniej przejść nad całą sprawą do porządku dziennego - Ellen była również moją córką. Jednak wyciąganie pochopnych wniosków mogło tylko pogorszyć i tak już dość skomplikowaną sytuację. Rozsądek nakazywał poczekać, aż opadną pierwsze emocje. Leniwie upływał dzień za dniem. Nie sądzę, by interesowały was rodzinne pikniki i urodzinowe przyjęcia. Jedynie dla mnie były one jeszcze ciągle czymś nowym. W sprawie Ellen panowała zmowa milczenia.

Wszystko zaczęło się od dnia, w którym razem z Vickie wybrałam się do Auckland na kilkudniowe zakupy.

Gdy weszłyśmy do hallu Tasman Palace, Vickie spytała poufnym szeptem:

- Marjorie, czy potrafisz dochować tajemnicy?

- Oczywiście - odrzekłam z rozbawieniem. - Mam nadzieję, że to jakaś pikantna historyjka. Kochanek? Dwóch kochanków?

- Nawet gdybym miała tylko jednego, po prostu podzieliłabym się nim z tobą. Chodzi mi o coś bardziej delikatnego. Chciałabym porozmawiać z Ellen i wolałabym, żeby to nie dotarło do uszu Anity. Właśnie teraz nadarza się idealna okazja. Czy mogłabyś „nie zauważyć” tej rozmowy?

- Niezupełnie. Ja także chętnie rozmawiam z Ellen. Nie powiem nic Anicie, jeśli ty również zachowasz milczenie, zgoda? Powiedz mi, Vickie, o co tu chodzi. Że Anitę zirytowało zamążpójście jej ulubienicy - to wiem. Nie rozumiem jednak, dlaczego pozostali boją się nawet wspominać o tej sprawie. Przecież Ellen jest naszym wspólnym dzieckiem.

- Obawiam się, że akurat teraz nie ma to najmniejszego znaczenia. Anita wzięła sobie wszystko zbyt głęboko do serca. Racjonalne argumenty do niej nie trafiają.

- Na to wygląda. Nie pozwolę się jednak odizolować od Ellen. Prawdę mówiąc od dawna zamierzałam do niej zadzwonić, tylko nie wiedziałam dokładnie, gdzie jej szukać.

- Ja znam kod. Wystukam go, a ty zapisuj. To jest numer...

- Stój! - Chwyciłam ją gwałtownie za rękę. - Nie dotykaj tej klawiatury. Chcesz, żeby Anita dowiedziała się o wszystkim?

- ...Jak to?

- Albo zapłacisz za połączenie natychmiast, używając swojej karty kredytowej, albo kosztem rozmowy obciążony zostanie nasz rachunek hotelowy. Czy Anita nadal sprawdza wszystkie rachunki, jakie są przysyłane do domu?

- Rzeczywiście, robi to. Och, Marjie, ale ze mnie idiotka.

- Nic podobnego. Jesteś po prostu uczciwa. Anita nie miałaby pretensji o wydatki, lecz z pewnością zauważyłaby kod lub nadruk oznaczający połączenie międzynarodowe. Lepiej będzie, jeśli zajdziemy do Głównego Urzędu Pocztowego i zadzwonimy stamtąd, płacąc gotówką. Albo jeszcze lepiej - posłużymy się moją kartą kredytową. W ten sposób Anita po prostu nie dostanie rachunku.

- Świetnie! Wiesz co, Marjie? Byłabyś dobrym szpiegiem.

- Nigdy! - odrzekłam szybko. - W dzieciństwie często wymykałam się spod opieki

mamy; stąd znam się trochę na konspiracji. Ale szpiegostwo to odrobinę bardziej niebezpieczne zajęcie. Powiedz mi lepiej, Vickie, co takiego strasznego jest w mężu Ellen?

Ma trzy głowy, czy co?

- Jest Tonganem. Czyżbyś nie wiedziała?

- Naturalnie, że wiem. Ale Tongan nie oznacza „trędowaty”, w każdym razie tak mi się wydaje. Lecz nawet jeśli się mylę, to jest to wyłącznie sprawa Ellen.

- A jednak Anita ma inne zdanie. Zresztą nie tylko ona. Teraz, gdy to się już stało, wszyscy możemy robić dobrą minę do złej gry. Ale mieszane małżeństwa z reguły są nieszczęśliwe. Szczególnie, gdy dziewczyna wychodzi za mąż za kogoś mniej atrakcyjnego niż ona sama.

- Mniej atrakcyjnego! Dobrze sobie. Wszystko, co mi o nim powiedziano, to fakt, iż jest Tonganem. Tonganowie są wysokimi, przystojnymi i nadzwyczaj kulturalnymi mężczyznami. Ich skóra jest tylko trochę bardziej brązowa od mojej. Tym, co wyróżnia ich spośród wszystkich Maorysów, jest właśnie ich aparycja. Ciekawam, jak byście zareagowali, gdyby ów młody człowiek był Maorysem pochodzącym z szacownej rodziny posiadającej spory majątek ziemski?

- Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by Anita przywiązywała do tego wielką wagę. Tak czy owak, nie pojechała na ślub, ani nawet nie udzieliła swojego błogosławieństwa. Małżeństwa pomiędzy białymi a Maorysami zdarzały się już nie raz. Jedni potrafią się z tym pogodzić, inni nie. Jednak mieszania ras nigdy nie uważano za dobrą ideę.

„Vickie, Vickie! Czy masz może lepszy pomysł na uwolnienie tego świata od głupich przesądów i uprzedzeń?” - pomyślałam.

Głośno zaś zapytałam:

- Tak sądzisz? No cóż, może masz rację...? Wiesz, skąd wziął się ciemniejszy odcień mojej skóry?

- Jasne! Mówiłaś nam przecież, że płynie w tobie krew północnoamerykańskich Indian. Irokezów - tak chyba... powiedziałaś... O Boże! Co ja nagadałam! Ja nie chciałam cię urazić, Marjie. To niezupełnie tak. Przecież wszyscy wiedzą, że Indianie są... no, że to tacy sami ludzie jak biali. W każdym calu.

„Oczywiście, naturalnie - pomyślałam. - Zaraz powiesz mi jeszcze, iż kilkoro z twoich najlepszych przyjaciół to Żydzi. Moja droga, mała Vickie. Ciekawe, jak zareagowałabyś, gdybym ci oznajmiła, że jestem SIL-em. Mam na to wielką ochotę... ale nie mogę przecież narażać cię na taki wstrząs”.

- Nic się nie stało - odrzekłam po chwili milczenia. - W końcu, cóż ty możesz wiedzieć? Przez całe swoje życie ani razu nie wystawiłaś nosa poza Nową Zelandię, a rasizm wysłałaś najprawdopodobniej razem z mlekiem matki.

Twarz Vickie oblała się rumieńcem.

- To, co mówisz, jest niesprawiedliwe. Wtedy, gdy ważyły się losy twojego przyjęcia do rodziny, stanęłam po twojej stronie. Głosowałam „za”.

- O ile mi wiadomo, wszyscy głosowali „za”; inaczej nie byłoby mnie tutaj. Czy bardzo się pomylę, jeśli stwierdzę, iż kwestią sporną była przede wszystkim moja irokeska krew?

- No... ktoś o tym wspomniał.

- Kto i z jakim efektem?

- Marjie, mówimy o posiedzeniu rady rodzinnej. Nie mogę opowiadać ci, co się na niej działo.

- Hmm... Rozumiem twoje opory. Czy w sprawie Ellen również odbyła się rada rodzinna? Jeśli tak, mam prawo znać jej przebieg. Zasiadam w niej tytułarnie i mogę głosować.

- Owszem, była narada, choć Anita mówiła, że to nie jest konieczne. „Nie zamierzam zachęcać łowców posagów” - tak powiedziała. Zresztą już wcześniej oznajmiła Ellen, iż nie pozwoli jej sprowadzić Toma do domu. Sama więc widzisz, że i tak nic nie można było zrobić.

- I nikt z was nie stanął w obronie Ellen? Nawet ty? Vickie zarumieniła się jeszcze bardziej niż przedtem.

- To jedynie rozwścieczyłoby Anitę.

- Sama powoli zaczynam być wściekła. W myśl kodeksu naszej rodziny Ellen jest tak samo córką Anity, jak twoją i moją. Zgodzisz się chyba, że Anita postąpiła źle, nie pozwalając Ellen na przyjazd z mężem do domu. Najpierw powinna była zapytać, co sądzą na ten temat pozostali członkowie rodziny.

- Marjie, to nie było zupełnie tak, jak myślisz. Ellen nie chciała zamieszkać tu z Tomem. Chciała go tylko przedstawić. Rozumiesz chyba, po co?

- Pewnie! Jakże mogłabym nie rozumieć, skoro sama kiedyś znalazłam się pod lupą.

- Anita próbowała powstrzymać ją przed tym małżeństwem. Gdy dowiedziała się, że

jest już za późno, wpadła w szal. Najwidoczniej Ellen wzięła ślub natychmiast, gdy tylko doręczono jej list, w którym Anita powiedziała „nie”.

- Do diabła, a więc zasłony zaczynają opadać. Ellen zmusiła ją w ten sposób do wypłacenia bez zastrzeżeń i w gotówce równowartości swojego udziału w rodzinnym

przedsiębiorstwie, nieprawdaż? A to mogło okazać się trudne. Taki udział to ładny kawał grosza. Wiem coś na ten temat, bo sama od wielu lat spłacam dług z tego tytułu.

- Nie masz racji. Anita jest zła po prostu dlatego, że jej córka - jej faworyta, o czym wszyscy wiedzieliśmy - wyszła za mąż za mężczyznę, którego ona nie zaaprobowwała. Wcale nie musiała zabierać tych pieniędzy; to nie było konieczne. Kontrakt przewiduje pewne okoliczności, mogące wstrzymać lub nawet uniemożliwić wypłatę udziału. A Anita zwróciła uwagę na fakt, iż ma moralny obowiązek chronić rodziny majątek przed zakusami „jakiegoś awanturnika”, jak określiła męża Ellen.

Poczułam, że wzbiera we mnie szewska pasja.

- Vickie, zaczynam mieć kłopoty z uwierzeniem w to, co tu słyszę. Czy wy wszyscy

oprócz Anity jesteście glistami bez kręgosłupów?! Jak mogliście dopuścić do potraktowania Ellen w taki sposób? - Odetchnęłam głęboko, starając się opanować ogarniającą mnie wściekłość. - Nie mam pojęcia, czego się obawiacie, zamierzam jednak dać dobry przykład. Gdy tylko wrócimy do domu, natychmiast zrobię dwie rzeczy. Najpierw, korzystając z

domowego terminalu i w obecności całej rodziny, połączę się z Ellen i poproszę ją, by odwiedziła nas tu, w Christchurch, wraz z mężem. I to w ciągu najbliższego weekendu. Niedługo będę musiała wrócić do pracy, a nie mam zamiaru stracić okazji poznania mojego pierwszego zięcia.

- Anitę krew zaleje.

- Zobaczymy. Następnie postaram się o zwołanie rady rodzinnej, na której zażadam natychmiastowego wypłacenia Ellen w gotówce wszystkich jej aktywów. Przypuszczam, że to również nie wzbudzi zachwyty Anity.

- Prawdopodobnie. A osiągniesz jedynie tyle, że stracisz swój głos. Marjie, po co chcesz napytać sobie biedy? Sytuacja już teraz jest wystarczająco skomplikowana.

- Możliwe. Ale możliwe też, iż jest pośród was ktoś taki, kto boi się położyć tamę tyranii Anity, uważając - skądinąd słusznie - że sam nie da rady. W najgorszym wypadku przekonam się, jak będzie wyglądać głosowanie. Posłuchaj, Vickie: W myśl kontraktu, który podpisałam, zapłaciłam już ponad siedemdziesiąt tysięcy nowozelandzkich dolarów za wejście do rodziny. Powiedziano mi, że takie są reguły, gdyż w momencie opuszczania domu każdemu z naszych dzieci (a mamy ich przecież niemało) wypłacany jest w gotówce pełen udział. Nie protestowałam więc. Podpisałam. A teraz bez względu na to, co powie Anita, zamierzam wykorzystać moje prawa wynikające z tego faktu. Otóż jeśli Ellen nie otrzyma w ciągu tygodnia swojego posagu, spowoduję, by pieniądze, które dotychczas - zgodnie z kontraktem - wysyłam co miesiąc na konto rodziny, zaczęły trafiać na jej konto. I nie zmienię swojej decyzji, dopóki Anita nie wypłaci Ellen równowartości jednego udziału. W gotówce i co do grosza. Przyznasz chyba, że będzie to sprawiedliwe rozwiązanie?

Długo zwlekała z odpowiedzią.

- Nie wiem, Marjie. Nie miałam czasu, by się nad tym zastanowić.

- Lepiej znajdź czas, Vickie, bo najdalej w środę będziesz musiała podjąć decyzję. -

Po chwili wzięłam ją pod ramię i dodałam: - A teraz rozchmurz się. Chodźmy na pocztę i nie straszmy Ellen ponurymi minami. I bez tego dość ma zmartwień.

Nie dotarłyśmy jednak do Głównego Urzędu Pocztowego. W ogóle nie zatelefonowałyśmy do Ellen. Poszłyśmy prosto na obiad, a potem na drinka. Nawet nie zauważyłam, w którym momencie tematem rozmowy stały się sztuczne istoty ludzkie. Myślę, że stało się to w chwili, gdy zaczęłyśmy dyskutować o przesadach i uprzedzeniach rasowych. Vickie próbowała przekonać mnie o swych liberalnych poglądach w tej dziedzinie, podczas gdy niemal każde jej słowo świadczyło o czymś wręcz przeciwnym.

- Maorysi są przystojni, owszem. Potrafią też nieźle się ubrać. Podobnie Indianie.

Wśród Hindusów i Chińczyków była nawet spora liczba geniuszy, ale to jeszcze o niczym nie świadczy - trajkotała bezmyślnie.

Leżąc w łóżku, nadal nie przestawała pleść tych bzdur. Zamierzałam właśnie powiedzieć jej, że czas już spać, gdy nagle dotarło do mojej świadomości coś, co powiedziała kilka minut wcześniej.

- Skąd wiedziałabyś? - spytałam, podnosząc się i siadając.

- Skąd wiedziałabym co?

- Przed chwilą powiedziałaś: „Naturalnie, nikt nie poślubiłby artefakta”. A skąd wiedziałabyś, że jakaś osoba jest artefaktem? Nie każdy przecież ma wytatuowany na czole

numer seryjny.

- Och, Marjie, nie bądź głupia. Stworzenia wyprodukowanego w manufakturze nie da się pomylić z istotą ludzką. Jeśli kiedykolwiek widziałaś jedno z takich stworzeń...

- Widziałam. Widziałam ich wiele!

- A więc sama dobrze wiesz.

- O czym dobrze wiem?

- Że wystarczy rzucić okiem, aby od razu rozpoznać każde z tych monstrów.

- Jak?! Czym są owe szczególne znamiona, pozwalające wyróżnić sztuczną istotę ludzką spośród innych ludzi? Nazwij choć jedno z nich!

- Marjie, to zaczyna już być irytujące. Dlaczego starasz się zepsuć nam obu cały weekend?

- To nie ja, Vickie. Ty go psujesz. Od godziny trajkoczesz bez przerwy, wygadując piramidalne brednie. Gdybyś tak miała choć strzępek dowodu na poparcie swoich niedorzecznych, idiotycznych teorii!

Moja riposta potwierdzała jedynie, iż nawet ze swoimi superzdolnościami nie jestem jeszcze supermenem. Gdybym nim była, potrafiłabym zapanować nad swoimi emocjami. Co do jednego Vickie miała rację: nie powinnam używać tak ostrych argumentów w rodzinnej dyskusji.

Przez chwilę milczała z wyrazem zaskoczenia, malującym się na twarzy. Gdy odezwała się ponownie, była bliska płaczu.

- Jak możesz? To kłamstwo! To niegodziwe i złośliwe kłamstwo!

Tego, co zrobiłam potem, nie można przypisywać lojalności wobec pozostałych SIL-ów - sztuczne istoty ludzkie nie posiadają poczucia solidarności grupowej. Słyszałam, że Francuzi gotowi są oddać życie za La Belle France. Ale czy wyobrażacie sobie kogoś, kto będzie walczył i umierał w obronie spółki akcyjnej HOMUNKULUS S.A. oddział Południowa Jersey? A jednak ja należałam najwidoczniej do tego typu narwańców, choć sama sobie nie potrafiłam odpowiedzieć na pytanie: w imię czego?! Tak bywało prawie za każdym razem, gdy podejmowałam jakąś ważną decyzję. Szef twierdzi, iż robię to zawsze podświadomie. I pewnie ma rację.

Wstałam z łóżka, zrzuciłam koszulę nocną i stanęłam przodem do Vickie.

- Przyjrzyj mi się uważnie - powiedziałam. - Czy ja jestem sztuczną istotą ludzką, czy zupełnie normalnym człowiekiem? Powiedz, jak możesz stwierdzić jedno lub drugie?

- Och, Marjie. Przede mną nie musisz puszyć się jak paw. Wszyscy wiedzą, że masz najlepszą figurę w całej rodzinie. Nie musisz mi tego udowadniać.

- Odpowiedz mi! Użyj jakiegokolwiek testu. Oddaj próbki do laboratorium. Zrób cokolwiek, ale odpowiedz mi wreszcie, skąd masz pewność, że jestem normalnym człowiekiem, a nie produktem inżynierii genetycznej?!

- Jesteś niegrzeczną dziewczynką - oto, czym jesteś.

- Niewykluczone. Możliwe. Ale jakiego rodzaju? Naturalną? Sztuczną?

- O, Chryste! Przecież to oczywiste, że naturalną.

- Mylisz się. Jestem SIL-em.

- Mam już tego dosyć. Ubierz z powrotem koszulę i wracaj do łóżka.

To była ostatnia szansa, żeby się wycofać. Nie skorzystałam z niej. Zamiast tego podałam jej adres laboratorium, w którym zostałam zaprojektowana, oraz dokładną datę

moich „urodzin” - rok, miesiąc i dzień, w którym wyjęto mnie ze sztucznej macicy. Zmusiłam Vickie do wysłuchania historii mojego dzieciństwa w sierocińcu laboratorium produkcyjnego. Powinnam właściwie powiedzieć: w sierocińcu, w którym pozwolono mi dorosnąć. Wiem, że są jeszcze inne „ochronki”. Trafiają do nich dzieci - mutanty, będące produktami nieudanych krzyżówek. Stamtąd nie wychodzi się nigdy. Nigdy też nie osiąga się wieku dojrzałego... Opowiedziałam jej cały swój życiorys od chwili opuszczenia sierocińca. W większości były to oczywiście kłamstwa - nie mogłam przecież zdradzać tajemnic Szefa. Powtórzyłam po prostu tę samą bajeczkę, którą przed laty uraczyłam całą rodzinę - że jestem poufnym agentem handlowym. Nie potrzebowałam wspominać o Szefie, gdyż Anita wiele lat temu doszła do przekonania, iż jestem przedstawicielką jakiegoś ponadnarodowego koncernu; kimś w rodzaju dyplomaty, który podróżuje incognito. Nigdy nie starałam się wyprowadzić ją z błędu.

- Proszę cię, przestań - przerwała mi w pewnym momencie Vickie. - Posługując się tego rodzaju kłamstwami narażasz swoją duszę.

- Nie mam żadnej duszy. To właśnie usiłuję ci powiedzieć.

- Dość już! Urodziłaś się w Seattle. Twój ojciec był inżynierem elektronikiem, a matka - lekarzem pediatrą. Straciłaś oboje podczas trzęsienia ziemi. Opowiadałaś nam o tym. Pokazywałaś zdjęcia.

- Moją matką była próbówka, a ojcem - skalpel. Vickie, zrozum wreszcie, że po tej ziemi może chodzić milion lub nawet więcej sztucznych istot ludzkich, których metryki urodzenia „zagięły” podczas tamtego kataklizmu w Seattle. Nie istnieje żaden sposób udowodnienia im, kim są naprawdę, bo ich kłamstwa noszą wszelkie znamiona prawdy. Po tych wypadkach sprzed niecałych dwóch tygodni pojawi się masa ludzi takich, jak ja; tyle tylko, że „urodzonych” w Acapulco. To smutne, ale musimy uciekać się do podobnych wybiegów, aby uniknąć szykanowania i pogardy ze strony innych, „normalnych” ludzi. Ciemnych i uprzedzonych.

- Czy chcesz powiedzieć, iż ja również jestem ciemna i uprzedzona?

- Chcę powiedzieć, iż jesteś słodką dziewczuszką, której dorośli wbili przed laty do głowy stek kłamstw. To właśnie staram się naprawić. Lecz jeśli te buty nie uwierają cię, nie musisz ich zrzucić.

Ja także miałam już dość. Gdy kładłam się spać, Vickie nie pocałowała mnie na dobranoc.

Następnego dnia obie zachowywałyśmy się tak, jak gdyby ta dyskusja nigdy nie miała miejsca. Vickie zdawała się zapomnieć o planowanej rozmowie z Ellen, a ja nie wspominałam nic na temat sztucznych istot ludzkich. A jednak nie byłyśmy już na beztróskiej wycieczce. Załatwiłyśmy pozostałe sprawunki i złapałyśmy popołudniowy wahadłowiec do Christchurch. Kiedy dotarłyśmy do domu, nie zrobiłam tego, czym zagroziłam poprzedniego wieczora - nie zatelefonowałam natychmiast do Ellen. Nie dlatego, żebym o niej zapomniała, nie. Miałam po prostu nadzieję, iż jeśli jeszcze trochę zaczekam, może sytuacja sama się jakoś załagodzi.

A może najzwyczajniej w świecie stchórzyłam...?

Na początku następnego tygodnia Brian poprosił mnie, żebym pojechała z nim na inspekcję jakichś gruntów przeznaczonych na sprzedaż. Był to jeden z tych przyjemnych, całodniowych wypadów z przerwą na lunch w malowniczym, wiejskim zajeździe. Usiedliśmy

na tarasie i zamówiliśmy pieczeń z jagnięcia. To, co nam podano, przypominało raczej ostro przyprawioną baraninę, niemniej jednak smakowało nieźle.

Po deserze - krem z jagodami, również całkiem smaczny - pierwszy odezwał się

Brian:

- Marjorie, Victoria przyszła do mnie z bardzo osobliwą historią.

- Tak? O co jej chodziło?

- Uwierz mi, moja droga, nigdy nie poruszyłbym tego tematu, gdyby Vickie nie wyprowadziła mnie swoją paplaniną z równowagi.

- Paplaniną o czym, Brianie?

- Ona twierdzi, że powiedziałaś jej, iż jesteś żywym artefaktem podszywającym się pod normalnego człowieka. Przepraszam cię, ale to są jej słowa.

- To prawda; tak jej powiedziałam. Użyłam tylko nieco innych sformułowań.

Zanim zdążyłam cokolwiek wytłumaczyć, Brian przerwał mi i zapytał tonem tak

grzecznym, jak lodowatym:

- Mógłbym wiedzieć, dlaczego?

Zwlekałam chwilę, zanim odrzekłam.

- Vickie plotła jakieś głupstwa na temat Tonganów, a ja usiłowałam udowodnić jej, że jest w błędzie i że krzywdzi w ten sposób Ellen. Bardzo się martwię o Ellen. Tego dnia, kiedy przyjechałam do domu i dowiedziałam się o wszystkim, postanowiłam pójść za twoją radą i nie wtrącać się. Nie mogę jednak dłużej spokojnie przyglądać się, jak Anita wyrządza jej krzywdę. Ellen jest także naszą córką, Brianie. Musimy coś w tej sprawie zrobić.

- Wcale nie jestem pewien, czy powinniśmy cokolwiek robić, moja droga. Zresztą, nie o tym mówiliśmy. Vickie wygląda na szczerze zmartwioną. Chciałbym wyjaśnić całe to nieporozumienie. Proszę cię więc, nie zmieniaj tematu.

- Nie wydaje mi się - odrzekłam - żeby krzywda wyrządzona Ellen nie była dość ważnym tematem. W każdym razie nie zamierzam przejść nad tym do porządku dziennego. Czy jest jakiś rzeczywiście istotny zarzut, jaki można by postawić jej mężowi? Inny, niż odsądzanie go od czci i wiary dlatego tylko, że jest Tonganem?

- O ile mi wiadomo, nie. Chociaż Ellen postąpiła bardzo nierozważnie, wychodząc za mąż za kogoś, kogo nie przedstawiła nawet rodzinie. Okazała w ten sposób zupełny brak szacunku wobec tych, którzy ją kochali i opiekowali się nią przez całe życie.

- Chwileczkę, Brianie. Według Vickie, Ellen chciała zaprosić go do domu i przedstawić rodzinie, tak jak kiedyś przedstawiono mnie. Ponoć to Anita stanęła jej na przeszkodzie, nie wyrażając zgody. Dopiero wówczas Ellen wzięła ślub. Czy mam rację?

- To w zasadzie prawda, lecz Ellen była zbyt uparta i za bardzo się śpieszyła. Nie powinna wychodzić za mąż, nie rozmawiając ze swoimi pozostałymi rodzicami. W każdym razie ja poczułam się szczerze dotknięty.

- A może wina leży po twojej stronie? Może to ty nie próbowałeś z nią porozmawiać?

- Posłuchaj, Marjorie: kiedy dowiedziałem się o wszystkim, było już za późno.

- Teraz ty mnie posłuchaj, Brianie: odkąd przyjechałam do domu, ciągle mam nadzieję, że ktoś wreszcie wytłumaczy mi, co się naprawdę stało. Według Vickie, podczas narady rodzinnej nikt nawet nie zabrał głosu w tej sprawie. Anita zabroniła Ellen zaprosić jej narzeczonego do domu. Pozostali rodzice albo o niczym nie wiedzieli, albo nie odważyli się przeszkodzić Anicie, choć to, co robiła, było okrutne. Tak, Brianie. Okrutne. Więc

dziewczyna, nie widząc innego wyjścia, wzięła ślub bez waszego błogosławieństwa. A wtedy Anita do wyrządzonej już wcześniej krzywdy dołożyła następną, być może jeszcze większą: potraktowała Ellen i jej męża jak przybłędów, odmawiając własnej córce prawa do udziału w rodzinnym majątku i skazując ją na banicję z jej rodzinnego domu. Czy to wszystko prawda?

- Nie było cię tutaj, Marjorie. Pozostali z nas, sześcioro spośród siedmioro, starali się postępować tak roztropnie, jak tylko było to możliwe. Nie sądzę, abyś robiła słusznie, przyjeżdżając, gdy jest już po wszystkim, i krytykując nasze postępowanie.

- Ależ kochanie! Wcale nie chcę cię urazić. Chodzi mi o to, że sześcioro z was nie zrobiło tak naprawdę nic. Anita, działając sama, wyrządziła Ellen coś, co uważam za okrutne i niesprawiedliwe, podczas gdy pozostali z was stali na uboczu i nie kiwnęli nawet palcem. Jak to możliwe, Brianie?! Żadnych decyzji podejmowanych przez całą rodzinę - o wszystkim samowolnie zdecydowała Anita. Jeżeli rzeczywiście tak to wyglądało, popraw mnie, jeśli jestem w błędzie, to czuję się zmuszona zażądać zwołania rady rodzinnej, na której rozstrzygnięto by dwie sprawy. Po pierwsze, czy zaprosić Ellen wraz z jej mężem tu, do Christchurch. A po drugie, czy wypłacić jej posag lub czy uznać przynajmniej jej prawo do owego posagu, jeśli nie może on być wypłacony natychmiast. Chciałabym wiedzieć, co ty sądzisz na ten temat?

Brian bębnił palcami o blat stolika.

- Potraktowałaś sprawę bardzo powierzchownie, podczas gdy jest ona o wiele bardziej skomplikowana. Nie sądzisz chyba, że nie kocham Ellen i że nie obchodzi mnie jej dobro?

- Ależ naturalnie, że nie, kochanie.

- Dziękuję. Zgadzam się z tobą co do jednego: Anita nie powinna była zabraniać Ellen zaproszenia do domu swojego narzeczonego. Być może przyjrząwszy się mu w świetle własnej rodziny, z jej tradycjami i zwyczajami, sama doszłaby do wniosku, iż nie jest on dobrym kandydatem na męża. Swoim postępowaniem Anita wpędziła ją jedynie w jakieś najprawdopodobniej bezsensowne małżeństwo. Powiedziałem jej o tym. Ale zaproszenie ich oboje tutaj nie naprawi sytuacji; przynajmniej nie teraz. Wiesz przecież równie dobrze jak ja, że Anita powinna przyjąć ich ciepło i uroczyście... ale tak się nie stanie. W żadnym wypadku. Uśmiechnął się do mnie, na co odpowiedziałam również uśmiechem. Anita potrafiła być czarująca... lecz potrafiła też być chłodna i szorstka, jeśli taka poza akurat jej odpowiadała.

Po chwili milczenia Brian odezwał się ponownie:

- Jest jednak pewne rozwiązanie. Za parę tygodni postaram się znaleźć jakiś powód podróży na Tonga. W ten sposób zdziałam znacznie więcej, niż gdybym miał Anitę na karku.

- Cudownie! Proszę, zabierz mnie ze sobą.

- Wolałbym nie drażnić Anity.

- A ja wolałabym nie rezygnować z odwiedzenia Ellen.

- Hmm... A zrezygnowałabyś ze zrobienia czegoś, co naraziłoby na szwank dobro nas wszystkich?

- Gdyby zależało to ode mnie, to tak. Prosiłabym jednak o podanie przyczyn.

- Wyjaśnię ci je. Tymczasem pozwól, że ustosunkuję się do kwestii posagu.

Naturalnie, Ellen otrzyma co do grosza wszystko, co się jej należy. Musisz jednak zgodzić się, iż na razie nie ma pośpiechu. Zawarte naprędce małżeństwa zwykle nie trwają zbyt długo. Nikt z nas nie wie na pewno, czy nasza córka nie wyszła za łowcę fortun. Zaczekajmy trochę i

przekonajmy się, czy ów jegomość nie poślubił Ellen tylko po to, by położyć łapę na jej pieniądzech. Tak będzie roztropniej, nieprawdaż?

Musiałam przyznać mu rację. Po chwili milczenia odezwał się ponownie:

- Marjorie, kochanie. Jesteś bliska nam wszystkim w szczególny sposób; widzimy cię przecież tak rzadko. Każdy twój przyjazd do domu to jakby nowy miodowy miesiąc. Ale ponieważ większość czasu spędzasz z dala od Christchurch, więc pewnie trudno ci zrozumieć, dlaczego pozostałej części rodziny tak bardzo zależy, aby nie drażnić Anity.

- Owszem, Brianie, doskonale to rozumiem. Dziwię się tylko, że nie działa to w obie strony.

- Wcale nie jestem przekonany o celności twojego spostrzeżenia. Żyję z Anitą najdłużej spośród was; znam ją również najlepiej. Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale właśnie ona jest spoiwem, dzięki któremu rodzina trzyma się razem.

- Teraz nie bardzo rozumiem.

- Przede wszystkim, to na jej głowie spoczywają wszelkie obowiązki związane z prowadzeniem domu i interesów. Jako menadżer rodziny jest praktycznie niezastąpiona. Być może ktoś inny spośród nas byłby w stanie robić to wszystko zamiast niej, lecz - przynajmniej jak na razie - nikt nie kwapi się do wzięcia owego ciężaru na swoje barki; nikt też z pewnością nie dorównałby Anicie. W sprawach nie mających związku z prowadzeniem interesów również trudno przecenić jej talent; obojętnie, czy chodzi o rozstrzygnięcie kłótni pomiędzy dziećmi, czy też o podejmowanie decyzji dotyczących tysiąca różnych innych kwestii związanych z zarządzaniem tak dużym gospodarstwem. Anita potrafi szybko podjąć właściwą decyzję i to dzięki niej wszystko jakoś się kręci. Będąc tak dużą S-grupą, nie moglibyśmy obejść się bez zdolnego i silnego lidera.

„Zdolnego i silnego tyrana” - pomyślałam.

- A więc Marjorie, moja dziewczynko - ciągnął dalej - czy możesz uzbroić się w cierpliwość i dać staremu Brianowi trochę czasu na uporanie się z problemem, o którym mówiliśmy?

- Oczywiście, kochanie - powiedziałam, kładąc dłoń na jego dłoni. „Byle nie trwało to zbyt długo” - dodałam w myśli.

- I proszę cię, porozmawiaj z Vickie po powrocie do domu. Powiedz jej, że żartowałaś wtedy i że nie miałaś zamiaru tak jej zdenerwować.

Oho! Myśląc o Ellen zupełnie zapomniałam, od czego zaczęła się ta rozmowa.

- Chwileczkę, Brianie. Jeśli moja podróż na Tonga miałaby rzeczywiście zirytować Anitę, zgadzam się z nią zrezygnować. Ale co do Vickie, to wolałabym, żeby swoje uprzedzenia rasowe zachowała dla siebie. Nie zamierzam ponownie słuchać jej wynurzeń na ten temat.

- Ależ, skarbie! Wcale cię o to nie proszę. Uważam nawet, że masz rację. Zresztą nie tylko ja; Liz jest tego samego zdania. Lecz w przypadku Victorii rzecz wygląda nieco bardziej skomplikowanie, choć jej również nie przypadł do gustu sposób, w jaki Anita potraktowała Ellen i jej męża. Rozmawiałem z nią na temat jej poglądów. Myślę, iż obecnie jest skłonna uznać, że Tonganowie to, nie licząc koloru skóry, tacy sami ludzie jak my. Chodzi mi tylko o ten dosyć dziwny żart, który tak bardzo wytrącił ją z równowagi.

- Brianie, swego czasu powiedziałeś mi, że zanim zdecydowałeś się skończyć prawo,

nieomalże uzyskałeś doktorat z biologu

- Z tym „nieomalże” pewnie trochę przesadziłem, ale ogólnie to prawda.

- Wiesz więc dobrze, że sztuczne istoty ludzkie nie różnią się biologicznie od normalnych ludzi. Natomiast braku duszy nie można zauważyć.

- Jestem zwyczajnym parafianinem, Marjie, a dusza to problem dla teologów. Lecz tak naprawdę nietrudno jest rozpoznać żywego artefakta.

- Nie użyłam sformułowania „żywy artefakt”. Tym terminem określać można co najwyżej mówiące psy, takie jak Lord Nelson. Sztuczna istota ludzka posiada dokładnie wszystkie cechy normalnego człowieka; ma ten sam wygląd i tę samą budowę. Jak więc możesz odróżnić jedno od drugiego? Weźmy na przykład mnie. Znasz na wylot moją psychikę i moje ciało; jestem szczęśliwa, mogąc tak twierdzić. Powiedz zatem - jestem sztuczną istotą ludzką czy też normalnym człowiekiem?

Brian uśmiechnął się i oblizał wargi.

- Mogę jedynie stwierdzić, kochanie, że w dziewięćdziesięciu procentach jesteś z pewnością normalną kobietą, zaś w pozostałych dziesięciu - aniołem. Czy mam zacząć wyliczać, dlaczego?

- Znając twój gust, mój drogi, nie sądzę, aby było to konieczne. Bądź jednak poważny, proszę. Przypuśćmy, iż zawdzięczam życie inżynierii genetycznej. Czy jakkolwiek mężczyzna, który znalazłby się w moim łóżku - tak jak ty w ciągu ostatniej i wielu poprzednich nocy - byłby w stanie to stwierdzić?

- Daj spokój, Marjie, proszę cię. To przestaje być zabawne.

Tego typu rozmowy sprawiają czasami, że tracę poczucie rzeczywistości.

- Ja jestem sztuczną istotą ludzką.

- Marjie!

- Nie chcesz uwierzyć mi na słowo? Muszę to udowodnić?

- Dostyc już żartów! Masz natychmiast przestać! Jeśli tego nie zrobisz, ukarzę cię po powrocie do domu. Nigdy nie podniosłem ręki na ciebie ani na żadną z moich żon; dziś jednak zasłużyłaś sobie na lanie.

- Tak? Widzisz ten kawałek ciastka na twoim talerzyku? Zaraz ci go zabiorę. Zasłoń go dłońmi i spróbuj mnie powstrzymać.

- Nie bądź głupia.

- Zrób to. Zapewniam cię, że zanim się poruszysz, talerzyk będzie pusty.

Przez moment patrzył mi z niedowierzaniem w oczy. Nagle poderwał ręce ku nieszczęsnym resztkom deseru. Błyskawicznie sięgnęłam po swój widelec, podniosłam go, wbiłam w ów kawałek ciastka, porwałam go między mającymi się właśnie połączyć dłońmi Briana i zatrzymałam tuż przed swoimi ustami. Wtedy, w sierocińcu, wbiłam sobie plastikowy widelec w policzek tylko dlatego, że nie umiałam jeszcze zapanować nad prędkością swoich ruchów.

Tego, co wyrażała twarz Briana, nie da się opisać słowami.

- Czy już wystarczy? - zapytałam go. - Widzę, że chyba nie. W takim razie, mój drogi, sprawdźmy, kto z nas ma silniejszą dłoń.

Wyciągnęłam w jego kierunku prawą rękę. Chwilę zawahał się, w końcu jednak podał mi swoją. Przez moment pozwoliłam, by miał nade mną przewagę, po czym stopniowo

zaczęłam wzmacniać uścisk.

- Nie pozwól się zranić - ostrzegłam go. - Daj mi znać, kiedy mam przestać.

Brian nie należał do mięczaków; potrafił wytrzymać sporą dawkę bólu. Już miałam rozluźnić palce, gdy syknął przez zaciśnięte zęby:

- Dosyć!

Natychmiast puściłam jego dłoń i zaczęłam ją delikatnie masować.

- Zadawanie bólu wcale nie sprawia mi przyjemności, kochanie, lecz jakoś musiałam ci udowodnić, że mówię prawdę. Zazwyczaj jestem ostrożna i staram się nie popisywać bez potrzeby swoim nieprzeciętnym refleksem lub siłą. W moim zawodzie są one jednak niezbędne. Nieraz już pozwoliły mi ocalić głowę i wyłącznie w takich sytuacjach uciekam się do ich użycia. A teraz: czy ciągle jeszcze nie wierzysz, że jestem tym, kim powiedziałam? Mogłabym to udowodnić jeszcze na wiele innych sposobów, lecz najłatwiej zademonstrować siłę i zrećność.

- Czas już wracać do domu - odrzekł Brian bezbarwnym tonem.

Podczas drogi nie wymieniliśmy nawet tuzina słów. Naprawdę uwielbiam jazdę powozem zaprzężonym w parę ślicznych gnidoszy. Zazwyczaj jest to dla mnie prawdziwa rozkosz. Tego dnia żałowałam jednak, że nie było pod ręką czegoś mechanicznego i bardziej hałaśliwego, ale szybkiego.

Przez następnych kilka dni Brian wyraźnie mnie unikał. Widywałam go wyłącznie przy posiłkach. Wreszcie nadszedł poranek, kiedy w czasie śniadania Anita zapytała mnie:

- Marjorie, moja droga, mam w mieście kilka spraw do załatwienia. Czy nie pojechałabyś ze mną? Być może będę potrzebować twojej pomocy.

- Oczywiście! - Cóż innego mogłam odrzec?

Kilkakrotnie zatrzymywałyśmy się w najbliższym sąsiedztwie Gloucester Street oraz przy Durham. Moja pomoc nie była potrzebna ani razu. Doszłam w końcu do wniosku, iż Anita po prostu potrzebowała towarzystwa, a myśl, że jej wybór padł właśnie na mnie, sprawiła mi nawet przyjemność. Ona rzeczywiście potrafiła być przemiła; tak długo, dopóki ktoś nie próbował przeciwstawić się jej woli.

Gdy załatwiła to, co miała do załatwienia, poszłyśmy do Hagley Park pospacerować wzdłuż brzegu Avonu, a potem do Ogrodu Botanicznego. Anita wybierała nasłonecznione miejsca, w których karmiłyśmy ptaki i przyglądałyśmy się im. Swoje druty odłożyła obok siebie na ławeczkę. Nie rozmawiałyśmy o niczym ważnym, lub po prostu siedziałyśmy milcząc.

Byłyśmy w parku już ponad półtorej godziny, gdy odezwał się jej przenośny telefon.

Wyjęła go z torby i podniosła do ucha.

- Tak?

Przez chwilę słuchała, kiwając od czasu do czasu głową, po czym powiedziała „dziękuję” i odłożyła go z powrotem. Nie uważała za stosowne poinformować mnie, z kim rozmawiała. Cóż - w końcu nie miała takiego obowiązku.

Po kilku minutach milczenia zadała mi niejasne pytanie:

- Powiedz mi, Marjorie, zastanawiałaś się kiedyś nad znaczeniem takich słów, jak

„wina” lub „skrucha”?

- Owszem, i to nie raz. A dlaczego pytasz?

- Dlatego, że oszukałaś, że okłamałaś nas.

- ...Cooo?!

- Nie udawaj niewiniątka. Nigdy przedtem nie musiałam wchodzić w układy

ze

stworzeniem nie będącym dziełem Boga. Wcale nie jestem taka pewna, czy możesz pojąć, co to wina i grzech. Zresztą, w tej chwili nie ma to już większego znaczenia. Zostałaś

zdemaskowana. Rodzina prosi o natychmiastowe załatwienie rozwodu. Brian rozmawia

właśnie z sędzią Ridgleyem.

Gwałtownie poderwałam się z ławki.

- Z jakiego powodu?! Nie zrobiłam nic złego!

- Czyżby? Zapomniałaś, że nowozelandzkie prawo zabrania nieлюдziom wchodzenia w związki małżeńskie z istotami ludzkimi.

Rozdział VIII

Jakaś godzinę później siedziałam już na pokładzie wahadłowca do Auckland. Miałam teraz wiele czasu, aby zastanowić się nad własną głupotą.

Od owej nocy, gdy rozmawiałam z Szefem o moim człowieczeństwie, minęły prawie trzy miesiące. Powiedział mi wtedy, że jestem „taką samą kobietą jak matka Ewa”. Według jego słów mogłam bez obaw przyznać się każdemu, iż tak naprawdę stworzona zostałam jako SIL - i tak nikt by w to nie uwierzył.

W zasadzie niewiele mijало się to z prawdą. Szef nie wziął jedynie pod uwagę, że dołożę wszelkich starań, by udowodnić, iż w myśl nowozelandzkiego prawa nie jestem człowiekiem.

W pierwszym odruchu chciałam zażądać zwołania rady rodzinnej. Szybko dowiedziałam się, że nie ma już takiej potrzeby. Decyzja w mojej sprawie została podjęta in camera. Wynik głosowania: siedem głosów przeciwko, żadnego za.

Nie wróciłam nawet do domu. Moje osobiste rzeczy zostały już wcześniej spakowane i dostarczone do hali odlotów bazy Kiwi Lines. O tym właśnie dowiedziała się przez telefon Anita, gdy siedziałyśmy na ławce w Ogrodzie Botanicznym.

Ciągle jeszcze mogłam uprzeć się i pojechać do domu. Nie miałam przecież żadnych podstaw, aby uwierzyć jej, że nie prowadzi takiej samej gry jak w przypadku Ellen. Ale jeżeli nawet tak było, to co? Wrócić? Wdawać się w dyskusje? Próbować przekonać ich o swojej racji? Całe to dzielenie włosa na czworo nie miało już sensu. W ciągu kilku sekund dotarło do mnie, że wszystko przepadło. Prysło jak bańka mydlana. Rozwiało się niczym sen. Moja „przynależność” skończyła się tak samo, jak skończyły się zabawy z dziećmi na dywanie. One nie były już moje.

Siedząc tak i bijąc się z własnymi, ponurymi myślami prawie zupełnie zapomniałam, jak „szlachetnie” i „wielkodusznie” zachowała się wobec mnie Anita. Otóż w przypadku zerwania lub naruszenia przeze mnie warunków kontraktu, który podpisałam, ostatni jego paragraf przewidywał natychmiastowy zwrot całej sumy, jaką wpłaciłam na konto rodzinnego przedsiębiorstwa. Czy bycie „nieczłowiekiem” oznaczało naruszenie warunków kontraktu? Patrząc na całą sprawę z jednej strony - gdyby postanowili wypisać mnie z rodziny, powinnam automatycznie otrzymać z powrotem swoje siedemdziesiąt tysięcy NZ\$. Z drugiej jednak strony posiadałam nie tylko tę część udziału, za którą zapłaciłam. W wyniku operacji bankowo-giełdowych dokonywanych przy pomocy moich pieniędzy byłam - przynajmniej teoretycznie - właścicielką sumy prawie dwa razy większej.

Owa wielkoduszność miała polegać na tym, że jeśli zgodzę się szybko i po cichu opuścić Christchurch, nie zostanie przeciwko mnie wniesiony żaden pozew sądowy. Co stałoby się, gdybym „próbowała zrobić wokół siebie publiczny skandal” - tego mi nie powiedziano.

Wyniosłam się po cichu.

Nie potrzebowałam psychoanalityka; wiedziałam, że byłam sama sobie winna. Dotarło to do mojej świadomości, gdy tylko Anita powiadomiła mnie, iż wie o wszystkim.

Ważniejsze jest, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam?

Nie dla Ellen - nie ma sensu oszukiwać samej siebie. Przeciwnie; własna naiwność uniemożliwiła mi zrobienie w tej sprawie czegokolwiek.

A więc dlaczego?

Złość.

Bezsilna złość na cały rodzaj ludzki za to, że istot takich jak ja nie zalicza on do swojego grona. Nie potrafiłam znaleźć lepszej odpowiedzi. Po prostu nie umiałam pogodzić się z tym faktem. Nie widziałam powodów, które uzasadniałyby odmówienie mi takich samych praw, jakie posiadali inni, „normalni” ludzie. Uczucie to narastało we mnie od chwili, gdy jako dziecko przekonałam się, że nie dotyczą mnie pewne przywileje, z których cieszyć się mogły inne dzieci, i to już od chwili narodzin. Ja nie urodziłam się nigdy, a to właśnie było miarą człowieczeństwa.

Obecnie uchodziłam za normalnego człowieka i w zasadzie mogłam wreszcie korzystać z owych przywilejów. Pozostała jednak uraza, która przybierała nawet na sile, jako że musiałam dusić ją w sobie. W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy ważniejsze dla mnie stało się uzyskanie odpowiedzi na pytanie, czy moja przybrana rodzina potrafi zaakceptować fakt, iż jestem tym, kim naprawdę nigdy nie przestałam być - Sztuczną Istotą Ludzką.

I uzyskałam tę odpowiedź. Myślę, że poznałam ją już wcześniej; wtedy, gdy przekonałam się, jak można potraktować swoją rodzoną córkę. Nikt nie stanął po mojej stronie, tak jak nikt nie stanął po stronie Ellen. Czułam, że tak będzie. Przeświadczenie o tym czaiło się, ukryte gdzieś głęboko w owym zakamarku mojej podświadomości, którego sama nie znałam, a który według Szefa kierował wszystkimi moimi myślami.

W Auckland znalazłam się zbyt późno, by zdążyć na SBS do Winnipeg. Zrobiłam rezerwację na następny dzień i nadałam cały mój bagaż, z wyjątkiem torby podróźnej. Zastanawiałam się właśnie, co zrobić z pozostałymi do odlotu dwudziestoma trzema godzinami, gdy nagle przypomniałam sobie o kapitanie Tormeyu. Według tego, co mi mówił, prawdopodobieństwo, że jest akurat w mieście, było niewielkie. Jego mieszkanie - jeśli było puste - mogło okazać się przyjemniejsze od hotelowego pokoju. Odszukałam więc publiczny terminal i wystukałam kod.

Kiedy ekran rozjarzył się, ujrzałam twarz młodej kobiety, całkiem nawet ładną.

- Cześć! Jestem Torchy. Z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Marjorie Baldwin - odrzekłam. - Zdaje się, że pomyliłam kod.

Chciałam połączyć się z mieszkaniem kapitana lana Tormeya.

- W takim razie nie pomyliłaś się, kotku. Zaczekaj chwileczkę, właśnie bierze prysznic. - Odwróciła się i krzyknęła: - Bubber! Jakaś piękność na wizji. Zna twoje imię! Gdy kobieta ponownie stanęła przodem do ekranu, mogłam się jej dokładnie przyjrzeć. Miała całkiem niezłe ciało. Może trochę zbyt szerokie biodra. Ale z tymi długimi nogami, szczupłą talią i piersiami, które nie były wcale gorsze od moich... Nie, nie mogłam jej nic zarzucić; przynajmniej, jeśli chodziło o wygląd zewnętrzny.

W duchu przeklinałam samą siebie. Dobrze wiedziałam, po co chciałam spotkać kapitana: po to, aby o trzech mężczyznach zapomnieć w ramionach czwartego. Niestety, ów czwarty był już zajęty.

Kiedy wreszcie ukazał się na wizji, był już ubrany, choć niekompletnie. Przez chwilę szukał w myślach, zanim mnie rozpoznał.

- Ach! Witam, panno... Baldwin! To dopiero niespodzianka. Gdzie jesteś?

- W porcie. Mam trochę czasu, więc postanowiłam dowiedzieć się, co u ciebie słychać.

- Zostań tam, gdzie jesteś. Nie ruszaj się z miejsca, nie oddychaj. Zaraz cię stamtąd

zabierani.

- Nie, kapitanie. Chciałam cię tylko pozdrowić. Tak jak ostatnim razem, mam tu przesiadkę.

- Jakimi liniami chcesz lecieć? Dokąd? O której godzinie?

Cholera. Nie przygotowałam odpowiedniej bajeczki. No cóż - prawda jest częstokroć lepsza od niezdarnego kłamstwa.

- Wracam do Winnipeg.

- Świetnie! W takim razie widzisz na ekranie swojego kapitana. Odlatujemy jutro w południe, nieprawdaż? Masz więc wiele czasu. Powiedz mi, gdzie dokładnie jesteś? Przyjadę po ciebie za jakieś... czterdzieści minut, jeśli tylko uda mi się szybko złapać dorożkę.

- Musisz być bardzo zmęczony, lanie, bo nie myślisz zbyt jasno. Nie jesteś przecież sam. Mam na myśli panią, która pierwsza podeszła do terminalu. Torchy - tak chyba brzmi jej imię.

- Torchy nie jest jej imieniem, chociaż pasuje do niej*.[* Torchy- błyskotka] To moja siostra, Betty. Mieszka w Sydney, lecz zatrzymuje się tu od czasu do czasu. Musiałem ci o niej wspominać. - Odwrócił się na moment i krzyknął w głąb mieszkania: - Torchy! Choć tu i przedstaw się. Tylko ubierz coś przyzwoitego.

- Już i tak za późno - usłyszałam jej czarujący głosik. Po chwili zobaczyłam ją, ale tylko od pasa w górę. Podeszła do terminalu i przedstawiła się. Odniosłam wrażenie, iż robiła to z pewnym oporem i wydawało mi się, że wiem, dlaczego.

- Och, do diabła z tym. Mój brat ciągle próbuje uczyć mnie, jak mam się zachowywać. Mąż dawno już opuścił ręce. Posłuchaj, kotuś: słyszałam, o czym rozmawialiście. Jestem przyrodną siostrą tego drągala. Gdy któraś z jego pańienek stara się wyjść za niego za męża, Ian przedstawia mnie jako swoją narzeczoną. Rozumiem, że ty nie masz takiego zamiaru?

- Nie, nie mam.

- W porządku. W takim razie możesz go mieć. Przygotowuję właśnie podwieczorek.

Czego się napijesz? Gin czy whisky?

- To samo, co ty i kapitan.

- Jemu nie wolno pić. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny siada za sterami. Za to my możemy się nawet zalać.

- A więc napiję się tego samego, co ty, byle nie była to cykuta.

Przekonałam Iana, że sama łatwiej znajdę dorożkę tu, w porcie, gdzie czekały one na klientów. Przyjeżdżanie specjalnie po mnie i tracenie pieniędzy oraz czasu nie miało sensu. Numer siedemnasty przy Locksley Parade był nowym blokiem mieszkalnym z systemem podwójnego zabezpieczenia. Gdy tylko weszłam do mieszkania Iana, natychmiast za moimi plecami rozległ się szczeł kilku zamków i drzwi zostały zamknięte przez automat tak szczelnie, jakby to nie były drzwi, lecz luk statku międzyplanetarnego. Od razu na progu wpadłam w ramiona Betty. Jej pocałunek nie pozostawiał żadnych wątpliwości - miała za sobą już niejedną kolejkę. Pocałunek mojego troskliwego niedźwiedzia powiedział mi dwie rzeczy: po pierwsze - z pewnością nie wziął do ust ani kropli alkoholu; po drugie zaś - pójdzie z nim do łóżka było kwestią najbliższej przyszłości. Nie pytał o moich mężów, a ja nie miałam ochoty opowiadać niczego na temat rodziny. Mojej byłej rodziny, Ian i ja rozumieliśmy się świetnie bez słów.

Podczas gdy tak staliśmy, tocząc ów niemy dialog, Betty wyszła z pokoju. Po chwili wróciła i podała mi czerwony, króciutki szlafroczek.

- To nie jest żadne oficjalne przyjęcie - wyjaśniła z głośnym czknięciem - więc wyskakuj z tych eleganckich ciuchów i załóż to, kotuś.

Jej pomysł, czy może jego? Jej - zdecydowałam po głębszym namyśle. Nawet odrobina zdrowej lubieżności pasowała do prostolinijnej natury lana niczym pięść do nosa. Co innego Betty; ona wyglądała na zupełnie wyuzdaną. Zresztą, nie robiło mi to żadnej różnicy. Sytuacja rozwijała się przecież w oczekiwanym przeze mnie kierunku. Odsłonięte nogi bywają często równie podniecające, jak odsłonięte piersi, choć wielu ludzi zdawało się o tym zapominać. Skąpo odziana kobieta wygląda o wiele bardziej prowokująco, niż gdyby była zupełnie naga. Początek zapowiadał się więc nieźle. Tylko od lana zależało, czy pozbędzie się opieki siostry, gdy przyjdzie czas... o ile będzie to konieczne. Niewykluczone, iż właśnie Betty miała grać pierwsze skrzypce. Tymczasem jednak nie zwracałam sobie tym głowy.

Dwie godziny później byłam już zalana w trupa.

Trudno opisać moje zdziwienie, gdy następnego ranka obudziłam się i stwierdziłam, że mężczyzna, który leży w łóżku obok mnie, nie jest Ianem Tormeyem.

Przez kilka minut leżałam, przyglądając się mu i słuchając, jak chrapie. Pomimo wysiłków nie potrafiłam odszukać w pamięci jego twarzy. Zresztą, nie było w tym nic dziwnego; gin nie wpływa najlepiej na jasność umysłu, a mnie ciągle jeszcze szumiało w głowie. Zawsze uważałam, że kobieta powinna znać chociaż imię mężczyzny, z którym idzie do łóżka. Czy my zostaliśmy sobie przedstawieni...?

Powoli, z wielkim wysiłkiem, zaczęłam coś sobie przypominać. Nazwisko: profesor Federico Farnese, przez przyjaciół zwany „Freddie” lub „Chubbie”. Mąż Betty, szwagier lana. Jak przez mgłę pamiętałam go z poprzedniego wieczora. Dziś rano nie miałam jednak pojęcia, kiedy i jak się tu zjawił.

Zorientowawszy się, kim jest, przestałam dziwić się faktowi, że spędziłam z nim noc.

W nastroju, w jakim byłam wczoraj, nie przepuściłabym żadnemu facetowi. Dręczyło mnie tylko jedno pytanie: czy nie uraziłam przy okazji gospodarza domu? Oj, to byłoby niegrzecznie, Piętaszku. Bardzo niegrzecznie.

Zaczęłam gorączkowo szukać w pamięci. Nie, to niemożliwe. Z pewnością nie zrobiłam nic, co mogłoby dotknąć lana. Na moje szczęście... i jego również, jeśli to, co mówił, mówił szczerze. o ile dobrze pamiętam, to był jego pomysł. Mój troskliwy niedźwiedź okazał się bardzo wyrozumiały. Tego właśnie potrzebowałam, by zapomnieć, jak pozwoliłam się omamić cnotliwemu i prawemu gangowi rasistów pod wodzą Anity.

Zachowanie lana nie zaskoczyło mnie. Każdy, kto miał choć odrobinę oleju w głowie, wiedział, że oszukana i wzgardzona kobieta potrzebuje o wiele więcej czułości i ciepła, niż jest go w stanie znaleźć w ramionach jednego mężczyzny. Nie mogłam jednak przypomnieć sobie, jak doszło do transakcji pomiędzy dwoma szwagrami. Fifty-fifty? Trudno powiedzieć, Piętaszku. Rzadko który SIL potrafi zrozumieć przeróżne przyczyny, dla których normalni ludzie traktują spółkowanie jako temat tabu. Swego czasu miałam zostać panienką do towarzystwa. Zapamiętałam dokładnie wszystko, czego mnie wówczas nauczono, i wiedziałam, że szczególnie tego typu przypadki okrywa zazwyczaj głęboka tajemnica, choć o innych również nie zawsze wypadało mówić otwarcie.

Ostatecznie postanowiłam nie okazywać nawet cienia zainteresowania kulisami całej

sprawy.

Gdy tak rozmyślałam, Freddie przestał chrapać i obudził się. Ziewnął, przeciągnął się, przetarł oczy i spojrzał na mnie. Przez moment wyglądał na zaskoczonego, lecz po chwili błysnął zębami w szerokim uśmiechu i wyciągnął do mnie ramię. Odpowiedziałam na jego uśmiech i dotyk - gotowa przekonać się, jak było ostatniej nocy - gdy wszedł Ian.

- Dzień dobry, Marjie. Freddie, wiesz, że nie cierpię przerywać, ale zamówiłem już dorożkę. Marjie musi wstawać i ubierać się; zaraz wyjeżdżamy.

Na Freddim owe argumenty najwyraźniej nie wywarły wrażenia. Ziewnął raz jeszcze i wyrecytował:

Maty ptaszek z żółtym dzióbkiem
Za okienkiem przysiadł zgrabnie
W szybkę puknął dzióbka czubkiem
Wstawaj, śpiochu; fe, nieładnie.

- Twoje poświęcenie dla obowiązków służbowych i troska o dobro naszego gościa przynoszą ci zaszczyt, kapitanie. O której musisz tam być? Dwie godziny wcześniej, tak? I startujesz w samo południe, gdy dzwony na wieży będą bić na Anioł Pański?

- Tak, ale...

- W takim razie Helen - masz na imię Helen, nieprawdaż? - nie musi się śpieszyć. Wystarczy, jeżeli zjawi się w porcie nie później niż na trzydzieści minut przed odlotem. Osobiście tego dopilnuję.

- Posłuchaj, Fred: Dobrze wiesz, że nie cierpię psuć innym zabawy. Nie mogę jednak tracić godziny na szukanie i wysyłanie tu jakiejś pieprzonej dorożki.

- Tak, to okrutna prawda. Dorożkarze unikają nas, a ich konie nie lubią, gdy się je gania po tych wzgórzach. Właśnie dlatego, drogi szwagrze, wynająłem ostatniej nocy powóz, dając w zastaw sakiewkę złota. W tej chwili stary, wierny Rosynant stoi w którejś ze stajni dozorczy, pożywiając się kolbami smacznej kukurydzy i zbierając siły przed oczekującą go ciężką próbą. Hojnie wynagrodziłem za to ciecia. Obiecał, że gdy tylko zadzwonię na dół, pocziwa bestia zostanie natychmiast zaprzężona i razem z karetą będzie czekać u wyjścia. W ten sposób dostarczę Helen pod sam trap nie później niż na trzydzieści i jedną minutę przed odlotem. Bądź spokojny; ręczę ci, że będziesz miał o czasie ten kawałek ciała najbliższy twemu sercu.

- Przestań pajacować.

- Jakże bym śmiał?! Po prostu wyrażam się najdelikatniej, jak potrafię.

- Co ty na to, Marjie?

- Hmm... Czy tak będzie w porządku, Ianie? Naprawdę nie mam teraz ochoty wyskakiwać z łóżka. Z drugiej jednak strony wolałabym nie spóźnić się na twój statek.

- Nie spóźnisz się. Na Freddim można polegać, choć nie wygląda na takiego, „tylko wyjdźcie stąd o jedenastej; wówczas, jeśli będziesz musiała, zdążysz nawet piechotą. Mogę zatrzymać twoją rezerwację nawet po odprawie; kapitan ma pewne przywileje.

Ian zerknął na zegarek

- Na mnie już czas.

- Hej! Pocałuj mnie na do widzenia.

- Po co? Zobaczymy się przecież na pokładzie statku. I pamiętaj, że mamy randkę w Winnipeg.

- Pocałuj mnie, do diabła, albo spóźnię się na ten cholerny statek!

- Wypłacz się więc z ramion tego grubego Rzymianina i uważaj, żeby nie poplamić mi munduru.

- Nic z tego, staruszk. Mogę co najwyżej wyświadczyć ci tę przysługę i pocałować Helen w twoim imieniu.

Ian nachylił się nade mną i pocałował mnie czule. Nawet nie musnęłam jego pięknego kapitańskiego uniformu. Pocałował też Freda w lekko łysiejące czoło, po czym wyprostował się i powiedział:

- Baw się dobrze, stary, tylko nie zapomnij przywieźć jej o czasie.

W chwili, kiedy to mówił, do pokoju zajrzała Betty. Jej brat otoczył ją ramieniem i zabrał z powrotem.

Gdy zamknęli za sobą drzwi, odwróciłam się do Freda.

- Gotowa? - zapytał z szelmowskim uśmiechem.

- Gotowa - odrzekłam, myśląc jednocześnie, że Ian, Betty i Freddie są właśnie tym, czego potrzebował Piętaszek, aby wymazać z pamięci wspomnienie o paru tchórzliwych hipokrytach, z którymi żył o wiele za długo.

Betty weszła z poranną herbatą w odpowiednim momencie, z czego wywnioskowałam, że musiała podsłuchiwać pod drzwiami. Usiadła na łóżku, krzyżując nogi, i wypić ją razem z nami. Potem wszyscy troje zabraliśmy się za Śniadanie. Ja zjadłam owsiankę, dwa jajka z majonezem, gruby płat szynki Canterbury, porcję frytek, pomarańczę oraz dwie ciepłe bułeczki z dżemem truskawkowym i najsmaczniejszym na świecie masłem. Gdyby na całej Ziemi podawano takie śniadania jak na Nowej Zelandii, nie byłoby wojen. Freddie ubrał się przed jedzeniem w szlafrok, ale Betty pozostała naga. Poszłam więc za jej przykładem. Wychowując się w sierocińcu, nie nauczyłam się zbyt wiele na temat obyczajów i etykiety panującej wśród normalnych ludzi. Wiedziałam jednak, że będąc gościem, kobieta - nie chcąc urazić swoich gospodarzy - musi być albo ubrana, albo kompletnie rozebrana. Ja nie jestem przyzwyczajona siedzieć nago w czyjejś obecności (sierociniec to całkiem inna sprawa), lecz Betty najwyraźniej nie miała najmniejszych oporów. Byłam ciekawa, czy ona również wyrzuciłaby mnie z mieszkania, gdyby dowiedziała się, że jestem humanoidem. Myślę, iż nie zrobiłaby tego, wołałam jednak nie próbować. Po co psuć tak przyjemnie zaczęty dzień?

Freddie odprowadził mnie aż do hali odlotów. Była jedenasta dwadzieścia, kiedy przez wewnętrzny interkom wywołał Iana i zapytał o moją rezerwację. Zgodnie z obietnicą kapitan zatrzymał ją dla mnie. Po kwadransie siedziałam już w fotelu przeciążeniowym, a Ian zapinał mi pasy bezpieczeństwa.

- Ostatnim razem nie potrzebowałaś tak naprawdę pomocy, nieprawdaż? - zapytał półgłosem.

- Masz rację - odrzekłam szeptem - ale cieszę się, że udawałam co innego.

- W czasie odliczania rozmawiałem z Janet. Powiadomiłem ją, iż zjesz razem z nami obiad. Janet prosiła, abym przekazał ci, że mogłabyś zostać również na śniadanie. Ja także nie miałbym nic przeciwko temu. Wyjeżdżanie z Winnipeg w środku nocy nie jest najlepszym

pomyśłem. Pełno teraz napadów. Nielegalni imigranci, którzy przedostają się przez granicę z Imperium, potrafiliby cię zabić nawet dla kawałka chleba.

- Porozmawiamy o tym, kiedy dotrzemy na miejsce, zgoda?

„Kapitanie Ianie, ty »wolny człowieku« - pomyślałam. - Mówiłeś przecież, że nigdy byś się nie ożenił. Ponoć należysz do tych, co »chodzą zawsze własnymi ścieżkami«.

Ciekawam, czy pamiętasz jeszcze naszą pierwszą rozmowę. Nie sądzę jednak, by tak było”.

- Właściwie wszystko już postanowione - odezwał się ponownie Ian. - Janet mogłaby nie zaufać mojej opinii na temat kobiety. Z jakichś nieznanych mi powodów twierdzi, że jestem uprzedzony do wszystkiego, co nosi spódnicę. Ale Betty ufa bezgranicznie i właśnie teraz z nią rozmawia. Zna Betty o wiele dłużej niż mnie; mieszkały razem w McGill. Tam właśnie spotkałem ją po raz pierwszy. Tam też Freddie poznał moją siostrzyczkę. Musisz wiedzieć, że wszyscy czworo byliśmy wywrotowcami - od czasu do czasu planowaliśmy przenieść cichcem w inne miejsce Biegun Północny.

- Czy Janet jest tak sympatyczna jak Betty?

- I tak, i nie. To właśnie Janet była niespokojnym duchem naszej paczki. Zresztą, porozmawiamy o tym później. Teraz muszę cię przeprosić. Powinienem przynajmniej poudawać, że jestem kapitanem. Co prawda całą tą blaszaną trumną steruje obecnie komputer, ale mam zamiar dowiedzieć się, jak mu to idzie.

Spędziwszy z Ianem, Freddie i Betty noc pijanych Saturnaliów, poczułam coś w rodzaju oczyszczającego katharsis. Nareszcie mogłam w racjonalny sposób myśleć o swojej eksrodzinie. Czy oni faktycznie mnie oszukali? W końcu podpisałam ten głupi kontrakt z własnej woli; łącznie z ostatnią klauzulą, o którą się potknęłam. Czy seks był jedyną rzeczą, za którą zapłaciłam?

Nie. To, co powiedziałam kiedyś Ianowi, było prawdą: do łóżka mogłam pójść z każdym. Zapłaciłam za przywilej należenia. Za niewyszukaną radość ze zmieniania dzieciom mokrych pieluszek, za zmywanie naczyń w kuchni i za zabawy na dywanie z kociętami.

Mister Underfoot był mi zawsze bez porównania bliższy niż Anita, choć nigdy nie dopuszczałam do siebie tej myśli. Naprawdę starałam się kochać ich wszystkich, dopóki dzięki matce Ellen nie ujrzałam prawdziwego oblicza Rodzinnej Grupy Davisona.

Niech policzę: pamiętałam dokładnie, kiedy miał się skończyć mój urlop. Nie musiałam być genialnym matematykiem, by przekonać się, że te nie takie znowu długie wakacje kosztowały mnie sporo ponad czterysta pięćdziesiąt NZ\$ dziennie. Tyle zapłaciłam za pokój i wyżywienie. Dość wysoka cena, choć przecież nie tarzałam się w luksusach. W rzeczywistości moja eksrodzina nie wydawała na mnie nawet trzynastu procent tej sumy. Zastanawiało mnie, co też zawierały kontrakty pozostałych jej członków?

A może Anita, nie będąc w stanie powstrzymać Douglasa przed sprowadzeniem mnie do Christchurch, postanowiła przyjąć mnie do rodziny na korzystnych dla niej - to znaczy dla Anity - warunkach finansowych, które jednocześnie uniemożliwiały mi porzucenie pracy i zamieszkanie w domu? Trudno powiedzieć. Zbyt mało wiem o małżeństwach pomiędzy normalnymi ludźmi, by móc wydawać w tej sprawie jakiegokolwiek sądy.

A jednak czegoś się nauczyłam.

Zawsze uważałam Briana za najmądrzejszego i najbardziej doświadczonego w całej rodzinie. Myślałam, że on jeden potrafiłby żyć ze mną, nie bacząc na mój laboratoryjny „rodowód”. Tym trudniej było mi zrozumieć, dlaczego stanął przeciw mnie.

Możliwe, że nie zachowałby się w ten sposób, gdybym zademonstrowała mu jakieś

inne, mniej jak na kobietę szokujące umiejętności. Ja jednak udowodniłam mu swą wyższość w dziedzinie, w której każdy mężczyzna - skądinąd słusznie - spodziewałby się być lepszy. Uraziłam jego męską dumę. Jeśli nie chce się wykończyć faceta lub go rozwścieczyć, nie powinno się go kopać w jaja. Nawet symbolicznie.

Rozdział IX

Podróż miała się ku końcowi. Statek wszedł w zewnętrzną warstwę atmosfery i rozpoczął szybowanie z prędkością pięciokrotnie przewyższającą prędkość dźwięku. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Co prawda komputer i tak znacznie ograniczał wibrację kadłuba, lecz nadal była ona odczuwalna w nader przykry sposób. Szczególnie dla kogoś, kto miał za sobą noc tak pełną wrażeń jak ja.

W miarę spadku prędkości wibracje i towarzyszący im hałas stawały się nie do zniesienia. Wreszcie podwozie dotknęło pasa startowego, statek wyhamował... a ja mogłam ponownie otworzyć oczy. Naprawdę uwielbiam podróże SBS-ami, lecz pomiędzy lądowaniem a zatrzymaniem się maszyny zawsze wstrzymuję oddech i zaciskam powieki.

Z North Island wystartowaliśmy we czwartek, w samo południe, więc gdy po czterdziestu minutach lotu dotarliśmy do Winnipeg, był środowy, wczesny wieczór, godzina dziewiętnasta. To nie jest głupi żart - spójrzcie na mapę, taką ze strefami czasowymi. Znowu poczekałam, aż ostatni pasażer opuści pokład, a kapitan znowu zarzucił sobie na ramię moją torbę. Tym jednak razem nie był już przypadkowym (?!) znajomym; był starym, dobrym przyjacielem i ogromnie mnie to cieszyło.

Gdy postawił swój - niewielki zresztą - bagaż przed oficerem Urzędu Celnego, ten nawet nań nie spojrział.

- Witam, kapitanie! Co dzisiaj szmuglujemy?

- To samo, co zwykle: kradzione brylanty, narkotyki, kilka sztuk broni i trochę lewej waluty.

- Tylko tyle? To po kiego diabła zawracasz mi głowę?

Niedbałym ruchem nakleił na torbie etykietę i skinąwszy głową w moim kierunku, zapytał lana:

- Ona jest z tobą?

- Coś ty?! Pierwszy raz widzę ją na oczy!

- Ja być indiańska squaw - powiedziałam. - Biały pan obiecać dużo woda ognista.

Biały pan nie dotrzymać obietnica dla indiańska squaw.

- O'key. Zamierza pani zostać tu dłużej?

- Najwyżej jedną noc. Mieszkam w Imperium, a tu jestem przejazdem. Przed miesiącem odlatywałam stąd na Nową Zelandię; oto moje dokumenty.

Zajrzał do paszportu i postawił stempel. Moja torba nie wzbudziła w nim najmniejszego zainteresowania.

- Jeśli indiańska squaw zostać tu trochę dłużej - powiedział na pożegnanie - ja kupić jej woda ognista. Na kapitan Tormey nie ma co liczyć.

Gdy tylko znaleźliśmy się za barierką, Ian postawił bagaż na ziemi, podbiegł do jakiejś kobiety, uniósł ją w górę niczym piórko - choć była zaledwie o dziesięć centymetrów niższa od niego - i pocałował z entuzjazmem.

- Janet - rzekł, stawiając ją ponownie na ziemi - to właśnie jest Marjie.

Nie rozumiem, po jaką cholere zawracał sobie głowę, by mnie tu sprowadzić. Nic nie wskazywało na to, że po zapadnięciu zmroku znajdzie dla mnie choć kwadrans. Ciekawe, czy dadzą mi przynajmniej coś ciekawego do czytania.

Janet cmoknęła mnie w policzek, co sprawiło, iż poczułam się nieco lepiej, a w każdym razie pewniej. Przez chwilę wpatrywała się z uwagą w jakiś punkt ponad moją głową, po czym spytała:

- Gdzie to zostawiłaś. Na statku?

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli. Ta torba jest całym moim bagażem.

- Nie, nie, moja droga. Chodzi mi o aureolę. Według tego, co powiedziała mi Betty, powinnaś ją mieć.

Nadal niewiele z tego rozumiałam.

- Jesteś pewna, że powiedziała „aureola”?

- No, niezupełnie. Powiedziała, że jesteś aniołem. Możliwe, iż resztę podpowiedziała mi wyobraźnia.

- Możliwe. Nie przypominam sobie, bym ostatniej nocy wkładała aureolę. Zwykle nie zabieram jej ze sobą w podróż.

- To chyba prawda - odezwał się Ian. - W każdym razie ja widziałem na głowie Marjie jedynie worek z lodem po całonocnym pijaństwie. Przykro mi o tym mówić, najdroższa, ale Betty miała na nią bardzo zły wpływ.

- O, niebiosa! To może lepiej zrobimy, jeśli od razu udamy się na spotkanie modlitewne? Co o tym sądzisz, Marjie? Po drodze możemy wpaść gdzieś na herbatę, a obiad zjemy później. Zobaczysz, cała parafia będzie się za ciebie modlić.

- Jak sobie życzysz, Janet - odrzekłam, zastanawiając się jednocześnie, czy nie powinnam odmówić. Nie miałam zielonego pojęcia, jak zachować się podczas „spotkania modlitewnego”. Z pomocą przyszedł mi Ian.

- Myślę, że Marjie wolałaby raczej jechać prosto do domu. Tam również możemy się za nią pomodlić. Nie sądzę, aby była przyzwyczajona do publicznych spowiedzi.

- Co ty na to, Marjie?

- No cóż, jeśli nie sprawi ci to przykrości...

- Nie ma o czym mówić, Ian, zawołasz Georgesę?

Georges okazał się być Georgesem Perreault. To wszystko, czego się o nim dowiedziałam, wyjąwszy fakt, iż powoził parą ślicznych czarnych koni zaprzężonych do dwukółki typu Honda, na jaką mogli sobie pozwolić jedynie bardzo zamożni ludzie. Ciekawe, ile zarabiają kapitanowie statków semibalistycznych. Zresztą, to nie mój interes. Tak czy owak, ten powóz mógł naprawdę zawrócić w głowie. Podobnie zresztą, jak Georges. Był on przystojnym wysokim brunetem. Miał na sobie ciemny uniform i kepi, jakie noszą zazwyczaj woźnice. Z początku wzięłam go za lokaja, lecz gdy Janet przedstawiła mi go, zmieniłam zdanie. O ile mi wiadomo, służba nie ma raczej w zwyczaju całować gości w dłoń. Ian usiadł z przodu, obok Georgesę. Janet zabrała mnie ze sobą do tyłu i rozwinęła gruby, wełniany pled.

- Pomyślałam, że wyjeżdżając z Auckland nie wzięłaś pewnie ze sobą nic ciepłego - wyjaśniła - więc zabrałam go na wszelki wypadek. Przykryj się dobrze.

To było bardzo miłe, więc nie powiedziałam jej, iż nigdy się nie przeziębiam. Georges skierował powóz w stronę autostrady i cmoknął na konie, które natychmiast przeszły w rażny kłus. Ian sięgnął do klaksonu przymocowanego tuż przy koźle i zatrąbił kilka razy, choć nie

było żadnego powodu. Najwyraźniej lubił po prostu pohłasować trochę na drodze. Nie pojechaliśmy do samego Winnipeg. Ich dom znajdował się w Stonewall - małym osiedlu na północny zachód od miasta, lecz za to bliżej portu. Zanim tam dotarliśmy, zapadł już zmrok, lecz pomimo panujących ciemności jedna rzecz nie uszła mojej uwadze. Cała posiadłość była małą fortecą gotową do odparcia każdego ataku, może z wyjątkiem szturm regularnej armii. Aby dostać się do domu, trzeba było najpierw minąć po kolei trzy bramy, z których dwie ostatnie stanowiły jednocześnie coś w rodzaju bunkrów strzeleckich. Co prawda nie zauważyłam ukrytych kamer ani zdalnie sterowanej broni, jednak nie miałam najmniejszej wątpliwości, że i jedne, i drugie gdzieś tu są. Czerwone i białe światła pulsujące na szczycie dachu ostrzegały wszystkich pilotów, by nie próbowali tego sprawdzać.

Przejeżdżając szybko przez wszystkie trzy bramy nie mogłam wiele zauważyć - było już zbyt ciemno. Udało mi się dostrzec zaledwie zarysy jakichś murów i ogrodzeń, majaczące w mroku. Lecz co czekało na intruza, który próbowałby samowolnie je przekroczyć - tego mogłam się jedynie domyślać. Pytań na ten temat wolałam nie zadawać, choć ciekawiło mnie kilka rzeczy. Na przykład kwestia zaopatrzenia w energię. Ciągle pamiętałam, jak „wujek” Jim pozbawił farmę możliwości obrony, odcinając główny Napęd. Wydawało się jednak oczywiste, że każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, nie buduje fortecy po to, by opowiadać gościom o jej sekretach.

Nie pytałam także - choć miałam wielką ochotę - co stałoby się, gdybyśmy zostali zaatakowani, zanim jeszcze minęlibyśmy bramę. W czasach, w których dzięki rozkwitowi nielegalnego handlu bronią rzadko kto nie miał przy sobie choćby zwykłego rewolweru, nie należało zadawać tego rodzaju pytań. Co prawda ja chodzę zazwyczaj nieuzbrojona, lecz nie przypuszczam, by inni robili tak samo; niewielu ludzi posiada moje umiejętności i wyszkolenie. Ja nie musiałam obciążać sobie kieszeni jakimś żelastwem, które mogą mi odebrać w każdym punkcie kontrolnym, które mogę zgubić, do którego może zabraknąć amunicji lub które najzwyczajniej w świecie zatnie się dokładnie wtedy, kiedy będzie potrzebne. Jedynie wyglądałam na nieuzbrojoną, a to dawało mi pewną przewagę.

Powóz zatoczył po podjeździe szeroki łuk i zatrzymał się tuż przy ganku, a Ian ponownie zaczął trąbić tym cholernym klaksonem. Tym jednak razem nie hałasował bez powodu - w odpowiedzi na ostry dźwięk otworzyły się frontowe drzwi.

- Wejdźcie do środka, moje drogie - powiedział Ian. - Ja pomogę Georgesowi przy koniach.

- Nie trzeba. Poradzę sobie sam.

- Wcale w to nie wątpię. - Ian zeskoczył z kozła, pomógł nam wysiąść i wręczył żonie moją torbę. Georges cmoknął na konie i powóz odjechał w stronę stajni; Ian ruszył za nim pieszo.

Janet przepuściła mnie przed sobą. Gdy stanęłam w drzwiach, zaparło mi dech w piersiach. Przed moimi oczyma, pośrodku foyer, znajdowała się bajecznie podświetlona, programowana fontanna. Przez chwilę stałam, patrząc w niemym zachwycie na zmieniające się kształty i kolory. Spod sufitu sączyła się delikatna, nastrojowa muzyka, która -

najprawdopodobniej - sterowała fontanną.

- Janet... kto jest twoim architektem?

- Podoba ci się?

- Jeszcze jak!

- To się cieszę, bo architekta masz przed sobą. Ian zajmował się stroną techniczną, a Georges - dekoracją wnętrz. Georges jest specjalistą w kilku dziedzinach sztuki; całe wschodnie skrzydło to jego studio. Nawiasem mówiąc, Betty prosiła mnie, abym schowała przed tobą twoje ubrania i nie oddawała ich tak długo, dopóki Georges nie namaluje cię nago.

- Naprawdę tak powiedziała? Ale ja nigdy nie byłam modelką. Poza tym muszę przecież wracać do pracy.

- Być może uda nam się zmienić twoje zdanie. Chyba że wstydzisz się pozować, choć Betty nie sądziła, byś miała jakieś zahamowania. Zresztą, Georges może namalować cię ubraną... na początek.

- Nie, nie wstydziałabym się. No, może odrobinę. W końcu to dla mnie zupełna nowość. Wiesz co, zaczekajmy z tym trochę, dobrze? Szczerze mówiąc w tej chwili bardziej niż pozowanie interesuje mnie gorąca kąpiel. Nie miałam do czynienia z wodą, odkąd wyszłam z mieszkania Betty. Powinnam była zatrzymać się w porcie.

- Och, wybacz mi, moja droga. Nie powinnam kazać ci stać tu i słuchać głupot o malarstwie Georges'a. Matka zawsze mówiła mi, że pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić po wprowadzeniu gościa do domu, jest pokazanie mu, gdzie znajduje się łazienka.

- Moja matka uczyła mnie dokładnie tego samego - skłamałam.

- Tędy. - Janet uśmiechnęła się, prowadząc mnie obok fontanny w kierunku korytarza z rzędem drzwi po obu stronach. Otworzyła trzecie z prawej. - To jest twój pokój - powiedziała, stawiając na łóżku moją torbę. - Łazienka znajduje się za drzwiami. Będziemy ją ze sobą dzielić, bo mój pokój, będący lustrzanym odbiciem twojego, jest dokładnie naprzeciwko.

Musiałam przyznać, że było co dzielić. Łazienka składała się z trzech części, każda z osobnym WC, bidetem, umywalką i prysznicem wystarczająco dużym, by mógł się pod nim wykapać oddział żołnierzy, gdyby któryś z nich wiedział, do czego służą wszystkie te kurki i pokręta. Ja dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy zapytałam Janet. Nie zabrakło nawet solarium i stołu do masażu, małego basenu oraz sauny, która również nie była zaprojektowana dla jednej tylko osoby. O toaletkach z podwójnymi kryształowymi lustrami, lodówce, terminalu i biblioteczce z półkami na kasety nie wypada nawet wspominać.

- A gdzie lampart? - zapytałam.

- Spodziewałaś się tu lamparta?

- Takie łazienki widywałam dotychczas jedynie na filmach; bohaterki miały w nich zawsze oswojonego lamparta.

- Nie pomyślałam o tym. Czy zadowolisz się zwyczajnym kotem?

- Jasne. Czy ty i Ian lubicie koty?

- Nie potrafię wyobrazić sobie domu bez nich. Gdybym chciała je sprzedać, zbiłabym niezłą fortunę.

- Szkoda, że nie mogę zabrać ci choć jednego. Nie miałabym co z nim zrobić.

- Później o tym pogadamy. Nie wiem, jak ty, ale ja zamierzam jeszcze wziąć prysznic, zanim usiądę do stołu. Przed podróżą do portu zbyt wiele czasu zajęło mi czyszczenie Czarnej Piękności i Demona. Nie zdążyłam się wykapać. Pewnie na miłe czuć ode mnie stajnię. W ten oto prosty sposób kilkanaście minut później znalazłam się pod prysznicem. Był tam również Georges, który mył mi plecy, Ian, który mył mój brzuch i Janet, która myła samą siebie, żartując i udzielając chłopcom dobrych rad. Trzeba przyznać, iż nie robili nic, by mnie

popędzać. Żadnych prób uwodzenia i nawet najmniejszej wzmianki o tym, że poprzedniej nocy omalże nie zgwałciłam gospodarza.

Obiad zjedliśmy w salonie (olbrzymia sala z kominkiem będącym - podobnie jak fontanna w hallu - jednym z pomysłów lana). Miałam na sobie suknię koktajlową, podarowaną mi przez Janet. Gdybym założyła taką „suknię koktajlową” w Christchurch, z pewnością nie uniknęłabym aresztowania.

Po kawie i brandy byłam już niezłe wstawiona, tym bardziej, że jeszcze przed obiadem wypłam parę drinków, a i w trakcie nie odmówiłam kilku kieliszków wina. Bez trudu więc przekonali mnie, abym zrzuciła z siebie tę pożyczoną suknię. Gdy ją zdjęłam, Georges zrobił mi kilka stereograficznych i kilka holograficznych ujęć, wymieniając z resztą towarzystwa uwagi na mój temat, zupełnie jakbym była kawałkiem wołowiny. O tym, że jutro rano muszę wyjechać, wspomniałam jedynie pro forma i bez większego przekonania. Georges nawet nie zwrócił na to uwagi. Powiedział za to, iż mam „dobrą bryłę”. Miał to być zapewne komplement i w jego mniemaniu z pewnością nim był.

Tak czy owak, zrobił mi kilka naprawdę świetnych holografii. Szczególnie jedna przypadła mi do gustu. Przedstawiała mnie leżącą w dosyć lubieżnej pozycji na niskiej kanapie wraz z pięcioma kociećkami gramolącymi się po moich piersiach, udach i brzuchu. Tak mi się spodobała, że poprosiłam Georges, by ją dla mnie skopiował.

Potem zrobił jeszcze kilka ujęć, na których pozowałyśmy wspólnie z Janet. Te również były fantastyczne. Jasna cera Janet i oliwkowa karnacja mojej skóry stanowiły naprawdę cudowny kontrast, choć odniosłam wrażenie, iż holografie Georges upiększały nieco rzeczywistość. W końcu jednak zaczęłam ziewać i moja uroczą gospodyni stwierdziła, że na dzisiaj dosyć. Przeprosiłam, mówiąc, iż nie wiem, skąd wzięła się moja senność - w strefie czasowej, w której zaczęłam dzisiejszy dzień, ciągle jeszcze był wczesny wieczór.

- To, że komuś chce się spać, niekoniecznie musi mieć coś wspólnego z zegarami i strefami czasowymi - odrzekła Janet. - Panowie, idziemy do łóżek.

Gdy obie znalazłyśmy się w tej bajecznej łazience, położyła mi dłonie na ramionach.

- Marjie, potrzebujesz towarzystwa, czy będziesz raczej spać sama? Wiem od Betty, że ostatnia noc była dla ciebie bardzo wyczerpująca, może więc tę wolałabyś spędzić sama?

Wybór należy do ciebie.

- Nigdy nie sypiam sama z własnej woli.

- Ja również - odrzekła z uśmiechem. - Kogo chciałabyś zabrać do łóżka?

Zbaraniałam. Czyżby naprawdę zamierzała zrezygnować ze swojego własnego męża, który przecież dopiero co wrócił do domu?!

- Postawmy sprawę inaczej - powiedziałam po chwili. - Kto chce spać ze mną?

- Każdy! Tak mi się przynajmniej wydaje. To nie musi być tylko jedno z nas. Ty wybierasz.

Przetarłam oczy, usiłując przypomnieć sobie, ile wypłam.

- Czworo w jednym łóżku?!

- Lubisz to?

- Nigdy jeszcze nie próbowałam. Brzmi podniecająco, ale pod kołdrą zapanuje przecież potworny tłok.

- Ach, prawda! Nie byłaś jeszcze w moim pokoju, więc nie widziałas naprawdę

dużego łóżka. Bardzo często sypiamy we troje: ja i obaj moi mężowie... i ciągle jeszcze jest mnóstwo miejsca dla gości, którzy zechcieliby do nas dołączyć.

No tak, musiałam być rzeczywiście nieźle wstawiona. Dwie noce z rzędu - to przerastało chyba możliwości mojej biednej głowy.

- Dwaj mężowie? Nie wiedziałam, że Brytyjska Kanada przyjęła Plan Australijski.

- Brytyjska Kanada nie, lecz jej obywatele: owszem. A w każdym razie wielu spośród nich. Pozostałym nic do tego. No więc, chcesz wypróbować to olbrzymie łóżko? Jeśli poczujesz się senna, zawsze będziesz mogła wyslizgnąć się do swojego pokoju. Nie bez powodu zaprojektowałam to skrzydło w taki, a nie inny sposób. Co ty na to, skarbie?

- No... tak. Mogę tylko czuć się nieco speszona.

- To szybko przejdzie. Zabierajmy się więc do...

Przerwał jej brzęczyk przy terminalu.

- A niech to szlag! - rzekła, najwyraźniej wyprowadzona z równowagi. - To niemalże na pewno oznacza, że Ian musi jechać do portu. Że też nie mogą dać mu spokoju; przecież dopiero co wysiadł z kokpitu.

Podeszła do terminalu i ze złością wcisnęła przełącznik.

- ... w stanie gotowości. Granica z Imperium Chicago została szczelnie zamknięta, a uchodźcy stamtąd - aresztowani i odizolowani. Atak od strony prowincji Quebec jest o wiele poważniejszy, lecz nie wyklucza się błędu oceny dowództwa tamtejszego okręgu. Jak dotychczas nie wiadomo nic na temat oficjalnego wypowiedzenia wojny. Od tej chwili obowiązuje stan wyjątkowy. Zostańcie w swoich domach, nie wychodźcie na ulice, zachowajcie spokój i rozwagę. Czekajcie na oficjalne wiadomości oraz instrukcje, które będą podawane na tym kanale.

Spojrzałam na Janet, a potem przeniosłam wzrok na zegar. Mijała północ.

Zaczynał się Czerwony Czwartek.

Rozdział X

Myślę, że nie ma nikogo, kto nie pamiętałby Czerwonego Czwartku i tego, co nastąpiło po nim. Ale aby wytłumaczyć swoje postępowanie (między innymi samej sobie, o ile to możliwe), muszę najpierw opowiedzieć, jaki obraz tego dnia pozostał w mojej pamięci. Wszyscy czworo zebraliśmy się w olbrzymim łóżku Janet, lecz nikt nawet nie myślał o seksie. Razem było po prostu raźniej. Wzrok każdego z nas utkwiony był w ekranie terminalu, a uszy pilnie wychwytywały każdy strzęp informacji. Spiker powtarzał wciąż to samo: atak od strony prowincji Quebec odparty, władca Imperium Chicago zamordowany we własnej sypialni, granica z Imperium zamknięta, nie potwierdzone doniesienia o sabotażu, nie wychodźcie z domów, zachowajcie spokój i rozwagę... Lecz chociaż kolejne komunikaty nie zawierały nic nowego, milknęliśmy za każdym razem, gdy były nadawane, czekając na jakąś wiadomość, która ułożyłaby poprzednie doniesienia w jakąś logiczną całość.

Niestety, im bliżej świtu, tym poważniejszy stawał się ton komunikatów. Około czwartej nad ranem wiedzieliśmy już, że fala zabójstw i sabotaży ogarnęła cały glob. O świcie zaczęły napływać kolejne nie potwierdzone wieści o zamieszkach na Ell-Cztery, potem w Bazie Stacjonarnej i na Tycho; wiadomość z Ceres została przerwana przez zakłócenia. Nikt nie wiedział, czy rozruchy ogarnęły rejony tak odległe jak Alfa Centauri czy Tau Ceti, lecz ton wypowiedzi ważnych osobistości, pojawiających się kolejno na ekranie, oraz sposób, w jaki starali się oni omijać ów temat, nie pozostawiały zbyt wielu wątpliwości.

Tuż po czwartej zrobiłam wraz Janet parę kanapek. Zaparzyłyśmy też kawę. Obudziłam się o dziewiątej. Bez większego zdziwienia spostrzegłam, że spałam z głową na piersi Georgesa, obejmując go ramieniem, Ian również spał, oparty o ścianę, ni to siedząc, ni leżąc, z poduszczką wciśniętą pod głowę. Jego spojrzenie nadal utkwione było w ekranie, ale powieki dawno już opadły. Janet nie było w pokoju; najprawdopodobniej poszła do mojej sypialni i zasnęła w „moim” łóżku.

Ostrożnie, żeby nie obudzić Georgesa, podniosłam głowę z jego piersi i powoli zsunęłam się z łóżka, po czym - teraz już nie zwlekając - pobiełam do łazienki. Hektolitry kawy, wypite w ciągu nocy, dawały teraz o sobie znać. Gdy opuszczałam łazienkę, czułam się już znacznie lepiej. Przechodząc obok „mojego” pokoju, zajrzałam do środka, by sprawdzić, czy Janet również jeszcze śpi. Nie spała. Machnęła ręką w moją stronę i posunęła się, robiąc mi miejsce obok siebie. Gdy wsunęłam się pod kołdrę, pocałowała mnie w czoło.

- Jak tam chłopcy? - spytała.

- Jeszcze śpią. A przynajmniej spali trzy minuty temu.

- To dobrze. Potrzebują snu. Obaj mają mocno nadszarpnięte nerwy. Ja natomiast nie. Zresztą stwierdziłam, że siedzenie i wpatrywanie się w ekran aż do bólu oczu mija się z celem, toteż wyszłam i położyłam się tutaj. Ty wtedy też już spałaś, jak sądzę.

- Bardzo możliwe. Nie mam pojęcia, kiedy zasnęłam. Wydawało mi się, że bez przerwy słyszę te same, ciągle złe wiadomości. I nagle się obudziłam.

- Niczego nie straciłaś. Co prawda wyłączyłam dźwięk, lecz włączyłam teletekst. Na ekranie pojawiały się niezmiennie te same, straszne doniesienia. Marjorie, oni wszyscy obawiają się, że dojdzie do bombardowań. Nie sądzę, by było aż tak źle.

- Obyś miała rację. Ja nie jestem taką optymistką.

- Pomyśl tylko, kto i przeciw komu miałby użyć bomby H? Gdzie szukać wroga?

Wszystkie najważniejsze bloki militarne znajdują się w nie lada opałach; tak przynajmniej wynika z doniesień. Zresztą, pomijając to, co wydaje się być jedynie idiotyczną pomyłką jakiegoś generała z Quebec, jak na razie ani jeden oddział wojskowy nie został wprowadzony do akcji. Owszem, wiadomo o skrytobójstwach, pożarach, wybuchach, o sabotażu wszelkiego typu i pokroju, o terroryzmie i zamieszkach - ale na tym koniec! To nie wojna Wschodu z Zachodem ani marksistów przeciwko faszystom, ani też czarnych przeciwko białym. I jeżeli ktokolwiek odpali rakiety, to będzie oznaczało, że cały świat zwariował.

- A czy teraz na to nie wygląda? - spytałam.

- Nie wydaje mi się. Według mnie cały ten bałagan wymierzony jest przeciwko wszystkim rządóm w takim samym stopniu. Nie wygląda to na robotę polityków.

- Anarchiści? - zasugerowałam.

- Nie wiem. Może...?

Do sypialni wszedł Ian. Miał podkrążone oczy, jednodniowy zarost na policzkach i

brodzie oraz o wiele za krótki płaszcz kąpielowy, przewiązany niedbale w pasie. Był najwyraźniej zdenerwowany.

- Janet, nie mogę połączyć się z Betty i Freddim.

- Może wrócili już do Sydney?

- Nie o to chodzi. Nie mogę połączyć się ani z Auckland, ani z Sydney. Jedyne, co słyhać przy każdej próbie, to ten cholerny, syntetyczny głos komputera: Sieć-jest-obecnie-zablokowana. Proszę-spróbuj-później. Dziękuję-za-cierpliwość. Nic poza tym.

- Sabotaż?

- Być może. Ale możliwe też, że coś jeszcze gorszego. Rozmawiałem z wieżą kontrolną w porcie. Gdy spytałem, co do diabła dzieje się z połączeniem satelitarnym Winnipeg - Auckland, wszyscy nabrali wody w usta. W końcu główny kontroler powiedział mi, że nie obchodzą go czyjeś prywatne problemy z uzyskaniem połączenia, bo sam ma wystarczająco dużo kłopotów. Janet, wszystkie loty zostały wstrzymane - na dwa SBS-y, które wystartowały, dokonano zamachów. Winnipeg - Buenos Aires dwudziesta dziesiątka i Vancouver - Londyn pierwsza zero jeden.

- Ian!

- Nikt nie przeżył. Nie było nawet czego zbierać. Zapalniki ciśnieniowe, to pewne - oba statki wybuchły, opuszczając atmosferę. Niech to szlag! Następnym razem, zanim usiądę za sterami, sprawdzę wszystko osobiście i wstrzymam odliczanie z każdego, najbliższego choćby powodu. - I po chwili dodał: - Nie sądzę jednak, bym w najbliższym czasie miał po temu okazję. Żaden SBS nawet nie wystartuje, nie uzyskawszy przedtem połączenia z portem docelowym... a ten kontroler nie ukrywał, że przerwane zostały wszystkie połączenia satelitarne.

Janet wstała z łóżka, podeszła do Iana i pocałowała go.

- Przestań się tym martwić, kochanie. Naturalnie, będziesz sprawdzał wszystko sam, dopóki nie złapią zamachowców. Ale teraz możesz przestać już o tym myśleć. Nie wyślą cię nigdzie, dopóki nie odzyskają łączności. Proponuję więc, żebyś powiadomił zarząd portu, iż

bierzesz sobie urlop. A co do Betty i Freddiego, mnie również przykro, że nie możemy z nimi porozmawiać, ale oboje potrafią doskonale dać sobie radę sami; dobrze o tym wiesz. Z pewnością oni tak samo martwią się o nas, choć nie ma powodu, nieprawdaż? Na całe szczęście całe to zamieszanie zaczęło się, gdy byłeś już w domu, a nie gdzieś w połowie drogi między jednym a drugim portem. Jesteś tu i nic ci nie grozi - nic poza tym mnie nie obchodzi. Zostaniemy tutaj - bezpieczni i szczęśliwi - dopóki nie skończy się cała ta awantura.

- Muszę lecieć do Vancouver.

- Mężczyzno mojego życia, nie musisz robić nic, z wyjątkiem płacenia podatków.

Przecież nawet artefakta nie posadzą za sterami, skoro wszystkie loty zostały odwołane.

- Artefakty... - wymknęło mi się i natychmiast tego pożałowałam, Ian spojrział na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy.

- Och, Marjie, dzień dobry. Nie musisz się niczego obawiać, choć przykro mi, że do całego tego zamieszania doszło akurat teraz, gdy jesteś naszym gościem. Artefakty, o których wspomniała Janet, nie są jakimiś mechanizmami. To żywe istoty. Ludzie z Zarządu ubzdurali sobie, że żywy artefakt przeznaczony do pilotażu będzie wykonywać tę robotę lepiej niż robi to normalny człowiek. Jestem przewodniczącym Sekcji Winnipeg, więc nie mogę do tego dopuścić, a jutro w Vancouver ma się odbyć posiedzenie Rady Nadzorczej.

- Ian - odezwała się Janet - zadzwoń do Sekretarza Generalnego. Nie ma sensu lecieć do Vancouver, nie sprawdzając przedtem, czy spotkanie nie zostało odwołane.

- O'key, o'key.

- Najlepiej spróbuj przekonać go, by nakłonił Zarząd do odroczenia posiedzenia do momentu, kiedy wszystko się uspokoi. Wolałabym, żebyś został tu i bronił mnie.

- Albo vice versa.

- Albo vice versa - zgodziła się. - Pamiętaj jednak, że jeśli trzeba będzie zemdleć w twoich ramionach, aby cię zatrzymać, zrobię to. A teraz powiedzcie oboje, co zjecie na śniadanie? Tylko niech nie będzie to nic zbyt wyszukanego, bo inaczej będziecie musieli sami zabrać się do roboty.

Nie słuchałam, co mówiła. Moje myśli pochłonięte były tym, co usłyszałam przed kilkoma minutami. Sztuczne istoty ludzkie. Aż do tej pory sądziłam, że Ian jest wystarczająco cywilizowanym, mądrym i doświadczonym człowiekiem, by traktować je na równi z pozostałymi ludźmi. Zresztą, nie chodziło tylko o niego; to samo myślałam o tych dwoje, którzy zostali gdzieś na Antypodach. A teraz okazuje się, że Ian został wybrany, aby reprezentować swój związek zawodowy w walce, której praktycznym celem jest odsunięcie istot takich jak ja od wykonywania pracy przeznaczonej dla tak zwanych normalnych ludzi.

„Co chciałbyś z nami zrobić, Ian? - myślałam rozgorączkowaną. - Może najlepiej podrzynać nam gardła? Przecież żadnego SIL-a nie pytano, czy chce zostać wyprodukowany, podobnie jak ciebie nie pytano, czy chcesz się urodzić. Być może nie jesteśmy ludźmi, ale tak samo jak ludzie jesteśmy obcy na tym świecie, który nie my przecież stworzyliśmy”.

- Marjie?

- Och, przepraszam, Janet. Zamyśliłam się. O co pytałaś?

- Pytałam, co zjesz na śniadanie, moja droga.

- Cokolwiek, co nie będzie uciekało mi z talerza. A jeżeli już, to bardzo powoli. Pomogę ci w kuchni, dobrze?

- Miałam nadzieję, że to zaproponujesz, Ian, wbrew temu, co mówi, nie jest zbyt

dobrym kucharzem.

- To oszczerstwo! Jestem piekielnie dobrym kucharzem.

- Naturalnie, skarbie. Wiesz, Marjie, Ian dał mi pisemne zobowiązanie, że będzie gotował na każde moje życzenie. I rzeczywiście, gotuje. Ani razu nie próbował się wykręcić. Ale muszę być potwornie głodna, by go o to poprosić.

- Nie słuchaj jej, Marjorie.

W końcu nie dowiedziałam się, jakim kucharzem jest Ian, lecz Janet naprawdę potrafiła gotować. Podobnie zresztą Georges, o czym przekonałam się nieco później.

Janet przygotowała nam puszyste omlety z łagodnym cheddarem i kruche naleśniczki z zawiniętym wewnątrz dżemem, posypane cukrem-pudrem i przybrane dobrze uwędzonym bekonem. Do tego był sok ze świeżo wyciśniętych pomarańczy (wyciśniętych ręcznie, a nie zamienionych w papkę przez mikser). Pod koniec śniadania na stole pojawił się dzbanek z gorącą, aromatyczną kawą. Nowozelandzkie jedzenie jest naprawdę świetne, lecz nowozelandzka kuchnia niewiele ma wspólnego z gotowaniem czy smażeniem.

Georges pojawił się równocześnie z jednym z kotów. Tym razem była to Kocia Mama. Zwierzęta zostały na jakiś czas wyłączone spod opieki Janet; i tak miała ona wystarczająco dużo zajęć. Janet zarządziła również, że w czasie śniadania nie będziemy słuchać wiadomości ani nawet rozmawiać na temat ostatnich wydarzeń. Byłam jej za to naprawdę wdzięczna. Sama chciałam choć na chwilę zapomnieć o ponurych wydarzeniach, które rozgrywały się gdzieś za potrójnym murem otaczającym posiadłość moich gospodarzy. Od kilkunastu godzin nie przestawałam o tym myśleć, nawet podczas snu.

- Jedynie bomba H mogłaby przedrzeć się przez system obronny farmy - zauważyła Janet, uzasadniając swoją decyzję - a uderzenia takiej bomby i tak pewnie nikt z nas nie zdążyłby zauważyć. Może więc chociaż przy śniadaniu odprężymy się trochę.

Nie miałam nic przeciwko temu. Kocia Mama również nie zgłaszała zastrzeżeń.

Krażyła pod stołem, ocierając się o nasze stopy, i mruczeniem dawała znać, czyja kolej, by poczęstować ją kawałkiem bekonu. Podejrzewam, że ona zjadła go najwięcej.

Gdy pozmywałam naczynia, a Janet zaparzyła świeżą kawę, ponownie włączyliśmy terminal i usiedliśmy przed ekranem. Tym razem siedzieliśmy w kuchni, a nie w tym olbrzymim pokoju, gdzie wczoraj jedliśmy obiad. Kuchnia de facto spełniała także rolę salonu. Janet miała coś, co nazywa się „wiejską kuchnią”, chociaż pomieszczenie to z pewnością różniło się od tych, które urządzali zwyczajni farmerzy. Olbrzymie palenisko, potężny owalny stół, wyposażony w tak zwane „kapitańskie siedzenia”, oraz duże i wygodne klubowe krzesła zajmowały jedynie niewielką część powierzchni, nie tarasując nigdzie przejścia. Kociętom pozwolono pozostać; wszystkie chodziły dumne z tego powodu, prężąc na baczność ogony. Jednego wzięłam na kolana. Był to biały puszysty kłębek w wielkie czarne plamy. Mruczał prawie tak samo, jak dorosły kocur. Bez wątplenia Kocia Mama знаła niejednego kociego amanta - żadne z jej dzieci nie było podobne do drugiego.

Wiadomości zawierały przeważnie to samo co wczoraj, było jednak coś nowego, co wydarzyło się w Imperium.

Urządzono oblławę na demokratów, którzy następnie zostali w trybie doraźnym skazani przez Wojskowy Trybunał Doboszy (takim tytułem obdarzono trybunały burmistrza) i natychmiast straceni - rozstrzelani, zabici laserem, a niektórzy po prostu powieszani.

Wyteżyłam całą siłę woli, by nie odwracać oczu od tego, co działo się na ekranie. Skazywani

byli wszyscy powyżej czternastego roku życia. Ze zgrozą patrzyliśmy, jak dwoje rodziców, na których zapadł już wyrok, daremnie próbowało przekonać sędziów, że ich syn nie skończył jeszcze dwunastu lat.

Prezes trybunału, kapral Policji Imperium, nie zastanawiając się zbyt długo wyjął swój pistolet, zastrzelił chłopca i rozkazał strażnikom zrobić to samo z jego rodzicami i starszą siostrą.

Ian wyłączył obraz, przełączył na teletekst i wyciszył głos.

- Zobaczyłem wszystko, co chciałem zobaczyć - powiedział cicho. - Sądzę, że ktokolwiek sięgnął tam po władzę i zabił starego władcę Imperium, stara się teraz zlikwidować wszystkich, którzy mogą nie zechcieć mu sprzyjać. - Przygryzł wargę i zastanawiał się przez chwilę. - Marjorie, nadal nosisz się z tym niemądrym zamiarem natychmiastowego wyjazdu do domu?

- Ja nie jestem demokratą, Ianie. W ogóle nie interesuję się polityką.

- A ten dzieciak? Myślisz, że on się nią interesował? Przecież ci kozacy zabiliby cię choćby po to, by nie wyjść z wprawy. Zresztą i tak nie możesz jechać. Granica z Imperium jest zamknięta.

Nie powiedziałam mu, że potajemne przekraczanie granic na całej Ziemi stanowi część mojego zawodu.

- Sądziłam, że to dotyczy jedynie ludzi próbujących przedostać się na pomoc. Czyżby rzeczywiście nie pozwalano obywatelom Imperium wracać do domu?

Ian westchnął.

- Marjie, czy ty jesteś choć trochę bardziej rozgarnięta od tego kociaka, którego trzymasz na kolanach? Nie rozumiesz, że śliczne małe dziewczynki nie powinny zadawać się z brzydkimi chłopcami, bo może im się stać krzywda? Jestem pewien, że gdybyś była teraz w domu, twój ojciec nie pozwoliłby ci ruszyć się z niego na krok. Ponieważ jednak jesteś tu, obaj z Georgesem mamy obowiązek zadbać o twoje bezpieczeństwo. Mam rację, Georges?

- Mais oui, mon vieux! Certainment! [*Jasne, mój stary! Bez wątpienia!]

- A ja dodatkowo będę cię bronił przed Georgesem. Janet, postaraj się przekonać to dziecko, że jest tu naprawdę mile widziana i może zostać tak długo, jak to będzie konieczne. Mam wrażenie, że nasz gość należy do tych apodyktycznych kobiet, które za otrzymaną gościnę zawsze chcą wystawiać czeki.

- Wcale nie! Tylko...

- Marjie - przerwała mi delikatnie Janet. - Betty poleciła mi, żebym się tobą naprawdę dobrze opiekowała. Jeśli uważasz, że się narzucasz, możesz wesprzeć Brytyjsko-Kanadyjski Czerwony Krzyż lub schronisko dla bezdomnych kotów. Tak się składa, iż wszyscy troje zarabiamy nieprzyzwoicie dużo pieniędzy i nie mamy dzieci. Stanowisz więc dla nas taki sam problem, jak jeszcze jeden kociak. A teraz powiedz mi: zostajesz z własnej woli? Czy mam przełożyć cię przez kolano i dać w pupę?

- Nie lubię dostawać w pupę.

- Wobec tego postanowione, panowie; ona zostaje. Marjie, prawdę mówiąc, troszkę cię oszukaliśmy. Georges chciał cię zatrzymać również po to, żebyś mu pozowała jeszcze kilka razy. A ponieważ jest wstrętnym skąpcem - nieprawdaż, Georges? - postanowił zdobyć

modelkę jedynie za trochę jedzenia i kąta do spania, zamiast zapłacić stawkę obowiązującą w jego cechu. Sądzi, że zaoszczędzi w ten sposób.

- Ja nie sądzę; wiem, że zaoszczędzę. Marjorie jest warta znacznie więcej. Co najmniej dwa razy.

- Powiedzmy, że trzy razy. Bądź hojny przynajmniej w słowach, skoro i tak nie zamierzasz jej zapłacić. Pewnie chciałbyś widzieć ją w swoim laboratorium?

- Świetny pomysł! Właśnie coś takiego chodziło mi po głowie. Dzięki, nasz jedyny skarbie, że podjęłaś ten temat.

Georges uklonił się Janet z gracją, po czym odwrócił się w moją stronę.

- Marjie, sprzedasz mi jedno jajo?

Była to dosyć szokująca propozycja. Staralam się wyglądać tak, jakbym nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

- Ja nie mam żadnych jajek.

- Ależ owszem, masz! I to kilka tuzinów, czyli o wiele więcej, niż będziesz kiedykolwiek potrzebować na własny użytek. Mam na myśli gametę, czyli żeńską komórkę płciową. Laboratorium płaci za nie kilka razy drożej, niż za plemniki. Rachunek jest prosty. Czy to cię szokuje?

- Nie aż tak bardzo, choć przyznam, iż jestem nieco zaskoczona. Myślałam, że jesteś artystą.

- Marjie, kochanie - wtrąciła Janet - mówiłam ci, że Georges jest artystą w kilku dziedzinach. I to jest prawda. Jedną z owych dziedzin jest teratologia*.[* Teratologia dział patologii, nauka o wadach rozwojowych (potwornościach i zniekształceniach organizmów)] Georges jest profesorem Instytutu Mendela na Uniwersytecie Manitoba. Jest także szefem sekcji technologicznej Połączonych Laboratoriów Produkcyjnych. Uwierz mi - nie tylko moim zdaniem jest to sztuka naprawdę wysokiego lotu. Ale maluje również po mistrzowsku; tak przy pomocy farb i pędzla, jak i na ekranie komputera.

- To prawda - odezwał się Ian. - Georges jest prawdziwym artystą praktycznie w każdej dziedzinie, którą się zajmuje. Sądzę jednak, iż jego propozycja akurat w tym przypadku była nie na miejscu; ostatecznie Marjie jest naszym gościem. Poza tym nie wszyscy ludzie są zwolennikami idei manipulowania genami, szczególnie jeśli chodzi o ich własne geny.

- Och, Marjie, wybacz mi! Nie chciałam cię urazić.

- Wcale nie czuję się urażona, Janet. Nie należę do tych, których wyprowadza z równowagi sama myśl o żywych artefaktach, sztucznych istotach ludzkich czy czymś w tym rodzaju. Mam nawet pośród SIL-ów kilkoro dobrych przyjaciół.

- Ejże, moja droga - wtrącił Georges z pobłażliwym uśmiechem na twarzy. - Chyba się trochę zagalopowałaś.

- Dlaczego tak sądzisz? - Staralam się nadać mojemu głosowi możliwie obojętny ton.

- Ja mogę sobie pozwolić na takie stwierdzenie, ale ja pracuję w tym już ładnych parę lat. Jestem dumny, mogąc pochwalić się, że niejedna i nie dwie sztuczne istoty ludzkie są moimi prawdziwymi przyjaciółmi. Ty jednak...

Nie dałam mu skończyć.

- Byłam święcie przekonana, iż żaden SIL nie zna nazwiska swojego twórcy.

- I nie myliłaś się. Nigdy nie złamałem tego kanonu. Miałem jednak mnóstwo okazji, by poznać zarówno artefakty, jak i sztuczne istoty ludzkie - bo to nie to samo - i zdobyć sobie ich zaufanie, a niejednokrotnie przyjaźń. Powiedz mi, Miss Marjorie, czyżbyśmy wykonywali podobny zawód?

- Nie, nie sędzę.

- No widzisz. Tylko inżynier-genetyk lub ktoś blisko związany z tą profesją mógłby pochwalić się posiadaniem przyjaciół pośród SIL-ów. Wiesz dlaczego, moja droga? Ponieważ, wbrew obiegowym opiniom, jest po prostu niemożliwe, by laik potrafił odróżnić sztuczną istotę ludzką od normalnego człowieka... a dzięki bezpodstawnym uprzedzeniom głupich ludzi, ktoś, kto został stworzony w laboratorium genetycznym prawie nigdy nie zdradzi dobrowolnie swego pochodzenia. Powiedziałbym nawet, że nie „prawie” nigdy, tylko po prostu nigdy. Dlatego właśnie, chociaż cieszy mnie, że nie masz nic przeciwko SIL-om, zmuszony jestem potraktować to, co powiedziałaś, jako wybieg mający pokazać nam, iż jesteś kobietą wolną od przesądów i uprzedzeń.

- W porządku. Możesz to interpretować jak chcesz. Jednak ja naprawdę nie widzę przyczyn, dla których sztuczne istoty ludzkie muszą być obywatelami drugiej kategorii.

- I masz rację. Tylko widzisz, niektórzy ludzie czują się przez nie zagrożeni. Spytałam. Właśnie wybiera się do Vancouver, by powstrzymać swoją kompanię przed zatrudnieniem SIL-ów w charakterze pilotów. On uważa...

- Przestań! Wiesz dobrze, że to nieprawda. Muszę przedstawić sprawę w taki sposób, ponieważ taki był wynik głosowania moich przyjaciół ze związku. Nie jestem jednak głupcem, Georges. Mieszkając z tobą pod jednym dachem i rozmawiając nie jeden raz na ten temat, uświadomiłem sobie, że musimy pójść na kompromis. Tak naprawdę, to nie my jesteśmy pilotami; od początku tego wieku są nimi komputery. W razie awarii stałbym się natychmiast dzielnym lotnikiem, który zajmie się bezpiecznym sprowadzeniem statku na ziemię... lecz na miejscu pasażerów nie zakładałbym się, że ta sztuka mi się powiedzie. Dawno już minęły czasy, kiedy statki powietrzne latały z taką prędkością, która w w wypadku awarii zostawiała pilotowi wystarczająco dużo czasu na reakcję. Och, naturalnie, próbowałbym! Wszyscy moi koledzy również, jak sędzę. Lecz jeśli potrafisz stworzyć sztuczną istotę ludzką, która byłaby w stanie myśleć i poruszać się na tyle szybko, by poradzić sobie z nagłym spadkiem mocy przy lądowaniu, jestem gotów przejść na emeryturę. Rozumiesz teraz, o co nam chodzi? Przecież bez względu na to, czy kompania wymieni nas na SIL-e, czy też nie, nadal będzie musiała wypłacać pełne pensje.

- Owszem, potrafiłbym stworzyć taki organizm. Oczywiście pod warunkiem, że pozwolono by mi na klonowanie. I wierz mi; wszyscy piloci poszliby wówczas na zieloną trawkę. Ale nie byłby to SIL, lecz żywy artefakt. Gdybym pokusił się o wyprodukowanie w laboratorium istoty mającej stać się rzeczywiście idealnym pilotem - to znaczy takim, który w razie awarii mógłby zastąpić nawet komputer pokładowy - po prostu nie byłbym w stanie nadać jej wyglądu normalnego człowieka.

- Och, nie rób tego!

Obaj obrócili się ze zdziwieniem w moją stronę; Janet również spojrzała na mnie,

najwyraźniej zaskoczona. Natychmiast pożałowałam, że nie trzymałam języka za zębami.

- Dlaczego nie? - spytał Georges.

- No... Bo ja na przykład nie wsiadłabym do takiego statku. Czułabym się bezpieczniej, wiedząc, iż to Ian jest kapitanem.

- Dziękuję ci, Marjie - powiedział Ian - lecz słyszałaś przecież, co mówił Georges. Jemu chodzi o pilota-klona, który byłby lepszy ode mnie. Myślę, że to jest realne. Do diabła, to musi kiedyś nastąpić! Tak, jak niegdyś koboldy zastąpiły górników, tak ktoś lub coś zastąpi w końcu kapitanów SBS-ów. Nie muszę się z tego powodu cieszyć, ale taka jest prawda.

- Georges - zapytałam - czy pracowałeś kiedyś z inteligentnymi komputerami?

- Oczywiście. Sztuczna inteligencja to dziedzina bardzo zbliżona do tego, czym się zajmuję.

- W takim razie z pewnością wiesz, że specjaliści w tej dziedzinie już kilka razy ogłaszali, iż udało się im dokonać przełomu w konstrukcji tych maszyn. Krótko mówiąc twierdzili, że skonstruowali „świadomy” komputer. Lecz za każdym razem kończyło się to jednym wielkim rozczarowaniem.

- Ummm. I dosyć przykrym.

- Nie. Raczej nieuniknionym. I tak będzie zawsze. Komputer może stać się „świadomy”, naturalnie. Wystarczy podnieść poziom prędkości przetwarzania danych oraz stopień ich złożoności do poziomu, jaki jest w stanie przetworzyć ludzki mózg, i problem z głowy. Ale wówczas odkrywamy nagle, że wszystko na nic. Okazuje się, że ten poziom dla maszyny jest po prostu nieosiągalny. Ciągle ktoś musi wydawać jej polecenia, inaczej głupieje. Ten dylemat jest nierozwiązywalny. Komputer nigdy nie będzie naprawdę inteligentny. - Wzruszyłam ramionami i mówiłam dalej: - Ian może nie zawsze jest w stanie uratować swoich pasażerów, ale przynajmniej będzie próbował. Za to żywy artefakt, nie należąc do gatunku ludzkiego i nie będąc wobec niego lojalnym, może rozbić statek choćby dla samego piekła, jaki w ten sposób rozpęta. Może po prostu być zmęczony sposobem, w jaki jest traktowany. Czy mam dalej wymieniać hipotetyczne powody? Nie, Georges, ja zawsze będę wolała latać z Ianem. Twój artefakt mógłby przypadkiem nauczyć się nienawidzić ludzi.

- Nie mój artefakt - powiedział cicho Georges. - Czy zauważyłaś, jakiego trybu używałem, mówiąc o tym projekcie?

- Obawiam się, że nie.

- Przypuszczającego. A wiesz dlaczego? Ponieważ to, co powiedziałaś przed chwilą, nie jest dla mnie niczym nowym. Nie twierdziłem, że zamierzam zrealizować ów projekt, bo to nie byłaby prawda. Owszem, potrafiłbym stworzyć takiego pilota. Lecz sprawienie, by postępował on według takich samych zasad etycznych, jakie wpojono Ianowi w czasie szkolenia - to już przekracza moje możliwości.

- Ten problem można by jakoś rozwiązać - odezwał się Ian. - Być może wystarczyłoby wymóc na kompaniach, żeby przed zatrudnieniem jakiegokolwiek SIL-a lub ŻA-ta poddawano go testowi na przestrzeganie zasad ludzkiego kodeksu etycznego.

- A jak wyobrażasz sobie taki test? Bo ja nie znam żadnego sposobu na przekazanie owych zasad zarodkowi. Marjie dowiodła natomiast, iż za pomocą treningu również nie da się tego osiągnąć. Zresztą, nawet jeżeli, to co miałby udowodnić taki test? - Georges wzruszył ramionami i zwrócił się do mnie: - Kiedy byłem studentem, przeczytałem kilka klasycznych powieści, których bohaterami były humanoidalne roboty. To były naprawdę urocze historyjki. Oś wielu z nich stanowiło coś, co nazywano Prawami Robotyki*.[* Chodzi tu o powieść

Isaaca Asimova zatytułowaną „Trzy Prawa Robotyki”, należąca do kanonu SF] Był to zbiór podstawowych pojęć i reguł, znajdujący się na stałe w systemie operacyjnym każdego humanoida. Uniemożliwiał on czynienie krzywdy ludziom; obojętnie, czy przypadkowo, czy też celowo. Świetny temat dla literackiej fikcji... ale jak sprawić, by mogła się ona stać rzeczywistością? Co zrobić, żeby posiadająca własną świadomość sztuczna istota inteligentna - obojętnie: elektroniczna czy też organiczna - była zawsze lojalna wobec ludzi? - Na ustach Georges'a pojawił się cyniczny uśmiech. - Są tacy, dla których inteligencja zaczyna się na poziomie, na którym świadoma istota zaczyna sobie zadawać pytanie: „A co ja będę z tego mieć?”. Tak sobie myślę, Marjie, że zanim zaproponowałem ci, byś sprzedała to jajo, powinienem może poinformować cię, co ty będziesz z tego miała.

- Nie słuchaj go - powiedziała Janet. - Po prostu położy cię nagą na zimnym, metalowym stole i będzie cię obmacywać, nie mając jednak żadnych erotycznych zamiarów. Wiem coś na ten temat, bo sama dałam się namówić już trzy razy. I nigdy nie zobaczyłam nawet złamanego grosza.

- A dlaczego miałbym ci płacić - obruszył się Georges - skoro i tak wszystkie pieniądze idą do wspólnej kasy? Marjorie, moja droga, stół nie jest ani zimny, ani metalowy, tylko obity miękkim pluszem. I jeśli się na nim znajdziesz, będziesz mogła czytać, oglądać video, rozmawiać ze mną lub robić cokolwiek innego. Dawno już minęły czasy, kiedy tego rodzaju zabiegi były brutalną i niebezpieczną ingerencją w organizm kobiety. Lecz jeśli uważasz...

- Przerwijcie na moment - wtrącił się nagle Ian. - Zdaje się, że są jakieś nowe wiadomości.

- Tu Rada Ocalenia - mówił dziwnie ubrany mężczyzna siedzący przed kamerą. - Wydarzenia ostatnich dwunastu godzin są jedynie ostrzeżeniem dla nieudolnych, bogatych tyranów usiłujących utwierdzić się w roli klasy hegemonicznej. Ich czas się kończy. Muszą odejść, by mogły wreszcie zatryumfować praworządność i sprawiedliwość. Zabójstwa i terror będą trwały, dopóki nasze słuszne żądania nie zostaną spełnione. Nie wyłączajcie terminali! Pozostańcie przed ekranami i czekajcie na dalsze informacje na lokalnych kanałach awaryjnych.

Rozdział XI

Każdy, kto był wówczas zbyt młody, by słyszeć te wystąpienia, z pewnością czytał o nich w szkolnym podręczniku. Muszę je jednak przypomnieć choć w części, aby pokazać, jak bardzo wpłynęły one na to, co działo się później w moim życiu. Owa tak zwana „Rada Ocalenia” przedstawiała się jako tajne stowarzyszenie, którego celem była jakoby naprawa wszelkiego zła i nieprawości na Ziemi i na wszystkich planetach, na których żyli ludzie. Przed zapanowaniem obiecannej sprawiedliwości i praworządności miały jednak pospadać głowy. Wiele głów. Szefowie Rady ogłosili, że mają sporządzone listy członków wszystkich rządów na całym globie i poza nim; osobno dla niezależnych stanów i osobno dla liderów polityki ogólnoświatowej. W myśl zamierzeń Rady wszyscy oni mieli się stać celami zamachów.

Rada przyrzekła, że zabójstwa, terror i sabotaż będą się nasilać - coraz bardziej i bardziej - tak długo, aż spełnione zostaną wszystkie jej żądania.

Po odczytaniu listy liderów światowych ten sam mężczyzna, który pierwszy pojawił się na ekranie, zaczął wymieniać nazwiska z listy dotyczącej Kanady Brytyjskiej. Z zachowania się obojga moich gospodarzy nietrudno było wywnioskować, iż większość wyborów uważają oni za trafne. Na liście znajdował się również nowo wybrany kandydat na premiera. Zabrakło tam jednak nazwiska dotychczasowego szefa rządu. Przyznam, iż byłam tym mocno zaskoczona, choć z pewnością nie tak bardzo, jak on sam. Jak czuliście się, gdybyście przez całe życie zajmowali się polityką, docierając w końcu na sam szczyt, i gdyby wówczas jakiś bystrzak nie wiadomo skąd stwierdził, że nie jesteście wystarczająco ważni, by was zabić?

Po odczytaniu listy przedstawiciel Rady Ocalenia zapowiedział, że w ciągu najbliższych dziesięciu dni nie będzie żadnych zabójstw. Jeżeli w ciągu tego czasu nie zostaną spełnione wszystkie postawione przez nią warunki, co dziesiąta wymieniona osoba poniesie śmierć. Wybór miał być losowy. Nie powiedziano także, w jaki sposób; jedynie tyle, że zostaną zabici. Jeśli nie odniesie to żadnego skutku, po następnych dziesięciu dniach sytuacja powtórzy się według takiego samego schematu. I tak aż do chwili, kiedy ci, którym uda się przeżyć, postanowią zgodzić się na żądania stawiane przez Radę.

Człowiek na ekranie wyjaśnił również, że Rada Ocalenia nie jest organizacją polityczną i nie zamierza też zastępować żadnego rządu. Miała ona być jedynie strażnikiem praworządności i moralności, publicznym sumieniem ludzi sprawujących władzę. Ci spośród nich, którzy przetrwają, będą ją nadal sprawować, lecz będzie to władza uczciwa i sprawiedliwa.

- Tu Głos Ocalenia! Los Ziemi jest w waszych rękach!

Ekran zgasł. Dopiero po dłuższej chwili pojawił się obraz kontrolny.

Ciszę przerwała Janet:

- No tak, tylko...

- Tylko co? - zapytał Ian.

- Nie ulega wątpliwości, że ta lista zawiera nazwiska większości ludzi w tym kraju, którzy w taki czy inny sposób obdarzeni są władzą. Przypuśćmy jednak, że znalazłbyś się na niej również ty. Przypuśćmy też, że byłbyś na tyle przerażony, by zgodzić się na w s z y s t k o, byle nie zostać zabitym. Co byś zrobił? I co tak naprawdę oznacza słowo

„sprawiedliwość”?

„Co to jest prawda?” - zapytał Poncjusz Piłat i umył ręce. Nie znałam odpowiedzi na te pytania, więc milczałam.

- To przecież proste, moja droga - odezwał się Georges.

- Rzeczywiście? To może mi to wyjaśnisz?

- Proszę bardzo. Cała ta Rada uprościła - zresztą słusznie - ów z pozoru skomplikowany problem. Wyszli z założenia, że każdy polityk, tyran, czy też prezes zarządu wielkiej korporacji powinien w każdej sytuacji wiedzieć, jak najlepiej postąpić. W końcu na tym polega jego praca. Jeżeli wykonuje ją dobrze, wszystko jest w porządku. Jeśli nie... cóż, dr Guillotine dawno już wynalazł lekarstwo na nieudolnych przywódców.

- Georges, może przestaniesz wreszcie kpić?!

- Ależ, skarbie, w życiu nie byłem poważniejszy. Jeśli koń nie potrafi przeskoczyć przeszkody, należy go zastrzelić. Musisz być tylko konsekwentna, a znajdziesz w końcu odpowiednie zwierzę... chyba że wcześniej zastrzelisz wszystkie konie. To właśnie ten rodzaj obłudnej pseudologii stosuje większość ludzi zajmujących się polityką. I dlatego właśnie niektórzy zastanawiają się, czy ludzkość może w ogóle być dobrze rządzona przez jakikolwiek rząd.

- Cóż - odezwał się posępnie Ian - politycy bardzo rzadko miewają czyste ręce.

- Owszem, ale ręce morderców nie są czyste nigdy.

Ta dyskusja - jak każda rozmowa o polityce - ciągnęłaby się pewnie w nieskończoność, gdyby ekran terminalu nie rozbłysł ponownie.

- Taśma, którą obejrzelście państwo przed chwilą - powiedziała spikerka - została dostarczona do naszej stacji przez nieznanego posłańca. Biuro premiera zaprzeczyło, jakoby miało być jej autorem, oraz nakazało pozostałym stacjom, które dotychczas nie opublikowały jeszcze tego materiału, aby powstrzymały się przed tym pod groźbą kary wynikającej z Ustawy o Bezpieczeństwie Publicznym. Ta próba wprowadzenia cenzury jest jawnym pogwałceniem praw konstytucyjnych. „Głos Winnipeg” nadal będzie informował państwa o rozwoju wydarzeń. Zachowajcie spokój i zostańcie w domach.

Serwis informacyjny, który nadano po tym oświadczeniu, był jedynie powtórzeniem wcześniejszych doniesień, więc Janet ponownie wyłączyła dźwięk.

- Ian - powiedziałam - przypuśćmy, że zostanę tu, dopóki nie uspokoi się cała ta awantura w Imperium...

- To zostało już postanowione.

- Tak jest, proszę pana. Ale w takim razie muszę pilnie porozumieć się z moim pracodawcą. Mogę skorzystać z waszego terminalu? Mam naturalnie przy sobie swoją kartę kredytową.

- Zupełnie niepotrzebnie. Jesteś w naszym domu i to my zapłacimy za rozmowę. Powoli zaczynało mnie to drażnić.

- Posłuchajcie, moi drodzy, ja naprawdę doceniam troskę, jaką mi wszyscy okazujecie. Ale jeśli zamierzacie zabronić mi płacenia nawet za to, za co zazwyczaj płaci gość w każdym domu, to może powinniście mnie zameldować tu jako konkubinę lub coś w tym rodzaju, oraz ogłosić, że przejmujecie odpowiedzialność za moje długi?

- To całkiem rozsądna myśl - odrzekł Ian. - Jakiej pensji oczekiwałabyś?

- Poczekaj! - zawołał Georges. - Ja płacę lepiej. On jest skąpy jak Szkot.
 - Nie słuchaj żadnego z nich - poradziła mi Janet. - Georges rzeczywiście mógłby zapłacić więcej, ale będzie z pewnością chciał, żebyś mu pozowała i sprzedała jajo za jedną i tę samą zapłatę. Zawsze chciałam zostać niewolnicą w haremie. Byłabyś cudowną odaliską, skarbie. Tylko czy znasz się na masażu? Potrafisz ładnie śpiewać? I przejdźmy do kwestii najważniejszej: czy odpowiadałaby ci rola samicy, a nie kobiety? Możesz mi to powiedzieć na ucho.
 - Wiecie co? Może lepiej wyjdę, wrócę, i wtedy zaczniemy wszystko od nowa.
- Przecież ja chciałam tylko zatelefonować, Ian, czy mogę użyć mojej karty kredytowej, żeby zadzwonić do swojego szefa? To jest karta MasterCard.
- Przez kogo wydana?
 - Bank Imperialny w Saint Louis.
 - Wobec tego albo nie słuchałaś uważnie wszystkich wiadomości, albo chcesz, żeby twoja karta uległa zniszczeniu.
 - Zniszczeniu?
 - Udajesz echo? BritCanBanCredNet ogłosił, że karty kredytowe wydane w Imperium i w Quebec są nieważne na czas trwania stanu wyjątkowego. Możesz więc włożyć swoją w szczelinę czytnika i podziwiać cuda ery komputerów. Nie radziłbym jednak tego robić, jeśli nie przepadasz za zapachem palonego plastiku.
 - Hmm...
 - Mów głośniej. Dosłyszałem tylko jakieś „hmm”.
 - Bo tylko tyle powiedziałam, Ian, czy mógłbyś zapomnieć o tym, co mówiłam wcześniej i pożyczyć mi swoją kartę kredytową?
 - Oczywiście, że mógłbym... jeśli tylko Janet nie ma nic przeciwko temu. Ona jest tu gospodynią.
 - Janet?
 - Nie odpowiedziałaś na moje pytanie, skarbie.

Gdy to zrobiłam (oczywiście na ucho), jej oczy stały się na moment duże i okrągłe jak pięciodolarówki.

- Może jednak najpierw poprosz o połączenie - powiedziała szybko.
- Podyktowałam jej kod, a ona wystukała go na klawiaturze. Po chwili ekran rozjarzył się zielonymi, migoczącymi literami: BLOKADA BEZPIECZEŃSTWA - ODCIĘTE POŁĄCZENIE Z IMPERIUM CHICAGO. Napis znikł po kilkunastu sekundach, a na ekranie ponownie pojawił się lokalny kanał informacyjny. Zakłęłam cicho.
- A fe! - usłyszałam tuż za plecami głos lana. - Grzeczne małe dziewczynki nie mówią tak brzydko.
 - Nie jestem ani mała, ani grzeczna. Jestem wściekła.
 - Wiedziałem, że tak będzie. O tym też mówili w TV, ale i tak nie uwierzyłybyś mi, dopóki nie przekonałabyś się sama. Mam rację?
 - Masz rację, lanie. Jestem nie tylko wściekła; wpadłam w niezłe tarapaty. Mam nieograniczony kredyt w Banku Imperialnym w Saint Louis, ale nie mogę z niego skorzystać. Mam trochę dolarów nowozelandzkich i parę drobnych. Mam też pięćdziesiąt koron Imperium oraz nieważną kartę kredytową. Zdaje się, iż będę musiała serio zastanowić się nad

tym konkubinatem. Szkoda tylko, że dopiero teraz, kiedy moje notowania spadają. Zaczynam rozumieć, co to znaczy „rynek konsumenta”.

- No cóż, to prawda. Okoliczności nieco się zmieniły. Chyba nie będę mógł zaproponować ci więcej niż skromny pokoik i talerz stawy dziennie. Co powiedziałaś Janet na ucho? Może to coś zmieni?

- Powiedziała: „Znam swoją rolę” - odrzekła za mnie Janet (Oczywiście nie mówiłam nic takiego). - Tobie także polecam tę dewizę, mój dobry człowieku. Marjie, twoja sytuacja nie jest wcale gorsza niż dwie godziny temu. Nadal nie możesz jechać do domu, dopóki wszystko się nie uspokoi. A kiedy to się stanie i granica będzie otwarta oraz zostanie przywrócone połączenie, twoja karta kredytowa będzie znowu honorowana; jeśli nie tu, to po drugiej stronie granicy - mniej niż sto kilometrów stąd. Musisz uzbroić się w cierpliwość i czekać...

- A Georges dotrzyma ci towarzystwa - dodał Ian. - Będzie miał sporo czasu, by cię namalować, bo on również ma kłopoty. Oboje jesteście niebezpiecznymi cudzoziemcami i zostaniecie internowani natychmiast, gdy tylko wysuniecie nos poza teren tej posiadłości.

- Czyżbyśmy nie słyszały jeszcze jakiegoś cholernego obwieszczenia? - zapytała Janet.

- Obawiam się, że tak, chociaż było ono powtarzane kilkakrotnie. Georges i Marjie powinni natychmiast zameldować się w najbliższym komisariacie policji, choć ja osobiście nie radziłbym. Georges nie zamierza zastosować się do tego nakazu. Chce udawać, że nie wiedział, iż dotyczy on obcokrajowców przebywających tu na stałe. Albo mu uwierzą, albo oboje spędzicie całą następną zimę w jakichś skleconych naprędce, zimnych barakach, bo nic nie wskazuje na to, by stan wyjątkowy miał się skończyć w przyszłym tygodniu.

Ian miał rację. Ja natomiast popełniłam głupi błąd. W czasie jakiegokolwiek misji nigdy nie podróżowałam zjedną tylko kartą kredytową. Zawsze miałam też przy sobie dużo gotówki. Sądziłam jednak naiwnie, że w czasie wakacji nie muszę przestrzegać tych zasad. Mając sporo gotówki, mogłabym teraz bez trudu przekupić właściwych urzędników i nikt więcej nie miałby pojęcia o moim istnieniu. Ale nie mając nawet stu dolarów...?

Z zamyślenia wyrwał mnie okrzyk Georgesa.

- Szybko, włączcie dźwięk! I patrzcie.

Wszyscy natychmiast zamilkliśmy, wpatrzeni w ekran terminalu.

- Panie na niebiosach! - mówił człowiek ubrany w jakąś rytualną, białą szatę. - Nie zważaj na czece przechwałki grzeszników. To oni winni są całemu złu, jakie widzisz dookoła. Słudzy Szatana usiłowali przywłaszczyć sobie święte dzieło Boga i wykorzystać je dla swoich własnych, nikczemnych celów. Za to zostaną teraz ukarani. Na nas spoczywa ów święty obowiązek.

To my utniemy raz na zawsze wszelką ingerencję w Twoje dzieło. Czyż ci, którzy są jej winni, nie wiedzą, że Bóg, chcąc by człowiek mógł unosić się w przestworzach, dałby mu skrzydła?

Nie pozwolimy dłużej żyć szarlatanom mieniącym się naukowcami. Tak zwana inżynieria genetyczna wypacza Twą najświętszą wolę. Skaż na zagładę plugawe, nieczyste istoty i tych, którzy ośmielili się stworzyć.

- Na litość boską - powiedział cicho Georges. - Przecież oni mają m n i e na myśli.

Ja nie mówiłam nic.

- Mężczyzna, który śpi z mężczyzną, kobieta, która spiż kobietą albo też cudzołóży - wszyscy oni niech zostaną ukamienowani.

Papiści i Saraceni, Żydzi i poganie, wszyscy, którzy czcicie bałwochwalcze posągi - Aniołowie Pana mówią do was. Pokajajcie się i żałujcie za wasze grzechy albo dosięgnie was rychło karzący miecz wybrańców Boga.

Producenci pornografii i nierządnicze - Pokajajcie się! Inaczej przekonacie się, jak straszny jest gniew Pana.

Grzesznicy wszelkiego pokroju! Zostańcie na tym kanale, by dowiedzieć się, w jaki sposób możecie jeszcze odnaleźć Światłość. Słuchajcie rozkazów Wielkiego Generała Aniołów Pana!

Gdy na ekranie pojawił się ponownie spiker lokalnej stacji, Georges wyłączył odbiornik. W pokoju zapanowała martwa cisza. Dopiero po chwili przerwał ją Ian.

- Janet - zapytał - pamiętasz, jak pierwszy raz spotkaliśmy Aniołów Pana?

- Nie mogłabym zapomnieć. Ale nie spodziewałam się wówczas po nich czegoś aż tak absurdalnego.

- Czy to rzeczywiście byli aniołowie - odezwałam się - czy może cała ta szopka była tylko koszmarnym snem?

- Trudno połączyć Aniołów, o których mówił Ian, z tym, co zobaczyłaś przed chwilą na ekranie. W ubiegłym roku pod koniec marca jechałam do portu po lana. W Hali Przylotów było wówczas pełno wyznawców Hare Krishny - gdzie się nie obejrzałaś, pełno było tych ich szafranowych szat i ogolonych głów. Śpiewali, skakali i potrząsali kubkami prosząc o drobne pieniądze. W pewnym momencie weszli też Hubardyci, jak sądzę z zamiarem urządzenia protestu przeciwko łamaniu Konwencji Północnoamerykańskiej. Akurat, gdy między nich wmieszali się ci od Krishny, pojawili się Aniołowie Pana ze swoimi transparentami, tamburynami i domowego wyrobu... maczugami. Marjie, to była najbardziej zażarta bijatyka, jaką kiedykolwiek widziałam. Nawet w potwornym rozgardiaszu, jaki zapanował, można było bez trudu odróżnić jednych od drugich. Wyznawcy Hare Krishny wyglądali jak kłowny; ich najłatwiej było rozpoznać. Aniołowie i Hubardyci nie nosili co prawda długich szat, lecz ich również trudno było ze sobą pomylić. Hubardyci mieli krótko przystryżone włosy oraz czyste, schludne ubrania, za to Aniołowie wyglądali jak rozbebeszone kubły na śmieci i roztaczali wokół taki sam smród. Gdy tylko dotarł on do mojego nosa, czym prędzej wyniosłam się stamtąd. Hubardyci nie raz już musieli walczyć wręcz o swoje prawa, toteż i wtedy nie dali się zaskoczyć. Wycofali się szybko, zabierając rannych. Wyznawcy Krishny bili się jak stado kurcząt; zebrali potężne baty, zanim uciekli w popłochu. Ale Aniołowie Pana walczyli jak banda szaleńców; zresztą, wygląda na to, że oni nimi są. Wpadli w środek tłumu, wywijając i młóćąc dookoła swymi maczugami i gołymi pięściami. Każdy z nich przestawał dopiero wtedy, gdy albo on sam, albo jego ofiara leżała na ziemi, nie będąc w stanie się poruszyć. Potem dowiedziałam się, że musiano wezwać cały oddział Policji Konnej, by dać im radę, chociaż zazwyczaj jeden Mouny*[* Mouny - kanadyjski policjant konny] potrafi bez trudu rozpedzić takie burdy. Prawdopodobnie Aniołowie wiedzieli już wcześniej, o której godzinie Hubardyci przybędą do portu, i przyszli, żeby się z nimi rozprawić. Ci od Krishny znaleźli się tam zupełnie przypadkowo; w porcie najłatwiej jest wyżebrać jakieś drobne. A Aniołowie, nie mogąc dobrać się do skóry Hubardytom, wyżyli się na nich.

- To prawda - zgodził się Ian. - Gdy zaczęła się cała ta rozróżba, stałem po drugiej

stronie barier, przy stanowisku odpraw. Ci Aniołowie bili się jak szaleńcy. Sądzę, że byli podnieceni jakimś narkotykiem. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że taka zgraja rzezimieszków i obdartusów zacznie się nagle martwić o losy całej planety. Do diabła - nadal w to nie wierzę. Myślę, że starają się zrobić wokół siebie dużo szumu, tak jak wszyscy ci psychopaci przyznający się do każdej spektakularnej zbrodni.

- Mimo to wołałabym nie spotkać się z nimi nos w nos.

- Racja. Już lepiej chyba mieć do czynienia ze stadem wygłodniałych psów. Tylko nie bardzo potrafię sobie wyobrazić wygłodniałe psy obalające rząd.

Nikt z nas nie przypuszczał, że będzie jeszcze więcej tego typu wystąpień. Jednak dwie godziny później swoją kartą zagrali Stymulatorzy.

- Mówi do was autoryzowany rzecznik Ligi Stymulatorów. - przedstawił się mężczyzna na ekranie. - Zaczęliśmy już wykonywać pierwsze egzekucje i starannie wybraliśmy ich cele. Nie my jednak wywołaliśmy zamieszki i rozruchy, nie mamy też nic wspólnego z widocznym dookoła okrucieństwem. Uznaliśmy za konieczne przerwać łączność, lecz zostanie ona przywrócona, gdy tylko spełnione zostaną nasze warunki Wydarzenia ostatnich godzin zmusiły nas do zaostrzenia liberalnych i umiarkowanych dotychczas żądań. Oportuniści mieniający się Radą Ocalenia w anglojęzycznych krajach, Spadkobiercami Trackiego gdzie indziej i występujący pod wieloma innymi nie znaczącymi nazwami, próbowali przedstawić nasz program jako własny. Rozpoznać ich można po tym, że sami nie posiadają żadnego programu, który mogliby nazwać własnym.

Jeszcze gorsi są fanatycy religijni nazywający sami siebie Aniołami Pana. Ich program to kolekcja pustych, antyintelektualnych sloganów oraz ziejących nienawiścią uprzedzeń. Nie są w stanie dokonać niczego konstruktywnego, lecz ich doktryna nienawiści może łatwo sprawić, że brat obróci się przeciwko bratu, sąsiad przeciwko sąsiadowi Ci szaleńcy muszą zostać powstrzymani.

Tymczasowy Dekret Numer Jeden: Wszystkie osoby przedstawiające się jako Aniołowie Pana zostają skazani na śmierć. Wszelkie władze winne natychmiast zastosować się do tego dekretu, gdziekolwiek się nie znajdują. Zwyczajni obywatele i poddani zobowiązani zostają do dostarczenia samozwańcych Aniołów do najbliższej siedziby władz, stosując areszt obywatelski Upoważnia się każdego do użycia w tym celu siły, jeśli okaże się to konieczne.

Każdy, kto pomaga, współpracuje lub ukrywa osoby należące do opisanej grupy, uznany zostaje za przestępcę.

Tymczasowy Dekret Numer Dwa: Kłamliwe przypisywanie sobie odpowiedzialności za jakiegokolwiek działanie podjęte przez Ligę Symulatorów lub z jej rozkazu uznane zostaje za przestępstwo. Wszelkie władze zobowiązane są traktować jako przestępstwo wszystkie tego rodzaju wystąpienia. Dekret ten dotyczy również tak zwanej Rady Ocalenia oraz jej poszczególnych członków, lecz nie ogranicza się tylko do nich.

Program Reform: Wszystkie niżej wymienione reformy zostają wprowadzone ze skutkiem natychmiastowym. Liderzy polityki, finansów i świata biznesu są zbiorowo oraz indywidualnie odpowiedzialni za ich wprowadzenie pod groźbą kary śmierci.

Bezwzględnie wprowadza się następujące reformy: Wszystkie ceny i płace zostają zamrożone. Wszystkie wierzytelności zostają unieważnione. Wszystkie stopy procentowe zostają ustalone na poziomie sześciu procent.

Opieka medyczna i związane z nią działy gospodarki zostają we wszystkich krajach całkowicie znacjonalizowane. Pensje lekarzy ustala się na tym samym poziomie, co pensje nauczycieli wyższych uczelni, płace pielęgniarek - na poziomie płac w szkolnictwie średnim, natomiast płace niższego personelu medycznego - na poziomie płac w szkolnictwie podstawowym. Wszelkie opłaty za leczenie kliniczne i szpitalne zostają zniesione. Wszyscy obywatele zostaną otoczeni opieką zdrowotną w takim samym, najwyższym stopniu. Wszystkie działy przemysłu i usług funkcjonujące dotychczas będą funkcjonować nadal. Po okresie przejściowym dozwolone lub nawet nakazane zostaną zmiany własnościowe, które prowadzić będą do ogólnego dobrobytu.

Następne egzekucje zostaną wykonane - jeśli będzie to konieczne - za dziesięć dni od dzisiaj, z ewentualnym dwudniowym przyspieszeniem lub taką samą zwłoką. Liga Stymulatorów niezaprzecza istnieniu listy liderów, którym grozi śmierć. Nie potwierdza jednak, że znajdują się na niej te same nazwiska, co na liście przedstawionej przez tak zwaną Radę Ocalenia. Każdy z ludzi posiadających jakąkolwiek władzę musi rozważyć w swoim sumieniu, czy jego postępowaniu wobec współobywateli można coś zarzucić. Jeśli odpowiedź brzmi: „nie” - jest bezpieczny. Jeśli jednak brzmi ona: „tak”, to może on zostać jednym z wybranych, by jego śmierć stała się lekcją dla ludzi, którzy swoją nieuczciwością i pychą zamienili naszą piękną planetę w przedsionek piekła.

Dekret Specjalny: Wszystkie fabryki pseudoludzi natychmiast kończą swą działalność. Tak zwane sztuczne istoty ludzkie oraz żywe artefakty, po uprzednim zarejestrowaniu, mają być w każdej chwili gotowe do oddania się w ręce najbliższego przedstawiciela zreformowanych władz. Tymczasowo, zanim nie zostaną opracowane dla tych quasi-ludzi inne rozwiązania, zezwala się im opuszczać miejsce pobytu jedynie pod warunkiem, że nie stanowią oni zagrożenia ani konkurencji dla normalnych ludzi. W każdym innym przypadku stworzenia te będą odizolowywane.

Z wyjątkiem okoliczności wymienionych poniżej przedstawicielom lokalnych władz zezwala się zabijać... - tu wystąpienie zostało przerwane.

Po chwili na ekranie ukazała się twarz młodego mężczyzny, najwyraźniej zakłopotanego.

- Mówi sierżant Malloy - przedstawił się. - Ta wywrotowa stacja zostaje zamknięta, a normalne nadawanie programu - przerwane. Zostawcie jednak przełączniki swoich terminali na tym kanale, by móc słuchać wiadomości sieci ogólnokrajowej.

Westchnął ciężko, po czym dodał jeszcze:

- Nastąpiły ciężkie czasy, moi drodzy. Musicie uzbroić się w cierpliwość.

Rozdział XII

No i proszę, jaki szeroki mamy wybór - powiedział Georges. - Teokracja z podpalaczami stosów na czele, faszystowski socjalizm autorstwa niedowarzonych uczniów, albo też banda urzędników pragmatyków, których filozofią jest strzelanie do koni omijających przeszkody. Każdy znajdzie coś dla siebie.

- Daj spokój - odrzekł Ian. - To nie jest odpowiedni temat do żartów.

- Ależ ja wcale nie żartuję, stary. Jestem raczej bliski płaczu. Jeden gang planuje zabić mnie przy pierwszym spotkaniu. Drugi, bardziej umiarkowany, zamierza jedynie wyjąć spod prawa moją profesję, podczas gdy trzeci, nie precyzując swoich gróźb, budzi we mnie jeszcze większe przerażenie. W międzyczasie, abym zupełnie nie mógł zaznać spokoju, ten dobrotliwy rząd, jedyna moja nadzieja, ogłasza mnie niebezpiecznym przybłędą, którego należy natychmiast odizolować. Powiedz, żartowałbyś na moim miejscu?

- Gdybym był na twoim miejscu, przestałbym udawać takiego cholernego Galia. Świat dostaje świra, zacznijmy więc lepiej myśleć, co robić.

- Przestańcie! - przerwała im grzecznym, lecz stanowczym tonem Janet. - W tej chwili jest tylko jedna rozsądna rzecz, jaką możemy robić. Czekać. Znam was obu. Najchętniej pobieglibyście natychmiast do najbliższej komisji poborowej i zamienilibyście się w bezdusznych sierżantów. To było dobre za czasów waszych ojców i dziadków. Przykro mi, lecz te czasy dawno już minęły. Nasz kraj znajduje się w niebezpieczeństwie, a razem z nim nasz dotychczasowy sposób życia - to oczywiste. Lecz są ludzie, którzy wiedzą lepiej, co należy robić; pozwólcie, że to oni się tym zajmą. Zdaje się, że najwyższy już czas na lunch. Czy ktoś ma jakiś lepszy pomysł?

- Przecież dopiero co skończyliśmy jeść śniadanie.

- Nie martw się, gdy tylko usiądziesz do stołu, natychmiast poczujesz się głodny.

Georges tak samo. Musimy tylko załatwić jeszcze jedną sprawę, na wypadek, gdyby sytuacja na zewnątrz pogorszyła się. Marjie powinna wiedzieć, gdzie schronić się przed bombami.

- Albo przed czymś innym.

- Zgadza się. Ianie, podobno policja poszukuje cudzoziemców. Czy któryś z was, dzielni mężczyźni, pomyślał, co zrobić, gdyby zastukali do naszych drzwi?

- Zastanawiałem się nad tym - odrzekł Georges. - Przede wszystkim musicie wtedy oddać Marjie w ręce tych kozaków. Oni będą ją przesłuchiwać, a ja zdobędę w ten sposób dość czasu, by znaleźć się daleko, daleko stąd. To jest jeden plan.

- Czyżbyś sugerował, że masz jeszcze inny? - zapytała z przekąsem Janet.

- Owszem, choć nie tak prosty i elegancki jak ten, który przedstawiłem przed chwilą.

Zawsze to jednak coś. Otóż według drugiej wersji to ja - z własnej woli - zostanę aresztowany przez owych gestapowców. Będzie to swego rodzaju test na ich determinację. Przekonamy się, czy rzeczywiście zechcą zamknąć pod kluczem szacownego gościa tego wolnego kraju, płacącego regularnie podatki oraz wspierającego chętnie inne, dobrowolne fundusze na rzecz polepszenia bytu Policji, Wojska i Straży Pożarnej. W chwili, gdy będę się poświęcał owej słusznej sprawie, Marjie da nura w jakiś ciemny kąt i przyczai się tam. Oni nie mają przecież zielonego pojęcia o jej istnieniu. Natomiast wiedzą, niestety, że ja tu jestem, i nie ukrywam, iż jest mi z tej przyczyny niezmiernie przykro.

- Nie bądź taki szarmancki, mój drogi, to do ciebie nie pasuje. Najlepiej zrobimy, wykorzystując po części oba te plany. Kiedy przyjdą szukać jednego z was lub obojga,

ukryjecie się razem w Norze i zostaniecie tam tak długo, jak to będzie konieczne. Parę godzin, dni lub nawet miesięcy.

- Ja odpadam. - Georges potrząsnął przecząco głową. - Tam jest wilgoć, a ja muszę dbać o swoje zdrowie.

- Nawiasem mówiąc - wtrącił Ian - obiecałem Marjie, że będę ją bronił przed Georgesem. Jak mam dotrzymać obietnicy, skoro zamierzasz zostawić ją sam na sam z tym seksualnym maniakiem?

- To oszczerstwo! Nie słuchaj go, moja droga. Jediną rzeczą, do której czuję słabość, jest likier.

- Marjie, zdecyduj sama - powiedziała Janet. - Czy potrzebujesz ochrony przed Georgesem?

Odrzekłam - zgodnie z prawdą - że to Georges może potrzebować ochrony przede mną. Nie sprecyzowałam tylko, dlaczego.

- A co do twoich narzekań na wilgoć, Georges, to w Norze jest jej dokładnie tyle samo, co w całym domu. Sama tak to zaprojektowałam. Jeśli będzie to konieczne, udasz się tam bez szemrania. Nikt z nas nie będzie patrzył, jak oddajesz się w ręce policji.

Powiedziawszy to, Janet odwróciła się w moją stronę.

- Choć ze mną, moja droga. Zrobimy przymiarkę „na sucho”. A właściwie na mokro.

Zaprowadziła mnie do mojego pokoju i wyciągnęła moją torbę podróżną.

- Co w niej masz? - zapytała bezceremonialnie.

- Raczej niewiele - odrzekłam. - Trochę bielizny, kilka par rajstop, bezużyteczną kartę kredytową. Do tego drobne pieniądze, DT i mały notes. Większość mojego bagażu została w porcie.

- I bardzo dobrze. Przynajmniej w razie czego nie zostawisz w pokoju żadnych śladów. Jeśli chodzi o ciuchy, to zdaje mi się, że mamy takie same rozmiary.

Otworzyła szufladę, pogrzebała w niej chwilę i wyjęła plastikową torebkę na pasku, w jakiej kobiety noszą zazwyczaj pieniądze. Wzięłam ją, chociaż nigdy nie używałam niczego podobnego. W moim zawodzie jest to niewygodne. Za bardzo rzuca się w oczy.

- Włóż do niej wszystko, czego nie chciałybyś zgubić, a potem szczelnie zamknij.

Będziesz się musiała niedługo zamoczyć od stóp do głów, więc zrób to starannie. Co z twoimi włosami? To znaczy, czy nie obawiasz się ich również zamoczyć?

- To żaden problem. Najwyżej zawinę je potem w ręcznik i same szybko wyschną. Zresztą wyschną i bez ręcznika.

- O'key. Zapakuj torbę i zdejmij ubranie. Tym razem nie ma powodu, by ono także

były mokre. Ale jeżeli rzeczywiście pojawią się żandarmi, bierz wszystko i uciekaj. Wysuszysz je potem w Norze.

Kilka minut później obie znalazłyśmy się w tej olbrzymiej łazience, którą Janet pokazała mi wczoraj; ja z torebką przewieszoną przez ramię, Janet - zupełnie naga.

- Skarbie - zapytała, wskazując w kierunku tego małego basenu - przyjrzyj się ścianie po drugiej stronie, poniżej linii wody.

Pochyliłam się lekko.

- Nie widzę tam nic szczególnego.

- Specjalnie tak to zaprojektowałam. Woda jest czysta i można przez nią wszystko

zobaczyć. Ale w jedynym miejscu, z którego widoczny jest ten fragment ściany, woda odbija światło w taki sposób, że nie widać praktycznie nic. Tam właśnie znajduje się wejście do tunelu. Tak jak mówiłam, nie można go dojrzeć, gdziekolwiek byś nie stała, lecz jeśli się zanurzysz, zobaczysz je natychmiast. Tunel jest szeroki prawie na metr, wysoki na siedemdziesiąt centymetrów i na sześć metrów długi. Jak czujesz się w zamkniętej przestrzeni? Nie cierpisz na klaustrofobię?

- Nie.

- To dobrze, bo do Nory można się dostać tylko w jeden sposób: biorąc głęboki wdech i przepływając przez tunel. Nie jest to trudne, gdyż w jego dno wbudowane są specjalne uchwyty ułatwiające poruszanie się. Musisz jednak uwierzyć, że tunel nie jest zbyt długi, że wystarczy ci powietrza w płucach i że za chwilę będziesz mogła znowu normalnie oddychać. Przez sekundę znajdziesz się w ciemnościach, ale światło zapali się prawie natychmiast; włączą je czujniki podczerwieni. Tym razem ja popłynę pierwsza. Jesteś gotowa?

- Chyba tak.

- No to ruszamy. - Janet usiadła na brzegu basenu i ześlizgnęła się do wody, która sięgała jej trochę powyżej piersi. - Wciągnij powietrze! - krzyknęła, po czym wzięła głęboki wdech i zanurzyła się.

Nie namyślając się wiele, podażyłam za nią. Mając zamknięte oczy nie mogłam zobaczyć wejścia, lecz odszukałam je bez trudu, macając rękoma wzdłuż ściany. Bez trudu też wślizgnęłam się do tunelu i przepłynęłam przezeń, choć wydał mi się długi na sześćdziesiąt, a nie na sześć metrów.

Bardziej poczułam, niż zobaczyłam, że wokół nagle zrobiło się jasno. Stałam więc na nogi i otworzyłam oczy, chciwie łapiąc powietrze, a Janet wyciągnęła do mnie rękę i pomogła mi wyjść z wody. Znajdowałyśmy się w maleńkim pomieszczeniu z betonową posadzką. Wydawało się nieco przytulniejsze niż grobowiec, lecz niewiele.

- Tędy, moja droga - powiedziała moja przewodniczka.

„Tędy” oznaczało ciężkie, stalowe drzwi znajdujące się prawie metr nad podłogą. Nie można było przejść przez nie inaczej, jak siadając na potężnym progu i przerzucając nad nim stopy. Janet pociągnęła za uchwyt i zamknęła je za nami. Z drugiej strony wyglądały jak wrota do skarbcza w jakimś banku.

- To drzwi przeciwcisnieniowe - wyjaśniła mi Janet. - Gdyby gdzieś w pobliżu wybuchła bomba, fala uderzeniowa mogłaby wepchnąć wodę z basenu przez tunel do śluzy, za którą znajduje się Nora. Te drzwi służą właśnie po to, aby ją zatrzymać. Rozejrzyj się wokół i czuj się jak u siebie - dodała. - Ja pójdę poszukać ręcznika.

Byłam w dużym pokoju z lekko łukowatym sklepieniem. W ścianie po prawej stronie zamontowane były łóżka podobne do okrętowych koi, tylko nieco szersze. Naprzeciw nich stał stół i fotele, a obok - terminal. Najodleglejszą część pomieszczenia zajmowała oddzielona od reszty czymś w rodzaju kontuaru niewielka kuchenka. Obok znajdowały się drzwi prowadzące najprawdopodobniej do łazienki, jako że Janet weszła tam i po chwili pojawiła się ponownie, trzymając w ręku duży ręcznik kąpielowy.

- Stój spokojnie i czekaj, aż mamusia cię wytrze - powiedziała. - Nie ma tu luksusów.

Wszystko jest tak proste, jak to tylko możliwe, i ciągle jeszcze pozostaje wiele do zrobienia. Wytarła mnie do sucha, po czym podała ręcznik mnie i zamieniłyśmy się rolami. Gdy sama była już zupełnie sucha, powiedziała:

- Wystarczy, skarbie. Teraz pozwól, że urządzę ci pięciodolarową, króciutką wycieczkę, jako że najprawdopodobniej nie odwiedzisz tego miejsca ponownie, dopóki nie będziesz zmuszona schronić się tu przed poszukującymi cię ludźmi. Możesz wtedy znaleźć się tu zupełnie sama. Musisz więc to wszystko dokładnie poznać; od tego może zależeć twoje życie. Na początek zwróć uwagę na książkę przykutą łańcuszkiem nad stołem. Są to szczegółowe instrukcje i spis wszystkiego, co się tu znajduje. Nie dziw się temu łańcuszkowi. W owej książce znajdziesz opis naprawdę wszystkiego, co może okazać się potrzebne. W zasadzie wystarczyłoby, abyś w razie czego swój pobyt tutaj zaczęła od jej dokładnego przestudiowania.

Mimo to pokazała mi, co gdzie się znajduje i jak się wszystkim posługiwać.

Obejrzałam chłodnię, zbiornik z zapasowym tlenem, ręczną pompę do wody na wypadek, gdyby nawaliła ciśnieniowa, system wentylacyjny i kilka innych, mniejszych urządzeń. Na końcu wskazała mi spiżarnię, garderobę oraz szafkę z zapasem lekarstw i środków

opatrunkowych.

- Wszystkie zapasy wystarczą dla trzech osób na trzy miesiące - powiedziała.

- Jak przeniosłaś tu wszystkie te rzeczy?

- A jak ty byś to zrobiła?

- Wypompowałabym wodę z basenu - odpowiedziałam po chwili namysłu.

- Brawo, moja droga! Jest tu zbiornik podtrzymujący, którego nie ma na planie tego domu. Oczywiście tego pomieszczenia również na nim nie znajdziesz. Naturalnie, część można by też przenieść w wodoszczelnych pojemnikach; reszcie woda by nie zaszkodziła. Przy okazji: sprawdź, czy nie zamoczyły się rzeczy w twojej torebce.

- Są suche - powiedziałam. - Janet, to miejsce nie jest jedynie schronem przeciwko bombom, nieprawdaż? W przeciwnym wypadku nie zadałabyś sobie tyle trudu, by je tak dobrze ukryć i wyposażyć.

Jej twarz zachmurzyła się,

- Jesteś bardzo spostrzegawcza, skarbie. Masz rację. Nie byłabym tak zapobiegliwa, gdyby chodziło jedynie o ochronę przed bombardowaniem. Zresztą, nie jestem wcale przekonana, że ktokolwiek mógłby tu przeżyć w wypadku uderzenia bomby H. Projektując i budując to pomieszczenie miałam na myśli przede wszystkim ochronę przed tym, co niektórzy określają „niepokojami społecznymi”. Mój dziadek często opowiadał mi o czasach, w których ludzie nie obawiali się chodzić samotnie nocą, a większość nie zamykała nigdy drzwi na klucz. Rzadko kto otaczał swój dom murami, płotami i kolczastymi drutami pod napięciem, do których dostępu broniły dodatkowo promienniki laserowe. Może to i prawda; nie jestem aż tak stara, by móc to pamiętać. Wiem tylko, że odkąd sięgnę pamięcią, świat stawał się coraz gorszy, a ludzie coraz bardziej podli. Moją pierwszą pracą, zaraz po tym, jak skończyłam szkołę, było projektowanie ukrytych systemów ochronnych dla modernizowanych, starych budynków. Lecz urządzenia używane wówczas - a nie upłynęło wcale tak wiele lat - dziś są już dawno przestarzałe. Początkowo zostały zastąpione różnymi elektronicznymi gadżetami, mającymi powstrzymać i odstraszać ewentualnych intruzów. Dziś stosowane są dwustopniowe systemy bezpieczeństwa. Jeżeli system zewnętrzny nie jest w

stanie zatrzymać napastnika, automatycznie uruchamiany system wewnętrzny ma za zadanie zabić go. Jest to oczywiście nielegalne, a jednak wszyscy, którzy mogą sobie na coś takiego pozwolić, nie mają skrupułów. Marjie, czego jeszcze ci nie pokazałam? Nie zagłądaj do książki; sama powinnaś to zauważyć. Zastanów się, jakiej jeszcze bardzo ważnej rzeczy w Norze nie pokazałam ci do tej pory?

Przez chwilę zastanawiałam się, czy mam jej odpowiedzieć.

- Wydaje mi się... że zobaczyłam już wszystko. Pokazałaś mi nawet główny i zapasowy Napęd.

- Pomyśl, moja droga. Załóżmy, że dom nad nami jest został zdmuchnięty przez wybuch albo na przykład zajęli go jacyś nieznani napastnicy, czy też nawet nasza własna policja poszukująca ciebie i Georgesą. Czego potrzebowałabyś wówczas?

- Hmm... Wszystkie stworzenia żyjące w norach - lisy, króliki, borsuki - kopią w nich drugie wyjście.

- Sprytna dziewczynka. Gdzie ono jest?

Udawałam, że rozglądam się wokół, szukając jakichś ukrytych drzwi, choć tak

naprawdę dawno już wiedziałam, gdzie one są. Pomógł mi w tym ów szósty zmysł nabyty w czasie treningu („bądź czujna, dopóki nie wiesz, którędy uciekać”).

- Jeśli da się tamtędy poprowadzić tunel, sądzę, że zapasowe wyjście jest za ścianką szafy na ubrania.

- Nie wiem, czy mam ci pogratulować, czy też zastanowić się, jak je lepiej ukryć. Jesteś naprawdę bystra. Za szafą i w lewo. Światło zapali się samo, gdy tylko pojawi się tam coś, co będzie miało temperaturę 36,6° C lub wyższą. Działa identycznie jak to, które widziałas po wyjściu z tunelu, którym się tu dostałyśmy. Zasilane jest z własnego, autonomicznego Napędu, który powinien wystarczyć praktycznie „na zawsze”, lecz na wszelki wypadek rozsądnie będzie zabrać ze sobą zwykłą latarkę. Gdzie jej szukać, już wiesz. Tunel jest naprawdę długi, bo wychodzi daleko poza obręb murów i kończy się pod kępą gęstych krzaków. Są tam zamaskowane drzwi, raczej ciężkie, lecz przy odrobinie wysiłku można je podnieść od wewnątrz.

- Wszystko wygląda na piekielnie dobrze zaplanowane. Co jednak, jeśli ktoś zupełnie przypadkiem odkryje to drugie wyjście i dostanie się tutaj tą drogą? Na przykład ja? W końcu jestem praktycznie obcą osobą.

- Nie jesteś obca; jesteś jak stara dobra przyjaciółka. To prawda, że ktoś mógłby dostać się do środka, mimo że wejście jest naprawdę dobrze ukryte. Wówczas najpierw w całym domu natychmiast włączyłby się alarm. Następnie przy pomocy zdalnie sterowanych kamer i jednego z ekranów domowego terminalu sprawdzilibyśmy cały tunel i powstrzymali intruza; w najlepszym wypadku przy użyciu gazu łzawiącego. Gdyby jednak nie było nas wówczas w domu, naprawdę współczułabym Ianowi i Georgesowi.

- A to dlaczego?

- Bo ja mogłabym na przykład nagle zasłabnąć lub dostać ataku jednej z wielu kobiecych dolegliwości. Nie cierpię widoku martwych ciał; szczególnie takich, które są martwe już od ładnych paru dni.

- Hmm... zdaje się, że cię rozumiem.

- Te ciała nie musiałyby być martwe, gdyby ich właściciele mieli dość rozsądku, by trzymać się z daleka. Pamiętaj, że jestem zawodową projektantką ochronnych systemów bezpieczeństwa, i przypomnij sobie, co ci mówiłam o systemach dwustopniowych. Przypuśćmy, że ktoś nadmiernie ciekawski odszuka te drzwi i połamie sobie palce, ale w końcu je otworzy. Nie zostanie natychmiast zabity. Jeśli to któreś z nas - możliwe, lecz mało prawdopodobne - wciśnie przełącznik ukryty tuż przy wyjściu. Jeżeli będzie to jednak intruz, zauważy natychmiast napis WŁASNOŚĆ PRYWATNA - WSTĘP SUROWO WZBRONIONY. Idzie jednak dalej i po kilku krokach słyszy głos z głośników ostrzegający go o tym samym oraz dodatkowo informujący, że posiadłość ma aktywny system bezpieczeństwa. Tylko idiota nie zawróciłby. Załóżmy jednak, że mamy do czynienia z idiotą, który nie zatrzymuje się. Po chwili słyszy syreny, widzi czerwone, pulsujące światła, lecz nie rezygnuje nadal... a potem biedny Ian lub Georges musi wytargać z tunelu jego cuchnące zwłoki. Nie na zewnątrz, ani tym bardziej do środka - co to, to nie! Jeśli ktoś postanawia popełnić samobójstwo, upierając się przejść przez nasz system bezpieczeństwa, jego ciało po prostu ginie. Czy czujesz potrzebę, by dowiedzieć się, w jaki sposób?

- Jestem zupełnie pewna, że nie ma takowej „potrzeby”.

„Zamaskowana, boczna odnoga tunelu, moja droga Janet, i dół z wapnem.

Ciekawe,

ile jest już w nim trupów. Janet wygląda co prawda bezradnie jak pisklę, lecz jeśli jacyś ludzie dożyją starości w tych zwariowanych czasach, to ona z pewnością będzie wśród nich. Niejaka Katarzyna Medycejska mogłaby się od niej wiele nauczyć”.

- Ja również tak myślę. Czy chcesz jeszcze coś zobaczyć?

- Chyba nie. Szczególnie, że prawdopodobnie nigdy nie skorzystam z twojej cudownej kryjówki. Możemy już wracać?

- Jeszcze chwila - powiedziała, podchodząc i kładąc mi ręce na ramionach. - Co wtedy powiedziałaś mi na ucho?

- Myślałam, że słyszałaś.

- Owszem, i to dobrze. - Pociągnęła mnie ku sobie.

Na ekranie terminalu pojawił się wielki napis „LUNCH JEST GOTOWY! ü”. Janet spojrzała nań wyraźnie zdeglustowana.

- Zawsze wiedzą, jak popsuć zabawę! - westchnęła.

Rozdział XIII

Lunch był naprawdę wyśmienity. Z zimnych przystawek na stole pojawiły się pikle z ząbkami kruchego czosnku, pot-au feu zawinięte w cienkie plasterki sera, konfitury, orzechy laskowe i delikatne, białe pieczywo posmarowane czekoladowym masłem. Georges z dostojnością maitre d'hotel rozlewał zupę do wielkich, porcelanowych talerzy. Gdy tylko usiadłam, Ian zawiązał mi pod brodą olbrzymią serwetę.

- Teraz możesz jeść jak świnka - powiedział.

Spróbowałam zupy.

- I tak pewnie zrobię - odrzekłam. - Janet, musiałaś ją chyba gotować wczoraj przez całutki dzień.

- Mylisz się - wyręczył ją w odpowiedzi Ian. - Babcia Georgesza zostawiła mu przepis na tę zupę w testamencie.

- On jak zwykle przesadza - sprzeciwił się Georges. - Moja świętej pamięci droga babunia ugotowała tę zupę po raz pierwszy w tym samym roku, w którym przyszedłem na świat. Przepis miała otrzymać w spadku moja najstarsza siostra, lecz potajemnie wyszła za mąż za biedaka - to był jeden z tych obdartusów z Kanady Brytyjskiej - więc otrzymałem go ja. Próbuję podtrzymać rodzinną tradycję, choć według mnie zapach i smak tej zupy byłby znacznie lepszy, gdyby przyrządzała ją moja mama.

- Nie rozumiem, czego jeszcze od niej chcesz? - powiedziałam. - To najlepsze zupa, jaką kiedykolwiek jadłam.

- Zabrałam się do jej przyrządzania już w zeszłym tygodniu - odrzekła Janet - ale Georges wygonił mnie z kuchni. Wie na temat gotowania o wiele więcej niż ja.

- Cóż - przyznałam - ja wiem o zupach jedynie tyle, że się je zjada. Mam też nadzieję, że zostało jeszcze coś w tej wazie.

- Chyba nie zżarłeś jeszcze wszystkich myszy? - zapytał Georges lana. - Czy mówiłem ci już - rzekł, zwracając się do mnie - na czym gotuje się takie delicje?

- Powiedzcie lepiej, czy są jakieś nowe wiadomości - powiedziała Janet.

- A co się stało z twoim „nie przy jedzeniu”?

- Ian, mój drogi, powinieneś wiedzieć, że moje zasady tworzę ja sama i sama też je zmieniam. Zadałam ci pytanie; czy możesz na nie odpowiedzieć?

- Generalnie: nic nowego. Żadnych doniesień o kolejnych zabójstwach. Nawet jeśli namnożyło się jeszcze więcej szaleńców chcących na własną rękę zbawiać ludzkość, nasz rząd postanowił wspaniałomyślnie nie zwracać nam tym głowy. Niech to szlag! Nie cierpię, gdy ktoś decyduje za mnie. Teraz wiemy jedynie, że rząd wprowadził cenzurę, a to oznacza dokładnie, że nic już nie będziemy wiedzieć. Cholera, mam ochotę kogoś zastrzelić.

- Myślę, że i bez ciebie dosyć jest takich narwańców. A może chciałbyś zostać jednym z Aniołów Pana?

- Dlaczego się czepiasz?

- Kochanie, co byś powiedział na solidnego drinka? - Janet podeszła do barku i wzięła do ręki butelkę. - Mnie również nie podoba się to wszystko - rzekła, napełniając szklanki. -

Marjie i Georges myślą pewnie tak samo. Nie sądzę jednak, byśmy mogli zrobić coś lepszego, jak czekać i starać się o tym nie myśleć.

- Wiesz co, Janet? Twój spokój i opanowanie są czasem wręcz niemożliwe do

zniesienia. Czy nie zastanawia cię ta wielka biała plama w dotychczasowych doniesieniach?

Bo mi nie daje ona spokoju.

- Co masz na myśli?

- Ponadnarodowce, naturalnie! Wszystkie wiadomości dotyczyły wyłącznie niezależnych stanów i państw, nie było natomiast ani słowa na temat korporacji. A przecież każdy, kto potrafi zliczyć do dziesięciu, wie, do kogo tak naprawdę należy władza. Czyżby wszyscy ci żądni krwi odnowiciele świata nie zdawali sobie z tego sprawy?

- A nie przyszło ci do głowy - odezwał się Georges - że być może właśnie dlatego żadna z korporacji nie została wymieniona jako cel?

- W takim razie po co...? - Ian ze zniechęceniem machnął ręką.

- Pamiętasz, jak pierwszy raz spotkałeś mnie w Auckland? - zapytałam go. -

Twierdziłeś wtedy, iż nie ma sposobu, by uderzyć w jakikolwiek ponadnarodowy koncern. Posłużyłeś się wówczas przykładem IBM i Rosji.

- Niezupełnie tak to ująłem, Marjie. Powiedziałem, że w walce przeciwko korporacjom bezużyteczne są sposoby militarne. Giganty przemysłowe, walcząc pomiędzy sobą, nie używają zazwyczaj przemocy. Ich broń to pieniądze, patenty oraz wszelkiego typu i pokroju wybiegi znane jedynie prawnikom i bankierom. Owszem, niekiedy zdarza im się wynająć kilku zbirów i wprowadzić ich do akcji; ogólnie rzecz biorąc nie jest to jednak w ich stylu. Ale sabotaż, zabójstwa i rozruchy - przecież to idealna broń przeciwko ponadnarodowcom. Tylko dlaczego jak dotychczas nikt o tym nie wspomniał?

Dolałam sobie jeszcze trochę zupy; była naprawdę przepyszna. Odstawiając wazę, zapytałam:

- Ian, czy istnieje możliwość, że całe to piekło wywołała któraś z korporacji lub nawet kilka z nich... przez kogoś podstawionego?

Ian wstał tak gwałtownie, że cała zawartość jego talerza znalazła się na obrusie.

- Marjie, zadziwiasz mnie coraz bardziej. Wtedy, na pokładzie mojego statku, wyłowilem cię z tłumu pasażerów bynajmniej nie dlatego, że szukałem partnera do uczonych dyskusji...

- Wiem o tym.

- ...mam jednak wrażenie, iż grubo się myliłem. Ty pierwsza dostrzegłaś, jaki błąd tkwi w projekcie stworzenia i zatrudnienia pilotów-artefaktów; mam zamiar użyć twoich argumentów w Vancouver. Teraz z kolei znalazłaś być może brakujący element całej tej łąmiglówki. W każdym razie dzięki tobie zaczyna ona mieć jakiś sens.

- Ja nie twierdzę, że tak jest - odrzekłam. - Wiem jedynie, że według doniesień zamachy i sabotaż ogarnęły całą Ziemię, wszystkie osiedla kosmiczne i Księżyc, a podobno dotarły nawet aż na Ceres. Ktoś, kto to zorganizował, potrzebował więc wielu ludzi; prawdopodobnie co najmniej kilku tysięcy. Zarówno zamachy, jak i sabotaż, to zadanie dla specjalistów, których trzeba najpierw wyszkolić. Amatorzy - nawet gdyby była to ich robota - schrzaniliby ją w ośmiu przypadkach na dziesięć. Wszystko to oznacza pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Nie tyle, ile może mieć wywrotowa organizacja polityczna czy jacyś fanatycy religijni. Kto dysponuje takimi pieniędzmi? Nie wiem, wskazałam tylko na jedną z możliwości.

- A ja sądzę, że każdy z nas zna odpowiedź na pytanie: „Kto?”. Marjie, co ty właściwie robisz, gdy nie jesteś razem z rodziną na South Island?

- Nie mam już rodziny na South Island. Moja S-grupa rozwiodła się ze mną. Byłam zaskoczona prawie tak samo jak on. Nie myślałam, że wyrzucę to z siebie tak łatwo. Przy stole zapanowała nagle grobowa cisza. Dopiero po chwili odezwał się Ian.

- Strasznie mi przykro, Marjorie - powiedział.

- Nie ma powodów. Całe to moje małżeństwo okazało się pomyłką. Było, minęło... Nie wrócę już na Nową Zelandię. Chciałabym jednak pojechać kiedyś do Sydney i odwiedzić Betty i Freddiego.

- Jestem pewien, że bardzo by się ucieszyli.

- W każdym razie mam od nich zaproszenie. A przy okazji; czego uczy Fred? Nigdy jakoś o tym nie mówiliśmy.

- Federico jest moim kolegą po fachu, moja droga - odrzekł Georges. - Właśnie dzięki niemu znalazłem się tutaj.

- To prawda - potwierdziła jego słowa Janet. - Chubbie i Georges razem przeszczepiali geny jeszcze w McGill. To właśnie wtedy Betty spotkała tego niezdolnego Francuza i poprosiła mnie, bym go przygarnęła.

- A ja zawarłem z nim przymierze - dodał Ian - bo żaden z nas nie poradziłby sobie z Janet sam. Mam rację, Georges?

- Święte słowa, mój stary. Tylko ja nie jestem pewien, czy razem damy sobie z nią radę.

- To raczej ja mam ciągle kłopoty, nie mogąc sobie z wami poradzić. Najlepiej będzie, jeśli poproszę Marjie o pomoc. Co ty na to, skarbie?

Naturalnie, nie brałam tej quasi-oferty serio. Widać było, że każdy z nich stroi sobie żarty, aby ukryć zmieszanie. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Nikt oprócz mnie nie zauważył jednak, że nie doszło do rozmowy na temat mojej pracy. Nie miałam zamiaru opowiadać o tajemnicach Szefa.

Gdy o nim pomyślałam, nagle ogarnął mnie niepokój. Pamiętałam jego opowieść o wojnie prusko-rosyjskiej. Czyżby miał coś wspólnego z ostatnimi wydarzeniami? A jeśli tak, to po której stał stronie?

- Czy życzy sobie pani jeszcze trochę zupy?

- Nie waż się jej dać nawet łyżki, dopóki nie odpowie na moje pytanie.

- Ależ Janet, nie mówisz przecież poważnie. Georges, jeśli wezmę więcej zupy, zjem też więcej pieczywa i będę gruba. Nie kuś mnie.

- A może jednak odrobinę?

- No dobrze.

- Mówię zupełnie serio - nie ustępowała Janet. - Nie chcę cię ponaglać. Doskonale rozumiem, że jesteś teraz zrażona do instytucji małżeństwa. Myślę jednak, że mogłabyś na razie z nami zamieszkać, a za parę miesięcy wróciłybyśmy do tej rozmowy. Oczywiście, o ile zgodzisz się tu zostać. Do tego czasu pozwolę tym dwóm lubieżnikom zostać z tobą sam na sam tylko wtedy, gdy przyrzekną mi, że będą się zachowywać przyzwoicie.

- Ejże, chwileczkę! - zaprotestował Ian. - Kto ją tu sprowadził? Ja! Ona należy do mnie.

- Ach tak? A Betty mówiła, że to Freddie rościł sobie do niej jakieś pretensje. Marjie przyjechała z tobą w zastępstwie twojej siostry; przyjechała więc do mnie. Od tej chwili, jeśli któryś z was będzie chciał z nią porozmawiać, będzie najpierw musiał uzyskać moje

pozwolenie. Czyż nie mam racji, Marjie?

- Skoro tak mówisz, Janet. Ale to tylko teoria. W praktyce będę musiała wyjechać.

Czy macie w domu jakąś szczegółową mapę granicy? Myślę o granicy południowej.

- Jakaś powinna się znaleźć. Poszukaj w pamięci komputera. Jeśli chcesz ją wydrukować, użyj terminalu w moim gabinecie. To tuż obok twojej sypialni.

- Dziękuję, ale nie chciałabym przerywać wam odbioru wiadomości.

- To nie problem. Każdy terminal pracuje samodzielnie. To niezbędne, gdy w jednym domu mieszka troje indywidualistów.

- Z Janet na czele - dodał Ian. - A swoją drogą, po co ci mapa granicy z Imperium?

- Skoro nie mogę pojechać do domu pociągiem, muszę znaleźć jakiś inny sposób.

- Tak też myślałem. Cóż, skarbie, zmuszasz mnie, abym schował przed tobą swoje buty. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że mogą cię zastrzelić, gdy będziesz próbowała prześliznąć się między posterunkami? Nie wątpisz chyba, że po obu stronach jest trzy razy więcej żołnierzy niż zwykle?

- Chyba jednak nic mi nie grozi, dopóki studiuje jedynie mapę?

- Owszem, ale musisz przysiąc, że na tym skończy się twoje niezdrowe zainteresowanie południową granicą.

- Myślę, iż nie powinno się zmuszać nikogo do kłamstwa - powiedział sentencjonalnie Georges.

- To prawda - zdecydowała Janet. - Żadnych wymuszonych obietnic. Idź, Marjie. Ja w tym czasie posprzątam, Ian, ty na ochotnika mi pomożesz.

Przez następne dwie godziny ślęczałam nad komputerem w swoim pokoju, wywołując z bazy danych, a następnie powiększając mapy poszczególnych odcinków granicy. Starłam się zanotować w pamięci każdy, najdrobniejszy nawet szczegół. Żadna granica nie jest na tyle szczelna, by nie można się było przez nią prześliznąć. Najbardziej uczęszczane szlaki przerzutowe prowadzą nawet jak na ironię tuż obok dobrze strzeżonych przejść. Ja jednak nie zamierzałam korzystać z uczęszczanych szlaków.

W pobliżu znajdowało się sporo przejść granicznych: Emerson, Junction, Pine Creek, South Junction, Gretna, Maida i jeszcze kilka innych. Przez chwilę myślałam o Roseau River, szybko jednak zrezygnowałam tego projektu; rzeka wpadała do Red River od strony północnej. W dodatku mapa tego miejsca nie była zbyt dokładna.

Na południowy wschód od Winnipeg, pomiędzy miastem a Jeziorem Leśnym, rozciągają się duże, praktycznie nie zamieszkałe i trudno dostępne tereny. Według mapy leżą one już na obszarze Imperium. Co więcej, nic nie wskazywało na to, by ktoś przekraczający granicę mógł tam napotkać jakieś przeszkody... z wyjątkiem ciągnących się kilkanaście kilometrów bagien. Nie jestem supermanem; mogłabym ugrzęznąć i utopić się. A jednak ów zupełnie nie strzeżony odcinek wyglądał zachęcająco. Lecz w końcu i ten pomysł musiałam porzucić. Teren należał co prawda do Imperium, był jednak oddzielony od samego Imperium dwudziestoma kilometrami wody. Ukraść łódkę? Mogłam się założyć o cokolwiek, że każda łódka przepływająca przez tę część jeziora zostanie natychmiast namierzona i zniszczona przez sieć zdalnie sterowanych promienników laserowych. Lasera nie da się przekupić. Postanowiłam poszukać czegoś innego.

Kończyłam właśnie przeglądać mapy, gdy w głośniku terminalu odezwał się głos Janet:

- Marjie, przyjdź prędko do salonu. Pospiesz się!

Nie musiała mi tego powtarzać dwa razy.

Gdy weszłam, Ian siedział przed ekranem i rozmawiał z kimś. Georges stał z boku, poza zasięgiem transmitera. Janet dała mi ręką znak, bym również trzymała się z dala od niego.

- Policja - szepnęła. - Uważam, że natychmiast powinnaś udać się do Nory. Siedź tam i czekaj, aż sobie pójdą.

- Wiedzą już, że tu jestem? - zapytałam także szeptem.

- Na razie nie wiadomo.

- Wobec tego najpierw się upewnijmy. Jeśli wiedzą, a nie znajdą mnie, będziecie mieli kłopoty.

- Nie obawiamy się żadnych kłopotów.

- Dziękuję. Posłuchaj my jednak.

Ian nie odrywał wzroku od twarzy na ekranie.

- Daj spokój, Mel. Georges nie jest „niebezpiecznym cudzoziemcem”, doskonale o

tym wiesz. A co do tej... panny Baldwin, czy jak jej tam... dlaczego szukacie jej akurat tutaj?

- Wczoraj wieczorem opuściła port razem z tobą i twoją żoną. Jeśli nawet nie ma jej już u was, to z pewnością wiecie, dokąd się udała. Zaś jeśli chodzi o Georgesa, każdy Quebecczyk jest dzisiaj niebezpiecznym cudzoziemcem, bez względu na to, od jak dawna tu siedzi i do jakich klubów należy. Lepiej więc dla niego będzie, jeśli odda się w ręce starego przyjaciela, a nie pierwszego lepszego gliny. Wyłączaj aktywny system; jestem gotów do lądowania.

- Prawdziwy „stary przyjaciel” - szepnęła Janet. - Próbuje zaciągnąć mnie do łóżka od czasów uniwersyteckich i ciągle słyszy „nie”. Jest po prostu obleśny.

Ian także z trudem ukrywał niechęć.

- Do diabła, Mel! Nie jest to raczej najodpowiedniejszy moment, by rozmawiać na temat naszej przyjaźni. Jestem pewien, że gdyby Georges był tutaj, wolałby być aresztowany przez pierwszego lepszego gliniarza niż przez fałszywego przyjaciela. Przestań więc błaznować i zabieraj się stąd. Możesz wrócić tu jako policjant.

- O'key, Ian. Sam się o to prosiłeś. Porozmawiamy inaczej. Mówi porucznik Dickey. Przybyłem dokonać aresztowania. Proszę wyłączyć aktywny system bezpieczeństwa; ląduję.

- Ian Tormey, właściciel posiadłości. Poruczniku, proszę pokazać mi nakaz i trzymać go przed pańskim transmiterem. Zamierzam sprawdzić jego autentyczność.

- Chyba postradałeś zmysły. Obowiązuje stan wyjątkowy. Nie muszę mieć żadnego nakazu.

- Nie słyszę pana, poruczniku.

- W takim razie może usłyszysz to, cwaniaczku. Zamierzam sam rozejrzeć się za urządzeniami ASB i zniszczyć je. Jeśli przy okazji zniszczę coś jeszcze, będziesz miał cholernego pecha.

Ian skrzywił się ze wstrętem i wystukał coś na klawiaturze.

- Aktywny system bezpieczeństwa wyłączony - powiedział, po czym przycisnął

„BREAK” i odwrócił się w naszym kierunku. - Wy dwoje macie najwyżej trzy minuty, aby znaleźć się w Norze. Dłużej nie przetrzymam tego sukinsyna przy drzwiach.

- Nie będę się chował w jakiejś podziemnej norze - odrzekł cicho Georges. - Znam swoje prawa. Jeśli porucznik Melvin Dickey zechce je pogwałcić, sam wyląduje w celi.

- No cóż - wzruszył ramionami Ian - jesteś już w końcu dużym chłopcem, choć w tej chwili zachowujesz się jak naiwny smarkacz. Marjie, znikaj, moja droga. Pozbycie się go nie zajmie mi zbyt wiele czasu. Z pewnością nie ma żadnych dowodów, że tu jesteś.

- Pójdę do Nory, jeśli będzie to konieczne. Ale czy nie mogłabym na razie ukryć się w po prostu w łazience Janet? Przecież on zaraz sobie pójdzie. Zresztą, przez terminal będę widziała wszystko, co się tu dzieje. W razie czego zdążę uciec.

- Marjie, przynajmniej ty nie sprawiaj kłopotów.

- W takim razie przekonaj Georgesa, że on też musi zniknąć. Jeśli zostanie, może potrzebować mojej pomocy. Ty również. Tak samo Janet.

- Kobieto, o czym ty mówisz?!

Dobrze wiedziałam, o czym mówię. Nie po to zostałam wyszkolona, by teraz dobrowolnie kryć się w jakichś podziemnych jamach.

- Posłuchaj mnie, lanie. Ten Melvin Dickey... sędzę, że on zamierza skrzywdzić Georgesa. Wyczułam to w jego głosie. Jeśli Georges nie pójdzie ze mną do schronu, ja również zostaję. Nie chcę, by przytrafiło mu się coś złego. Poza tym każdy, kto ma do czynienia z policją, potrzebuje świadków.

- Teraz ty mnie posłuchaj: nie jesteś w stanie powstrzymać... - Przerwał mu gong u drzwi. - Cholera! Zaraz tu będzie. Masz natychmiast zniknąć mi z oczu i znaleźć się w Norze. Wykonałam tylko pierwsze polecenie. Pobiełam do łazienki Janet i szybko włączyłam terminal. Gdy ustawiłam zdalnie sterowany transmiter na środek salonu, było prawie tak samo, jakbym stamtąd w ogóle nie wychodziła.

Porucznik Dickey wyglądał na jednego z tych twardzieli mocnych jedynie w gębie lub z bronią w rękę. Wchodząc do pokoju natychmiast zauważył Georgesa.

- A więc jesteś tu jednak, Perreault! - powiedział z tryumfem w głosie. - Aresztuję cię pod zarzutem świadomego naruszenia praw wynikających z Dekretu o Stanie Wyjątkowym, paragraf sześć. Nie zameldowałeś się w komisariacie jako obywatel obcego kraju, pozostający na terytorium Kanady Brytyjskiej.

- Nie wiadomo mi nic o takim obowiązku.

- Dobrze sobie! Trzeba było słuchać komunikatów.

- Nie mam zwyczaju słuchać komunikatów. Nie znam też żadnego prawa, które by tego ode mnie wymagało. Chciałbym zobaczyć kopię dokumentu będącego podstawą do aresztowania mnie.

- Nie próbuj strugać ze mnie idioty, Perreault. Na twoje nieszczęście w tym kraju obowiązuje obecnie stan wyjątkowy. Przeczytasz sobie ów dokument, gdy cię zamknę, Ian, zobowiązuję cię do udzielenia mi pomocy. Weź te obrączki - Dickey sięgnął za pas, wyjmując kajdanki - i skuj mu ręce. Na plecach.

Ian nie poruszył się z miejsca.

- Nie rób z siebie większego głupca niż jesteś, Dickey. Nie masz najmniejszego powodu, by zakładać Georgesowi kajdanki.

- Zamknij się i rób, co ci każe. Nie zamierzam dać temu żabojadowi szansy

załatwienia mnie, gdy tylko odwrócić się do niego tyłem. Powiedziałem, że masz go skuć.

Chcesz, żebym ci to powtórzył?

- Zabierz ten cholerny pistolet!

Dłużej już nie patrzyłam. Wybiegłam z łazienki i pędząc minęłam korytarz, schody oraz olbrzymi hali na dole. Wszystko to zajęło mi nie więcej niż osiem sekund.

Gdy wpadłam do pokoju, Dickey stał po środku. Lufa jego miotacza wymierzona była w głowę Janet. Nie powinien był tego robić. Jednym skokiem znalazłam się przy nim. Nawet nie zauważył, w którym momencie wytrąciłam mu broń z ręki. Nie zdążył też usłyszeć charakterystycznego, nieprzyjemnego chrzęstu, gdy skręcałam mu kark.

Martwe ciało porucznika Melvina Dickeya osunęło się na dywan, tuż obok pistoletu.

Był to raytheon 505, wystarczająco duży, by zabić mastodonta. Tchórze zawsze wymachują wielkimi pistoletami.

- Nic ci nie jest? - spytałam Janet.

- Nie.

- Przybiegłam tak szybko, jak mogłam. Czy teraz już wiesz, lanie, co miałam na myśli, mówiąc, że możecie mnie potrzebować? Niewiele brakowało, bym się spóźniła.

- Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś, kto się tak szybko porusza!

- A ja już widziałem - powiedział cicho Georges.

- I to pewnie nie raz - odrzekłam, patrząc mu w oczy. - Czy mógłbyś pomóc mi zabrać go stąd? - wskazałam na trupa.

- Tak.

- A potrafisz prowadzić policyjny energobil?

- Jeśli muszę.

- Ja też nie mam w tym wprawy. Ciało i maszyna muszą jednak zniknąć. Janet powiedziała mi coś niecoś o sposobie, w jaki można się pozbyć zwłok. To musi być gdzieś w tunelu, czy tak? Lepiej nie traćmy czasu. Natychmiast, jak tylko uporamy się z tym, Georges i ja wyjedziemy. Zresztą Georges może zostać. Jeśli usuniemy wszystkie ślady, ciało oraz maszynę, będziecie mogli udawać, że o niczym nie wiecie, a porucznika Dickeya nie widzieliście na oczy. Musimy się jednak pospieszyć, zanim nie złączą go szukać.

Janet przyklękła obok martwego policjanta.

- Marjie, ty go naprawdę zabiłaś.

- Nie zostawił mi wyboru. Niemniej zabiłam go umyślnie. Mając do czynienia

Z

policjantem, o wiele bezpieczniej jest go zabić, niż tylko ranić. Janet, ten sukinsyn nie powinien był celować do ciebie z miotacza. To prawda, że mogłam go jedynie rozbroić... i zabić tylko wtedy, jeśli uznalibyście, iż musi umrzeć.

- Nie wiem, czy musiał umrzeć, lecz nie będę nad nim rozpaczać. To szczur. W każdym razie był nim.

Ian podszedł do nas i powiedział powoli:

- Marjie, czy zdajesz sobie sprawę, że zabicie oficera policji jest poważną sprawą? To jedna z niewielu zbrodni, jakie ściga jeszcze kanbrytyjski wymiar sprawiedliwości.

Nie rozumiem, dlaczego niektórzy ludzie uważają policjantów za kogoś innego, specjalnego.

- Posłuchaj, Ianie: dla mnie poważną sprawą jest mierzenie z pistoletu do moich przyjaciół; celowanie w głowę Janet uważam zaś za zbrodnię. Przykro mi jednak, że wyprowadziłam cię z równowagi. Tak czy owak, jest tu teraz ciało i energobil, których trzeba się koniecznie pozbyć. Mogę w tym pomóc. Mogę też po prostu ulotnić się. Wybór należy do ciebie, ale musisz decydować szybko. Nie wiemy, czy nie zaczęto już go szukać i czy nie zaczęto szukać nas. W każdym razie to tylko kwestia czasu.

Mówiąc to, przeszukiwałam cały czas zwłoki. Facet nie miał przy sobie żadnej torby. Opróżniałam po kolei wszystkie kieszenie jego munduru, starając się uważać przy spodniach. Jak zwykle w takich wypadkach puściły zwieracze i gość narobił w gacie. Na szczęście niewiele. Nie śmierdział też zbyt mocno, chociaż takie śmierdzenie i bez tego rozciągają wokół smród. Najważniejsze rzeczy znalazłam w kieszeniach marynarki. Był tam portfel, karty kredytowe, DT, trochę gotówki i jeszcze parę drobiazgów. Portfel i raytheona zatrzymałam dla siebie. Resztę rupieci wpakowałam do plastikowej torby, po czym podniosłam te cholerne kajdanki.

- Macie jakiś sposób na pozbycie się tego złomu? Bo jeśli nie, trzeba to zabrać razem ze zwłokami.

Ian ciągle jeszcze stał pogrążony w myślach. Georges podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Myślę, stary, że powinniśmy słuchać Marjie. Wygląda na to, że wie, co robi. Ian otrząsnął się w końcu.

- W porządku, Georges. Chwyć go za nogi - powiedział.

Razem za taszczyli ciało do łazienki i ułożyli je nad brzegiem basenu. Ja poszłam do swojego pokoju. Miotacz, kajdanki i portfel rzuciłam na łóżko. Gdy po chwili wchodziłam do łazienki, Ian i Georges stali już w wodzie. Zaczęłam się szybko rozbierać.

- Nie ma potrzeby, abyś tu wchodziła, Marjie - rzekł Ian, widząc to. - Sami się go pozbędziemy.

- W porządku - zgodziłam się. - Pozwól jednak przynajmniej, że go umyję. Wiem, jak się do tego zabrać.

Ian był najwyraźniej zdumiony.

- Po cholerę chcesz go myć? Zostaw go tak, jak jest.

- Jak chcesz. Sądzę jednak, że jeśli wrzucisz do wody zwłoki w takim stanie, sam nie zechcesz już do niej wejść; nawet po to, aby zabrać je do Nory i wrócić. Będziesz najpierw musiał zmienić wodę i dokładnie oczyścić basen. Chociaż... - W tym momencie do łazienki weszła Janet. - Janet, mówiłaś coś o możliwości opróżnienia i ponownego napełnienia basenu ze zbiornika przejściowego. Jak długo trwa pełny cykl?

- Około godziny; pompa jest raczej niewielka.

- W takim razie nie ma na co czekać.

Półtorej godziny później jedynym śladem, jaki pozostał po poruczniku Melvinie Dickeyu, był jego portfel. Janet weszła do mojego pokoju w momencie, gdy przekładałam część jego zawartości do plastikowej torebki, którą mi wcześniej podarowała. Zatrzymałam jedynie gotówkę i dwie karty kredytowe: American Express oraz Maple Leaf. Resztę

dokumentów wrzuciłam razem z portfelem do dematerializatora.

Janet nie robiła żadnych niemądrych uwag na temat „obrabowywania trupów”. Nawet gdyby je robiła, nie zwracałabym na to uwagi. Dość już miałam poczucia bezradności spowodowanego totalnym brakiem pieniędzy; czy to w formie kart kredytowych, czy też szeleszczących banknotów. Moja gospodyni wyszła z pokoju, a gdy po chwili wróciła, wręczyła mi dwa razy tyle gotówki, ile do niedawna jeszcze miał przy sobie pewien policjant.

- Oczywiście wiesz, że nie mam pojęcia jak, kiedy i czy w ogóle uda mi się ci to zwrócić - powiedziałam, biorąc od niej pieniądze.

- Nie zwracaj sobie tym głowy, Marjie. Jestem wręcz nieprzyzwoicie bogata. Zresztą posłuchaj, moja droga: rzuciłaś się z gołymi rękoma na człowieka, który mierzył do mnie z pistoletu. To ja jestem twoim dłużnikiem, choć wątpię, czy kiedykolwiek uda mi się odwdziżyć. Obaj moi mężowie byli obok, lecz to właśnie ty stanęłaś w mojej obronie.

- Nie możesz tak myśleć o chłopcach, Janet. Nie są wyszkoleni tak, jak ja.

- Zauważyłam. Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć. Nadal uważasz, że masz szansę dostać się do Quebec?

- Bez większych kłopotów. Czy Georges zdecydował się jechać ze mną?

- Sądzę, że tak.

Do pokoju weszli obaj mężczyźni. Spojrzałam na zegarek i zwróciłam się do Georgesasa:

- Zabiłam tego policjanta dokładnie godzinę i czterdzieści sześć minut temu. Nie kontaktował się więc z bazą od mniej więcej półtorej godziny. Najwyższy czas, bym przekonała się, czy potrafię pilotować policyjny energobil... chyba że lecisz ze mną. Wtedy ty będziesz pilotem. Mam nadzieję, iż nie zamierzasz tu zostać i sprawdzić, czy ktoś jeszcze ma ochotę cię aresztować? Ja w każdym razie wyjeżdżam natychmiast.

- Wyjedźmy stąd wszyscy - zaproponowała nagle Janet.

- Świetny pomysł! - uśmiechnęłam się do niej szeroko.

- Janet, naprawdę chcesz to zrobić? - spytał Ian.

- Właściwie... nie mogę - powiedziała to ze ściśniętym gardłem. - Nie zostawię przecież Kociey Mamy i jej dzieci. A Czarna Piękność, Demon, Gwiazda, Rudy...?

Moglibyśmy zamknąć dom. Nic by się nie stało. Tylko co ze zwierzętami? Przecież to część rodziny, nie mogę ich tak po prostu zostawić! Nie potrafiłabym!

Nie było tu nic do dodania, więc milczałam. Najgłębsze czeluście piekielne zarezerwowane są dla tych, co nie dbają o swoje zwierzęta, szczególnie o koty. Szef powtarza mi zawsze, że jestem sentymentalna. I nie myli się.

Wszyscy czworo wyszliśmy przed dom. Zapadał właśnie zmierzch. Nagle uświadomiłam sobie, iż przyjechałam tu zaledwie wczoraj. A wydawało się, że minął co najmniej miesiąc. Mój Boże, przecież niewiele więcej, jak dwadzieścia cztery godziny temu byłam jeszcze na Nowej Zelandii!

Energobil stał w ogrodzie warzywnym. Gdy zobaczyła to Janet, z jej ust wydobył się potok określeń, o których znajomość nigdy jej nie podejrzewałam. Pojazd miał zwyczajny, przysadzisty kadłub antygravitatorowca. Był niewiele mniejszy od tego, który miała moja rodzina na South Island. Moja była rodzina. Myślałam teraz o niej bez cienia żalu. Miejsce Grupy Davisona w moim sercu zajęła Janet i jej mężowie. Cóż, donna e mobile. W tej chwili najbardziej jednak pragnęłam znaleźć się gdzieś blisko Szefa. Tęsknota za ojcem, którego nie

miałam? Być może. Nie miałam zamiaru roztrząsać przyczyny.

- Pozwól, że obejrzę tego rzecha, zanim odleciecie - powiedział Ian. - I tak będziecie jak dzieci we mgle.

Otworzył luk i wskoczył do środka. Po chwili był już z powrotem na zewnątrz.

- Ogólnie rzecz biorąc można nim latać - rzekł z namysłem. - Jest jednak kilka problemów. Po pierwsze, to pudło wyposażone jest w transponder identyfikacyjny.

Najprawdopodobniej ma też aktywną radiolatarnię, chociaż nie mogłem jej znaleźć. Napęd jest wyczerpany w sześćdziesięciu dziewięciu procentach, możecie więc zapomnieć o dotarciu tym do Quebec. Wszystkie systemy w porządku. Nie wspominałem jednak jeszcze o najgorszym. Terminal pokładowy wzywa porucznika Dickeya.

- Więc zignorujemy jego wezwania.

- Oczywiście, Georges. Tylko że po tej sprawie z Ortega w ubiegłym roku większość policyjnych energobili została wyposażona w zdalnie sterowany system autodestrukcji. Szukałem czegoś w tym rodzaju. Gdybym znalazł, rozbroiłbym świństwo. Ale nie znalazłem. Nie znaczy to bynajmniej, że go tam nie ma.

- Trudno - wzruszyłam ramionami. - Nie raz już ryzykowałam, jeśli było to konieczne.

Zresztą i tak musimy pozbyć się tej kupy złomu. Trzeba ją wysłać dokądkolwiek. Georges, wskakuj do środka.

- Nie tak prędko, Marjie! Latadła to moja specjalność. To jest wyposażone w autopilota; standardowy, wojskowy AG. Proponuję więc wyprawić maszynę pustą... powiedzmy na wschód. Powinna rozbić się, zanim dotrze do Quebec. W ten sposób policja będzie przekonana, iż próbowałaś uciec, Georges. Tymczasem będziesz siedział bezpiecznie w Norze.

- Nic z tego, Ian. Mówiłem już, że nie zamierzam ukrywać się w żadnej dziurze.

Zgodziłem się towarzyszyć Marjie, ponieważ ktoś musi się nią opiekować.

- Jeżeli już, to ona będzie bronić ciebie.

- Nie mówiłem, że będę jej bronił. Użyłem słowa „opiekować się”.

- Na jedno wychodzi.

- Niezupełnie.

- Ian - przerwałam im - czy maszyna da radę dolecieć do Imperium?

- Według wskazań urządzeń pokładowych - tak. Nadal jednak twierdzę, że nie powinniście do niej wsiadać. To zbyt niebezpieczne.

- Zmieniłam zamiary - odrzekłam. - Zaprogramuj autopilota tak, aby leciał cały czas na południe z maksymalną prędkością. Jeśli nie uaktywni się autodestruktor, straci go wasza straż graniczna albo zrobią to nad Imperium. W najgorszym wypadku rozbije się po wyczerpaniu Napędu. Tak czy owak, pozbędziemy się go raz na zawsze, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

- Zrobione! - powiedział z nieukrywanym entuzjazmem Ian, wskakując do środka. Po chwili usłyszeliśmy ciche buczenie antygravitatorów i pojazd zaczął się powoli unosić. Był już dwa lub trzy metry nad ziemią, gdy Ian ponownie stanął w otworze luku. Zeskoczył prosto na grządkę cebuli.

- Nic ci się nie stało? - spytałam, pomagając mu wstać.

- Wszystko w porządku. Popatrz w górę!

Policyjny energobil szybko oddalał się na wschód. Nagle skręcił na południe, odbijając ostatnie promienie zachodzącego słońca, po czym przyspieszył gwałtownie i zniknął nam z oczu.

Rozdział XIV

Znowu siedzieliśmy w kuchni, jednym okiem śledząc ekran terminalu, sącząc martini przyrządzone przez Georgesa i zastanawiając się, co dalej.

- Marjie - przekonywał mnie Ian - mogłabyś spokojnie poczekać tu, aż wszystko wróci do normy. Byłabyś przynajmniej bezpieczna. W razie czego w Norze nikt cię nie znajdzie, choć wątpię, by w ogóle ktokolwiek jeszcze szukał ciebie tutaj. W międzyczasie

Georges namalowałby cię nago, jak radziła Betty. Co ty na to, Georges?

- Nie zmarnowałbym takiej okazji.

- Sama widzisz.

- lanie, postaraj się mnie zrozumieć. Jeśli powiem swojemu szefowi, że nie mogłam wrócić na czas z powodu zamknięcia granicy, po prostu nie uwierzy mi. Wiesz przecież dobrze, iż tak naprawdę nie da się zamknąć granicy o długości ponad dwóch tysięcy kilometrów.

Miałam mu powiedzieć, że jestem jednym z najlepiej wyszkolonych kurierów? Nie, nie było takiej potrzeby. W każdym razie jeszcze nie wówczas.

- Co więc zamierzasz zrobić?

- Myślę, że sprawiłam wam wystarczająco dużo kłopotów. Kiedy obudzicie się rano, już mnie tu nie będzie i życie - przynajmniej w tym domu - wróci do normy.

- Nie!

- Janet, przecież gdy tylko skończy się całe to zamieszanie, odezwę się. I jeśli będziecie chcieli, odwiedzę was natychmiast, gdy będę miała trochę wolnego. Teraz jednak muszę wracać do pracy. Powtarzam to cały czas od chwili, gdy się tu pojawiłam.

Janet po prostu nie chciała słyszeć, że będę sama przedzierać się przez granicę. Ja natomiast potrzebowałam towarzystwa tak samo, jak wąż potrzebuje butów. Moje argumenty nie trafiały jej jednak do przekonania. Wymyśliła, że oboje - Georges i ja - będziemy używać paszportów należących do niej i do lana. Nasze rysopisy nawet niewiele się różniły, a poza tym mało kto przygląda się dokładnie zdjęciom.

- Potem będziecie mogli odesłać je z powrotem, choć okaże się pewnie, iż nie będzie to takie łatwe. Może lepiej byłoby nawet, gdybyście, używając jedynie kart turystycznych, pojechali najpierw do Vancouver, a stamtąd przedostali się do Konfederacji Kalifornijskiej. Nie mam oczywiście na myśli waszych kart. Gotówki raczej wam nie zabraknie, a w razie czego macie jeszcze karty kredytowe. Gdy tylko przekroczycie granicę Kalifornii, będziecie bezpieczni. Marjie, nie sądzę, byś miała tam jakiegokolwiek problemy z uzyskaniem połączenia ze swoim pracodawcą; nawet przy użyciu twoich własnych kart kredytowych. Wątpię też, żeby ktoś zechciał was tam internować.

- Masz rację - zgodziłam się. - Pomysł z użyciem kart turystycznych jest znacznie lepszy. Tak będzie bezpieczniej i dla nas, i dla was. Jeśli uda mi się dostać do miejsca, gdzie ważne będą karty kredytowe wydane w Imperium, moje problemy skończą się. Natychmiast podejmę tyle gotówki, ile się tylko da i już nigdy więcej nie dopuszczę, bym znalazła się bez niej z dala od domu. W Bellingham nie mogę już chyba wpaść w jeszcze większe kłopoty niż tutaj - dodałam. - A stamtąd bez trudu przedostanę się prosto do Republiki Samotnej Gwiazdy. Czy wiadomo coś nowego na temat Teksasu?

- Gdy podawali ostatnie wiadomości, wszystko było w porządku - odrzekł Ian. - Mogę zresztą sprawdzić w komputerze.

- Zrób to, proszę. W razie czego spróbuję dotrzeć do Vicksburga. Za odpowiednią ilość gotówki z pewnością znajdzie się ktoś, kto przewiezie mnie przez rzekę; pełno tam szmuglerów.

- Przewiezie n a s - poprawił mnie Georges.

- Nie wydaje mi się, Georges, byś musiał jechać razem ze mną do Imperium. Wystarczy, jeśli znajdziesz się jak najdalej stąd; najlepiej w Quebec. Wspominałeś też, że mógłbyś zatrzymać się w McGill.

- Nie mam ochoty jechać do McGill, młoda damo. Dopóki policja może mi sprawiać kłopoty tu, gdzie jest mój prawdziwy dom, zamierzam razem z tobą powłóczyć się trochę po świecie. Natychmiast, gdy dotrzemy do prowincji Washington w Kalifornii, będziesz mogła zmienić nazwisko z Tormey na Perreault. Myślę nawet, że okaże się to niezbędne, gdyż obie moje karty kredytowe wystawione są na to właśnie nazwisko i bez wątpienia będą tam honorowane.

- Georges, jesteś naprawdę rycerski - uśmiechnęłam się do niego. „Tylko gdy znowu będę musiała skrócić komuś kark, twoja rycerskość może okazać się niezbyt przydatna - dodałam w myślach. - A prawdopodobnie bez tego się nie obejdzie”. Nie mogę powiedzieć ci, że musisz zostać w domu - kontynuowałam już na głos. - Musisz jednak wiedzieć, iż jestem zawodowym kurierem. Podróżuję praktycznie bez przerwy i to nie tylko po Ziemi. Nie raz i nie dwa odwiedzałam już osiedla orbitalne i Księżyc. Jak dotychczas nie latałam jeszcze na Marsa czy Ceres, lecz w każdej chwili mogę dostać taki rozkaz...

- Czy chcesz mi powiedzieć, że wolałabyś raczej zrezygnować z mojego towarzystwa?

- Nie! Chcę ci jedynie wytłumaczyć, że jeśli postanowisz jechać ze mną, to w celach wyłącznie towarzyskich. Gdy jednak dotrzemy do Imperium, będziemy się musieli rozstać, bo zawód, jaki wykonuję, wymaga ode mnie, bym podróżowała sama. Postaraj się to zrozumieć.

- Wobec tego zgódź się przynajmniej - powiedział Ian - żeby Georges towarzyszył ci do chwili, gdy oboje znajdziecie się w miejscu, gdzie żadnemu z was nie będzie groziło internowanie, a ty będziesz mogła posługiwać się własną kartą kredytową.

Była to rozsądna propozycja, nie stawiałam więc dłużej oporów. Posługiwanie się kartami Georgesa miało jeden olbrzymi plus: żaden komputer nie będzie w stanie sprawdzić, czy i w jaki sposób wyjechałam z Winnipeg. Dopóki jednak będzie to możliwe, wolałam korzystać z konta porucznika Dickeya, które przez parę dni, a może nawet tygodni, powinno jeszcze być otwarte.

- Zgoda, lanie - zadecydowałam. - W takim razie nie ma co zwlekać. Ruszamy, Georges.

- Ejże! Nie po nocy! - zaprotestowała Janet. - Możecie przecież wyruszyć rano.

- Dlaczego nie teraz? Czyżby pociągi nie jeździły całą noc? - zdziwiłam się, choć wiedziałam, że jeżdżą.

- Owszem, tylko że do najbliższego dworca jest prawie dwadzieścia kilometrów. A na zewnątrz ciemno i raczej niebezpiecznie.

Nie było sensu dyskutować o jakichś urojonych niebezpieczeństwach.

- Nawet piechotą dotrę tam do północy - odrzekłam. - Łapiąc w miarę szybko jakieś połączenie i zyskując na różnicy czasu, będę w Bellingham praktycznie o tej samej porze. Zdam się nawet porządnie wyspać. Jeśli tylko granica pomiędzy Imperium a Kalifornią nie jest zamknięta, rano zamelduję się swojemu szefowi.

Kilka minut później wszyscy czworo siedzieliśmy w tym samym powozie, którym tu przyjechałam... zaledwie wczoraj, Ian nie był chyba zbyt zadowolony, iż nie znalazł we mnie jednej z tych posłusznych, miękkich, słabych i bezbronnych istot, jakie z reguły bardziej podobają się mężczyznom. Mimo tego objął mnie mocno i pocałował, zanim oboje z Janet odjechali, zostawiając mnie i Georgesa przy wejściu do hali dworca. Udało się nam wcisnąć do kapsuły startującej o dwudziestą trzecią, całą drogę przez pół kontynentu musieliśmy jednak odbyć stojąc.

Do Vancouver dotarliśmy o dwudziestą drugą (w Winnipeg była już wtedy północ). Wchodząc na pokład kapsuły do Bellingham poprosiliśmy o karty turystyczne, wypełniliśmy je po drodze i podstemplowaliśmy kilka minut później, opuszczając pojazd już po drugiej stronie granicy. Kontroler obsługujący komputer nawet na nie nie spojrział. Wrzucił obie karty w szczelinę czytnika i po chwili oddał nam z powrotem, mruczając swoje „życze miłego pobytu”.

W Bellingham wyjście ze stacji podziemnej kolei magnetycznej znajduje się w hallu tamtejszego Hiltona. Naprzeciwko wisi olbrzymi neon:

BAR PRZEKĄSKOWY

Dania - Koktajle - Błyskawiczna Obsługa.

Czynny Całą Dobę

- Droga pani Tormey - powiedział Georges. - Przyszło mi na myśl, iż zupełnie zapomnieliśmy zjeść obiad.

- Bardzo słuszne spostrzeżenie, drogi panie Tormey - odrzekłam. - Co pan proponuje?

- Cóż, kuchnia w Konfederacji nie jest ani egzotyczna, ani zbyt wyrafinowana. Jednak ktoś, kto ma wystarczająco dużo czasu, by poczuć głód, może być z niej na swój sposób zadowolony. Kiedyś już jadłem w tym lokalu. Nie daj się zwieść nazwie; znajdziesz tu całkiem spory wybór potraw. Jeśli pozwolisz, że to ja wybiorę coś z menu, zapewniam cię, iż nie narażę twego podniebienia na rozczarowanie.

- Georges, to znaczy lanie - poprawiłam się szybko - jadłam już twoją zupę. Możesz zamawiać za mnie, kiedy tylko zechcesz.

To był prawdziwy bar. Żadnych stołów. Stołki barowe były jednak miękkie i wygodne, miały też oparcia. Gdy tylko usiedliśmy, przed każdym z nas pojawiła się szklaneczka aperitif. Georges złożył zamówienie, po czym wstał i wyszedł, kierując się w stronę hotelowej recepcji. Gdy wrócił, usiadł obok mnie i uśmiechając się powiedział:

- Teraz możesz znowu mówić do mnie „Georges”. Sama jesteś obecnie panią Perreault. W każdym razie pod tym nazwiskiem zostałam zameldowana. Podniósł do góry swoją szklaneczkę.

- Sante, ma chere femme.

- Merci. Et a la tienne, mon eher mari - odrzekłam, unosząc swoją również.

Napój był zimny i świetnie pobudzał apetyt. Co prawda nie szukałam na razie kandydata na męża, lecz Georges mógłby być niezły w tej roli.

Podano nasze „przekąski”:

Zmrożony sok jabłkowy Yakima.

Truskawki z kremem Sequim.

Dwa sadzone jajka ułożone na delikatnie wysmażonym steku, na tyle miękkim, by można go było kroić samym widelcem - „Jaja Na Końskim Grzbiecie”.

Ciepłe grzanki z miodem i masłem o tej samej nazwie, co krem truskawkowy.

Kawa w dużych filiżankach z prawdziwej porcelany.

Kawę, sok i grzanki zamówiliśmy jeszcze raz. Panujący wokół hałas i sposób, w jaki siedzieliśmy, nie zachęcały raczej do rozmowy. Nad barem wisiał ekran lokalnego biura ogłoszeń. Każdy napis pozostawał na nim wystarczająco długo, by można go było spokojnie przeczytać. Nawet nie zauważyłam, jak nie przerywając jedzenia mimochodem zaczęłam czytać kolejne reklamy.

Niezależny okręt rekrutuje członków załogi.

Zgłoszenia osobiste w Delegaturze Giełdy Pracy Vegas.

Specjalne premie dla weteranów wojennych.

Czyżby statków pirackich nie było stać na coś lepszego? Nawet tych z Wolnego Stanu Vegas? Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdybym nie przekonała się na własne oczy.

Te papierosy palił nawet Jezus!

ANIELSKI DYMEK

Gwarantowana Antyrakogenność.

Ja i tak nie musiałam przejmować się rakiem. Nie dałam się jednak przekonać - usta kobiety powinny być zawsze słodkie.

Bóg czeka na ciebie w hallu wieżowca Lewisa i Clarka.

Nie każ Mu czekać zbyt długo. Jeśli to on przyjdzie po ciebie - będziesz żałować.

Po mnie nie przyjdzie na pewno.

NUDZISZ SIĘ?

Nic prostszego! Weź udział w pionierskiej wyprawie na dziewiczą planetę T-13. Wymagany wiek - 32 ± 1 oraz współczynnik aktywności seksualnej $50-40-10 \pm 2\%$

Żadnych opłat! Żadnych podatków!

Gwarantowane bezpieczeństwo!

Korporacja Ekspansji Planetarnej

Sekcja Demografii i Ekologii

Luna City GPO z dopiskiem DEMO

lub

Tycho 800-2300

Przeczytałam to jeszcze raz. A może by tak wybrać się ramię w ramię z innymi na podbój nowych światów? Tam prawdopodobnie nie byłoby nikogo, kto wiedziałby o moim pochodzeniu lub przejmował się nim. Moje wyjątkowe zdolności wzbudzałyby raczej szacunek, a nie zdziwienie... przynajmniej tak długo, dopóki nie zaczęłabym ich demonstrować bez potrzeby.

- Georges, popatrz na to.

Georges podniósł wzrok i spojrzał w kierunku ekranu.

- Co w tym ciekawego?
- Nie sądzisz, że brzmi zachęcająco?
- Absolutnie! W skali T wszystko powyżej ośmiu wymaga wielkich pieniędzy, olbrzymiej ilości sprzętu i doskonale wyszkolonych kolonizatorów. Trzyście natomiast oznacza, że wzięcie udziału w takiej wyprawie to nic innego, jak dość wyszukany sposób popełnienia samobójstwa.
- Ach tak!
- Niestety. Ale rzuć okiem na to. Równie ciekawe.

W.K. - Sporządź testament Został ci tylko tydzień.

A.C.B.

- Sądzisz, iż ktoś naprawdę grozi temu W.K., że go zabije? I robi to za pośrednictwem biura ogłoszeń?
- A skąd mam wiedzieć? Ciekawi mnie tylko, co przeczytamy tu jutro rano. Jak myślisz, czy będzie napisane „sześć dni”? A pojutrze - „pięć”? I czy jakiś W.K. rzeczywiście czeka, aż ktoś go załatwi? Czy też może to taka forma reklamowania reklamy?
- Nie mam pojęcia tak samo jak ty - odrzekłam. Przyszła mi jednak w związku z tym do głowy pewna, niezbyt zresztą mądra, myśl. - Georges - zapytałam - czy twoim zdaniem istnieje taka możliwość, że wszystkie te pogrożki i wystąpienia w telewizji były jedynie czymś makabrycznym dowcipem?
- Sugerujesz, iż nikt nie został zabity, a stacje telewizyjne przez okrągłą dobę raczyły nas sfabrykowanymi dla kawału doniesieniami?
- Niczego nie sugeruję. Po prostu pytam.
- Marjorie, jest w tym wszystkim kpina, owszem. W tym sensie, że trzy różne grupy przyznają się do odpowiedzialności za coś, co mogła zrobić tylko jedna z nich. Dwie pozostałe, jeśli nie wszystkie trzy, próbują więc okpić cały świat. Wątpię jednak, by wiadomości o zamachach i zabójstwach były jedynie czymś żartem. Jak na żart dotyczyły zbyt wielu ludzi, którzy są zbyt wysoko postawieni, by stać się obiektem tego rodzaju dowcipów. Kawał na taką skalę nie byłby śmieszny. Chcesz jeszcze kawy?
- Nie, dziękuję.
- A może grzanek?
- Jeśli zjem jeszcze cokolwiek, pęknę.

Z zewnątrz był to zwyczajny, hotelowy pokój numer 2100. Gdy tylko weszliśmy do środka, przez chwilę zaniemówiłam z wrażenia.

- Georges, z jakiej okazji...?!
- Panna młoda powinna mieszkać w apartamencie dla nowożeńców.
- Tu jest prześlicznie, przepięknie, cudownie! Nie powinieneś jednak tracić w ten sposób pieniędzy. I tak dzięki tobie cała ta nudna podróż wygląda jak prawdziwy piknik. Lecz jeśli spodziewałaś się po mnie zachowania, jakie przystało pannie młodej w noc poślubną, trzeba było nie wpychać we mnie całego talerza grzanek z miodem. Jestem obżarta, a nie

lekka, zwiewna i czarująca.

- Owszem, jesteś czarująca.

- Georges, proszę cię, nie drwij ze mnie. Domyśliłeś się wtedy, gdy zabiłam porucznika Dickeya. Dobrze wiesz, kim jestem.

- Wiem, że jesteś tajemniczą, czarującą i odważną młodą damą.

- Nie udawaj; wiesz, co mam na myśli. W końcu to twój zawód. Rozpoznałeś mnie, prawda?

- Zauważyłem, że masz nadzwyczajne zdolności, to wszystko.

- A więc domyśliłeś się też, czym jestem. Nie zamierzam zaprzeczać. Od lat ukrywam starannie swój „rodowód”. Zdołałam nawet nabrać niezłej wprawy. Nigdy bym się nie zdradziła, gdyby ten sukinsyn nie celował do Janet z miotacza.

- Nie powinien był tego robić. A za to, co ty wtedy zrobiłaś, jestem na zawsze twoim dłużnikiem.

- Naprawdę uważasz, że postąpiłam słusznie? Ian powiedział, iż nie musiałam go zabijać.

- Ian zawsze na początku reaguje w sposób dosyć konwencjonalny. Szybko jednak zmienia zdanie. Jest w końcu tylko pilotem, myśli za pomocą mięśni. Ale, Marjorie...

- Nie jestem Marjorie.

- ?!

- Czas, byś poznał moje prawdziwe imię. To, które dano mi w wychowalni. Brzmi ono Piętaszek. Mam też oczywiście nazwisko, jedno z tych, jakie często nadaje się dzieciom w wychowalniach. Ja najczęściej używam nazwiska Jones. Ale na imię mam Piętaszek.

- Czy tak właśnie mam się do ciebie zwracać?

- Dlaczegoż by nie? Mówią tak na mnie wszyscy, przed którymi nie muszę udawać.

Wszyscy ci, którym mogę ufać. Myślę, że tobie muszę zaufać.

- Postaram się na to zasłużyć; tym bardziej, iż mam wobec ciebie podwójny dług wdzięczności.

- Nie rozumiem...?

- A ja sądziłem, że to oczywiste. Gdy zorientowałem się, co zamierzał Dickey, postanowiłem, że się mu poddam. Nie było sensu dłużej narażać na ryzyko innych. Ale kiedy wycelował miotacz w kierunku Janet, przyrzekłem sobie, że zabiję go przy pierwszej nadarzającej się sposobności. - Georges uśmiechnął się. - Zaraz po tym jak grom z jasnego nieba pojawiłaś się ty i pozbawiłaś mnie możliwości dotrzymania danego sobie przyrzeczenia. Jestem ci więc sporo winien.

- Naprawdę potrafiłbyś kogoś zabić?

- Powiedz tylko, kogo? Przed Georgesem Perreault nie ucieknę.

- Och, myślę, że to nie będzie konieczne. Zresztą, jak sam zauważyłeś, posiadam wyjątkowe uzdolnienia. Kiedy istnieje taka potrzeba, potrafię się nimi posłużyć.

- A jednak mam nadzieję, że kiedyś będę się mógł zrewanżować.

- Do diabła, Georges, nie chcę, byś uważał, iż jesteś mi cokolwiek winien. Ja na swój własny sposób również kocham Janet. Porucznik Dickey sam wybrał swój los, wyciągając ten cholerny pistolet i kierując lufę w jej stronę. Tego, co uczyniłam, nie zrobiłam dla ciebie ani

za ciebie. Zrobiłam to, co sama uważałam za słuszne. Byłam tylko nieco szybsza niż ty. Nie masz mi więc nic do zawdzięczenia.

- Ty i Janet nie różnicie się niczym. Obie jesteście tak samo kochane.

- Och, Georges, dlaczego ciągle nie bierzesz mnie do łóżka i nie pozwolisz, bym spłaciła ci swój dług? Zdaję sobie doskonale sprawę, że nie jestem tym, kim jest twoja ludzka żona, nie oczekuję więc, byś kochał mnie tak, jak kochasz ją. W ogóle nie oczekuję, byś mnie kochał. Mam jednak wrażenie, że lubisz mnie. I nie traktujesz tak, jak... moja rodzina na Nowej Zelandii, gdy powiedziałam im, kim jestem. Wydaje się, że masz do SIL-ów zupełnie inny stosunek, niż olbrzymia większość ludzi. Potrafię to w tobie docenić. Naprawdę potrafię. Nigdy nie dostałam certyfikatu panienki do towarzystwa, ale w wychowalni zdążyli mnie sporo nauczyć.

- Ktoś musiał cię bardzo zranić, Piętaszku.

- Mnie? Absolutnie! Próbuję ci jedynie wytłumaczyć, że doskonale znam swoje

miejsce. Nie jestem już dzieckiem, ciągle jeszcze uczącym się, jak żyć z tą kulą u nogi, którą jest laboratoryjne pochodzenie. Sztuczna istota ludzka nie może spodziewać się sentymentalnej miłości od normalnego mężczyzny. Oboje dobrze o tym wiemy. Ty rozumiesz to nawet o wiele lepiej niż pierwszy lepszy laik. Szanuję cię i szczerze lubię. Jeśli pozwolisz mi iść z sobą do łóżka, zrobię wszystko, co potrafię, by cię zadowolić.

- Piętaszku!

- Słucham pana?

- Nie pójdziesz ze mną do łóżka po to, żeby mnie zadowolić.

Nagle poczułam pod powiekami łzy. Nieczęsto mi się to zdarza.

- Przepraszam - powiedziałam, starając się zapanować nad sobą. - Posunęłam się za daleko. Nie chciałam pana urazić.

- Na litość boską, przestań wreszcie!

- Słucham?

- Przestań mówić do mnie „pan”. Przestań zachowywać się jak niewolnica.

Mam na

imię Georges i proszę, abyś tak się do mnie zwracała. Jeśli możesz czasem dodać „mój drogi” lub „skarbie”, jak robiłaś to wcześniej, sprawisz mi ogromną przyjemność. Traktuj mnie po prostu jak przyjaciela. Cała ta dychotomia „ludzki” i „niehumaniczny” dobra jest dla ignorantów i głupców. Masz mnie za jednego z nich? Zrozum wreszcie, kobieto: twoje geny są l u d z k i e, a w dodatku starannie dobrane. Dzięki temu jesteś być może nawet super-człowiekiem. W każdym razie z pewnością nie jesteś nieczłowiekiem. Czy możesz mieć dzieci?

- Jestem „zwrotnie wysterylizowana”.

- Mógłbym to zmienić w ciągu dziesięciu minut, stosując jedynie miejscowe znieczulenie. Mógłbym mieć z tobą dzieci. Jak sądzisz, czy byłyby to dzieci ludzkie?

Nieludzkie? A może półludzkie?

- Chyba ludzkie...

- Możesz na to postawić swoją śliczną główkę, moja droga. A ludzkie dzieci rodzone

są przez ludzkie matki. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Nie zapomnę.

Poczułam nagle, jak przez moje ciało przebiega dziwny dreszcz. Byłam podniecona,

ale nie tak, jak zawsze. Nigdy jeszcze nie czułam się równie dziwnie.

- Georges, chciałbyś tego? Chciałbyś mieć ze mną dziecko?

Wyglądał na zaskoczonego. Po chwili podszedł do mnie, pochylił się, objął mnie i pocałował. W skali od jednego do dziesięciu oceniałabym ten pocałunek mniej więcej na osiem i pół. Nie można było zdobyć lepszej oceny stojąc i będąc ubranym od stóp do głów.

Potem wziął mnie na ręce, podszedł do fotela, posadził mnie na swoich kolanach i zaczął rozbierać, powoli i delikatnie. Gdy byłam już prawie zupełnie rozpakowana, powiedział:

- Te dziesięć minut powinno zdarzyć się w mojej pracowni. Trwałoby wówczas co najmniej miesiąc. A niewiele później chodziłabyś z okrągłym brzuchem... i wyglądałabyś pewnie jeszcze śliczniej. Tymczasem mam zamiar zabrać cię do łóżka i postarać się, byś to ty była zadowolona, choć nie mam certyfikatu kochanka. Myślę jednak, że razem coś wymyślimy.

Zdjął mnie z kolan i postawił na dywanie. Po chwili ostatnia część mojej garderoby leżała obok moich stóp.

- Wyglądasz cudownie. Pachniesz cudownie. Jak sądzisz, możemy zacząć od łazienki?

Muszę wziąć prysznic.

- Lepiej idź tam pierwszy. Ja będę potrzebowała sporo czasu.

Nie przesadzałam. Gdy wróciłam do sypialni, było już po trzeciej. Czułam się świetnie, jak nigdy dotąd; świeża i pachnąca, choć nie był to zapach perfum. Nie dlatego, że ich w ogóle nie używałam - robię to dość często. Mężczyźni wolą jednak fragrans feminae, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy. Nie lubią go tylko, gdy jest nieświeży.

Georges leżał już w łóżku, przykryty kołdrą. Jego równy oddech wskazywał na to, że śpi. Ostrożnie, by go nie obudzić, położyłam się obok. Naprawdę, nie byłam rozczarowana. Nie należę do tych egoistycznych kobiet, myślących tylko o sobie. Czułam się szczęśliwa, że rano, gdy otworzy oczy, znajdzie mnie obok, wypoczętą i gotową. Tak było lepiej i dla niego, i dla mnie. Oboje mieliśmy za sobą ciężki dzień.

Rozdział XV

Miałam rację.

Nie chcę odbierać Georgesu Janet. Cieszyłabym się jednak, mogąc mu kiedyś urodzić dziecko. Nie rozumiem, dlaczego nie zrobiła tego jeszcze Janet.

Kilka razy budziła mnie jakaś cudowna woń. Gdy otworzyłam wreszcie oczy, Georges rozładowywał właśnie automatycznego kelnera.

- Masz dokładnie dwadzieścia sekund, by wziąć prysznic - powiedział, widząc, że już nie śpię. - Nie chcesz chyba jeść zimnej zupy? Śniadanie jadłaś już w zasadzie w środku nocy, teraz więc zjesz wczesny lunch.

To była prawda. Rzadko kto jada na śniadanie homary, choć ja nie miałam nic przeciwko temu. Wcześniej jednak podano płatki kukurydziane z pokrojonymi w plasterki suszonymi bananami oraz delikatne, kruche pieczywo przekładane świeżą, zieloną sałatą. Obok pojawiły się dwie filiżanki gorącej kawy zbożowej z odrobiną francuskiej brandy. Georges był nie tylko cudownym kucharzem, ale również uroczym łakomczuchem. Potrafił w dodatku sprawić, by sztuczna istota ludzka uwierzyła w swoje człowieczeństwo.

Zastanawiało mnie, jak się to dzieje, że wszyscy troje: Janet, Georges i Ian są tacy szczupli. O tym, że nie stosują żadnej idiotycznej diety, ani tym bardziej żadnych masochistycznych ćwiczeń, przekonana byłam niemalże w stu procentach. Pewien terapeuta powiedział mi kiedyś, iż jedyne naprawdę potrzebne i skuteczne ćwiczenia powinno się uprawiać w łóżku. Czyżby to było to?

Sielankową atmosferę przerwał serwis informacyjny lokalnej stacji telewizyjnej.

Międzynarodowy korytarz komunikacyjny został zamknięty. Istniała co prawda możliwość dotarcia do Deseret przez Portland, nie było jednak żadnej gwarancji, że linia SLC Omaha-Gary będzie nadal czynna. Wychodziło na to, iż jedyną ważną międzynarodową trasą, po której regularnie kursowały jeszcze kapsuły kolei magnetycznej, była linia San Diego - Dallas - Vicksburg - Atlanta. Dostanie się do San Diego nie powinno nastęczyć większych trudności; pomiędzy Bellingham a La Jolla linia była czynna bez wątpienia. Vicksburg jednak nie leży jeszcze w Imperium Chicago. To jedynie niewielki port rzeczny, z którego każdy, kto ma wystarczająco dużo gotówki i cierpliwości, może zostać do Imperium przesznułowany.

Próbowałam połączyć się z Szefem. Po czterdziestu minutach myślałam już o syntetycznym głosie to samo, co zwykli ludzie myślą na temat istot mojego pokroju. Kto do licha wpadł na pomysł zaprogramowania komputerom „grzeczności”? Nie przeczę, że pojedyncze: „Dziękuję za cierpliwość” może uspokoić nieco nerwy. Trzy razy z rzędu uświadamiają jednak klientowi, że mówi do niego tylko maszyna. A czterdzieści minut wysłuchiwanie wciąż tego samego, bezbarwnego paplania może wystawić na ciężką próbę nawet cierpliwość hinduskiego guru.

Nigdy nie wydusiłabym z tego cholernego terminalu, że połączenie z Imperium Chicago jest po prostu niemożliwe do osiągnięcia. Przeklęte klawiszowe monstrum nie знаło słowa „nie”. Zaprogramowane zostało tak, by być uprzejme i grzeczne. Teraz jednak wołałabym, gdyby po szeregu bezskutecznych prób z głośnika wydobyło się wreszcie: „Nie nudź, siostrzyczko, i odpieprz się”.

Zrezygnowana usiłowałam wywołać kod urzędu pocztowego w Bellingham. Miałam nikłą nadzieję dowiedzieć się czegoś na temat możliwości wysłania do Imperium telegramu.

Czarujący głos przypomniał mi, bym nie wysyłała kartek z życzeniami bożonarodzeniowymi w ostatniej chwili. Biorąc pod uwagę fakt, iż do świąt zostało niewiele ponad pół roku, byłam za tę radę niezmiernie wdzięczna.

Spróbowałam ponownie; na ekranie pojawiła się jakaś jędba i zrugła mnie za używanie zastrzeżonego kodu.

Za trzecim razem udało mi się połączyć z działem obsługi klientów firmy Macy.

- Wszycynasipomocnicysawtejchwilizajęci. Proszęczekać.

Dziękujęzacierpliwość -

usłyszałam w głośniku.

Nie czekałam.

Nie chciałam już nigdzie dzwonić.

Nie chciałam wysyłać żadnych telegramów.

Chciałam tylko zameldować się Szeferowi osobiście. Do tego jednak potrzebowałam

gotówki. Terminal z uprzedzającą grzecznością poinformował mnie, że lokalne

przedstawicielstwo MasterCard znajduje się w biurowcu Trans-America Corporation. Nie miałam innego wyjścia. Wystukałam na klawiaturze kod. Słodki głosik - nagrany na taśmę, nie syntetyczny - powiedział:

- Dziękujemy, że zwracasz się do towarzystwa MasterCard. Informujemy, że w celu usprawnienia obsługi milionów klientów zadowolonych z naszych usług wszystkie nasze lokalne przedstawicielstwa z terenu Konfederacji Kalifornijskiej połączone zostały w jedno Biuro Centralne z siedzibą w San Jose. Aby uzyskać szybkie połączenie, prosimy posługiwać się wolnym od opłat za połączenia międzymiastowe kodem umieszczonym na Państwa kartach MasterCard.

Ten sam głos poinformował jeszcze, jak włożyć kartę w szczelinę czytnika.

Miałam już naprawdę dosyć. Moja karta, wydana w Saint Louis, nie była wyposażona

w kod San Jose, tylko w kod Banku Imperialnego w Saint Louis. Spróbowałam się nim posłużyć, jednak bez większej nadziei na sukces.

Terminal połączył mnie z redakcją Głosu Katolickiego.

Podczas gdy komputer uczył mnie pokory, Georges czytał sportowe wydanie Los Angeles Times i czekał, aż skończę maltretować klawiaturę. W końcu uznałam wyższość maszyny i odwróciłam się do niego.

- Georges - spytałam - co piszą w porannych gazetach na temat stanu wyjątkowego?

- Jakiego stanu wyjątkowego?

- Daj spokój, nie mam ochoty na żarty.

- Moja droga, w Konfederacji Kalifornijskiej nie obowiązuje żaden stan wyjątkowy. Jedyne doniesieniem, jakim redakcja L.A. Times ośmieliła się niepokoić swoich

czytelników, jest notatka zamieszczona przez Klub Sierra, którego członkowie ostrzegają, że niektóre gatunki *Rhus Diversiloba* zagrożone są całkowitym wyginięciem. Jest też wzmianka o mającej się po południu odbyć demonstracji przeciwko Draw Chemical. Ani słówka o sytuacji na froncie zachodnim.

Zmarszczyłam czoło, usiłując coś sobie przypomnieć.

- Mało wiem o polityce, jaką prowadzi Kalifornia...

- Kochana! Na ten temat nikt nie wie zbyt wiele, nie wyłączając kalifornijskich polityków.

- ...ale wydaje mi się, że słyszałam jakieś informacje o kilku czy kilkunastu zamachach na co niektóre ważniejsze osobistości z tutejszych kręgów rządowych. Czyżby to były fałszywe plotki albo jakaś mistyfikacja? O ile się nie mylę, minęło najwyżej trzydzieści pięć godzin.

- Owszem, znalazłem parę nekrologów kilku prominentów, o których wspomniano w doniesieniach dwa dni temu. Żaden z nich nie był jednak ofiarą zamachu. Jeden został przypadkowo postrzelony w czasie polowania. Kolejny zmarł wskutek przewlekłej choroby. Następny zginął w nieszczęśliwym wypadku, któremu uległ jego prywatny energobil. Prokurator Generalny wszczął ponoć w tej sprawie śledztwo. Tylko że, o ile mnie pamięć nie myli, jeszcze w domu słyszałem, iż Prokurator Generalny Konfederacji Kalifornijskiej został zamordowany.

- Georges, o co tu chodzi?

- Nie wiem, Piętaszku. Myślę jednak, że najrozsądniej będzie nie okazywać zbytnej dociekliwości.

- Nie zamierzam niczego dociekać. Nie interesuje mnie polityka. Chcę tylko dostać się do Imperium Chicago tak szybko, jak tylko to możliwe. Lecz by się tam dostać, potrzebuję gotówki, bo bez względu na to, co piszą w Los Angeles Times, granica jest z pewnością zamknięta. Karty kredytowej Janet użyję tylko w ostateczności, i tak poważnie nadszarpnęłam już stan jej konta. Natomiast chcąc mieć jakąkolwiek szansę skorzystania z własnej karty, muszę najpierw dotrzeć do San Jose. Chcesz tam jechać ze mną, czy wracasz do domu?

- Pani, mój los składam w twoje ręce. Wskaż mi tylko drogę do San Jose. Właściwie dlaczegoż nie miałbym pojechać z tobą aż do Imperium? Czyż nie sądzisz, że twój pracodawca mógłby wykorzystać także mój skromny talent? Nie mogę teraz wrócić do Manitoba z przyczyn, które oboje dobrze znamy.

- Georges, nie miałabym nic przeciwko temu, byś jechał razem ze mną, ale zrozum, że granica jest zamknięta. Niewykluczone, iż będę zmuszona zamienić się w ducha i przenikać przez ściany. Między innymi w tym zakresie zostałam wyszkolona, więc dam sobie radę; jednak pod warunkiem, że będę sama. Co więcej, nie wiemy, jak naprawdę przedstawia się sytuacja wewnątrz Imperium, choć z doniesień można przypuszczać, że raczej niewesoło. Po przekroczeniu granicy może się okazać, iż będę musiała dbać przede wszystkim o to, aby pozostać przy życiu. Tego również zostałam nauczona.

- A ja byłbym dla ciebie jedynie kulą u nogi. Czy to chcesz mi powiedzieć?

- Och, Georges, nie chciałam cię urazić. Posłuchaj: zaraz, gdy tylko dotrę na miejsce, dam ci znać. Tutaj, do domu, czy też dokądkolwiek, gdzie się zatrzymasz. Jeśli będzie jakiś bezpieczny sposób, by sprowadzić cię do Imperium - użyję go. („Georges miałby poprosić Szefa o pracę? Wykluczone! Chociaż... Szef może potrzebować doświadczonego inżyniera-

genetyka. Nie znalazłam co prawda jego potrzeb poza tą małą działką, którą sama się zajmowałam, ale kto wie...”) - Chciałbyś naprawdę porozmawiać z moim szefem w sprawie pracy? Przecież ja nawet nie mam pojęcia, jak mu to powiedzieć.

Georges uśmiechnął się do mnie w taki sam sposób, w jaki ja uśmiecham się do celników oglądających fotografię w moim paszporcie.

- A ja to niby skąd miałbym wiedzieć? O twoim pracodawcy wiadomo mi jedynie tyle, że nie jesteś skłonna do rozmowy na jego temat i że pozwala sobie on używać kogoś takiego jak ty w charakterze gońca, kuriera czy Bóg wie czego jeszcze. Potrafię jednak lepiej niż kto inny ocenić, ile pieniędzy musiano włożyć, by cię stworzyć i wyszkolić. Mogę zatem również bez trudu odgadnąć, jaką cenę musiał zapłacić ktoś, kto cię wynajął.

- Nikt mnie nie wynajął. Jestem Wolną Osobą.

- W takim razie kosztujesz swojego szefa znacznie więcej, niż przypuszczałem. Na temat tego, ile, mogę jedynie snuć domysły. Ale nie przejmuj się, nie będę dociekliwy.

Pytałaś, czy mówię serio. Zaraz zapoznam cię z moim curriculum vitae. Jeśli człowiek, który cię zatrudnia, znajdzie w nim coś interesującego, bez wątpienia da mi o tym znać. Teraz jednak porozmawiamy o pieniądzach. Nie ma potrzeby martwić się o „nadszarpnięcie” konta Janet. Moja żona jest na tyle bogata, że nawet cała armia Piętaszków nie byłaby w stanie jej zrujnować. Poza tym nie przywiązuje do pieniędzy żadnej wagi. Ja jednak również mogę zaopatrzyć cię w taką ilość gotówki, jakiej tylko zapragniesz, i to z mojego własnego konta. Płacąc rachunki za kolację, śniadanie i pokój, zdażyłem przekonać się, że wszystkie trzy moje karty - Maple Leaf, Credit Quebec i American Express - są tu bez zastrzeżeń honorowane. Spróbuj zatem zrujnować mnie, moja droga.

- Wolalabym jednak korzystać z własnych pieniędzy. Najlepiej zrobimy, jeśli pojedziemy razem do San Jose. Jeśli również tam moja karta okaże się bezużytecznym kawałkiem plastiku, wówczas chętnie pożyczę jedną z twoich. Pieniądze i kartę oddam ci przy pierwszej sposobności.

Gdy to powiedziałam, nagle przyszło mi do głowy, czy nie poprosić Georges, żeby podjął gotówkę z konta porucznika Dickeya. Kobięcie raczej nie wypada wymachiwać przed nosem urzędnika bankowego kartą kredytową należącą do mężczyzny. Płacić za cokolwiek wsuwając kartę w szczelinę czytnika i podjąć na tę samą kartę większą ilość gotówki to dwie zupełnie różne sprawy.

- Nie ma mowy o żadnym zwrocie. Mówiłem ci już, że jestem na zawsze twoim dłużnikiem.

- Masz na myśli ostatnią noc?

- Chociażby. Zachowałaś się bardzo stosownie.

- Och! - udałam rozczarowaną.

Georges przestał się uśmiechać.

- Wolalabyś, żebym powiedział „niestosownie”?

- Dosyć tego, Georges - syknęłam. - Rozbieraj się. Idziemy z powrotem do łóżka. Nie wyjdiesz stamtąd żywy, ale zanim umrzesz, będziesz cierpiał. Dopiero gdy zaczniesz błagać o litość, skręcę ci kark w trzech miejscach. Odechce ci się tego „stosownie” i „niestosownie”. Georges wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i zaczął rozpinać koszulę.

- Przestań, wariacie - powiedziałam. - Lepiej chodź tu i pocałuj mnie. W ten sposób nigdy stąd nie wyjedziemy.

Podróż do San Jose zajęła nam prawie tyle samo czasu, co podróż z Winnipeg do Vancouver. Na szczęście tym razem było gdzie usiąść. Gdy wysiedliśmy z kapsuły, zaczęłam z zainteresowaniem rozglądać się wokół. Nigdy jeszcze nie byłam w stolicy Konfederacji Kalifornijskiej.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła moją uwagę, była niewiarygodna wprost liczba kręcących się wszędzie energobili. Większość z nich stanowiły taksówki. Nie znam żadnego innego miasta, które dopuściłoby do takiego tłoku w swojej przestrzeni powietrznej. Ulice również roiły się od powozów, ale one stawały przynajmniej na chodnikach odgradzonych od jezdni wysokimi, metalowymi barierkami. Natomiast tego latającego draństwa pełno było wszędzie. Obawiam się, że w Kantonie mniej jest rowerów, niż tu energobili.

Drugą rzeczą, jaka natychmiast daje się zauważyć, jest specyficzny nastrój panujący wokół. Dopiero tutaj zrozumiałam porzekadło: „Tysiąc wiosek to nie to samo, co jedno miasto”.

Istnienia San Jose nie usprawiedliwiają żadne inne racje z wyjątkiem politycznych. Ale w Kalifornii polityką zajmują się praktycznie wszyscy. Panuje tu absolutna, bezwzględna, niepohamowana i posunięta do granic absurdu demokracja. Prawo do głosowania ma każdy, kto osiągnął wiek, w którym pieluszkę zastępuje nocnik. A gdy już raz jakieś nazwisko znajdzie się na liście uprawnionych, niezmiernie trudno jest je stamtąd wykreślić. Urzędnicy czynią to niechętnie nawet wtedy, gdy podsuwa się im pod nos zaprzysiężone świadectwo kremacji zwłok.

Kiedyś słyszałam dowcip, że Park Prehody podzielony jest na trzy okręgi wyborcze, a każdy ze stojących tam posągów oddaje swój głos poprzez uprawnionego prokurenta. W Kalifornii nie ma chyba dnia, by w którejś z jej części nie odbywały się jakieś wybory, a już z pewnością w każdym z okręgów przynajmniej raz w miesiącu wystawiane są urny.

Mieszkańcy Konfederacji mogą sobie na to pozwolić. Żyją w łagodnym klimacie pomiędzy Kanadą Brytyjską i Meksykańskim Królestwem Rewolucyjnym, a ich

ziemie uprawne są jednymi z najżyźniejszych terenów rolniczych na całej Ziemi. Ich drugim ulubionym sportem jest seks. Można go uprawiać dosłownie wszędzie, tak samo jak wszędzie i za pół darmo można tu dostać marihuanę. Najwięcej jednak czasu i energii poświęcają prawdziwemu narodowemu sportowi: spotkaniom i dyskusjom politycznym.

Kalifornijczycy wybierają praktycznie każdego, począwszy od okręgowych pasożytów, a skończywszy na Naczelniku Konfederacji (nazywają go „Naczelny”). Trzeba jednak dodać, że tych, których wybrali, odwołują równie szybko i często. Na przykład kadencja naczelnika według tutejszej konstytucji powinna trwać sześć lat. Jednakże spośród ostatnich dziewięciu naczelników zaledwie dwóch dotrwało do końca tego terminu.

Pozostałych sześciu odwołano na długo przed jego upływem, siódmy został zlinczowany. W wielu wypadkach żądania dymisji pojawiają się, zanim jeszcze nastąpi oficjalne zaprzysiężenie.

Tutejsi obywatele nie ograniczają się tylko do wybierania, odwoływania, oskarżania i

- od czasu do czasu - linczowania niezliczonego mrowia swoich przedstawicieli. Prawa również ustalają w głosowaniu bezpośrednim. Bywa, że w wyborach mniej jest kandydatów na oficjalne stanowiska niż projektów nowych ustaw. A jednak niektórzy przedstawiciele władzy potrafią niekiedy wykazać daleko idącą powściągliwość. Swego czasu przekonywano mnie, iż typowy kalifornijski ustawodawca odwoła natychmiast wyniki wyborów, jeśli tylko udowodnią one, że liczba n nie jest równa 3,14; robi to bez względu na liczbę głosów stanowiących inaczej. Gdyby jednak w tej sprawie odbyło się ogólnonarodowe referendum, jego wyników nikt nie mógłby odwołać.

Vox populi, vox Dei. Nie widzę w tym nic złego. W końcu ich nic to nie kosztuje, a przynajmniej wszyscy (z nielicznymi wyjątkami) są szczęśliwi.

Około trzeciej szliśmy oboje południowym krańcem National Plaza wzdłuż frontu Pałacu Naczelnika i rozglądaliśmy się za biurowcem MasterCard. Georges stwierdził, że nie byłoby od rzeczy wstąpić do Burger Kinga i zjeść coś niecoś. Nie miałam nic przeciwko temu.

Z olbrzymich schodów przed pałacem schodziła właśnie kilkunastoosobowa grupa kobiet i mężczyzn. Georges odsunął się na bok, by ich przepuścić. W środku grupy dojrzałam niewielkiego człowieczka, mającego na głowie dziwny kapelusz przypominający raczej pióropusz. Większość otaczających go ludzi celowała weń obiektami swoich aparatów fotograficznych.

Kątem oka zauważyłam coś jeszcze: postać wychylającą się zza jednej z kolumn stojących na szczycie schodów.

Przewracając po drodze kilku ochroniarzy, błyskawicznie dopadłam do naczelnika, popchnęłam go tak silnie, że rozpląszczył się na jednym ze stopni i w kilku skokach znalazłam się przy tamtej kolumnie.

Nie zabiłam czającego się za nią człowieka. Złamałam mu jedynie rękę, w której trzymał pistolet, a gdy zaczął uciekać, zdążyłam jeszcze uderzyć go w obojczyk, i to raczej mocno. Nie byłam jednak tak szybka jak wczoraj. Dopiero potem przyszło mi na myśl, że gdyby zamachowiec został schwytany żywy, mógłby stanowić klucz do tajemnicy gangu stojącego za wszystkimi tymi bezsensownymi zabójstwami z ostatnich dwóch dni.

Nie miałam nawet czasu, by zdać sobie sprawę z tego, co robiłam. Z boku podbiegli dwaj policjanci i chwycili mnie za ramiona. Już słyszałam tę pogardę w głosie Szefa, kiedy będę musiała przyznać, że pozwoliłam się publicznie aresztować. Przez ułamek sekundy rozważałam, czy nie wyrwać się i nie zniknąć za rogiem najbliższego budynku. Nie byłoby to trudne; jeden z policjantów miał najwyraźniej nadciśnienie, a drugi był starszym jegomościem noszącym okulary z grubymi szklami.

Było jednak za późno. Gdybym w tej chwili zaczęła uciekać, niemalże z pewnością udałoby mi się przebiec dwie, trzy przecznice i zniknąć w tłumie. Ale ci dwaj bez wątpienia zabiliby co najmniej pół tuzina Bogu ducha winnych przechodniów, próbując trafić mnie ze swoich miotaczy. „Dlaczego cała ta pałacowa gwardia nie zajmie się swoim szefem, zamiast wykręcać mi ręce?” - pomyślałam. Facet z pistoletem, ukryty za pałacową kolumną tuż pod ich nosem - przecież to kpiny! Coś takiego nie wydarzyło się od zamordowania Huey-Longa! Powinnam była pilnować swego nosa. Mogłam przecież pozwolić, by Naczelnik Konfederacji razem ze swoim idiotycznym kapeluszem został zamieniony przez promień laserowy w kupkę popiołu. A jednak nie zrobiłam tego. Dlaczego? Sama nie wiem. W takich

przypadkach działam zawsze instynktownie.

Zanim się spostrzegłam, Georges stał już obok nas. Georges posługuje się zawsze nienaganną angielszczyzną; może trochę bombastyczną, lecz bez śladu jakiegokolwiek obcego akcentu. Teraz jednak trajkotał chaotycznie po francusku, szarpiąc przy tym za rękaw jednego z pretorianów - tego, który nosił okulary.

Zupełnie zdezorientowany policjant puścił w końcu moje ramię. Tylko na to czekałam. Uderzyłam go kolanem w krocze. Facet zgiął się wpół i jęcząc osunął się na chodnik. Po chwili drugi dostał cios pięścią w to samo miejsce i upadł obok swojego kolegi. Obaj zwymiotowali.

Od chwili, gdy tamci dwaj wykręcili mi ręce, do momentu, w którym zwinięci z bólu leżeli już na ziemi, minęło nie więcej jak dwadzieścia sekund. Jednak w ciągu tego czasu zamachowiec zdążył rozplynać się w powietrzu razem ze swoim miotaczem.

Miałam właśnie pójść w jego ślady, lecz Georges podjął najwyraźniej inną decyzję. Chwycił mnie za łokieć i pociągnął biegiem w kierunku głównego wejścia do Pałacu, tuż za rzędem tych nieszczęsnych kolumn. Gdy wpadliśmy do okrągłego hallu, zwolnił nieco uścisk i nie patrząc na mnie, powiedział szeptem:

- Spokojnie, moja droga. Weź mnie pod ramię i idź powoli obok, jak gdyby nic się nie stało.

Zrobiłam to, o co prosił. Wewnątrz panował tłok, nie było jednak widać najmniejszego śladu poruszenia. Nic, co sugerowałoby, że zaledwie kilkanaście metrów stąd miała miejsce próba zamachu na głowę państwa. Wokół pełno było stoisk z bibelotami, jakie zazwyczaj kupują turyści. Obok nas jakaś młoda kobieta sprzedawała losy loterii. W zasadzie powinnam powiedzieć, że można je było u niej kupić, gdyż akurat w tej chwili nie miała żadnych klientów. Wyglądało jednak na to, iż nie martwiła się zbytnio ich brakiem; śledziła właśnie z przejęciem jakiś dramat rozgrywający się na ekranie jej terminalu. Gdy podeszliśmy, nie podniosła nawet wzroku.

- Zaraz będzie przerwa na reklamę. Proszę się rozejrzeć; za chwilę państwa obsłużę - powiedziała.

Na całym stoisku nie było niczego oprócz list wygranych. Georges zaczął je więc przeglądać. Nie mając innego wyjścia, ja także udałam głębokie zainteresowanie. Trwało to dosyć długo. Najwyraźniej w końcu jednak zaczęto nadawać reklamy, gdyż dziewczyna wstała i podeszła do nas.

- Przepraszam, że państwo czekali - powiedziała z miłym uśmiechem - ale nie mogłam opuścić odcinka „Niedoli pewnej kobiety”, szczególnie teraz, gdy Mindy Lou jest znowu w ciąży, a Wujek Ben zachowuje się wobec niej tak okrutnie. Lubi pani ten serial? - spytała, zwracając się do mnie.

- Szczerze mówiąc nawet o nim nie słyszałam - odrzekłam. - Moja praca zajmuje mi strasznie dużo czasu.

- Och, to szkoda; jest bardzo pouczający. Tim na przykład - to mój współlokator - nie ogląda niczego poza sportem. Nie ma więc pojęcia, jakie nieszczęścia mogą wydarzyć się w życiu. Pomyślcie tylko: Wujek Ben znęca się nad biedną Mindy Lou, myśląc, że ona nie wiadomo dlaczego nie chce powiedzieć mu, z kim zaszła w ciążę. Sądzicie, że Tima cokolwiek to obchodzi? Wszystkich, tylko nie jego! A tymczasem nieszczęsna Mindy po prostu nie może powiedzieć, kto będzie ojcem dziecka. Bandyci, którzy ją zgwałcili, zagrozili, że zabiją ją, jeśli ich wyda. Czy to nie straszne?

Dziewczyna westchnęła z przejęciem.

- Pod jakim znakiem pani się urodziła? - zapytała po chwili.

Powinam już wcześniej przygotować odpowiedź na to pytanie - zadają je prawie wszystkie kobiety. Szybko odszukałam w pamięci jedną ze znanych mi dat.

- Urodziłam się dwudziestego trzeciego kwietnia. Nie wiem, jaki to znak, lecz pod tą datą urodził się również Shakespeare. Pewnie dlatego nigdy nie wypada mi ona z pamięci.

- To świetnie! Mam dla pani specjalny los. - Jej głowa na moment zniknęła pod ladą.

Gdy wynurzyła się z powrotem, dziewczyna trzymała w ręku skrawek kolorowego papieru. -

Niech pani tylko spojrzy: numer jest taki sam, jak data pani urodzin! - powiedziała entuzjastycznie, oddzierając kupon. - Za jedyne dwadzieścia bruinów.

Wręczyłam jej kanadyjskiego dolara.

- Ale ja nie mogę wydać z tego reszty - zmartwiła się.

- Niech pani zatrzyma resztę na szczęście - odrzekłam.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

- Jak tylko zwiedzicie Pałac, zapraszam was na drinka. Czy pan wybrał już jakiś numer? - zwróciła się do Georgesesa.

- Jeszcze nie. Urodziłem się dziewiątego dnia dziewiątego miesiąca dziewiątego roku dziewiątej dekady. Znajdzie pani coś dla mnie?

- Uff, co za kombinacja! Ale spróbuję. Jeśli mi się nie uda, nie sprzedam panu nic.

Pochyliła się nad plikiem losów i zaczęła je przeglądać, mrużąc pod nosem numery.

Po chwili ponownie zanurkowała pod ladę, znikając nam z oczu, tym razem na nieco dłużej.

Gdy ukazała się z powrotem, miała zarumienione policzki i triumfalny uśmiech na ustach.

- Mam! Niech pan popatrzy! - powiedziała, podając Georgesowi loteryjny kupon.

Widniał na nim numer 8109999.

- Jestem naprawdę zaskoczony - odezwał się Georges.

- Zaskoczony? Jest pan prawdziwym szczęściarzem! Oto pańskie cztery dziewiątki. A teraz proszę dodać pozostałe trzy cyfry. Co pan otrzymał? Następną dziewiątkę! Pierwsze dwie cyfry stanowią pewną liczbę. Ile wynosi jej kwadratowy pierwiastek? No...? Oczywiście dziewięć! A co otrzymamy, jeśli tę samą liczbę podzielimy przez jej kwadratowy pierwiastek? Znowu dziewięć! Czyż to nie fantastyczne?

- Ile jestem pani winien?

- To nie jest zwyczajny los. Każdy inny mogłabym oddać za dwadzieścia bruinów, ale ten... Niech pan po prostu kładzie przede mną pieniądze. Gdy uznam, że wystarczy, uśmiechnę się.

- To brzmi rozsądnie. Ale gdy ja uznam, że uśmiechnęła się pani za późno, zabieram i los, i pieniądze. Sądzę, iż to uczciwa oferta?

- Uff, wymagający z pana klient. Ale zgoda.

Nagle w hallu powstał straszliwy zgiełk. Ludzie zaczęli wykrzykiwać: Niech żyje

Naczelnik! Niech tyje! Sprzedawczyni losów pochyliła się w naszą stronę i krzyknęła:

- Poczekać chwilę! Zaraz się uciszą!

Przy głównym wejściu pojawił się niewielki tłumek ludzi, którzy nie zatrzymując się

przeszli przez cały hali i zniknęli w korytarzu po drugiej stronie. Między nimi dostrzegłam znowu ten dziwny kapelusz, lecz tym razem naczelnika otaczali ciasno jego gwardziści.

Po chwili gwar opadł i wokół zapanowała względna cisza.

- Dopiero co wychodził - powiedziała dziewczyna. - Nie minęło nawet piętnaście minut. Jeśli chciał skoczyć tylko po papierosy, mógł po prostu kogoś wysłać, zamiast biegać tu w kółko i psuć ludziom interes. To jak; zdecydował już pan, ile warte jest pana szczęście?

- Oczywiście. - Georges sięgnął do kieszeni i zaczął wykladać na ladę jednodolarowe banknoty, nie spuszczając przy tym oka ze sprzedawczyni. Przy trzecim na jej twarzy pojawił się uśmiech. Georges zawahał się przez chwilę, po czym wyciągnął rękę po los.

- Założę się, że wyciągnęłabym z pana jeszcze jednego dolara - powiedziała dziewczyna, zgarniając pieniądze.

- Nigdy nie wiadomo. Chce się pani przekonać?

- Ejże! Raz już dziś fortuna uśmiechnęła się do pana. Lepiej niech pan szybko znika, zanim dam się skusić. Drugi raz los z pewnością nie byłby tak łaskawy.

- Pewnie ma pani rację - stwierdził Georges. - Gdzie tu jest toaleta?

- W korytarzu na lewo - odrzekła. - 1 niech pan nie zapomni sprawdzić wyników losowania.

Gdy szliśmy oboje we wskazanym przez dziewczynę kierunku, Georges pochylił się i szepnął po francusku, że kiedy kupowaliśmy losy, za naszymi plecami kręcili się żandarmi, lecz gdzieś zniknęli.

- Je sais - syknęłam mu do ucha. - Ale po hallu z pewnością kręcą się też Publiczne Oczy. Później porozmawiamy.

Georges miał rację. Dwaj umundurowani strażnicy nie wyglądający na takie ofermy jak ci na zewnątrz, przeszli tuż za naszymi plecami, sprawdzili toalety (bardzo rozsądnie - amatorzy często próbują ukryć się w publicznych toaletach), po czym zniknęli w głębi Pałacu. Georges zachował się jak prawdziwy zawodowiec, nie dając nic po sobie poznać i spokojnie targując się z dziewczyną. Musiałam jednak poczekać, by mu to powiedzieć.

Pałacowa toaleta była dość szczególna - aby do niej wejść, należało najpierw kupić bilet. Sprzedawał je osobnik o trudnej do określenia płci. Nie widząc nigdzie drzwi oznaczonych kółeczkiem spytałam go (jej?), gdzie mogłabym przypudrować nos.

- Coś ci się nie podoba, złotko? Chcesz się koniecznie wyróżnić? A może chcesz, żebym zawołała gliny? - odrzekła pogardliwym tonem i zaczęła mi się bacznie przyglądać (zdecydowałam, że to jednak ona; pod bluzką rysowały się lekkie wypukłości). Po chwili odezwała się nieco mniej agresywnie. - Jesteś cudzoziemką, tak?

Kiwnęłam potakująco głową.

- W porządku. Ale na drugi raz nie zadawaj takich głupich pytań. W tym kraju ponuje demokracja. Nawet kundle i wyżyły leją pod te same drzewa. Płać za bilet i nie blokuj przejścia.

Georges kupił dwa bilety. Weszliśmy do środka.

Po prawej stronie ciągnął się rząd kabin oddzielonych od siebie jedynie niskimi, cienkimi przepierzeniami. Ponad nimi unosił się wielki hologram:

URZĄDZENIA TE W TROSCE O TWOJE ZDROWIE I WYGODĘ UDOSTĘPNIANE

SAZADARMO DZIĘKI RZĄDOWI KONFEDERACJI KALIFORNIJSKIEJ JOHN

„WARWHOOP”* TUMBRIL NACZELNIK KONFEDERACJI [* Warwhoop - okrzyk Indian

amerykańskich]

Obok widniał naturalnej wielkości hologram naczelnika.

Za bezpłatnymi kabinami były kabiny wyposażone w wahadłowe drzwi, jednak za korzystanie z nich trzeba było już zapłacić. Na samym końcu znajdowały się pomieszczenia osłonięte czymś w rodzaju parawanów. Po lewej stronie było przypominające kiosk z gazetami stoisko. Pieczę nad nim sprawowała osoba, co do płci której nie można było mieć żadnych wątpliwości. Georges przystanął tam i ku mojemu zdziwieniu kupił kilka pudełek z kosmetykami oraz flakon tanich perfum. Wszystko to wrzucił do mojej torby, po czym poprosił o bilet do jednej z przebieralni na samym końcu toalety.

- J e d e n bilet? - Kobieta omiotła nas czujnym spojrzeniem. Georges potakująco skinął głową.

- Niegrzeczny chłopczyk. Nic z tego.

Georges nie odrzekł nic. W jego dłoni pojawił się banknot, który błyskawicznie zniknął w kieszeni jej fartucha.

- Tylko nie za długo - odezwała się kobieta przyciszonym głosem. - Jeśli usłyszycie brzęczyk, kończcie natychmiast. Numer siedem, na końcu po prawej.

Gdy znaleźliśmy się za parawanem, Georges sprawdził, czy z zewnątrz nikt nie może nas zobaczyć, pociągnął za sznurek spłuczki i odkręcił kran z zimną wodą. Posługując się francuskim, powiedział:

- Musimy zmienić wygląd, skarbie, i to szybko. Ściągaj zatem ciuszki i wkładaj ten kostium, który masz w torbie.

Zerkając od czasu do czasu przez szparę w stronę wejścia, wytłumaczył mi dokładnie, co mam zrobić. Miałam ubrać ten skandaliczny kostium superskin, nałożyć krzykliwy makijaż i postarać się wyglądać jak Największa Dziwka Babilonu, czy coś w tym rodzaju.

- A ty? - zapytałam. - Nie zamierzasz chyba przebrać się w rzeczy Janet?

- Co to, to nie! - odparł. - Nie chcę robić z siebie panienki. Jedyne chłoptasia.

- He?! -

- Nie przebiorę się w babskie ciuchy. Postaram się po prostu wyglądać jak zniewieściały mężczyzna.

- Nie bardzo rozumiem, ale spróbujmy.

Ze mną sprawa nie była zbyt skomplikowana. Wystarczyło, że ubrałam ten wyzywający kostium, na który dał się złapać Ian, a Georges zrobił mi odpowiedni makijaż. Sprawiał wrażenie, jakby znał się na tym o wiele lepiej niż ja. Na koniec przy pomocy lakieru nastroszył mi włosy tak, że ich kosmyki sterczały na wszystkie strony.

Aby zmienić nieco własną twarz, Georges zużył trzy razy tyle szminki i tuszu.

Następnie wylał na siebie prawie cały flakon tych ohydnych perfum (byłam mu wdzięczna, że nie wpadł na pomysł, bym ja również ich użyła), a z pomarańczowej szarfy, która służyła mi jako pasek, zrobił sobie apaszkę. Gdy odwrócił się od lustra i zrobił parę kroków, zrozumiałam, co miał na myśli, mówiąc, iż zamieni się w „chłoptasia”. Georges nadal wyglądał jak Georges, lecz poza wyglądem w niczym nie przypominał tego mężczyzny, który zeszłej nocy rozbierał mnie w hotelowym pokoju.

Zapakowałam z powrotem swoją torbę i wyszliśmy. Kobieta przy wyjściu na mój widok ze zdumienia przetarła oczy i wzięła głęboki wdech. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć. Stojący naprzeciw niej mężczyzna odwrócił się w naszą stronę, wycelował wskazującym palcem w pierś Georges'a i powiedział:

- Ty! Naczelnik chce się z tobą widzieć. - Po czym dodał, tym razem sam do siebie: -
Kurwa mać!

Georges uniósł ramiona w geście zdziwienia. Nie sędzę, by udawał.

- Och, mój miry! Zaszło chyba jakieś nieporozumienie?

Sługus wyjął spomiędzy zębów wykałaczkę, którą przez cały czas ssał.

- Też tak uważam, obywatelu - odrzekł. - Lepiej jednak będzie, jeśli sam mu o tym powiesz. Idziemy. Ty zostajesz, siostrzyczko.

- Nie ruszę się nigdzie bez mojej najdroższej siostry! - odezwał się piskliwie Georges.

- Kategorycznie odmawiam, i już!

- Morrie - wtrąciło to krówsko zza lady - ona może zaczekać tu. Wejdz do środka, skarbie, i usiądź sobie - powiedziała do mnie, uśmiechając się oblesnie.

Georges pokręcił głową w ledwie dostrzegalny sposób; nie musiał jednak tego robić.

Babsko wyglądało prawie tak samo odrażająco, jak Jeremy Rockford. Gdybym została, to albo ona natychmiast zabrałaby mnie z powrotem do tej przebieralni, albo ja wepchnęłabym ją w jej własny kubeł na śmieci, i to bez względu na to, co miałyby się stać później.

Stałam jeszcze bliżej Georgesesa i wzięłam go za rękę.

- Nie rozstajemy się od chwili, gdy nasza kochana mamusia, będąc na łożu śmierci, kazała mi, bym się nim opiekowała. Teraz też nigdzie beze mnie nie pójdzie - powiedziałam stanowczo. - I już! - dodałam, zastanawiając się, co to właściwie oznacza, o ile oznaczało cokolwiek. Staliśmy tak oboje z zaciętymi minami.

Człowiek nazwany Morrie spojrział najpierw na mnie, potem z powrotem na Georgesesa i westchnął ciężko.

- A niech was szlag...! Dobra, siostro, chodź z nami. Tylko trzymaj dziób na kłódkę i nie odzywaj się, dopóki cię o to nie poproszą.

Zrewidowano nas chyba z pięć czy sześć razy, zanim zostaliśmy postawieni przed obliczem naczelnika. Mnie strażnicy obmacywali ze szczególną gorliwością. John Tumbril na pierwszy rzut oka wydawał się być znacznie wyższy, niż sądziłam do tej pory. Dopiero po chwili przyszło mi do głowy, że to prawdopodobnie brak owego dziwaczego nakrycia głowy sprawia takie wrażenie. Pomyślałam też, iż wygląda jeszcze bardziej pospolicie, niż na przedstawiających go hologramach i plakatach, których wszędzie było pełno. Jak wielu polityków przed nim, Tumbril obrócił swoją szczególną brzydotę na własną korzyść.

Czy głowa państwa musi mieć koniecznie pospolity wygląd? Jeśli popatrzeć w przeszłość, przystojni politycy rzadko kiedy robili zawrotną karierę. Wyjątek stanowił Aleksander Wielki, ale on już na starcie dostał fory - jego ojciec był królem.

Do pewnego stopnia „Warwhoop” Tumbril przypominał żabę, próbującą bez powodzenia stać się ropuchą. Gdy nas zobaczył, chrząknął znacząco.

- A o n a co tu robi? - zapytał.

- Sir - Georges uklonił się - obawiam się, iż muszę wnieść bardzo poważną skargę.

Ten człowiek... Ten człowiek - oskarżycielskim gestem wskazał na przeżuwacza wykałaczek

- próbował rozdzielić mnie i moją ukochaną siostrę! Żądam, by został za to ukarany!

Tumbril popatrzył na Morriego, potem na mnie, potem z powrotem na swojego gwardzistę.

- Czy to prawda?

Morrie zapewnił, iż nie zrobił nic takiego, a nawet jeśli, to jedynie dlatego, iż sądził,

że naczelnik tak właśnie rozkazał, gdyż w przeciwnym wypadku Morrie nigdy nie pomyślałby...

- Nikt nie kazał ci myśleć - przerwał mu Tumbril lodowatym tonem. - Później z tobą porozmawiam. I dlaczego pozwalasz, by ona stała? Natychmiast podaj jej krzesło, ośle! Czyja naprawdę muszę o wszystko dbać sam?

Natychmiast, gdy tylko usiedliśmy, „Warwhoop” zapomniał o moim istnieniu i całą swą uwagę skupił na Georgesie.

- To, co dziś pan zrobił, było odważne. Tak, proszę pana; to był Bardzo Odważny Czyn. Wielki Naród Kalifornijski dumny jest, że wychował takich Dzielnych Synów. Jak się pan nazywa?

Georges podał swoje nazwisko.

- „Payroll” jest Dumą Kalifornijskich Nazwisk, Mr. Payroll; jednym z tych, które

przydają blasku naszej Wielkiej Historii; od rancheros, którzy zrzucili jarzmo Hiszpan, aż do Dzielnych Patriotów, którzy zrzucili jarzmo Wall Street. Czy mogę się do pana zwracać per

George?

- Będzie to dla mnie wielki zaszczyt, Sir.

- A ty mów do mnie Warwhoop. To właśnie stanowi dumę naszego Wielkiego Narodu; wszyscy jesteśmy Równi.

- Czy owa równość dotyczy także sztucznych istot ludzkich? - zapytałam nagle.

- Hę...?

- Pytałam o sztuczne istoty ludzkie, takie jak te, które produkują w Berkeley i w Davis. Czy one również są „równe”?

- Hmm... Młoda damo, to niegrzecznie wtrącać się, gdy rozmawiają starsi. Ale, by zaspokoić twoją ciekawość, pozwól, że teraz ja zadam ci pytanie. Jak Demokracja Ludzi dotyczyć może stworzeń, które są nieludźmi? Czy oczekujesz, że kot będzie głosować? Albo na przykład energobil marki Ford?

- Nie, ale...

- Sama widzisz. Wszyscy są równi i każdy ma prawo głosować. Istnieje jednak pewna granica. A teraz siedź cicho i nie przeszkadzaj, gdy rozmawiają mądrzejsi od ciebie. Georges, to, co dziś zrobiłeś... Przecież o ile ten bandyta rzeczywiście dybał na moje życie, ty je uratowałeś. Nikt nie mógłby zachować się w sposób bardziej odpowiadający Bohaterskiej Tradycji naszej Wielkiej Konfederacji. Przynosisz Jej Chlubę.

Tumbril wstał, wyszedł zza biurka i założywszy ręce na plecach, zaczął przemierzać gabinet w tę i z powrotem. Teraz wiedziałam już, dlaczego przez chwilę wydawało mi się, że jest wyższy. Za biurkiem musiało stać specjalnie podwyższone krzesło albo - co bardziej prawdopodobne - znajdowało się tam coś w rodzaju podium. Bez tego typu sztuczek naczelnik sięgał mi najwyżej do ramion. Kręcił się tak od ściany do ściany i sprawiał wrażenie, jakby myślał na głos.

- Georges, wśród moich współpracowników zawsze znajdzie się miejsce dla człowieka, który wykazał się taką odwagą jak ty. Kto wie, może kiedyś nadszedłby taki dzień, w którym mógłbyś obronić mnie przed zabójcą chcącym mnie rzeczywiście skrzywdzić. Myślę o tych wichrzycielach i agitatorach z innych krajów. Dzielnych Kalifornijskich Patriotów nie muszę się obawiać, wszyscy oni kochają mnie za to, co dla nich zrobiłem,

odkąd zajmuję Ośmiokątny Gabinet. Ale są państwa, które zazdroszczą nam naszego bogactwa, naszej Wolności i naszego Demokratycznego Stylu Życia. Niekiedy tłąca się w nich zawiść przeradza się w brutalną przemoc.

Na chwilę zatrzymał się i stał z pochyloną głową, w postawie pełnej czci i szacunku wobec czegoś lub kogoś, kogo my nie mogliśmy dostrzec.

- Wysoka jest cena, jaką trzeba płacić za Przywilej Służenia Innym - powiedział po chwili uroczystym tonem - lecz w razie potrzeby wszyscy powinniśmy ją zapłacić z Pokorą i Radością. Powiedz mi, George, gdyby Szef Rządu twojego Dumnego Kraju wezwał cię pewnego dnia, abyś złożył dla niego Najwyższą i Ostateczną Ofiarę, czy zawahałbyś się?

- Wszystko to wydaje się wyjątkowo mało prawdopodobne - odparł Georges.

- Że co...?

- Chodzi o to, że bardzo rzadko korzystam z prawa wyborczego, lecz jeśli już to robię, głosuję na Reunionistów. Natomiast obecnym premierem jest Rewanżysta. Wątpię, by zechciał mnie poprosić o cokolwiek.

- O czym ty do diabła mówisz?!

- Je suis Quebecois, M. le chef d'état. Pochodzę z Montrealu.

Rozdział XVI

Kilka minut później byliśmy już z powrotem na ulicy. Przez chwilę sądziłam jednak, że za zbrodnię bycia Nie-Kalifornijczykami zostaniemy rozstrzelani, powieszani lub w najlepszym wypadku wtrąceni na zawsze do najgłębszego z pałacowych lochów. Zwyciężył jednak zdrowy rozsądek zaufanego doradcy naczelnika. Człowiek ten przekonał Warwhoopa, iż lepiej będzie puścić nas wolno, niż narażać się na kłopoty, choćby miały to być jedynie kłopoty gabinetowe. Konsul Generalny Quebecu mógł ewentualnie zgodzić się na... współpracę, ale współpraca z całym jego personelem okazałaby się z pewnością bardzo kosztowna.

Właściwie cała sprawa została przedstawiona nieco inaczej. Powiedziałabym: mniej subtelnie. Obaj nie wiedzieli jednak, że ich słucham. O tym, iż mój słuch jest również znacznie bardziej czuły od słuchu normalnego człowieka, nie wspomniałam nawet Georgesowi.

- Pamiętaj pan kłopoty, jakie mieliśmy, gdy banda pastuchów z Meksyku rozdmuchała sprawę tej smarkuli? - szeptał doradca wprost do ucha naczelnika. - Dopiero co wyszliśmy z tego bagna. Chce pan znowu w nie wpaść?

Ostatecznie pozwolono nam bez przeszkód opuścić Pałac. Czterdzieści minut później weszliśmy do California Commercial Credit Building, gdzie mieściło się biuro tutejszego przedstawicielstwa MasterCard. Odszukanie toalety i pozbycie się całego tego idiotycznego kamuflażu zajęło nam kolejne piętnaście minut. W tutejszej toalecie również panowało równouprawnienie i demokracja, jednak w nieco mniej agresywnej formie. Przy wejściu nikt nie sprzedawał biletów, a wewnątrz wszystkie kabiny wyposażone były w normalne drzwi. Kobiety używały tych po prawej stronie, a mężczyźni - po lewej. Jedyne miejsce, gdzie nie widać było tego rozgraniczenia, stanowił rząd umywalek i luster pośrodku. Jednak nawet tu widać było, iż z umywalek stojących dalej od wejścia korzystały wyłącznie kobiety. Osobiście nie mam nic przeciwko koedukacyjnym łazienkom; dorastałam przecież w wychowalni. Zauważyłam jednak, że jeśli mężczyznom i kobietom dać szansę używania oddzielnych toalet, chętnie z tej szansy korzystają.

Bez makijażu Georges wyglądał o wiele lepiej.

- Cała ta maskarada była zupełnie niepotrzebna - powiedział, zdejmując z szyi swoją „apaszkę”.

Nastawiłam uszu; szum urządzeń wentylacyjnych i leżącej z kranu wody skutecznie zagłuszał wszelkie dźwięki. W pobliżu nie było chyba nikogo, kto mógłby nas usłyszeć.

- Ja mam na ten temat inne zdanie - odrzekłam. - Sądzę, że po sześciu tygodniach intensywnego szkolenia stałbyś się prawdziwym profesjonalistą.

- W jakiej dziedzinie?

- No, powiedzmy, że kimś w rodzaju prywatnego detektywa albo... - Ktoś wszedł. -

Później o tym porozmawiamy. A w ogóle, to mamy przecież dwa kupony loteryjne.

- Prawie o nich zapomniałem. Sprawdź, jaka data losowania jest na twoim?

Sięgnęłam do kieszeni i wyciągnęłam kupon.

- Georges, to dziś po południu!

Georges wyjął mi go z ręki i rzucił nań okiem.

- Rzeczywiście. Dobrze byłoby, gdybyśmy za godzinę znajdowali się w pobliżu jakiegoś terminalu.

- Nie ma potrzeby - powiedziałam. - I tak nigdy nie wygrywam; ani w karty, ani w kości, ani tym bardziej na loterii. Nawet gdy kupuję herbatniki, w pudełku nigdy nie ma niespodzianki.

- Mimo wszystko nie zaszkodzi sprawdzić, Kasandro.

- Jak chcesz. A co z twoim losem?

Georges wydobył z kieszeni swój kupon; oboje pochyliliśmy się nad nim.

- Przecież to to samo losowanie! - wykrzyknęłam. - Teraz przynajmniej jest po co sprawdzać wyniki.

Georges nie odrywał wzroku od trzymanego w dłoni świstka papieru.

- Popatrz tylko na to, Piętaszku. - Powiódł kciukiem wzdłuż nadruku. Wszystkie litery były wyraźne, natomiast numer seryjny - lekko zamazany.

- No, no... Jak długo nasza przyjaciółka trzymała głowę pod kontuarem, zanim udało się jej „znaleźć” ten los?

- Nie wiem. Może trochę krócej niż minutę.

- Wystarczająco długo. Teraz wszystko rozumiem.

- Zamierzasz iść tam i zwrócić go?

- Ja? A po cóż miałbym to zrobić? Taki kunszt należy podziwiać, a nie ganić. Szkoda tylko, że dziewczyna marnuje talent na jakichś drobnych szwindlach. Kończ już i idziemy na górę. Chcesz chyba załatwić wszystko przed losowaniem?

Starłam z twarzy resztki makijażu, stając się na powrót „Marjorie Baldwin”. Oboje byliśmy gotowi na rozmowę z „naszym drogim panem Chambersem” w

Centralnym Biurze

Kalifornijskim towarzystwa MasterCard. Pan Chambers był ponoć niezwykle miłym,

sympatycznym, uprzejmym i gościnnym mężczyzną, a co najważniejsze, wizytówka na

drzwiach jego gabinetu głosiła, iż jest on Wiceprezesem do Spraw Kontaktów z Klientami. Nie mogłam chyba trafić pod lepszy adres.

Po kilku minutach rozmowy zorientowałam się, że jego kontakty z klientami polegały głównie na mówieniu im „nie”, oraz że jego największym talentem było mówienie „nie” w tak wielu miłych, uprzejmym i grzecznych słowach, iż pozbawiał owych klientów jakichkolwiek złudzeń.

- Po pierwsze, proszę zrozumieć, że kalifornijska MasterCard i MasterCard w Imperium Chicago to dwie różne korporacje. Bardzo żałuję, lecz pani nie zawierała umowy z nami. Jest mi z tego powodu naprawdę niezmiernie przykro. Co prawda na zasadzie wzajemnej uprzejmości obie korporacje honorowały zazwyczaj wydane przez siebie karty, tym niemniej akurat w t e j chwili z prawdziwą przykrością zmuszony jestem odmówić. Imperium Chicago odcięło wszystkie połączenia komunikacyjne, nie mamy więc żadnej możliwości ustalenia dzisiejszego kursu wymiany pomiędzy bruinami a koronami, a co za tym idzie, żadnej możliwości dokonywania wypłat posiadaczom kart MasterCard wydanych w Imperium. Może jednak jest coś, co mógłbym dla pani zrobić?

Zapytałam, kiedy według niego skończy się stan wyjątkowy.

- Stan wyjątkowy? Jaki stan wyjątkowy, Miss Baldwin? Może w Imperium wprowadzono coś takiego (musieli przecież mieć jakiś powód, by zamknąć granicę,

nieprawdaż?), ale tutaj...? Niech się pani rozejrzy; czy widziała pani drugi kraj, w którym panuje taki spokój i dobrobyt?

- Ma pan rację - zgodziłam się z nim i wstałam z krzesła. Nie było powodu, by przeciągać tę rozmowę. - Dziękuję panu, Mr. Chambers. Był pan bardzo uprzejmy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Miss Baldwin, i po stronie MasterCard. Niech pani nie zapomni: jeśli będzie cokolwiek, w czym będę mógł pani pomóc, jestem zawsze do usług.

- Dziękuję, nie zapomnę. Ach, przy okazji; czy gdzieś w budynku jest publiczny terminal? Dopiero co kupiłam losy na loterię i okazało się, że... - spojrzałam na zegarek - dosłownie za chwilę będzie losowanie.

Pan Chambers uśmiechnął się szeroko.

- Droga Miss Baldwin, tak się cieszę, że pani o to zapytała. Właśnie na tym piętrze mamy olbrzymią salę konferencyjną. W każde piątkowe popołudnie tuż przed losowaniem biuro zamiera i cały nasz personel - a przynajmniej ci, którzy kupili losy - zbiera się tam, aby śledzić jego przebieg. Stary J.B. - to nasz prezes - zdecydował, iż tak będzie znacznie lepiej, niż gdyby wszyscy udawali, że muszą nagle wyjść do łazienki albo po papierosy. Lepiej dla morale. Kiedy ktoś z naszych ludzi wygrywa, dostaje w dodatku olbrzymi tort ufundowany osobiście przez J.B. Tak samo, jak na urodziny.

- Jesteście więc chyba załogą szczęśliwego okrętu?

- O tak! Nasze przedsiębiorstwo jest jedną z niewielu instytucji finansowych, w której nigdy nie słyszano o komputerowych nadużyciach. Wszyscy tu kochamy starego J.B. Ale teraz chodźmy już; za chwilę się zacznie.

Mr. Chambers zaprowadził mnie do miejsca, w którym stały fotele dla VIP-ów, osobiście przyniósł nam kawę i usiadł obok. Ekran zajmował niemalże całą ścianę naprzeciw wejścia. Losowanie drugorzędnych nagród trwało prawie całą godzinę. W międzyczasie mistrz ceremonii i jego asystentka wymieniali głupkowate dowcipy na temat wdzięków dziewcząt z baletu, który co chwila pojawiał się na scenie. Dowcipy te wypadały tym bardziej żałośnie, że asystentka została wybrana do programu najwyraźniej wyłącznie dla swoich wdzięków. Było to tak oczywiste, jak oczywista była jej skłonność do noszenia strojów, które nie tylko wdzięki owe podkreślały, lecz stanowiły również gwarancję, że dziewczyna nic nie ukrywa. Za każdym razem, gdy losowała szczęśliwy numer, jej jedynym „strojem” była opaska na oczach. Cóż, przyjemna i łatwa praca, pod warunkiem jednak, że studio jest zawsze właściwie ogrzane.

W pewnym momencie w drugim końcu sali zapanował trudny do opisanego zgiełk i harmider - jeden z urzędników MasterCard wygrał tysiąc bruinów. Chambers uśmiechnął się szeroko, patrząc w tamtą stronę.

- Nie zdarza się to zbyt często - powiedział - ale gdy już się zdarzy, wszyscy świętują jeszcze przez kilka dni. Myślę, że możemy już iść. Ach, prawda; pani ciągle jeszcze ma los, który może wygrać. Wątpię jednak, by po raz drugi zaświeciło tu słońce.

Dźwięk fanfar oznajmił nam, że dotarliśmy wreszcie do finału: do cotygodniowego losowania „Wielkiej, Najwyższej, Wszechkalifornijskiej Supernagrody!!!”. Przedtem jednak

mistrz ceremonii ogłosił, że wylosowane zostaną także dwie Nagrody Specjalne: całoroczne zaopatrzenie w papierosy z haszyszem firmy Ukiah Gold oraz obiad z gwiazdorem filmów sensacyjnych - Bobbym „Brutalem” Pizarro.

W końcu odezwały się werble, a w studio zapanował półmrok. Jedyne dwa pojedyncze, silne reflektory oświetlały potężny, szklany puchar. Po chwili asystentka z zawiązanymi oczami wyciągnęła zeń ostatni szczęśliwy kupon i podała go mistrzowi ceremonii, który głośno i wyraźnie przeczytał cały numer. Gdy to robił, nad jego głową pojawiały się kolejne cyfry: 04231427.

- Panie Zee! - zawołał do mikrofonu mistrz. - Czy znamy nazwisko właściciela kuponu o tym numerze?

- Chwileczkę - odezwał się tajemniczy głos. - Nie... nie wiemy, kto kupił ten los.

- A więc mamy Kopciuszkę! Mamy nieznanego zwycięzcę! Gdzieś w naszej wielkiej i cudownej Konfederacji ktoś stał się bogatszy o dwieście tysięcy bruinów! Czy to dziecko fortuny ogląda nas teraz? Czy połączy się z nami, zanim skończy się nasz program? Oto szczęśliwy numer, przyjaciele! Zostanie tu aż do końca tego programu. Później będzie powtarzany w każdym wydaniu wiadomości; tak długo, dopóki ulubieniec fortuny nie zgłosi się po swoją nagrodę!

Georges nachylił się w moją stronę.

- Możesz pokazać mi swój kupon? - szepnął.

- Nie ma potrzeby - powiedziałam także szeptem. - Numer się zgadza.

Pan Chambers podniósł się ze swego fotela.

- No, przedstawienie skończone - rzekł. - Cieszę się, że jednemu z naszej małej

rodziny również udało się coś wygrać. To miło, że zechcieliście państwo spędzić z nami chwilę wolnego czasu. Teraz jednak muszę już was opuścić; obowiązki wzywają. Gdybym jednak mógł jeszcze w czymś pomóc, jestem do waszej dyspozycji.

- Mr. Chambers - spytałam - czy MasterCard podjęłoby tę sumę w moim imieniu? Nie chcę robić tego osobiście.

Pan Chambers był naprawdę miłym człowiekiem, tylko trochę wolno kojarzył. Co najmniej trzy razy musiał porównać numer mojego kuponu z numerem, który ciągle jeszcze migotał na ekranie, nim zrozumiał wreszcie, o czym mówię. Chwilę potem sam nie wiedział, czy najpierw dzwonić do siedziby Loterii Narodowej, czy wzywać fotografów, dziennikarzy i ekipę holowizyjną. Z kłopotów wybawił go Georges.

- Mister Chambers! - syknął, chwytając go za łokieć i zatrzymując w miejscu. - Nie słyszał pan, co powiedziała moja przyjaciółka? Żadnej reklamy. Prosiła, żeby MasterCard podjęła wygraną, nie ujawniając nazwiska zwycięzcy.

- O czym wy mówicie?! Przecież „Wiadomości” zawsze przedstawiają zwycięzców; taki panuje zwyczaj. Pamiętacie tę dziewczynę, która dopiero co wygrała tysiąc bruinów? Mniej więcej teraz fotografują ją razem z J.B. i ufundowanym przez niego tortem. Nie traćmy więc czasu; chodźmy prosto do jego biura.

- American Express - powiedziałam, zwracając się do Georgesesa.

Georges kojarzył bardzo szybko. Naprawdę chętnie wyjdę za niego za męża, jeśli kiedyś porzuci go Janet.

- Mister Chambers - zapytał chłodnym tonem. - Gdzie mieści się tutejsze

przedstawicielstwo American Express?

Pan Chambers wyglądał przez moment tak, jakby go ktoś zdzielił maczugą w łeb.

- O co pan pytał?!

- Pytałem, czy mógłby pan nam podać adres biura American Express w San Jose. Miss Baldwin zamierza zwrócić się do nich o pomoc w podjęciu głównej wygranej w Loterii Narodowej. Chciałaby jednak wcześniej zadzwonić tam i zorientować się, czy American Express przestrzega tajemnicy bankowej.

- Ale ona nie może tego zrobić! Przecież wygrała tutaj!

- Owszem; może i robi tak. Fakt, że zupełnie przypadkowo znalazła się tu w czasie losowania do niczego jej nie zobowiązuje. A teraz proszę się odsunąć. Wychodzimy. Kilka minut później musieliśmy powtórzyć to samo w towarzystwie J.B. Ze swoim cygarem tkwiącym w jednym końcu ust i resztkami tortowego kremu na górnej wardze wyglądał jak stary kaczor. Nie był jednak ani tępym, ani głupim. Najwyraźniej nie był również przyzwyczajony, by ktoś mu się sprzeciwiał, toteż Georges musiał dwa razy głośno wspomnieć o American Express, zanim dotarło doń, iż nie chce nawet słyszeć o żadnej reklamie (Szef dostałby chyba zawału!) i że prędzej pójdę do tych lichwiarzy od Rialta, niż skorzystam z usług jego firmy.

- Ale przecież pani jest klientką MasterCard, Miss Bulgrin.

- Nie - zaprzeczyłam. - Ja także tak sądziłam, lecz pan Chambers odmówił honorowania mojej karty. Nie mam więc innego wyjścia, jak otworzyć konto w American Express. I to bez asysty fotografów.

Chambers wyjaśnił, że moja karta kredytowa została wydana przez Bank Imperialny w Saint Louis.

- Bardzo szacowna instytucja - skomentował J.B. - Chambers, proszę natychmiast wystawić pani nową kartę, sygnowaną przez nasz bank. Zajmie się też pan podjęciem tej wygranej. - Wyjął wreszcie z ust cygaro. - I żadnego rozgłosu, rozumiano? Sprawy klientów MasterCard są sprawami poufnymi. Czy w ten sposób będzie pani usatysfakcjonowana, Miss Walgreen?

- W zupełności.

- Chambers, wykonać.

- Tak jest, proszę pana. Na jaką sumę ma opiewać umowa?

- Jakiej wysokości kredyt panią interesuje, Miss Belgium? Może lepiej będzie, jeśli przeliczymy to od razu na korony. Ile wynosi suma na pani rachunku u naszych kolegów z Saint Louis?

- Gwoli ścisłości, Mr. J.B.; mój rachunek przeliczany jest na sztabki, a nie korony. Zawsze według tej samej, dwusekwencyjnej metody obowiązującej w przypadku klientów posiadających aktywa w złocie. Czy możemy trzymać się owej zasady? Wie pan, nie jestem przyzwyczajona myśleć w bruinach. Komuś, kto podróżuje tak dużo jak ja, znacznie łatwiej jest posługiwać się w tym celu gramami złota.

- Czy życzy sobie pani płacić w złocie?

- O ile to możliwe, tak. Po kursie jednego grama próby 999 według średnich notowań Towarzystwa Akceptacyjnego Ceres i Afryki Południowej z siedzibą w Luna City. Czy to panu odpowiada? Zwykle reguluję płatności kwartalnie - rozumie pan, wiele podróżuję - lecz

mogę poinstruować TAC & AP, by z pańską firmą rozliczano mnie co miesiąc.

- To nie będzie konieczne. Co kwartał w zupełności wystarczy.

„Oczywiście, że wystarczy - pomyślałam. - Szczególnie przy tej waszej stopie procentowej”.

- A co do limitu... cóż, prawdę mówiąc nie zwykłam umieszczać zbyt wielu swoich aktywów w jednym banku. Czy możemy ograniczyć mój rachunek do równowartości trzydziestu kilogramów?

- Skoro tak sobie pani życzy, Miss Bedlam, nie mam nic przeciwko. Jeśli jednak kiedyś zmieni pani zdanie, wystarczy nas poinformować przez telekom. Chambers, słyszał pan wszystko. Proszę się zająć naszą klientką.

W ten oto sposób ponownie znaleźliśmy się w gabinecie, w którym zaledwie przed godziną powiedziano mi, że moja karta kredytowa jest nieważna. Pan Chambers podał mi formularz.

- Pani pozwoli, że pomogę go pani wypełnić.

Przebiegłam wzrokiem po pustych rubrykach. Imiona rodziców. Imiona dziadków.

Miejsce i data urodzenia. Dokładne adresy zamieszkania w ciągu ostatnich piętnastu lat. Nazwisko obecnego pracodawcy. Nazwisko poprzedniego pracodawcy. Przyczyny ostatniej zmiany zatrudnienia. Obecnie osiągnane dochody. Posiadane rachunki bankowe. Referencje trzech osób, znających cię od co najmniej dziesięciu lat. Czy kiedykolwiek zgłaszałeś niewypłacalność? Czy było przeciwko tobie prowadzone postępowanie upadłościowe? Czy zajmowałeś stanowisko kierownicze w jakimkolwiek przedsiębiorstwie, spółce lub korporacji, która została zreorganizowana w oparciu o punkt szósty, paragraf trzynastie Kodeksu Cywilnego Konfederacji Kalifornijskiej? Czy kiedykolwiek byłeś oskarżony o...

- Piętaszku, nie. - To był głos Georgesesa.

- Właśnie miałam powiedzieć to samo - rzekłam, podnosząc się z fotela. - Żegnam, Mister Chambers.

- Czy coś nie tak?

- Ależ oczywiście - powiedział Georges. - O ile się nie mylę, pański szef polecił panu otworzyć Miss Baldwin rachunek w złocie i w oparciu o ów rachunek wystawić jej kartę kredytową. Nie wspominał natomiast, iż ma zwyczaj urządzić swoim klientom jakieś impertynenckie quizy.

- Ale takie są formalne wymogi...

- Niech się pan nie wysila. Proszę po prostu powiedzieć swojemu pracodawcy, że znowu pan nawalił.

Twarz „naszego drogiego” pana Chambersa stała się szara niczym popiół.

- Bardzo proszę, niech państwo usiądą - rzekł bezbarwnym tonem.

Dziesięć minut później opuściliśmy kalifornijskie biuro MasterCard, ja wraz z moją nową kartą kredytową, honorowaną - taką przynajmniej miałam nadzieję - przez wszystkie banki. W zamian zostawiłam numer skrytki pocztowej w Saint Louis, adres zamieszkania moich najbliższych krewnych (Janet) oraz numer rachunku w Luna City wraz z pisemnym poleceniem kwartalnego regulowania moich płatności przez TAC & AP Ltd. Miałam też sporą sumę w kalifornijskich bruinach i taką samą w koronach Imperium.

Wyszliśmy z budynku, minęliśmy róg National Plaza i usiedliśmy na pierwszej

napotkanej ławce. Było już po siódmej i chociaż słońce ciągle jeszcze stało wysoko ponad górami Santa Cruz, na placu panował przyjemny chłód.

- I co dalej, mój drogi Piętaszku? - zapytał Georges po chwili milczenia.

- Na razie chciałabym posiedzieć tu przez chwilę i zebrać myśli. Potem powinnam chyba postawić ci drinka. W końcu wygrałam przecież na loterii.

- To wystarczający powód - zgodził się Georges. - Wygrałaś dwieście tysięcy bruinów za... dwadzieścia?

- Za dolara - poprawiłam go. - Kazałam jej zatrzymać resztę.

- To i tak nieźle. Jesteś o mniej więcej osiem tysięcy dolarów bogatsza.

- Dokładnie o siedem tysięcy czterysta siedem i kilka centów.

- Nie jest to fortuna, ale z pewnością jest to całkiem pokaźna sumka.

- Szczególnie dla kogoś, kto jeszcze rano był w pełni zależny od filantropii swoich przyjaciół - przyznałam.

- Muszę ci też powiedzieć - dodał Georges - że chociaż siedem tysięcy czterysta dolarów jest kwotą budzącą szacunek, to jednak na mnie o wiele większe wrażenie wywarł zupełnie inny fakt. Kobieto, przecież ty, nie posiadając żadnego innego majątku poza loteryjnym kuponem, przekonałaś jeden z najbardziej konserwatywnych banków, by otworzył ci milionowe konto, i to w dodatku w złocie! Temu całemu J. B. nawet powieka nie drgnęła, gdy kazał wystawić ci nową kartę. Jak ci się to udało?

- Ależ Georges, przecież to t y ich skłoniłaś do udzielenia mi kredytu.

- Nie sądzę. Naturalnie, starałem się dotrzymywać tobie kroku, ale każdy ruch inicjowany był przez ciebie.

- Co takiego?! Przecież gdyby nie ty, nie miałabym zielonego pojęcia, co począć z tym idiotycznym kwestionariuszem.

- Ach, o to ci chodzi! Cóż, ten błazen nie miał żadnych podstaw, by grzebać w twoim życiorysie. Polecono mu wyłącznie wystawić ci nową kartę.

- A jednak gdyby nie ty, straciłabym chyba panowanie nad sobą. Och, Georges!

Wiem, że nie powinnam na każdym kroku utrudniać sobie życia tylko dlatego, iż jestem, kim jestem. Staram się o tym nie myśleć. Naprawdę się staram. Ale wypełnianie jakichkolwiek formularzy, w których trzeba umieścić szczegółowe dane na temat rodziców, dziadków, krewnych etc., wydaje mi się czasami ponad moje siły.

- Nikt nie oczekuje od ciebie, byś z dnia na dzień zmieniła sposób myślenia. Nad tym będziemy jeszcze musieli sporo popracować. W każdym razie, gdy ustalałaś wysokość kredytu, wydawałaś się być zupełnie opanowana.

- Kiedyś pewien mądry człowiek powiedział mi - miałam na myśli Szefa - że znacznie łatwiej jest pożyczyć milion niż dziesięć centów. Gdy padło pytanie „ile?”, przypomniałam sobie jedynie tę maksymę. W tym jednak przypadku chodziło zaledwie o jakieś dziewięćset sześćdziesiąt cztery tysiące.

- Nie zamierzam spierać się o liczby. Faktem jest, że kiedy przekroczyłaś dziewięćset tysięcy, musiałem się bardzo starać, by nie spaść z fotela. Czy ty masz chociaż blade pojęcie, ile wynosi pensja profesora?

- A jakież to ma znaczenie? O ile mi wiadomo, za zrealizowanie udanego projektu żywego artefaktu płaci się w milionach, i to nie dolarów, lecz gramów. Czyżby w twoim laboratorium nigdy się to nie udało? A może nie powinnam zadawać takich pytań?

- Chyba rzeczywiście lepiej będzie, jeśli zmienimy temat. Zastanawiałaś się już, gdzie spędzimy dzisiejszą noc?

- Hmm... Za czterdzieści minut możemy znaleźć się w San Diego albo za trzydzieści pięć w Las Vegas. Dla kogoś, kto chce się dostać do Imperium, oba te miejsca są jednakowo dobre. Teraz, kiedy mam wreszcie wystarczającą ilość gotówki, zamierzam natychmiast zameldować się swojemu szefowi. Nie obchodzi mnie, ilu ministrów, premierów i prezydentów zostanie zamordowanych przez jakichś fanatyków. Ale przysięgam na wszystkie świętości, że przyjadę do Winnipeg, gdy tylko dostanę choćby pięć dni urlopu.

- Nie wiem, czy mnie tam zastaniesz.

- Wobec tego odwiedzę cię w Montrealu czy gdziekolwiek indziej. Posłuchaj, mój drogi: zostawisz mi wszystkie adresy, pod którymi można cię szukać. Nie darowałabym sobie, gdybyś nagle przepadł gdzieś bez śladu. Ty pierwszy przekonałeś mnie, że jestem takim samym człowiekiem jak inni ludzie. Zresztą, nie tylko to mam ci do zawdzięczenia. A teraz wybieraj: jedziemy do San Diego pogadać po hiszpangielsku, czy do Vegas zagrać w ruletkę i obejrzeć stripitz w wykonaniu jakiejś jasnowłosej piękności?

Rozdział XVII

Oboje pojechaliśmy do Vicksburga.

Wszystkie przejścia graniczne pomiędzy Teksasem a Imperium Chicago okazały się zamknięte z obu stron. Postanowiłam więc, że najpierw spróbuję przedostać się rzeką. Oczywiście Vicksburg należy jeszcze do Teksasu, lecz jego usytuowanie jako ważnego portu rzeczno-geograficznego przy granicy z Imperium było z mojego punktu widzenia idealne, szczególnie, że wręcz roilo się tu od przemytników.

Vicksburg, niczym jakiś starożytny gród, dzieli się na trzy części. Pierwszą z nich jest dolne miasto, drugą - położony nad samą wodą port, który z tej przyczyny często pada ofiarą powodzi. Trzecią część stanowi górne miasto, leżące na urwistym cyplu wznoszącym się prawie sto metrów ponad poziom wody. Samo górne miasto składa się jeszcze z dwóch części: starej i nowej. Dookoła części starej rozciągają się pola bitewne dawno już zapomnianej (oczywiście nie przez mieszkańców Vicksburga) wojny. Tereny te otoczone są tak wielką czcią, że nie wolno na nich nic budować. Obie części oddzielone są właśnie ową „świętą ziemią”, a jednak dzięki łączącej je gęstej sieci podziemnych tuneli, stanowią nierozzerwalną całość. Z miasta górnego do miasta dolnego i portu dostać się można dzięki systemowi wind i ruchomych schodów.

Do górnego miasta wracałam jedynie po to, by się przespać. Zatrzymaliśmy się w „Vicksburg Hilton” (nawet bar przekąskowy był tu bliźniaczo podobny do tego w Bellingham), lecz to, co chciałam załatwić, mogłam załatwić jedynie na dole, w porcie. Georges doskonale zdawał sobie sprawę, że tutaj nieodwołalnie kończy się nasza wspólna podróż. Nie zabierałam go ze sobą nawet do dolnego miasta i uprzedziłam, iż pewnego dnia nie wrócę. Możliwe nawet, że nie zdążę zostawić żadnej wiadomości. Jeśli trzeba będzie decydować szybko, po prostu zniknę.

„Dolny” Vicksburg wygląda tak, jak większość miast portowych na całym świecie. Za dnia policjanci chodzą tu parami, a po zapadnięciu zmroku - w ogóle. Ulice i zaułki żyją wtedy swoim własnym życiem. Miasto należy do drobnych kanciarzy i spekulantów, do dziwek i ich alfonsów, do werbowników, najemników, przemytników, fałszerzy i handlarzy narkotyków, do kieszonkowców, paserów i fachowców od mokrej roboty oraz ludzi trudniących się handlem bronią i niewolnikami. Nie brakuje nawet prawdziwych specjalistów od chirurgii plastycznej. Tak, w dolnym mieście za odpowiednią cenę można kupić wszystko. Ktoś, kto znajdzie się tu po raz pierwszy, musi jednak stale mieć się na baczności. Tutejsi mieszkańcy bywają nerwowi i często sprawdzają, czy krew przybyszów także jest czerwona. Dzielnica portowa jest jedynym znanym mi miejscem, gdzie żywy artefakt (cztery ręce, brak nóg lub dwie pary oczu po bokach czaszki) może spokojnie wstąpić do baru i zamówić piwo, nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania sobą i swoją brzydotą. Dla takich jak ja bycie „sztuczniakiem” nie miało tu praktycznie żadnego znaczenia - tutejsza społeczność w dziewięćdziesięciu procentach składała się z ludzi, którzy nigdy nie ośmieliliby się wejść na schody prowadzące do górnego miasta.

Chwilami zastanawiałam się, czy tu nie zostać. Było coś przyjaznego i serdecznego w każdym z tych wyrzutków. Żadnemu z nich nawet przez myśl by nie przeszło, by gardzić innym człowiekiem tylko dlatego, że został stworzony w laboratorium genetycznym. Gdyby nie Szefer z jednej strony, a Georges z drugiej, mogłabym zamieszkać w Vicksburgu. Bez trudu znalazłabym kogoś, kto potrafiłby wykorzystać moje zdolności. Znałam jednak miejsca, w

których panował znacznie przyjemniejszy zapach.

Ubrana tak, jakbym była bezrobotnym najemnikiem starającym się wywrzeć jak najkorzystniejsze wrażenie, przemierzałam portowe nabrzeża w poszukiwaniu kapitana łodzi, który zgodziłby się przeszmuglować żywy ładunek. Nie muszę opisywać, jak bardzo byłam zawiedziona, gdy dowiedziałam się, że ruch na rzece niemalże zamarł. Z Imperium nie docierały tu praktycznie żadne wieści, toteż rzadko kto ryzykował wyprawę w górę rzeki. Zaczęłam więc przesiadywać w portowych barach. Popijając piwo, dyskretnie rozpuszczałam pogłoskę, że gotowa jestem sporo zapłacić za wycieczkę wodą na północ. Przeglądałam też lokalne ogłoszenia, których treść była tu daleko bardziej przejrzysta niż treść tych, które widzieliśmy w Bellingham. Jeżeli w Vicksburgu funkcjonowała w ogóle jakaś cenzura, najwyraźniej nie ingerowała ona w treść ogłoszeń. Przynajmniej tak długo, dopóki dotyczyły one jedynie dolnego miasta.

Jeśli nienawidzisz nawet własnej rodziny,

Jeśli jesteś sfrustrowany, znudzony,

rozgoryczony, zawiedziony;

Jeśli twój mąż/zona jest jeszcze jednym, zbędnym meblem,

PRZYJDŹ DO NAS ü!

POMOŻEMY CI ZACZAĆ ŻYCIE OD NOWA!!!

Chirurgia plastyczna - Reorientacja - Relokacja

Transseksualizacja - Dyskretna Mokra Robota

Kontakt - Doktor Frank Frankenstein

Grill-Bar „U SAMA”

Po raz pierwszy widziałam publiczne ogłoszenie o płatnych mordercach do wynajęcia.

A może źle to rozumiałam?

Masz jakiś PROBLEM?

Pamiętaj - wszystko, co zrobisz, będzie zgodne z prawem;

musisz jednak wiedzieć, jak się do tego zabrać!

Najlepszych doradców znajdziesz w firmie LOOPHOLES, Inc.

kod LEV 10101

Czytając tę reklamę warto wiedzieć, iż symbol „LEV” używany jest jedynie dla zamydlenia oczu. Utrudnia on ustalenie nazwiska właściciela kodu.

Firma ARTISTS, Ltd.

Dokumenty Każdego Typu, Waluty Wszystkich Krajów,

Dyplomy, Akty Urodzenia, Akty Małżeństwa, Świadcstwa Zgonu,

Dokumenty Tożsamości, Paszporty, Karty Kredytowe,

Testamenty, Licencje, Patenty, Pełnomocnictwa,

Fotografie, Hologramy, Taśmy Audio-Video.

Gwarantowana Jakość

poręczona przez Towarzystwo Ubezpieczeniowe Lloyd's ü!

LEV 10111

Oczywiście, wszystkie te usługi dostępne były w każdym z większych miast, lecz praktycznie nigdzie nie były tak otwarcie reklamowane. Zaś co do gwarancji... Cóż, ja po prostu w nie wierzyłam.

Przez jakiś czas zastanawiałam się, czy również nie dać ogłoszenia. Ostatecznie jednak porzuciłam ten pomysł. Mając do załatwienia coś dyskretnego, wolałam zawsze polegać na prostytutkach, właścicielach barów i ulicznych handlarzach. Nadal jednak przeglądałam ogłoszenia, mając nadzieję, że znajdę tam coś, co może okazać się przydatne. I znalazłam. Nie wiem co prawda, na co miałyby się to przydać, z pewnością jednak było interesujące.

W.K. - Sporządź testament. Zostało ci tylko dziesięć dni.

A.C.B.

- Co o tym sądzisz? - zapytałam Georges, gdy po powrocie do hotelu opowiedziałam mu o wszystkim.

- Za pierwszym razem W.K. miał zaledwie tydzień. Minęło więcej niż tydzień, a W.K. nadal żyje, prawdopodobnie świetnie się czuje i ma tym razem dziesięć dni. Jak tak dalej pójdzie, dożyje sędziwego wieku - odrzekł Georges.

- Sam w to nie wierzysz.

- Zgadłaś, skarbie. Nie wierzę. To jest szyfr.

- Jakiego rodzaju szyfr?

- Najprostszy, i dzięki temu niemożliwy do złamania. Pierwsze ogłoszenie mogło na przykład powiedzieć zainteresowanemu - bądź zainteresowanym - by zrobili coś zgodnie z punktem siedem, by spodziewali się, że coś zostanie tak zrobione, lub też była to jakaś informacja o czymś, co oznaczono numerem siedem. To ogłoszenie oznacza prawdopodobnie to samo, zmieniła się jedynie liczba, a więc przedmiot, którego ono dotyczy. Znaczenia tych liczb nie można odkryć za pomocą analizy statystycznej, ponieważ kod może się zmienić na długo przedtem, nim zostanie w nim odkryta jakakolwiek statystyczna prawidłowość. Jest to więc szyfr idioty, Piętaszku, i jako taki nie da się złamać. Ktoś, kto go używa, musi tylko mieć na tyle zdrowego rozsądku, by nie myśleć logicznie zbyt często.

- Georges, to zabrzmiało tak, jakbyś był specjalistą w dziedzinie tworzenia i łamania szyfrów wojskowych.

- Jest w tym trochę prawdy, choć nigdy nie miałem nic wspólnego z armią.

Najtrudniejszym kodem, który od dawna już próbuje złamać wielu ludzi i którego tak do końca nigdy złamać się nie da, jest kod genetyczny. W pewnym sensie jest on podobny do tego z ogłoszenia, lecz powtarza się tyle milionów razy, że udało się odkryć znaczenie pojedynczych jego sylab. Wybacz, że mówię o tym akurat tobie.

- Nie dbam o to. Zresztą sama zaczęłam. A więc nie ma żadnego sposobu, by dowiedzieć się, co miał na myśli A.C.B.?

- Żadnego.

Tej nocy zamachowcy uderzyli po raz drugi; dokładnie według listy. Naturalnie, nie twierdzą, by te dwie sprawy miały ze sobą coś wspólnego.

Od chwili, gdy dowiedzieliśmy się o pierwszych zabójstwach, minęło dokładnie dziesięć dni; prawie co do godziny. Oczywiście, na tej podstawie trudno było powiedzieć, kto

ponosi za nie odpowiedzialność. Taki właśnie termin zapowiedziała zarówno samozwańcza Rada Ocalenia, jak i Liga Stymulatorów. Aniołowie Pana nie wyznaczyli żadnej, nawet przybliżonej daty.

Druga fala terroru znacznie różniła się od pierwszej. Nasuwało mi to pewne skojarzenia. Zresztą nie tylko mi. Gdy po wysłuchaniu pierwszych doniesień powiedziałam Georgesowi, co sądzę na ten temat, okazało się, że on myśli tak samo.

Przede wszystkim nie było żadnych wiadomości z Imperium Chicago. Tu akurat nic się nie zmieniło, gdyż ostatnim doniesieniem z Imperium była wiadomość o rzezi wśród Demokratów. Potem kraj ten został zupełnie odcięty od reszty świata, co nawiasem mówiąc coraz bardziej mnie niepokoiło.

Po drugie, żaden serwis informacyjny w Konfederacji Kalifornijskiej nie zawierał nic na temat nowej fali przemocy, jedynie to, co zazwyczaj. Kilka godzin od momentu pojawienia się pierwszych wiadomości o zamachach z Kalifornii, nadeszło jedno z takich „rutynowych” doniesień prasowych. Naczelnik „Warwhoop” Tumbril mianował trzyosobową Tymczasową Radę Regencyjną, wyposażył ją we wszelkie pełnomocnictwa, sam zaś, ze względu na niepokojący stan zdrowia, udał się na długo odkładaną kurację. Miał się jej poddać w tak zwanym Orlim Gnieździe, niedaleko Tahoe. Oświadczenie w tej sprawie nadeszło jednak z San Jose, a nie z Tahoe.

Oboje z Georgesem mieliśmy identyczne zdanie na temat tego, co naprawdę mogła oznaczać - a raczej niemalże na pewno oznaczała - owa wiadomość. Jedyńm zabiegiem potrzebnym temu żalosnemu komediantowi było teraz zabalsamowanie zwłok, zaś jego „Rada Regencyjna” wydawała tego typu oświadczenia, by utrzymać i umocnić swoją władzę.

Po trzecie, tym razem nie pojawiły się żadne doniesienia spoza Ziemi.

Po czwarte, z Kantonu i Mandzurii również nie nadeszły żadne wiadomości o kolejnych zamachach czy aktach sabotażu. Poprawka: żadne takie wiadomości nie dotarły do miasta Vicksburg w Teksasie.

Po piąte, jak wynikało z doniesień, terroryści uderzyli najwyżej w co drugie państwo. To jednak również dało się w prosty sposób wytłumaczyć. Spośród ponad czterystu krajów należących do ONZ spora część wspomiana była w serwisach informacyjnych jedynie przy tak rzadkich okazjach, jak zaćmienie Słońca. Nie mam pojęcia, co działo się w Walii, Nepalu, na Wyspach Normandzkich, w Suazi czy na Wyspach Księcia Edwarda. Nie widzę też najmniejszego powodu, dla którego ktokolwiek (kto nie był obywatelem jednego z tych państw) miałby się tym przejmować. Ostatecznie trzysta owych tak zwanych suwerennych narodów to jedynie cyfry, którymi manipuluje się podczas głosowania w Zgromadzeniu Ogólnym. Dla polityki globalnej nie mają one praktycznie żadnego znaczenia. Zaś z pozostałych krajów mających jakiegokolwiek znaczenie na arenie międzynarodowej donoszono o nowej fali terroru i kolejnych aktach sabotażu. Tyle tylko, że doniesienia owe w wielu przypadkach były najwyraźniej cenzurowane.

Po szóste wreszcie, znaczna część zamachów nie powiodła się. To chyba najbardziej różniło obecną ich falę od poprzedniej. Przed dziesięcioma dniami większość zabójców dosięgnęła swoje ofiary i prawie wszystkim udało się następnie zbiec. Tym razem proporcje te uległy pełnemu odwróceniu: większość potencjalnych ofiar uniknęła śmierci, zginęli natomiast zamachowcy. Część z nich pojmano żywcem, a ucieczka powiodła się zaledwie

kilku.

Szczególnie ów ostatni aspekt pozwolił mi odsunąć wreszcie na bok kilka dręczących mnie wątpliwości. Uzyskałam na przykład pewność, że za obecną falą zabójstw nie stał Szef. Dlaczego tak twierdzę? Ponieważ ktokolwiek za nimi się krył, były one dlań totalną klęską. Agenci terenowi, a nawet zwykli żołnierze są bardzo kosztowni, lecz rządy nieprzypadkowo wydają na nich górę pieniędzy. Dobrze wyszkolony zawodowy zabójca kosztuje co najmniej dziesięć razy tyle, co szeregowy żołnierz. Nikt nie oczekuje od niego, by dał się zabić - n i e ! To jego zadaniem jest zabijać. Bezbłędnie i nie narażając przy tym własnego życia.

Człowiek, który urządził tę całą szopkę, stał się bankrutem w ciągu jednej nocy.

Nie był to zawodowiec.

Nie mógł to więc być Szef.

Myśl, kto w takim razie pociągał za sznurki, nie dawała mi spokoju. Kto mógł mieć w tym wszystkim interes? Moje poprzednie założenie, że była to jedna z ponadnarodowych korporacji, niezbyt trzymało się kupy. Trudno sobie wyobrazić, by taki na przykład Interworld wynajmował kogoś innego niż najwyższej klasy profesjonalistów. Hipoteza, iż to któreś z mocarstw zapragnęło podbić w ten sposób świat, zakrawała na farsę.

Co do grup fanatyków, jakimi byli Aniołowie Pana czy Stymulatorzy: zorganizowanie przedsięwzięcia na taką skalę przerastało po prostu ich możliwości, i to pod każdym względem. Cóż, najwyraźniej nigdzie w gwiazdach nie jest zapisane, że muszę rozumieć wszystko, co się wokół mnie dzieje. Przyznaję jednak, iż jest to dosyć irytujące.

Tego ranka w dolnym Vicksburgu wręcz gotowało się z podniecenia. Zamierzałam właśnie wstąpić do jednej z portowych knajp, by zamienić parę słów z barmanem, gdy podszedł do mnie posłaniec. Mógł mieć najwyżej czternaście lat.

- Dobre wieści - szepnął konfidencjonalnie. - Rachel zbiera nową załogę. Powiedziała, żebym przekazał ci to osobiście.

- Nie chrzań, gówniarzu - odrzekłam uprzejmie. - Nie znam żadnej Rachel, ani też żadna Rachel nie zna mnie.

- Skautowskie słowo honoru!

- Nigdy nie byłeś skautem, więc nie wycieraj sobie gęby honorem.

- Posłuchaj, szefowo - upierał się - nie mam czasu. Nie miałem dziś jeszcze nic w ustach. Jeśli nie wierzysz, choć ze mną i przekonaj się sama; nie musisz przecież niczego podpisywać. To zaraz po drugiej stronie ulicy.

Przyjrzałam się mu uważniej. Rzeczywiście, skóra na nim wisiała, lecz prawdopodobnie było to połączonym efektem wieku dojrzewania i nagłego

wejścia w

przestępczy światek. Dolne miasto nie należy do miejsc, w których ludzie chodzą głodni.

Chwilę ciszy wykorzystał barman:

- Zjeżdżaj stąd, Mały, i przestań naprzykrzać się klientom. Chyba że wolisz, żebym ci znowu połamał paluchy?

- W porządku, Fred - przerwałam mu. - Rozliczymy się później. - Położyłam na

kontuarze banknot. - Idziemy, Mały - powiedziałam, nie czekając na resztę.

„Biuro werbunkowe” Rachel okazało się obskurną rudera i było o wiele dalej niż po drugiej stronie ulicy. Zanim tam dotarliśmy, jeszcze dwóch innych gońców próbowało przejąć mnie od Małego. Na ich nieszczęście szłam już z nim; zresztą jedynie po to, by przekonać się, że ten obdartus dostanie swoją dolę.

Sierżant zajmująca się naborem z wyglądu przypominała mi to obleśne krówsko z publicznej toalety w Pałacu Naczelnika w San Jose. Gdy weszliśmy, podniosła łeb i spojrzała na mnie.

- Żadnych obozowych dziwek, ptaszyno - powiedziała. - Ale jeśli pracujesz gdzieś blisko, mogę postawić ci drinka.

- Zapłać lepiej swojemu gońcowi - odrzekłam oschle.

- Zapłacić mu? A niby za co? - zarechotała. - Leonard, chyba mówiłam jasno: żadnych nierobów. A teraz zjeżdżaj stąd i następnym razem zastanów się, zanim przyprowadzisz jakąś łachudrę.

Podeszłam i chwyciłam ją za lewy nadgarstek. W jej prawej dłoni niemalże natychmiast pojawił się nóż. Byłam jednak szybsza. Po chwili ostrze tkwiło w blacie biurka, tuż przed właścicielką, a ja trzymałam ją za ramię, wykręcając je w sposób, który musiał być dla niej nader przykry.

- Czy mogłabyś zapłacić mu jedną ręką - zapytałam grzecznie - czy też mam ci najpierw złamać tę?

- Tylko spokojnie - odpowiedziała, przestając się szarpać. - Trzymaj, Leonard.

Sięgnęła do szuflady, wyjęła z niej jakieś drobnaki, położyła je na biurku i pchnęła w stronę chłopaka. Ten jednym ruchem zgarnął monety i już go nie było.

Zwolniłam lekko uchwyt, lecz nadal nie puszczałam ramienia pani sierżant.

- Nie płacisz zbyt wiele - zauważyłam. - To jest stawka za każdego zwerbowanego, czy tylko ja jestem taka tania?

- Całość dostanie dopiero wtedy, gdy podpiszesz listę. Nie zwykłam kupować kota w worku. Czy mogłabyś wreszcie przestać wykręcać moje ramię? Bez niego mogę mieć kłopoty z przygotowaniem twojego kontraktu.

Gdy tylko zrobiłam to, o co prosiła, błyskawicznie chwyciła za nóż i ponownie skierowała go w mój brzuch. Tym razem złamałam ostrze i obie części rzuciłam w kąt pokoju.

- Nie radziłabym więcej próbować takich sztuczek - powiedziałam. - A jak będziesz kupować następny, patrz, co ci wciskają. To ostrze nie było z Solingen.

- Potrączę ci jego cenę z zaliczki - odrzekła, masując nadgarstek. - Chyba źle cię oceniłam, gdy tu weszłaś. Możemy przestać wreszcie bawić się w kotka i myszkę? Nie wierzyłam jej nawet przez moment, jednak propozycja wydawała się rozsądna.

- O'key, Sarge*. Co masz mi do zaoferowania?

- Kawa i suchary. Żołd taki, jaki obowiązuje w branży; taka sama premia. Robota na trzy miesiące, potem ewentualnie następne dziewięćdziesiąt dni.

- Inni naganiacze w mieście proponują normalną stawkę plus pięćdziesiąt procent.

Była to zagrywka w ciemno. Na chwilę zapanowała cisza, po czym sierżant wzruszyła ramionami:

- Skoro tak, możemy dostosować się do ceny rynkowej. Mam nadzieję, że potrafisz dobrze posługiwać się bronią. Nie przewidujemy szkolenia świeżych rekrutów. Nie tym razem.

- Mogłabym nauczyć cię wiele na temat sprzętu, o którym sądzisz, że się na nim znasz. Dokąd mamy się wybrać? I kto to wszystko nagrywa?

- Kpiny sobie urządzasz? Czy może chcesz się zaciągnąć jako Inspektor Dywizyjny? Tacy nie są nam potrzebni.

- Dokąd mamy jechać? - ponowiłam pytanie. - Przypadkiem nie w górę rzeki?

- Słuchaj, cwaniaro, nie zdążyłaś jeszcze podpisać kontraktu, a wypytujesz już o tajne informacje...

- Za otrzymanie których gotowa jestem nieźle zapłacić - dokończyłam za nią.

Wyjęłam z kieszeni dwieście elstarów w banknotach po pięćdziesiąt i położyłam je na biurku, tuż przed jej nosem. - Cel akcji, pani sierżant. Mogę ci kupić naprawdę dobry nóż.

„Sarge - w amerykańskim żargonie wojskowym: sierżant.

- Jesteś SIL-em, tak?

- Nie bawmy się w szczegóły. Chcę jedynie dowiedzieć się, czy będziemy płynąć

w górę rzeki, czy nie. Powiedzmy gdzieś tak w okolicy... Saint Louis.

- A może interesuje cię stanowisko instruktora do szkolenia sierżantów?

- Co takiego?! Do licha, nie! Chcę się zaciągnąć jako oficer sztabowy.

Nie powinnam była tego mówić. Przynajmniej nie tak od razu. Co prawda w zespole Szefa rangi i stopnie miały raczej symboliczne znaczenie, byłam jednak bądź co bądź starszym oficerem, dzięki czemu podlegałam wyłącznie Szefowi. Dla wszystkich pozostałych byłam Panną Piętaszek; przynajmniej tak długo, dopóki nie pozwoliłam zwracać się do siebie w sposób mniej oficjalny. Nawet dr Krasny zaczął nazywać mnie en tutcyant dopiero wówczas, gdy go o to poprosiłam. W gruncie rzeczy nie miałam jednak zbyt wielkiego doświadczenia jako starszy oficer, bo chociaż z jednej strony otrzymywałam rozkazy wyłącznie od Szefa, to z drugiej sama nie miałam nigdy okazji, by je komukolwiek wydawać. W formalnej strukturze organizacyjnej (nigdy takowej nie widziałam) musiałam być jednym z prostokąćków, umieszczonych tuż pod trójkątem z napisem „DOWÓDCA” i połączonych przerywaną linią. Jeśli już trzymać się zasad biurokracji, w moim prostokąćku powinno być napisane... na przykład „Starszy Specjalista Sztabowy d/s Operacji Terenowych”.

- Takie buty! - Gwizdnęła przez zęby sierżant. - Zobaczymy, czy wystarczy ci tupetu, by powtórzyć to samo pułkownik Rachel. Powinna się tu pojawić około trzynastej.

Jakby przez roztargnienie sięgnęła po pieniądze. Byłam jednak szybsza. Podniosłam banknoty, złożyłam je równo i ponownie położyłam na biurku, lecz tym razem nieco bliżej siebie.

- W takim razie mamy sporo czasu, by uciąć sobie miłą pogawędkę. Mam niejasne wrażenie, że dziś w tym mieście jeszcze kilku innych facetów szuka najemników i że ktoś nieźle im płaci od sztuki. Gość, który podpisuje kontrakt, musi więc mieć jakiś ważny powód, by podpisać go właśnie z tym, a nie z innym werbownikiem. Może więc jednak warto byłoby powiedzieć mi, pani sierżant, czy akcja ma się odbyć gdzieś w górnym biegu rzeki, a jeśli tak, to jak daleko. Zastanawia mnie też, kto ma być przeciwnikiem: prawdziwi zawodowcy czy też jacyś lokalni kmiotkowie? I czy chodzi o regularną bitwę, czy raczej o dywersję? A może

o jedno i drugie? Myślę, że możemy sobie o tym nieco pogwarzyć, co, pani sierżant? Nie odpowiedziała. Nawet się nie poruszyła. Ani na chwilę nie oderwała wzroku od gotówki. Sięgnęłam po kolejny banknot, położyłam go na pozostałych i wygładziłam wierzchem dłoni. Oddech kobiety stał się szybszy, a na czole pojawiły się kropelki potu. Nadal jednak milczała. Oczekałam kilka chwil i dołożyłam następną pięćdziesiątkę. Sierżant głośno przełknęła ślinę.

- Zabierz ten szmal z widoku albo pozwól mi go zabrać. Ktoś może wejść i zobaczyć - powiedziała ochryplym szeptem.

Przesunęłam banknoty na jej stronę biurka.

- Dzięki - powiedziała. Forsa w mgnieniu oka zginęła w kieszeni jej kurtki. - O ile mi wiadomo, mamy wyruszyć w górę rzeki. Właśnie do Saint Louis.

- Z kim mamy walczyć?

- Słuchaj, spryciaro, jeśli powtórzysz to komukolwiek, nie tylko wszystkiego się wyprę. Urwę ci łeb i nasram do szyi, jasne? Może się zdarzyć, że nie będziemy musieli wcale walczyć. Najprawdopodobniej nie obejdzie się bez małej strzelaniny, ale nie będzie to regularna bitwa. Wszyscy mamy być gwardią przyboczną nowego prezydenta. Powinnam właściwie powiedzieć: najnowszego prezydenta.

„To takie kwiatki” - pomyślałam.

- Całkiem interesujące. Tylko dlaczego nagle każdy werbownik w mieście na gwałt szuka rekrutów? Czyżby „najnowszy” prezydent zamierzał skaptować wszystkich najemników? Wyłącznie do gwardii pałacowej?

- Sama chciałabym to wiedzieć.

- Może uda mi się wywąchać coś na ten temat. Ile jeszcze mam czasu zanim odplyniemy? A może pułkownik Rachel zamierza przetransportować nas energobilami?

- Niech cię szlag! Ile jeszcze chciałabyś ze mnie wyciągnąć za te pieprzone trzy setki? To było dobre pytanie. Nie miałam nic przeciwko wydawaniu pieniędzy, musiałam mieć jednak pewność, że towar, który kupuję, nie jest trefny. Jeśli w górę rzeki popłyną najemnicy, żaden przemytnik nie wybierze się za nimi. Przynajmniej nie przez najbliższy tydzień. Wychodziło więc na to, że będę musiała podpisać kontrakt.

Ale do licha, nie jako oficer! Za wcześnie się wychlapałam.

Sięgnęłam do kieszeni po kolejne dwa banknoty.

- Sarge, czy ty też bierzesz udział w tej wyprawie?

Jej oczy utkwione były w szeleszczących papierkach. Pozwoliłam jednemu z nich upaść na biurko; zniknął niemalże w tym samym ułamku sekundy.

- Nie przepuściłabym takiej okazji. Zaraz zamykam ten interes. Jestem w końcu dowódcą plutonu.

Podalam jej drugi banknot.

- Jeśli zaczekam tu na tę twoją pułkownik i porozmawiam z nią, najprawdopodobniej zechce obdarzyć mnie funkcją adiutanta albo da mi jakąś inną, ponurą fuchę. Nie potrzebuję ani pieniędzy, ani zmartwień. Potrzebuję wakacji. Nie znalazłabyś w swoim oddziale miejsca dla dobrze wyszkolonego człowieka? Takiego w sam raz na... powiedzmy...

kaprała?

Zmarszczyła czoło.

- Tego mi właśnie brakowało: milionera we własnym plutonie.

Poczułam do niej sympatię. Żaden porządny sierżant nie chciałby mieć w swoim plutonie forsiastego oficera.

- Nie zamierzam odgrywać milionera - powiedziałam. - Chcę tylko być jednym ze zwykłych żołnierzy. Jeśli mi nie ufasz, przydziel mnie przynajmniej do jakiegoś innego oddziału.

- Co to, to nie. Wolę cię umieścić tam, gdzie będę cię mogła mieć na oku - rzekła, po czym westchnęła, dodając: - Chyba już czas, żebym wybrała się do dobrego psychiatry. - Sięgnęła do szuflady i wyjęła formularz. - Przeczytaj to i podpisz. Potem złożysz przysięgę. Masz jakieś pytania?

Rzuciłam okiem na papier. W zasadzie była to standardowa umowa dla najemnika. Przydziałowy mundur, kieszonkowe, ubezpieczenie, wysokość żołdu i premii. Jednak dla uważnego czytelnika było tam coś jeszcze: wypłata zaliczki nastąpić miała dopiero dziesiątego dnia po wciągnięciu na listę. Zrozumiałe. Utwierdzało mnie to w przekonaniu, że oddział wyrusza natychmiast i gdzieś daleko... na przykład w górę rzeki. Zmora spędzającą sen z oczu każdemu pracodawcy jest myśl o takich, co biorą zaliczki i przepadają jak kamfora. Dziś mogłabym prawdopodobnie zostać weteranem, podpisując pięć czy sześć kontraktów, inkasując za każdym razem zaliczkę i znikając w którymś z „bananowych stanów”. Ktoś był jednak wystarczająco bystry, by przewidzieć taką ewentualność. Płacić miała pułkownik Rachel Danvers osobiście, a w razie jej śmierci lub zaginięcia - jej prawowici spadkobiercy. Każdy zwerbowany zgadzał się słuchać jej rozkazów oraz rozkazów wyznaczonych przez nią oficerów i podoficerów. Wszyscy zobowiązani byli dochować wierności, walczyć dzielnie i postępować zgodnie z prawem międzynarodowym i zwyczajami wojennymi.

Reszta sformułowana była tak niejasno i mgliście, że trzeba by tuzina prawników z Filadelfii, by rozgryźć, co tak naprawdę zawierała umowa. Zresztą to i tak nie miało żadnego znaczenia. Jakikolwiek protest po jej podpisaniu mógł kosztować „przypadkową” kulkę w plecy.

Kontrakt przewidziany był - jak przedstawiła to pani sierżant - na dziewięćdziesiąt dni pod dowództwem pani pułkownik, plus ewentualnie następne dziewięćdziesiąt płatne ekstra. Nie było jednak żadnej klauzuli dotyczącej warunków przedłużenia służby. Zastanowiło mnie to. Nigdy dotychczas nie słyszałam, by z członkiem osobistej gwardii samego prezydenta podpisywano zaledwie trzymiesięczny kontrakt bez żadnych dodatkowych zastrzeżeń. Było to co najmniej dziwne. Albo moja pani sierżant kłamała, albo sama dała się nabrać, nie mając na tyle sprytu, by zauważyć ten brak logiki. Tak czy owak, teraz nie było już sensu urządzać jej quizu z tego tematu.

Sięgnęłam po pióro.

- Kiedy stanę przed komisją lekarską?

- Żarty sobie stroisz?

Podpisałam się i powiedziałam „tak”, gdy sierżant odczytała mi coś, co mniej więcej przypominało tekst przysięgi.

- Coś jeszcze? - spytałam.

Podniosła formularz i bacznie przyjrzała się mojemu podpisowi.

- Jones? A co ma oznaczać to „P”?

- Piętaszek.

- Jakieś durne imię. Od dzisiaj jesteś po prostu Jones. Poza służbą - Jonesie. Jasne?

- Jak sobie pani życzy, pani sierżant. Czy teraz jestem na służbie, czy poza?

- Jeszcze tylko kilka instrukcji i będziesz wolna. Na końcu Shrimp Alley jest duży magazyn z napisem WOO FONG & LEVY BROTHERS. Bądź tam o drugiej po południu, gotowa do wyjazdu. Wejdz tylnymi drzwiami. Do tego czasu musisz zdążyć pozafatwiać wszystkie osobiste sprawy. Masz prawo informować każdego o swoim zaciągu, lecz za udzielenie jakichkolwiek informacji mogących bezpośrednio lub pośrednio dotyczyć celu wyprawy zostaniesz postawiona przed sądem polowym. - Sierżant wyrzucała z siebie słowa z prędkością dobrego automatu. - Potrzebujesz pieniędzy, żeby kupić sobie lunch? Nie, jestem pewna, że nie potrzebujesz. To wszystko, Jonesie. Witaj na pokładzie. Zdaje się, iż czeka nas ciekawa wycieczka.

Rozdział XVIII

Parowiec wycieczkowy „Mary Lou” wyglądał jak żywcem wyjęty z powieści Marka Twaina. Nawet do głowy mi nie przyszło, że będziemy podróżować w tak ekstrawagancki sposób. Trzy pokłady pasażerskie i cztery Napędy, po dwa na każde z olbrzymich kół łopatkowych. A jednak cały statek załadowany był aż po okężnicę i wydawało się, że zatopi go byle silniejszy podmuch wiatru. Na szczęście nie płynęliśmy samotnie. Kilka kabli przed naszym dziobem młóciły wodę równie potężne koła „Myrtle T. Hanshawa”, płynącego z szybkością jakichś dwudziestu węzłów. Pomyślałam o mieliznach, których pełno było wokół, mając nadzieję, że przynajmniej na „Myrtle” sonar jest sprawny.

„Alamo Heroes” płynęły na pierwszym statku razem z pułkownik Rachel, która dowodziła obydwoma oddziałami. To jeszcze bardziej przekonywało mnie, że mieliśmy wziąć udział w jakiejś regularnej potyczce. Niewykluczone nawet, iż stanowiliśmy oddział desantowy. Nikt nie wynająłby uzbrojonych w ciężki sprzęt „Alamo Heroes” jedynie po to, by stworzyć z nich gwardię pałacową.

Broń nie została jak na razie wydana, a rekruci ciągle jeszcze chodzili w cywilnych ciuchach. Wyglądało więc na to, że sierżant Gumm nie kłamała, twierdząc, iż mieliśmy dopłynąć co najmniej do Saint Louis. Co zaś tyczy reszty tego, co powiedziała, byłam nawet gotowa uwierzyć, że oddział ma się stać przyboczną strażą „najnowsze go prezydenta”. Najpierw jednak miał prawdopodobnie pomóc owemu prezydentowi wprowadzić się do pałacu. Wszystko to były oczywiście jedynie domysły. Tak naprawdę wiedziałam tylko jedno: mniej więcej teraz „Mary Lou” powinna właśnie wpływać do Imperium Chicago.

Resztą nie przejmowałam się zbytnio. W ciągu najbliższych kilku dni, gdy tylko znajdziemy się nieco bliżej głównej kwatery Szefa, zamierzałam najzwyczajniej w świecie zdezerterować. Najchętniej zanim jeszcze zrobi się gorąco. Miałam naprawdę mnóstwo czasu, by dokładnie przyjrzeć się całej tej „armii” i nabrać przekonania, że nie będzie ona zdolna do akcji wcześniej, jak za jakieś sześć tygodni. Owe sześć tygodni musiałaby jednak spędzić na intensywnym treningu pod okiem dobrych i twardych fachowców. Na razie było tu zbyt wielu rekrutów i zbyt mało wyszkolonej kadry.

Oczywiście wszyscy rekruci udawali weteranów, lecz już na pierwszy rzut oka widać było, iż spora część to proste, wiejskie dziewczyny, które pouciekały z domów. Były wśród nich nawet piętnastolatki. Owszem, wyrosnięte jak na swój wiek. A „skoro wystarczająco duże, to i wystarczająco dojrzałe”, jak mówiło stare porzekadło. Trzeba jednak czegoś więcej, niż sześćdziesięciu kilogramów wagi, by stać się żołnierzem.

Pójście na akcję w tak doborowym towarzystwie oznaczało samobójstwo. To jednak nie było już moje zmartwienie. Ja miałam pełny żołądek i zadowolona z tego faktu siedziałam na deskach pokładu, oparta plecami o zwój lin. Trawiąc swój pierwszy w życiu żołnierski posiłek, podziwiałam zachód słońca. Zastanawiałam się właśnie, czy „Mary Lou” wpłynęła już do Imperium Chicago, gdy ktoś za moimi plecami zapytał:

- Chowacie się, żołnierzu?

Rozpoznałam ten głos, odwróciłam więc głowę.

- Dlaczego miałabym się chować, pani sierżant? Skąd ten pomysł?

- O’key, przecież nic nie mówię. Zadałam sobie po prostu pytanie: „Gdzie

bym

poszła, gdybym chciała znaleźć się na chwilę sama?” - i proszę, znalazłam ciebie. Zdążyłaś już wybrać sobie kwaterę?

Oczywiście jeszcze tego nie zrobiłam. Zbyt wiele było możliwości, a co jedna - to gorsza. Większość ludzi umieszczono w luksusowych kajutach: po czterech w kajutach dwuosobowych i po trzech w jednoosobowych. Natomiast cały mój pluton miał spać w mesie oficerskiej. Nie mogłam jakoś doszukać się wielkiej różnicy pomiędzy noclegiem na kapitańskim stole, a noclegiem na pokładzie, toteż bez żalu zrezygnowałam z tego pierwszego.

Sierżant Gumm podzielała moją opinię.

- W porządku. Ale jak już rozłożysz koc, radzę ci go dobrze pilnować, inaczej pozbędziesz się go w ciągu kwadransa. Na rufie, obok magazynu żywności, jest moja kajuta; co prawda zjedna tylko koją, ale za to dość szeroką. Jak chcesz, możesz się tam zainstalować.

Będzie ci o wiele wygodniej niż na gołych deskach.

- To cholernie miło z pani strony, pani sierżant.

I jak tu się wykręcić? Czyżby ów „komfortowy wypoczynek” był nieunikniony?

- Mów mi Sarge. Kiedy jesteśmy same, na imię mam Mary. A ciebie jak nazywają, bo

już zapomniałam.

- Piętaszek.

- Właśnie. Całkiem oryginalnie.

Stałyśmy tak, patrząc na ostatnie promienie zachodzącego słońca. Statek kołysał się leniwie na falach. Daleko za lewą burtą powoli przesuwał się majaczący w oddali stromy brzeg.

- Brakuje tylko gwizdka, pióropusza dymu nad kominem i syku pary.

- Sarge, nie wiedziałam, że masz duszę poety.

- Zgadza się. Kiedyś myślałam nawet, żeby rzucić to wszystko i zacząć pisać. A ty co powiedziałabyś o zapadających ciemnościach?

- Żadnych odsłoniętych okien, żadnego palenia na pokładzie. Winni złamania zakazu zostaną rozstrzelani o świcie - roześmiałam się. - Uff, co za szczęście, że ja nie palę.

- Poprawka: winni nie zostaną rozstrzelani, choć będą o to błagać. Naprawdę nie palisz? Nawet z przyjaciółmi, dla towarzystwa?

„Poddaj się, Piętaszku” - pomyślałam.

- Od czasu do czasu - owszem. Ale tylko przy wyjątkowych okazjach.

- Ja też nie zwykłam przesiadywać, otoczona kłębam dymu haszyszowego. Jednak czasami... Z kimś, kto tak jak ja ma odpowiedni nastrój...

Usiadła obok, objęła mnie i chciała pocałować.

- Pani sierżant! To znaczy: Mary. Proszę cię, nie. Nie jest jeszcze całkiem ciemno.

Ktoś nas zauważy.

- A kogo to obchodzi?

- Mnie. Nie lubię tak. To mnie peszy.

- Jak pozbędziesz trochę w moim plutonie, pozbędziesz się skrupułów. Co z

tobą?

Jesteś jeszcze dziewicą? To znaczy, nie robiłaś tego jeszcze z inną dziewczyną?

- Proszę cię, przestań mnie wypytywać. I pozwól mi odejść. Nie chcę tutaj. W każdej chwili ktoś może przecież wyjść z tej nadbudówki.

Pokręciła z niedowierzaniem głową, ale podniosła się.

- Dziwna jesteś z tym swoim wstydem. Ale w porządku. Mam w kabinie wyborczy Omaha Black. Chowałam go na specjalną...

Nagle niebo rozbłysło oślepiającym blaskiem. W tej samej sekundzie do naszych uszu dotarł odgłos potężnej eksplozji. Poderwałam się na równe nogi. W miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze płynął „Myrtle T. Henshaw” spadały teraz do wody kawałki poskręcanej blachy.

- Chryste Panie!

- Mary, nie ma czasu! Potrafisz pływać?!

- Co? Nie.

- Skacz za mną, doholuję cię do brzegu!

Stałam na okrężnicy, skoczyłam do wody, wypłynęłam na powierzchnię i obróciłam się na plecy. Sylwetka sierżant Mary Gumm wyraźnie odcinała się na tle nieba.

Wtedy właśnie widziałam ją po raz ostatni. Kilka sekund później statek wycieczkowy „Mary Lou” wyleciał w powietrze.

Na tym odcinku wschodni brzeg Missisipi jest wysoki, skalisty i stromy. Brzeg zachodni stanowi niewielką wyżynę, ciągnącą się na jakieś dziesięć, piętnaście kilometrów w głąb lądu. Rzeka jest w tym miejscu wyjątkowo kapryśna. Bez przerwy zmienia koryto lub dzieli się na kilka różnych nurtów, z których każdy płynie w innym kierunku; nigdy nie wiadomo: na północ, czy też na południe.

„Mary Lou” płynęła w górę rzeki, to było pewne. Słońce zachodziło dokładnie za jej burtą - tutaj również nie miałam wątpliwości. Jednak ostatnie jego promienie oświetlały lewą ścianę nadbudówki, przy której siedziałam. Wszystko wskazywało więc na to, że statek tuż przed wybuchem skręcił wraz z nurtem rzeki na północ. Dlatego właśnie wyskoczyłam przez lewą burtę; musiałam przecież dostać się na zachodni brzeg.

Gdy znalazłam się w wodzie, pomyślałam przede wszystkim o tym, by jak najszybciej oddalić się od statku. Musiałam jednak najpierw sprawdzić, czy Mary skoczyła za mną. Prawdę mówiąc nie przypuszczałam, by to zrobiła. I nie myliłam się. Gdy odwróciłam głowę, ciągle stała na pokładzie, patrząc bezradnie w dół. Chwilę potem było już za późno. Szef miał rację - większość ludzi zbyt długo zastanawia się nad podjęciem decyzji.

Poczułam lekkie ukłucie żalu - na swój sposób zdążyłam ją nawet polubić. Teraz jednak nie było czasu, by się nad tym zastanawiać. Miałam na głowie sporo innych problemów.

Pierwszym z nich były ciągle jeszcze spadające szczątki kadłuba. Zanurzyłam się pod wodę i płynęłam tak dobre cztery minuty, dopóki brak tlenu oma lżę nie rozerwał mi płuc. Gdy wynurzyłam się ponownie, wokół panowała cisza. Plusk wpadających do rzeki odłamków ustał.

Wątpiłam, by ktokolwiek przeżył eksplozję. Nawet jeśli, to poszukiwania w ciemnościach pośrodku dość szybkiego nurtu nie miały najmniejszych szans powodzenia.

Rozejrzałam się wokół. Na lewo dostrzegłam dogasającą łunę zachodu; popłynęłam więc w tym kierunku. Po kilku minutach straciłam ją jednak z oczu. Odwróciłam się na plecy i popatrzyłam w niebo. Coraz więcej chmur i ani śladu księżyca. Dostrzegłam jednak Arktura, a chwilę później również obie Niedźwiedzice i Polaris. Poprawiłam lekko kurs i płynąc nadal na plecach uważałam, by cały czas mieć Gwiazdę Polarną z lewej strony. W ten sposób, umiejętnie rozkładając siły, mogłam bez nadmiernego zmęczenia przepłynąć spory dystans. Nie miałam się dokąd spieszyć, chciałam jedynie dotrzeć do brzegu. Jeśli będzie to brzeg zachodni, znajdę się w Arkansas - jednej z prowincji Imperium Chicago.

Pozostawał tylko jeden problem: utrzymywać ciągle ten sam kierunek w ciemnościach, bez mapy ani żadnych znaków orientacyjnych, pośrodku rzeki szerokiej na kilka kilometrów. Na szczęście od czasu do czasu pomiędzy chmurami pokazywały się gwiazdy, dzięki czemu mogłam jako tako orientować się w położeniu. Nie było żadnego sposobu, by określić, jak szybko prąd znosił mnie na południe. Byłam jednak pewna, że jeśli uda mi się cały czas płynąć na zachód, a koryto nie jest w tym miejscu szersze, niż sądziłam, to jeszcze przed świtem powinnam poczuć pod stopami dno.

Nie wiem, ile godzin minęło: trzy, może cztery. W każdym razie sporo wody upłynęło w tej rzece. Wega była już po wschodniej stronie nieboskłonu, lecz ciągle jeszcze dość wysoko. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że ciemny pas majaczący po mojej lewej stronie to nie chmury, tylko brzeg. Poprawiłam kurs i starając się nie stracić go z oczu, popłynęłam w tę stronę. Po chwili uderzyłam głową w jeden z pni, które tworzyły w tym miejscu coś na kształt pływającego pomostu. Stąpając po nim, dotarłam aż do przybrzeżnej skarpy. Wdrapanie się na nią nie stanowiło większego problemu - była ona tutaj zaledwie na metr wysoka.

Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Błada poświata, jaką dawały wyłaniające się od czasu do czasu spoza chmur gwiazdy, pozwalała jedynie odróżnić wodę, w której się odbijały, od rozciągających się przede mną zarośli. Spoglądając na Wielką Niedźwiedzicę i Andromedę, zorientowałam się jednak, że jeśli nie zrezygnuję z marszu na zachód, będę się musiała przez nie przedrzeć. Jediną alternatywą był powrót do wody i popłynięcie wraz z prądem rzeki z powrotem do Vicksburga.

- Nie, Piętaszku - powiedziałam sama do siebie. - Ty nie masz przecież marynarskiego zacięcia.

Nie było na co czekać. Zanurzyłam się w gąszcz.

Następnych kilka godzin nie było może najdłuższe w moim życiu, lecz z pewnością

najbardziej ponure. Nie wątpię, że na Ziemi są jeszcze bardziej nieprzystępne dżungle niż chaszcze i mokradła w dorzeczu Missisipi. Miałam jednak nadzieję, że nie przyjdzie mi kiedyś zmierzyć się z nimi, nawet z maczetą w ręku (że nie wspomnę już o skautowskim nożu).

Większość czasu spędzałam na kręceniu się w kółko i podejmowaniu decyzji, w którą pójść stronę. Mój trop wił się dokładnie tak samo, jak rzeka w tych okolicach. W ciągu godziny posuwałam się naprzód nie więcej jak kilometr. Może nawet mniej, bo niemalże co kilka kroków zatrzymywałam się i sprawdzałam, czy idę cały czas w kierunku zachodnim. Muchy, moskity, komary, wszelkiego typu i pokroju pełzające paskudztwo, którego nigdy przedtem nie widziałam na oczy. Dwa razy poczułam, jak spod stóp wyslizguje mi się

waż. Na moje szczęście żaden z nich nie wypróbował na mnie swoich zębów jadowych, o ile je miał. Skrajnie przerażone ptaki, wydające najróżniejsze odgłosy, często lecące na oślep prosto w moją twarz. Pod nogami prawie przez cały czas grząskie błoto, w którym się co chwilę o coś potykałam.

Dwa czy trzy razy natrafiłam na niezbyt szerokie kanały, stanowiące prawdopodobnie niewielkie odnogi czy też dopływy Missisipi. Tam, gdzie były wystarczająco głębokie, przepływałam je. Gdy byłam na środku jednego z nich, tuż obok mnie przepłynęło jakieś wielkie stworzenie. Olbrzymi zębacz? Zawsze sądziłam, że trzymają się one blisko dna. Aligator? W tej części Ameryki nie występują przecież aligatory. Zresztą nieważne. Nawet gdyby to był potwór z Loch Ness na gościnnych występach, nie wzbudziłby we mnie większego przerażenia.

Gdy stanęłam wreszcie na otwartej przestrzeni, miałam wrażenie, że od zatopienia „Mary Lou” i „Myrtle” minęło co najmniej sto lat.

Przede mną na zachodzie rozciągała się równina Arkansas. Poczułam smak tryumfu. Poczułam też, że jestem głodna, wyczerpana, przemoczona, ubłocona, niewyspana, pokąsana przez insekty i straszliwie spragniona.

Pięć godzin później razem z jakimś panem Hunterem jechałam jego farmerskim wozem zaprzężonym w parę mułów. Ich właściciel mieszkał parę mil od niewielkiego miasteczka o nazwie Eudora. Gdy dotarliśmy na miejsce, brakowało mi już tylko snu; o całą resztę zatroszczyli się moi gościnni gospodarze. Pani Hunter chodziła wokół mnie jak kwoka wokół kurcząt, a śniadanie, jakie mi zrobiła, było prawdziwą ucztą.

Jadłam je, opatulona w jej szlafrok, gdyż uparła się, iż wypierze moje ubranie. Gdy wstałam od stołu, było już prawie suche. Pół godziny potem mogłam ruszać w dalszą drogę. Z wyjątkiem podkrążonych oczu i kilku nieznaczących zadrapań na twarzy wyglądałam prawie jak... nowo narodzona.

Nie próbowałam nawet zaproponować, że im zapłacę. Są ludzie, którzy nie posiadają zbyt wiele, mają jednak coś znacznie cenniejszego niż pieniądze. Mają szacunek dla samych siebie oraz tę niezmiernie rzadko spotykane cechy, jakimi są bezinteresowność i szczerłość. Nie jest to coś, co można by sprzedać. Powoli uczyłam się rozpoznawać owe cechy u tych, którzy je posiadali. Co do Hunterów nie miałam zaś najmniejszej wątpliwości.

Pan Hunter dowiózł mnie do końca wiejskiej drogi, gdzie łączyła się ona z nieco szerszą szosą. Tam zatrzymał muły, zeskoczył na ziemię, obszedł wóz i stanął z mojej strony.

- Dalej nie mogę pani zawieźć, panienko - powiedział.

Przyjęłam podaną mi rękę i również wysiadłam.

- Czy coś się stało, panie Hunter? Uraziłam czymś pana?

- Co też panienka... Nie o to mi idzie - odrzekł powoli. - Mówiła panienka, że łódka uderzyła o pień i przewróciła się.

- Tak właśnie było.

- Te pływające kłody są niebezpieczne jak diabli.

Przez moment nie mówił nic, patrząc pod nogi. Po chwili odezwał się znowu:

- Wczoraj wieczorem coś niedobrego stało się na rzece. Dwa wielkie wybuchy, gdzieś koło zakrętu. Aż u nas w obejściu było widać i słyszeć.

Znowu przerwał. Ja również milczałam. Sposób, w jaki wytłumaczyłam im swoją tu

obecność, można było w najlepszym wypadku nazwać drobnym kłamstwem. Gdybym jednak próbowała podać jakąś inną przyczynę, dla której się tu zjawiłam, musiałyby to być latające talerze.

Ciszę przerwał pan Hunter.

- Moja żona i ja nigdy nie mieliśmy żadnych kłopotów z Policją Imperialną. I wolelibyśmy nadal ich unikać. Jeśli więc nie ma panienka nic przeciwko, by podejść kawałek pieszo, to do Eudory trzeba iść na lewo. Lepiej będzie, jeśli zawrócę tu wóz i pojedę do domu.

- Rozumiem. Chciałabym móc się jakoś panu odwdzięczyć, panie Hunter.

- Może panienka.

- Jak? - Czyżby jednak zamierzał poprosić o pieniądze? Nie, to chyba niemożliwe.

- Jeśli kiedyś spotka panienka kogoś, kto będzie potrzebował pomocy, niech mu panienka poda rękę i pomyśli o nas.

- Och! Zrobię to! Może mi pan wierzyć.

- To dobrze. Kawałek chleba użyczony komuś w potrzebie zawsze się zwraca. Moja żona kazała powiedzieć, że będzie się za panienkę modlić.

Poczułam dziwne pieczenie w gardle.

- Niech jej pan przekaże, że ja również będę o niej pamiętać w swoich modlitwach. Będę pamiętać o was obojgu.

Nigdy w życiu nie modliłam się. Teraz jednak pomyślałam, że za Hunterów powinnam.

- Dziękujemy bardzo. Żona na pewno się ucieszy. Czy nie weźmie mi panienka za złe, jeśli jeszcze coś jej poradzę?

- Dobrych rad nigdy nie jest za wiele.

- Nie zamierza panienka zatrzymać się w Eudorze?

- Nie. Muszę dotrzeć na północ.

- Tak myślałem. Eudora to tylko posterunek policji i parę sklepów. Lake Village jest spory kawałek dalej, ale tam zatrzymują się energobile Greyhonda. To jakieś dwadzieścia kilometrów tą drogą na prawo. Jak panienka chce tam być jeszcze dziś, musi panienka złapać południowy autobus. Na piechotę za daleko, a w dodatku zanoszą się na piekielny upał.

- To nic. Dam sobie radę.

- Greyhoundem można się dostać do Pine Bluff, a nawet do Little Rock. Ale trzeba pieniędzy.

- Panie Hunter, ma pan naprawdę złote serce. Niech się pan nie kłopotuje, mam przy sobie swoją kartę kredytową.

Co prawda, gdy wydostałam się na skraj mokradeł, byłam przemoczona do suchej nitki, a w dodatku ubłocona jak nieboskie stworzenie. Paszport, pozostałe dokumenty, gotówkę i karty kredytowe trzymałam jednak w tej wodoszczelnej torebce, którą dostałam od Janet. Wszystko przetrwało nienaruszone. Muszę jej kiedyś o tym opowiedzieć.

- To dobrze. Pomyślałem, że lepiej zapytać. Jeszcze tylko jedno. Ludzie tutaj pilnują zazwyczaj swego nosa. Jeśli tylko nie będzie panienka zbaczała z drogi, kilku wścibskich nie będzie miało powodu, żeby zaczepiać panienkę. Bo i po co? No, na mnie już czas. Niech się paniencie szczęści.

Cmoknął na muły i po chwili daleko na drodze widać już było jedynie tuman kurzu.

Za osiem pierwsza byłam już w Little Rock. Ledwo udało mi się złapać ekspres na północ. Dwadzieścia jeden minut później stałam już w budce z publicznym terminalem na dworcu w Saint Louis, wystukując na klawiaturze kod kontaktowy. Zamierzałam poprosić Szefa o transport do głównej kwatery.

- Użytego przez ciebie kodu nie ma w pamięci głównego komputera. Nie roztaczaj się. Czekaj, aż operator... - Szybko przerwałam połączenie i wyszłam z budki.

Nie wychodząc z podziemi, zaczęłam kręcić się po pasażach handlowych, przystając przed wystawami sklepowymi i udając zainteresowanie. Przez cały czas uważałam jednak, by jak najbardziej oddalić się od dworca.

Gdy uznałam, że jestem już dość daleko, odszukałam kolejną budkę i spróbowałam użyć kodu awaryjnego. Usłyszałam tę samą formułkę, lecz tym razem, gdy nacisnęłam klawisz BREAK, głos odmówił przerwania połączenia. Błyskawicznie schyliłam głowę, przykucnęłam i nie zmieniając pozycji wyostałam się na zewnątrz. Z pewnością rzuciło się to w oczy, czego nienawidziłam. Możliwe jednak, że uniknęłam w ten sposób sfotografowania przez terminal, co byłoby niewybaczalnym błędem.

Wmieszałam się w tłum i przez kilkanaście następnych minut znowu chodziłam bez celu. Dopiero gdy uzyskałam całkowitą pewność, że nie jestem przez nikogo śledzona, zjechałam jeden poziom niżej i odszukałam najbliższy przystanek metra. Wsiadłam dopiero we wschodniej części miasta. Miałam jeszcze jeden kod, który wolno mi było użyć tylko w skrajnie wyjątkowych przypadkach. Nie zamierzałam jednak posługiwać się nim bez odpowiedniego przygotowania.

Podziemna kwatera Szefa wydawała się być oddalona o sześćdziesiąt minut drogi od każdego miejsca, do którego mnie stamtąd dostarczano. Nie miałam jednak zielonego pojęcia, gdzie jej szukać. Mówię tak, bo kiedy po moim pobycie w szpitalu lecieliśmy energobilem na tereny szkoleniowe, podróż trwała dokładnie godzinę. Tyle samo, gdy wracaliśmy. Po powrocie poprosiłam, żeby dostarczono mnie gdzieś, skąd można bez trudu dostać się do Winnipeg. Polecieliśmy do Kansas City. Tam również dotarliśmy po sześćdziesięciu minutach. Trasa przelotu nie była jednak widoczna dla pasażera, który siedział w osobnej kabinie.

Według geografii, geometrii i zdrowego rozsądku musiało to być gdzieś w pobliżu Des Moines. W tym jednak przypadku „gdzieś w pobliżu” oznaczało koło o promieniu co najmniej stu kilometrów. Gubienie się w domysłach było więc wyłącznie stratą czasu. We wschodnim Saint Louis kupiłam jasnożółtą pelerynę z kapturem i lateksową maskę. Obie te rzeczy zapakowałam do torby, po czym zajęłam się odszukaniem publicznego terminalu stojącego gdzieś w ustronnym miejscu. Im dłużej nad tym myślałam, tym bardziej nabierałam przekonania, że ktoś ponownie podjął próbę rozbicia organizacji Szefa, tym jednak razem zakończoną powodzeniem. Fakt, iż nie wpadłam jeszcze w panikę, zawdzięczałam jedynie świetnemu wyszkoleniu.

Zakapturzona, z twarzą ukrytą pod maską, po raz ostatni spróbowałam połączyć się z kwaterą główną. Rezultat był dokładnie taki sam, jak poprzednio. Odwróciłam się tyłem do ekranu i ściągnęłam maskę, rzucając ją na podłogę. Nie odwracając się, spokojnym krokiem wyszłam z budki i skręciłam w pierwszą przecnicę. Po drodze zdjęłam pelerynę i nie zatrzymując się, wrzuciłam ją do kubła na śmieci.

Pół godziny później byłam z powrotem w centrum miasta. Posługiwanie się tutaj moją

kartą kredytową, wystawioną przez Bank Imperialny, było w tej sytuacji co najmniej zuchwałością. Niemniej jednak zrobiłam to, kupując bilet do Kansas City. Podczas godzinnej podróży miałam dość czasu, by gruntownie wszystko przemyśleć. Miejsce moich poprzednich wątpliwości zajęło teraz absolutne przekonanie, że Szefowi nie mogło się nic przydarzyć. Był w końcu profesjonalistą najwyższej klasy. Tacy jak on nie popełniają błędów.

Od tej pory musiałam jednak działać z założeniem, że cała siatka Szefa została wykryta i zniszczona. Należało więc również liczyć się z faktem, iż numer mojej karty kredytowej MasterCard (bazującej na koncie Szefa, a nie moim własnym) może zostać w każdej chwili zidentyfikowany, a sama karta - zniszczona przez maszynę. Oznaczałoby to dla mnie, że wpadłam w poważne kłopoty.

Dotarwszy do Kansas City, nie wyszłam nawet z dworca kolei magnetycznej. Po raz któryś z rzędu, posługując się publicznym terminalem, połączyłam się z Informacją i spytałam o usługi na linii Omaha - Sioux Falls - Fargo - Winnipeg. Odpowiedziano mi, że ruch odbywa się tylko do Pembiny - miasta na granicy z Kanadą Brytyjską. Byłam tam pięćdziesiąt sześć minut później. Nie minęło jeszcze nawet dziesięć godzin, odkąd przedzierałam się przez przybrzeżne bagna Missisipi, mając nadzieję, że leżą one już po stronie Imperium Chicago. Teraz jednak daleko bardziej pragnęłam jak najszybciej wydostać się z tego kraju.

Jak dotąd bawiłam się z Imperialną Policją w kotka i myszkę. Nie wątpiłam jednak, że wcześniej czy później zechcą zamienić ze mną parę słów. Ja natomiast nie miałam na tę pogawędkę najmniejszej ochoty. Słyszałam wiele opowieści na temat sposobów, w jaki prowadzą oni przesłuchania. Według jednej z nich mieli zwyczaj wypalać swojej ofierze oczy, a potem - mózg.

Rozdział XIX

Czternaście godzin później byłam zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów od miejsca, w którym wysiadłam z pociągu. Z owych czternastu godzin jedną zajęły mi zakupy, trochę więcej - obiad, następne dwie - poufne konsultacje z pewnym specjalistą, a sześć - spanie. Większość z pozostałych czterech godzin spędziłam posuwając się ostrożnie na wschód. Cały ten czas szłam równolegle do granicznego płotu, trzymając się jednak od niego w sporej odległości. Dopiero o świcie zbliżyłam się do zasieków. Szłam nadal w tym samym kierunku, powłócząc nogami, jak przystało na znudzonego pracownika brygady konserwacyjnej. Pembina jest właściwie wioską. By znaleźć odpowiedniego fachowca, musiałam wrócić do Fargo. Bez trudu dostałam się tam lokalną kapsułą. Chodziło mi o specjalistę świadczącego takie same usługi, jak „Artist Ltd.” w dolnym Vicksburgu. Niestety; agencje reklamowe w Imperium nie zajmowały się promocją tego typu usług. Musiałam więc poświęcić sporo czasu i gotówki, zanim dotarłam pod właściwy adres. Człowiek, którego szukałam, miał swoje biuro na rogu Main Avenue i University Drive. Według szyldu nad wejściem prowadził inną, daleko bardziej konwencjonalną firmę. Nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby szukać w kancelarii prawniczej.

Ciągle jeszcze ubrana byłam w ten wypłowiały, drelichopodobny komplet, który miałam na sobie, skacząc przez burtę „Mary Lou”. Nie dlatego jednak, bym czuła dla niego jakiś specjalny sentyment. Granatowy, jednoczęściowy uniform jest po prostu najpopularniejszym ciuchem noszonym przez przedstawicieli obu płci na całej Ziemi. Nawet na Ell-Pięć czy w Luna City używa go wielu ludzi, choć monokini jest tam znacznie bardziej popularne. Wystarczy chusta wokół szyi, by zamienić się w szykowną gosposię, idącą właśnie na zakupy. Weź do ręki nesesor - i nie różnisz się niczym od tysięcy urzędników i drobnych biznesmenów. Przycupnij na rogu z kapeluszem w dłoni, a każdy weźmie cię za żebraka. Jako trudny do zabrudzenia, łatwy do oczyszczenia, nie gniotący się i prawie nigdy nie zdejmowany, kostium taki jest wręcz idealny dla kuriera, chcącego wtopić się w otoczenie i nie tracić ani czasu, ani miejsca w bagażu na ciuchy.

Tym razem dodałam do swojego stroju poplamiony beret z przyczepioną doń plakietką „mojej” brygady i dobrze znoszony, skórzany pas, w który powtykane były narzędzia. Przez moje prawe ramię przewieszona była torba z zapasowymi ogniwami do naprawy płotu, zaś przez lewe - niewielki palnik.

Wszystko, nie wyłączając nawet rękawiczek roboczych, było stare i zniszczone. W bocznej, zasuwanej na zamek kieszeni spodni tkwił mocno już sfatygowany portfel. Według znajdujących się w nim dokumentów nazywałam się „Hannah Jensen”. Włożony tam również, wyświechtany wycinek z lokalnej gazety świadczył, że byłam niegdyś przewodniczącą szkolnego samorządu. Dzięki poplamionej legitymacji Czerwonego Krzyża mogłam szcycić się faktem oddania ponad galona krwi. Niestety; według ostatniego zapisu już od ponad sześciu miesięcy zaniegdywałam obowiązki honorowego krwiodawcy. Miałam przy sobie nawet kartę kredytową Visa wystawioną przez Loan Company. Nie sądziłam jednak, bym zaoszczędziła dzięki niej choć jedną koronę z konta Szefa. Brakowało jej owej niewidzialnej, magnetycznej sygnatury, bez której każda karta kredytowa jest jedynie kawałkiem kolorowego plastiku.

Było już zupełnie jasno. Na przedostanie się na drugą stronę płotu zostało mi nie więcej niż trzy godziny. Później pojawią się pracownicy prawdziwej brygady konserwacyjnej,

a ja nie miałam najmniejszej ochoty, by spotkać kogoś z nich. Do tego czasu Hannah Jensen powinna zniknąć, pojawiając się z powrotem dopiero późnym popołudniem, ale jako ktoś zupełnie inny i w zupełnie innym miejscu. Nie miałam już odwrotu. Zużyłam praktycznie całą gotówkę, a na kartę kredytową sygnowaną przez Bank Imperialny nie było co liczyć. Wystarczyło, że wczoraj posłużyłam się nią czterokrotnie. Nie wiedziałam, czy uruchomiłam w ten sposób jakiś program-pułapkę, który zarejestruje każdorazowe jej użycie, lecz nie miałam zamiaru tego sprawdzać. Chciałam jedynie znaleźć się po drugiej stronie płotu.

Powolnym krokiem szłam wzdłuż siatki. W żadnym wypadku nie mogłam teraz pozwolić sobie na pośpiech. Przede wszystkim musiałam znaleźć takie miejsce, w którym mogłabym przeciąć druty nie obawiając się, że ktoś mnie zauważy. Nie było to jednak łatwe - mniej więcej pięćdziesięciometrowy pas ziemi po obu stronach płotu był całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek roślinności i dodatkowo zaorany. Musiałam pogodzić się z tym faktem. Szukałam jedynie odcinka, na którego skraju - najlepiej po obu stronach - rosłoby coś, co choć odrobinę przypominałoby las. Najlepiej amazońską dżunglę.

Niestety, w Minesocie nie ma amazońskiej dżungli.

W pomocnej Minesocie prawie w ogóle nie ma lasów. W każdym razie nie w tych okolicach.

Przyglądałam się właśnie fragmentowi płotu, wmawiając sobie, że gdy nikogo nie ma w zasięgu wzroku, otwarta, szeroka przestrzeń jest równie dobra jak osłonięta, gdy nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się policyjny energobil. Leciał na zachód, posuwając się wzdłuż płotu. Nie zatrzymując się, pomachałam im przyjaźnie ręką. Pojazd zawrócił, zatoczył koło i wylądował około czterdziestu metrów ode mnie. Poszłam w jego kierunku. Razem z dowódcą patrolu wysiadł pilot. Obaj mieli mundury... a niech to szlag! - Policji Imperialnej, a nie stanowej. Gdy zbliżyłam się do nich, dowódca patrolu obrzucił mnie czujnym spojrzeniem.

- Co tu robisz tak wcześnie? - zapytał agresywnym tonem.

- Pracowałam, dopóki mi nie przeszkadziliście - odrzekłam, nie dając się zbić z tropu.

- Przestań chrzanić. Nigdy nie zaczynacie przed ósmą.

- Tak było do zeszłego tygodnia, drągalu - powiedziałam. - Przyjmij do wiadomości, że teraz są dwie zmiany.

- Dlaczego nikt nas o tym nie poinformował?

- A co, chciałbyś, żeby nadintendent wysłał pismo osobiście do ciebie? Podaj mi swój numer służbowy. Z przyjemnością przekażę mu, że sobie tego życzysz.

- Zamknij w końcu dziób, o'key? Chętnie przymknąłbym cię i sprawdził, coś za jedna.

- To na co czekasz? Będę przynajmniej miała parę dni wolnego, zanim wytłumaczysz, dlaczego ten odcinek nie został naprawiony.

- Niech cię diabli... - Zaczęli gramolić się do środka.

- Ma któryś z was fajki? - zapytałam.

- Nie grzejemy na służbie - odrzekł pilot - i tobie też nie radzę.

- Pieprzeni służbiści - mruknęłam pod nosem, ale tak, by słyszeli. Pilot chciał już coś odpowiedzieć, ale dowódca patrolu zatrasnął luk. Pojazd uniósł się i przeleciał tuż ponad moją głową, zmuszając mnie, bym przykucnęła. Miałam wrażenie, iż nie przypadłam im do gustu.

Powróciłam do płotu i kontynuowałam „przeгляд”, myśląc jednocześnie o tym, że

Hannah Jensen nie była damą. Nie powinna obrażać tych „Greenies” tylko dlatego, że byli głupcami. W końcu nawet czarne wdowy, hieny i wszy muszą robić coś, żeby żyć. Choć prawdę mówiąc nie wiem, po co.

Doszłam do wniosku, że mogłam to wszystko lepiej zaplanować. Szef nie byłby ze mnie dumny. Przecież za dnia w każdej chwili ktoś mógł zauważyć, jak przecinam siatkę. Lepiej znaleźć odpowiednie miejsce i wrócić tam o zmroku. Albo też spędzić noc opracowując plan numer dwa: przekroczenie granicy przez Roseau River.

Nie paliłam się zbyt do tego projektu. Miałam jeszcze świeżo w pamięci przeprawę przez Missisipi. Woda w tutejszych rzekach jest znacznie chłodniejsza.

„Tak - pomyślałam. - Pod osłoną ciemności o wiele łatwiej będzie przeciąć siatkę i zniknąć po drugiej stronie. Tymczasem mogę znaleźć jakąś kępę zarośli, zaszyć się w niej i dopracować swój plan w szczegółach”.

Nagle jak spod ziemi wyrósł przede mną mężczyzna ubrany niemalże tak samo jak ja. Najwyraźniej był to jeszcze jeden pracownik brygady konserwacyjnej. Tyle tylko, że prawdziwy.

W takich sytuacjach najlepiej od razu przejść do ataku.

- A co t y, do diabła, tutaj robisz?

- Dokonuję przeglądu płotu, siostrzyczko. Swojego odcinka płotu. Powiedz lepiej, skąd ty się tu wzięłaś?

- Posłuchaj, koleś: nie jestem twoją siostrą, a ty pomyliłeś albo zmianę, albo miejsce, które miałaś sprawdzić. - Z niepokojem zauważyłam, że ma przy sobie walkie-talkie. Cóż, ja byłem w tym zawodzie dopiero od paru godzin. Musiałam się jeszcze wiele nauczyć.

- To tobie coś się pokręciło - odrzekł. - Według nowego harmonogramu zaczynam o świcie, a kończę w południe. Ty jesteś pewnie moim nowym zmiennikiem, tylko coś ci się pochrzało jak czytałaś rozkład. Lepiej będzie, jak sprawdzę. - Sięgnął po krótkofalówkę.

- Zrób to - powiedziałam, podchodząc jeszcze bliżej. Spojrzał na mnie i przez moment zawahał się.

- Chociaż właściwie, z drugiej strony...

Ja nie zawahałam się nawet przez sekundę. Nie zabijam nikogo z powodu różnicy

zdań. Nie chciałam też, by ktokolwiek czytając te wspomnienia pomyślał inaczej. Nawet go nie zraniłam. Można powiedzieć, iż sprawiłam, że dość nagle i niespodziewanie dla samego siebie zapadł w sen.

Używając sznurka znalezionej w jego własnej torbie związałam mu ręce i nogi.

Gdybym miała pod ręką wystarczająco szeroki plaster, za kleiłabym mu jeszcze usta.

Niestety, miałam tylko wąską taśmę izolacyjną. Zresztą, nawet gdyby zbyt szybko odzyskał przytomność i zaczął wołać o pomoc, najprawdopodobniej wystraszyłby tylko króliki i kojoty. Nie miałam czasu, by się o to martwić. Musiałam szybko przedostać się na drugą stronę płotu.

Skoro palnik jest dość dobry, aby naprawić siatkę, jest również dość dobry, aby ją przeciąć. Mój jeszcze bardziej nadawał się do tego celu. Kupiłam go w Fargo u owego specjalisty. Był to laser do cięcia stali, choć z zewnątrz przypominał zwykły, niewielki palnik acetylenowo-tlenowy. W parę minut wycięłam wystarczająco duży otwór. Właśnie schylałam głowę, by się przezeń przecisnąć...

- Hej, weź mnie ze sobą! - usłyszałam za plecami.

Tym razem zawahałam się. W jego głosie brzmiała obawa i prośba. Prawdę mówiąc ja również nie chciałabym być na jego miejscu, gdy znajdą go jacyś „Greenies”.

- Proszę, rozwiąż mnie!

Jedynie żona Lota mogła poszczycić się podobną głupotą. Wyciągnęłam nóż i przecięłam sznur na jego przegubach oraz kostkach. Dopiero wtedy wróciłam do wyciętego w siatce otworu. Gdy znalazłam się po drugiej stronie, natychmiast zaczęłam biec. Nie sprawdzałam, czy mój „kolega po fachu” zrobił to samo. Szczerze mówiąc niewiele mnie to obchodziło.

Mniej więcej kilometr na północ rosła jedna z rzadko tu spotykanych kępa drzew.

Biegłam w jej stronę, bijąc wszelkie rekordy prędkości. Palnik, rękawice i torba zostały po tamtej stronie płotu, w Imperium, ciągle jednak miałam na sobie ten ciężki pas z narzędziami. Zrzuciłam go więc, nie zwalniając. Po chwili zrzuciłam również берет. W ten sposób Hannah Jensen odeszła w zapomnienie. Jediną rzeczą, jaka po niej pozostała, był ów stary skórzany portfel wraz z zawartością. Postanowiłam, iż pozbędę się go natychmiast, gdy będę nieco mniej zajęta.

Minąwszy brzeg zarośli i upewniwszy się, iż są wystarczająco gęste, by nikt z zewnątrz nie mógł mnie dostrzec, przykucnęłam na ich skraju i spojrzałam w kierunku, z którego przybiegłam. Miałam nieprzyjemne uczucie, że ciągnę za sobą ogon. Nie myliłam się.

Mój niedawny więzień był w połowie drogi pomiędzy drzewami a granicznym płotem. W jego stronę kierowały się dwa policyjne energobile. Ten, który znajdował się bliżej niego, miał na kadłubie wymalowany czerwony liść klonowy - godło Kanady Brytyjskiej. Drugi zwrócony był przodem do mnie, nie mogłam więc dostrzec jego oznakowania. Nie miałam jednak najmniejszej wątpliwości, jak ono wygląda - pojazd nadleciał z tamtej strony granicy.

Energobil policji kanadyjskiej wylądował zaledwie jakieś dziesięć metrów od uciekiniera, który najwyraźniej nie zamierzał stawiać oporu. Natychmiast oddał się w ręce „Mounties”. Postąpił bardzo rozsądnie. Energobil z Imperium wylądował w chwilę potem, co najmniej dwieście metrów w głąb terytorium Kanady Brytyjskiej. Wsiedli z niego dwaj agenci Policji Imperialnej - ci sami, którzy zatrzymali mnie dwie godziny temu.

Nie jestem specjalistką od prawa międzynarodowego. Wiem jednak na pewno, że wojny zaczynały się nieraz ze znacznie bardziej błahych powodów. Wstrzymałam oddech i starałam się usłyszeć tyle, ile to tylko było możliwe z tej odległości.

Bez trudu odgadłam, że pomiędzy policjantami również nie było prawników.

Wymiana zdań była ostra, lecz z logiką niewiele miała wspólnego. „Greenies” żądali wydania uciekiniera zgodnie z porozumieniem o ściganiu przestępców, natomiast „Mounties” twierdzili, iż porozumienie to dotyczy jedynie zbrodniarzy schwytanych na gorącym uczynku, a jedyną „zbrodnią”, jaka została popełniona, było przedostanie się do Kanady Brytyjskiej z pominięciem odprawy celnej. Sprawa ta nie podlegała jurysdykcji Policji Imperialnej.

- Pakujcie się do swojego grata i wynoście się z brytkańskiego terytorium.

Agent Policji Imperialnej odrzekł w sposób, który musiał zirytować Kanadyjczyków.

Szef ich patrolu wrócił do pojazdu, zatrzasnął luk i powiedział przez megafon:

- Jesteście aresztowani za naruszenie przestrzeni powietrznej Kanady Brytyjskiej i

bezprawne wdarcie się na jej obszar. Wyjdźcie z rękoma podniesionymi do góry. W razie próby ucieczki otworzymy ogień.

Energobil „Greenies” natychmiast wystartował i po kilkunastu sekundach zniknął po stronie Imperium. Kanadyjczykom prawdopodobnie właśnie o to chodziło. Z niepokojem czekałam teraz, aż zaczną przetrząsać zarośla w poszukiwaniu drugiego zbiega.

Mój przypadkowy towarzysz nie okazał się niewdzięcznikiem. Z pewnością widział, jak biegnę w stronę drzew, najwyraźniej jednak zachował to dla siebie. „Mounties” nie mieli pojęcia o moim istnieniu; w przeciwnym wypadku natychmiast zaczęliby mnie szukać.

Policję po obu stronach granicy musiało zaalarmować przecięcie drutów, nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Elektroniczne czujniki instalowane były chociażby po to, by szybko i dokładnie zlokalizować uszkodzenie. Dlatego właśnie tak bardzo się spieszyłam. Lecz ustalenie liczby zbiegów, którzy przedostali się przez wyrwę, było zupełnie oddzielnym problemem z dziedziny elektroniki. Nie twierdzę, że niemożliwym do rozwiązania; powiedziałabym raczej, że nie wartym zachodu.

Po jakimś czasie pojawiła się wezwana przez „Mounties” brygada konserwacyjna. Widziałam, jak znaleźli porzucony przeze mnie pas i oddali go policjantom. Niedługo potem od strony Imperium nadeszła taka sama brygada. Pokręcili się trochę przy naprawionym już płocie i zniknęli.

Sprawa tego pasa trochę mnie niepokoiła. O ile pamiętałam, mój były więzień nie miał swojego na sobie, gdy oddawał się w ręce policji kanadyjskiej. Doszłam do wniosku, że musiał go zdjąć, żeby przedostać się przez otwór, który nawet dla mnie nie był zbyt szeroki. On musiał więc mieć spore kłopoty z przeciśnięciem się na drugą stronę. Wszystko wskazywało jednak na to, iż nie było powodów do niepokojów. Najprawdopodobniej Kanadyjczycy znaleźli jeden pas po swojej stronie, a „Greenies” - również jeden po swojej. Ani jedni, ani drudzy nie mieli więc powodów, by podejrzewać, że był jeszcze jeden uciekinier. Przynajmniej tak długo, dopóki ten, którego złapano, zachowa milczenie. Pomyślałam, że jak dotychczas nie mogłam mu nic zarzucić. A przecież ktoś, kto został „uśpiony” w tak niekonwencjonalny sposób, miał prawo poczuć się urażony.

Pozostałam w ukryciu aż do zmroku - trzynaście godzin, które ciągnęły się w nieskończoność. Nie chciałam, by zauważył mnie ktokolwiek, zanim nie dotrę do posiadłości Tormeyów. Nielegalni imigranci nie szukają zazwyczaj rozgłosu. Dawno temu, podczas odpowiedniego treningu nauczono mnie, jak poradzić sobie z głodem, pragnieniem i nudą. Wyruszyłam dopiero po zapadnięciu całkowitych ciemności. Znałam teren na tyle dokładnie, na ile mogłam go poznać z map. Dwa tygodnie temu w domu Janet przestudiowałam je bardzo uważnie. Problem, który stał przede mną, nie był więc ani złożony, ani też trudny: przejść około sto dziesięć kilometrów i dotrzeć na miejsce przed świtem, zanim zaczną zwracać na siebie uwagę.

Trasa również nie była skomplikowana. Musiałam jedynie odnaleźć drogę z Lancaster w Imperium do La Rochelle w Kanadzie Brytyjskiej. Ciągnęła się ona nieco na wschód i przebiegała między innymi przez przedmieścia Winnipeg. Tam należało skrócić na lewo, okrążyć miasto i odszukać drogę prowadzącą na południe, do portu, i dalej, do Stonewall. Do posiadłości Tormeyów było stamtąd tylko parę kroków.

Świtało już, gdy dostrzegłam w półmroku zarysy zewnętrznej bramy; pierwszej z trzech. Nigdy dotąd przyściśnięcie dzwonka nie sprawiło mi takiej przyjemności.

Niemalże natychmiast usłyszałam głos lana:

- Mówi kapitan Tormey. Mój głos nagrany jest na reponderze. Dom jest obecnie pusty, lecz zabezpiecza go licencjonowany system alarmowy „Wilkołak” firmy Winnipeg Security Guards. Wybrałem właśnie tę firmę, gdyż chroniąc swoich klientów i ich majątek jest ona wręcz nadgorliwa. Proszę nie zostawiać żadnych wiadomości używając terminalu; nie będą one retransmitowane. Dostarczana będzie jedynie poczta. Dziękuję za uwagę.

Ja także ci dziękuję, lanie... i niech to wszystko szlag! Tym razem byłam już bliska płaczu. Wiedziałam, że nie miałam żadnych podstaw, by spodziewać się, iż zastanę w domu wszystkich. Nie dopuszczałam jednak do siebie myśli, że nie zastanę nikogo! Straciwszy rodzinę na Nowej Zelandii, nie wiedząc, gdzie szukać Szefa, nie wiedząc nawet, czy jeszcze żyje, naprawdę nie miałam już dokąd pójść. Podświadomie traktowałam dom Tormeyów jako swój własny „dom”, podświadomie myślałam o Janet jak o matce, której nigdy nie miałam. Przypominałam sobie farmę Hunterów. Żałowałam, że nie mogę się tam znaleźć, pod troskliwą opieką pani Hunter. Żałowałam, że nie mogę wrócić do Vicksburga i zamknąć się w hotelowym pokoju - tylko ja i Georges. Szczęście najwyraźniej opuściło mnie, odkąd zostawiłam go w górnym mieście.

Pogrążona w ponurych myślach nawet nie zauważyłam, jak zrobiło się niemalże zupełnie jasno. „Weź się w garść, Piętaszku - pomyślałam. - Niedługo wzejdzie słońce i na drogach zacznie się ruch, a ty jesteś nielegalną imigrantką z wrogo nastawionego kraju, nie mającą praktycznie grosza przy duszy. Nie możesz pozwolić, by ktoś cię zauważył lub co gorsza schwytał i przesłuchiwał”. Głodna, zmęczona i spragniona nie miałam zbyt wielkiego wyboru. Musiałam znowu ukryć się jak zwierzę. I to szybko, zanim zacznie się dzień.

Lasy nie są w pobliżu Winnipeg czymś powszednim. Pamiętałam jednak, że nie opodal domu - nieco na pomoc - zachowało się parę hektarów, które jakimś cudem uniknęły zębów piły. Ruszyłam więc w tamtym kierunku. Na szczęście ruch na drogach jeszcze się nie zaczął. Jedynym pojazdem, jaki zauważyłam, był wózek mleczarza.

Gdy tylko dojrzałam pierwsze drzewa, natychmiast zesłam z drogi. Teren był tu bardzo nierówny, poprzecinany żlebami i płytkimi wąwozami. Wkrótce jednak dostrzegłam coś, co ucieszyło mnie chyba nawet bardziej niż obecność drzew. Dnem jednego z wąwozów płynął niewielki strumień. Był na tyle wąski, że mogłam stanąć nad nim okrakiem. Woda wydawała się czysta. Zresztą, nawet gdyby była skażona, nie przejęłabym się zbytnio tym faktem - z racji swojego „rodowodu” odporna byłam na większość infekcji. Ugasiwszy pragnienie poczułam się nieco lepiej; przynajmniej fizycznie.

Weszłam głębiej w zarośla, szukając miejsca, w którym mogłabym nie tylko się ukryć. Miałam za sobą już dwie nieprzespane noce i zaczęłam to dość dotkliwie odczuwać. Musiałam jednak mieć pewność, że podczas snu nie strątuje mnie drużyna skautów z pobliskiego Stonewall, bawiących się tu w podchody. Szukałam więc zarośli nie tyle gęstych, ile wręcz niedostępnych.

W końcu udało mi się odszukać odpowiednie miejsce. Z jednej strony osłonięte było wysokim i niemalże pionowym zboczem wąwozu, a z drugiej - gęstymi, ciemnymi krzakami.

Krzaki?

Zawróciłam. Sporej wielkości głaz leżący na ich skraju wyglądał tak, jakby przed tysiącami lat zostawił go tutaj potężny lodowiec, pokrywający wówczas prawie cały ten kraj. Lecz gdy przyjrzałam mu się z bliska, nie przypominał już tak bardzo odłamka skały.

Upłynęło dobre dziesięć minut, nim udało mi się znaleźć jakiś punkt oparcia dla palców. Kiedy wreszcie uniosłam nieco kamień i przesunęłam go lekko w bok, równoważąc jego ciężar ciężarem własnego ciała, moim oczom ukazał się sporej wielkości otwór. Szybko skoczyłam do środka, pozwalając, by głaz opadł z powrotem na swoje miejsce. Otoczyła mnie zupełna ciemność, rozpraszana jedynie przez świecące pomarańczowym światłem litery: WŁASNOŚĆ PRYWATNA. WSTĘP SUROWO WZBRONIONY.

Nie poruszyłam się ani o krok. Myślałam.

Janet powiedziała mi, że przełącznik rozbrajający wszystkie śmiertelne pułapki, w jakie wyposażono tunel, umieszczony został gdzieś w pobliżu wyjścia. Jak daleko oznaczać miało owo „gdzieś w pobliżu”? Pięć metrów? Dziesięć? A może jeden? I jak wyglądał ów przełącznik? Musiał być gdzieś blisko, musiał też być łatwo dostępny - to jasne. W tunelu - nie licząc złowieszczych liter - panowały przecież kompletne ciemności. Wyciągnij więc swoją kieszonkową latarkę, Piętaszku, i szukaj. Tylko nie odchodź stąd zbyt daleko. Rzeczywiście - w torbie, która została na „Mary Lou”, miałam niewielką latarkę. Kto wie, może nawet przyświecała jeszcze rybkom na dnie Missisipi?

Przy sobie nie miałam nawet zapalek.

Czułam, że nerwy zaczynają odmawiać mi posłuszeństwa. Usiadłam na zimnej, betonowej posadzce, oparłam się plecami o ścianę i rozplakałam się. Nawet nie zauważyłam, jak zmęczona tym płaczem zapadłam w sen.

Rozdział XX

Spałam długo. Gdy się obudziłam, podłoga była nadal zimna i twarda, lecz czułam się tak wypoczęta i rześka, że nie miałam jej tego za złe. Wstałam i otrzepując kolana zdałam sobie sprawę, iż nie czuję się już tak beznadziejnie. Byłam jedynie potwornie głodna. Tunel był teraz dobrze oświetlony.

Jarzący się napis nadal ostrzegał mnie, bym nie próbowała iść dalej, lecz nie otaczały mnie już takie ciemności. Przeciwnie - wokół wydawało się być jasno, niczym w dobrze oświetlonym pokoju. Rozejrzałam się, szukając źródła światła.

Po chwili mój mózg zaczął pracować na normalnych obrotach. Jedyne źródłem światła był ów napis, jarzący się pod łukowatym sklepieniem. Moje oczy zdążyły przywyknąć do mroku, gdy spałam - oto dlaczego zdawało mi się, że teraz jest tu jaśniej. Normalni ludzie również doświadczają podobnego zjawiska, lecz prawdopodobnie w znacznie mniejszym stopniu.

Zacząłam rozglądać się za przełącznikiem, lecz szybko zrozumiałam, że w ten sposób niczego nie znajdę. Należało się przede wszystkim zastanowić. Używanie mózgu bywa niekiedy znacznie trudniejszym zajęciem, niż posługiwanie się mięśniami, lecz ma dwie poważne zalety: jest cichsze i zużywa zdecydowanie mniej energii. Nawiasem mówiąc ta umiejętność jest jedną z niewielu rzeczy, którymi różnimy się od małp.

Gdzie zamontowałabym ów przełącznik, gdyby zależało to ode mnie? Z pewnością musiał on być ukryty wystarczająco dobrze, by nie znalazł go żaden intruz, lecz równocześnie pozostawać gdzieś w zasięgu ręki, by w razie konieczności właściciele mogli doń sięgnąć szybko i bez trudu.

Wnioski?

Nie był umieszczony zbyt wysoko - najwyżej na tyle, na ile pozwalał wzrost Janet. Obie byłyśmy tego samego wzrostu, więc przełącznik musiał być także w moim zasięgu. Tylko gdzie?

Napis ostrzegawczy umieszczono mniej więcej trzy metry od wejścia. Przełącznik nie mógł być o wiele dalej. Janet powiedziała mi, że drugie ostrzeżenie - to, które obiecywało śmierć - pojawiało się przed nieproszonym gościem „kilka metrów dalej”. „Kilka” oznacza z reguły mniej niż dziesięć.

Janet nie ukryłaby przełącznika na tyle skrupulatnie, by któryś z jej mężów, uciekając na przykład przed pogonią i nie mając zbyt wiele czasu na zastanawianie, musiał pamiętać dokładnie, gdzie on jest. Powinien mu wystarczyć jedynie bardzo prosty opis, gdzie się on znajduje. Z drugiej strony żaden intruz nie wiedzący o istnieniu takowego przełącznika nie miał prawa go zauważyć.

Ostrożnie, krok po kroku, posuwałam się do przodu, dopóki nie stanęłam pod napisem. Spojrzałam w górę. Blask jarzących się liter sprawiał, że wokół widoczne było dość dokładnie wszystko z wyjątkiem tego niewielkiego kawałka sklepienia tuż ponad nimi. Nawet ja, mając przecież nieprzeciętnie dobry wzrok, nie mogłam dostrzec sufitu.

Wyciągnęłam w górę obie ręce i dotknęłam chłodnych cegieł. Moje palce natrafiły na coś, co w dotyku przypominało przycisk. Zamknęłam oczy i nacisnęłam nań. Cisza. Powoli podniosłam powieki.

Nad moją głową nie jarzył się już złowrogi napis. Palily się natomiast lampy na suficie, zalewając cały tunel powodzią światła.

Mrożona żywność i możliwość jej ugotowania, wielkie, włochate ręczniki oraz ciepła i zimna bieżąca woda, terminal, dzięki któremu miałam dostęp do bieżących wiadomości i ich skrótu z ubiegłych tygodni... książki i muzyka, gotówka zebrana w Norze, broń i amunicja, ciuchy wszelkiego typu i pokroju, które leżały na mnie tak samo dobrze jak na Janet, chrono na terminalu, dzięki któremu dowiedziałam się, że przespałam trzynaście godzin, nim nie obudziła mnie twardość betonowej posadzki, i wreszcie wygodne, miękkie łóżko, zachęcające do spędzenia w nim reszty nocy, gdy się wykapię, zjem i zaspokoję głód wiadomości... poczucie pełnego bezpieczeństwa, pozwalające mi wreszcie odprężyć się i zapomnieć o napięciu, które przez ostatnie dwie doby tłumilo moje normalne potrzeby i odruchy - wszystko to czekało na mnie w domu Tormeyów.

Przeglądając skrót doniesień agencyjnych dowiedziałam się, że Kanada Brytyjska złagodziła rygory stanu wyjątkowego, wprowadzając „ograniczony stan wyjątkowy”. Granica z Imperium pozostawała zamknięta. Granica z Quebec była nadal ściśle kontrolowana, lecz wizy wydawano w każdym uzasadnionym przypadku. Kwestią sporną pomiędzy tymi dwoma krajami była wysokość reparacji, jakie Quebec wypłacić miał za coś, co obie strony uznały za „atak militarny przeprowadzony z powodu błędu w ocenie, popełnionego przez Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych Quebec”. Nadal co prawda obowiązywało prawo o internowaniu, lecz ponad dziewięćdziesiąt procent Quebeczyków internowanych w Kanadzie zostało zwolnionych pod warunkiem natychmiastowego opuszczenia terytorium kanadyjskiego. Co zaś tyczy się internowanych obywateli Imperium Chicago, jak dotychczas zwolniono ich... dwadzieścia procent. Wszystko wskazywało więc na to, że nadal musiałam się ukrywać. Bez wątpienia byłam tu ciągle persona non grata.

Najwyraźniej jednak nic nie stało na przeszkodzie, by Georges mógł wrócić do domu, kiedy tylko zechce.

Rada Ocalenia przyrzekła następną falę „poucządzających” zamachów, mającą jak zwykle nastąpić dziesięć dni po poprzedniej, z możliwością przyspieszenia lub opóźnienia tego terminu w granicach dwóch dni. Liga Stymulatorów odezwała się dzień później z podobnym oświadczeniem, w którym oczywiście ponownie uznano „tak zwaną Radę Ocalenia” za zbrodniarzy i złodziei pozbawionych czci i wiary, a ponadto wyobraźni. Aniołowie Pana nie pojawili się już z żadnym wystąpieniem, w każdym razie nie w BrytKanadyjskiej Sieci Informacyjnej.

Ponownie zaczęłam snuć domysły, ale jedynie domysły. Wnioski byłyby raczej łatwe do podważenia. Liga Stymulatorów nie wyglądała na nic więcej, jak drewniany straszak - gęby pełne frazesów, lecz najwyraźniej nic poza tym. Aniołowie Pana albo już nie istnieli, albo byli w głębokim odwrocie. Rada Ocalenia miała największe inklinacje do robienia z siebie pośmiewiska. Z uporem godnym lepszej sprawy przyznawała się do wszystkich zamachów, mimo iż większość z nich była żalnymi, nieudolnymi próbami. Wszystko to jednak były jedynie przypuszczenia, które po trzeciej fali terroru mogły rozwiać się jak dym, gdyby okazała się ona przeprowadzona profesjonalnie i skutecznie. Nie sądziłam, by tak miało się stać, lecz przecież mogłam się mylić.

Nadal nie przychodziło mi do głowy, kto mógł stać za wszystkimi tymi idiotycznymi zamachami. Z pewnością żaden z niepodległych stanów. Niewykluczone, iż krył się za tym któryś z ponadnarodowych koncernów lub jakieś konsorcjum, chociaż nie widziałam w tym żadnego sensu. Możliwe również, że był to pomysł jednego lub kilku niesłychanie bogatych

indywiduów... jeśli postradali oni rozum.

Próbowałam również doszukać się jakichś informacji o tym, co wydarzyło się na rzece. Podałam komputerowi hasła „Imperium”, „Missisipi River” oraz „Vicksburg” - najpierw osobno, potem parami, i wreszcie wszystkie razem. Żadnych reakcji. Wprowadziłam nazwy obu zatopionych statków. Nadal nic. Najwyraźniej komuś zależało, aby to, co przydarzyło się kilku setkom najemników i co miało stać się również moim udziałem, zostało przemilczane lub utrzymane w tajemnicy. A może uznano to za mało istotne?

Zanim opuściłam Norę, zostawiłam Janet kartkę, na której napisałam, jakie ubrania zabrałam ze sobą i ile wzięłam gotówki. Dodałam też to, czym obciążyłam jej rachunek, posługując się jej kartą kredytową: bilet z Winnipeg do Vancouver i z Vancouver do Bellingham. Nie mogłam sobie przypomnieć, kto płacił za podróż do San Jose, ja czy Georges. Wszystkie moje rachunki leżały gdzieś na dnie Missisipi.

Zabrawszy wystarczającą ilość gotówki, by móc bez przeszkód wydostać się z Kanady Brytyjskiej (taką przynajmniej miałam nadzieję), kusiło mnie, by zostawić Janet jej kartę kredytową razem z tym krótkim listem, który do niej napisałam. Lecz karta kredytowa to bardzo podstępna rzecz. Z pozoru niby bezwartościowy kawałek plastiku... lecz można go zamienić na sztabki złota. Janet powierzyła mi kartę na tak długo, dopóki nie będę miała okazji osobiście oddać ją właścicielce. Nie było więc nad czym się zastanawiać - wsunęłam kartę do kieszeni. Tak było uczciwie.

Karta kredytowa jest jak obroża na szyi. W świecie kart kredytowych nie ma miejsca na prywatność... lub w najlepszym przypadku trzeba jej bronić, wkładając w to maksimum wysiłku i sprytu. A poza tym, czy kiedykolwiek wiadomo, co robi komputerowa sieć, gdy wsuwa się ten kawałek plastiku w szczelinę czytnika? Ja nie wiem, dlatego czuję się znacznie pewniej, używając gotówki. Nigdy jeszcze nie słyszałam o kimś, komu udało się wyperswadować cokolwiek komputerowi.

Dla mnie karty kredytowe są prawdziwym przekleństwem. Nie jestem jednak normalnym człowiekiem, być może więc brakuje mi ludzkiego punktu widzenia na tę (i na wiele innych) sprawę.

Wyruszyłam następnego ranka, ubrana w prześliczny trzyczęściowy kostium. Byłam przekonana, że Janet wyglądała w nim cudownie, sądziłam więc, iż ja również tak wyglądam, choć rzeczywistość w lustrze przedstawiała się zupełnie odmiennie. Zamierzałam wynająć jakiś powóz gdzieś w pobliżu Stonewall. Okazało się, że mam do wyboru konny autobus lub energobil BrytKanadyjskich Lini Kolejowych. Jednym i drugim mogłam dojechać do dworca, na którym razem z Georgesem zaczynaliśmy nasz „miodowy miesiąc”. Bardzo lubię pojazdy konne, tym jednak razem wolałam wybrać szybszy środek lokomocji.

Fakt, że udało mi się dostać do miasta, nie oznaczał bynajmniej, że będę mogła bez przeszkód odebrać swój bagaż, leżący prawdopodobnie nadal w przechowalni tranzytowej portu Winnipeg. Czy możliwe było jego odebranie tak, bym nie została zidentyfikowana i zatrzymana jako cudzoziemka, obywatelka Imperium Chicago? Nie sądziłam. Zdecydowałam więc, iż upomnę się o swoją własność, gdy będę już poza granicami Kanady Brytyjskiej. Ponadto torby te spakowane były jeszcze na Nowej Zelandii. Skoro potrafiłam obejść się bez ich zawartości dotychczas, mogłam też dać sobie bez nich radę jeszcze przez dzień lub dwa. Iluż to ludzi straciło już życie jedynie dlatego, że nie chcieli rozstać się ze swoim bagażem?

Czasami wydaje mi się, że mam własnego, prawdziwego anioła stróża, który siedzi na moim lewym ramieniu. Tylko że on najczęściej śpi. Zaledwie przed kilkoma tygodniami oboje z Georgesem podeszliśmy prosto do barierek, włożyliśmy kartę kredytową Janet do czytnika i bez przeszkód dotarliśmy do Vancouver. Tym razem, chociaż do kapsuły wsiadali już pasażerowie, skierowano mnie po bilet do kas Brytykanadyjskiego Biura Obsługi Ruchu Turystycznego. Na szczęście we wnętrzu panował spory tłok, więc nie było niebezpieczeństwa, że jakiś urzędnik będzie mi patrzył na ręce. Na wszelki wypadek zaczekałam, aż zwolni się konsola w rogu. Usiadłam przy niej, wystukałam numer kapsuły do Vancouver i wsunęłam kartę w szczelinę czytnika.

Tego dnia mój anioł stróż najwyraźniej czuwał. Błyskawicznie wyszarpnęłam kartę z powrotem i równie szybko schowałam ją w kieszeni, mając jednocześnie nadzieję, że nikt nie poczuł swądu palonego plastiku. Wychodząc starałam się nie rozglądać na boki.

Bileter przy bramce zajęty był właśnie przeglądaniem sportowego wydania „Winnipeg Free Press”. Gdy poprosiłam go o bilet, opuścił nieco gazetę i spojrzał na mnie. Nic nie wskazywało na to, bym wzbudziła w nim sympatię.

- Dlaczego nie użyje pani karty kredytowej jak wszyscy inni? - burknął.

- Ma pan bilety na sprzedaż? Czy może gotówka nie jest w tym kraju legalnym środkiem płatniczym?

- Nie o to chodzi...

- Mnie chodzi właśnie o to. Proszę mi sprzedać bilet. I niech mi pan poda swoje nazwisko oraz numer służbowy. Zamierzam powiadomić o tym incydencie pańskiego szefa. - Wręczyłam mu dokładnie wyliczone pieniądze.

- O co tyle krzyku? Chce pani bilet? Proszę, oto on - udawał, że nie dosłyszał mojego żądania. Ja również chętnie zapominałam o jego uchybieniu wobec regulaminu. Chodziło mi jedynie o to, by odwrócić jego uwagę od rzucającego się w oczy dziwactwa, jakim niewątpliwie było posługiwanie się gotówką zamiast karty kredytowej.

Wewnątrz kapsuły również panował tłok, lecz tym razem nie musiałam stać. Jakiś galant, który przypętał się tu najwidoczniej z ubiegłego stulecia, podniósł się i ustąpił mi miejsca. Był młody i nawet przystojny. Szybko zorientowałam się, że jego uprzejmość nie była tak zupełnie bezinteresowna. Po prostu zaliczył mnie do kobiet w swoim typie. Przyjęłam jego grzeczność z uśmiechem i usiadłam, a on stał nade mną. Robiłam więc, co mogłam, by jakoś mu się zrewanżować, pochylając się lekko do przodu i pozwalając mu zerkać w mój dekolt. Gość wydawał się być usatysfakcjonowany - gapił się tam przez całą drogę. Mnie nic to nie kosztowało i nie sprawiało kłopotu. Doceniałam zarówno jego zainteresowanie, jak i fakt, że dzięki niemu jechałam wygodnie. W końcu sześćdziesiąt minut na stojąco w rozkołysanej kapsule ekspresowej to bardzo długo.

Gdy dojeżdżaliśmy do Vancouver, zapytał mnie, czy mam jakieś plany co do lunchu. Bo jeśli nie, to znał świetną restaurację - Bayshore Inn. Albo jeśli lubię kuchnię japońską lub chińską...

Przerwałam mu delikatnie mówiąc, że przykro mi, lecz muszę być w Bellingham jeszcze przed południem. Zamiast obrazić się lub zmartwić, zawołał z entuzjazmem:

- To świetnie! Ja też jadę do Bellingham. Myślałem jednak, że zatrzymam się tu i zjem lunch. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, bym zjadł go w pani towarzystwie w Bellingham. Umowa stoi?

Czy jest coś w przepisach prawa międzynarodowego o przekraczaniu granicy w celach

niemoralnych? I czy owa prosta, choć raczej niedwuznaczna propozycja tego młodego człowieka mogła być uznana za „niemoralną”? Sztuczna istota ludzka nigdy nie pojmie kodu, jakim w sprawach dotyczących seksu posługują się normalni ludzie. Pozostaje jedynie nauczyć się go na pamięć i starać się unikać pomyłek. Nie jest to jednak łatwe - kod seksualny normalnych ludzi jest zawiły niczym spaghetti na talerzu.

Moje próby delikatnej i grzecznej odmowy pozostały bez echa. Musiałam więc zdecydować szybko: odmówić w sposób bardziej szorstki i stanowczy albo przyjąć zaproszenie. W myślach zbeształam samą siebie: „Piętaszku, jesteś już dużą dziewczynką i wiesz dobrze, co powinnaś zrobić. Jeśli zamierzałaś pozbawić go jakiegokolwiek nadziei pójścia z tobą do łóżka, trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, gdy ustępował ci miejsca”.
- Zgoda - powiedziałam - pod warunkiem jednak, że to ja zapłacę rachunek, i to bez dyskusji.

Była to z mojej strony dość nieczysta zagrywka. Oboje wiedzieliśmy, że jeśli on pozwoli mi zapłacić za lunch, będziemy kwita, a poświęcenie, na jakie zdobył się, stojąc przez godzinę i walcząc z raz po raz przechylającą się kapsułą, pójdzie na marne. Etykieta nie pozwalała mu oczekiwać, bym się za owo poświęcenie odwdzięczyła. Dżentelmeni są zazwyczaj bezinteresowni.

Ten fałszywy łotr postanowił zachować się jak dżentelmen.

- W porządku - odrzekł z uśmiechem.

Omalże nie zakrztusiłam się z wrażenia.

- I żadnej dyskusji potem? Na mój rachunek?

- Żadnej - potwierdził. - Oczywiście nie chciałbym narażać panią na zbyt duże wydatki, choć to ja zaprosiłem panią i z tej racji powinienem pełnić obowiązki gospodarza. Nie mam pojęcia, czym panią uraziłem, lecz nie chcę, by czuła się pani do czegokolwiek zobowiązana. Na zerowym poziomie dworca w Bellingham jest MacDonald. Zadowolę się big mackiem i coca-colą. Pani płaci. Potem możemy rozstać się jak przyjaciele.

- Jestem Marjorie Baldwin - rzekłam nieco zaskoczona, wyciągając rękę. - A tobie jak na imię?

- Trevor. Trevor Andrews, Marjorie.

- Miłe imię. Trevor, jesteś fałszywym, podstępny, sprośny i bezpośrednim draniem. A teraz pozwalam ci zabrać mnie do najlepszej restauracji w Bellingham, zamówić najdroższy lunch, upić mnie najlepszym likierem, a potem zapłacić za to wszystko, skoro tak ci na tym zależy. Nie sądzę jednak, by udało ci się pójść ze mną do łóżka. Nie mam po prostu nastroju.

To ostatnie było kłamstwem. Miałam nastrój - i to jaki! Gdyby jego zmysł węchu był choć w połowie tak wyostrzony, jak mój, nie miałby najmniejszych wątpliwości. Tak samo jak ja nie miałam wątpliwości, że on ma ochotę na mnie. Żaden normalny mężczyzna nie jest w stanie ukryć tego przed SIL-em rodzaju żeńskiego. Wystarczająco długo przebywałam wśród ludzi, by się o tym przekonać. Naturalnie, nigdy nie czuję urazy o rzecz tak normalną, jak fizyczny pociąg. Co prawda naśladowuję czasami zachowanie ludzkich kobiet, udając, że jestem zgorszona, lecz nie robię tego zbyt często - nie jestem po prostu zbyt przekonującą aktorką.

Od wypłynięcia z Vicksburga aż do Winnipeg nie odczuwałam żadnych seksualnych

potrzeb. Lecz po przespaniu dwóch nocy, po bardzo gorącej kąpeli z potężną ilością piany i po kilku obfitych posiłkach moje ciało zaczynało funkcjonować normalnie. Po cóż więc było kłamać temu nieszkodliwemu młodzieńcowi? „Nieszkodliwemu”? Właściwie tak. Dopóki nie poddam się zabiegowi korekcyjnemu, jestem sterylna. Nie mam skłonności do złapania nawet kataru, a specjalnie uodporniono mnie na cztery spośród najbardziej rozpowszechnionych chorób wenerycznych. Jeszcze w wychowalni nauczono mnie zaliczać spółkowanie - obok jedzenia i picia - do przyjemnych konieczności umiłających życie.

Skłamałam mu, bo ludzkie reguły gry wymagają kłamstwa na tym etapie rozgrywki. A ja zostałam wzięta za człowieka i nie ośmieliłam się grać uczciwej wobec samej siebie.

Spojrzał na mnie, udając zdziwienie.

- Sądzisz, że poświęcałbym się na darmo?

- Niestety, ale obawiam się, że tak. Przykro mi.

- Mylisz się. Nigdy nie ciągnę kobiety do łóżka na siłę. Jeśli ona chce tam ze mną pójść, znajdzie jakiś sposób, by dać mi to do zrozumienia. Wpychanie się na chama i tak nie sprawiłoby mi żadnej przyjemności. Co zaś tyczy ciebie, to opłaca się postawić ci najdroższy nawet lunch, choćby po to jedynie, by móc siedzieć naprzeciw i patrzeć na ciebie, nie przejmując się paplaniną, jaka wydobywa się z twoich ust.

- Paplaniną? Lepiej niech to będzie bardzo droga restauracja.

Obawiałam się kłopotów z kontrolą imigracyjną. Jednak oficer uważniej przyglądał

się dokumentom Trevora, nim postawił wreszcie pieczęć wjazdową w jego karcie turystycznej. Gdy tylko ujrzał kartę kredytową wystawioną w San Jose, ledwie przemknął wzrokiem po moim paszporcie i ruchem ręki dał znak, bym przechodziła dalej. Stojąc tuż za barierkami i czekając na Trevora, patrzyłam na napis „BAR PRZEKĄSKOWY” i czułam déjà vu.

W końcu Trevor załatwił formalności i podszedł do mnie.

- Gdybym wiedział wcześniej o tej karcie, która zrobiła takie wrażenie na tym celniku

- powiedział z udawanym wyrzutem w głosie - nie upierałbym się tak bardzo, że to ja będę płacił. Nie należysz raczej do proletariatu.

- Słuchaj, draniu - odrzekłam. - Zawarliśmy umowę. Powiedziałeś, iż będziesz zadowolony, mogąc siedzieć naprzeciw mnie i wlepiać we mnie oczy. Pomimo, że obraziłeś mnie tą „paplaniną”, mam zamiar okazać ci łaskę, odpinając dodatkowy guzik mojej bluzki. No, może dwa. Nie mam jednak zamiaru pozwolić ci, byś się wycofał. Bogate damy z wyższych sfer również czasami lubią coś niecoś zaoszczędzić.

- A fe! Wstyd... i szkoda, ale słowo się rzekło.

- Dość tego narzekania. Dokąd chcesz mnie zabrać?

- No cóż... Marjorie, zmuszony jestem wyznać, że nie znam absolutnie żadnej eleganckiej restauracji w tej błyszczącej metropolii. Może ty masz jakąś, którą szczególnie lubisz?

- Trevor, twoja technika uwodzenia jest okropna.

- Moja żona twierdzi tak samo.

- Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu. Nie wyglądasz na takiego, co dałby się zaobrączkować. Poszukaj jej zdjęcia, jeśli je w ogóle masz, a ja dowiem się, gdzie zjemy

lunch. I nie próbuj nawiać. Zaraz wracam.

Złapałam tego samego oficera, który przed chwilą sprawdzał mój paszport, i spytałam go o nazwę najlepszej restauracji.

- Wie pani... tu nie Paryż.

- Zdążyłam to zauważyć.

- Nawet nie Nowy Orlean. Gdybym jednak był na pani miejscu, poszedłbym do restauracji w Hiltonie.

Podziękowałam mu i wróciłam do Trevora.

- Zjemy w Hiltonie, dwa poziomy wyżej, chyba że chcesz się wykręcić sianem. A teraz przyjrzyjmy się zdjęciu damy twego serca.

Pokazał mi portfelową fotografię. Obejrzałam ją dokładnie, powstrzymując się, by nie gwizdnąć z podziwu. Blondynki zawsze mnie onieśmiewają. Kiedy byłam mała, myślałam, że mogę mieć włosy takiego koloru, jeśli tylko będę je wystarczająco często i dobrze myła.

- Trevor, jak możesz zaczepiać na ulicy samotne i bezbronne kobiety, mając coś takiego w domu?

- Nie wyglądasz na samotną, a już z pewnością nie jesteś bezbronna.

- Nie próbuj zmieniać tematu.

- Marjorie, i tak byś mi nie uwierzyła albo zaczęłabyś znowu pleść bzdury. Lepiej chodźmy już do tej restauracji, zanim w barze zabraknie wytrawnego martini.

Lunch był niezły, lecz Trevor nie miał ani wyobraźni Georgesa, ani jego wiedzy o tym, co dobre dla podniebienia. Bez polotu Georgesa to, co jedliśmy, można było nazwać dobrą, standardową, północnoamerykańską kuchnią. Taką samą w Bellingham, jak w Vicksburgu.

Moje myśli pochłonięte były jednak czymś zupełnie innym. Ciągle dręczyło mnie pytanie, dlaczego karta kredytowa Janet została unieważniona? Czyżby właścicielce stało się coś złego? Wpadła w jakieś poważne kłopoty? A może nawet... Nie, to niedorzeczne. Musiało istnieć jakieś proste wytłumaczenie.

Również Trevor stracił nieco ze swego pogodnego entuzjazmu, jaki powinien przecież okazywać gracz, gdy zanoszą się na wygraną. Zamiast gapić się lubieżnie na mnie, on także wydawał się jakby przygaszony. Skąd ta nagła zmiana nastroju? Dlatego, że poprosiłam, by pokazał mi zdjęcie żony? Czyżbym sprawiła, że poczuł się zażenowany? Zawsze myślałam, że żaden mężczyzna nie powinien angażować się w polowanie, dopóki jest ze swoją żoną w takich stosunkach, że opowiadając jej szczegóły nagonki i odstrzału, może narazić się na kpiny. Tak, jak na przykład Ian. Nie oczekuję od mężczyzny, z którym śpię, że będzie „chronił moje dobre imię”. Doskonale wiem, że żaden z nich nigdy tego nie robi. Jeśli nie chcę, by facet trąbił na prawo i lewo, jaka to niezdarna ze mnie kochanka, po prostu nie idę z nim do łóżka. To jedyna skuteczna metoda.

A poza tym, o ile dobrze sobie przypominam, Trevor pierwszy wspomniał o swojej żonie. Tak, z pewnością.

Po lunchu odzyskał nieco animuszu. Powiedziałałam mu, by odezwał się, gdy skończy załatwiać swoje sprawy, gdyż teraz potrzebowałam trochę swobody. Musiałam wykonać parę rozmów via satelita (to była prawda), lecz najprawdopodobniej zostanę tu na noc (również prawda). Niech więc zadzwoni na górę z hotelowej recepcji i spotkamy się w sali klubowej

(prawda względna - byłam tak samotna i zmartwiona, że i tak z pewnością zabrałabym go natychmiast do swojego pokoju).

- Rzeczywiście, lepiej będzie, jeśli najpierw zadzwonię. W ten sposób nie będę się musiał spotkać z tym facetem, który u ciebie będzie. Ale zaraz potem idę prosto na górę. Nie ma sensu, byś biegała bez potrzeby po schodach. I zanim wejdem, wysłę szampana. Nie będę go przecież targał sam.

- Hamuj, hamuj, przyjacielu - powiedziałam. - Jeszcze nie sprzedałeś mi swoich niegodziwych propozycji. Jedyne, co ci obiecałam, to okazja do podjęcia rozmów handlowych w tym celu. W sali klubowej, nie w mojej sypialni.

- Marjorie, jesteś naprawdę twardą kobietą.

- To nie ja. Ty jesteś twardy. Nie martw się, wiem, co robię. - Coś mi mówiło, że naprawdę wiem. - Powiedz mi, co sądzisz o sztucznych istotach ludzkich? Pozwoliłbyś siostrze wyjść za SIL-a?

- A znasz jakiegoś, który by ją chciał? Moja siostrzyczka jest już nieco posunięta w leciech. Nie może pozwolić sobie na wybrzydanie.

- Nie staraj się zbyć mnie byle czym. Czy ty ożeniłbyś się z humanoidką?

- Coś ty?! Co powiedzieliby sąsiedzi! Marjorie, skąd możesz wiedzieć, czy już tego nie zrobiłem? Widziałaś zdjęcie mojej żony. Słyszałem, że artefakty są ponoć najlepszymi żonami, tak przy garach, jak i w łóżku.

- Masz na myśli konkubiny. Z tymi nie trzeba brać ślubu. Trevor, ty nie tylko nie ożeniłbyś się z SIL-ką; ty nawet nic o nich nie wiesz, z wyjątkiem obiegowych mitów. W przeciwnym razie nie użyłbyś słowa „artefakt”, gdy mowa o sztucznych istotach ludzkich.

- Jestem „podstępny, sprośny i fałszywy”. Posłużyłem się tym terminem, byś nie pomyślała, że jestem jednym z nich.

- Bzdury! Gdybyś był, zorientowałabym się natychmiast. A ty, choć prawdopodobnie nie miałbyś oporów przed pójściem do łóżka z SIL-ką, to nawet przez myśl by ci nie przemknęło, by się z nią ożenić. Cała ta dyskusja jest zresztą bezsensowna. Odłóżmy ją na później. Potrzebuję jakichś dwóch godzin. Jeśli terminal w moim pokoju będzie zajęty, nagraj wiadomość i zamów jakiegoś dobrego drinka. Zejdę na dół, jak tylko skończę.

Zameldowałam się w recepcji, wsiadłam do windy i kazałam się się zawieźć na górę.

Nie do apartamentu dla nowożeńców - miałam zbyt świeże wspomnienia i zbyt mało pieniędzy. Wynajęłam jednak duży ładny pokój z szerokim luksusowym łóżkiem. Zrobiłam to, będąc głęboko przekonana, iż będę musiała ulec perswazji Trevora, która zakończy się w łóżku właśnie.

Na razie jednak odłożyłam tę myśl na bok i zabrałam się do pracy.

Najpierw połączyłam się z Hiltonem w Vicksburgu. Niestety, państwo Perreault już

się wyprowadzili. Nie, nie zostawili żadnego adresu ani wiadomości. Bardzo nam przykro. Mnie również było przykro, a ten syntetyczny, komputerowy głos z pewnością nie mógł poprawić samopoczucia. Zadzwoniłam na Uniwersytet McGill w Montrealu i straciłam dwadzieścia minut, zanim dowiedziałam się w końcu, że owszem, dr Perreault zasiada w Senacie i jest nawet jego członkiem-seniorem, lecz obecnie przebywa na Uniwersytecie Manitoba. Jediną nowością był fakt, iż komputer w Montrealu posługiwał się równie dobrze francuskim, jak angielskim, i odpowiadał zawsze w tym języku, w jakim zadano pytanie.

Bardzo sprytnie jak na elektronicznego głupka. Zbyt sprytnie, moim zdaniem. Spróbowałam kodu Janet i lana w Winnipeg. Otrzymałam informację, że według listy abonentów ich terminal został wyłączony z sieci. Ciekawiło mnie, jak to się w takim razie stało, że jeszcze dziś rano oglądałam wiadomości na ekranie terminalu w Norze. Czy „wyłączony z sieci” oznaczało jedynie „nie odpowiadający na wezwania”? Nie sądziłam, by tak było.

Komputer ANZAC w Winnipeg łączył mnie kilka razy z informacją dla podróżnych. Dopiero po czwartej próbie usłyszałam po drugiej stronie ludzki głos. Jego właściciel poinformował mnie, że z powodu stanu wyjątkowego kapitan Tormey przebywa na urlopie, gdyż loty na Nową Zelandię zostały zawieszane.

Terminal w mieszkaniu lana w Auckland odpowiadał jedynie muzyką i prośbą, by zostawić wiadomość na reponderze. Nie było to dla mnie zaskoczeniem, gdyż Ian nie mógł się tam dostać, dopóki nie zostaną wznowione loty SBS-ów na linii, na której latał. Miałam jednak nikłą nadzieję, że może zastanę tam Betty lub Freddiego.

Jak można się dostać na Nową Zelandię, skoro nie latały SBS-y? Nie można przecież wyruszyć na grzbiecie pławikonika. A te olbrzymie frachtowce z podwójnym Napędem nigdy nie zabierają pasażerów. O ile się nie myliłam, większość z nich była nawet bezzałogowa. Dotychczas wierzyłam, że posiadam rozległą i szczegółową wiedzę na temat szlaków i sposobów podróżowania; większą nawet, niż ludzie zajmujący się tym zawodowo. Ostatecznie byłam kurierem i często przenosiłam się z miejsca na miejsce. Fakt ów powiększał jeszcze moją irytację, gdyż zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, jak przechrzyć los, kiedy wszystkie SBS-y stoją w hangarach. Musiał jednak istnieć jakiś sposób. Zawsze jakiś jest. Zanotowałam to sobie w myślach jako problem do rozwiązania. W przyszłości.

Połączyłam się z Uniwersytetem w Sydney. Znowu odezwał się syntetyczny głos komputera, lecz po chwili usłyszałam również ludzki głos. Jakiś mężczyzna powiedział, że zna profesora Farnese, ale obecnie przebywa on na urlopie naukowym. Nie, nie znał jego prywatnego kodu czy też adresu. Było mu przykro, że nie może w niczym pomóc, lecz może w dziale personalnym będą coś wiedzieli.

W dziale personalnym również nic nie wiedzieli.

Komputer służby informacyjnej w Sydney musiał mieć potężną chandrę, gdyż koniecznie chciał ze mną pogawędzić. Nie wydobyłam zeń nic poza potwierdzeniem, że numer Federico i Elizabeth Farnese włączony był do tej sieci. Nasłuchiwałam się za to o Najdłuższym Na Świecie Moście (to nieprawda), Największej Na Świecie Operze i żeby przyjechać na Antypody, i... Serce mi się krajało, gdy przerywałam połączenie. Komputer bywa niekiedy lepszym kompanem niż większość ludzi. Obojętnie, czy naturalnych, czy takich jak ja.

W końcu postanowiłam połączyć się z miejscem, które - miałam nadzieję - nie będzie opustoszałe. Z Christchurch. Istniała możliwość, że sztab Szefa wysłał tam ostrzeżenie, gdy się przeprowadzali... o ile była to przeprowadzka, a nie totalna katastrofa. Istniała też druga możliwość - że Ian, nie mogąc przesłać żadnej wiadomości do Imperium, wysłał ją do mojego byłego domu, spodziewając się, iż stamtąd prześlą ją do mnie. Przypomniałam sobie, że kiedyś dałam mu kod rodziny w Christchurch. Było to wtedy, gdy on dał mi swój kod w Auckland. Połączyłam się więc z miejscem, które uważałam niegdyś za swój własny dom.

Komputer odmówił połączenia bezpośredniego. Aż do odwołania czynny był tylko jeden terminal: ten w biurze Briana.

W pewnej chwili zorientowałam się, że siedzę z ręką nad klawiaturą, porównując w myślach strefy czasowe. Tutaj było wczesne popołudnie - trochę po piętnastej - więc na Nowej Zelandii był jutrzejszy ranek, parę minut po dziesiątej. O tej porze najłatwiej było zastać Briana. Wystukałam jego kod i po kilku sekundach miałam już połączenie z satelitą, a po kilku następnych na ekranie pojawiła się zaskoczona twarz mojego byłego męża.

- Marjorie?!

- Tak - potwierdziłam - to ja. Jak się masz?

- Czego chcesz? - usłyszałam w odpowiedzi.

- Proszę cię, Brianie - odrzekłam. - Ostatecznie byliśmy małżeństwem przez siedem lat. Możemy chyba zwracać się do siebie nieco grzeczniej?

- Wybacz. Czym mogę ci służyć?

- Przepraszam, że przerywam ci pracę, lecz terminal domowy jest podobno wyłączony z sieci. Jak zapewne wiesz, odcięte zostały wszystkie połączenia z Imperium Chicago. Stan wyjątkowy i te zamachy zwane przez komentatorów Czerwonym Czwartkiem. Z tego właśnie powodu jestem teraz w Kalifornii. Nie udało mi się dotrzeć do swojego mieszkania w Imperium. Czy nikt nie zostawił w Christchurch jakiejś wiadomości dla mnie? A może przyszły jakieś listy?

- Przykro mi, lecz nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

- Zupełnie nic...?

- Zaczekaj, niech pomyślę. Mogło przyjść coś w związku z tymi pieniędzmi, które podjęłaś... Ale nie; wzięłaś przecież czek ze sobą.

- O jakich pieniądzach mówisz?

- O tych, których zwrotu zażądałaś, grożąc wywołaniem skandalu. Trochę ponad siedemdziesiąt tysięcy dolarów nowozelandzkich. Wiesz, Marjie, jestem naprawdę zaskoczony, że masz jeszcze czelność pokazywać swoją twarz... po tym, jak twoje złe prowadzenie się, twoje kłamstwa, matactwa, zimne wyrachowanie i chciwość zniszczyły naszą rodzinę.

- Brian, o czym ty mówisz?! Nikogo nie okłamałam, nie sądzę też, bym się źle prowadziła, a już z pewnością nie odebrałam rodzinie ani grosza. Nawet z własnych pieniędzy. „Zniszczyłaś rodzinę”? Jak?! Zostałam przez was brutalnie wykopana, nie dano mi nawet czasu na spakowanie własnych rzeczy. Jeśli ktoś zniszczył rodzinę, na pewno nie byłam to ja. Możesz mi wytłumaczyć, o co ci właściwie chodzi?

Brian wytłumaczył mi; drobiazgowo i ponurym głosem. Moje złe prowadzenie się miało polegać oczywiście na kłamaniu. Brian upierał się przy absurdalnym twierdzeniu, że jestem żywym artefaktem, a nie człowiekiem, i że tym samym zmusiłam rodzinę do zażądania rozwodu. Próbowałam przypomnieć mu, iż udowodniłam jedynie, że jestem genetycznie udoskonalona, lecz pominął ten fakt milczeniem. A co do pieniędzy, znowu kłamałam - na własne oczy widział pokwitowanie z moim podpisem.

Przerwałam mu, twierdząc, iż każdy podpis, który przypominał mój na każdym takim dokumencie, musiał zostać podrobiony, gdyż ja nie dostałam nawet dolara.

- Oskarżasz Anitę o fałszerstwo? To już nie tylko kłamstwo. To zuchwałe oszczerstwo.

- Nie oskarżam Anity o nic. Twierdzę jedynie, że nie otrzymałam od rodziny żadnych pieniędzy.

Oskarżałam Anitę i oboje doskonale o tym wiedzieliśmy. Nie byłam już nawet przekonana, czy to samo nie dotyczyło Briana. Przypomniałam sobie, jak kiedyś Vickie powiedziała, że Anitę jest w stanie podniecić jedynie duże dodatnie saldo na koncie... a ja rozkazałam jej wówczas, by powściągnęła swój zjadliwy język. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że inni również robili aluzje na temat chłodu i obojętności, jaką Anita okazywała w łóżku. Było to coś, co nie mieściło się w wyobraźni SIL-a. Teraz, z perspektywy czasu, wydało mi się nagle niemal pewne, iż jedyną jej pasją była rodzina, a raczej jej finansowe sukcesy, jej społeczny prestiż i siła.

Skoro tak, musi mnie teraz bardzo nienawidzić. Nie ja rozbiłam rodzinną grupę Davisona, lecz usunięcie mnie z niej wydawało się być początkiem jej końca. Prawie natychmiast po moim „wyjeździe” dom opuściła również Vickie. Pojechała do Nuku’alofa, wynajęła prawnika i poleciła mu wnieść pozew o rozwód oraz wszcząć postępowanie majątkowe. Kilka dni potem wyjechali też Douglas i Lispeth. Podjęli takie same kroki prawne, co Vickie.

Miałam jednak mały powód, by odczuwać satysfakcję. Od Briana dowiedziałam się, że głosowanie na Radzie Rodziny nie skończyło się wynikiem sześć do zera przeciwko mnie, jak twierdziła Anita. W rzeczywistości było to siedem do zera. Czy to powód do radości? Owszem, gdyż tuż przed ową Radą Anita zmieniła zasady głosowania - miało być ono jawne i dwustopniowe. Najważniejsi posiadacze udziałów; Brian, Bertie i Anita głosowali pierwsi, oddając wszystkie swoje siedem głosów przeciwko mnie. To w zupełności wystarczało, by mnie wypędzić, więc Doug, Vickie oraz Lispeth wstrzymali się od głosowania. Lecz nawet jeśli był to powód do zadowolenia, to raczej nikły. Nikt nie przeciwstawił się Anicie, nie próbował jej powstrzymać. Nikt nawet nie starał się ostrzec mnie, co się święci. Owszem, powstrzymali się... po czym stojąc z boku pozwolili bez szemrania wykonać wyrok.

Spytałam Briana o dzieci. Odpowiedział mi obcesowym tonem i bez żadnych ogródek, że to nie moja sprawa. Potem stwierdził, iż jest niestety (!) bardzo zajęty i musi kończyć. Poprosiłam go, by odpowiedział mi jeszcze tylko na jedno pytanie: co zrobiono z kotami? Przez moment wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować.

- Marjorie, ty chyba zupełnie pozbawiona jesteś serca. Twoje postępowanie stało się przyczyną prawdziwej tragedii, przyniosło tyle bólu, a ty pytasz mnie o coś tak trywialnego jak koty?

Starłam się powściągnąć swój gniew.

- Tak, Brianie; to właśnie interesuje mnie najbardziej. Czy możesz mi odpowiedzieć?

- O ile się nie mylę, zostały oddane do schroniska dla zwierząt albo przekazane do laboratorium Akademii Medycznej. A teraz żegnam. I proszę, nie dzwoń więcej.

Akademia Medyczna. Mister Underfoot przywiązany do laboratoryjnego stołu, cięty skalpelem na kawałki przez jakiegoś studenta. Nigdy nie zamierzałam protestować przeciwko wykorzystywaniu zwierząt do celów doświadczalnych. Lecz jeśli już jest to konieczne, to drogi Boże, jeśli gdzieś jesteś, nie pozwól, by robiono to ze zwierzętami, które nauczono ufać ludziom.

Schronisko dla zwierząt lub laboratorium Akademii Medycznej. Mister Underfoot i małe kocięta były już niemalże z pewnością martwe. Niemniej jednak gdyby latały SBS-y, zaryzykowałabym podróż z powrotem do Kanady Brytyjskiej, by złapać najbliższy lot na Nową Zelandię, choć nie było praktycznie żadnej nadziei, by uratować jedynych moich prawdziwych przyjaciół z Christchurch. Bez nowoczesnej komunikacji Auckland i Christchurch były bardzo daleko, dalej nawet niż Luna City.

Staralam się przestać myśleć o tym, czego nie mogłam już zmienić, jednak cały czas miałam wrażenie, jakby Mister Underfoot ocierał się o moje nogi.

Przy terminalu migiała czerwona lampka. Spojrzałam na chrono. Minęły już prawie dwie godziny, odkąd tu weszłam. Czerwone światełko mogło oznaczać tylko jedno: na dole czekał już Trevor.

Weź się w garść, Piętaszku. Umyj twarz zimną wodą, zejź na dół i pozwól, by cię przekonał. Albo jeszcze lepiej - powiedz mu, żeby przyszedł od razu na górę, zabierz go prosto do łóżka i wypłacz się na jego ramieniu. To prawda - nie czujesz w tej chwili pożądania, ale pozwól, by wziął cię w ramiona mężczyzna, a szybko je poczujesz; dobrze o tym wiesz. Łzy kobiety działają na większość mężczyzn lepiej niż najlepszy afrodyzjak. Nie raz już mogłaś się o tym przekonać (Kryptosadyzm? Masochizm? Wszystko jedno - ważne, że to działa).

Zaproś go. Zamów butelkę likieru. Może nawet umaluj się. Zrób coś, by wyglądać trochę bardziej seksownie. Zresztą, do diabła z makijażem! Zabierz go po prostu do łóżka i spraw, by poczuł się świetnie. Postaraj się.

Przywołałam na twarz uśmiech i włączyłam ekran terminalu.

I przekonałam się, że mówi do mnie komputer hotelowej recepcji.

- Przyniesiono dla pani kosz kwiatów. Czy wysłać go na górę?

- Naturalnie! - Bez względu na to, od kogo, kosz kwiatów jest zawsze lepszy niż mokra ryba na goły brzuch.

Po chwili odezwał się brzęczyk transportera w salonie. Podeszłam tam i wyjęłam olbrzymi kosz z kwiatami.

Purpurowo-czerwone róże! Postanowiłam, że będę dla Trevora lepsza niż Kleopatra za swoich najlepszych dni - a raczej nocy.

Przez moment podziwiałam cudowny kolor i zapach kwiatów. Nic dziwnego, że nie zauważyłam koperty od razu. Otwierając ją sądziłam, że znajdę w środku kartkę z prośbą, by zadzwonić do sali klubowej lub coś w tym rodzaju.

Wewnątrz było coś więcej niż kartka. Był list.

Droga Marjorie.

Mam nadzieję, że przyjmiesz te róże choć w części z taką radością, z jaką chciałby zostać przyjęty ten, który ci je przysyła.

Chciałby?! Co jest, do licha ciężkiego?

Muszę przyznać, że stchórzyłem i uciekłem - po raz pierwszy w życiu. Stało się coś, co sprawiło, że postanowiłem nie narzucać ci swojego towarzystwa.

Okłamałem cię - nie jestem żonaty. Nie wiem nawet, kim jest ta śliczna kobieta. Jej fotografia jest tylko rekwizytem. Jak zauważyłaś, tacy jak ja nie są uważani za odpowiednich do małżeństwa. Jestem sztuczną istotą ludzką, moja pani. „Moją matką była próbówka, moim

ojcem skalpel był”. Nie powinienem więc przystawiać się do ludzkich kobiet. Uchodzę za człowieka - owszem - lecz znam siebie. Chciałbym byc tobą, lecz nie potrafiłbym, nie powiedziawszy prawdy. Musiałbym to zrobić, wcześniej czy później - należą niestety do tych niepoprawnych i naiwnych, co to za wszelką cenę usiłują być uczciwi wobec samych siebie. Wolałem więc przyznać się teraz, niż zranić cię później.

Moje nazwisko nie brzmi oczywiście Andrews. Tacy jak ja nie mają nazwisk. I nic na to nie poradzę, że chciałbym, byś sama była SIL-em. Jesteś naprawdę przemiła (tak samo, jak szalenie seksowna), a twoja skłonność do plecenia bredni na temat takich spraw jak SIL-e, o których nic nie wiesz i niczego nie rozumiesz, nie jest prawdopodobnie twoją winą.

Przypominasz mi małą suczkę teriera, którą kiedyś miałem. Była to prawdziwa psia piękność, a przy tym bystra i bardzo do mnie przywiązana. Lecz gotowa była walczyć sama z całym światem, jeśli tylko taki mieliśmy program dnia. Przyznaję, że psy i koty lubię bardziej niż większość ludzi; one przynajmniej nie starają się na każdym kroku wmawiać mi, że nie jestem człowiekiem.

Mam nadzieję, że te róże sprawią ci przyjemność

Trevor

Otarłam oczy, wytarłam nos i pędem zbiegłam na dół. Jak burza przeleciałam przez salę klubową i bar. Nigdzie go nie było. Zbiegłam jeden poziom niżej - na dworzec. Zatrzymałam się dopiero przy barierkach. Stałam tam i przyglądałam się odprawianym kapsułom. Stałam i czekałam, czekałam, czekałam... Wreszcie stojący w pobliżu policjant zaczął mi się bacznie przyglądać, aż w końcu podszedł i spytał, co się stało i czy nie potrzebuję pomocy.

Powiedziałam mu prawdę, a przynajmniej jej część, więc pozwolił mi zostać. Ciągle czekałam, a on nie spuszczał ze mnie wzroku. Gdy podszedł po raz drugi, powiedział: - Posłuchaj, stojąc tu ciągle i traktując to miejsce jak własny rewir, zmuszasz mnie, bym poprosił cię o licencję i kartę zdrowia, a potem zabrał na komisariat, jeśli stwierdzę, że z jedną lub drugą coś jest nie tak. Wolałbym tego nie robić, mam córkę mniej więcej w twoim wieku i chciałbym wierzyć, że nie czepia się jej żaden glina. Tak czy owak, nie powinnaś robić w tym fachu. Każdy, kto popatrzy na twoją twarz, zorientuje się, że nie masz zbyt wielkiej wprawy.

Zastanawiałam się czy nie pokazać mu swojej „złotej” karty kredytowej. Wątpiłam, by było wiele dziwek mogących pochwalić się czymś takim. Jednak ten starszy człowiek rzeczywiście sądził, że robi coś dla mojego dobra, a ja zdążyłam upokorzyć już dość ludzi jak na jeden dzień. Podziękowałam mu i wróciłam do swojego pokoju.

I pomyśleć, że większość ludzi jest święcie przekonana, iż potrafią bez trudu odróżnić SIL-a! Co za brednie! Nawet my sami nie potrafimy dostrzec i rozpoznać siebie nawzajem.

Trevor był jedynym mężczyzną, za którego mogłabym wyjść z absolutnie czystym sumieniem. A ja po prostu poniżyłam go i wyгнаłam.

Dlaczego, do diabła, musiał być taki wrażliwy?!

Ale kto tu jest zbyt wrażliwy? To ty, Piętaszku.

Wszystko przez to, że większość tak zwanych „normalnych” ludzi gardzi istotami takimi, jak Trevor i ja. Pies, który jest wystarczająco często kopany, albo jeży sierść i szczyrzy kły, albo ucieka przed tym, kto go kopie. Wystarczy popatrzeć na moją cudowną, nowozelandzką rodzinę. Anita z pewnością czuła się usprawiedliwiona, oszukując mnie - nie jestem przecież człowiekiem.

Punktacja na dziś - Ludzie: 9, Piętaszek: 0.
Gdzie jest Janet?!

Rozdział XXI

Stałam na aukcyjnym podium, czekając, aż ktoś mnie kupi. Obudziłam się dopiero wtedy, gdy któryś z uczestników licytacji postanowił sprawdzić moje uzębienie, ja go ugryzłam, a dozorca zaznajomił mnie ze smakiem bykowca. Hilton w Bellingham wydał mi się przedśmionkiem raj.

Zamówiłam rozmowę, którą powinnam była zamówić jako pierwszą. Oczywiście pozostałe i tak musiałyby się odbyć, ta natomiast była dość droga i mogła okazać się niekonieczna, gdyby któraś z poprzednich przyniosła oczekiwany rezultat. Poza tym połączenia z Księżycem zawsze mnie irytowały. Nigdy chyba nie przyzwyczaję się do opóźnienia czasowego w przesyłaniu impulsów radiowych.

Połączyłam się więc z Towarzystwem Akceptacyjnym Ceres i Afryki Południowej - bankiem Szefa, a ściślej mówiąc jednym z jego banków. Tym, który dbał o moje konto i regulował moje rachunki.

Musiałam czekać dość długo, nim na ekranie pojawiła się wreszcie ludzka postać.

Było to śliczne stworzenie płci żeńskiej, które najwyraźniej - takie odniosłam wówczas wrażenie - zatrudnione zostało przede wszystkim po to, aby stanowić element dekoracji wnętrza sekretariatu. Poprosiłam ją, by połączyła mnie z jednym z kierowników TAC & AP.

- Rozmawia pani właśnie z jednym z jego wiceprezesów - odrzekła. - Udało się pani przekonać komputer, by połączył panią z kimś na odpowiedzialnym stanowisku. To niełatwa sztuka; komputer jest raczej nieustępliwy. Czym mogę służyć?

Opowiedziałam jej część mojej nieprawdopodobnej historii.

- Dostanie się do Imperium zajęło mi więc kilka tygodni, a gdy się tam wreszcie znalazłam, wszystkie kody, które dotychczas znałam, były już nieważne. Czy ktoś nie przekazał bankowi nowych - aktualnych kodów albo jakiegoś adresu, pod którym mogłabym skontaktować się z moim pracodawcą?

- Zaraz się przekonamy. Jak brzmi nazwa kompanii, dla której pani pracuje?

- Och, znana jest pod kilkoma nazwami. Najczęściej używana to System Enterprises.

- Nazwisko pani pracodawcy?

- Kiedy widzi pani, on nie ma nazwiska. Jest to starszy pan z przepaską na oku, nieco kaleki. Prawdę mówiąc z trudem porusza się o kulach. Czy to coś pani mówi?

- Jeszcze nie wiem. O ile mnie pamięć nie myli, mówiła pani, że posługuje się pani kartą kredytową MasterCard sygnowaną przez Bank Imperialny w Saint Louis. Niech pani wolno i wyraźnie przeczyta mi numer tej karty.

Zrobiłam, o co mnie prosiła.

- Chce ją pani sfotografować?

- Nie, to nie będzie konieczne. Proszę teraz podawać mi daty

- Tysiąc sześćdziesiąty szósty.

- Tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty drugi - odrzekła.

- Czterotysięczny czwarty p.n.e.

- Tysiąc siedemset siedemdziesiąty szósty - zgodziła się.

- Dwutysięczny dwunasty - podałam ostatnią.

- Ma pani dość specyficzne poczucie humoru, Miss Baldwin. W porządku,

wygląda na

to, że jest pani tą osobą, za którą chce pani uchodzić. Lecz jeśli nie, gotowa jestem postawić sporą sumkę, że nie przejdzie pani przez następną procedurę identyfikacyjną. Pan Dwie Kule ma opinię człowieka, który bardzo nie lubi nieproszonych gości. Proszę zanotować kod, który pani podam, a potem odczytać mi go ponownie.

Postąpiłam zgodnie z jej instrukcją.

Godzinę później szłam już wzdłuż frontu Pałacu Konfederacji w San Jose, kierując się w stronę California Commercial Credit Building. Tym razem postanowiłam twardo, że nie będę wdawać się w żadną rozróbę, bez względu na to, kto i na kogo chciałby dokonać zamachu.

Miałam wyznaczone spotkanie w CCC Building, na szczęście jednak nie w biurach MasterCard, lecz w firmie prawniczej na innym piętrze. Tej, do której zadzwoniłam z Bellingham, otrzymałszy jej kod z Luna City. Zbliżałam się właśnie do narożnika budynku, kiedy tuż obok mnie odezwał się głos:

- Panno Piętaszek.

Znałam ten głos.

Szybko rozejrzałam się wokół. Kobieta w uniformie Yellow Cab. Przyjrzałam się uważniej.

- Złociutka!

- Pani wzywała taksówkę? Musimy przejść na drugą stronę National Piazza. Tu nie wolno się zatrzymywać.

Ruszyliśmy przez plac. Zaczęłam trajkotać, nie posiadając się ze szczęścia, lecz Złociutka przyhamowała ten wybuch entuzjazmu.

- Proszę, niech się pani zachowuje jak normalny pasażer taksówki. Mistrz chciał, byśmy nie zwracały na siebie uwagi.

- Od kiedy to zwracasz się do mnie per „pani”?

- Tak jest lepiej. Teraz obowiązuje bardzo ścisła dyscyplina. To, że bym akurat ja wyszła pani na spotkanie, wymagało specjalnej zgody. Nigdy by mi na to nie pozwolono, gdybym nie zauważyła, że jestem jedną z niewielu osób mogących panią bezbłędnie zidentyfikować, nie przyciągając przy tym niepotrzebnie uwagi.

- W porządku, ale teraz już chyba nie ma potrzeby, byś zwracała się do mnie tak oficjalnie. Złociutka, tak się cieszę, widząc cię znowu, że mogłabym się rozplakać.

- Ja również się cieszę. Tym bardziej, że zaledwie w poniedziałek doszły nas wieści, iż nie żyjesz.

- Nie żyję? Ja? Nie miałam nawet kataru! Niby z jakiej racji miałabym nie żyć? Po prostu zgubiłam się. I odnalazłam.

- To dobrze.

Dziesięć minut później zostałam wprowadzona do gabinetu Szefa.

- Piętaszek melduje się, sir!

- Jesteś spóźniona.

- Byłam na wycieczce krajoznawczej. Parowcem jak z powieści Twaina w górę Missisipi. Program był niezwykle atrakcyjny. Można by nawet rzec: bombowy!

- To słyszałem. Mogę ci nawet powiedzieć, że tylko tobie udało się przeżyć. Miałem co innego na myśli. Granicę Kalifornii minęłaś pięć po dwunastej. Teraz jest dokładnie siedemnasta dwadzieścia dwie.

- Do diabła, Szefie, miałam kłopoty.

- Od swoich kurierów oczekuję między innymi tego, by potrafili radzić sobie z kłopotami i przemieszczać się szybko bez względu na nie.

- Kurczę blade; ostatecznie nie byłam na służbie. Zdaje się, że ciągle jeszcze mam urlop. Nie ma pan podstaw, by mnie opieprzać. Gdyby nie przeniósł pan sztabu, nie powiadamiając mnie o tym, obyło by się bez żadnych kłopotów. Byłam tu - w San Jose - już dwa tygodnie temu. Wystarczyło głośniej krzyknąć.

- Trzydzieści dni temu.

- Szefie, niech pan lepiej od razu powie, że nie chce pan przyznać, iż to pana wina.

- W porządku, możesz zrzucić winę na mnie, jeśli dzięki temu przestaniemy tracić

niż

rutynowy komunikat alarmowy MSG, wysłany do wszystkich placówek w terenie. Wcale

mnie to nie cieszy, że nie przyniosły one spodziewanych rezultatów. Piętaszku, może ty powiesz mi, co muszę zrobić, by przekonać cię, iż jesteś naprawdę wyjątkowa, a dla tej organizacji wręcz bezcenna? Przewidując wypadki, którym nadano etykietkę Czerwonego

Czwartku...

- Szefie, mieliśmy z tym coś wspólnego?

- Co skłania cię do wyciągania tak absurdalnych wniosków? Naszemu wywiadowi

udało się wpaść na trop tej sprawy między innymi dzięki mikrofilmom, które dostarczyłaś z Ell-Pięć. Wydawało się nam, że podjęliśmy środki ostrożności w odpowiednim czasie. A jednak pierwsze uderzenie miało miejsce o wiele wcześniej, niż przypuszczaliśmy nawet w najbardziej pesymistycznych założeniach. Czerwony Czwartek zastał nas jeszcze przy przeprowadzce. Najważniejsze było przedostać się przez granicę i to nie siłą. Łapówki są znacznie lepszym, a w tym przypadku były również tańszym sposobem. Wiadomość o zmianie adresu i kodów kontaktowych została rozesłana wcześniej, lecz to nic nie dawało, dopóki nie przenieśliśmy się i nie zainstalowaliśmy centrum łącznościowego. Dopiero wówczas doniesiono mi, że próbowałam nawiązać kontakt normalną drogą.

- Bo nie dostałam jakiegoś idiotycznego zawiadomienia!

- Posłuchaj, gdy tylko dotarła do mnie wiadomość, że nie udało ci się nawiązać kontaktu, natychmiast zrobiłem wszystko, by połączyć się z twoim domem na Nowej Zelandii. Pewnie wiesz, że wtedy przerwana była łączność satelitarna.

- Zdążyłam się o tym przekonać.

- No właśnie. Przywrócono ją dopiero trzydzieści dwie godziny później.

Rozmawiałem z panią Davison, kobietą około czterdziestki i o dość... zdecydowanym charakterze. Żona-senior w twojej S-grupie?

- Tak, to Anita. Pani i władczyni, bez wiedzy której nie dzieje się nic.

- Takie właśnie odniosłem wrażenie. Odniosłem też wrażenie, że stałaś się tam

persona non grata.

- Jestem pewna, że to było coś znacznie więcej, niż tylko wrażenie. Dalej, Szefie; co ta stara nietoperzyca miała do powiedzenia na mój temat?

- Niewiele. Opuściłaś rodzinę dosyć nagle i niespodziewanie. Nie, nie zostawiłaś żadnego kodu ani adresu, pod którym można cię szukać. Nie, nie mogę zostawić jej żadnej wiadomości dla ciebie. A w ogóle jest bardzo zajęta, bo Marjorie zostawiła rodzinę w nader przykrym położeniu. To tyle. Pożegnała mnie i przerwała połączenie.

- Szefie, ona miała pański adres w Imperium. Miała też adres TAC & AP w Luna City. Za ich pośrednictwem spłacałam swój udział.

- Wiedziałem o tym. Mój przedstawiciel na Nowej Zelandii - (pierwszy raz słyszałam o kimś takim) - zdobył dla mnie adres męża-seniora twojej S-grupy... twojej byłej S-grupy. Był on nieco bardziej grzeczny i skory do współpracy. Od niego dowiedzieliśmy się, kiedy i jakim statkiem odleciałaś z Christchurch, oraz że powinnaś znajdować się na liście pasażerów jednego z SBS-ów latających na linii Auckland - Winnipeg. Tam na krótko zgubiliśmy twój ślad, dopóki mój agent nie ustalił, że opuściłaś port w towarzystwie kapitana statku, którym przyleciałaś. Udało nam się go odszukać. Wydawało się, że naprawdę bardzo chciał nam pomóc, lecz ciebie już tam nie było. Cieszę się, mogąc ci powiedzieć, iż zdołaliśmy wyświadczyć kapitanowi Tormeyowi pewną przysługę. Inny nasz agent doniósł nam, że jemu i jego żonie grozi aresztowanie przez lokalną policję.

- A to niby za co?!

- Oficjalnie zarzucano im udzielanie schronienia cudzoziemcom z wrogo nastawionych krajów oraz niezameldowanie o pobycie jednego z nich, obywatela Imperium Chicago, pomimo obowiązywania stanu wyjątkowego. Jednak w rzeczywistości komenda policji stanowej w Winnipeg nie interesuje się ani tobą, ani doktorem Perreault. To tylko pretekst, by móc zatrzymać Tormeyów. Są oni poszukiwani z powodu znacznie poważniejszego podejrzenia, który jednak jak do tej pory utrzymywany jest w tajemnicy. Zaginął niejaki porucznik Melvin Dickey. Gdy widziano go ostatnio, miał jakoby oświadczyć, że udaje się do posiadłości państwa Tormey, by aresztować doktora Perreault.

- Ale to nie jest jeszcze żaden dowód przeciwko Ianowi i Janet. To znaczy przeciwko państwu Tormey.

- Owszem, masz rację. Dlatego właśnie policja stanowa zamierza zatrzymać ich pod innym zarzutem. Jest coś jeszcze, o czym dotychczas nie wspominałem. Energobil porucznika Dickeya rozbił się w Imperium, niedaleko Fargo. Był pusty. Policja aż pali się, by sprawdzić odciski palców we wraku. Możliwe, że robią to właśnie w tej chwili, gdyż jakąś godzinę temu w serwisie informacyjnym podano, że granica pomiędzy Imperium Chicago a Kanadą Brytyjską została ponownie otwarta.

- O Boże!

- Uspokój się. Na urządzeniach kontrolnych wewnątrz tego pojazdu były rzeczywiście odciski należące nie tylko do porucznika Dickeya. Przypominały podobno linie papilarne palców kapitana Iana Tormeya, pracującego w ANZAC Skyways. Zauważ, jakiego czasu użyłem: one były podobne. Teraz już nie są. Co prawda uznałem za niezbędne przenieść nasz sztab operacyjny z Imperium, nie znaczy to jednak, że po tylu latach nie mam tam żadnych kontaktów. Ani agentów. Ani dłużników, którzy chętnie wyświadczą mi parę drobnych przysług. We wraku pozostało wiele odcisków; ludzi żywych i takich, którzy dawno już są

martwi. I żadne z nich w najmniejszym nawet stopniu nie przypominają odcisków kapitana Tormeya.

- Szefie, czy wolno mi paść do pańskich stóp?

- Nie teraz, kobieto. Milcz i słuchaj dalej. Nie zrobiłem tego, by pokrzyżować szyki brytanadyjskiej policji tak po prostu, w ramach walki z nudą. Mój agent w Winnipeg oprócz doskonałego wykształcenia posiada też świetne wykształcenie. Jest specjalistą w dziedzinie psychologii klinicznej, i jako taki posiada moje pełne zaufanie. Według jego opinii kapitan Tormey lub jego żona potrafiliby zabić w obronie własnej, lecz tylko w przypadku wystąpienia skrajnie ekstremalnych okoliczności. Doktor Perreault został uznany za osobę jeszcze mniej predysponowaną do użycia przemocy.

- To ja zabiłam tego policjanta.

- Tak przypuszczałem. Żadne inne wytłumaczenie nie pasuje do przedstawionych

mi

faktów. Życzysz sobie przedyskutować ze mną tę sprawę? Czy ma ona cokolwiek wspólnego ze mną?

- Uff, raczej nie. Z wyjątkiem faktu, że wyczyścił pan te cholerne odciski palców.

Zabiłam go, bo groził Janet pistoletem... Janet Tormey. Mogłam go po prostu obezwładnić - miałam wystarczająco dużo czasu. Ale postanowiłam go zabić i tak zrobiłam.

- I słusznie. Ranny lub chwilowo obezwładniony policjant często okazuje się znacznie groźniejszy. Wyobrażałem to sobie dokładnie tak, jak opisałaś. Sądziłem jednak, iż broniłaś doktora Perreault... odkąd znalazłaś w nim materiał na nowego męża.

- To prawda, że mógłby nim być. Ale ten idiota wymachujący miotaczem przed nosem Janet sprawił, iż nagle zdałam sobie sprawę z czegoś jeszcze. Szefie, zanim to się stało, nie miałam pojęcia, że kocham Janet. Do głowy by mi nie przyszło, że mogę w ogóle tak bardzo pokochać kobietę. Pan wie znacznie więcej niż ja na temat tego, jak zostałam zaprojektowana i stworzona. Czy moje hormony zostały wymieszane?

- Rzeczywiście wiem o tobie znacznie więcej niż ty sama, lecz nie sądzę, byśmy powinni dyskutować o tych sprawach. Nie ma potrzeby, byś wiedziała o wszystkim. Twoje hormony nie są zmieszane w większym stopniu, niż u jakiegokolwiek innego normalnego, zdrowego człowieka. A już z pewnością nie masz nadmiaru chromosomu Y. Wszystkie normalne ludzkie istoty mają w mniejszym lub większym stopniu zmieszane hormony. Tyle tylko, że dzielą się na dwie części: na tych, co wiedzą, oraz tych, którzy nie zdają sobie z tego sprawy. Nie ma więc sensu, byśmy omawiali tę sprawę. Nie tacy geniusze łamali już sobie nad nią głowy.

- Och, wobec tego ja również jestem geniuszem.

- Nie bądź impertynencka. Owszem - jesteś nawet super-geniuszem, lecz daleko ci do tego, byś była w stanie uświadomić sobie swoje prawdziwe możliwości. Ludzie genialni stwarzają sobie własne, indywidualne reguły postępowania; dotyczy to także spraw związanych z seksem. Nie potrafią zaakceptować małych zwyczajów gorszych i słabszych od siebie. Pozwól jednak, że powrócimy do poprzedniego tematu. Czy istnieje możliwość odnalezienia ciała?

- Jeśli ktoś chciałby się o to ze mną założyć, postawiłabym wszystko przeciwko.

- Nie ma więc konieczności, by omówić to ze mną?

- Nie sądzę.

- W takim razie wygląda na to, że państwo Tormeyowie mogą bezpiecznie powrócić

do domu tak szybko, jak tylko policja dojdzie do przekonania, iż nie znajdzie corpus delicti. Co prawda i bez tego można kogoś oskarżyć. Nawet o morderstwo. Tylko że wówczas udowodnienie winy byłoby znacznie trudniejsze. Nawet jeśli Tormeyowie zostaliby aresztowani, dobry prawnik wyciągnąłby ich w pięć minut. A mogę cię zapewnić, że mieliby oni naprawdę dobrego prawnika. Przy okazji: pewnie ucieszy cię fakt, iż pomogłaś im wydostać się z kraju.

- Ja?!

- Tak, ty i dr Perreault. Opuszczając Kanadę Brytyjską jako pan i pani Tormey,

posługując się ich kartami kredytowymi i wpisując ich nazwiska do kwestionariuszy kart turystycznych. Zostawiliście w ten sposób trop, który „dowodził”, iż kapitan Tormey wraz z żoną zbiegli z kraju bezpośrednio po zaginięciu porucznika Dickeya. Trop ów był na tyle przekonujący, że policja straciła ładnych parę dni, próbując wysledzić podejrzanych w Konfederacji Kalifornijskiej... obwiniając przy tym swoich kolegów z Kalifornii o opieszałość, nieudolność i niechęć do współpracy. Przyznam, że ja sam byłem nieco zaskoczony faktem, iż Tormeyowie nie zostali aresztowani we własnym domu. Mój agent nie miał najmniejszych trudności, by ich tam odnaleźć i porozmawiać z nimi.

Ja natomiast nie. Jeśli pojawia się glina - hop! do Nory. A jeśli to nie glina i potrafi przekonać łana, że jest o'key...

- Szefie, czy pański agent w Winnipeg wymienił moje nazwisko? Czy wspomniał coś o „Marjorie Baldwin”?

- Tak. Bez tego nazwiska i twojej fotografii pani Tormey nigdy nie wpuściłaby go do środka. Nie sądzę, bym był w stanie odszukać twój ślad bez pomocy Tormeyów. Pomogliśmy sobie nawzajem: oni pomogli tobie wydostać się z Kanady, a my - to znaczy mój agent - ostrzeżliśmy ich przed policją i pomogliśmy im się ukryć. Wszystko skończyło się dobrze.

- W jaki sposób przemycił ich pan przez granicę? Nie zostali przecież w Kanadzie?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Hmm... Nie.

Kiedy wreszcie nauczę się trzymać język za zębami? Gdyby chciał mi to powiedzieć, nie musiałabym pytać. „Nieostrożni sternicy zatapiają swe okręty”. Szef był profesjonalistą. Gdy ruszył się wreszcie zza swojego biurka, doznałam czegoś w rodzaju szoku.

Zazwyczaj nie poruszał się zbyt często. Nawet serwis do kawy i herbaty w jego starym gabinecie stał zawsze w zasięgu jego ręki. Tym razem nie poruszał się, jak zwykle, o kulach. Wytoczył się zza biurka na elektrycznym wózku inwalidzkim, podjechał do stojącego obok stolika i zabrał się do nalewania herbaty ze stojącego tam ekspresu.

Podniosłam się ze swego fotela.

- Pozwoli pan, że pomogę.

- Dziękuję ci bardzo, Piętaszku - powiedział i ponownie zajął miejsce za biurkiem. Przez chwilę zajęta byłam rozlewaniem gorącego płynu do filiżanek, dzięki czemu stałam odwrócona bokiem do niego. W ten sposób przynajmniej częściowo mogłam ukryć swoje

zaskoczenie.

W zasadzie fakt, że kaleka decyduje się zastąpić kule fotelem na kółkach, nie powinien budzić niczyjego zdziwienia - to przecież jedynie proste usprawnienie. Jednak w tym wypadku chodziło o S z e f a ! Gdyby pewnego ranka Egipcjanie w Gizeh obudzili się i stwierdzili, że piramidy stoją na swoich czubkach, podstawami do góry, a Sfinks ma nowy nos, nie byłoby pewnie tak wstrząśnięci jak ja. Są pewne rzeczy - i ludzie - po których nie oczekuje się zmian.

Gdy podałam mu herbatę - z mlekiem i dwiema kostkami cukru - oraz nalałam filiżankę dla siebie, usiadłam i odzyskałam zimną krew. Jeśli chodzi o technologię, Szeff zawsze posługuje się najnowocześniejszą. Jego maniery są natomiast co najmniej z poprzedniego stulecia. Nigdy nie słyszałam, by kiedykolwiek poprosił kobietę, by mu usługiwała, lecz jeśli jakaś kobieta znajduje się w pobliżu i zaproponuje, że naleje herbatę, jest oczywiste, że nie będzie miał nic przeciwko temu.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie Szeff odstawił swoją filiżankę i na nowo podjął przerwana rozmowę.

- Piętaszku, zmieniałaś nazwiska i numery kart kredytowych tak często i szybko, że zawsze byliśmy o krok za tobą. Nie udałooby się nam wysledzić cię w Vicksburgu, gdyby trasa twojej podróży nie podsunęła mi na myśl tego, co możesz planować. Co prawda nie mam w zwyczaju mieszać się w sprawy swoich kurierów, ograniczając się jedynie do dyskretnej obserwacji ich poczynań, miałem jednak zamiar powstrzymać cię od wyprawy w górę Missisipi... wiedząc, że ekspedycja ta była z góry skazana.

- Jaki właściwie był jej cel, Szefie? Nigdy nie uwierzyłam w to, co mi powiedziano.

- Zamach stanu...

- A więc jednak!

- ...bardzo nieudolnie zorganizowany. W ciągu ostatnich dwóch tygodni

Imperium

miało trzech prezydentów. Obecny nie jest w niczym lepszy od swoich poprzedników i ma takie same szansę na przeżycie, jakie mieli oni. Piętaszku, sprawnie funkcjonująca tyrania jest znacznie lepszą bazą dla mojej działalności niż jakakolwiek forma demokratycznych rządów. Ale tego typu tyrania jest taką samą rzadkością, jak sprawnie funkcjonująca demokracja. Wracając jednak do tematu: w Vicksburgu zniknęłaś nam z oczu, bo wyruszyłaś praktycznie bez najmniejszej zwłoki. Zaokrętowałaś się na ten komiczny statek razem z tym komicznym oddziałem najemników, zanim jeszcze mój agent dowiedział się, że podpisałaś kontrakt, czym zresztą doprowadził mnie do irytacji. Jeszcze nie wiem, jak go ukarzę, lecz nie mogę pominąć milczeniem jego nieudolności.

- Wcale nie jestem taka pewna, że należy go ukarać, Szefie. Ja rzeczywiście działałam tak szybko, jak mogłam... bo czułam, że ktoś depta mi po piętach. I choć bardziej c z u ł a m, niż wiedziałam, iż ktoś mnie śledzi, i tak nie pozwoliłabym, aby się ze mną skontaktował. Skąd mogłam wiedzieć, że to pana człowiek?

- Owszem, znam twoje możliwości. Zgodzisz się jednak, że miałem prawo poczuć się zirytowany, gdy jednego dnia doniesiono mi, iż mój agent stale ma cię na oku... a dwadzieścia cztery godziny później, że nie żyjesz.

- Może tak, może nie. Całkiem niedawno pewien człowiek w Nairobi również próbował siedzieć mi na karku. Kiedy poczułam na plecach jego oddech, był to zarazem

ostatni oddech owego człowieka. Nie dałam mu możliwości, by mi się przedstawił. Jeśli jeszcze kiedyś wyśle pan za mną jakiegoś agenta, niech mu pan najpierw opowie tę historijkę.

- Bardzo rzadko wysyłam kogoś, kto ma cię obserwować. W twoim przypadku znacznie lepiej działają punkty kontrolne. Szczęśliwie dla nas wszystkich żyjesz, więc nie ma potrzeby rozwodzić się nad tym tematem. Chociaż terminale moich wszystkich agentów w Saint Louis są stale inwigilowane, jest z nich jednak jakiś pożytek. Gdy próbowałaś nawiązać kontakt - trzy razy, i za każdym razem bezskutecznie - natychmiast poinformowano mnie o tym. Nie miałem stuprocentowej pewności, że to ty. Zdobyłem ją, kiedy dotarłaś do Fargo.

- No tak, mogłam się była domyśleć. Ten artysta od papierów...?

Udał, że nie dostyszał pytania.

- Muszę wracać do pracy. Jeśli masz mi coś jeszcze do przekazania, to się streszczaj.

- Tak jest, sir. Gdy wpłynęliśmy do Imperium, udało mi się opuścić statek. Dotarłam do Saint Louis i przekonawszy się, że terminale, których kody posiadałam, są wyłączone z sieci bądź inwigilowane, ruszyłam w kierunku kanadyjskiej granicy. Przekroczyłam ją dwadzieścia sześć kilometrów na wschód od Pembiny, dotarłam do Winnipeg, a stamtąd do

Vancouver. Dalej do Bellingham - to już wczoraj - i tutaj. To wszystko.

- Żadnych kłopotów?

- Nie, sir.

- Nic, co mogłoby mieć dla nas jakieś znaczenie?

- Nic, sir.

- W porządku. Gdy będziesz mogła, nagraj szczegółowy raport dla sztabu. Przyślę po ciebie za jakieś dwa, trzy tygodnie. Od jutra zaczynasz szkołę. Punktualnie o dziewiątej.

- Że co?!

- Nie grymas, to nie przystoi młodej kobiecie. Piętaszku, twoja praca w pełni mnie satysfakcjonuje, lecz czas już najwyższy, byś stała się prawdziwą profesjonalistką. Właściwie powinienem powiedzieć: prawdziwą profesjonalistką na tym etapie. Jesteś straszną ignorantką, ale teraz to musi się zmienić. Jutro o dziewiątej.

- Tak jest, sir.

Ignorantką? Arogancki, stary skurczybyk! Cholera jasna; cieszyłam się, że znowu go widziałam, lecz ten fotel na kółkach niepokoił mnie.

Rozdział XXII

Pajaro Sands to jeden z hoteli w nadmorskim kurorcie leżącym w miejscu oddalonym od cywilizacyjnego zgiełku, obok zapomnianego przez Boga i ludzi miasteczka Watsonville. Istnienie Watsonville usprawiedliwiał tylko jeden powód: był to jeden z ważniejszych portów przeładunkowych ropy naftowej. Oprócz rurociągów, nabrzeży i kilku budynków portowych nie znajdowało się tam nic, co choć trochę upodabniałoby to miasto do ludzkiego osiedla. Jediną atrakcją były kasyna i burdele w odległym o pięćdziesiąt kilometrów Carmel. Ja jednak nie jestem zagorzałą zwolenniczką ani hazardu, ani seksu za pieniądze - nawet w tak egzotycznym wydaniu jak kalifornijskie.

Do Carmel było zbyt daleko, toteż niewielu ludzi z Kwatery Głównej Szefa odwiedzało to miasto. Wybierając się tam konno, trzeba było jechać na cały weekend. Bezpośredniego połączenia koleją magnetyczną nie było, a chociaż władze kalifornijskie są dość liberalne jeśli chodzi o wydawanie pozwoleń na używanie prywatnych energobili, to Szef pozwalał nam posługiwać się nimi wyłącznie w celach służbowych.

Rozrywkę w Pajaro Sands stanowiły naturalne atrakcje, dla których zbudowano ów kurort w tym miejscu: surfing, słońce i plaża.

Ślizganie się po falach podobało mi się, dopóki nie nabrałam w nim wprawy - potem deska zaczęła mnie nudzić. Zazwyczaj codziennie opalałam się trochę, trochę pływałam, a w międzyczasie przyglądałam się olbrzymim tankowcom przyssanym do rurociągów wzdłuż nabrzeży. Nie bez pewnej satysfakcji spostrzegłam, iż oficerowie pełniący wachty na każdym ze statków również spoglądali dość często w moją stronę - przez szkła lornetek.

Nie było powodów, by ktokolwiek z nas musiał się tu nudzić. Każdy miał w pokoju

swój własny terminal. Obecnie wszyscy tak bardzo przyzwyczajeni są do sieci komputerowych, że łatwo zapominają, jakim oknem na świat może być ekran terminalu. Mnie dotyczy to również. Komuś, kto przywykł posługiwać się terminalem wyłącznie w celu płacenia rachunków, zamawiania rozmów i oglądania serwisów informacyjnych, sporą niespodzianką sprawia odkrycie, że urządzenie to ma znacznie bogatsze zastosowanie. Jeśli tylko ma się pieniądze i ochotę, by za to zapłacić, przy terminalu zrobić można praktycznie wszystko, co można zrobić bez zdejmowania bielizny.

Muzyka na żywo? Owszem, można w sobotni wieczór wybrać się na koncert do Berkeley. Ale koncert, który odbył się przed dziesięcioma laty w Londynie, również może okazać się „żywy” i bezpośredni. Wystarczy tylko wprowadzić odpowiednią sekwencję znaków z klawiatury - i czas się cofa. Elektronom jest wszystko jedno.

Szef wysłał mnie do szkoły, w której wiedzę zdobywało się właśnie przy klawiaturze terminalu komputerowego. Miałam tutaj znacznie bogatsze możliwości niż studenci mający przyjemność pobierać nauki na tak zacnych uczelniach jak Oxford, Sorbona czy Heidelberg. Przede wszystkim nic tu nie przypominało szkoły. Pierwszego dnia przy śniadaniu powiedziano mi, bym zgłosiła się do szefa biblioteki. Był nim niejaki profesor Perry, przemiły starszy człowiek, traktujący po ojcowsku wszystkich wokół siebie. Kiedy spotkałam go po raz pierwszy, wydawał się udręczony. Nic dziwnego - biblioteka Szefa stanowiła prawdopodobnie najbardziej wartościową, najpotężniejszą i zarazem najbardziej zawiłą rzecz, jaka została przetransportowana z Imperium do Pajaro Sands. Profesora Perry'ego bez wątpienia czekać miały tygodnie ciężkiej pracy, by doprowadzić wszystko do porządku - a

Szef oczekiwał, by wszystko tutaj zrobione było z absolutną perfekcją. Dziwaczny upór Perry'ego, by pozostać przy papierowych książkach, bynajmniej nie ułatwiał pracy. Kaset i mikrofilmów było bardzo niewiele.

Kiedy zameldowałam się profesorowi, sprawiał wrażenie niezmiernie zapracowanego.

Wskazał na konsolę stojącą w kącie.

- Panno Piętaszek, dlaczego pani tam nie siada?

- A co mam robić?

- He? A... no nie wiem. Bez wątpienia ktoś to pani powie. Hmm... Ja jestem teraz strasznie zajęty. Dlaczego nie zaznajomi się pani ze sprzętem, studiując cokolwiek, co pani zechce?

Sprzęt nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, nie licząc kilku dodatkowych klawiszy. Dzięki nim można było uzyskać bezpośredni dostęp do zbiorów kilku najlepszych bibliotek na całym świecie, takich jak Biblioteka Harvardzka, Centralna Biblioteka Związku Atlantyckiego czy biblioteka British Museum. Nawet papierowe książki i starodruki Szefa mogłam czytać na ekranie, przewracając kartki za pomocą klawiatury i nie wyjmując opasłych tomów z ich azotowego otoczenia.

Tego ranka przeglądałam kartotekę biblioteki Uniwersytetu Tulane, jednego z najlepszych w Republice Samotnej Gwiazdy. Szukałam czegoś na temat historii Starego Vicksburga, gdy niespodziewanie dla samej siebie natknęłam się na przypis dotyczący typów widm gwiazd. Przykuł on całą moją uwagę. Nie pamiętam już, skąd wziął się tam ów przypis, jednak fakt, że znalazłam go w dziele o tematyce historycznej, wydawał się nieco zaskakujący.

Ciągle jeszcze czytałam o ewolucji gwiazd, gdy profesor Perry zaproponował, byśmy poszli na lunch.

Zanim oderwałam się od klawiatury, zrobiłam jeszcze notatkę o działach matematyki, które musiałam przestudiować. Astrofizyka może być fascynująca, jednak pod warunkiem, że rozumie się jej język.

Jeszcze tego popołudnia wróciłam do „Starego Vicksburga” i znalazłam następny, mniej już szokujący przypis. Dotyczył on „Show Boat” - musicalu traktującego o minionej erze. Resztę dnia spędziłam na wyszukiwaniu i przesłuchiwaniu musicali, które wystawiano na Broadwayu w tych szczęśliwych czasach, zanim Konfederacja Północnoamerykańska rozpadła się na kilkanaście niezależnych stanów. Dlaczego dziś już nikt nie pisze takiej muzyki?!

Przesłuchałam po kolei „Show Boat”, „The Student Prince” i „My Fair Lady”, po czym zanotowałam jeszcze co najmniej tuzin innych na potem. Czy tak właśnie miało wyglądać chodzenie do szkoły?

Następny dzień postanowiłam poświęcić na dogłębne przestudiowanie tych tematów

zawodowych, w których nie czułam się najmocniej. Zrobiłam to, gdyż byłam święcie

przekonana, iż gdy tylko pojawią się moi nauczyciele i wyznaczą mi program, dwudziestoczerogodzinna doba stanie się o wiele za krótka. Jednak przy śniadaniu Anna

spytała mnie:

- Piętaszku, co sądzisz o wpływie Ludwika XI na liryczną poezję francuską? Przez chwilę patrzyłam na nią w osłupieniu.

- Ludwik XI? To brzmi jak nazwa jakiegoś gatunku sera. A jedynym francuskim wierszem, jaki kiedykolwiek udało mi się przeczytać, jest Mademoiselle z Armentieres. Nie wiem, czy to poezja.

- Profesor Perry powiedział, że mamy się zwracać do ciebie z wszelkimi pytaniami.

- Zakpił z was.

Kiedy wróciłam do biblioteki, Papa Perry uniósł na chwilę głowę znad konsoli, nad którą ślęczał. Korzystając z nadarżającej się okazji, zagadnęłam go:

- Dzień dobry. Właśnie rozmawiałam z Anną. Powiedziała mi, że kazał jej pan spytać mnie o wpływ Ludwika XI na poezję francuską.

- Tak, tak... Bardzo możliwe. Czy mogłabyś teraz nie zawracać mi głowy? Muszę dziś uporać się z tą częścią programu.

Ponownie pochylił głowę, dając mi tym samym do zrozumienia, że uważa temat za wyczerpany.

Nie rozumiejąc, o co tu właściwie chodzi, zabrałam się za Ludwika XI. Dwie godziny później wyszłam na świeże powietrze. Nie dowiedziałam się wiele na temat poezji. O ile udało mi się ustalić, Król-Pająk nigdy nie zrymował nawet ton con z c'est bon, a tym bardziej nie był nigdy mecenasem sztuki. Dowiedziałam się za to mnóstwo na temat polityki w piętnastym wieku. Intrygi, przemoc i gwałt. A jednak w porównaniu z tym, co działo się we współczesnej polityce, tamta przypominała dziecinne kłótnie pomiędzy przedszkolakami. Pozostałą część dnia spędziłam na wertowaniu francuskiej poezji lirycznej od roku 1450 w górę. Francuski jest wręcz stworzony dla poezji. Aby wyrazić piękno w języku angielskim, potrzeba kogoś takiego jak Edgar Allan Poe. Niemiecki w ogóle nie nadaje się do owego celu. Dobre przekłady niemieckiej poezji brzmią znacznie lepiej niż oryginały. Nie można za to obwiniać Goethego, Heinego czy też Schillera - to wina tego okropnego języka. Hiszpański natomiast jest tak melodyjny, że reklama pasty do zębów po hiszpańsku jest dla ucha przyjemniejsza niż najlepsze wersety z poezji angielskiej.

Nigdy nie dowiedziałam się, jaki wpływ na poezję wywarł Ludwik XI.

Któregoś ranka stwierdziłam, że moja konsola jest zajęta. Spojrzałam pytająco w stronę profesora. Wyglądał na pochłoniętego bez reszty pracą przy swojej klawiaturze.

- Tak, tak... no... strasznie tu dziś tłoczno - stwierdził, unosząc na moment głowę. -

Hmm... Panno Piętaszek, dlaczego właściwie nie korzysta pani z terminalu we własnym pokoju? Przecież ma on taką samą, rozszerzoną klawiaturę, a gdyby potrzebowała pani skonsultować się ze mną, będzie to pani mogła zrobić nawet szybciej i łatwiej, niż siedząc tutaj. Wystarczy wezwać wewnętrzny siedem i podać swój kod. Wydam komputerowi dyspozycję, by miała pani zawsze pierwszeństwo. Czy tak będzie dobrze?

- Świetnie! - zgodziłam się. Lubiłam cichą atmosferę tej sali, lecz we własnym pokoju mogłam na przykład zrzucić z siebie ubranie, nie mając przy tym uczucia, że irytuję Papę Perry'ego. - Co powinnam przestudiować dzisiaj?

- A skąd ja mam wiedzieć?! Niech sobie pani sama znajdzie coś, co panią zainteresuje. Nie cierpię niepokoić Numeru Pierwszego.

Poszłam więc do swojego pokoju i zagłębiłam się w historię Francji po Ludwiku XI.

Tematyka ta zaprowadziła mnie do problemu kolonii zamorskich i do ekonomii Adama Smitha. Trudno było nie zahaczyć przy okazji o pozostałe nauki społeczno-polityczne. Gdy doszłam do wniosku, że Arystoteles miał swój okres świetności, a Platon był jedynie pretensjonalnym szalbierzem, Złociutka dała mi po raz trzeci sygnał do zejścia na obiad. Tym jednak razem zaznaczyła, że jeśli nie pojawię się w jadalni natychmiast, będzie to oznaczało, iż nie chcę jeść niczego poza kanapkami. Zagroziła też, że jeśli ją do tego zmuszę, przyjdzie tu i zwlecze mnie na dół za włosy.

Zeszłam więc dobrowolnie - boso i ubrana w dresy. Anna spytała, cóż tak pilnego robiłam, że zapomniałam o jedzeniu.

- To bardzo niepiętaszkowskie - tak się wyraziła.

Ona, Złociutka i ja jadałyśmy zwykle razem. Czasem towarzyszyli nam jeszcze jacyś mężczyźni, lecz nie stanowiło to reguły.

- Udoskonalałam swój mózg - odpowiedziałam na pytanie Anny. - Macie przed sobą Największy Ziemski Autorytet. Alfę i Omegę.

- W jakiej dziedzinie? - zapytała Złociutka.

- We wszystkich dziedzinach - odrzekłam. - Pytajcie, o co chcecie. Na pytania łatwiejsze odpowiem od ręki. Najtrudniejsze będą musiały poczekać do jutra.

- Zaraz się przekonamy - stwierdziła Anna. - Powiedz mi, ilu aniołów może usiąść na czubku jednej igły?

- Och, to banalne. Wystarczy dokładnie zmierzyć powierzchnię tyłka przeciętnego anioła oraz powierzchnię czubka igły i podzielić jedno przez drugie. Takie zadania rozwiązują dzieci w przedszkolach. Coś jeszcze?

- Bardzo zgrabnie - powiedziała Złociutka. - A teraz podaj nam liczbę mieszkańców San Jose.

- Hmm... To już nieco trudniejsze. Policzę i powiem wam jutro.

Na takich i podobnych quizach upłynął mi miesiąc, nim zorientowałam się wreszcie, że ktoś (oczywiście Szef) starał się rzeczywiście zrobić ze mnie w ten sposób Największy Ziemski Autorytet.

Kiedyś naprawdę żył człowiek, do którego przyłgnął ów tytuł. Wystarczy podać komputerowi następujące parametry: „kultura północnoamerykańska”, „przełom dwudziestego wieku”, „język angielski”, „komicy”, „Największy Ziemski Autorytet”, a następnie kazać sobie podać nazwisko. W odpowiedzi na ekranie z pewnością ukaże się hasło: „Profesor Irwin Corey”. Przekonacie się, iż człowiek ów miał zawsze gotową odpowiedź na najgłupsze nawet pytanie. Nawet dziś będziecie śmiać się z tych odpowiedzi. A jednak zmuszona byłam pakować sobie do głowy wiedzę z najprzeróżniejszych dziedzin niczym gęś ze Strasburga.

Tak czy owak, byłam wtedy naprawdę szczęśliwa. Od czasu do czasu któryś z moich przyjaciół zapraszał mnie, bym wpadła do niego wieczorem. Zazwyczaj nikt nie ukrywał, iż chce po prostu pójść ze mną do łóżka. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek zdarzyło mi się odmówić.

Te idiotyczne pytania zadawano mi coraz częściej. Kiedyś, gdy zaznajamiałam się właśnie z detalami charakterystycznymi dla ceramiki chińskiej z okresu dynastii Ming, ktoś za pośrednictwem terminalu poprosił mnie, bym dowiedziała się wszystkiego na temat relacji pomiędzy długością męskich bród, kobiecych spódniczek i cenami złota. To chyba wtedy

przestałam się dziwić zadawanym mi pytaniom lub uważać je za nedorzeczne. Wokół Szefa wszystko było możliwe. Fakt - to jedno wydało mi się wyjątkowo durne. Bo niby z jakiej racji miałyby istnieć jakiegokolwiek związki pomiędzy tymi rzeczami? Nigdy nie interesowały mnie męskie brody. Kłują zawsze jednakowo, a często bywają też zaniedbane czy nawet brudne. Co do spódniczek, moje zainteresowanie nimi było nawet jeszcze mniejsze. Ta część garderoby może być ładna, owszem, ale nie jest praktyczna dla kogoś, kto często podróżuje. Ponadto dawno już straciłabym życie, gdybym miała na sobie coś takiego.

Nauczyłam się jednak nie ignorować zadawanych mi pytań tylko dlatego, że wydają się one w sposób oczywisty idiotyczne. Zabrałam się więc do roboty, wywołując z pamięci komputera wszystkie dane, jakie tylko potrafiłam skojarzyć z tym tematem. Gdy uznałam, że nic więcej nie uda mi się wycisnąć z ogłupiałej maszyny, kazałam jej poszeregować wszystkie otrzymane informacje według tych trzech kategorii.

Sama zdziwiłabym się, gdybym nie zaczęła pomiędzy nimi odnajdywać pewnych związków.

Zebrawszy dodatkowe dane, stwierdziłam, że jedynym rozsądnym sposobem, by móc je wszystkie porównać, jest polecenie komputerowi, aby sporządził i wyświetlił na ekranie trójwymiarowy wykres. Efekt wglądał tak obiecująco, że wydałam następane polecenie i maszyna przetworzyła wykres w kolorową hologramię. Pięknie! Nie miałam pojęcia, jak to się działo, lecz te trzy kategorie zaczynały do siebie pasować. Resztę dnia spędziłam na skalowaniu, zamienianiu osi współrzędnych we wszystkich możliwych kombinacjach, powiększaniu, obracaniu, zmniejszaniu, porównywaniu, poszukiwaniu mniejszych cykloid wewnątrz większych... aż wreszcie dostrzegłam podwójnie spłaszczoną sinusoidę, nie znikającą nawet podczas obracania hologramii - i nagle, z przyczyn, których nie potrafię wyjaśnić, postanowiłam odjąć równanie tej krzywej od równania krzywej opisującej wahania powierzchni plam słonecznych.

Eureka! Przed obiadem miałam już gotowe równanie - jedną linijkę zawierającą wszystkie te dane, nad którymi ślęczałam przez pięć dni, znęcając się nad klawiaturą. Wynik przesałam do centralnego komputera sztabu Szefa, dołączając jedynie definicje zmiennych. Żadnego komentarza ani wniosków - chciałam zmusić bezimiennego dowcipnisia, by sam spytał o moją opinię.

Dostałam tę samą odpowiedź, co zwykle, czyli żadną.

Leniuchowałam więc całymi dniami, czekając i udowadniając samej sobie, iż na podstawie zdjęć sprzed wielu lat, porównując tylko długość spódniczek kobiet na tych zdjęciach z długością bród mężczyzn na zdjęciach z tego samego okresu, potrafię z dużą precyzją odgadnąć ówczesne ceny złota i ich wahania.

Któregoś dnia ponownie odezwał się brzęczyk przy moim terminalu. Żadnej twarzy.

Żadnych pochwał. Po prostu wiadomość wyświetlona na ekranie: „Sztab prosi o jak

najszybszą głęboką analizę tematu i odpowiedź na pytanie: czy istnieje możliwość, że epidemie niektórych chorób w szóstym, czternastym i siedemnastym wieku były wynikami spisków politycznych?”.

Cokolwiek by nie mówić, zadanie było dość osobliwe.

Ale w porządku. Problem był również na tyle kompleksowy, że z pewnością dadzą mi

święty spokój, gdy będę zajmować się jego rozwikłaniem. A to powinno zająć mi trochę czasu. Nic nie mogło mi bardziej odpowiadać. Terminal komputera połączonego bezpośrednio ze światową siecią informacyjną stał się właściwie moim nałogiem. Zaczęłam od sporządzania listy wszystkich tematów, które choćby w najdowolniejszy sposób kojarzyły mi się z postawionym pytaniem: plagi, zarazy, pomór, Czarna Śmierć, epidemiologia, pchły, zarazki, szczury, Daniel Defoe, Isaac Newton, intrygi, Guy Fawkes, wolnomularstwo, OTO, Różokrzyżowcy, J.F. Kennedy, Oswald, John Wilkes Booth, Pearl Harbor, Zielone Berety, Święta Inkwizycja, C.I.A. etc, etc.

Po trzech dniach lista wydłużyła się co najmniej dziesięciokrotnie.

Po tygodniu wiedziałam już, że jedno życie nie było wystarczająco długie, by dokładnie zbadać wszystko to, co zawierała moja lista. Skoro jednak polecono mi zabrać się do tego tematu, zabrałam się doń - lecz kładąc nacisk przede wszystkim na tę część polecenia, która mówiła „jak najszybciej”.

Tak minęły cztery tygodnie.

Którejś nocy w samym jej środku obudził mnie brzęczyk terminalu. Ktoś musiał

uruchomić go przez wymuszenie, bo wyłączyłam go, jak zwykle przed pójściem do łóżka. Nie pamiętam, dlaczego spałam wtedy sama.

- Dobra, dobra. Mów, czego chcesz, i lepiej niech to będzie coś naprawdę ważnego - powiedziałam sennym głosem i ziewnęłam szeroko nie zasłaniając ust. Sięgnęłam do klawiatury i włączyłam ekran. Żadnego obrazu, ani tym bardziej twarzy. Usłyszałam za to głos Szefa.

- Piętaszku, kiedy pojawi się następna, poważna epidemia Czarnej Śmierci?

- Prawie dokładne za trzy lata. Kwiecień. Początek w Bombaju i niemalże natychmiastowe ogarnięcie prawie całego globu. Poza planetę rozszerzy się z pierwszym statkiem, który ją wówczas opuści.

- Dziękuję ci, to wszystko. Dobranoc.

Obudziłam się jak zwykle punktualnie o siódmej. Leżąc jeszcze przez kilka chwil,

czułam, jak robi mi się coraz zimniej. Wreszcie doszłam do wniosku, że rozmawiałam tej nocy z Szefem i rzeczywiście udzieliłam mu tej niedorzecznej odpowiedzi.

„Niech to szlag” - pomyślałam, wystukując „wewnętrzny jeden”.

- Szefie, tu Piętaszek. Chodzi mi o te brednie, które opowiadałam dziś w nocy. Musiałam chyba dostać chwilowego pomieszania zmysłów.

- Nonsens. Czekam na ciebie o dziesiątej piętnaście.

Następne trzy godziny miałam ochotę spędzić w pozycji kwiatu lotosu, mamrocząc

pod nosem rózańce. Zawsze jednak uważałam, iż nawet pewnego na sto procent

Końca

Świata powinno się oczekiwać zjadłszy najpierw małe co nieco. Tego ranka moja decyzja była szczególnie uzasadniona - na śniadanie podano świeże figi z kremem, siekaną wołowinę, gotowane jaja, angielskie bułeczki z pomarańczowym dżemem i kolumbijską kawę ze śmietanką. Fakt ten na tyle poprawił mój nastrój, że następną godzinę spędziłam na próbach znalezienia matematycznej zależności pomiędzy historią kolejnych wybuchów epidemii dżumy a datą, którą wymieniłam, wyrwana ze snu w środku nocy. Nie udało mi się zbudować żadnego równania, lecz zaczynałam już widzieć pewien zarys krzywej, kiedy brzęczyk terminalu przypomniał mi, że za trzy minuty mam się zameldować u Szefa.

Przez moment rozważałam, czy nie obciąć włosów i nie odpruć kołnierza, lecz ostatecznie dałam z tym spokój. Po chwili byłam już na dole.

- Piętaszek melduje się, sir.

- Siadaj. Dlaczego właśnie Bombaj? Sądziłem, iż Kalkuta byłaby znacznie bardziej prawdopodobnym epicentrum.

- Hmm... To może mieć coś wspólnego z długoterminowymi prognozami pogody i kierunkiem monsunów. Czarna Śmierć przenoszona jest przez pchły, a te nie są w stanie przetrzymać zbyt długo gorącej i suchej pogody. Ich ciało w około osiemdziesięciu procentach składa się z wody. Jeśli wskaźnik ten spada poniżej sześćdziesięciu procent, pchła umiera. Stąd wniosek, że gorąca i sucha pogoda zatrzyma lub co najmniej ograniczy epidemię. Ale Szefie, cała ta sprawa jest czystym nonsensem. Budzi mnie pan w środku nocy i zadaje absurdalne pytania, więc udzielam takich samych odpowiedzi, praktycznie nawet się nie obudziwszy. Prawdopodobnie wysnułam tę hipotezę z własnego snu. Miałam jakiś nocny koszmar o epidemii Czarnej Śmierci. Poza tym kiedyś rzeczywiście wybuchła ona w Bombaju i zebrała potworne żniwo. To było w 1896.

Ta nie była tak straszna, jak następna, która wybuchła trzy lata później w Hong Kongu i pochłonęła setki tysięcy ofiar. Posłuchaj mnie, Piętaszku: sekcja analityczna Działu Operacyjnego twierdzi, że kolejna epidemia dżumy jest spodziewana po upływie roku od terminu przewidzianego przez ciebie. I nie w Bombaju. Dżakarta i Ho Szi Min.

- To absurd! - krzyknęłam, lecz natychmiast opanowałam się. - Przepraszam, sir.

Chyba na chwilę ponownie wróciłam do sennych urojeń. Szefie, czy nie mogłabym studiować czegoś bardziej przyjemnego niż pchły, bakterie, szczury i Czarna Śmierć?

- Możesz.

- HUUURRAA!

- Sprawa epidemii przechodzi teraz do obróbki w Dziale Operacyjnym. Lecz obróbka

ta opierać się będzie na twojej prognozie, a nie na wynikach analizy matematycznej.

- Muszę powtórzyć raz jeszcze: moja prognoza jest absurdem wyssanym z palca.

- Wiesz, co jest twoją najsłabszą stroną, Piętaszku? Nieświadomość własnego potencjału intelektualnego. Czy nie wyszlibyśmy na głupców, gdybyśmy oparli się na badaniach zawodowych analityków, podczas gdy wybuch epidemii nastąpiłby zgodnie z twoimi przewidywaniami, czyli o rok wcześniej? To byłaby katastrofa. A podejmując środki ostrożności o rok wcześniej, nie wyrządzimy nikomu krzywdy, nieprawdaż?

- Zamierza pan powstrzymać epidemię?! - Patrzyłam na Szefa, jakbym widziała go po raz pierwszy. Od zarania dziejów ludzkość próbuje wytępić szczury, pchły, które są roznoszone przez szczury, i zarazki, które są roznoszone przez te pchły. Tymczasem cały ten

zwierzyńiec istnieje i ma się świetnie.

- Na Boga, nie! Tego typu zadanie przerastałoby możliwości naszej organizacji. Nigdy nie podpisuję kontraktów, z których nie mogę się wywiązać. Poza tym jest jeszcze jeden aspekt owego problemu. Próba zapobiegnięcia wybuchowi epidemii na przykład poprzez deratyzację każdego z tych przeludnionych miast nie byłaby żadnym dobrodziejstwem. W każdym razie nie z humanitarnego punktu widzenia. Zaraza jest straszną śmiercią, lecz przynajmniej umiera się szybko. Śmierć głodowa również jest okropna... i w dodatku bardzo powolna. - Na twarzy Szefa przez chwilę widniał dziwny grymas. - Nasze działania ograniczą się jedynie do problemu zahamowania epidemii, a ściślej - nie dopuszczenia do tego, by *Pasteurellapestis* opuścił Ziemię. Jak to zrobić? Odpowiedz bez namysłu.

- Powodując, by eksplodowały.

- Kolonie orbitalne? To wydaje się dość drastycznym rozwiązaniem.

- Miałam na myśli pchły, bo to właściwie one roznoszą zarazki. Jeszcze przed wojnami światowymi w XX wieku ktoś odkrył, że wszy i pchły nie są w stanie przeżyć na dużych wysokościach. One po prostu eksplodują, Szefie. Powyżej jakichś pięciu kilometrów nad poziomem morza, o ile dobrze sobie przypominam. Ale można to sprawdzić, a nawet przeprowadzić niewielki eksperyment. Przyszło mi to do głowy, bo przypomniałam sobie, że Baza Beanstalk na Mount Kenya jest właśnie mniej więcej na krytycznym poziomie - a niemalże wszystkie statki kosmiczne startują właśnie stamtąd. Przy okazji klimat w tym miejscu jest gorący i suchy. Można więc dodatkowo stosować odpowiedni okres kwarantanny. To skuteczny sposób, chociaż dość czasochłonny. Ale to jeszcze nie wszystko. Kluczem do załatwienia sprawy byłby absolutny brak jakichkolwiek wyjątków. Wystarczy jedna paczuska chroniona immunitetem dyplomatycznym. Jeden VIP, któremu pozwoli się pominąć choćby część obowiązującej procedury profilaktycznej. Jeden piesek jakiejś ważnej damy. Jedna przesyłka z laboratoryjną myszką czy innym gryzoniem. A wtedy Ell-Pięć może w ciągu paru tygodni zamienić się w osiedle-widmo. Tak samo Luna City.

- Gdybym nie miał dla ciebie innego zadania, kazałbym ci zająć się tym osobiście. Co ze szczurami?

- Szefie, ta robota naprawdę nie wzbudza we mnie entuzjazmu. Już na samą myśl o niej jestem chora. Zabicie szczura nie stanowi żadnego problemu. Wystarczy wepchnąć go do worka, potem walić w ten worek obuchem siekiery, potem strzelać do niego, potem go zatopić, a na samym końcu spalić wraz z zawartością, czyli martwym szczurem. Tylko że w tym czasie jego żywi kumple zdążą się rozmnożyć i wychować młode. Na miejsce tego jednego pojawi się tuzin nowych i zabawa zaczyna się od nowa. Jeśli kiedykolwiek udałoby się nam osiągnąć w tej walce jakiś wynik, byłby to co najwyżej remis. Wygrać nie uda się nigdy. Czasem zdobywamy chwilową przewagę, lecz szczury szybko ją niwelują. Czasami wydaje mi się, że to drużyna rezerwowa.

- Możesz to wyjaśnić bliżej?

- Skoro przedstawiciele gatunku *Homo sapiens* stale zajęci są próbą wytępienia siebie nawzajem, dlaczego przedstawiciele gatunku *Rattus rattus* nie mieliby zająć ich miejsca?

- Nonsens, Piętaszku. Wmawiasz rodzajowi ludzkiemu chęć wyginięcia. To prawda, że od dawna już posiadamy środki do popełnienia zbiorowego samobójstwa, lecz jak na razie nie zrobiliśmy tego. Nie sądzę też, byśmy kiedykolwiek posunęli się tak daleko. Po drugie zaś, by nas wyprzeć i zastąpić, *Rattus rattus* musiałyby wykształcić niezwykle duże czaszki,

rozwinąć i udoskonalić korpusy będące w stanie czaszki owe utrzymać, nauczyć się poruszać na dwóch tylnich kończynach i rozwinąć przednie w delikatne organy zdolne do skomplikowanych manipulacji... a przede wszystkim udoskonalić swoje kory mózgowie, by były one w stanie kontrolować wszystkie te narządy. Każde stworzenie aby zająć miejsce człowieka musi najpierw samo stać się człowiekiem. Zapomnij więc o tym. Zanim porzucimy temat epidemii - czy doszłaś do jakichś konkluzji, badając teorię spisków?

- Ta hipoteza jest absurdalna. Wymienił pan szósty, czternasty i siedemnasty wiek.

Oznacza to okręty żaglowe lub karawany oraz kompletny brak jakiejkolwiek wiedzy na temat bakteriologii. Mamy więc podstępного doktora Fu Manchu hodującego w swojej pustelni miliony szczurów. Szczury te zarażane są przez pchły roznoszące bakterie - do tego nie trzeba znać się na bakteriologii. Ale celem całego tego przedsięwzięcia jest przeprowadzenie czegoś w rodzaju ataku biologicznego na wybrane miasta. I tu pojawia się problem tak zwanych środków przenoszenia broni masowej zagłady. Żaglowce? W kilka dni wszystkie szczury byłyby martwe, podobnie jak załogi okrętów. Jeszcze trudniej byłoby przetransportować gryznie drogą lądową. Czy doszłaś do jakichś konkluzji? Owszem, hipoteza taka może okazać się prawdziwa, jeśli założyć, że spiskowcy posługiwali się nowoczesną nauką oraz wehikułem czasu z odpowiednio dużą przyczepą dla szczurów. Kto polecił mi, bym się tym zajęła?

- Ja.

- Tak właśnie sądziłam. Tylko w jakim celu?

- Dzięki temu poświęciłaś zagadnieniu o wiele większą uwagę. Mam rację?

- Hmm... Jeśli mówiąc „zagadnienie” ma pan na myśli historię polityki i spisków politycznych, to owszem, ma pan rację.

- Sama widzisz.

- No więc dobrze, Szefie. Nie istnieje takie zwierzę, jak dobrze udokumentowana intryga polityczna. Czasami może tylko być zbyt dobrze udokumentowana. Wówczas dokumenty przeczą sobie nawzajem. A jeśli jakiś spisek wydarzył się naprawdę dawno - powiedzmy, że za życia poprzedniego pokolenia lub wcześniej - ustalenie prawdy staje się po prostu niemożliwe. Czy kiedykolwiek słyszał pan o człowieku nazwiskiem John F. Kennedy?

- Tak. W drugiej połowie dwudziestego wieku był prezydentem Federacji, która zajmowała teren pomiędzy Kanadą - dzisiejszą Kanadą Brytyjską - i Quebeciem oraz Królestwem Meksyku. Zginął w zamachu.

- To właśnie on. Zamordowany na oczach tysięcy świadków. Wszystko, co dotyczyło tej zbrodni i wydarzyło się przed, w czasie lub po, zostało świetnie udokumentowane. A cała ta góra materiału dowodowego sprowadza się do jednego: nikt nie wie, kto go zastrzelił, ilu ludzi strzelało, ile padło strzałów, skąd strzelano, dlaczego to zrobiono, kto był w to zamieszany oraz gdzie i kiedy zorganizowano spisek, jeśli to w ogóle był spisek. Szefie, skoro niemożliwe stało się rozwikłanie tak wówczas świeżego problemu pomimo natychmiastowego przeprowadzenia tak szczegółowego śledztwa, to jaka jest szansa odkrycia szczegółów spisku uknutego przeciwko Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi? Jediną rzeczą, o jakiej można powiedzieć z pewnością, jest fakt, iż ludzie pojawiający się na topie piszą oficjalne wersje, które później znaleźć można w podręcznikach historii. Są to opowiadki niewiele bardziej uczciwe i szczerze od autobiografii.

- Autobiografie są zazwyczaj szczerze, Piętaszku.

- Że co? Szefie, co pan dzisiaj palił?

- Jeszcze nic. Autobiografie są zazwyczaj szczerze i uczciwe, co wcale nie musi oznaczać, iż mówią prawdę.

- Zdaje się, że się zgubiłam.

- To pomyśl nad tym. Nie mogę poświęcić ci dzisiaj więcej czasu. Za dużo trajkoczesz i zbyt często zmieniasz temat. Pohamuj swój język, kiedy próbuję ci coś powiedzieć. Pracujesz teraz stale przy klawiaturze terminalu i starzejesz się. Widzę, że zaczęłaś poruszać się ociężale. Nie zaryzykuję więcej wysłania cię do pracy w terenie...

- Przecież się nie skarżę!

- Prosiłem, byś mi nie przerywała. Nie musisz od razu przejść do pracy za biurkiem. Spędzaj mniej czasu przy konsoli, a więcej na ćwiczeniach. Nadejdzie może taki dzień, że twoja sprawność znowu będzie w stanie zagwarantować ci przeżycie. I może nawet uratować życie innych ludzi. Tymczasem pomyśl o dniu, w którym będziesz musiała zacząć liczyć wyłącznie na siebie. Powinnaś opuścić tę planetę. Ameryka Północna straciła ostatnią szansę odwrócenia procesu rozpadu Cywilizacji Odrodzenia. Powinnaś zatem pomyśleć o możliwościach, jakie istnieją na innych planetach. Niekoniecznie w Układzie Słonecznym. Mam na myśli wszystkie planety; od ekstremalnie prymitywnych, aż po wysoko rozwinięte. Dowiedz się o wszystkich kosztach i zaletach emigrowania na którąś z nich i wybierz tę, która wyda ci się najbardziej odpowiednia. Będziesz potrzebowała pieniędzy. Czy chcesz, aby moi agenci odzyskali sumę, na jaką oszukano cię na Nowej Zelandii?

- Skąd pan wie, że zostałam wykiwana?

- Daj spokój, nie jesteśmy dziećmi.

- Hmm... Mogę się nad tym zastanowić?

- Oczywiście. Co do twojej przyszłej migracji: wołałbym, byś nie udawała się na

planetę Olimpia. Poza tym jednym przypadkiem nie mam żadnych specjalnych życzeń czy rad, oprócz tego, byś w ogóle opuściła Ziemię. Kiedy byłem młody, myślałem, że mogę zmienić ten świat. Teraz nie mam już złudzeń, lecz z pewnych przyczyn muszę robić to, co robię. Ty jednak nadal jesteś młoda i długo jeszcze będziesz, a z racji twego niezwyklego pochodzenia nie powinny łączyć cię z tą planetą i jej mieszkańcami zbyt silne więzi emocjonalne. Nie chciałem poruszać tego tematu, póki nie zerwałaś ze swoją S-grupą na Nowej Zelandii.

- To nie ja ją zerwałam. Zostałam kopnięta w dupę!

- Dokładnie. Kiedy podejmujesz jakąś decyzję, pomyśl zawsze o tej historyjce Benjamina Franklina o gwizdku, a potem odpowiedz sobie, czy nie płacisz za swój gwizdek zbyt wiele. To wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Masz do zrobienia dwie rzeczy. Przystudiować wszystko, co dotyczy kompleksu korporacji Shipstone, łącznie z jej zewnętrznymi powiązaniem - to raz. Poza tym, gdy spotkamy się następnym razem, chcę, byś opowiedziała mi szczegółowo o wszystkich objawach zmięzchu kultury. Teraz jesteś wolna.

Szef odwrócił się do swojej konsoli, więc wstałam z fotela. Nie mogłam jednak wyjść, nie zadawszy kilku istotnych pytań.

- Szefie, czyja nie mam żadnych obowiązków? Mam po prostu studiować co

popadnie? Przecież to do niczego nie prowadzi.

- Mylisz się. Jest w tym pewien cel. I masz obowiązki. Po pierwsze, uczyć się. Po drugie, odpowiadać na wszystkie pytania, choćby nie wiem jak niedorzeczne ci się one wydawały.

- Tylko tyle?

- A czego jeszcze byś chciała?

- No... może jakiegoś tytułu zawodowego.

- Piętaszku, zacznasz myśleć kategoriami prawdziwego biurokraty. „Tytuł zawodowy”, dobre sobie. W porządku. Mianuję cię Sztabowym Analitykiem Intuicyjnym, podległym bezpośrednio i wyłącznie mnie. Ale tytuł ten nakłada na ciebie pewne zobowiązania. Zabraniam ci prowadzenia jakichkolwiek poważnych dyskusji z pozostałymi członkami Sekcji Analitycznej Sztabu. Możesz z nimi sypiać, jeśli chcesz - wiem, że dwaj goszczą niekiedy w twoim łóżku - lecz konwersację ogranicz do tematów raczej banalnych.

- Szefie, wolałabym, żeby spędzał pan nieco mniej czasu pod moim łóżkiem.

- Spędzam go tam dokładnie tyle, ile wymaga dobro twoje i tej organizacji. Wiesz chyba, że dzisiaj nieobecność Oczu i Uszu świadczy jedynie o tym, iż są one bardzo dobrze ukryte. Mogę cię zapewnić, że w sprawach dotyczących bezpieczeństwa organizacji nie mam wstydu.

- Pan w ogóle nie ma wstydu, Szefie. Niech mi pan odpowie na jeszcze jedno pytanie: kto stoi za Czerwonym Czwartkiem? Trzecia fala zamachów spaliła na panewce; czy będzie czwarta? O co właściwie w tym wszystkim chodzi?

- Sama się dowiedz. Gdybym ci powiedział, nadal niczego byś nie wiedziała. Po prostu usłyszałaabyś coś dla siebie niezrozumiałego. Przystudiuj uważnie to, co ci poleciłem, a wówczas, pewnej nocy - takiej, gdy będziesz spała sama - obudzę cię i zapytam. A ty udzielisz mi odpowiedzi, i wtedy będziesz wiedzieć.

- Do ciężkiej cholery, czy pan zawsze wie, kiedy śpię sama?

- Zawsze - odrzekł i odwrócił się. - Odprawa skończona.

Rozdział XXIII

Opuszczając sanctum sanctorum byłam wściekła na Szefa. Do diabła z nim!

Wyniosły, stary, arogancki podglądacz. Poszłam do swojego pokoju i zabrałam się do pracy. Zawsze był to jakiś sposób na wyładowanie gniewu.

Przede wszystkim wydałam komputerowi polecenie zebrania nazw i adresów wszystkich korporacji wchodzących w skład Shipstone. W czasie, gdy były one drukowane, zapytałam o historię całego tego kompleksu. Komputer wymienił dwie: wersję oficjalną, z suplementem w postaci biografii Daniela Shipstone, oraz wersję nieoficjalną, przy której widniała uwaga: „z niezależnych źródeł”. Oprócz tego maszyna podała jeszcze kilka innych pozycji.

Poleciałam wydrukować obie książki oraz pozostałe źródła, jeśli miały poniżej czterech tysięcy słów, lub streścić je, jeśli były bardziej obszerne. Następnie przyjrzałam się liście korporacji:

Towarzystwo Gospodarcze Daniela Shipstone,

Laboratoria Badawcze Muriel Shipstone,

Shipstone Tempe,

Shipstone Gobi,

Shipstone Aden,

Shipstone Sahara,

Shipstone Africa,

Shipstone Dolina Śmierci,

Shipstone Karoo,

Kompania Holdingowa Coca-Cola,

Korporacja Transportu Wewnątrzplanetarnego,

Shipstone Nigdy-Nigdy,

Shipstone Ell-Cztery,

Shipstone Ell-Pięć,

Shipstone Baza Stacjonarna,

Shipstone Tycho,

Shipstone Ares,

Shipstone Głęboka Woda,

Shipstone Unlimited, Ltd.,

Sears-Montgomery Inc.,

Fundacja Badawcza „Prometeusz”,

Szkoła Billa Shipstone Dla Dzieci Z Wadami Rozwoju,

Jack & Beanstalk Co.,

Towarzystwo Morgana,

Pozasystemowa Korporacja Kolonialna,

Rezerwat Przyrodniczy Przełomu Wilczego Potoku,

Muzeum i Szkoła Sztuk Pięknych Shipstone.

Patrzyłam na te nazwy bez specjalnego entuzjazmu. Już przedtem wiedziałam, że cały trust Shipstone musiał być olbrzymi. Teraz miałam wrażenie, iż dogłębne poznanie całego tego monstrum byłoby zajęciem na całe życie. Napędy nie interesowały mnie aż tak bardzo. Szukałam właśnie jakiegoś punktu zaczepienia, kiedy do pokoju weszła Złociutka, mówiąc, że czas już najwyższy, by wrzucić coś na ruszt.

- Poza tym otrzymałam polecenie dopilnowania, abyś nie spędzała przy terminalu więcej niż osiem godzin dziennie, i byś nie pracowała w weekendy.

- Ach tak! Stary tyran.

Weszłyśmy do jadalni.

- Piętaszku...

- Tak, Złociutka?

- Zauważyłaś pewnie, że Mistrz stał się nieco gderliwy, a czasami wręcz... hmm... trudny.

- Poprawka: z nim zawsze trudno było wytrzymać, lecz ostatnio zrobił się wręcz nie do zniesienia.

- Wszystko przez to, że ból przestał już praktycznie go opuszczać. Na tym etapie lekarstwa przestają działać.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, nim wreszcie dotarło do mnie to, co powiedziała.

- Złociutka, co mu jest?

- Właściwie to nic. Powiedziałabym nawet, że trzyma się nadspodziewanie dobrze... jak na swój wiek.

- A ile on ma właściwie lat?

- Nie wiem. Wiem tylko na pewno, iż ponad sto, lecz ile wynosi to „ponad”, nie mam pojęcia.

- Coś ty? Musisz się mylić. Kiedy zaczęłam dla niego pracować, nie mógł mieć więcej jak siedemdziesiąt. Co prawda już wtedy używał kuł, ale był bardzo zwawy. Poruszał się przy ich pomocy tak szybko jak ty bez nich.

- To nie ma teraz znaczenia. Powinnaś tylko pamiętać, że on cierpi. Jeśli jest dla ciebie szorstki, przemawia przez niego ból.

W rzeczywistości jest do ciebie bardzo przywiązany i nigdy celowo by cię nie zranił.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ach... I tak powiedziałam ci już zbyt wiele o moim pacjencie. Lepiej zabierajmy się do jedzenia, nim wszystko będzie zimne.

Badając korporację Shipstone, nie próbowałam nawet zagłębiać się w teorię budowy samych Napędów. Sposobem - jedynym sposobem - na rozpracowanie owego zagadnienia byłby powrót do szkoły, zrobienie doktoratu z fizyki, ukończenie intensywnych studiów podoktoranckich z zakresu plazmy i ciał stałych, a następnie otrzymanie pracy w jednej z kompanii Shipstone i wywarcie tam swoim geniuszem, lojalnością i poświęceniem takie wrażenie, by dostać się do kręgu wtajemniczonych, sprawujących kontrolę nad produkcją i jakością Napędów.

Wszystko to wymagałoby co najmniej dwudziestu lat i powrotu do okresu dojrzewania. Nie sądziłam, aby Szef oczekiwał ode mnie odbycia tak długiej podróży.

Pozwólcie więc, że zacytuję kilka zdań z oficjalnej historii i materiałów propagandowych:

Prometeusz - Krótka Biografia oraz Zwięzła Ocena Nieślychanych Odkryć Daniela Thomasa Shipstone, Profesora Nauk Przyrodniczych, Magistra Nauk Humanistycznych, Doktora Filozofii, Doktora Praw oraz Dobroczynca, który wynalazł Zbawienny System. „...w ten sposób młody Daniel Shipstone udowodnił bezsprzecznie, iż problem nie leży w niedostatku energii, lecz w metodach jej uzyskiwania i transportowania. Energia jest wszędzie - w promieniowaniu słonecznym, w ruchach mas powietrza, które nazywamy wiatrem, w górskich rzekach i strumieniach, w kaloriach wydzielanego ciepła - skądkolwiek by ono nie pochodziło - w węglu, w ropie naftowej, w rudach pierwiastków promieniotwórczych, w roślinach zielonych. Szczególnie w głębinach oceanów i w zewnętrznych warstwach atmosfery kryje się niewykorzystana energia w ilościach przekraczających ludzką wyobraźnię.

Ci, co mówią o „deficycie energii” i o „racjonowaniu energii” po prostu nie są w stanie zrozumieć owej sytuacji. Z nieba leci manna - wystarczy tylko postawić miski. Za radą swej oddanej żony Muriel (z domu Greentree), która powróciła do pracy, by na stole Shipstone’ów nie zabrakło jedzenia, młody Daniel odszedł z General Atomics. Taki był początek kariery człowieka, który stał się ucieleśnieniem jednego z amerykańskich mitów: bohatera-wynalazcy z sutereny. Siedem długich i ponurych lat później skonstruował ręcznie pierwszy Napęd. Wynalazł...”

To, co wynalazł, było sposobem zmagazynowania tak wielkiej ilości kilowatogodzin w urządzeniu o tak małej objętości i masie, że dotychczas żaden inżynier nawet o tym nie śnił. Nazwać to „udoskonaloną baterią” (co robiono we wcześniejszych ocenach) to to samo, co mówić o bombie wodorowej jako o „udoskonalonej petardzie”. Wynalazek Shipstone’a oznaczał zupełny upadek największego (obok zinstytucjonalizowanej religii) przemysłu zachodniego świata.

Aby opowiedzieć, co działo się później, muszę sięgnąć do nieoficjalnej historii i pozostałych źródeł niezależnych - po prostu trudno uwierzyć w tę słodką i przezystą wersję korporacji. Oto kilka zdań, które miała ponoć wyrzec Muriel do swego męża:

- Dany, skarbie, nie zamierzasz chyba opatentować tego wynalazku? Co by ci to dało? Co najwyżej siedemnaście lat... podczas których będą cię ściagać nawet na końcu tego świata. Jeśli opatentujesz to lub choćby tylko spróbujesz to zrobić, Edison, P.O. & E. i Standard Co. natychmiast zablokują cię nakazami, zakazami, wytoczą ci kilka procesów, oskarżą o pogwałcenie prawa i Bóg wie co jeszcze. A przecież sam mówiłeś, że możesz oddać jedno ze swoich urzędzeń najlepszemu zespołowi badawczemu laboratoriów G.A. i że jedyne, co będą mogli zrobić, to stopić go, o ile przedtem nie wysadzą sami siebie w powietrze. Czy to miałeś na myśli?

- Oczywiście. Skoro nie wiedzą, jak umieścić...

- Szszsz! Nie chcę wiedzieć. A ściany mają uszy. Nie potrzebna nam reklama. Zaczniemy po prostu produkować. Wszędzie tam, gdzie energia jest dziś najtańsza. Gdzie tak jest?

Dalej autor powyższych sensacji szeroko rozpisywał się o „okrutnym, bezdusznym monopolu” utrzymywanym przez kompleks Shipstone, zerującym na podstawowych

potrzebach „wszystkich naiwnych ludzi”. Jakoś nie bardzo potrafiłam przedstawić sobie ów problem w takim świetle. Daniel Shipstone wraz z przyjaciółmi sprawił po prostu, iż to, co kiedyś było drogie i coraz trudniej dostępne, stało się tanie i dostępne praktycznie w sposób nieograniczony. Czy na tym polegać miały „okrucieństwo” i „bezdusznosc”?

Shipstone nie ma monopolu na energię. Nie posiada kopalni węgla ani rudy uranu,

szybów naftowych lub choćby hydroelektrowni. Owszem, kompanie tego kompleksu

dzierżawią wiele, wiele hektarów pustynnych terenów... Lecz dla innych pozostało jeszcze parę milionów kilometrów kwadratowych wypalanego przez słońce piasku. Co zaś tyczy źródła, Shipstone korzysta z energii słonecznej. Jest jej tyle, iż ludzkość nie jest w stanie przechwycić nawet ułamka procenta tej jej części, która dociera do Ziemi. Sami spróbujcie obliczyć, inaczej mi nie uwierzycie.

Na czym więc polegała zbrodnia, jakiej dopuściła się korporacja?

Była ona podwójna:

Po pierwsze, kompanie Shipstone winne są dostarczania ludzkości energii po cenach znacznie niższych od tych, które oferują ich konkurenci.

Po drugie, kierując się wstrętnym egoizmem i żądzą zysku uparcie odmawiają podzielenia się tajemnicą ostatecznej fazy produkcji Napędów.

To ostatnie jest w oczach wielu ludzi szczególnie karygodne. Mój terminal wygrzebał całą stertę publikacji dotyczących „prawa ludzi do tego, by wiedzieć”, kilka o „zuchwalstwie gigantycznych monopolii” oraz wiele innych manifestów słusznego oburzenia.

Kompleks Shipstone jest rzeczywiście gigantyczny - owszem - bo dostarcza energii miliardom ludzi, którzy jej potrzebują. Każdego roku więcej. Nie jest jednak z pewnością monopolem, nie posiadając żadnego źródła energii, a jedynie magazynując ją i dostarczając każdemu, kto sobie tego życzy. Owe miliardy klientów mogą spowodować, iż cała korporacja zbankrutuje dosłownie z dnia na dzień. Wystarczy, że powrócą do starych metod - do spalania węgla, drewna, ropy naftowej, „spalania” uranu i przesyłania uzyskanej w ten sposób energii transkontynentalnymi liniami energetycznymi z aluminium lub miedzi.

Nikt jednak nie tęsknił za czasami, kiedy krajobraz był zeszpecony aż po horyzont na nieskończoną ilość sposobów, powietrze przesiąknięte było cuchnącymi wyziewami, substancjami rakogennymi i wszechobecną sadzą, kiedy podający się za ekologów głupcy straszili widmem awarii elektrowni atomowych, a energia była droga i coraz trudniej dostępna. Nie, nikt nie chciał, by powróciła tamta ponura rzeczywistość. Nawet najwięksi kontestatorzy domagali się energii taniej i w nieograniczonej ilości. Lecz nadal istnieli ludzie pragnący, by kompanie Shipstone odeszły w zapomnienie.

„Prawo ludzi do tego, by wiedzieć”? Wiedzieć c o ?! Daniel Shipstone, uzbroiwszy się najpierw w potężną wiedzę z zakresu wyższej matematyki i fizyki ciał stałych, zamknął się w swojej suterence i poświęcił żmudnym badaniom praw natury, by wreszcie po siedmiu długich i pełnych wyrzeczeń latach skonstruować swój pierwszy Napęd. Nikt nie zabrania żadnemu spośród owych „ludzi” zrobienia tego samego - wynalazek nie został nawet opatentowany. Z praw natury korzystać mogą w równym stopniu wszyscy, łącznie z zapchlonymi Holendrami, którzy trzęsą się teraz z zimna.

W tym przypadku cały problem z „prawem ludzi do tego, by wiedzieć” przypomina

bardzo prawo do zostania wirtuozem fortepianu dla kogoś, kto nie nie przejawia najmniejszej ochoty, by nauczyć się grać na fortepianie.

Lecz ja, nie będąc człowiekiem i nie dysponując nigdy żadnymi prawami, nie potrafię być może osądzić tej kwestii w sposób obiektywny.

Wolicie przesłodzoną wersję korporacji, czy też jadowitą wersję nieoficjalną?

Podstawowe fakty dotyczące historii Daniela Shipstone i stworzonego przezeń konsorcjum przemysłowego są powszechnie znane i nie dadzą się podważyć. Tego, co mnie zaskoczyło (a właściwie wstrząsnęło mną), dowiedziałam się dopiero wówczas, kiedy zaczęłam zagłębiać się w szczegóły dotyczące struktury organizacyjnej, posiadanego majątku i metod zarządzania.

Pierwsze skojarzenia podsunął mi ów podstawowy wydruk, z którego dowiedziałam się, jak wiele kompanii, nie mających w swej nazwie słowa „Shipstone”, wchodzi w skład tego kompleksu. Nie miałam pojęcia, że nawet pracownicy Coca-Coli podpisują umowę... z Shipstone!

Według lana Acapulco zostało zmiecione z powierzchni Ziemi na rozkaz Korporacji Transportu Wewnętrzplanetarnego. Jeśli miał rację, oznaczało to, iż jedna czwarta miliona niewinnych obywateli tego miasta została wymordowana z polecenia ludzi stojących na czele... Shipstone! Czy to możliwe? Czy mogli to zrobić ci sami ludzie, za sprawą których powstały najlepsze na świecie szpitale i szkoły dla dzieci z wadami rozwoju? A Sears-Montgomery? Do diabła - sama posiadałam kilka akcji Sears-Montgomery! Czyżbym dzięki temu ponosiła część winy za zrównanie Acapulco z powierzchnią ziemi?

Zażądałam od komputera, by podał nazwy wszystkich firm nie należących do Shipstone, w zarządach których zasiadywali ludzie mający wpływ na decyzje podejmowane wewnątrz Shipstone. Rezultaty były tak wstrząsające, że natychmiast wydałam komputerowi polecenie wydrukowania listy wszystkich posiadaczy, skupiających w swych rękach jeden lub więcej procent akcji uprawnionych do głosowania w którejkolwiek z kompanii należących do Shipstone.

Następne trzy dni spędziłam na uporządkowywaniu, selekcji i szukaniu jak najlepszego sposobu przedstawienia potężnej ilości danych, które otrzymałam w odpowiedzi na te dwa pytania.

Czwartego dnia miałam już konkretne wnioski:

a) kompleks Shipstone stanowi w całości jedną kompanię, i tylko z pozoru jest to dwadzieścia osiem odrębnych organizacji.

b) zarząd i/lub akcjonariusze kompleksu Shipstone są posiadaczami lub sprawują kontrolę nad wszystkimi ważniejszymi instytucjami we wszystkich ważniejszych państwach wewnątrz Systemu Słonecznego.

c) Shipstone jest potencjalnie wszechglobalnym (wszechsystemowym?) rządem. Na podstawie otrzymanych danych nie byłam w stanie stwierdzić, czy tak właśnie działał, czy też nie, gdyż kontrolę (o ile była ona stosowana), mógł sprawować poprzez zupełnie inne kompanie, nie będące oficjalnie częścią imperium Shipstone.

d) wszystko to przerażało mnie.

Coś, co zwróciło moją uwagę w powiązaniach jednej z kompanii Shipstone (Morgan Associates), skłoniło mnie, by zająć się również bankami i towarzystwami kredytowymi. Nie byłam zaskoczona, tylko raczej przygnębiona, stwierdziwszy, iż kompania, udzielająca mi

obecnie kredytu (Kalifornijska MasterCard) i kompania, która udzielała mi gwarancji kredytowych (Towarzystwo Akceptacyjne Ceres i Afryki Południowej), to właściwie jedna i ta sama organizacja, podobnie zresztą jak Mapple Leaf, Visa czy Credit Quebec. W zasadzie nie powinno to stanowić dla mnie żadnej rewelacji; teoretycy finansowości twierdzili tak odkąd tylko sięgam pamięcią. Jednak dopiero teraz, gdy zobaczyłam na ekranie przed sobą, jak często powtarzają się nazwiska prezesów i posiadaczy kontrolnych pakietów akcji, zrozumiałam to, o czym dotychczas jedynie wiedziałam.

Pod wpływem jakiegoś impulsu wystukałam nagle na klawiaturze: „Kto jest twoim właścicielem?”

„Komendy lub programu nie zrozumiano” - padła odpowiedź.

Ponownie sformułowałam pytanie, uważając tym razem, by była ona zgodna z językiem maszyny.

Ponownie: „Komendy lub programu nie zrozumiano”.

Postanowiłam spróbować go przechytryć. Zadałam mu raz jeszcze to samo pytanie, formułując je krok po kroku ściśle według zasad komputerowego języka, komputerowej gramatyki i komputerowej składni: „Co jest dyspozytorem dla sieci przetwarzającej informacje, która ma terminale w całej Kanadzie Brytyjskiej?”

Odpowiedź została wyświetlona na ekranie, zamigotała kilka razy i zniknęła - a zniknęła bez mojego polecenia.

„Poszukiwanych danych nie ma w moim banku pamięci”.

* * *

Następnego ranka podczas śniadania poinformowano mnie, że punktualnie o jedenastej mam się zameldować u Szefa. Byłam tym nieco zaskoczona. Według mnie od naszego ostatniego spotkania nie upłynęło jeszcze wystarczająco dużo czasu, bym mogła uporać się z postawionymi przede mną zagadnieniami.

Gdy weszłam do gabinetu, Szef podał mi list. Przypominał on trochę staromodną pocztę - włożony był do koperty, na której następnie umieszczono pieczęć łąkową. Poznałam ten list, bo sama go wysłałam - do Janet i Iana. Nie ukrywałam zdziwienia, widząc go w rękach Szefa, tym bardziej, że adres zwrotny był fałszywy.

Przyjrzałam się mu dokładniej i stwierdziłam, że został readresowany na pewną firmę prawniczą w San Jose. Tę samą, z którą miałam się skontaktować, by odnaleźć Szefa. „Pixies”.

- Jeśli chcesz, możesz go u mnie zostawić. Wyślę go do kapitana Tormeya... gdy tylko dowiem się, gdzie go szukać.

- Kiedy będzie pan to wiedział, napiszę drugi list. Ten tutaj miał być czymś w rodzaju zasłony dymnej.

- Postawionej ze sporym znanstwem problemu.

- Czytał go pan?! Szefie, tego już za wiele.

- Czytam wszystko, co jest przysyłane na adres kapitana Tormeya, jego żony i doktora Perreault... na ich wyraźne życzenie.

- Rozumiem. - (Dlaczego, do diabła, nikt mi tu nic nie mówi?) - Napisałam go tak a nie inaczej, spodziewając się, iż policja w Winnipeg może zechcieć go otworzyć.

- Zrobili to bez wątpienia. Myślę, że postąpiłaś bardzo rozważnie. Przepraszam, że nie

powiedziałem ci, iż cała poczta wysyłana na ich adres jest natychmiast dostarczana mnie. Lecz jeśli przechodzi też przez ręce policji, to naprawdę nie wiem, gdzie mogą teraz być Tormeyowie. Mam jednak pewien sposób, by się z nimi skontaktować... ale mogę go użyć tylko raz. Zamierzam posłużyć się nim dopiero wtedy, kiedy policja zrezygnuje z wszystkich oskarżeń przeciwko nim. Spodziewałem się tego już przed tygodniem, jednak jak na razie nic się nie zmieniło. Wnoszę stąd, iż policja w Winnipeg z jakiejś przyczyny postanowiła konsekwentnie utrzymywać, że porucznik Dickey zaginął w domu Tormeyów i że jest to powód, by oskarżyć ich o morderstwo. Pozwól, że zapytam raz jeszcze: czy istnieje możliwość odnalezienia ciała?

Ponownie zastanowiłam się nad tym, starając się wziąć pod uwagę „najgorsze z możliwych” okoliczności.

- Szeffie, czy policja przeszukiwała dom?

- Oczywiście. Zjawili się tam dzień po tym, jak zniknęli właściciele.

- W takim razie nie znaleźli ciała przynajmniej do ranka tego dnia, kiedy się tutaj zameldowałam. Jeśli znaleźliby je po tej dacie lub wrócili, by je znaleźć - czy wiedziałby pan o tym?

- Najprawdopodobniej tak. Moje wtyki w tamtejszej policji są mniej niż doskonałe, lecz płacę wystarczająco dużo, by informacje docierały do mnie szybko.

- Czy nie wie pan, co się stało ze zwierzętami? Cztery konie, kotka i pięć kociąt, świnka, może jeszcze parę innych?

- Piętaszku, do czego zmierzasz?

- Szeffie, sama nie wiem dokładnie, w jaki sposób ukryto ciało. Ale Janet -
pani

Tormey - jest architektem, specjalistką od podwójnego aktywnego systemu bezpieczeństwa budynków. To, co zrobiła ze zwierzętami, mogłoby wskazać, czy liczyła się z możliwością odnalezienia ciała, czy też była przekonana, że możliwość taka nie istnieje.

Szef zapisał sobie coś w notatniku.

- Wrócimy do tego tematu później. Teraz powiedz mi, czego dowiedziałaś się o oznakach zmięzchu kultur.

- Szeffie, na miłość boską! Nie zdążyłam jeszcze nawet zbudować pełnego modelu kompleksu Shipstone.

- I nigdy nie uda ci się go zbudować. Otrzymałaś dwa tak różne zadania jednocześnie, byś mogła zmieniać tempo, dając tym samym odpocząć myślom. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nie myślałaś nawet nad drugim zagadnieniem, które kazałem ci zbadać.

- Myślenie jest w zasadzie jedyną rzeczą, jaką zrobiłam w tej sprawie. No, czytałam jeszcze „Historię Rewolucji Francuskiej” i „Od Yalu do przepaści” Smitha.

- Strasznie doktrynerskie podejście. Przeczytaj też Penna „Ostatnie dni Słodkiej Krainy Wolności”.

- Tak, sir. Zaczęłam już dostrzegać pewne prawidłowości. To zły znak, gdy ludzie w jakimś kraju zaczynają identyfikować się z pewną grupą. Mam na myśli na przykład grupy rasowe. Lub wyznaniowe. Lub językowe. Jakiegokolwiek, które nie są całą populacją zamieszkującą ów kraj.

- Bardzo zły znak. Partykularyzm. Po raz pierwszy wadę tę dostrzeżono u Hiszpan, lecz nie ma państwa, któremu nie zagrażałaby owa choroba.

- Nie znam Hiszpanii zbyt dobrze. Jednym z symptomów wydaje się być dominacja mężczyzn nad kobietami. Sądzę, że odwrotna sytuacja również byłaby możliwa, ale nigdy jeszcze nie słyszałam o czymś takim. Dlaczego nie, Szefie?

- Ty mi to powiedz. Mów dalej.

- O ile udało mi się dowiedzieć, to zanim dojdzie do jakiegokolwiek rewolucji, ludzie muszą utracić zaufanie zarówno do policji, jak i do sądów.

- To elementarne. Kontynuuj.

- No... Nie mniej istotne jest też wysokie opodatkowanie, taka sama inflacja oraz proporcje ludności produkcyjnej do tej, która utrzymywana jest przez budżet. Ale to stara śpiewka; wszyscy wiedzą, że kiedy wydatki jakiegoś państwa przekraczają jego dochody i stan taki przedłuża się, państwo to zaczyna się staczać po równi pochyłej. Ja jednak zaczęłam szukać niewielkich oznak, nazywanych przez niektórych symptomami przejściowymi. Czy wie pan na przykład, że tutaj naruszeniem prawa jest przebywanie nago poza swoim własnym domem? Lub nawet we własnym domu, jeśli ktokolwiek może to zobaczyć?

- A jakież to ma według ciebie znaczenie? Podejrzewam, iż raczej trudno wyegzekwować przestrzeganie owego prawa.

- Och, nikt się tego nie domaga! Jednak z drugiej strony przepis ten nie może zostać odwołany. W Kalifornijskim Kodeksie Karnym wręcz roi się od podobnych paragrafów. Według mnie martwe przepisy prawne, których nie można znieść, osłabiają działanie całego prawa. Czy wiadomo panu, Szefie, że Konfederacja Kalifornijska subsydiuje prostytucję?

- Nie miałem o tym pojęcia. Do jakiego stopnia? Dla armii? Dla więźniów? Czy może jako działalność społecznie użyteczną? Muszę przyznać, iż jestem nieco zaskoczony.

- Och, chodzi o coś wręcz przeciwnego! Rząd płaci prostytutkom za to, żeby trzymały kolana razem. Po prostu niweluje „nadpodaż” na tym rynku. prostytutki są szkolone, badane, wydaje się im licencje - i wysyła na zasiłki. Tylko że skutek jest odwrotny do oczekiwanego. Pojawiło się jeszcze więcej „nadwyżkowych artystek” skuszonych zasiłkami, a te, które handlowały tyłkami dotychczas, robią to dalej, nie gardząc przy okazji forszą z państwowej kasy. Dzięki temu kurczy się rynek dla niesubwencionowanych dziewczek. Więc związek zawodowy prostitutek, który chcąc podwyższyć swój prestiż przeforsował ten pierwszy przepis, próbuje teraz opracować system poręczeń i gwarancji, mających zatkać dziurę w przepisach o subwencionowaniu. I to także nie będzie działać.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Szefie, prawo mające powstrzymać przyływ będzie zawsze martwym prawem;

to

słowa króla Wikingów, Kanuta. Z pewnością zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Chciałem się upewnić, że to rozumiesz.

- Ktoś mnie tu chyba obraża. Ale niech tam. Następna sprawa: W konfederacji Kalifornijskiej bezprawiem jest odmówienie udzielenia komukolwiek kredytu jedynie dlatego, że jest bankrutem. Kredyt jest jednym z podstawowych praw każdego obywatela.

- Rozumiem, że to także nie działa. Nie wiem tylko, jaką formę przybiera odmowa.

- Ja też jeszcze do tego nie doszłam. Sądzę jednak, że „pokrzywdzeni” nie mają większych szans, przy przekupywaniu sędziego. Chcę jeszcze wspomnieć o kilku najbardziej oczywistych symptomach. Przemoc. Gwałty. Strzelanie z za węgła. Podkładanie ognia. Zamachy bombowe. Terrorizm, w jakiegokolwiek by nie występował postaci. Bunty i

rozruchy. Podejrzewam jednak, że drobne akty przemocy, nękające ludzi dzień za dniem, są bardziej szkodliwe niż bunty i rozruchy, które wybuchają nagle i szybko wygasają. I to chyba na razie wszystkie wnioski, jakie zdążyłam wysnuć. Och, jest jeszcze oczywiście przymusowe wcielanie do armii, niewolnictwo, wtrącanie do więzień bez oskarżenia, czy choćby nawet przesłuchania - lecz to są sprawy oczywiste. Można o nich przeczytać w każdym podręczniku historii.

- Mam wrażenie, Piętaszku, że pominęłaś najbardziej ze wszystkich alarmujący symptom.

- Tak? Czy zamierza mi pan powiedzieć, jaki? Czy też mam nadal szukać po omacku jak ślepiec?

- Hmm... Tym razem powiem ci. Ale wróć do tego tematu i przekonaj się sama. Chore kultury wykazują cały ów kompleks objawów, które wymieniłaś... lecz umierające kultury zawsze i nieuchronnie odkrywają ludzkie okrucieństwo. Złe obyczaje. Brak szacunku. Zanik uprzejmości. Oto rzeczy bardziej znamienne niż przemoc, rozpusta i rozruchy.

- Czyżby?

- Powinienem był zmusić cię, abyś sama do tego doszła, wtedy nie miałabyś wątpliwości. Objaw ten jest szczególnie poważny, bo w każdym indywidualnym przypadku brany jest za dowód siły i twardego charakteru, a nie choroby. Radzę ci, byś się temu uważnie przyjrzała. A teraz posłuchaj mnie. Jest już zbyt późno, by ocalić tę kulturę. Mam na myśli całą planetę, a nie jedynie jej skrawek stanowiący Konfederację Kalifornijską. Dlatego musimy przygotować się na nadejście Mrocznego Wieku. Elektroniczne nagrania są zbyt delikatne. Musimy znowu mieć drukowane książki. Papier i atrament są trwalsze niż ładunki elektryczne. Ale to może się okazać niewystarczające. Baza, rezerwuar wiedzy dla przyszłego renesansu będzie być może musiał nadejść z gwiazd. - Szef przerwał na chwilę, oddychając ciężko. - Piętaszku...

- Tak, sir?

- Zapamiętaj to nazwisko i adresy. - Jego palce przez moment stuknęły po klawiszach konsoli. W odpowiedzi na ekranie pojawiło się kilka rzędów liter. Zapamiętałam je. - Zrobiłaś, o co cię prosiłem?

- Tak, sir.

- Czy mam to powtórzyć dla sprawdzenia?

- Nie trzeba, sir.

- Jesteś pewna?

- Może pan powtórzyć, jeśli pan sobie tego życzy.

- Hmm... Piętaszku, czy byłabyś tak dobra i nalałabyś mi filiżankę herbaty, zanim wyjdiesz? Zdaje mi się, że moje dłonie nie są dziś w pełni sprawne.

- Z przyjemnością, sir.

Rozdział XXIV

Ani Złoci u tka, ani Anna nie zjawiły się następnego dnia na śniadaniu. Jadłam więc sama, a zatem szybko - mitrząc czas przy stole jedynie wówczas, gdy znajduję się w towarzystwie. Kończyłam właśnie i miałam wstać, gdy z głośników pod sufitem wydobył się głos Anny.

- Proszę o uwagę. Przypadł mi przykry obowiązek powiadomienia was, że dziś w nocy zmarł nasz Szef. Na jego osobiste życzenie nie będzie żadnych uroczystości pogrzebowych. Ciało zostało poddane kremacji. O godzinie dziewiątej w dużej sali konferencyjnej odbędzie się spotkanie poświęcone zakończeniu naszej działalności i likwidacji spraw tej kompanii. Wszyscy proszeni są o obecność i punktualność.

Czas, jaki pozostał do godziny dziewiątej, spędziłam zamknięta w swoim pokoju, płacząc. Dlaczego? Pewnie było mi żal samej siebie. Jestem pewna, że tak właśnie określiliby to Szef. On sam nigdy nie rozczulał się nad sobą, nie rozczulał się nade mną i nieraz zbeształ mnie za okazywanie słabości. Biadolenie nad swoim losem, jak mawiał, jest najbardziej demoralizującą spośród wszystkich wad.

A jednak było mi siebie żal. Zawsze się z nim sprzeczałam, nawet wtedy, kiedy podarł mój kontrakt i uczynił mnie Wolną Osobą po tym, jak od niego uciekłam. Nagle przekonałam się, że żałuję wszystkich tych zuchwałych, bezczelnych odpowiedzi, na które tyle razy sobie pozwalałam.

Potem przypomniałam sobie, że Szef z pewnością nie chciał, abym była pokorna. Nie cierpiał ludzi kładących uszy po sobie, łatwo uginających kark i nie mających własnego zdania. Musiał być taki, jaki był, a ja musiałam postępować tak, jak postępowałam.

Przeżyliśmy blisko siebie tyle lat i nigdy nawet nie podaliśmy sobie dłoni. Dla Piętaszka to swego rodzaju rekord. Jeden z tych, których nie zamierzam nigdy pobić.

Ciekawa jestem, czy wtedy, przed laty, gdy zaczynałam dla niego pracować, wiedział, jak szybko przytuliłabym się do jego policzka, gdyby mnie do tego zachęcił.

Najprawdopodobniej wiedział. Możliwe, że pomimo iż nigdy nie dotknęłam nawet jego dłoni, był jedynym ojcem jakiego miałam.

W dużej sali konferencyjnej panował spory tłok. Przy posiłkach nigdy nie widziałam nawet połowy takiej liczby ludzi. Niektóre twarze były mi zupełnie obce. Doszłam do wniosku, że część spośród obecnych musiała zostać zawiadomiona jeszcze w nocy i udało im się szybko tu dotrzeć. Przy stole ustawionym w przeciwległym końcu sali siedziała Anna z kimś, kogo nie widziałam nigdy przedtem. Przed Anną stał duży przekaźnik terminalowy, a obok leżał papierowy skoroszyt pełen jakichś dokumentów i przybory biurowe. Nieznajomą była kobieta mniej więcej w tym samym wieku, co Anna. Na wieku jednak kończyło się całe podobieństwo między nimi. Nieznajoma przypominała surowego belfra i nie było w niej ani odrobiny tego ciepła, jakie emanowało zawsze od Anny.

Dwie sekundy po dziewiątej głośno stuknęła dłonią o stół.

- Proszę o ciszę! Jestem Rhonda Wainwright, Samodzielny Wiceprezes tej kompanii

oraz następcą po zmarłym doktorze Baldwinie. Jako taka jestem również jej szefem pro tem oraz skarbnikiem powołanym w celu zamknięcia naszych spraw. Każdy z was wie, iż do pracy na rzecz kompanii zobowiązał się kontraktem podpisanym osobiście z dr. Baldwinem... Czy ja podpisałam kiedykolwiek taki kontrakt? Nie, ja zostałam otumaniona przez

„zmarłego dr. Baldwina”. Ciekawe, czy tak brzmiało prawdziwe nazwisko Szefa. I jak to się stało, że było ono takie samo, jak nom de guerre, którym posługiwałam się najczęściej. Czy to on je wybrał? Upłynęło już tyle lat...

- ...gdyż teraz wszyscy jesteście niezależnymi agentami. Stanowimy elitarny zespół, dlatego dr Baldwin spodziewał się, iż każda samodzielna kompania w Ameryce Północnej z chęcią przyjmie was w swoje szeregi, gdy tylko jego śmierć zwolni was od obowiązków wobec niego. W każdym z pokojów narad oraz na korytarzu oczekują agenci werbunkowi. Teraz zostaną po kolei odczytane wasze nazwiska. Po usłyszeniu swojego proszę podejść tutaj, by odebrać swój depozyt oraz pokwitować odbiór. Po dopełnieniu formalności proszę sprawdzić zawartość, lecz nie robić, powtarzam: nie robić tego przy stole i nie próbować wszczynać dyskusji. Na ewentualne rozwikłanie wszelkich wątpliwości będzie czas, kiedy wszyscy pozostali odbiorą swoje depozyty. Proszę pamiętać, że pracowałam przez całą noc... Wynając się do pracy w innej niezależnej kompanii? Tak od razu? Czy było to konieczne? Czy rzeczywiście byłam bez grosza? Całkiem możliwe, jeśli nie liczyć tego, co pozostało z owych dwustu tysięcy bruinów wygranych na loterii. W dodatku większość z tej sumy musiałam zwrócić Janet z racji korzystania z jej karty kredytowej. Niech policzę: wygrałam dwieście i cztery dziesiąte grama czystego złota, które zdeponowałam w MasterCard w postaci dwustu tysięcy bruinów, skredytowanych jako złoto po kursie dnia. Podjęłam trzydzieści sześć gramów jako gotówkę i... No tak, ale musiałam jeszcze doliczyć mój drugi rachunek - ten w Banku Imperialnym w Saint Louis. Oraz kartę kredytową i gotówkę, którą byłam winna Janet. I połowę tego, co Georges zapłacił za... Ktoś wywoływał moje nazwisko.

Była to Rhonda Wainwright. Wyglądała na nieco zirytowaną.

- Proszę uważać, panno Piętaszek. Oto pani depozyt. Proszę tutaj pokwitować odbiór.

A potem proszę odsunąć się na bok i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Zerknęłam na podsunięty mi formularz.

- Najpierw sprawdzę, potem podpiszę.

- Panno Piętaszek, pani blokuje innych i wprowadza zamieszanie.

- Odsunę się na bok. Ale niczego nie podpiszę, zanim nie przekonam się, że zawartość depozytu zgadza się z tym, co widnieje na formularzu odbioru.

- Wszystko jest w porządku - odezwała się uspokajająco Anna. - Sama sprawdzałam.

- Dzięki - odrzekłam. - Pozwolisz jednak, że potraktuję to tak samo, jak ty traktujesz poufne dokumenty: „najpierw weź do ręki i sprawdź”.

Rhonda Wainwright najwyraźniej miała ochotę utopić mnie we wrzącym oleju. Mimo wszystko odeszłam kilka metrów od stolika i wzięłam się do przeglądania zawartości depozytu. Był to całkiem słusznych rozmiarów pakiecik: Trzy paszporty na trzy nazwiska, wybór Dowodów Tożsamości, komplet dokumentów dotyczących każdej z tożsamości, wyglądających tak prawdziwie jak najprawdziwsze oraz książeczka czekowa wystawiona „Marjorie Piętaszkowi Baldwin” przez Towarzystwo Akceptacyjne Ceres i Afryki Południowej z siedzibą w Luna City. Rachunek opiewał na dwieście dziewięćdziesiąt siedem i trzy dziesiąte grama złota próby 0,999, co było dla mnie sporym zaskoczeniem. Nie takim jednak, jak następny dokument, jaki wzięłam do ręki. Był to dowód adopcji dziecka płci żeńskiej, któremu nadano nazwisko M.P. Baldwin, podpisany przez Hartleya M. Baldwina i

Emmę Baldwin. Dokument wystawiono w Baltimore w stanie Maryland w Związku Atlantyckim. Nic na temat Wychowalni Landsteinera albo Johna Hopkinsa, lecz data zgadzała się z datą opuszczenia przeze mnie Wychowalni Landsteinera.

Znalazłam jeszcze dwa odpisy aktów urodzenia. Jeden dotyczył Marjorie Baldwin, urodzonej w Seattle, a drugi - Piętaszka Baldwin, urodzonej przez Emmę Baldwin w Bostonie. Dwie rzeczy były pewne co do obu tych dokumentów: że jeden i drugi był fałszywy oraz że na jednym i drugim można było polegać w stu procentach. Szef nigdy nie załatwiał niczego połowicznie.

- Wszystko się zgadza, Anno - powiedziałam, podchodząc ponownie do stołu.

Wzięłam pióro i podpisałam formularz. Odbierając go ode mnie, Anna pochylila się i szepnęła:

- Musimy porozmawiać, jak tylko skończę.

- Dobra. Gdzie?

- Znajdź Złociutką.

- Panno Piętaszek! Proszę zwrócić swoją kartę kredytową. - To była znowu ta Wainwright.

- Ach! Oczywiście. - Miała rację. Po śmierci Szefa i rozwiązaniu kompanii nie mogłam dalej używać karty kredytowej wystawionej przez Bank Imperialny w Saint Louis. -

Proszę, oto ona.

Sięgnęła po nią, lecz ja cofnęłam dłoń.

- Poproszę o dziurkacz albo nożyce.

- Och, niech pani da spokój! Spalę pani kartę razem z wszystkimi pozostałymi, gdy tylko sprawdzę i spiszę numery.

- Pani Wainwright; jeśli mam oddać kartę kredytową mogącą sprawić mi w pewnych okolicznościach kłopoty - a właśnie tego pani ode mnie żąda - to zostanie ona zniszczona lub uszkodzona tu i teraz, na moich oczach.

- Zaczyna się pani robić nieznośna. Czy nie ufa pani nikomu?

- Właśnie.

- W takim razie będzie pani musiała poczekać tu, dopóki nie skończymy z wszystkimi pozostałymi.

- Och, nie sądzę, by to było konieczne.

Zdaje się, że kalifornijska MasterCard używa laminatu fenolowo-szklanego.

W

każdym razie ich karty są naprawdę twarde, jak zresztą przystało kartom kredytowym. Nigdy nie starałam się popisywać swymi wyjątkowymi umiejętnościami nawet tutaj, w Kwaterze Głównej. Nie dlatego, bym się czegoś obawiała, lecz dlatego, że byłoby to po prostu niegrzeczne. Teraz jednak okoliczności były wyjątkowe.

Rozdarłam po prostu kartę na dwie części. Tę z wtopionym rzędem liter i cyfr położyłam na stole.

- Myślę, że z tego nadal bez kłopotów odczyta pani numer seryjny.

- Bardzo dobrze! - Była chyba rzeczywiście wściekła. Gdy się odwróciłam zawołała: - Proszę mi oddać jeszcze tę drugą.

- Jaką drugą? - Ciekawa byłam, kto jeszcze z moich przyjaciół został nagle

pozbawiony tej niezbędnej w nowoczesnym świecie rzeczy, jaką była ważna karta kredytowa, i pozostawiony jedynie z czekiem oraz paroma drobnymi w kieszeni. Nieładnie. Szef z pewnością nie tak to zaplanował.

- Mam na myśli kartę kredytową MasterCard... wystawioną przez... Oddział Kalifornijski w San Jose, panno Piętaszek.

- Załatwiłam ją sobie na własną rękę. Ta kompania nie ma z nią nic wspólnego.

- Raczej trudno w to uwierzyć. Kredyt, jakim dzięki niej pani dysponuje, jest gwarantowany przez TAC & AP, czyli mówiąc otwarcie - przez tę kompanię. Kompanię, której sprawy są tu właśnie likwidowane. Proszę więc oddać mi tę kartę.

- Miesza pani pewne rzeczy, komisarzu. To prawda, że wpłata dokonana została przez TAC & AP, lecz kredyt zaciągnęłam ja osobiście i we własnym imieniu. Nic pani do tego.

- Przekonamy się niebawem, komu nic do tego! Pani rachunek zostanie unieważniony!

- Na pani osobiste ryzyko, komisarzu. Uprzedzam, że wytoczę pani proces, po którym zostanie pani naga i bosa. Radzę więc dokładnie sprawdzić fakty, nim zrobi pani cokolwiek w tej sprawie.

Odwrociłam się i wyszłam, nie mając ochoty zamienić z nią ani słowa więcej. Suka!

Tak mnie zirytowała, że na chwilę zapomniałam nawet o śmierci Szefa.

Za drzwiami rozejrzałam się wokół. Złociutka najwyraźniej załatwiła już swoje sprawy. Siedziała i czekała. Zobaczywszy mnie, pomachała w moim kierunku i klepnęła dłonią w siedzenie pustego krzesła, które obok niej stało. Podeszłam i usiadłam.

- Anna powiedziała mi, by się z tobą spotkać.

- W porządku. Zarezerwowałam pokój w Cabana Hyatt w San Jose na dzisiejszą

noc

dla Anny i siebie. Zawiadomiłam też recepcję, że będzie może jeszcze trzecia osoba. Jedziesz z nami?

- Tak natychmiast? Jesteście już spakowane?

Co ja miałam do spakowania? Niewiele. Bagaż, z którym opuszczałam Nową Zelandię, ciągle jeszcze leżał w przechowalni portu w Winnipeg. Prawdopodobnie policja cały czas miała go na oku albo zamontowała jakąś „pluskwę”. Pomyślałam więc, że lepiej niech zostanie tam, gdzie jest. Przynajmniej dopóki nie dowiem się, co z Ianem i Janet.

- Zastanawiałam się, czy nie zostać tu jeszcze na dzisiejszą noc, ale właściwie nie mam po co.

- Każdy może zostać na noc, lecz nie jest to zbyt mile widziane. Zarząd - n o w y Zarząd - chce pozałatwić wszystkie sprawy jeszcze dziś. Lunch będzie ostatnim posiłkiem, jaki zostanie podany. Jeśli ktoś zostanie do jutra, będzie się musiał obejść bez obiadu, kolacji i śniadania.

- Do diabła! Wszystko to nie wygląda na coś, co zaplanowałby Szef.

- Bo tego nie zrobił. Poprzedni partner Mistrza zmarł przed dwoma tygodniami.

Ta

kobieta przejęła po nim schedę. Ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Anna i ja po prostu wyjeżdżamy. Zabierasz się z nami?

- Chyba tak... Tak. Ale najpierw porozmawiam z tymi od werbunku. Będę

potrzebowała nowej pracy, i to raczej szybko.

- Tutaj lepiej jej nie szukać.

- Dlaczego...?

- Ja też muszę znaleźć pracę. Anna ostrzegła mnie jednak, że agenci, którzy tutaj są, wszyscy jak jeden mają układy z La Wainwright. Lepiej więc będzie spróbować na Giełdzie Pracy w Las Vegas. Wszystkie niezależne kompanie właśnie tam mają swoje przedstawicielstwa.

- Hmm... Wygląda na to, że masz rację. A niech to szlag! Nigdy przedtem nie byłam zmuszona szukać roboty.

- Jestem pewna, że dasz sobie radę.

Trzy godziny później byliśmy już w San Jose. Tego dnia pomiędzy Pajaro Sands a National Plaža kursowały non-stop dwa energobile. Wainwright dokładała wszelkich starań, by pozbyć się nas jak najszybciej. Gdy odjeżdżałyśmy, zauważyłam dwa potężne wozy, każdy zaprzężony w sześć koni. Obok, z miną męczennika na twarzy, stał Papa Perry, dozorujący załadunek. Ciekawiło mnie, co stanie się z biblioteką Szefa. Nie sądziłam, bym kiedykolwiek jeszcze miała okazję z niej skorzystać. Szkoda. Nigdy nie będę wielkim mózgiem, lecz ciekawi mnie wszystko wokół, a terminal połączony bezpośrednio z komputerami wszystkich najlepszych na świecie bibliotek stanowi luksus, który naprawdę trudno jest przecenić.

Zobaczywszy, co ładowano do wozów, nagle przypomniałam sobie o czymś, co spowodowało, że nieomal wpadłam w panikę.

- Anno, kto był sekretarzem Szefa?

- Mistrz nie zatrudniał nikogo takiego. Czasami, gdy potrzebował dodatkowej pary rąk, prosił o pomoc mnie. Zdarzało się to jednak niezmiernie rzadko.

- Miał adres, pod którym można się skontaktować z moimi przyjaciółmi: Ianem i Janet Tormey. Nie wiesz nic na ten temat?

- Jeśli nie ma go tutaj - wyjęła ze swojej torby kopertę i podała mi ją - to przepadł. Na długo przed swoją śmiercią dał mi wyraźny rozkaz, bym natychmiast, gdy odda ducha, udała się do jego gabinetu, włączyła terminal i uruchomiła pewien program. Było to polecenie wyczyszczenia pamięci - wiem, choć mi o tym nie powiedział. Wszystkie osobiste i poufne informacje znajdujące się w banku danych zostały skasowane. Czy to, o czym mówisz, ma osobisty charakter?

- Nawet bardzo osobisty.

- W takim razie przepadło. Chyba że jest wewnątrz tej koperty.

Przyjrzałam się jej. Zwyczajna, zapieczętowana koperta. Na wierzchu widniał napis „Piętaszek”, wypisany ręcznie przez Szefa. Poza tym nic szczególnego.

- Powinna znajdować się w twoim pakiecie, lecz wolałam ją stamtąd wyjąć i trzymać przy sobie. Ta suka Wainwright czytała wszystko, co tylko mogło wpaść jej w łapy. Wiedziałam, że to coś osobistego od Pana Dwie Kule... doktora Baldwina; chyba tak powinnam teraz mówić. Nie zamierzałam pozwolić jej, by się do tego dobrała. - Anna westchnęła ciężko. - Pracowałam z nią przez całą noc i nie zabiłam jej. Sama nie wiem, dlaczego.

- Musiałyśmy najpierw mieć jej podpis na wszystkich czekach, oto dlaczego - stwierdziła Złociutka.

Razem z nami jechał jeden z oficerów sztabowych, Burton McNye - cichy mężczyzna, niezwykle rzadko wyrażający swoją opinię na jakikolwiek temat. Tym jednak razem przemówił:

- Szkoda, że się pani powstrzymała. Proszę popatrzeć na mnie: nie mam teraz ani grosza w kieszeni. Zawsze posługiwałem się kartą kredytową. Ta zasmarkana kanciara nie dałaby mi żadnego czeku, zanim nie zwróciłbym swojej karty. A czek można zrealizować jedynie poprzez nasz bank w Luna City. Nie sądzę, by można go było natychmiast zamienić na gotówkę. Może się więc zdarzyć, że dzisiejszą noc spędzę na National Piazza.

- Panie McNye...

- Tak, panno Piętaszek?

- Nie jestem już „panną Piętaszek”. Po prostu Piętaszek.

- W takim razie ja jestem po prostu Burt.

- O’key, Burt. Mam trochę bruinów w gotówce. Mam też kartę kredytową, do której

Wainwright nie mogła się przyczepić, choć bardzo się starała. Ile potrzebujesz?

Uśmiechnął się, wyciągnął dłoń i klepnął mnie w kolano.

- Wszystko, co dotychczas o tobie słyszałem, musi być prawdą. Dzięki, moja droga, ale jakoś sam sobie poradzę. Najpierw pójdę z czekiem do Banku Ameryki. Jeśli nie uda się go tam spieniężyć, może dadzą mi choć zaliczkę na poczet przyszłej wypłaty. Jeśli nie, najlepiej zrobię, udając się prosto do CCC Building, kładąc się na pierwszym lepszym biurku i powiadamiając, iż tylko od jego właściciela zależy, czy znajdę sobie jakieś inne, wygodniejsze łóżko. Do diabła! Ta cholerna suka powinna zadbać, by każdy z nas dostał choć parę setek w gotówce. Nie zrobiła tego celowo, chcąc zmusić choć część z nas do podpisania kontraktu z jej naganiaczami. Jeśli okaże się, że nas wykiwała, odszukam ją i sprawdzę, czy pamiętam jeszcze coś z tego, czego nauczono mnie w czasie szkolenia.

- Burt - odrzekłam - nie radzę ci dotykać prawnika nawet palcem. Jedynym skutecznym sposobem walki z prawnikiem jest wynajęcie drugiego prawnika. Lepszego i bardziej przebiegłego. Posłuchaj, będziemy w Cabana. Jeśli nie uda ci się spieniężyć tego czeku, skorzystaj z mojej propozycji. Dla mnie to żaden problem, jeśli o to ci chodzi.

- Jeszcze raz dzięki, Piętaszku. Chętnie jednak przyduśliłbym nieco panią komisarz, nim przyzna mi rację.

Pokój zarezerwowany przez Złociutka okazał się małym apartamentem. Gdy weszłyśmy do sypialni, naszym oczom ukazało się olbrzymich rozmiarów łóżko z wodnym materacem. Obok, w salonie, stała dodatkowo rozkładana kanapa. Usiadłam na niej i rozdarłam kopertę od Szefa, a Anna i Złociutka poszły wziąć prysznic. Kiedy skończyły, ja też się wykąpałam. Gdy wyszłam z łazienki, obie leżały już w łóżku, a Anna pochrapywała cichutko przez sen. Nic dziwnego - obie były na nogach przez całą noc. Starając się zachowywać tak cicho, jak tylko potrafiłam, usiadłam ponownie na kanapie i zabrałam się do lektury:

Drogi Piętaszku,

Ponieważ jest to ostatnia okazja, czas już najwyższy, byś dowiedziała się o kilku rzeczach, o których nie miałem prawa mówić ci za życia, będąc przede wszystkim twoim pracodawcą.

Po pierwsze: twoja adopcja. Nie możesz jej pamiętać, bo wyglądała ona inaczej, niż wynikałoby to z dokumentów. Przekonasz się jednak, że wszystkie one są legalne. Naprawdę jesteś przybraną córką jedynie dla mnie. Emma Baldwin należała do rzeczywistości w taki sam sposób, jak twoi rodzice z Seattle, to znaczy rzeczywistości stworzonej dla celów praktycznych. W jednej tylko sprawie zachować musisz ostrożność: nie pozwól nigdy, by kilka twoich tożsamości znalazło się razem z tobą w tym samym miejscu i o tym samym czasie jednocześnie. To wiesz jednak nie od dzisiaj i nie od dzisiaj też przestrzegasz owej zasady. Pamiętaj, że musisz być obecna lub reprezentowana przez kogoś podczas odczytywania mojej ostatniej woli. Jako że jestem obywatelem Księżyca...

(Co takiego?)

...odbędzie się to w Luna City natychmiast po mojej śmierci - w Republice Księżyca nie istnieje biurokracja opóźniająca każde postępowanie prawne. Przypadłość ta cechuje jedynie większość krajów na Ziemi. Skontaktuj się z firmą Fang, Tomosawa, Rothschild, Fong & Finnegan w Luna City. Nie spodziewaj się zbyt wiele; mój testament nie zwolni cię od konieczności zarabiania na życie.

Twoje pochodzenie: zawsze ciekawiła cię ta sprawa, co zresztą jest zupełnie zrozumiałe. Ponieważ twoje geny pochodzą z co najmniej kilku różnych źródeł, a wszystkie dokumenty zostały zniszczone, mogę powiedzieć ci coś niecoś na ten temat. Możesz być naprawdę dumna, gdyż geny, z których powstałaś, należały do dwojga ludzi znanych historii jako Mr. i Mrs. Green. W jednym z kraterów na Księżycu znajduje się obelisk poświęcony ich pamięci. Mało kto jednak o tym wie, gdyż poza nim nie ma tam nic, co byłoby warte uwagi. Jeśli zapytasz w Księżycowej Izbie Handlowej o historię wiążącą się z owym obeliskiem, dostaniesz kasetę, na której w miarę rzetelnie zapisane są wszystkie fakty dotyczące ich życia i działalności. Po jej wysłuchaniu zrozumiesz, dlaczego powiedziałem ci niegdyś, byś powstrzymała się od wydawania osądów na temat zabójców. Zabójstwo jest zazwyczaj brudną sprawą... ale zawodowiec z zasadami może stać się bohaterem. Przesłuchaj tę kasetę {przekonaj się sama.

Greenowie byli przed wieloma laty moimi przyjaciółmi. Ponieważ wykonywali tak niebezpieczny zawód, przekonałem ich, by zdeponowali swój materiał genetyczny: cztery jej jaja i pojemnik z jego spermą. Kiedy zostali zabici, zleciłem przeprowadzenie analizy genów oraz zbadanie szansy stworzenia pogrobowca. Okazało się, iż materiał jest niezgodny - dziecko odziedziczyłoby jedynie złe cechy genetyczne.

Możliwość ostrożnego wykorzystania ich komórek pojawiła się dopiero wówczas, kiedy wynaleziono metodę kreowania sztucznych istot ludzkich. W tym konkretnym przypadku efektem jedyne projektu, którego realizacja powiodła się, jesteś właśnie ty. Pozostałe próby spełzły na niczym. Istoty, które powstały w ich wyniku, nie były nawet zdolne do życia.. Cóż, praca dobrego inżyniera genetycznego podobna jest do pracy dobrego fotografa: do idealnych rezultatów dochodzi się jedynie odrzucając bezwzględnie każdą próbę odbiegającą od ideału.

Nie będzie już więcej doświadczeń z wykorzystaniem komórek Greenów. Gameta Gaili przepadła, a plemniki Joego są najprawdopodobniej martwe. Nie istnieją również żadne

możliwości zbadania stopnia „pokrewieństwa” „pomiędzy tobą a Greenami. Jesteś jednak w pewnym sensie kimś, kogo można określić jako ich wnuczkę. Spora część twoich genów pochodzi również z innych źródeł. Cały materiał został wyselekcjonowany niezwykle starannie i dobrany w taki sposób, by zmaksymalizować w tobie wszystkie najlepsze dodatnie cechy i zalety gatunku homo sapiens. Taki właśnie jest twój potencjał. Jego wykorzystanie zależy wyłącznie od ciebie.

Jak już wspominałem, wszystkie dokumenty zostały zniszczone. Przedtem jednak sporządziłem listę przedstawicieli narodowości, których krew płynie w twoich żyłach. O ile dobrze sobie przypominam, znaleźli się tam między innymi: Fin, Polinezyjczyk, Indianka, Hindus, Dunka, rudy Irlandczyk, Swazi, Koreańczyk, Niemka, Chinka, Anglik - oraz w mniejszej części wiele innych, gdyż nie istnieje coś takiego, jak rasa genetycznie czysta. Nigdy nie będziesz więc mogła pozwolić sobie na rasizm - gryzłabyś własny ogon.

Wszystko, co napisałem powyżej, oznacza, iż stworzona zostałeś z najlepszego materiału genetycznego, jaki może sobie wymarzyć inżynier-genetyk. Nic więc dziwnego, że jesteś tak piękna.

Piękna?! Szefie, potrafię przecież patrzeć w lustro. Czy to możliwe, że on rzeczywiście tak myślał? To prawda, jestem nieźle zbudowana; powstałam w końcu w laboratorium, a nie zostałam urodzona. To miło, jeśli uważał tak naprawdę.

W jednym punkcie winien ci jestem wytłumaczenie, a może nawet przeprosiny.

Zakładałem, iż zostaniesz wychowana przez przybranych rodziców jako ich naturalne dziecko. Ale ważyłaś jeszcze ciągle mniej niż pięć kilo, kiedy wtrącono mnie do więzienia. I chociaż w końcu udało mi się stamtąd uciec, nie mogłem jednak powrócić na Ziemię. Stało się to możliwe dopiero po Drugim Powstaniu Atlantyckim. Gdyby moje zamierzenia powiodły się, być może nie czułabyś teraz obawy i nieufności w stosunku do tak zwanych „normalnych” ludzi. Mam nadzieję, że kiedyś pozbędziesz się tych uczuć - nawet nie wiesz, o ile łatwiejsze stałoby się wówczas twoje życie. Pewnego dnia w jakiś sposób będziesz musiała przekonać swoje serce do tego, co podpowiada ci intelekt: że należysz w pełni do rodzaju ludzkiego. Co do reszty, cóż jeszcze mogę ci powiedzieć w ostatnim przesłaniu? Ów nieszczęsny zbieg okoliczności - skazanie mnie i uwięzienie w tak nieodpowiednim momencie - pozostawił zbyt głęboką ranę w twojej psychice. Musisz się, moja droga, całkowicie wyleczyć ze strachu, poczucia winy i wstydu. Musisz wyrwać z korzeniami swoją skłonność do uzalania się nad własnym losem.

To już zrobiłam. Raz na zawsze!

Sądzę, że zdążyłaś już uodpornić się na pokusy wszelkich religii. Jeśli nie, nie jestem w stanie ci pomóc. Mogę jedynie mieć nadzieję, iż nie wpadniesz w narkomanię. Religia i wiara bywają niekiedy źródłem szczęścia, a ja nie chciałbym nikogo szczęścia pozbawić. Przed wszystkim jednak jest to ucieczka dla ludzi słabych. Ty się do nich nie zaliczasz. Największy problem z religią - każdą religią - to fakt, że ludzie religijni poprzez swą wiarę akceptują pewne rzeczy jako oczywiste, nie będąc w stanie, ani nawet nie próbując ocenić ich według rozumu. Można rozkoszować się gorącym płomieniem wiary albo spędzić życie na ciągłym zadawaniu sobie pytania: „dlaczego?” i odpowiadania na nie w miarę możliwości swojego intelektu. Pamiętaj jednak, że jedno wyklucza drugie.

Jest jeszcze coś - ostatnia sprawa - o której chciałbym ci powiedzieć dla własnej satysfakcji. Otóż jestem jednym z twoich „przodków”. Nie najważniejszym, nawet nie ważnym, ale coś z mojego własnego kodu genetycznego żyje i żyć będzie w tobie. Jesteś nie

tylko moją przybraną córką - jesteś też w pewnym sensie moim naturalnym dzieckiem. Ku mojej dumie.

Pozwól, że zakończę słowami, na które nie mogłem sobie pozwolić... nie mogłem się zdobyć na życie:

Kochający

Hartley M. Baldwin

Wsunęłam list na powrót do koperty, podkurczyłam nogi i siedziałam przez chwilę w zamyśleniu, wierzchem dłoni ocierając łzy, których nie starałam się wcale powstrzymywać. Nie widzę nic złego w płakaniu; ono „oliwi” psyche.

Kiedy wreszcie uporałam się z sobą, poszłam do łazienki, umyłam twarz i postanowiłam przestać dręczyć się śmiercią Szefa. Myśl o tym, że był on moim przybranym ojcem, sprawiała mi przyjemność. Miło też było wiedzieć, iż żyje we mnie jego część. Dla mnie był zawsze przede wszystkim Szefem i tak już pozostanie. Myślę, że nie miałby mi za złe owych kilku łez, na jakie sobie pozwoliłam, lecz z pewnością nie byłby zadowolony, gdybym na nich nie poprzestała.

Złociutka i Anna ciągle jeszcze dusiły komara, wyczerpane wydarzeniami ubiegłej doby. Zamknęłam więc drzwi do sypialni, z radością zauważając, że były dźwiękochłonne, i usiadłam przed terminalem. Wsunęłam kartę w szczelinę czytnika i wystukałam na klawiaturze kod firmy Fong, Tomasawa i tak dalej.

Rozpoznałam twarz kobiety, która ukazała się na ekranie. Gdybym mieszkała na Księżycu, też nosiłabym tylko monokini. No, może jeszcze buty na wysokich koturnach. I szmaragd w pępku.

- Przepraszam - powiedziałam. - Byłam nieco zamyślona i przez roztargnienie musiałam posłużyć się kodem TAC & AP, chociaż chciałam połączyć się z Fong, Tomosawa, Rothschild, Fong & Finnegan. Czasem podświadomość płata mi figle. Jeszcze raz przepraszam, że panią niepokoiłam. A przy okazji: dzięki za pomoc, jakiej udzieliła mi pani przed kilkoma miesiącami.

- Nie ma sprawy. A kod, którego użyłaś, jest jak najbardziej właściwy. Poprzednio zapomniałam się przedstawić: jestem Gloria Tomosawa, jeden ze współników firmy Fong, Tomosawa itd. Teraz, gdy dziadek Fong odszedł na emeryturę, jestem właściwie jej szefem, co nie przeszkadza mi być również wiceprezesem TAC & AP. Stanowimy część tego banku, co oznacza, że obie mamy ze sobą interes do załatwienia. Wszyscy tutaj jesteśmy przygnębieni wiadomością o śmierci doktora Baldwina. Mam jednak nadzieję, że pani nie jest zbyt przygnębiona... panno Baldwin.

- Ej! Niech pani wróci i zacznie od początku.

- Przepraszam. Gdy ludzie dzwonią na Księżyc, chcą zazwyczaj załatwić sprawy tak szybko, jak to możliwe. Koszt rozmowy jest raczej dość duży. Czy chce pani, abym powtórzyła wszystko od początku, zdanie po zdaniu?

- Nie. Prosiłabym tylko, byśmy dały spokój śmierci doktora Baldwina. Przywykłam już do tej myśli. Zostawił on dla mnie list, w którym życzył sobie, abym była obecna przy odczytywaniu testamentu lub by ktoś mnie wówczas reprezentował. Nie będę mogła stawić się osobiście. Czy nie poradziłaby mi pani, w jaki sposób znaleźć w Luna City kogoś, kto występowałby w moim imieniu?

- Ostatnia wola doktora Baldwina zostanie odczytana natychmiast, gdy tylko władze Konfederacji Kalifornijskiej przekażą nam oficjalne potwierdzenie zgonu. Spodziewamy się tego w każdej chwili, gdyż nasz przedstawiciel w San Jose zapłacił już za odpis dokumentu i odpowiednie pieczętki. Hmm... Ktoś, kto mógłby panią reprezentować... Co pani powie na mnie? Powinnam właściwie od razu powiedzieć, że dziadek Fong był przez wiele lat tu - w Luna City - pełnomocnikiem pani ojca. Odziedziczyłam po nim tę posiadłość, a teraz, gdy doktor Baldwin zmarł, „odziedziczyłam” również panią. Przynajmniej do czasu, nim wyda pani inne instrukcje.

- Och! Naprawdę mogłaby to pani zrobić, panno... pani Tomosawa... Przepraszam: pani czy panno?

- Po pierwsze: mogłabym, po drugie: z przyjemnością, a po trzecie: pani. I całe szczęście, bo mam syna mniej więcej w pani wieku.

- Wielkie nieba! To niemożliwe. - Moje zdumienie było szczere. Ta skończona piękność dwa razy starsza ode mnie?

- Możliwe, a nawet pewne. Tu, w Luna City, wszyscy jesteśmy dość staroświeccy. W przeciwieństwie do Kalifornijczyków. Najpierw bierzemy ślub, a potem mamy dzieci. Zawsze w takiej właśnie kolejności. Panna mająca syna w pani wieku nie mogłaby zajmować stanowiska, które ja zajmuję.

- Ale ja miałam na myśli tylko to drugie: że pani ma syna w moim wieku. Nie można urodzić dziecka, mając najwyżej pięć, sześć lat.

Zachichotała.

- To, co pani mówi, jest bardzo miłe. Dlaczego nie przyjedzie tu pani i nie wyjdzie za mąż za mojego syna? Zawsze chciał się ożenić ze spadkobierczynią jakiejś fortuny.

- Czyżbym odziedziczyła fortunę?

Nagle spoważniała.

- Hmm... Nie wolno mi łamać pieczęci, zanim nie dostanę oficjalnego potwierdzenia śmierci pani ojca. Wkrótce jednak je otrzymam, więc nie ma sensu, by wydawała pani niepotrzebnie pieniądze na kolejne połączenie. Byłam obecna przy spisaniu tego testamentu i przy każdej jego zmianie. Powierzano mi również za każdym razem jego zabezpieczenie i umieszczenie w sejfie. Stąd wiem, co zawiera. Ale to, o czym pani mówię, mówię w zaufaniu. Rzeczywiście odziedziczyła pani fortunę, łowcy posagów nie będą się jednak za panią uganiać, gdyż w gotówce nie dostanie pani ani grosza. Bank poinstruowany został do zajęcia się finansową stroną pani emigracji poza Ziemię. Jeśli wybierze pani Księżyc, zapłacimy jedynie za podróż. Jeśli postanowi pani zostać na Starej Planecie, wyposażymy panią w harcerską finkę i będziemy się modlić, by zmieniła pani zdanie. Jeśli wybierze pani jakieś drogie miejsce, na przykład Kauai lub Halcyon, trust opłaci podróż w jedną stronę, wypłaci udziały oraz wyposaży panią w kapitał początkowy, mający pomóc pani w osiedleniu się. Natomiast jeśli nigdy nie opuści pani Ziemi, to po pani śmierci fundusze przeznaczone na pomoc dla pani przejdą na inne cele trustu. Jeśli podejmie pani decyzję o emigrowaniu, musi pani oczywiście poinformować nas o tym i podać nazwę planety docelowej. Jest jeszcze jedno zastrzeżenie: jeśli jako miejsce osiedlenia się wybierze pani planetę Olimpia, może pani liczyć tylko na siebie. Bank nie wypłaci nic.

- Doktor Baldwin także wspominał coś na ten temat. Cóż to za planeta? Kolonia trędowatych? Nazwa z niczym mi się nie kojarzy.

- Naprawdę? No tak, być może rzeczywiście była pani wówczas zbyt młoda. Jest to

miejsce, dokąd udał się ten samozwańczy supermen. Właściwie nie ma żadnego istotnego powodu, by panią przestrzegać przed osiedleniem się na Olimpu, chociaż korporacja nie wysyła tam swoich statków. A poza tym... Moja droga, zdaje mi się, że zapłaci pani niebotyczny rachunek za to połączenie.

- Też tak myślę. Ale zapłaciłabym jeszcze więcej, gdybym musiała połączyć się raz jeszcze. Czy może pani na chwilę zmienić drużynę i stać się na moment przedstawicielem TAC & AP? Albo nie; właściwie potrzebna jest mi porada prawnika.

- Gram w obu tych drużynach jednocześnie, proszę więc strzelać śmiało. Niech pani pyta o co chce. Dzisiaj nie pobieram honorarium.

- Co to, to nie. Zawsze płacę za to, za co płacą inni.

- Zupełnie jak ojciec.

- Doktor Baldwin nie był moim prawdziwym ojcem. Sądzę, że wie pani o tym.

Nigdy

też nie myślałam o nim jak o ojcu.

- Wiem, moja droga. Zajmowałam się nawet przygotowaniem części dokumentów adopcyjnych. Jednak on zawsze myślał o pani przede wszystkim jak o córce i był z pani dumny aż do przesady. Przyznaję, że musiałam co chwila gryźć się w język, kiedy zadzwoniła tu pani po raz pierwszy. Ale do rzeczy. Z czym ma pani problem?

Wyjaśniłam jej sytuację, jaka miała miejsce w Pajaro Sands, kiedy Rhonda Wainwright zażądała mojej drugiej karty kredytowej.

- Oczywiście Kalifornijska MasterCard udzieliła mi kredytu znacznie przewyższającego zarówno moje potrzeby, jak i aktywa. Ale czy ona ma prawo mieszać się do tej sprawy? Nie zdążyłam jeszcze nawet posłużyć się owymi pieniędzmi i zamierzam je zwrócić. To dwieście dziewięćdziesiąt siedem i trzy dziesiąte grama czystego złota.

- Rhonda Wainwright nigdy nie zasługiwała na podziw jako prawnik. Kiedy zmarł pan Esposito, pani ojciec powinien był zmienić partnera. Oczywiście, że nic jej do tego, jaką kartę wystawiła ci MasterCard, nie ma ona też żadnych pełnomocnictw od TAC & AP. Panno Baldwin...

- Proszę mi mówić Piętaszek.

- Piętaszku, twój ojciec był dyrektorem tego banku i jednym z jego najważniejszych udziałowców. Bezpośrednio nie otrzymujesz co prawda nic z jego majątku, mogłabyś jednak zaciągnąć potężny, nie zabezpieczony kredyt nie troszcząc się o jego spłatę i odmawiając jakichkolwiek wyjaśnień na ten temat tak długo, dopóki na twoim rachunku nie pojawiłby się pierwszy zapis na czerwono. Nie zwracaj więc sobie głowy pogrózkami Wainwright. A teraz, ponieważ twój adres w Pajaro Sands jest już nieaktualny, musisz podać mi nowy.

- Uff... Akurat teraz właśnie ty jesteś jedynym pewnym adresem, jaki znam.

- Rozumiem. W takim razie daj mi znać, jak tylko coś znajdziesz. Są jeszcze inni, mający podobne jak ty problemy; problemy, do których niewątpliwie przyczyniła się Rhonda Wainwright. Chodzi mi o kilka osób, które powinny być przez kogoś reprezentowane przy odczytywaniu testamentu. Wainwright powinna je o tym powiadomić, lecz tego nie uczyniła, a teraz wszyscy rozjechali się na cztery strony świata. Nie wiesz przypadkiem, gdzie mogłabym odszukać Annę Johansen? Albo Sylvie Havenisle?

- Znam pewną kobietę, która ma na imię Anna i była w Pajaro. Zajmowała się tajnym archiwum doktora Baldwina.

- To musi być ona. Na mojej liście wymieniona jest jako „urzędnik do specjalnych poruczeń”. Havenisle była zawodową pielęgniarką.

- Och! Obie są tuż za drzwiami, na które teraz patrzę. Śpią. Były na nogach przez całą ubiegłą noc.

- Najwyraźniej dopisuje mi dziś szczęście. Przekaż im, proszę, kiedy się obudzą, że powinny znaleźć kogoś, kto będzie występował w ich imieniu przy odczytywaniu testamentu. Teraz ich nie budź; mogę załatwić to później. Tu, w Luna City, nie jesteśmy przesadnie drobiazgowi.

- A czy ty mogłabyś je reprezentować?

- Naturalnie, jeśli tylko sobie tego życzysz. Poproś jednak, by się ze mną skontaktowały w tej sprawie. Ich nowe adresy również będą mi potrzebne. Gdzie teraz jesteście?

Powiedziałam jej, gdzie, po czym pożegnałyśmy się. Siedząc w ciszy, układałam myśli kołaczące się pod moją czaszką. Dzięki Glorii Tomosawa nie było to zbyt trudne. Prawnicy dzielą się na dwie kategorie. Jedną z nich stanowią ci, którzy dokładają wszelkich wysiłków, aby ułatwić innym życie, a drugą - pasożyty.

Terminal odezwał się cichym brzęczeniem, a przy klawiaturze zamigotała czerwona lampka. To był Burton McNye. Powiedziałam mu, żeby wszedł na górę i zachowywał się cicho jak myszka. Gdy stanął w drzwiach, miał minę tryumfatora.

- Żadnych problemów - powiedział. - Bank Amerykański nie tylko zaakceptował mój czek, ale wypłacił mi tytułem zaliczki pięćset bruinów. Powiedzieli też, że realizacja całej sumy w złocie za pośrednictwem Luna City nie powinna zająć więcej niż dwadzieścia cztery godziny. Najwyraźniej finansowa reputacja naszego byłego pracodawcy wybawiła mnie z kłopotów. Nie musisz więc zapraszać mnie tutaj na noc.

- O'key, Burt. Skoro więc znowu jesteś wypłacalny, możesz zabrać mnie na obiad.

- Nie sądzisz, że jest jeszcze trochę za wcześnie na obiad?

Na to, co zrobiliśmy następnie, pora jest zawsze odpowiednia. Pewnie dlatego Burt nie protestował, kiedy zaczęłam go rozbierać. Tego właśnie potrzebowałam. Zbyt wiele wydarzyło się w ciągu ostatniej doby i prawdę mówiąc czułam się emocjonalnie zmalretowana. Seks jest lepszym środkiem uspokajającym niż jakiekolwiek proszki czy pigułki, a w dodatku świetnie wpływa na metabolizm. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego normalni ludzie robią wokół seksu tyle niepotrzebnych korowodów. Przecież to tak bardzo naturalna rzecz, chyba najprzyjemniejsza w życiu! Przyjemniejsza nawet od jedzenia.

Do łazienki można się było dostać bez konieczności przechodzenia przez sypialnię. Być może dlatego, iż salon stanowił coś w rodzaju drugiej sypialni. Wzięłam więc szybki prysznic, a kiedy kąpał się Burt, ja założyłam kostium Superskin - ten sam, który był przynętą, na jaką minionej wiosny złapałam lana. Nagle uświadomiłam sobie, że myślę o lanie z pewnym sentymentem, lecz nie niepokojąc się już, ani o niego ani o Janet... ani o Georgesa. Odszukam ich - byłam tego pewna - nawet gdyby nie mieli już nigdy wrócić do domu. W najgorszym przypadku namierzę ich przez Betty i Freddiego.

Burt zrobił taki hałas o to, co miałam na sobie, że stado słoni nie ryczałoby głośniej. Całe szczęście, że Anna i Złociutka spały jak zabite. Bardziej z przekory niż z przekonania obróciłam się przed nim kilka razy i odrzekłam, iż kupiłam ów kostium właśnie dlatego, że jestem samicą, która ani trochę nie wstydzi się, iż nią jest. Poza tym sądziłam, że w ten sposób sprawię Burtowi przyjemność. Dzięki niemu poczułam się wreszcie odprężona i byłam mu za to naprawdę wdzięczna. Tak wdzięczna, że zaproponowałam nawet, iż sama zapłacę za obiad.

Gdy odrzekł, że możemy wrócić do łóżka i urządzić zawody zapaśnicze o to, kto będzie płacił, zachichotałam tylko, lecz nie powiedziałam mu, dlaczego. Wiem, że chichotanie wygląda idiotycznie, kiedy robi to kobieta w moim wieku, ale nic na to nie poradzę. Gdy jestem szczęśliwa, chichoczę jak mała dziewczynka.

Po cichu weszłam do sypialni i zostawiłam kartkę, że wychodzę z Burtem. Kiedy wróciliśmy, położyliśmy się spać na kanapie w salonie, tym jednak razem rozkładając ją. Anny i Złociutkiej nie było. Obudziłam się na chwilę, gdy na paluszkach weszły do pokoju, wracając najprawdopodobniej z kolacji. Udawałam jednak, że śpię nadal. Obudziwszy się po raz drugi, uświadomiłam sobie, że jest już rano, a nad kanapą pochyła się Anna i nie wygląda na zbyt uszczęśliwioną. Dopiero wówczas przyszło mi nagle do głowy, że Annie może być dość przykro, widząc mnie w łóżku z mężczyzną. Doskonale zdawałam sobie sprawę zarówno z jej skłonności, jak też z faktu, że się jej podobam. Wtedy, w klinice doktora Krasnego, potrafiła jednak sama ostudzić swe zapały, a ja zapomniałam o całej sprawie. Ona i Złociutka były po prostu moimi koleżankami, a właściwie starymi przyjaciółkami, które mogły sobie nawzajem zaufać.

Burt naciągnął prześcieradło tak, że widać było tylko jego oczy, i powiedział błagalnym głosem:

- Pani, nie patrz na mnie wzrokiem tak gniewnym i okrutnym. Wszedłem tu właśnie, by schronić się przed deszczem.

- Wcale się nie gniewam - odrzekła nieco zbyt swobodnym tonem. - Po prostu próbowałam wymyśleć, jak ominąć łóżko i dostać się do terminalu, nie budząc was dwojga.

Chciałam zamówić śniadanie.

- Śniadanie dla nas wszystkich?

- Naturalnie. Masz jakieś specjalne życzenia?

- Wszystkiego po trochu i dużo frytek. Anno, skarbie; znasz mnie przecież. Pożeram wszystko, co się nie rusza. A jeśli porusza się na moim talerzu, morduję i zjadam, póki nie ostygnie.

- Dla mnie to samo - zawtórował mi Burt.

- Dzień dobry hałaśliwym sąsiadom. - Złociutka stała w drzwiach do sypialni, ziewając i zasłaniając usta dłonią. - Co za gaduły! Nie dadzą pospać uczciwym ludziom. Patrząc na nią, zdałam sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, nigdy przedtem nie przyjrzałam się jej zbyt dokładnie. Po drugie natomiast, jeśli Anna czuła do mnie żal, że przespałam się z Burtem, nie powinna mi tego wyrzucać. Złociutka wyglądała na wręcz nieprzyzwoicie zaspokojoną.

- Wyraz ten oznacza „zaciszna wyspa” - mówiła Złociutka - i właściwie powinien

składać się z dwóch członów połączonych myślnikiem. Inaczej nikt nie potrafi go nawet prawidłowo przeliterować, a coś dopiero wymówić. Dlatego właśnie wszyscy nazywają mnie „Złociutka” - to łatwiejsze, a w zespole Mistrza, gdzie zaniechano posługiwania się nazwiskami, szczególnie użyteczne. A jednak moje nazwisko nie jest aż tak trudne w porównaniu z nazwiskiem pani Tomosawa. Po tym, jak je kilka razy przekreśliłam, poprosiła mnie, bym zwracała się do niej „Gloria”.

Kończyliśmy właśnie śniadanie. Obie moje przyjaciółki zdążyły już skontaktować się z Gloria, testament został odczytany, a każda z nich (jak też Burt, ku jego i mojemu zaskoczeniu) była teraz trochę bogatsza. Wszyscy postanowiliśmy ruszyć do Las Vegas. Troje z nas - żeby poszukać tam pracy, Anna jedynie dla towarzystwa. Chciała towarzyszyć nam, dopóki nie podpiszemy jakichś kontraktów. Potem wybierała się do Alabamy.

- Być może znudzi mi się próżnowanie, lecz obiecałam córce, że niedługo przejdę na emeryturę. Teraz jest najodpowiedniejszy moment. Muszę odświeżyć znajomość z wnuczętami, zanim nie będą zbyt duże.

Anna babcią?! Czy ktoś jeszcze miał jakieś rewelacje w zanadrzu?

Rozdział XXV

Las Vegas przypomina potężny cyrk z dziesiątkami aren, na których non stop trwa widowisko. Tyle tylko, że wychodząc z cyrku rzadko kto ma kaca. Przez jakiś czas podobało mi się nawet w tym miejscu, lecz gdy obejrzałam już wszystkie przedstawienia, osiągnęłam ten punkt, w którym światła, muzyka, zgiełk i szaleńcza aktywność stają się męczące. Cztery dni to aż nadto, by się o tym przekonać.

Do Vegas dotarliśmy około południa. Nie złapaliśmy wcześniejszej kapsuły, gdyż od rana każdy z nas biegał po San Jose, załatwiając swoje sprawy. Anna, Złociutka i Burt musieli pozałatwiać wszystkie formalności związane z odebraniem pieniędzy, które zapisał im Szeff, a ja chciałam wreszcie zdeponować swój czek w MasterCard. Od tego właśnie zaczęłam.

Słuchałam cierpliwie dopóty, dopóki Mr. Chambers nie spytał:

- Czy chce pani zlecić nam zapłacenie podatku dochodowego od wpłaconej sumy?

Podatek dochodowy? Wielkie nieba! Co znowu sugerował mi ten pajac?

- Co to ma znaczyć, Mr. Chambers? - zapytałam raczej szorstkim tonem.

- Chodzi mi o podatek dochodowy obowiązujący w Konfederacji Kalifornijskiej. Jeśli zleci nam pani jego zapłacenie - proszę, oto formularz - nasi eksperci przygotują wszystkie dokumenty, a sumę należną budżetowi odejmiemy po prostu od pani rachunku, nie zwracając pani głowy. Honorarium przez nas pobierane jest doprawdy symboliczne. W przeciwnym razie będzie pani zmuszona obliczyć wszystko sama, sama wypełnić odpowiednie dokumenty, a potem stać jeszcze w kolejce, by dokonać wpłaty.

- Nie wspominał pan o takim podatku w dniu, w którym otwierałam u was konto.

- Ależ wówczas zdeponowała pani pieniądze wygrane w Loterii Narodowej!

Wszystkie one należały do pani i były absolutnie zwolnione od opodatkowania! Taki jest Demokratyczny Porządek. W tym przypadku dochody budżetu pochodzą ze sprzedaży kuponów.

- Rozumiem. A ile zarabia na tym rząd?

- Och, doprawdy, panno Baldwin! To pytanie powinna pani skierować do rządu, a nie do mnie. Jeśli złoży pani na dole dokumentu swój podpis, resztę wypełnię sam.

- Chwileczkę. Ile wynosi owo „symboliczne” honorarium? I ile wynosi ów podatek?

Opuściłam CCC Building nie deponując swojego czeku. Biedny Mr. Chambers! Wyglądało na to, iż znowu stałam się przyczyną jego udręki. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że bruiny są bardzo zdeprecjonowaną walutą (trzeba było ułożyć sporą ich gromadkę, aby zapłacić za big macka), nie sądziłam, by pięćset bruinów stanowiło „symboliczną” sumę. To więcej niż gram czystego złota - trzydzieści siedem dolarów brytkańskich. Ze swoim ośmioprocentowym narzutem MasterCard dostawała całkiem niezły szmal, udając strażnika interesów Urzędu Podatkowego.

Wcale nie byłam taka pewna, czy powinnam zapłacić ten podatek dochodowy, nawet

w myśl dość dziwnych przepisów podatkowych obowiązujących w Konfederacji Kalifornijskiej. Większość swoich pieniędzy zarobiłam poza terytorium Kalifornii i nie widziałam uzasadnionej przyczyny, dla której budżet tego państwa miałby podstawę domagać się ode mnie zasilania swojej kasy. Znowu potrzebowałam konsultacji z dobrym prawnikiem. Wróciłam do Cabana Hyat. Złociutka i Anna ciągle jeszcze były w mieście, lecz zastałam już Burta. Wiedząc, że oprócz sekcji logistycznej pracował także jakiś czas w księgowości, opowiedziałam mu o wszystkim.

- Nie jest to takie proste - odrzekł. - Wszystkie kontrakty podpisywane z naszym szefem zawierały klauzulę „dochody wolne od opodatkowania”. Aby nie mieć kłopotów z jej przestrzeganiem, w Imperium co roku płaciliśmy spore łapówki. Tutaj sprawą tą miał się zająć pan Esposito, czyli de facto Rhonda Wainwright. To ją należałoby spytać.

- Kto wie, może zdarzyłby się cud i powiedziałyby prawdę?

- Właśnie. Powinna była powiadomić Urząd Podatkowy i wnieść odpowiednie opłaty

skarbowe... po negocjacjach, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Wygląda jednak na to, że zgarnęła całą forszę dla siebie, choć nikt nie wie tego na pewno i raczej nigdy się nie dowie. Tak czy owak - masz chyba przy sobie dodatkowy paszport?

- Jasne! Jak zawsze.

- W takim razie posłuż się nim. Ja to właśnie zamierzam zrobić. Dopiero gdy stąd wyjadę i zahaczę się gdzieś na stałe, zajmę się transferem swoich pieniędzy. Tymczasem niech leżą sobie spokojnie na Księżycu.

- Hmm... Wiesz, Burt, jestem przekonana, że Wainwright sporządziła sobie wykaz wszystkich lewych paszportów. Sądzisz, że na granicy nie będą nas sprawdzać?

- Nawet jeśli Wainwright ma taką listę, z pewnością nie odda jej władzom Konfederacji, zanim sama nie załatwi sobie drogi odwrotu. Wątpię, by zdążyła wytargować coś w tak krótkim czasie. Zapłać więc tylko za wszystkie przepisowe pieczątki i miej się na baczności, przechodząc na drugą stronę barierki.

To rozumiałam. Mr. Chambers musiał mnie niezłe wyprowadzić z równowagi, skoro przez jakiś czas przestałam myśleć jak kurier.

Granicę Wolnego Stanu Vegas przekroczyliśmy w Dry Lake. Kapsuła stała dokładnie tyle czasu, ile potrzeba było na otrzymanie stempla na wizie wyjazdowej. Każdy z nas używał zapasowego paszportu ze standardowymi pieczętkami wbitymi wewnątrz. Żadnych

problemów. I żadnych wiz wjazdowych - władze Wolnego Stanu witały z otwartymi ramionami każdego wypłacalnego gościa.

Dziesięć minut później zatrzymaliśmy się w hotelu Dunes. Powiedziano nam, iż nasz apartament nosi nazwę „Świątynia Rozpusty”. Ciekawe, dlaczego? Lustro na suficie w sypialni oraz aspiryna i alkaprim w łazience nie wystarczały, by usprawiedliwić ową nazwę. Umówiliśmy się, że spotkamy się przy obiedzie, po czym Burt i Anna poszli do klubokasyna, a Złociutka i ja - do Industrial Park. Burt również zamierzał poszukać pracy, stwierdził jednak, że musi się najpierw trochę odprężyć i zabawić. Anna nie powiedziała nic, ale myślę, iż chciała przekonać się, jak wygląda tak zwany „wielki świat”, nim osiadzie na wsi w Alabamie w charakterze babuni. Jedynie Złociutka podeszła do problemu szukania pracy ze śmiertelną powagą. Co prawda ja także zamierzałam zabrać się do tego serio, lecz najpierw musiałam przemyśleć kilka spraw.

Prawdopodobnie - a raczej z pewnością - miałam opuścić Ziemię. Szef uważał, że powinnam tak zrobić, co stanowiło wystarczający powód. Ale nie jedyny. Badania nad symptomami upadku kultur i cywilizacji, do których mnie nakłonił, zogniskowały moje myśli na sprawach, o jakich wiedziałam od dawna, nie zastanawiając się jednak nad nimi zbyt głęboko. Nigdy nie starałam się patrzeć krytycznie na kraje, przez które podróżowałam - musicie zrozumieć, że sztuczna istota ludzka, gdziekolwiek by nie była, wszędzie jest obca. Żaden kraj nigdy nie będzie „moim krajem”, po cóż więc miałabym zawracać sobie głowę jego problemami?

Szefowi udało się jednak przekonać mnie, iż cała ta planeta wraz z jej mieszkańcami zmierza ku przepaści. Ja byłam jednym z owych mieszkańców. Nie potrafiłam zmienić biegu rzeczy ani też go opóźnić. Mogłam jednak zrobić coś dla siebie. A może nie tylko dla siebie. Emigrowanie na inną planetę nie jest tym samym, co przeprowadzenie się z miasta do miasta. Jeśli w ogóle można sobie na to pozwolić, to najwyżej jeden raz. Chyba że jest się posiadaczem bajecznej fortuny. Ja takowej niestety nie miałam, a Szef fundował mi bilet tylko w jedną stronę. Należało więc skupić się na wyborze właściwej planety, bo później mogę już nie mieć okazji do odwrotu.

Nawiasem mówiąc, ciągle dręczyła mnie myśl: gdzie jest Janet?

To Szef miał jej adres i kod. Nie ja!

To Szef miał swoją wtyczkę w policji w Winnipeg. Nie ja!

To Szef miał własną sieć Pinkertona na całej Ziemi. Nie ja!

Mogłabym próbować co jakiś czas dzwonić do domu Tormeyów. I z pewnością

tak

zrobię. Mogłabym pytać w ANZAC i na Uniwersytecie w Manitoba. I z pewnością zapytam. Mogłabym sprawdzać ten kod w Auckland. Tym zajmę się również.

A jeśli wszystko to nie da żadnego rezultatu? Co jeszcze mogłam zrobić? Jechać do Sydney i starać się wyciągnąć od kogoś prywatny adres profesora Farnese, bądź adres miejsca, w którym prowadzi aktualnie swe badania? Obawiam się, iż to przerastałoby moje możliwości finansowe. Nagle zostałam zmuszona uświadomić sobie fakt, że możliwość podróżowania bez trudu, którą wcześniej dawały mi pieniądze Szefa, teraz była raczej poza moim zasięgiem. Nawet wycieczka do Nowej Południowej Walii, zanim nie zostaną wznowione regularne loty SBS-ów, wydawała się beznadziejnie droga.

A może powinnam zaciągnąć się jako dziwka okrętowa na jakiś statek płynący z San

Francisko gdzieś na Antypody? To byłoby i łatwe, i tanie... lecz strasznie czasochłonne. Nawet gdyby to był statek z Napędem Shipstone. Fregata żaglowa? Nie, to już z pewnością odpada.

A może by tak zatrudnić kogoś z agencji Pinkertona w Sydney? Ile oni mogą brać?

Czy mogłam sobie na to pozwolić?

Nie musiało upłynąć nawet trzydzieści sześć godzin od śmierci Szefa, bym zdążyła przekonać się, jaka jest prawdziwa wartość pieniędzy. Dotychczas nie miałam okazji sprawdzenia tego na własnej skórze. Podczas misji wydawałam tyle, ile było trzeba, w Christchurch kupować musiałam jedynie prezenty, a na farmie i w Pajaro Sands nie potrzebowałam ani grosza. Pokój i łóżko do spania zapewnione miałam w kontrakcie. Wobec faktu, że nie przepadałam za alkoholem ani hazardem, miałabym odłożoną całkiem sporą sumkę, gdyby nie pozbawiła mnie jej Anita.

Fakt, że dotąd nie udało mi się poznać prawdziwego znaczenia słowa „pieniądz”, nie oznaczał jednak, bym nie potrafiła wykonać kilku prostych działań arytmetycznych bez uciekania się do pomocy terminalu. Zapłaciłam gotówką swoją część rachunku w Cabana Hyat. Posłużyłam się kartą kredytową, by kupić bilet do Las Vegas. Sporo tego było. Obliczyłam dzienny koszt pobytu w Dunes i dodałam doń wszystkie pozostałe wydatki płacone gotówką lub kartą kredytową.

Nie musiałam być finansowym geniuszem, by natychmiast zorientować się, że pokój i łóżko w hotelu pierwszej kategorii bardzo szybko pochłoną wszystko, co do grama. Nawet jeśli nie będę już wydawać absolutnie nic na podróże, ciuchy, przyjaciół itd. Quot erat demonstrandum. Musiałam natychmiast albo znaleźć jakąś pracę, albo ruszyć na podbój jakiejś nowej planety - bez możliwości powrotu.

Nagle przyszło mi do głowy podejrzenie, że Szef płacił mi znacznie więcej, niż byłam warta. Owszem, jestem dobrym kurierem; trudno o lepszego. Lecz ile tak naprawdę mógł być wart kurier? Nawet tak dobry jak ja?

Mogłam podpisać kontrakt szeregowca, a potem (byłam o tym święcie przekonana) szybko awansować na sierżanta. Nie ukrywam, iż taka perspektywa nie pociągała mnie zbyt, lecz mogłam zostać do tego zmuszona. Nie zwykłam karmić się złudzeniami; nie potrafiłam wykonywać praktycznie żadnego cywilnego zawodu.

Co innego mnie pchało, a co innego ciągnęło. Nie chciałam sama udawać się na jakąś nieznaną planetę. Prawdę mówiąc najzwyczajniej w świecie bałam się. Straciłam rodzinę na Nowej Zelandu (o ile w ogóle była to kiedykolwiek moja rodzina), Szef odszedł, a ja czułam się jak pisklę nagle wyrzucone z gniazda. Większość moich prawdziwych przyjaciół rozpierzchła się na cztery strony świata, a tych troje, którzy byli jeszcze razem ze mną, wkrótce również miało pójść każde swoją drogą. Georges, Janet i Iana też udało mi się stracić. Mimo tumultu i zgiełku, jaki zawsze panował w Las Vegas, poczułam się tu nagle jak Robinson Crusoe na swojej wyspie.

Chciałam, by Janet, Ian i Georges wyemigrowali razem ze mną.

Do diabła! I jeszcze ta Czarna Śmierć. Epidemia nadchodziła nieuchronnie.

Tak, wiem. Powiedziałam Szefowi, iż moje nocne przepowiednie były nonsensem.

Szef powiedział natomiast, że jego analitycy przewidzieli dokładnie to samo, tyle tylko, iż według nich zaraza rozprzestrzeni się o rok później. Raczej niewielka to pociecha. Nie mogłam postąpić inaczej, jak potraktować swoją prognozę serio. Musiałam więc też ostrzec Tormeyów.

Nie oczekiwałam, by ich to nazbyt przeraziło. Nie sądzę, by w ogóle cokolwiek było w stanie naprawdę przerazić tych troje. Chciałam im jednak powiedzieć: „Jeśli nie chcecie wyemigrować razem ze mną, potraktujcie przynajmniej moje ostrzeżenie na tyle serio, by trzymać się z dala od wielkich miast. A jeśli będziecie mogli dostać szczepionkę, skorzystajcie z okazji”.

Industrial Park znajdował się przy drodze do Zapory Hoovera. Tam też mieściła się Giełda Pracy. W Vegas nie wolno używać energobili w granicach miasta, za to wszędzie są deptaki. Jeden z nich prowadzi właśnie do Industrial Park. Idąc dalej w kierunku zapory i Kamiennego Miasta, mija się linię metra, którą dojeżdżają do pracy pracownicy Zespołu Silników Pomocniczych. Zamierzałam kiedyś skorzystać z niej, gdyż Shipstone „Dolina Śmierci” dzierżawił pas pustyni pomiędzy Las Vegas a Kamiennym Miastem pod stacją załadunku. Chciałam się jej bliżej przyjrzeć.

Czy możliwe, że to właśnie korporacja Shipstone stała za wydarzeniami Czerwonego Czwartku? Nie widziałam żadnego powodu, by tak miało być. A jednak musiał za tym stać ktoś równie potężny, kogo moc w ciągu jednej tylko nocy położyła się cieniem na całej planecie i sięgnęła w kosmos aż po Ceres. Niewiele było takich korporacji. A może bajecznie bogaty człowiek lub grupa takich ludzi? Lista tak bogatych ludzi również nie była zbyt długa. Zatem kto? Prawdopodobnie jedyną znaną mi osobą mogącą odpowiedzieć na to pytanie był Szef. Ale Szef umarł. Zawsze się z nim spierałam, lecz tylko do niego mogłam się zwrócić, jeśli czegoś nie rozumiałam. Dopiero teraz, gdy odebrano mi tę możliwość, pojęłam, jak wiele mu zawdzięczałam.

Giełda Pracy była długą promenadą przekrytą szklaną kopułą. Można tam było znaleźć zarówno luksusowe biura „Wall Street Journal”, jak i harcerzyków, którzy całe swoje biura nosili pod kapeluszem, nigdy nie siadali, a swoje usta zamykali niezmiernie rzadko. Wszędzie pełno było szyldów i reklam, a tłok panował od rana do wieczora. Od dolnego Vicksburga miejsce to różniło się w zasadzie jedynie zapachem, który tutaj wydawał się znacznie przyjemniejszy.

Przedstawicielstwa militarnych i quasi-militarnych kompanii stłoczone były na wschodnim krańcu. Złociutka chodziła od jednego do drugiego, zostawiając swoje nazwisko i kopię referencji, a ja dreptałam za nią, jednak bez zbytniego zainteresowania. Aby wydrukować te kopie, zatrzymałyśmy się w mieście, więc przy okazji Złociutka załatwiła sobie w Urzędzie Poczтовым adres korespondencyjny. Mnie też do tego skłoniła.

- Piętaszku - powiedziała - jeśli zostaniemy tu dłużej niż dzień lub dwa, wyprowadzam się z Dunes. Pewnie zauważyłaś, ile płacimy za pokój? To bardzo miłe miejsce, lecz łóżko sprzedają ci co dzień od nowa. To nie na moją kieszeń...

- Na moją także nie.

Zapłaciłyśmy więc za tymczasowy adres, a ja zapamiętałam, by przy najbliższej okazji powiadomić o tym Glorię Tomosawa. I nagle odkryłam, że dało mi to coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa. Nie była to nawet malutka chata, nawet szalas... ale miałyśmy adres, który

nie mógł po prostu zniknąć, wyparować. Istniałyśmy dla reszty świata - czasami dobrze jest zdać sobie z tego sprawę.

Tego popołudnia Złociutka nie znalazła pracy. Nie wyglądała jednak na rozczarowaną.

- Nie toczy się teraz żadna wojna, to wszystko - stwierdziła po prostu. - Ale pokój nigdy nie trwa dłużej niż miesiąc, lub co najwyżej dwa. A potem znowu zaczną poszukiwać najemników. Wówczas moje nazwisko będzie jednym z pierwszych na listach ofert.

Tymczasem podpiszę umowę z magistratem i podejmę jakieś tymczasowe zajęcie.

Pielęgniarsce głód nigdy nie zajrzy w oczy, Piętaszku. Już co najmniej od wieku brakuje chętnych do podawania basenu i nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie sytuacja ta miała ulec zmianie.

Następne biuro, do którego zajrzałyśmy, było przedstawicielstwem Royer's Rectifiers, Caesar's Column i Grim Reapers - samych doborowych oddziałów o światowej reputacji.

- A ty? - zwrócił się do mnie agent werbunkowy, gdy Złociutka złożyła już swoją ofertę. - Też jesteś wykwalifikowaną pielęgniarką?

- Nie - odrzekłam. - Jestem kurierem.

- Nie jest to zbyt poszukiwana specjalność. Większość zespołów korzysta z poczty ekspresowej, jeśli nie działają terminale.

Poczułam się trochę dotknięta. A przecież Szef ostrzegał mnie przed tym.

- Należę do elity - odparowałam. - Potrafię dotrzeć wszędzie... a to, co przynoszę, dostarczam zawsze tam, gdzie trzeba. Szczególnie w takie miejsca, w których do listonoszy się strzela.

- To prawda - wtrąciła Złociutka. - Ona nie przesadza.

- A jednak twój talent nikomu nie jest potrzebny. Potrafisz coś jeszcze?

Nie powinnam się przechwalać.

- Wybierz broń, którą potrafisz się posługiwać najlepiej, i zadzwoń do wdowy po sobie, a pokażę ci, co jeszcze potrafisz.

- Posłuchaj, cwaniaro: nie mogę się z tobą zabawić, bo nie wolno mi zamknąć tego biura. Albo więc rozmawiamy poważnie, albo ty wychodzisz. Chcesz, żeby wciągnąć cię na listę? To odpowiadaj na pytania, a nie pajacuj.

- Wybacz, szefie. Niepotrzebnie się uniosłam. W porządku, jestem elitarnym kurierem. Jeśli coś przynoszę, zawsze dociera to do miejsca przeznaczenia. Ale nie jestem tania. Co do innych umiejętności... to chyba jasne, że muszę być najlepsza; tak z bronią w rękę, jak i bez niej. Powtarzam raz jeszcze: zawsze wykonuję zadanie. Możesz też zapisać mnie jako zwykłego najemnika, lecz tego typu kontrakt podpiszę tylko wtedy, gdy stawka będzie odpowiednio wysoka. Szczerze mówiąc wolałabym jednak nadal zostać kurierem. Wystukał coś na klawiaturze terminalu.

- W porządku. Nie miej jednak zbyt wielkich nadziei. Ludzie, dla których pracuję, nie zwykli posługiwać się kurierami... chyba że na polu bitwy.

- To też potrafisz. To, co mam dostarczyć, zawsze dociera na miejsce.

- O ile w międzyczasie nie zostaniesz zabita - wyszczerzył zęby. - O wiele bardziej prawdopodobne, że użyją psaartefakta. Słuchaj, złotko, cywilne korporacje bardziej potrzebują ludzi takich jak ty. Dlaczego nie spróbujesz w którejś z nich? Wszystkie większe mają tu swoje przedstawicielstwa. I znacznie więcej pieniędzy.

Podziękowałam mu za radę i wyszliśmy. Złociutka namówiła mnie, bym zaszła do lokalnego urzędu pocztowego i wydrukowała kopie swoich referencji oraz ofertę. Zamierzałam opuścić nieco żadaną stawkę, będąc pewna, iż SzeF faworyzował mnie, lecz Złociutka nie pozwoliła mi tego zrobić.

- Podnieś ją. To twoja najlepsza szansa. Oddział, który będzie cię potrzebował, zapłaci bez zmrżenia powiek lub w najgorszym przypadku będzie próbował się targować. Ale obniżać cenę samemu? Posłuchaj, moja droga: na tym rynku nikt nie kupuje, jeśli nie stać go na towar najlepszej jakości.

Wysłałam też po jednej ofercie do każdego z ponadnarodowych koncernów. Prawdę mówiąc nie oczekiwałam żadnych odpowiedzi, lecz jeśli ktoś tam potrzebował najlepszego kuriera na świecie, powinien uważnie przyrzeć się moim referencjom.

Gdy zaczęto zamykać biura, wróciliśmy szybko do hotelu, by nie spóźnić się na umówione spotkanie. Znaleźliśmy oboje - Annę i Burtę - nieco wstawionych. Nie byli pijani, lecz w ich ruchach widać było spore podniecenie, choć starali się nad nim zapanować.

Burt wstał, przybrał sceniczną pozę i rzekł iście królewskim tonem:

- Moje panie, patrzcie na mnie i podziwiajcie mnie. Jestem wielkim człowiekiem...

- Jesteś zalany.

- To też, Piętaszku, mój... oouupp... skarbie. Ale stoi przed tobą człowiek, który... oouupp... zozbankował bink w Monte Carlo. Jestem geniuszem. Fantastycznym, autentycznym, fiiinansowym geeeniuszem. Można mnie dotknąć.

Zamierzałam dotknąć go nieco później, ale jeszcze tej samej nocy.

- Anno, czy to prawda? Czy Burt naprawdę rozbił bank?

- Nie, lecz z pewnością niewiele mu brakowało. - Przerwała, by cichutko czknać, zasłoniwszy usta. - Przepraszam. Zostawiliśmy tutaj parę groszy, po czym poszliśmy poszukać szczęścia do Flamingo. Weszliśmy tam parę minut po trzeciej. Przy samym wejściu jest jednoręki bandyta; jedno pociągnięcie i wyczyściliśmy kasę. Tuż obok była sala z ruletą, więc Burt postawił całą wygraną na podwójne zero...

- Był pijany - stwierdziła Złociutka.

- Wypraszam sobie. Jestem geeeniuszem!

- I jedno, i drugie - powiedziała Anna. - Wypadło podwójne zero. Wszystko,

co

wygrał - a była to już spora gromadka czarnych żetonów - postawił na czarne. Trafił. Ponowił i znowu trafił. Przesunął na czerwone i jeszcze raz trafił. Kiedy postawił wszystko na małe parzyste, krupier posłał po kierownika sali. Burt szedł już na złamanie, lecz ten gość zlimitował go do pięciu tysięcy bucków.

- Gestapowcy! Kmiecie! Prostaki! Lokaje! Nie ma prawdziwego sportowca w całym tym ich zasranym kasynie. Zabrałem więc pieniądze i poszliśmy wydawać je gdzie indziej.

- I straciłeś wszystko co do grosza.

- Złooociutka, moja staaara przyjaciółko... nie okazujesz szacunku należnego mej osoobie.

- Może i straciłby, lecz zadbałam o to, by zastosował się do rady dyrektora. W obstawie sześciu goryli poszliśmy prosto do biura Lucky Strike State Bank w ich kasynie i zdeponowaliśmy tam całą wygraną. W przeciwnym razie nie pozwoliłabym mu wyjść.

Wyobraźcie sobie wstawionego faceta niosącego pół miliona bucków gotówką z Flamingo do

Dunes. Nie doszedłby żywy nawet do najbliższego skrzyżowania.

- Absurd! Las Vegas jest najspokojniejszym miastem spośród wszystkich amerykańskich miast, a jego obywatele to najbardziej praworzadni Amerykanie. Anno, moja jedyna prawdziwa miłości, jesteś... oouupp!... pardon, jesteś apodyktyczną i kapryśną kobietą. Taką, co wszystkich chce trzymać pod swoim pantoflem. Nie powinienem żenić się z tobą nawet wówczas, gdy będziesz mnie o to błagała na oouupp! pardon, kolanach. Powinienem natomiast najpierw zamknąć cię w komórce, bić i karmić skórkami od chleba, żebyś spokorniała.

- Oczywiście, oczywiście, mój drogi. Ale teraz nakarmisz nas wszystkie. Kawiozem i truflami.

- I napoję szampanem. Piętaszku, Złociutka, moje drogie panie. Czy zechcecie uczyć razem ze mną mój finansowy geniusz? Jeśli tak, zapraszam na libację z kawiozem, bazantem, truflami i szampanem oraz przepięknymi girlsami z pióropuszcami ze strusich piór w tym, no...

- Tak - wyraziłam szybko zgodę.

- Tak - zawtórowała mi Złociutka - zanim nie zmienisz zdania. Anno, czy powiedziałaś „pół miliona bucków”?

- Burt, pokaż im.

Burt pokazał nam nową książeczkę czekową i pozwolił nawet zajrzeć do środka, sam drapiąc się po brzuchu i wyglądając na zadowolonego z siebie. Bk 504,000. Ponad pół miliona w najtwardszej walucie Ameryki Pomocnej. Sporo ponad trzydzieści jeden kilo czystego złota. Uff, ja też nie chciałabym przenosić takiej fury pieniędzy nawet na drugą stronę ulicy. Nie w gotówce, nawet przy pomocy tacek. Przecież to prawie połowa tego, co sama waży. Książeczka czekowa była zdecydowanie poręczniejsza.

Tak, zamierzałam napić się z Burtem szampana.

Zrobiliśmy to w kabarecie przy Stardust. Burt wiedział, jaki napiwek dać szefowi kelnerów, by dostać okrągłą lożę tuż przy scenie. Otworzyliśmy szampana i zjedliśmy świetny obiad, którego główne danie stanowiła kura figurująca w menu jako „bazant”. Girlsy były rzeczywiście młode, śliczne i wesołe; pachniało też od nich świeżą kąpielą. Swój występ miało też kilku półnagich młodzieńców z ogromnymi muskularni, byśmy także my - kobiety - mogły nasycić wzrok. Mnie jednak nie podobali się ani trochę. Przede wszystkim załatywało od nich potem, a w dodatku najwyraźniej zainteresowani byli bardziej sobą nawzajem niż kobietami na sali. Oczywiście to ich sprawa, lecz wolałam zdecydowanie girlsy.

Mieli tam również pierwszorzędnego prestidigitatora, który wyczarowywał z powietrza gołębice w taki sam sposób, w jaki inni wyczarowywują czasem monety. Uwielbiam iluzjonistów, bo nie mam pojęcia, jak robią swoje sztuczki. Dlatego też zawsze gapię się na nich z otwartymi ustami.

Ten jednak zrobił coś takiego, co musiało wymagać paktu z samym Diabłem. W pewnym momencie poprosił, by jedna z girls zastąpiła jego asystentkę. Asystentka nie była rozebrana, za to ta dziewczyna miała na sobie tylko buty i kapelusz. Jediną ozdobą pomiędzy nimi był gustowny makijaż i szeroki, szczery uśmiech.

Magik zaczął wyjmować z niej gołębice. Całe mnóstwo.

Nie wierzyłam własnym oczom. Do teraz nie wierzę w to, co widziałam. Ona nie miała nawet tyle miejsca wewnątrz własnego ciała, by je wszystkie pomieścić. Nie, to nie mogło się zdarzyć.

Zamierzam jednak wrócić tam kiedyś i przyjrzeć się pokazowi z innego miejsca. Jak on mógł to zrobić?!

Kiedy złądownaliśmy z powrotem w Dunes, Złociutka zaproponowała, byśmy złapali jeszcze ostatnie przedstawienie w tutejszym klubie. Anna chciała jednak pójść już do łóżka. Postanowiłam posiedzieć jeszcze razem ze Złociutką. Burt powiedział, żebyśmy trzymały dla niego miejsce i że wróci natychmiast, gdy tylko odprowadzi Annę na górę.

Nie wrócił jednak. Gdy weszliśmy do apartamentu, nie byłam specjalnie zdziwiona faktem, że drzwi do sypialni zastałyśmy zamknięte od wewnątrz. Jeszcze przed obiadem mój nos powiedział mi, iż mało prawdopodobne jest, by Burt zechciał koić moje stargane nerwy drugą noc z rzędu. Nie powiem jednak, żebym miała mu to za złe. Był ze mną wtedy, kiedy tego potrzebowałam najbardziej.

Przyszło mi na myśli, że nos Złociutkiej trochę ją zawiódł, choć prawdę mówiąc nie wydawała się rozczarowana. Po prostu położyłyśmy się razem na rozłożonej kanapie, poplotkowałyśmy jeszcze trochę na temat tego szarlatana i jego gołębi, po czym obie zasnęłyśmy. Złociutka zachrapała cichutko, gdy odwracałam się do niej plecami.

Następnego ranka ponownie obudziła mnie Anna, lecz tym razem nie udawała już opanowania; wręcz promieniowała szczęściem.

- Dzień dobry, moje drogie. Wstawajcie, idźcie się wysiusiać i umyć ząbki. Burt właśnie wychodzi z łazienki, więc nie guzdrajcie się. Zaraz będzie śniadanie. Gdzieś tak pomiędzy drugą a trzecią filiżanką herbaty Burt chrząknął cichutko,

patrzac na Annę.

- No, kochanie?

- Sądysz, że powinnam?

- Nie ma na co czekać, skarbie.

- No dobrze. Piętaszku, Złociutka... mamy nadzieję, iż poświęcicie nam trochę czasu tego ranka. Kochamy was obie i chcielibyśmy prosić, byście były świadkami na naszym ślubie.

Najpierw obie zbaraniałyśmy, a potem rzuciłyśmy się im na szyje, ściskając i obcałowując oboje. W moim przypadku radość była szczera, zaskoczenie natomiast -

udawane. Co do Złociutkiej obawiałam się, że mogło być odwrotnie, lecz zachowałam swoje domysły dla siebie.

Złociutka i ja wyszłyśmy kupić kwiaty, umawiając się na spotkanie z narzeczonymi w Kaplicy Ślubów Gretna Green. Muszę przyznać, iż kamień spadł mi z serca, gdy przekonałam się, że Złociutka była tak samo szczęśliwa z powodu ich decyzji, jak szczęśliwa byłam ja.

- Będą do siebie idealnie pasować - powiedziała do mnie. - Nigdy nie popierałam pomysłu Anny zostania babcią i niańczenia wnucząt. Dla niej byłby to rodzaj samobójstwa. - Po chwili dodała, patrząc na mnie ostrożnie: - Mam nadzieję, że nie krzywisz z tego powodu nosa?

- Co takiego? Ja?! - Tym razem moje zdumienie było najszczerze pod Słońcem. -

Niby dlaczego miałabym go krzywić?

- No... przecież Burt spał z tobą zaledwie poprzedniej nocy. Tej nocy spał już z Anną,

a dzisiaj się z nią żeni. Niektóre kobiety mogłyby poczuć się głęboko urażone.

- Wielkie nieba! A to niby dlaczego? Przecież nie jestem w Burcie zakochana.

Owszem, kocham go za to, że jest jednym z was, którzyście uratowali mi życie pewnej burzliwej nocy. Poszłam z nim do łóżka, bo chciałam wyrazić mu swoją wdzięczność. Poza tym po prostu chciałam. Zresztą on również był dla mnie bardzo czuły, i to właśnie wtedy, kiedy tego potrzebowałam. Lecz to jeszcze nie powód, by oczekiwać, że spędzi ze mną wszystkie pozostałe noce, albo choćby tylko następną.

- Masz w zupełności rację, Piętaszku, jednak niewiele kobiet w twoim wieku potrafi myśleć tak prostolinijnie.

- Chyba trochę przesadzasz. Przecież to takie normalne! Ty wszak również nie czujesz się urażona, choć układ był dokładnie taki sam.

- Nie bardzo rozumiem. Co masz na myśli?

- Dokładnie to samo, co powiedziałaś przed chwilą o mnie. Poprzedniej nocy

Anna

spała z tobą, dzisiejszej natomiast - z nim. Nie wydaje się jednak, byś czuła do niej o to żal.

- A powinnam?

- Nie. Ale dostrzegasz chyba analogię? - (Złociutka, proszę cię, nie bierz mnie za idiotkę! Nie tylko widziałam twoją twarz, ale czułam też twój zapach.) - Prawdę mówiąc zaskoczyłaś mnie nieco. Nie przypuszczałam, że masz tego typu skłonności. Naturalnie wiedziałam, iż ma je Anna. Ona też mnie zaskoczyła, idąc do łóżka z Burtem. Jeszcze tydzień temu do głowy by mi nie przyszło, że kiedykolwiek była mężatką i że ma nawet dzieci.

- No tak. Sądzę, iż rzeczywiście mogło to tak wyglądać. Ale to jedynie pozory. Anna i ja kochamy się od lat i niekiedy wyrażamy to w łóżku. Nie jesteśmy jednak w sobie „zakochane”. Każda z nas ma większe skłonności do mężczyzn; bez względu na to, jakie wrażenie odniosłaś wczoraj rano. Nie masz pojęcia, jak się cieszyłam, kiedy Anna praktycznie wyrwała Burta z twoich ramion. Fakt, trochę martwiłam się o ciebie, ale niezbyt mocno - wokół ciebie zawsze snuje się stado wygłodniałych samców, podczas gdy w przypadku Anny rzecz ma się zgoła odmiennie. Stąd moja radość. Nie marzyłam nawet, że to skończy się małżeństwem. Przecież to cudownie! Ale otóż i Złota Orchidea. Co kupujemy?

- Zaczekaj chwilę. - Zatrzymałam ją tuż przed wejściem. - Złociutka... Jest taki ktoś, kto narażając własne życie dotarł aż do mojego łóżka na farmie i wytargał mnie stamtąd na własnych plecach.

Złociutka wyglądała na zmieszaną.

- Ktoś o wiele za dużo gada.

- Powinnam była powiedzieć to o wiele wcześniej. Kocham cię. Bardziej niż Burta, bo dłużej. Nie chcę poślubić jego, nie potrafiłabym poślubić ciebie. Po prostu kocham cię. W porządku

Rozdział XXVI

Kto wie? Może jednak w pewnym sensie poślubiłam Złociutka?

Gdy tylko Anna i Burt stali się formalnie małżeństwem, wszyscy wróciliśmy do hotelu. Burt kazał przenieść ich rzeczy do „apartamentu dla nowożeńców” (żadnych luster na suficie, biało-różowe obicia w tonacji pastelowej, reszta dokładnie taka sama, tylko dwa razy droższa), a Złociutka i ja wyprowadziłyśmy się z hotelu i wynajęłyśmy mały domek w pobliżu miejsca, gdzie Charleston łączy się z Freemont. Dzięki temu miałyśmy niedaleko do

deptaka prowadzącego z miasta na Giełdę Pracy, Złociutka bez trudu mogła dojeżdżać do każdego ze szpitali, a ja - robić zakupy. W przeciwnym razie musiałybyśmy wynająć albo nawet kupić powóz i konia lub rowery.

Może i lokalizacja stanowiła jedyną zaletę tego domu, lecz dla mnie była to chatka z piernika jak z czarownej bajki. Był co prawda stary i brzydki, a jedyne nowoczesne urządzenie, w jakie został wyposażony, stanowił terminal z ograniczonym dostępem sieciowym. A jednak po raz pierwszy w życiu miałam swój własny dom, w którym byłam „gospodynią”. Dom w Christchurch nigdy tak naprawdę nie był „mój”, nigdy nie byłam tam „u siebie” i ciągle przypominano mi, iż jestem w nim bardziej gościem niż domownikiem. Czy macie pojęcie, jaką radość sprawić może zakup rondla do własnej kuchni?

Gosposią zostałam od razu jeszcze tego samego dnia, kiedy Złociutka po raz pierwszy została wezwana na nocny dyżur. Wyszła wtedy o jedenastej wieczorem, a wróciła dopiero o siódmej rano. Następnego dnia, podczas gdy ona odsypiała nocną zmianę, postanowiłam ugotować swój pierwszy w życiu obiad. Oczywiście przypaliłam ziemniaki tak, że nie udało się ich uratować, i popłakałam się z bezsilnej złości na samą siebie, co jak rozumiem, stanowi jeden z przywilejów panny młodej. Jeśli tak, ja skorzystałam z owego przywileju na kredyt, choć nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek zostanę prawdziwą panną młodą. Nie taką, jak wtedy w Christchurch.

Powoli przekonywałam się, iż bardzo nadawałam się na panią domu. Kupiłam nawet nasiona słodkiego groszku i zasadziłam je wokół domku zamiast pnących róż, które powinny wić się w górę po ścianach domku młodej pary. Przy okazji odkryłam, że ogrodnictwo to coś więcej, niż tylko wtykanie nasionek w ziemię. Te nasionka zakiełkowały, więc wybrałam się do księgarni i kupiłam prawdziwy podręcznik dla ogrodników. Mało tego - przestudiowałam go od deski do deski i nawet sporo zapamiętałam.

Nie zdobyłam się tylko na jedno. Chociaż bardzo mnie kusiło, nie przyniosłam do domu kotka. Złociutka mogła się zaciągnąć każdego dnia. Ostrzegła, że jeśli nie będzie mnie w domu, może zniknąć, nie powiedziawszy nawet „do widzenia” (tak samo, jak ja ostrzegałam kiedyś Georgesa - i zniknęłam). Nie mogłam przygarnąć kota, nie będąc w stanie zatrzymać go na zawsze. Czy wyobrażacie sobie kuriera, noszącego ze sobą wszędzie koszyk z kotem? A przecież pewnego dnia ja także znajdę nową pracę i będę musiała opuścić to miejsce. Nie wolno mi więc było adoptować żadnego zwierzaka.

Poza tym cieszyłam się z wszystkiego, co wiązało się z faktem bycia panią domu... łącznie z mrówkami znajdowanymi w cukrze i rurą, która pękła w nocy. Byłam wtedy naprawdę szczęśliwa. Złociutka powoli zaczęła ufać mojej kuchni. Myślałam, że umiem gotować, choć tak naprawdę potrafię to robić dopiero teraz. Nauczyłam się też przyrządzać martini dokładnie tak, jak ona to lubiła: trzy porcje ginu Beefeater i jedna porcja wytrawnego wermutu Noilly Prat. Sama popijałam Bristol Cream z lodem. Martini jest jak dla mnie zbyt ostre, lecz potrafiłam zrozumieć, dlaczego pielęgniarka po całym dniu spędzonym na nogach bez chwili odpoczynku może chcieć wypić szklaneczkę mocniejszego trunku po powrocie do domu.

Uwierzcie mi - gdyby Złociutka była mężczyzną, poddałabym się operacji odwracającej moją sterylność i szczęśliwie wychowywałabym dzieci, doglądała groszku w ogrodzie i karmiła koty.

Burt i Anna kilka dni po ślubie pojechali do Alabamy. Umówiliśmy się, by nie tracić ze sobą kontaktu. Nie zamierzali osiedlać się tam na stałe, lecz Anna mówiła, iż już od dawna

była winna odwiedzić swojej córce. Nie mogła też przecież pominąć okazji pochwalenia się nowym mężem. Później planowali podpisać kontrakt z jakąś militarną bądź quasi-militarna kompanią, która zatrudni ich oboje i zobowiąże się ich nie rozdzielać. No tak, oboje byli już znudzeni pracą przy biurku, postanowili więc przyłączyć się do jakiegoś oddziału najemników. „Lepsza jedna godzina życia pełna wypadków, niż sto lat przepelnionych nudą.” Może i tak. W końcu to przecież ich życie.

Przez cały czas coraz częściej zaglądałam na Giełdę Pracy. Nadchodził dzień, w którym miałam nie tyle zechcieć zaciągnąć się do jakiegokolwiek oddziału, ile zostać do tego przez sytuację zmuszona. Złociutka pracowała już dzień w dzień i upierała się, że będzie pokrywać wszystkie domowe wydatki. Położyłam uszy po sobie i nie nalegałam zbyt, byśmy płaciły za wszystko pół na pół. Ponieważ to ja wydawałam każdego bucka, wiedziałam więc dokładnie, ile kosztuje życie w Las Vegas. Zbyt wiele, nawet jeśli mieszka się w skromnym domku na peryferiach miasta. Po wyjeździe Złociutkiej mogłabym mieszkać tam jeszcze przez kilka miesięcy, lecz później byłabym splukana co do grosza.

Nie zostałabym tam jednak sama. Chatka z piernika nie jest dobrym miejscem, by żyć w nim samotnie.

Ciągle próbowałam skontaktować się z Georgesem, Ianem i Janet albo z Betty i Feddim, ograniczyłam się jednak do dwóch prób w miesiącu. Opłaty za używanie terminalu były zbyt wysokie, bym mogła to robić częściej.

Dwa razy w tygodniu pół dnia spędzałam na Giełdzie Pracy, sprawdzając dosłownie wszystko. Przestałam już ludzi się, iż dostanę pracę jako kurier w jakimś oddziale najemników, ciągle jednak wypytywałam w przedstawicielstwach kompanii ponadnarodowych. Niektóre z nich nadal jeszcze zatrudniały doświadczonych kurierów. Sprawdzałam też wszystkie inne możliwości dostania jakiegokolwiek pracy, poszukując czegoś lub kogoś, komu przydałyby się moje zdecydowanie specyficzne i niecodzienne umiejętności. Szef wspomniał kiedyś, iż jestem swego rodzaju supermenem. Jeśli tak, mogę was zapewnić, że zapotrzebowanie na supermenów było raczej znikome.

Rozważałam też możliwość pójścia do szkoły dla dealerów i krupierów. Bardzo szybko odłożyłam jednak tę ewentualność na sam koniec. Dobry dealer lub krupier może pracować przez wiele lat i za wcale niezłe pieniądze, lecz dla mnie byłby to kierat. Sposób, by utrzymać się przy życiu, ale nie sposób na życie. Lepiej już zaciągnąć się gdzieś jako szeregowiec i dochrapać się jakiejś rangi.

Było jednak jeszcze parę innych możliwości, które nigdy przedtem nie przyszły mi do głowy.

Licencjonowane Matki Do Wynajęcia!!!

Gwarancje udzielane przez Trans-America
i/lub Towarzystwo Ubezpieczeniowe Lloyda

Żadnych specjalnych opłat w wypadku
urodzenia bliźniąt od dwojaczków do
czworaczków. Honorarium według indy-
widualnych umów. Standardowa opłata
za badania lekarskie przeprowadzone
przez wybranego przez ciebie specjalistę.

BABIES UNLIMITED Inc.

LV 7962M 4/3

Mogłabym spróbować podpisać kontrakt z B.U. Inc. Moja zwrotna sterylność byłaby nawet pewnym punktem przetargowym. Klienci matek do wynajęcia są zazwyczaj podejrzliwi i nieufni. Wolą na ogół mieć pewność, że nie są nabijani w butelkę przez takie, co to zachodzą w ciążę na własny rachunek tuż przed poddaniem się zabiegowi. Sterylność nie jest kalectwem, jeśli produkowanie przez organizm jaj jest bezcelowe. Wystarczy, by odpowiedni specjalista dokonał drobnego zabiegu i ciało zwrotnie wysterylizowanej kobiety znowu jest polem gotowym do zasiewu. Comiesięczna owulacja jest po prostu uciążliwa. Rodzenie dzieci innym ludziom mogłoby być jedynie tymczasowym zajęciem... ale zawsze to jakaś możliwość. Ostatecznie płacili wcale nieźle.

POSZUKIWANA OD ZARAZ

Żona na dziewięćdziesięciodniowe wakacje na innej planecie.

Pokrywam wszelkie wydatki

Premie obowiązujące w branży

Gwarantowany luksus 9+

Wymagania:

Psychika typu S/W

Temperament sangwiniczny 8

Współczynnik popędu 7 lub więcej

Posiadam licencję prokreacyjną Imperium

Chicago, której zrzeknę się na rzecz wakacyjnej żony, jeśli zajdzie ona w ciążę.

Mogę też poddać się razem z nią czteromiesięcznej sterylizacji.

Wybór zależeć będzie od niej.

Kontakt: Amelia Trent, Licencjonowany

Seks-Makler

#18/20 New Cortex Mezzanine

Niezły układ dla kogoś, kto potrzebował trzymiesięcznych wakacji i lubił przy tym grać w rosyjską ruletkę. Dla mnie ciąża nie stanowiła niebezpieczeństwa, a mój współczynnik popędu był większy niż siedem. Znacznie większy. Jednak skala premiowa dla kurtyzan w Wolnym Stanie nie była aż tak kusząca, by usprawiedliwiać porzucenie szansy na bardziej stałą pracę. Poza tym bezimienny klient musiał być bez wątpienia nudny i niezbyt atrakcyjny. Inaczej nie musiałby poszukiwać kogoś do swojego wakacyjnego łóżka za pomocą ogłoszeń.

PILNIE POSZUKIWANI

Dwaj inżynierowie obojętnej płci znający się na problematyce czasoprzestrzeni, posiadający duże doświadczenie w projektowaniu n-wymiarowym, zdecydowani podjąć ryzyko nieodwracalnej dyslokacji czasowej.

Wysokie ubezpieczenie!!!

Udziały w zyskach!!!

Pozostałe warunki do uzgodnienia.

Babcock & Wilcox, Ltd.

Zgłoszenia imienne: Wall Street Journal

LV Gld. Pr.

To powyżej jest dokładnie właśnie tym typem zajęcia, jakiego potrzebowałam. Jediną przeszkodę stanowił fakt, iż nie byłam specjalistką najwyższej klasy, jeśli chodzi o inżynierię czasoprzestrzenną.

Pierwszy Kościół Plazmitów („Na Początku była Plazma, bezkształtna i wszechogarniająca”) leżący poza Mali miał przed wejściem umieszczoną tablicę informującą o godzinach, w jakich odprawiano nabożeństwa. Obok niej przymocowany był ekran cyfrowy, po którym bez przerwy przebiegał jakiś powtarzający się napis. Przykuł on moją uwagę: „NASTĘPNA DZIEWICA ZOSTANIE ZŁOŻONA W OFIERZE 22 PAŹDZIERNIKA O GODZINIE 2.51”.

Wyglądało to na stałą propozycję, lecz niestety jeszcze jedną z tych, do których nie posiadałam odpowiednich kwalifikacji. A jednak było w tym coś, co mnie zafascynowało. Gdy tak stałam, gapiąc się bezmyślnie na ruchomy napis, podszedł jakiś mężczyzna i pomajstrowawszy przy tablicy, zmienił jego treść. Dopiero wówczas zorientowałam się, że ostatnia ofiara złożona została na ołtarzu ubiegłej nocy i że następny sakrament odbędzie się dopiero za dwa tygodnie. Poczułam się lekko skonsternowana. A jednak, jak zwykle, zwyciężyła we mnie ciekawość.

Podeszłam i zapytałam:

- Czy wy naprawdę składacie w ofierze dziewice?

- Ja nie - odrzekł. - Jestem tu tylko kościelnym. Ale... Właściwie nie, one tak naprawdę nie muszą być dziewicami. Wystarczy jedynie, że na nie wyglądają.

Otaksował mnie uważnie od stóp do głów.

- Myślę, że nadawałabyś się. Chcesz pójść ze mną i porozmawiać z księdzem?

- Och, nie! Chciałam tylko dowiedzieć się, czy on rzeczywiście składa je w ofierze.

Ponownie przyjrzał mi się z uwagą.

- Nie jesteś tutejsza?

Kiwnęłam potakująco głową.

- No więc to jest mniej więcej tak - zaczął. - Jeśli ogłaszasz, że poszukujesz obsady do jakiegoś filmu dla frajerów, aktorzy po prostu przychodzą i odgrywają swoje role. Nikt z nich nie pyta, czy i skąd biorą się frajerzy, którzy chcą ten film obejrzeć. Takie właśnie jest całe to miasto.

Kto wie, może rzeczywiście miał rację? Bardziej jednak prawdopodobne, że to ja byłam wieśniaczką nieprzywykłą do dziwactw spotykanych na każdym kroku w wielkiej metropolii. A może i jedno, i drugie?

Niemalże codziennie znajdowałam mnóstwo ogłoszeń dotyczących pracy poza planetą. Nie zamierzałam skorzystać z tego typu ofert, gdyż nie zamierzałam opuścić tej

planety jako zwykły kolonizator. Potencjalnie byłam tak szczerze subsydiowanym kolonizatorem, że miałam prawo wyboru dowolnej kolonii, począwszy od Proxima - prawie w naszym Układzie Słonecznym, aż po The Realm, odległą tak bardzo, iż zarówno towary, jak i ludzie docierali tam dopiero po którejś z rzędu przesiadce z jednego promu hiperprzestrzennego na drugi. Tyle tylko, że według ostatnich doniesień z The Realm, Pierwszy Obywatel zabronił osiedlać się na niej przybyszom z innych światów. Jedyne wyjątki stanowili znani artyści i naukowcy, lecz w takich przypadkach każda prośba rozpatrywana była indywidualnie. Na szczęście nie planowałam osiedlenia się na The Realm, choć uważana była ona za najbogatszy ze światów. Dla mnie jednak zbyt odległy. Lecz mieszkańcy Proxima są naszymi bliskimi sąsiadami. Na South Island ich słońce jest dokładnie nad głową - wielka, jasna gwiazda, migocząca przyjaznym blaskiem.

Mimo wszystko czytałam każde ogłoszenie.

Transuraniczna Złota Sekcja na księżycu Złocistym krążącym wokół Procyona B poszukiwała doświadczonych inżynierów górniczych do nadzoru koboldów.

Wymiana co

pięć ziemskich lat, specjalne premie i dodatki. W ogłoszeniu nie było nic o tym, że na Złocistym przeciętny człowiek rzadko kiedy jest w stanie przeżyć pięć lat.

Linie Hiperprzestrzenne ogłaszały rekrutację załogi na wyprawę na The Realm via Proxima, Outpost, Fiddler's Green, Botany Bay, Halcyon i Midway. Wyprawa

miała

wystartować z Bazy Stacjonarnej i trwać cztery miesiące. Przeleciałam jedynie wzrokiem po warunkach pracy i płacy dla ultra-astrogatora, inżyniera czasoprzestrzennego, oficera łączności i oficera medycznego, lecz inne specjalności przejrzałam z zainteresowaniem: Kelner, room-steward, cieśla-konserwator, elektryk, monter, elektronik, elektronik komputerowy, kucharz, barman, krupier/dealer, kierownik kadr, holo-grafik/fotograf, pomoc dentystyczna, piosenkarz-solista, nauczyciel tańca, dyrektor kasyna, pokojówka, kamerdyner (!), nauczyciel gry w karty, hostessa, instruktor pływania, pielęgniarka, opiekunka do dzieci, agent ochrony (uzbrojony), agent ochrony (nieuzbrojony), reżyser/dyrygent, dyrektor teatru, muzycy (wymienione dwadzieścia trzy instrumenty), kosmetyczka, fryzjer, masażystka, ekspedientka sklepowa, przewodnik wycieczek...

A to zaledwie część. Były tam wymienione chyba wszystkie zawody, jakie można spotkać na Ziemi. Nazw części specjalności związanych wyłącznie ze statkami kosmicznymi nie byłam nawet w stanie rozszyfrować. Bo co niby na Ziemi (czy też poza nią) oznaczać może „nadnoclegownik 2/c”?

Jedyną profesją, której nie znalazłam, stanowił zawód kurtyzany, mimo iż Linie Hiperprzestrzenne były jakoby Pracodawcą Równych Szans. Przekonałam się, co to za równość. W praktyce „równe” szansę dostania jakiegokolwiek pracy nie związanej ściśle z techniką mieli wyłącznie ludzie młodzi, przystojni, o miłej powierzchowności, idealnej figurze oraz końskim zdrowiu, najlepiej biseksualiści spragnieni szybkiego zarobku i otwarci na wszelkie rozsądne propozycje.

Sam Kapitan Portu ma dwie lewe stopy. Był niegdyś płatnikiem na starym „Newtonie”, choć zaczynał od room-stewarda. W czasie swoich kosmicznych

podróży

zawsze upewniał się, że jego pasażerowie pierwszej klasy mają wszystko, czego potrzebują - i że dobrze za to płacą. Jako Kapitan Portu ma nadal ten sam cel. Mówi się o nim, iż przychylniej niż na jednostki, patrzy na pary małżeńskie lub ich odpowiedniki, jeśli tylko potrafią pracować jako zespół nie tylko w łóżku. Po Mali krążyła opowieść o pewnej grupie żigolaków i kurtyzan, która dorobiła się majątku w ciągu zaledwie trzech podróży. Lekcje tańca rano, lekcje pływania po południu, fordanserka i hostessowanie przed i po obiedzie, występy estradowe wieczorem oraz zaspokajanie najwybredniejszych gustów w pojedynkę lub grupowo nocą. Trzy wyprawy i gotowi byli odejść na zasłużoną emeryturę... i musieli odejść na zasłużoną emeryturę, gdyż najzwyczajniej w świecie zostali wyrzuceni z pracy. Po prostu przestali być atrakcyjni, wyeksploatowali się.

Nie sądzę, by pieniądze nęciły mnie aż do tego stopnia. Jeśli ktoś mnie o to poprosi lub zmusi mnie do tego sytuacja, mogę nie spać przez całą noc. Lecz potem, za dnia, muszę złapać choć parę godzin snu.

Ciekawiło mnie, jak się to dzieje, że Linie Hiperprzestrzenne, posiadając zaledwie dwa pasażerskie liniowce, wynajmowały za każdym razem tak wielu specjalistów. Gdy spytałam o to asystentkę agenta od spraw zatrudnienia, spojrzała na mnie szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma.

- Naprawdę nie wiesz?

- Naprawdę - odrzekłam.

- Trzeba mieć naprawdę sporo tego, co sprawia, że świat się kręci, by móc pozwolić sobie odbyć podróż jako pasażer. A po drodze jest kilka bardzo atrakcyjnych planet. Na przykład Fiddler's Green musi być niezwykle fascynującym miejscem, skoro przed kilkoma laty nawet pierwszy oficer „Diraca” opuścił tam swój statek i już nigdy nań nie powrócił. Dezercja stanowi więc poważny problem. Z załogą rekrutowaną tutaj kompania nie ma jeszcze zbyt wielkich problemów, ale przypuśćmy, że twój dom jest gdzieś w Kantonie, Bangkoku lub Rangoonie... ty pracujesz jako tragarz na jednym z naszych liniowców i podczas rozładunku gdzieś na Halcyonie nadzorca spuści cię z oka na wystarczająco długo? Co byś zrobiła? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszyła ramionami i ciągnęła dalej: - To, o czym mówię, nie jest żadną tajemnicą. Każdy, kto kiedykolwiek zastanawiał się nad tym, wie, że dla większości ludzi najprostszym i zarazem jedynym sposobem opuszczenia Ziemi lub nawet Księżyca jest zaciągnięcie się do załogi jakiegoś statku hiperprzestrzennego i zdezerterowanie przy najbliższej nadarzającej się okazji. Sama zrobiłabym to, gdybym tylko mogła.

- A dlaczego nie możesz?

- Bo mam tu sześciolatniego syna.

Powinnam wreszcie nauczyć się pilnować własnego nosa.

Niektóre z ogłoszeń pobudzały moją wyobraźnię. Na przykład to:

NOWO ODKRYTA PLANETA - Typ T-8

Gwarantowane Maksimum Niebezpieczeństwa.

Jedynie Pary lub Grupy

Rozszerzony Program Przetrwania

Churchill i Syn, Handlarze Nieruchomości

Giełda Pracy w Las Vegas 96/98

Przypomniałam sobie coś, co powiedział mi Georges - że wszystko powyżej ośmiu wymaga potężnych inwestycji, doskonałego zaopatrzenia w sprzęt i olbrzymich premii dla kolonizatorów. Teraz jednak wiedziałam o tej skali coś jeszcze. Osiem było bazowym wskaźnikiem dla Ziemi. Nawet ten ład, na którym właśnie stałam, do dziś jeszcze nie został ujarzmiony i wcale nie było to łatwe zadanie. Potężne jego obszary nadawały się do zamieszkiwania jedynie dla pustynnych gadów i płazów, dopóki obszarów tych nie potraktuje się setkami ton sprzętu i nie wpompuje się w nie milionów hektolitrow wody. Intrygowało mnie owo „maksimum niebezpieczeństwa”. Czyżby było to coś, co wymagało talentów kobiety, która naprawdę potrafiła nękać napastnika błyskawiczną ucieczką, jeśli tylko wymagała tego sytuacja? Nie pragnęłam stanąć na czele plutonu Amazonek, gdyż część moich dziewcząt prawdopodobnie musiałaby zginąć, a mnie nie uśmiechała się taka perspektywa. Nie miałabym natomiast nic przeciwko spotkaniu oko w oko na przykład szablozębnego tygrysa. Byłam święcie przekonana, iż zdążyłabym go dopaść i przewrócić na grzbiet, nim zorientowałby się, że coś w ogóle się dzieje. Kto wie? Może jakaś surowa i dziewicza T-8 byłaby dla Piętaszka miejscem bardziej odpowiednim niż cieplarnia typu Fiddler's Green? Z drugiej jednak strony „maksimum niebezpieczeństwa” oznaczać mogło na przykład potężną liczbę wulkanów lub zbyt dużą radioaktywność. Któż chciałby świecić w ciemnościach? Najpierw się przekonaj, Piętaszku. Możesz wybrać tylko raz.

Zostałam w Mali naprawdę długo. Poprzedniego dnia Złociutka pracowała znowu na nocnej zmianie. Gdy rano wróciła do domu, była już prawie dziesiąta. Podałam jej śniadanie i położyłam do łóżka, mając nadzieję, że nie obudzi się wcześniej niż o osiemnastej. Włączyłam się więc po Mali, dopóki nie zaczęto zamykać biur. Stanąwszy przed domem, zorientowałam się, że wewnątrz ciągle jeszcze było ciemno. Nawet mnie to ucieszyło. Sądziłam, że Złociutka nadal jeszcze spała. Z radością pomyślałam, że gdy się obudzi, będę jej mogła podać kolację. Cichutko weszłam do środka... i nagle zdałam sobie sprawę, iż dom jest pusty. Nie będę próbowała wytłumaczyć, skąd to wiedziałam. Po prostu pusty dom pachnie inaczej i panuje w nim innego rodzaju cisza niż w domu, w którym ktoś jedynie śpi. Weszłam prosto do sypialni - zaścielone, puste łóżko. Puste, ale... Włączyłam światło. Z terminalu wystawał długi arkusz z wydrukiem. Dla mnie.

Najdroższy Piętaszku,

wygląda na to, że nie będzie cię w domu, gdy będę wychodziła. Może to i lepiej, bo pewnie płakałybyśmy obie, co i tak niczego by nie zmieniło. Nareszcie praca znalazła mnie sama, chociaż z tej strony spodziewałam się jej najmniej. Wygląda na to, że moje dobre układy z naszym zmarłym Mistrzem teraz procentują. Tuż po twoim wyjściu odezwał się dr Krasny. Jest on teraz dowódcą nowo tworzonego Oddziału Sanitarnego, mającego wejść w skład Zwiadowców Sama Houstona. Rozumiesz chyba, iż nie wolno mi powiedzieć ci, gdzie się znajdujemy, bądź dokąd mamy się udać. Ale (spal ten wydruk natychmiast po przeczytaniu) gdybyś miała jechać gdzieś na zachód od Plainview, może uda ci się spotkać mnie w Llos Lanos Estacados, zanim dotrzesz do Portales. Dokąd się udajemy? To już jest naprawdę tajemnica. Rozmawiałam też z Burtem i Anną. Mamy się spotkać w Eli Passo o 18.00.

„18.00”?! A więc Złociutka była już w Teksasie...

Dr Krasny zapewnił mnie, że dla nich też znajdzie się jakaś praca; jeśli nie w grupie bojowej, to przynajmniej w oddziale pomocy medycznej. Jest też miejsce dla ciebie, moja droga - w grupie szturmowej, jeśli ci to odpowiada. Ale mogę cię też wziąć do siebie jako medtechnika. Myślę, że mogłabym nawet awansować cię na sierżanta-medadministratora, znam przecież twoją wartość. Podobnie zresztą pułkownik Krasny. Dobrze byłoby zebrać znowu całą naszą czwórkę - to znaczy piątkę - razem.

Nie chcę jednak skłaniać cię do niczego siłą. Dobrze wiem, że niepokoi cię bardzo sprawa zaginięcia twoich kanadyjskich przyjaciół i że ciągle próbujesz ich odszukać. Jeśli czujesz, że nie możesz związywać sobie rąk, zanim ich nie odnajdziesz, błogosławię cię iż całego serca życzę szczęścia. Z pewnością są tego warci. Ale skoro uważasz, że mogłoby ci się przydać trochę ruchu połączonego z odrobiną emocji i wcale nie najgorszymi premiami, przyjeżdżaj natychmiast do El Paso. Adres: Towarzystwo Opieki nad Bezdomnymi, Sekcja w El Paso, Dział Operacji Terenowych, Agenci Środowiskowi, do rąk własnych Johna Krasny'ego, Dyrektora Sekcji. Nie śmieć się, po prostu zapamiętaj to i zniszcz.

Natychmiast, gdy wiadomości o planowanej przez nas operacji pojawią się w serwisach informacyjnych, będziesz mogła otwarcie skontaktować się z którymkolwiek z nas poprzez biuro Zwiadowców w Houston. Jednak do tego czasu jestem „kierownikiem działu personalnego „

Niech łaskawy Bóg ma cię w swej opiece i zachowa cię od złego.

Jak zawsze całym sercem oddana,

Złociutk

Rozdział XXVII

Wydruk spaliłam natychmiast. Potem położyłam się na łóżku. Na kolację nie miałam ochoty. Następnego ranka poszłam na Giełdę Pracy, odszukałam biuro pana Fawceta - agenta Linii Hiperprzestrzennych i powiedziałam mu, że chcę dostać pracę jako agent ochrony (nieuzbrojony). Ten wymoczek wyśmiał mnie. Spojrzałam na jego asystentkę, szukając moralnego poparcia, lecz ona odwróciła wzrok. Powstrzymałam narastającą we mnie złość i powiedziałam tonem najgrzeczniejszym, na jaki było mnie wtedy stać:

- Czy zechciałby mi pan wyjaśnić, z czego się pan śmieje?

Pohamował ochryple rechot i odrzekł:

- Posłuchaj, ptaszyno, zdajesz się nie wiedzieć, że słowo „agent” oznacza mężczyznę. Szczególnie jeśli mówi się o agencji ochrony. Ty również mogłabyś dbać o komfort pasażerów na którymś z naszych liniowców, lecz w nieco inny sposób.

- O ile się nie mylę, reklamujecie się jako Pracodawca Równych Szans. Dla was słowo „kelnerka” powinno więc oznaczać to samo, co „kelner”; „stewardesa” to samo, co „steward”. Mam rację?

- Jasne. Tylko że nawet z tymi zawodami, które przed chwilą wymieniłaś, wiąże się tak zwana „fizyczna zdolność do podołania obowiązkom związanym z objętym stanowiskiem pracy”. Agent ochrony na pokładzie statku to nikt inny, jak oficer policji. Nieuzbrojony agent ochrony natomiast, to glina, potrafiący utrzymać porządek bez sięgania po broń. Potrafi wkroczyć do bójki i aresztować jej prowodyra gołymi rękami. Naturalnie ty nie mogłabyś tego zrobić. Nie zwracaj mi więc głowy, o'key?

- Być może nie powinienam. Ale nie zajął pan jeszcze do moich referencji.
- Bo nie widzę takiej potrzeby. Skoro się jednak upierasz... - Niedbale przerzucił leżące przed nim kartki. - Napisano tutaj, że jesteś bojowym kurierem, cokolwiek miałyby to znaczyć.

- To oznacza, proszę pana, że jeśli mam do wykonania jakąś misję, nikt nie jest w stanie mi w tym przeszkodzić. A jeśli ktoś zamierza próbować zbyt uporczywie, staje się potencjalnym żarciem dla psów. Kurier działa zawsze nieuzbrojony. Mam przy sobie co najwyżej laserowy nóż lub pojemnik z gazem łzawiącym, a i to bardzo rzadko. Zazwyczaj polegam na własnych rękach. I nogach. Tam jest również napisane, jakiego rodzaju przeszkolenie mam za sobą.

- W porządku. Byłaś więc w szkole sztuk walki. Ale to ciągle jeszcze nie oznacza, że potrafiłabyś poradzić sobie z przewyższającym cię o głowę i ważącym dwa razy tyle co ty bokserem. Proszę więc, małeńka, nie marnuj mojego cennego czasu. Nie dałabyś rady aresztować nawet mnie.

Weszłam za jego biurko, chwyciłam jak kurczaka i wystawiłam za drzwi. Nikt na zewnątrz nie zorientował się nawet, co się dzieje. Nawet jego asystentka niczego nie zauważyła. Trzeba jej przyznać, iż bardzo się starała.

- Proszę bardzo - powiedziałam. - Jak pan widzi, nic się nawet panu nie stało. Ale jeżeli pan chce, może pan tu zawołać mistrza wagi ciężkiej, oczywiście mężczyznę. Jemu połamię ręce... chyba że życzy pan sobie, abym złamała mu kark.

- Chwyciłaś mnie, gdy nie patrzyłem!

- Oczywiście. W taki właśnie sposób należy postępować z agresywnymi pijaczkami.

Ale teraz pan patrzy, możemy więc spróbować ponownie. Tylko że tym razem prawdopodobnie będę musiała lekko pana ogłuszyć. Obiecuję jednak nie złamać panu żadnej kości - rzekłam, ruszając w jego stronę.

- Zostań tam, gdzie stoisz! Przecież to absurdalne. Nie przyjmujemy do pracy agentów ochrony jedynie dlatego, że ktoś nauczył ich kilku wschodnich sztuczek. Wynajmujemy potężnie zbudowanych facetów; tak potężnie, że już sama ich sylwetka budzi lęk lub co najmniej respekt. Wcale nie muszą walczyć.

- W porządku - powiedziałam. - W takim razie niech mnie pan wynajmie jako zwykłego tajniaka. Mogę się wbijać co wieczór w elegancką suknię i odgrywać

rolę fordanserki, dopóki ktoś nie szturchnie pańskiego wielkiego glinę w splot słoneczny. A wtedy przyjdę mu z odsieczą.

- Nasi agenci ochrony nie potrzebują dodatkowej obstawy.

- Może. Naprawdę potężnie zbudowany człowiek jest zazwyczaj powolny i niezgrabny. Niewiele też wie na temat walki, bo niezmiernie rzadko bywa do niej zmuszony. Owszem, jest dość dobry, by utrzymać porządek... przy stoliku brydżowym. Albo by poradzić sobie z zalanym gościem przy barze. Przypuśćmy jednak, że na statku naprawdę zaczynają się kłopoty. Bunt załogi. Zamieszki wśród pasażerów. Wtedy kapitan potrzebować będzie kogoś, kto naprawdę potrafi walczyć. Mnie.

- Proszę zostawić podanie mojej asystentce. I nie dzwonić do nas. Sami się z panią

skontaktujemy.

Wracając do domu zastanawiałam się, gdzie jeszcze mogłabym poszukać. A może lepiej jednak było pojechać do Teksasu? W stosunku do Fawceta popełniłam idiotyczny, niewybaczalny błąd: taki sam, co w stosunku do Briana. Szef wstydziłby się za mnie. Zamiast dać się sprowokować, powinnam raczej nalegać na przeprowadzenie testu kwalifikacyjnego, a już w żadnym wypadku nie wolno mi było dotknąć nawet palcem człowieka, mogącego dać mi pracę. Jesteś idiotką, Piętaszku. Idiotką!

Nie martwiła mnie utrata tej konkretnej możliwości. Martwił mnie fakt, że zaprzepaściłam wszelkie szansę otrzymania pracy w Liniach Hiperprzestrzennych. Wszystko wskazywało na to, iż musiałam znaleźć jakieś zajęcie niemalże natychmiast. Nikt za mnie nie zadba, by Piętaszek miał co włożyć do ust (a przyznać muszę, że jem za dziesięciu). Nie musiała to jednak być ta właśnie praca. Chodziło mi o jakąkolwiek pracę... byle w Liniach Hiperprzestrzennych. Odbycie jednej tylko podróży na pokładzie ich liniowca pozwoliłoby mi przyjrzeć się i ocenić ponad połowę skolonizowanych planet w eksplorowanym kosmosie. Skoro już zdecydowałam się emigrować z Ziemi, jak radził mi Szef, nie mogłam przecież wybrać jakiejś planety wyłącznie na podstawie folderów i broszur reklamowych, wiedząc, iż nie będę miała możliwości powrotu lub zmiany decyzji.

Weźmy na przykład Eden, reklamowany najbardziej spośród wszystkich kosmicznych kolonii. Oto jego zalety: Na większości powierzchni planety klimat zbliżony jest do tego, jaki panuje na południu Kalifornii. Żadnych szkodliwych bakterii lub insektów, żadnych niebezpiecznych drapieżników, grawitacja powierzchniowa o dziewięć procent mniejsza niż na Ziemi, zawartość tlenu w atmosferze o jedenaście procent większa, a gleba tak bogata, że dwa lub trzy zbiory do roku są rzeczą normalną. Cudowny krajobraz, gdzie by nie spojrzeć. Obecnie żyje tam około dziesięć milionów ludzi.

Gdzież więc jest haczyk? Dowiedziałam się tego pewnego wieczora w Luna City, pozwalając się poderwać przez pewnego młodego i przystojnego oficera, który zaprosił mnie na obiad. Otóż od czasu, gdy odkryto Eden, kompanie eksploracyjne włożyły weń górę pieniędzy, chcąc go przekształcić w coś na kształt ekskluzywnego domu spokojnej starości. Tak też głośniły foldery reklamowe. I właściwie nie mijały się z prawdą. Ludzie, którzy zamieszkali tam w kilka lat po przybyciu ekipy pionierów, żyli długo i w świetnym zdrowiu. Panuje tam ustrój republiki demokratycznej, lecz nie tego typu, co w Konfederacji Kalifornijskiej. Aby otrzymać prawa wyborcze, każdy musi mieć ukończone siedemnaście ziemskich lat i być podatnikiem (na przykład posiadaczem ziemskim). Wszystkie stanowiska i urzędy publiczne sprawowane są przez rezydentów w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat, i jeśli ktokolwiek sądzi, iż dzieje się tak ze względu na szacunek dla ludzi starszych, to ma absolutną rację. Tyle tylko, że oznacza to również, iż wszystkie cięższe i mniej przyjemne prace - na przykład w służbach komunalnych - wykonywane są przez imigrantów, którzy skuszeni urokami tej planety masowo przybywają na Eden, stając się tam po prostu tanią siłą roboczą.

Czy sądzicie, że o tym również pisze się w broszurkach reklamowych?

Musiałam więc poznać wszystkie fakty, o jakich milczą foldery zachęcające do przybycia na tę czy inną skolonizowaną planetę, zanim kupię bilet w jedną stronę na którąś z nich. A tymczasem zaprzepaściłam najlepszą szansę, „udowadniając” panu Fawcetowi, że nieuzbrojona kobieta jest w stanie poradzić sobie z większym i silniejszym od siebie

mężczyzną, dzięki czemu bez wątpienia dostałam się na jego czarną listę.

Miałam nadzieję, że zdążę wydorosnąć i zmądrzeć, zanim na dobre zapanuje tu klimat wielkich pieców hutniczych.

Szef pogardzał ludźmi płaczącymi nad rozlanym mlekiem, tak samo jak tymi, którzy biadolą na własny los. Skoro zaprzepaściłam szansę dostania pracy w Liniach Hiperprzestrzennych, czas był najwyższy, by opuścić Las Vegas, dopóki zostało mi jeszcze parę groszy. Jeśli nawet nie potrafiłam sama zorganizować sobie Wielkiego Tournee, ciągle jeszcze istniał jeden sposób, by dowiedzieć się prawdy o skolonizowanych planetach. Ten sam, w jaki dowiedziałam się prawdy o Edenie: członkowie załóg statków kultywacyjnych. Musiałam więc dostać się do jednego z tych miejsc, w których byłam pewna ich znaleźć. Miejscem takim była Baza Stacjonarna na orbicie nad Beanstalk. Frachtowce, chcąc uniknąć wejścia w zasięg pola grawitacyjnego Ziemi, praktycznie nigdy nie zbliżały się do niej bardziej, niż na wysokość Ell-Cztery lub Ell-Pięć. To samo dotyczyło Księżyca. Ale statki pasażerskie cumowały zazwyczaj przy Bazie Stacjonarnej. Wszystkie potężne liniowce Linii Hiperprzestrzennych - „Dirac”, „Newton”, „Forward” i „Maxwell” - odlatywały właśnie stamtąd i tam też powracały po zaopatrzenie, paliwo, ładunek i nowych pasażerów. Kompleks Shipstone miał tam swój oddział (Shipstone Baza Stacjonarna) właśnie po to, by zaopatrywać w energię statki; szczególnie te duże statki. Toteż w barach i hotelach Bazy Stacjonarnej najłatwiej można było spotkać oficerów oraz członków załóg owych statków.

Nie cierpiałam Beanstalk. Nie przepadałam też za Bazą. Poza fascynującym, lecz nigdy nie zmieniającym się widokiem Ziemi, miejsce to nie ma do zaoferowania nic poza wysokimi cenami i ciasnymi pomieszczeniami. Tamtejsze sztuczne pole grawitacyjne wywiera na mnie bardzo nieprzyjemny wpływ i zawsze mam wrażenie, że wyłączą je dokładnie wtedy, kiedy będę się pochylać nad talerzem zupy.

Można tam jednak było bez większego trudu dostać pracę, jeśli tylko się nie wybrzydzało. Miałam jeszcze dość pieniędzy, by móc pozostać tam tak długo, aż dowiem się prawdy o każdej ze skolonizowanych planet i uzyskam jej potwierdzenie od co najmniej kilku krytycznie nastawionych kosmonautów.

Przy odrobinie szczęścia możliwe było nawet, że uda mi się zaciągnąć na któryś z liniowców Linii Hiperprzestrzennych bez pośrednictwa Fawceta. Statki znane były z tego, iż okrętują zawsze kilku nowych członków załogi w ostatniej chwili przed odlotem, by wypełnić nieoczekiwane luki w personelu. Jeśli otworzyłaby się przede mną tego typu szansa, nie pozwoliłabym, żeby moja głupota dała o sobie znać ponownie - nie prosiłabym o posadę agenta ochrony. Zgodziłabym się zostać kelnerką, pokojówką, pomywaczką i Bóg wie kim jeszcze, jeśli tylko miałabym szansę wyruszyć w wielką podróż do innych światów.

Wybrawszy w ten sposób swój nowy dom, postarałabym się później raz jeszcze wejść na pokład tego samego statku, lecz już jako pasażer pierwszej klasy, z biletem zafundowanym mi na dość dziwnych warunkach przez mojego przybranego ojca.

A zatem trzeba było udać się do Afryki. Zanim opuściłam tę mysią norę, w której mieszkałam, zostawiłam wiadomość jej właścicielce i załatwiłam jeszcze parę innych spraw. Afryka? Czy nie musiałam przypadkiem jechać przez El Paso? A może wznowiono już loty SBS-ów? Afryka sprawiła, że pomyślałam o Złociutkiej, Annie, Burcie i doktorze Krasnym. Nie miałam większych wątpliwości, dokąd wybierali się razem ze Zwiadowcami Sama Houstona. Mogłam dotrzeć do Afryki nawet szybciej niż oni, lecz terenu, na którym toczyła

się właśnie wojna, miałam zamiar unikać jak zarazy.

Zaraza! Muszę natychmiast powiadomić o niej Glorię Tomosawa i moich przyjaciół z Ell-Pięć, państwa Mortensonów. Wydawało się absurdalnie nieprawdopodobne, by udało mi się ich przekonać, iż epidemia Czarnej Śmierci nadejdzie zaledwie za dwa i pół roku. Sama chyba w to nie wierzyłam. A jednak gdybym mogła wzbudzić niepokój w sercach odpowiednio wysoko postawionych ludzi...? Na tyle wysoko, by byli oni w stanie spowodować zarządzenie szczepień ochronnych i odszczurzenie na wielką skalę? Gdyby kontrola epidemiologiczna na przejściach granicznych i w portach lotniczych stała się czymś więcej, jak tylko bezmyślnym rytuałem? W ten sposób można by - naprawdę można by - uchronić przynajmniej osiedla kosmiczne i Księżyc.

Mało prawdopodobne - ale musiałam spróbować.

Poza tym jedyną ważną jeszcze rzeczą, jaką miałam do załatwienia, było sprawdzenie, czy nie odnalazło się przypadkiem troje moich przyjaciół. Potem trzeba będzie odłożyć tę sprawę aż do mojego powrotu z Bazy Stacjonarnej lub (na co miałam nadzieję!) z Wielkiego Tournee. Oczywiście, każdy w Bazie może się połączyć z Winnipeg, Sydney, czy też z jakimkolwiek innym miejscem na Ziemi... tylko że za o wiele większe pieniądze. Dość późno przekonałam się, iż chcieć czegoś i móc za to zapłacić, to dwie zupełnie różne sprawy. Usiadłam przed terminalem i wystukałam kod Tormeyów w Winnipeg, przekonana, że zaraz usłyszę: Użyty przez ciebie kod został na życzenie abonenta wyłączony z sieci.

Usłyszałam jednak coś zupełnie innego.

- Pirates Pizza Pałace!

Uniosłam ze zdziwieniem brwi.

- Przepraszam, musiałam pomylić kod. - Nacisnęłam BREAK. Za drugim razem wystukałam kod bardzo powoli i uważnie... i usłyszałam:

- Pirates Pizza Pałace!

Przecież nie mogłam znowu pomylić kodu!

- Przepraszam, że zawracam pani głowę - powiedziałam. - Jestem w Las Vegas i

próbuję właśnie połączyć się z mieszkaniem przyjaciół w Winnipeg, lecz już drugi raz połączyłam się z wami. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

- A jaki kod pani wywołała?

Podałam jej numer.

- To nasz kod - stwierdziła. - Wielkie i najsmaczniejsze pizze w całej Kanadzie Brytyjskiej. Ale otworzyliśmy tę pizzerię dopiero przed dziesięcioma dniami. Możliwe, że ten kod należał przedtem do pani przyjaciół.

Zgodziłam się z jej sugestią, podziękowałam i rozłączyłam się, po czym usiadłam, by pomyśleć, co dalej. Nie było innego wyjścia - może ktoś z ANZAC w Winnipeg powie mi, co się właściwie stało. Miałam nadzieję, że mój terminal, mimo swej ograniczoności, będzie w stanie przenieść obraz spoza Las Vegas. Grając rolę Pinkertona, warto było widzieć twarz rozmówcy. Gdy tylko komputer ANZAC odezwał się, zapytałam o dyżurnego oficera operacyjnego. Już wcześniej zdobyłam sporą wprawę w przechytrzeniu tego komputera. Na ekranie ukazała się twarz jakiejś kobiety.

- Dzień dobry - powiedziałam. - Nazywam się Piętaszek Jones i jestem przyjaciółką

kapitana Iana Tormeya. Mieszkam na Nowej Zelandii. Próbowałam połączyć się z jego mieszkaniem, ale bez powodzenia. Pomyślałam więc, że może pani powie mi, co się z nim dzieje.

- Niestety, obawiam się, iż nie jestem w stanie pani pomóc.

- Och, naprawdę? Nawet żadnej sugestii?

- Przykro mi. Kapitan Tormey złożył rezygnację. Zrzekł się nawet przysługującej mu emerytury. O ile mi wiadomo, sprzedał także swój dom, myślę więc, że zniknął na dobre. Wiadomo mi tylko, iż jedynym posiadany przez nas adresem jest adres jego szwagra, który pracuje na Uniwersytecie w Sydney. Nie wolno nam jednak udzielać tego typu informacji.

- Ma pani, jak sądzę, na myśli profesora Federico Farnese z Instytutu Biologii na wspomnianym uniwersytecie?

- Owszem. Rozumiem, że ma pani jego adres.

- Tak. Freddie i Betty są moimi dobrymi przyjaciółmi. Poznałam ich dawno temu w Auckland. Dziękuję za pomoc. Spróbuję w takim razie skontaktować się z nimi.

- Proszę bardzo. Gdy będzie pani rozmawiać z kapitanem Tormeyem, proszę mu powiedzieć, że młodszy oficer pokładowy Pamela Heresford przesyła mu pozdrowienia.

- Będę pamiętać.

- Jeśli chce pani szybko dotrzeć do domu, mam dla pani świetną wiadomość: wznowiliśmy połączenie z Auckland. Przez dziesięć dni przewoziliśmy tylko towary, by upewnić się, że nie istnieje żadna możliwość ponownego zamachu na któryś z naszych statków. Obecnie obowiązuje czterdziestoprocentowa zniżka opłat za przeloty naszymi liniami. Chcemy odzyskać naszych dawnych klientów.

Podziękowałam jej raz jeszcze, lecz dodałam, że będąc w Vegas zamierzałam lecieć przez Vandenberg. Potem szybko rozłączyłam się, by nie zostać zmuszona do improwizowania kolejnego kłamstwa.

Ponownie usiadłam, by wszystko przemyśleć. Czy teraz, gdy wznowiono regularne loty SBS-ów, nie powinnam najpierw polecieć do Sydney? Była przecież - a przynajmniej kiedyś była - bezpośrednia linia Kair - Melbourne - Kair. Jeśli teraz nie działała, zawsze mogłam część drogi odbyć pociągiem, następną część - statkiem via Singapur, Rangoon, Delhi, Teheran i Kair, a stamtąd znowu pociągiem prosto do Nairobi. Była to jednak droga długa, kosztowna i niezbyt pewna, cały czas w tłoku i z możliwością uziemienia w każdej chwili przez jakieś lokalne zamieszki. Mogło się okazać, że do Kenii dotrę bez wystarczającej ilości pieniędzy, by dostać się na Bazę Stacjonarną.

Nie. To byłaby ostateczność.

Zadzwoiłam więc do Auckland. Wiadomość, iż terminal w mieszkaniu Iana został

wyłączony, nie zaskoczyła mnie specjalnie. Sprawdziłam, która godzina była w Sydney, i połączyłam się z tamtejszym uniwersytetem, jednak nie tak, jak zazwyczaj - przez dział administracyjny - lecz wywołując bezpośrednio Instytut Biologii. Jego kod udało mi się zdobyć przed miesiącem.

Rozpoznałam głos po drugiej stronie.

- Witaj, Ireno. Mówi Marjorie Baldwin. Ciągle jeszcze staram się odnaleźć swoją zagubioną owieczkę.

- Słowo daję, skarbie, próbowałam. Naprawdę zrobiłam wszystko, żeby przekazać wiadomość od ciebie. Ale profesor Freddie nigdy już nie pojawił się w swoim biurze. Opuścił nas. Odszedł.

- Jak to „odszedł”? Dokąd?

- Nawet byś nie uwierzyła, jak wielu ludzi chciałoby to wiedzieć. Nie mam zielonego pojęcia. Ktoś sprzątnął wszystko z jego gabinetu, a w jego mieszkaniu nie pozostał po nim nawet jeden włos. Odszedł! Nie potrafię powiedzieć ci nic więcej, bo nikt niczego więcej nie wie.

Po tej rozmowie musiałam raz jeszcze usiąść i wszystko przetrwać. Została już tylko jedna możliwość. Połączyłam się z firmą „Wilkołak”. Dotarłam tak wysoko, jak tylko było to możliwe - do mężczyzny, który przedstawił się jako zastępca komendanta. Powiedziałam mu prawdę o tym, kim jestem (Marjorie Baldwin), gdzie jestem (Las Vegas) i czego chcę (dotrzeć do swoich przyjaciół), po czym ostrożnie zapytałam:

- Pańska firma zajmowała się zabezpieczeniem ich domu, zanim został sprzedany. Czy mógłby pan mi powiedzieć, kto go kupił, lub podać nazwisko agenta pośredniczącego w sprzedaży? A może potrafiłby pan odpowiedzieć na oba te pytania?

Żałowałam, że jakoś obrazu daleko odbiegała od jakości dźwięku.

- Posłuchaj, siostró: glinę potrafię wyczuć nawet przez terminal. Odpuść więc sobie i powiedz swemu szefowi, że nie wyciągnął od nas niczego ostatnim razem, i teraz też nic nie wyszło z jego sztuczek.

Pohamowałam złość i spokojnym głosem odrzekłam:

- Nie jestem żadnym gliną, choć rozumiem, dlaczego może pan tak sądzić. Naprawdę jestem teraz w Las Vegas. Można to sprawdzić, dzwoniąc do mnie. Oczywiście na mój koszt.

- Nie obchodzi mnie to.

- W porządku. Kapitan Tormey miał parę czarnych koni. Czy mógłby mi pan powiedzieć przynajmniej, komu je sprzedał?

- Posłuchaj, glino: spadaj.

Ian potrafił dokonać najwłaściwszego wyboru; firma „Wilkołak” była rzeczywiście lojalna wobec swoich klientów.

Gdybym miała więcej czasu i pieniędzy i mogła dostać się do Winnipeg lub Sydney, może dokopałabym się czegoś, szukając osobiście. Ale nie miałam. Zapomnij więc, Piętaszku. Straciłaś wszystkich i zostałaś sama.

Czy tęsknisz za Złociutką na tyle, by dać się wciągnąć w jakąś awanturę we wschodniej Afryce? Przecież Złociutką nie chciała zostać z tobą aż tak bardzo, by zrezygnować z wzięcia udziału w owej awanturze. Czy nic ci to nie mówi?

Tak, mówi mi to coś, do czego nigdy nie chciałam się przyznać przed samą sobą: że zawsze potrzebowałam ludzi bardziej, niż oni potrzebowali mnie. Wiesz dobrze, Piętaszku, że zawsze brakowało ci pewności siebie. Wiesz także, co sądził na ten temat Szef.

W porządku. Jutro jadę do Nairobi. Dziś jeszcze napiszę do Glorii i do Mortensonów o groźbie wybuchu epidemii. Potem prześpię się przez całą noc, a jutro w drogę. Ufff, jedenastogodzinna różnica czasu. Muszę się postarać wyruszyć jak najwcześniej rano. I nie martwić się o Janet i spółkę, dopóki nie wrócę z Bazy Stacjonarnej z gotową decyzją, gdzie się osiedlić po opuszczeniu Ziemi. Potem będę mogła wydać wszystko do ostatniego grama, starając się ich odnaleźć. Gloria nada sprawie bieg natychmiast, gdy tylko dam jej znać, którą

wybrałam planetę.

Przespałam rzeczywiście całą noc.

Rano spakowałam swoją starą torbę podróżną i pokręciłam się trochę po kuchni, wyrzucając do śmieci kilka rzeczy i zostawiając pozostałe dla właścicielki.

Zdziwiłam się trochę, usłyszawszy brzęczyk terminalu. To była ta miła dziewczyna, mająca sześciolatniego syna, pracująca w przedstawicielstwie Linii Hiperprzestrzennych.

- Dobrze, że panią złapałam. Mój szef ma dla pani pracę.

Timeo Danaos et dona ferentes. Czekałam.

Po chwili na ekranie ukazała się głupkowata twarz Fawceta.

- Twierdziła pani, że jest kurierem.

- Najlepszym kurierem.

- Lepiej, żeby była nim pani rzeczywiście. Trzeba wybrać się daleko poza planetę. W porządku?

- Jasne.

- Proszę to zapisać: Franklin Mosby, Poszukiwacze Inc., pokój numer 600, Shipstone Bulding, Beverly Hills. Niech się pani uda pod ten adres natychmiast. Pan Mosby chce się z panią widzieć jeszcze przed południem.

Nie musiałam zapisywać tego adresu.

- Panie Fawcet, będzie to pana kosztować tysiąc bucków plus bilet w obie strony. Z góry.

- Co? Chybaś oszalała!

- Panie Fawcet, niech się pan dobrze zastanowi. Jeśli nie dotrę dziś do Los Angeles, może to pana kosztować znacznie drożej.

- Cwana dziewczuszka. Słuchaj, pieniądze za podróż będziesz mogła odebrać u mnie w biurze... po wstępnych rozmowach. A teraz masz natychmiast ruszać. Co zaś tyczy tego tysiąca bucków... Mam ci powiedzieć, kiedy je dostaniesz?

- Nie trudź się. Za posadę agenta ochrony oczekiwałabym wynagrodzenia agenta ochrony. Ale jako kurier - jestem najlepsza. Jeśli ten człowiek potrzebuje najlepszego kuriera, zapłaci mi nawet za wstępną rozmowę tyle, ile zażądam, i to bez namysłu. Jest pan niepoważny, panie Fawcet - dodałam po chwili milczenia i rozłączyłam się.

Zadzwoił siedem minut później. Mówił jak ktoś, komu każde słowo sprawia ból.

- Pieniądze na podróż i tysiąc bucków czekają na dworcu. Ale to ostatnie jest zaliczką, którą będziesz musiała zwrócić, jeśli nie podejmiesz się wykonać zlecenia. Jeśli się dogadacie, dostaję prowizję.

- Te pieniądze nie zostaną zwrócone bez względu na wynik rozmowy. A pan nie dostanie żadnej prowizji, bo nie uczyniłam pana swoim agentem. Być może dostanie pan coś od Mosby'ego, lecz jeśli tak, nie będzie to miało nic wspólnego z moim wynagrodzeniem. I nie pójde na stację, by tam czekać i rozglądać się wokół jak smarkacz bawiący się w policjantów i złodziei. Jeśli chce pan dobić targu, przyśle pan te pieniądze tutaj. Czy wyrażam się jasno?

- Pani jest niemożliwa! - Jego twarz zniknęła z ekranu, lecz nie rozłączył się. Po chwili pojawiła się jego asystentka.

- Proszę zrozumieć mojego szefa - powiedziała. - Ta praca potrafi czasami

wyprowadzić z równowagi. Czy mogłaby pani spotkać się ze mną na stacji pod New Cortez?

- Naturalnie, moja droga. Z przyjemnością.

Zadzwoiłam do właścicielki mieszkania, powiedziałam, że klucz zostawiam w lodówce i poleciłam jej, żeby odświeżyła zapasy.

Fawcet nie wiedział o jednym: nic nie mogło odwieść mnie od przyjęcia jego propozycji. Nazwisko i adres, który mi podał, zgadzały się z tym, co kazał mi zapamiętać SzeF ostatniego dnia przed swoją śmiercią. Nie sprawdziłam nigdy, do kogo należały, bo SzeF nie powiedział mi, dlaczego tak bardzo zależało mu, bym je zapamiętała. Dowiedzieć się miałam dopiero teraz.

Rozdział XXVIII

Tabliczka na drzwiach mówiła jedynie: POSZUKIWACZE Inc. oraz SPECJALIŚCI OD PROBLEMÓW POZAPLANETARNYCH. W sekretariacie siedziała prawdziwa, żywa sekretarka. Gdy weszłam, powiedziała do mnie:

- Ta posada jest już zajęta, kotuś. Ja ją dostałam.

- Ciekawe, na jak długo. Jestem umówiona z panem Mosby.

Przyjrzała mi się uważnie i bez pośpiechu.

- Callgirl?

- Dzięki, schlebiasz mi. Powiedz jeszcze tylko, gdzie ufarbowałaś włosy? Posłuchaj: zostałam tu przysłana przez przedstawiciela Linii Hiperprzestrzennych w Las Vegas. Każda moja minuta kosztuje twojego szefa ładnych parę bruinów. Moje nazwisko Piętaszek Jones. Powiedz, że tu jestem.

- Żarty sobie stroisz. - Odwróciła się do konsoli i powiedziała coś do interkomu.

Nastawiłam uszu. - Frankie, czeka tutaj jakaś dziwka, która twierdzi, że jest z tobą umówiona. Wmawia mi, że przysłał ją Fawcet z Vegas.

- Do jasnej cholery! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie zwracała się do mnie w pracy po imieniu. Dawaj ją tu.

- Wątpię, żeby naprawdę była od Fawceta. Ej, a może ty mnie zdradzasz?

- Zamknij dziób i wpuść ją do mnie.

Wyłączyła interkom i ponownie odwróciła się w moją stronę.

- Siadaj tu. Pan Mosby ma właśnie naradę. Dam ci znać, gdy będzie wolny.

- Niezupenie to kazał ci powiedzieć.

- A ty niby skąd wiesz?

- Powiedział ci, żebyś w pracy nie mówiła do niego „Frankie” i żebyś mnie do niego przysłała. A gdy coś od pyskowałaś, kazał ci się zamknąć i wpuścić mnie do jego gabinetu. Idę tam więc. Lepiej dla ciebie będzie, jeśli mnie zaanonsujesz.

Mosby wyglądał na jednego z tych facetów, co licząc sobie lat pięćdziesiąt usiłują wyglądać na trzydziestolatków. Miał drogie ubranie, drogą opaleniznę, szeroki, odsłaniający zęby uśmiech i lodowato zimne oczy. Gdy weszłam, wskazał dłonią na fotel dla gości.

- Co zatrzymało panią tak długo? - spytał. - Powiedziałem przecież Fawcetowi, że chcę się z panią widzieć przed południem.

Zerknęłam na swoje chrono, potem na zegar stojący na jego biurku. Było cztery minuty po dwunastej.

- Od jedenastej przebyłam czterysta pięćdziesiąt kilometrów, nie licząc podróży

tutejszym metrem. Mam wrócić do Las Vegas i sprawdzić, czy uda mi się jeszcze trochę wyśrubować ten wynik? Czy też od razu przejdziemy do interesów?

- Fawcett miał zadbać, by wyruszyła pani o dziesiątej. No dobra. Rozumiem, że potrzebuje pani pracy.

- Nie jestem zbyt wygłodzona. Powiedziano mi, że szuka pan kuriera do misji pozaplanetarnej. - Wyjęłam kopię swoich referencji i podałam mu ją. - Tu znajdzie pan wszystko na temat moich kwalifikacji. Niech pan to przejrzy, i jeśli jestem osobą, jakiej pan potrzebuje, proszę powiedzieć mi coś więcej o zleceniu, którego wykonania miałabym się ewentualnie podjąć. Wysłucham pana i powiem, czy jestem tym zainteresowana, czy też nie. Rzucił okiem na wydruk.

- Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że jednak jest pani wygłodzona, i to całkiem nieźle.

- Tylko jeśli ma pan na myśli lunch. Do wydruku dołączony jest mój cennik. Naturalnie, zawarte w nim sumy możemy jeszcze negocjować. W górę.

- Jest pani zadziwiająco pewna siebie. - Ponownie przerzucił kartki, które mu wręczyłam. - Co słyhać ostatnio u Pasibrzucha?

- Przepraszam; u kogo?

- Tu jest napisane, że pracowała pani dla „System Enterprises”. Pytałem, jak się czuje Pasibrzuch. Pasibrzuch Baldwin.

Czyżby był to jakiś test? Czyżby wszystko, co działo się od rana, było starannie zaaranżowane i obliczone na to, żebym straciła panowanie nad sobą? Jeśli tak, odpowiedź zgodna z prawdą nie oznaczałaby utraty zimnej krwi.

- Szefem „System Enterprises” był dr Hartley Baldwin. Nigdy nie słyszałam, by ktokolwiek nazywał go Pasibrzuchem.

- Wierzę, że posiada coś w rodzaju stopnia doktorskiego. Ale wszyscy w branży nazywają go Pasibrzuch. Pytałem, co u niego słyhać.

(Uważaj, Piętaszku!)

- Nie żyje.

- No tak. Wiem. Ciekawiło mnie tylko, czy pani również wie. W tym biznesie lepiej zawsze upewnić się, z kim ma się do czynienia. W porządku. A teraz przyjrzyjmy się twojej kangurzej torbie.

- Przepraszam?

- Słuchaj, nie mam czasu na podchody. Pokaż mi swój pępek.

Czyżby jednak nastąpił jakiś przeciek? Nie; wszyscy z tamtego gangu zostali przecież zastrzeleni lub zginęli w pożarze. Wszyscy? A może tylko tak się Szefowi zdawało? Zresztą, informacje mogły się przeciek wydostać z farmy, zanim jeszcze mnie odbito. Tak czy owak, gdzieś nastąpił przeciek. Szef miał rację - raczej trudno było tego uniknąć.

- Frankie, mój chłopcze, jeśli chcesz pobawić się moim pępuszkiem, muszę cię najpierw ostrzec, że ta tleniona blondynka w twoim sekretariacie podsłuchuje nas teraz, a najprawdopodobniej również nagrywa.

- Nie sądzę. Ma co do tego odpowiednie instrukcje.

- I trzyma się owych instrukcji dokładnie tak samo, jak nakazu, by nie nazywać pana „Frankie” w godzinach pracy. Niech mnie pan posłucha, Mister Mosby: zaczął pan mówić o

pewnych poufnych sprawach, nie podjąwszy uprzednio stosownych środków ostrożności. Jeśli zależy panu na tym, by pańska sekretarka wzięła udział w naszej rozmowie, niech ją pan wezwie tutaj. Jeśli nie, proszę dopilnować, by się wyłączyła. Nie urągajmy elementarnym zasadom bezpieczeństwa.

Przez parę sekund bębnił palcami o blat biurka. Nagle wstał i szybko wszedł do sekretariatu. Drzwi nie były idealnie dźwiękochłonne. Jego rozwścieczony głos, mocno co prawda przytłumiony, docierał przez nie, mimo że były szczelnie zamknięte. Gdy wrócił, wyglądał na nieźle zirytowanego.

- Wysłałem ją na lunch. A teraz skończmy wreszcie tę zabawę w kotka i myszkę. Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, czyli Piętaszkiem Jones, znaną również jako Marjorie Baldwin, były kurier Pasibrzucha - doktora Baldwina, zmarłego prezesa zarządu „System Enterprises”, to za twoim pępkiem znajduje się niewielki schowek stworzony przez chirurgów. Pokaż mi go. Dowiedz swojej tożsamości.

Zastanowiłam się. Jego żądanie było w pełni uzasadnione. Identyfikacja daktyloskopijna to kpiny - przynajmniej w naszej branży. Najwyraźniej istnienie owego schowka za moim pępkiem przestało być tajemnicą. A skoro tak, stał się on właściwie bezużyteczny... Z wyjątkiem faktu, że dzięki niemu mogłam udowodnić, iż ja - to właśnie ja. „Ja to ja?” Swoją drogą brzmi to nieco idiotycznie.

- Zapłacił pan za tę rozmowę tysiąc bucków, Mister Mosby...

- No właśnie! Tymczasem jak na razie nie wyciągnąłem od ciebie niczego, o czym nie wiedziałbym wcześniej.

- Przykro mi. Jak dotąd nikt nigdy nie prosił mnie, bym pokazała sztuczkę z pępkiem.

Zawsze była to ściśle strzeżona tajemnica. Skoro jednak już ją pan zna, prawdopodobnie zna ją również jeszcze kilkoro innych ludzi. A to oznacza, że posłużenie się tą metodą podczas jakiegokolwiek misji byłoby co najmniej lekkomyślnością. Jeśli więc zadanie, jakie chce mi pan zlecić, wymagałoby użycia mojego schowka, chyba lepiej pan zrobi, rozważając całą sprawę od nowa. Tajemnica choćby tylko troszeczkę odkryta jest jak dziewczica tylko troszeczkę w ciąży.

- No... I tak i nie. Pokaż mi to.

Pokazałam mu. Gdy w moim schowku nie ma żadnej przesyłki, trzymam tam miękką,

nylonową kulkę o średnicy jednego centymetra. Wyjęłam ją, pozwalając mu patrzeć, jak to robię, po czym włożyłam z powrotem. Przy okazji Mosby przekonał się, iż mój pępek nie różnił się niczym od tysięcy innych pępków.

- Nie da się tam ukryć zbyt wiele - stwierdził, gdy zapinałam bluzkę.

- Może powinien pan raczej wynająć kangura?

- Ale dla naszych celów w zupełności wystarczy. Będiesz przenosić najcenniejszą przesyłkę w całej galaktyce, lecz nie zajmie ona dużo miejsca. - Zerknął na swoje chrono. - A teraz czas już najwyższy, byśmy udali się na lunch. Pod żadnym pozorem nie wolno się nam spóźnić.

- Nie rozumiem...?

- Wyjaśnię ci wszystko po drodze. Musimy się pospieszyć.

Dorożka czekała już przed wejściem. Obok Beverly Hills, na wzgórzach, od których wzięło swą nazwę miasto, jest pewien bardzo stary, bardzo drogi i bardzo ekskluzywny hotel. Na miłe czuć od niego zapach pieniędzy; zapach, którym nigdy już nie będę gardzić. Pomiedzy pożarami a Wielkim Trzęsieniem był kilkakrotnie odbudowywany i za każdym razem przywracano mu dokładnie taki sam wygląd. Jednak ostatnim razem konstrukcję wzniesiono tak, by uodpornić cały budynek na trzęsienia ziemi i ogień.

Jazda z Shipstone Building do owego hotelu zajęła nam nieco ponad dwadzieścia minut. Mosby wykorzystał je na to, by przedstawić mi w ogólnym zarysie misję, której wykonanie zamierzał mi zlecić.

- Ta jazda stanowi jedną z niewielu okazji, kiedy oboje możemy być pewni, iż nie słucha nas żadne Ucho...

Prawdopodobnie sam w to nie wierzył. Potrafiłam bez namysłu wskazać trzy miejsca, gdzie można by ukryć Ucho: moja torba, kieszenie jego marynarki oraz siedzenia dorożki. A gdybym się zastanowiła, wskazałabym pewnie jeszcze kilka innych. Ostatecznie jednak był to jego problem. Ja nie miałam żadnych tajemnic.

- ...więc pozwolisz, że będę się streszczał. Zgadzam się na proponowaną przez ciebie cenę. Ponadto po wykonaniu zlecenia otrzymasz też premię. Owo zlecenie to podróż z Ziemi na The Realm. Oczywiście za podróż powrotną płacimy również my. Ponieważ cała wyprawa potrwa cztery miesiące, otrzymasz wynagrodzenie za taki właśnie okres. Połowa wypłaty bezpośrednio przed startem. Reszta plus premia natychmiast po powrocie i zameldowaniu się w stolicy Imperium Chicago. Zgoda?

- Zgoda - odrzekłam, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie. The Realm? Mój dobry człowieku, jeszcze dziś rano gotowa byłam odbyć taką wyprawę nawet za wynagrodzenie podoficera. - A co z moimi wydatkami?

- Nie sądzę, byś miała ich nazbyt wiele. Na tych luksusowych liniowcach niemalże wszystko wliczone jest w cenę biletu.

- Napiwki, łapówki, wycieczki poza statek w czasie międzylądowania, bingo i tak dalej... tego typu wydatki nawet lekko licząc nie wynoszą nigdy mniej, niż dwadzieścia pięć procent ceny biletu. Jeśli mam udawać bogatą turystkę, muszę się zachowywać jak bogata turystka. Mam to robić na własny koszt?

- Hmm... Masz rację. W porządku, nikt nie będzie robić hałasu, jeśli wydasz kilka tysięcy więcej, grając Pannę Bogacką. Zachowaj tylko rachunki.

- Nie ma mowy. Wypłacie mi z góry te pieniądze; dwadzieścia pięć procent ceny biletu. I nie dostaniecie żadnych rachunków; Panny Bogackie nie dbają o takie błahostki jak paragony.

- Dobra, dobra. Zamknij się i pozwól mi mówić, bo zaraz będziemy na miejscu. Jesteś artefaktem, tak?

Poczułam, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mnie zimny dreszcz. Sukinsyn, kiedyś mi za to zapłaci.

- Próbujesz mnie obrazić? - odrzekłam, starając się panować nad gniewem.

- Nie. Nie masz się o co niepokoić. Oboje dobrze wiemy, że SIL-a nie da się na poczekaniu odróżnić od normalnego człowieka... o ile w ogóle da się go odróżnić. Ale do rzeczy. Przesyłką będzie zmodyfikowany ludzki embrion, wprowadzony przez genetyków w stan zastoju. Wykorzystanie schowka za twoim pępkiem pozwoli zabezpieczyć go przed

gwałtownymi zmianami temperatury i wstrząsami. Kiedy znajdziesz się w stolicy The Realm, zarazisz się wirusem grypy lub czymś podobnym. Choroba okaże się na tyle poważna, że lekarze zalecą kilkudniowy pobyt w szpitalu. W czasie, gdy tam będziesz, odpowiedni specjaliści zajmą się zarodkiem i umieszczą go w bardziej odpowiednim miejscu. Ty natomiast szybko „wyzdrowiejesz” i opuścisz szpital... z dumą, że dzięki tobie pewna młoda para będzie miała wyjątkowo zdrowego i ślicznego dzidziusia, choć oboje są teraz święcie przekonani, że ich dziecko urodzi się jako kaleka. Hemofilia B.

To, co mi powiedział, było tylko częścią prawdy.

- Masz na myśli delfina i jego żonę? - raczej stwierdziłam, niż zapytałam.

- Co takiego? Oszalałaś chyba!

- I chodzi o coś znacznie poważniejszego niż tylko hemofilia, która w przypadku królewskiej osoby nie miałyby większego znaczenia. Rozumiem, że sprawą zainteresowany jest osobiście sam Pierwszy Obywatel, gdyż jeśli coś pójdzie nie tak, sukcesja zamiast synowi przypadnie jego córce. Hmm... Panie Mosby, ta misja jest o wiele ważniejsza i daleko bardziej ryzykowna, niż mi to pan przedstawił. Moja cena idzie w górę.

Przez następne sto metrów słychać było jedynie stukanie końskich kopyt o bruk Rodeo Drive.

- W porządku - odezwał się w końcu Mosby. - I niech Bóg ma cię w swej opiece, jeśli zaczniesz mówić. Nie muszę ci chyba mówić, że długo byś wówczas nie pożyła. Podniesiemy premię. A co do...

- Co najmniej podwoi pan tę premię i zdeponuje ją pan w całości na moim koncie, zanim jeszcze wyruszę w podróż. I proszę się nie niepokoić. Jeśli ktoś podejmuje się wykonać tego rodzaju zlecenie, zazwyczaj dostaje potem kompletnej amnezji.

- Dobra... Zrobię, co będę mógł. Mamy zjeść lunch z panem Sikmaa. Nie oczekuję od ciebie, byś zauważyła, iż jest on osobistym przedstawicielem Pierwszego Obywatela, posiadającym międzyplanetarną rangę Ambasadora Nadzwyczajnego i Ministra Pełnomocnego. Chcę tylko, byś nie odzywała się nieproszona i dbała o dobre maniery przy stole.

Cztery dni później musiałam znowu dbać o dobre maniery, siedząc przy stole po prawej ręce kapitana H.S. „Forward”. Nazywałam się Marjorie Piętaszek i byłam tak bogata, że z Ziemi na Bazę Stacjonarną zabrano mnie prywatnym jachtem antygravitacyjnym pana Sikmaa. Gdy wprowadzano mnie na pokład „Forward”, nikt nie ośmielił się niepokoić mnie czymś tak trywialnym, jak kontrola paszportowa czy sanitarna. Ó mój bagaż zatroszczył się również kto inny - skrzynię za skrzynią pełne nieprzyzwoicie wręcz drogich ciuchów i stosownej biżuterii ładowano na statek, nie zwracając mi tym głowy. Nie musiałam się martwić dosłownie o nic.

Trzy spośród owych czterech dni spędziłam na Florydzie w budynku, który z zewnątrz przypominał szpital, lecz w rzeczywistości był świetnie wyposażonym laboratorium genetycznym. Mogłam jedynie snuć przypuszczenia, do kogo ono należało. Ponieważ jednak jakiegokolwiek spekulacje na ten temat z pewnością nie byłyby zbyt mile widziane, wolałam więc zachować swoje domysły dla siebie.

Kiedy tam przebywałam, poddano mnie szeregowi najprzeróżniejszych testów i badań fizycznych oraz psychofizycznych. O większości z nich słyszałam dotychczas jedynie tyle, że

przeznaczone są dla szefów państw lub wielkich korporacji ponadnarodowych. Będąc jedynie wynajętym kurierem, zastanawiałam się, po cóż te wszystkie korowody w m o i m przypadku. W końcu doszłam do wniosku, że powodem był fakt, iż chciano powierzyć mi ochronę zarodka, który z upływem lat miał zostać Pierwszym Obywatelem bajecznie bogatego The Realm. Jeśli spojrzeć na to od tej strony, troska o moje zdrowie wydawała się w pełni uzasadniona. Ponadto nie był to najlepszy czas na zadawanie pytań.

Pan Sikmaa nie starał się użyć żadnej ze sztuczek, których próbowali Fawcet i Mosby. Natychmiast, gdy tylko przekonał się, iż jestem odpowiednią osobą, odesłał Mosby'ego do domu i zaopatrzył mnie tak szczerze, iż nie musiałam się o nic targować. Dwadzieścia pięć procent na przypadkowe wydatki? Za mało. Powiedzmy, że pięćdziesiąt procent. Proszę, oto pieniądze. Jeśli potrzebowałyby pani więcej, proszę po prostu powiedzieć płatnikowi i zapisać to na mój rachunek. Nie, nie będziemy spisywać żadnego kontraktu. Sama pani rozumie... To dość specyficzna misja. Po prostu powie mi pani, jakie są pani warunki, a ja dopilnuję, by zostały one spełnione. Proszę, oto broszurka, z której dowie się pani, kim pani jest, gdzie chodziła pani do szkoły i tak dalej. W ciągu następnych trzech dni będzie pani miała mnóstwo czasu, więc proszę nauczyć się tego na pamięć. I proszę się nie niepokoić, gdyby zapomniała pani to później zniszczyć. Kartki nasączone są pewną substancją i po trzech dniach ulegną autodestrukcji. Niech pani nie będzie zaskoczona, jeśli już za sześćdziesiąt godzin pożółkną nieco i staną się łamliwe.

Pan Sikmaa pomyślał o wszystkim. Zanim opuściliśmy Beverly Hills, przyprowadził fotografa. Ten zrobił mi parę zdjęć: z profilu, en face, na wysokim obcasie i boso, uśmiechniętą i poważną. Gdy mój bagaż pojawił się na H.S. „Forward”, cała jego zawartość była starannie dobrana. Każdy krój i kolor wydawał się jakby (!) specjalnie dla mnie stworzony, a wszystkie ubrania miały metki najwybitniejszych twórców z Europy. Nie byłam przyzwyczajona do takiego przepychu i nie potrafiłabym chyba zachowywać się stosownie, lecz pan Sikma to również przewidział. Od razu przy śluzie podeszło do mnie małe, urocze stworzenie o orientalnej urodzie i przedstawiło się jako Shizuko - moja osobista pokojówka i dama do towarzystwa. Jako że kąpałam się i ubierałam sama odkąd skończyłam pięć lat, nie czułam potrzeby posiadania pokojówki, lecz uznałam, iż lepiej jej o tym nie mówić. Shizuko zaprowadziła mnie do kabiny BB (pokój miał trochę za małe wymiary, by można w nim było zorganizować mecz siatkówki). Natychmiast, gdy tylko weszliśmy, okazało się (według opinii Shizuko), iż czas już był najwyższy, aby przygotować mnie do obiadu. Jako że do obiadu zostały jeszcze trzy godziny, wydało mi się to lekką przesadą, lecz ona była stanowcza. Zgodziłam się więc na wszystko, co sugerowała. Nie miałam żadnych wątpliwości, kto i po co mi ją przydzielił.

Shizuko wykąpała mnie. Następnie przez godzinę układała moją fryzurę i robiła mi makijaż. W przeszłości szminki i tuszu używałam jedynie wówczas, gdy wydawało się to konieczne, włosy natomiast układałam przede wszystkim poprzez odgarnianie ich z czoła. Dopiero teraz przekonałam się, jaką byłam prostaczką. Podczas gdy Shizuko robiła ze mnie Boginię Miłości i Piękną, odezwał się niewielki terminal, w jaki również wyposażono kabinę. Ton zaproszenia, które pojawiło się na ekranie i prawie natychmiast zostało wydrukowane, był dla mnie nie mniej zaskakujący niż jego treść.

Dowódca Statku Hiperprzestrzennego Forward
ma zaszczyt prosić Pannę Marjorie Piętaszek

o przyjęcie zaproszenia na skromne przyjęcie,
które odbędzie się w Sali Kapitańskiej
o godzinie dziewiętnastej czasu pokładowego

Byłam zaskoczona, lecz Shizuko z pewnością nie. Wyjęła już nawet i przygotowała moją suknię koktajlową. Przykrywała ona każdą część mojego ciała tak dokładnie, iż przyszło mi na myśl, że jeszcze nigdy nie byłam tak nieprzyzwoicie ubrana.

Shizuko postawiła kategoryczne veto, kiedy chciałam pojawić się na przyjęciu punktualnie. Wprowadziła mnie do Sali Kapitańskiej wyliczywszy czas tak, bym przekroczyła próg spóźniona dokładnie o siedem minut. Kelnerzy znali już moje (obecne) nazwisko, a kapitan z szacunkiem pochylił się, by ucałować moją dłoń. Zaczynałam powoli nabierać przekonania, że bycie VIP-em na statku hiperprzestrzennym jest znacznie przyjemniejsze, niż bycie na tym samym statku agentem ochrony.

Na „skromnym przyjęciu” serwowano coctaille, whisky z wodą sodową, Wiosenny Deszcz z The Realm (jest zabójczy; nie dajcie się zwieść nazwie), duńskie piwo, jakiś różowy napój z Fiddler's Green i Bóg wie, co jeszcze. Jestem pewna, że gdybym poprosiła, dostałabym nawet Pot Lamparta. Podano również trzydzieści jeden (policzyłam) rozmaitych łakoci, z których jeden pysniejszy był od drugiego, a wszystkie jadło się palcami. Ja poczęstowałam się jedynie kieliszkiem sherry, i to bardzo małym, odmawiając sobie z niemałym trudem posmakowania owych trzydziestu jeden przysmaków, choć co chwila podsuwano mi pod nos któryś z nich.

Bardzo dobrze zrobiłam, powstrzymując swoje łakomstwo. Na tym statku na pycha się żołądek osiem razy dziennie (to także policzyłam): wcześniej rano podają tu kawę (cafe complet - tak jest to określane) z ciasteczkami, potem śniadanie, następnie późnoporanna przekąska, lekki posiłek w południe, popołudniowa herbata z kanapkami i kolejną porcją ciasteczek, cocktail nazywany tu hors d'oeuvres (czyli owe trzydzieści jeden grzesznych pokus), obiad (siedem dań, jeśli tylko ktoś wytrwa do ostatniego) i wreszcie o pomocy - kolacja. Lecz jeśli ktoś poczułby się głodny w międzyczasie, zawsze może zamówić kanapki i przekąski na zimno.

Na pokładzie są dwa baseny pływackie, sala gimnastyczna, łaźnia turecka, fińska sauna oraz kilka gabinetów odnowy, których specjalność stanowi „odchudzanie”. Główna promenada prowadząca dookoła statku liczy sobie ponad kilometr. Nie sądzę jednak, by było to wystarczająco dużo - niektórzy z naszych współpasażerów praktycznie przez całą podróż nie przestają jeść. Sama obawiam się, czy po dotarciu do stolicy The Realm będę w stanie odnaleźć własny pępek.

Dr Jerry Madsen, młodszy oficer medyczny, który nie wyglądał dość staro, by być konowalem, najpierw wyrwał mnie z tej hałastry na kapitańskim przyjęciu, a potem czekał na mnie po obiedzie (nie jadał przy kapitańskim stole, nawet nie w salonie; jadał razem z innymi młodszymi oficerami w kantynie). Zabrał mnie do Sali Galaktycznej, gdzie oglądaliśmy występy kabaretu i trochę tańczyliśmy. W międzyczasie przyłączyli się do nas dwaj inni młodszy oficerowie: Tom Udell oraz Jaime Lopez. Wspólnie z Jerryem zaprosili mnie do małego baru o nazwie „Czarna Dziura”. Przez cały czas stanowczo odmawiałam picia, lecz tańczyłam za każdym razem, gdy mnie proszono. Dr Jerry okazał się bardziej wytrzymały od swych kolegów; on właśnie odprowadził mnie do kabiny BB. Według czasu pokładowego

pora była już rzeczywiście późna, lecz według czasu obowiązującego na Florydzie, skąd wyruszyłam tego ranka, nie minęła jeszcze północ.

Shizuko czekała na mnie, ubrana w prześliczne kimono i miękkie pantofle oraz umalowana na japońską modłę. Ukłoniła się przed nami, zasugerowała, byśmy usiedli na kanapie w salonie (kabina podzielona była na salon i sypialne za pomocą cienkiego przepierzenia) i podała nam herbatę.

Jerry nie został długo. Wypił swoją filiżankę, życzył mi dobrej nocy i wyszedł. Zaraz potem Shizuko rozebrała mnie i położyła do łóżka.

Nie miałam żadnych konkretnych zamiarów co do Jerry'ego, chociaż on bez trudu przekonałby mnie, że się starał. Cóż jednak było robić? Shizuko ze złożonymi na piersiach rękoma siedziała naprzeciwko, patrząc i czekając. Jerry wychodząc nawet nie pocałował mnie na dobranoc.

Położywszy mnie do łóżka, Shizuko sama położyła się spać po drugiej stronie przepierzenia. Nigdy przedtem nie byłam aż tak bardzo niańczona. Nawet w Christchurch. Czyżby była to część warunków mojego niepisanego kontraktu?

Rozdział XXIX

Statek kosmiczny - statek hiperkosmiczny - jest niesamowicie interesującym miejscem. Oczywiście, trzeba dysponować przeogromną wiedzą z zakresu mechaniki kwantowej i geometrii wielowymiarowej, aby zrozumieć, co popycha taki statek. Wiedzy, której ja nie posiadam i najprawdopodobniej nigdy nie posiadę, choć bardzo bym chciała. Rakiety? To nie problem. Zasady dynamiki Newtona zna i rozumie prawie każdy, kto skończył szkołę podstawową. Ale antygravitatorowce były zupełną tajemnicą, dopóki dr Forward nie wyjaśnił zasady ich działania. Dzisiaj są praktycznie wszędzie. Ale jak to się dzieje, że statek ważący około stu tysięcy ton (tak powiedział mi kapitan) jest w stanie osiągnąć prędkość niemalże stukrotnie przekraczającą prędkość światła? I to bez narażania załogi i pasażerów na najmniejsze choćby przeciążenie!

Tego nie dowiem się chyba nigdy. H.S. „Forward” wyposażony jest w najpotężniejsze Napędy, jakie kiedykolwiek widziałam... lecz Tim Flaherty (drugi oficer-mechanik) twierdzi, że są one w pełni wykorzystywane tylko do połowy każdego z kolejnych etapów; później zużywana jest jedynie minimalna część energii, potrzebna do podtrzymania tak zwanych funkcji pomocniczych (ogrzewanie statku, gotowanie, oświetlenie etc.).

Dla mnie brzmi to jak pogwałcenie prawa zachowania energii - tak właśnie powiedziałam Timowi. Obruszył się i zapewnił mnie, iż statek działa w taki sposób właśnie dzięki prawu zachowania energii. Po prostu krąży ona w czymś na kształt zamkniętego obiegu, w którym straty są tak znikome, że wręcz niezauważalne.

Sama nie wiem, czy mam w to wierzyć. W każdym razie to działa.

Nawigacja na tym statku jest sprawą, w której jeszcze trudniej się połapać. Tylko że nie nazywa się to ponoć nawigacja, ani nawet astrogacja; nazywa się to „kosmonautyka”. Nie jestem jednak pewna, czy ktoś tu nie nabija mnie w butelkę. Inżynierowie pokładowi wszyscy jak jeden twierdzą, że oficerowie na mostku (to nie jest prawdziwy most), zajmujący się kosmonautyką znajdują się na statku jedynie po to, by robić dobre wrażenie. Rzekomo całą robotę wykonują za nich komputery. Natomiast drugi oficer, Jaime Lopez, powiedział mi, że inżynierowie pokładowi muszą być na statku wyłącznie dlatego, iż takie są wymagania związku. Bez nich komputery dałyby sobie ponoć radę równie dobrze.

Słuchając jednych i drugich, czułam się jak na wykładzie. Szkoda tylko, że nie znałam

języka, którym posługiwali się wykładowcy.

Przekonałam się jednak o czymś, co w Las Vegas nie przyszłoby mi do głowy. Otóż sądziłam zawsze, iż każde Wielkie Tournee zaczyna się od Ziemi, następnie liniowce odwiedzają Proxima, Outpost, Fiddler's Green, Forest, Botany Bay, Halcyon, Midway i The Realm w takiej, a nie innej kolejności, po czym wracają na Ziemię, a ściślej do Bazy Stacjonarnej. Tak właśnie napisane było na plakatach i w folderach reklamowych. Tymczasem myliłam się. Każda podróż przebiega inaczej. Zazwyczaj odwiedzano wszystkie dziewięć planet, lecz co do kolejności - jedyną pewną rzeczą jest fakt, że wszystkie wyprawy zaczynają się na Ziemi i że ostatnią planetę przed powrotem na Ziemię stanowi odległy od niej o prawie sto lat świetlnych (98,7+) The Realm. Harmonogram międzylądowań na pozostałych siedmiu planetach jest ustalany każdorazowo odrębnie, co wcale nie oznacza, że za każdym razem wygląda inaczej. Istnieje też pewna reguła, którą kosmonaucy posługują się przy układaniu owego harmonogramu. W miarę oddalania się od Ziemi dystans pomiędzy kolejnymi międzylądowaniami musi wzrastać, natomiast w czasie powrotu musi być coraz mniejszy. Nie jest to nawet w części tak skomplikowane, jak wygląda na pierwszy rzut oka - oznacza po prostu, iż statek nigdy nie wraca tą samą trasą, którą przybył na najbardziej odległą planetę. W taki sam sposób planuje się wielkie zakupy, wymagające odwiedzenia co najmniej kilku sklepów.

Metoda owa pozostawia sporo elastyczności. Dziewięć gwiazd, stanowiących słońca tych planet, ustawione jest mniej więcej w jednej linii. Przyjrzyjcie się szkicowi z gwiazdozbiorami Centaura i Wilka. Jeśli patrzy się z Ziemi, wszystkie owe gwiazdy leżą albo w przedniej części Centaura, albo w środkowej części Wilka. (Wiem, że wilk nie wygląda najlepiej, lecz weźcie pod uwagę fakt, iż centaur katuje go już od tysięcy lat. Poza tym nigdy nie widziałam prawdziwego wilka, ten jest więc najlepszy, jakiego potrafiłam narysować. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, centaura też nigdy nie widziałam).

Mniej więcej w taki właśnie sposób gwiazdy te wyglądają nocą na ziemskim niebie. Aby je zobaczyć, trzeba jednak znajdować się co najmniej tak daleko na południu jak Miami czy Hong Kong. I nawet wtedy gołym okiem dostrzec można jedynie Alfa Centauri. Alfa Centauri (Rigil Centaurus) świeci na ziemskim niebie jako trzecia co do jasności gwiazda. Właściwie są to trzy gwiazdy: jedna olśniewająco jasna, będąca bratem-bliźniakiem naszego Słońca, jedna świecąca nieco mniej intensywnie niż ta, w pobliżu której się znajduje, oraz jedna oddalona i lekko przyćmiona, mała towarzyszką wirująca wokół dwóch pozostałych w odległości jakichś piętnastu lat świetlnych. Przed laty Alfa Centauri znana była jako Proxima. Dopiero później ktoś zadał sobie trud, by zmierzyć odległość do owego trzeciego, skromnego kuzyna i odkrył, iż jest on o włos bliżej, niż sądzono wcześniej, więc nazwa Proxima lub „Najbliższa” zastąpiona została przez nową nazwę, która dokładniej oddawała rzeczywisty stan. Potem, kiedy na trzeciej planecie Alfa Centauri A (bliźniak Słońca) założono pierwsze ziemskie kolonie, koloniści nazwali ją Proxima. W końcu astronomowie, którzy usiłowali zmienić nazwę owej zamglonej towarzyszką, umarli, a koloniści pozostali przy swoim. Kto zresztą wie, czy nie słusznie - ich planeta, chociaż dziś nieco bliższa, niedługo oddali się. Wstrzymajcie tylko oddech na kilka tysięcy lat. Przyjrzyjcie się teraz drugiemu szkicowi, którego rzędną stanowi rektascensja w godzinach i minutach, a odcięta odległość od Ziemi w latach świetlnych.

Byłam chyba jedyną osobą na tym statku, która nie miała pojęcia, iż pierwszą planetą, przy jakiej się zatrzymamy, nie będzie Proxima. Pan Lopez (ten, który pokazywał mi mostek) patrzył na mnie, jak gdybym była opóźnionym w rozwoju dzieckiem, które zadało właśnie kolejne głupie pytanie (nie miało to zresztą większego znaczenia, gdyż mój mózg stanowił część mego ciała interesującą go akurat najmniej). Wolałam nie wyjaśniać mu, że zostałam wciągnięta na listę pasażerów dosłownie w ostatniej chwili; nie chciałam prowokować dalszych pytań. Zresztą od Panny Bogackiej rzadko kto wymaga błyskotliwego umysłu. Z reguły statek zatrzymuje się na Proxima zarówno na początku podróży, jak i w drodze powrotnej. Pan Lopez cierpliwie wyjaśnił mi, że tym jednak razem w Bazie Stacjonarnej było niewiele towarów i zaledwie kilkunastu pasażerów chcących udać się na Proxima, co nie stanowiło dostatecznego powodu, by zatrzymać się tam dwukrotnie. Postanowiono więc, iż owe towary i pasażerowie zaczekają miesiąc, aż zabierze ich „Maxwell”, a „Forward” zatrzyma się na Proxima dopiero, gdy będzie wracał z towarami i być może pasażerami zabranymi z pozostałych siedmiu planet. Pan Lopez powiedział mi też, że samo podróżowanie w kosmosie na odległość wielu lat świetlnych nie pochłania wcale tak dużo pieniędzy, jak mogłoby się wydawać. Za to lądowanie na jakiegokolwiek planecie jest bardzo, ale to bardzo kosztowne. Każdy postój musi się więc po prostu opłacać. Oto trasa całej podróży, jaką mieliśmy odbyć (jeszcze raz przyjrzyjcie się drugiemu szkicowi): najpierw Outpost, następnie Botany Bay, potem kolejno The Realm, Midway, Halcyon, Forest, Fiddler’s Green, Proxima (nareszcie!) i powrót na Ziemię. Nie powiem, abym była niezadowolona z tej trasy. Wręcz przeciwnie. Pozbędę się owej „najcenniejszej przesyłki w całej galaktyce”, zanim jeszcze upłynie miesiąc od wyruszenia z Bazy Stacjonarnej, i całą resztę podróży, czyli większą jej część, odbędę jako prawdziwa turystka. Czyż to nie cudowne?! Żadnej odpowiedzialności i mnóstwo czasu na przyjrzenie się wszystkim koloniom, które mieliśmy odwiedzić. Jeśli Piętaszek (albo Panna Bogacka) nie potrafi cieszyć się z takiej perspektywy, to czas najwyższy poddać ją kremacji - jest martwa.

Spójrzcie teraz na trzeci wykres - ten, którego osie współrzędnych obrazują deklinację południową oraz odległość od Ziemi. Jeśli przyjrzeć się mu dokładnie, trasa podróży wydaje się zupełnie zrozumiała i jasna. Lecz jeśli porównać go z wykresem drugim, można się przekonać, iż odcinek pomiędzy Botany Bay a Outpost, który na wykresie trzecim wydaje się przechodzić przez fotosferę słońca Forest, w rzeczywistości mija ją w odległości wielu lat świetlnych.

Naszkiecowanie rzeczywistego wyglądu całej trasy wymagałoby trzech wymiarów. Spróbujcie wziąć dane z wszystkich wykresów

i wrzucić je do swojego terminalu. Poddając je nieskomplikowanej obróbce, uzyskacie trójwymiarowy hologram. Dopiero wtedy będziecie mieć pełen obraz trajektorii lotu H.S. „Forward”. Jeden taki hologram przechowywany jest w pamięci komputera na mostku. Pan Lopez, który sporządził dla mnie te szkice (z wyjątkiem Joe Centaura i złego wilka) przestrzegł mnie, że płaski rysunek nie jest w stanie zobrazować trójwymiarowej kosmonautyki. Jeśli jednak ktoś potrafi spojrzeć na owe szkice jak na rzuty na trzy płaszczyzny zamkniętej linii łamanej, to być może wyobraz sobie, jak w rzeczywistości wyglądała trasa naszej podróży.

Wręczając mi różne wydruki, pan Lopez ostrzegł mnie również, że zawarte w nich współrzędne podane są z dokładnością na poziomie szkoły podstawowej. Ustawiając teleskop według owych danych, można znaleźć właściwą gwiazdę, lecz dla nauki lub kosmonautyki potrzeba o wiele więcej miejsc po przecinku oraz poprawki „na epokę”. Chodzi o to, by w umiejętny sposób korygować dane zależnie od ruchu poszczególnych ciał niebieskich. Ruch słońca Outpost jest na przykład bez znaczenia, gdyż odbywa się on zgodnie z całym ruchem w naszej części galaktyki. Lecz wektor prędkości gwiazdy Fiddler’s Green (Nu[2]Lupi) wynosi sto trzydzieści osiem kilometrów na sekundę, co oznacza, że pomiędzy odległymi o pięć miesięcy kolejnymi odwiedzinami H.S. „Forward” na tej planecie Fiddler’s Green zmieni swe położenie o ponad półtora miliarda kilometrów. Przyznam, iż dla mnie brzmi to trochę niepokojąco. Według pana Lopeza jest to największe zmartwienie kapitana, gdyż jego statek przyniesie zyski tylko wtedy, jeśli podczas wyprowadzania go z nadprzestrzeni w pobliżu planety-portu uda się uniknąć zderzenia z czymś takim, jak na przykład gwiazda. Dla mnie wygląda to jak prowadzenie energobilu z zawiązanymi oczami.

Na szczęście jednak nigdy nie będę pilotować żadnego liniowca hiperprzestrzennego, a kapitan van Kooten wyglądał na człowieka, który zna się na tym, co robi. Niemniej w czasie obiadu zwierzyłam się mu ze swych obaw.

- Jakoś trafimy, proszę nie martwić się. Tylko ras musieliśmy fysłać kilku chłopców f kapsule łątofniczej, by kupili coś f piekarni i przy okazji sprafcili, kcie jesteśmy. Nie wiem, czy oczekiwał, iż przyjmę to jako dobry żart, czy też miałam udawać, że mu uwierzyłam. Na wszelki wypadek zapytałam więc, co takiego kupili w tej piekarni. Kapitan odwrócił się do jakiejś starszej damy siedzącej z jego lewej strony i udał, że nie dosłyszał pytania.

Kapitan van Kooten jest naprawdę bardzo uprzejmym człowiekiem, traktującym wszystkich wokół po ojcowsku. Bez trudu jednak potrafię go sobie wyobrazić z pistoletem w jednej dłoni i szablą w drugiej, nacierającego w pojedynkę na zgraję buntowników i podrzynaczy gardeł. To właśnie dzięki niemu wszyscy na statku czuli się bezpiecznie.

Shizuko nie jest jedynym cerberem, jakiego mi przydzielono. Zidentyfikowałam, jak sądzę, jeszcze czterech innych i wątpię, czy to już wszyscy. Czasem, rozglądając się wokół, nie widzę żadnego z nich, a więc najprawdopodobniej musi być ktoś jeszcze.

Paranoja? Tak to wygląda, lecz ja nie jestem paranoiczką. Jestem profesjonalistką, która pozostaje przy życiu tak długo, ponieważ zawsze w porę zauważa wszystko, co może jej zagrozić. Na tym statku jest sześciuset trzydziestu dwóch pasażerów pierwszej klasy, około sześćdziesięciu ludzi w mundurach, wliczając w to załogę, oraz grupa fordanserów, aktorów, konferansjerów i innych zabawiaczy. Ci ostatni chodzą ubrani tak samo jak pasażerowie, lecz są młodzi i stale uśmiechnięci, co zresztą należy do ich obowiązków.

Co do pasażerów, to ci, którzy (jak na przykład ja) liczą sobie mniej niż siedemdziesiąt lat, stanowią nieliczne wyjątki. Mamy tu troje nastolatków - chłopca i dwie dziewczynki, trzy kobiety w wieku około trzydziestu lat oraz szczęśliwą młodą parę w podróży poślubnej. Cała reszta na pokładzie pierwszej klasy to kandydaci i kandydatki na pacjentów klinik geriatrycznych lub ich stali bywalcy. Wszyscy są bardzo starzy, bardzo bogaci i niemożliwie wręcz egocentryczni. Wyjątek stanowi kilkoro dziecienniałych staruszków, którym udało się dobrać do sędziwego wieku i nie zgorzknieć.

Naturalnie żaden z tych starych pierników nie może być moim strażnikiem. Z

pewnością nie jest nim również nikt spośród młodzieży. Gdyby nie fakt, iż każdy z młodszych oficerów jest na służbie przez osiem godzin dziennie, mogłabym podejrzewać, że któryś z nich został wyznaczony, aby mnie obserwować. Oni jednak kręcili się wokół mnie z całkiem innego powodu. Na tym statku jest zdecydowanie zbyt mało młodych kobiet, z którymi można by pójść do łóżka - trzydziestu młodzieńców w mundurach kontra trzy samotne niewiasty oraz Piętaszek. W takich warunkach musiałabym mieć bardzo nieświeży oddech, by odstraszyć tę zgraję wygłodzonych samców.

Pozostaje więc niewielka grupa pasażerów, o których dotychczas nie wspomniałam. Pierwsza klasa? Owszem, jadają w Sali Nektarowej. Biznesmeni podróżujący w interesach? Może tak, lecz według pierwszego asystenta płatnika biznesmeni wybierają zazwyczaj drugą klasę. Nie tak luksusową, lecz równie wygodną i o połowę tańszą. A więc...?

Kiedy Jerry Madsen zabiera mnie do „Czarnej Dziury”, przy barze siedzi samotnie zawsze ten sam typ, bawiący się szklaneczką z drinkiem. Kiedy następnego ranka Jimmy Lopez zabiera mnie na basen, ten sam facet już tam czeka. Kiedy w sali klubowej gramy z Tomem i jego przyjaciółmi w brydża, mój „cień” układa pasjansa przy stoliku w przeciwległym końcu sali. Następnego dnia sytuacja się powtarza. Zmienia się tylko anioł stróż.

Na początku mógł to jeszcze być przypadek, lecz trzeciego dnia nie miałam już wątpliwości, że gdy tylko opuszczam kabinę BB, któryś z nich jest w zasięgu wzroku. Z reguły trzymają się ode mnie tak daleko, na ile tylko pozwalają wymiary pomieszczenia, w którym się akurat znajduję, lecz nawet na chwilę nie spuszczają mnie z oka.

Rozumiem doskonale to, co powtarzał mi kilkakrotnie pan Sikmaa: przesyłę „najcenniejszą przesyłkę w całej galaktyce”. Czy był jednak sens organizować mi obstawę nawet tu - na statku? Czyżby mój pracodawca obawiał się, że ktoś mógłby się zacciać i spróbować wykraść to, co schowano za moim pępkiem? Nonsens!

A jeśli to nie pan Sikmaa? Jeśli ktoś inny wynajął tych ludzi? Tajemnica mogła przestać być tajemnicą, zanim jeszcze opuściłam Ziemię. Pan Sikmaa wyglądał na człowieka, który nie miele bez potrzeby językiem, ale co z Mosbym i jego zazdrosną sekretarką? Cóż, Piętaszku, dowiemy się pewnie wcześniej czy później. Myślę jednak, że raczej wcześniej. Wieczorem.

Te dwie młode kobiety również należą do mojej troskliwej obstawy. Pojawiają się jednak w pobliżu jedynie tam, gdzie mężczyźni nie mają wstępu: salon piękności, butik z damską bielizną, damska sauna bądź toaleta itp. Gdzie diabeł nie może...

Nigdy mnie nie zaczepiają ani nie niepokoją w inny sposób, lecz ich bezustanne towarzystwo zaczyna już mnie męczyć. Będę zadowolona, gdy dotrzemy do The Realm i pozbędę się wreszcie tej przesyłki. Dopiero wtedy będę się mogła w pełni cieszyć urokami międzygwiazdnej podróży. Na szczęście najlepsza jej część zacznie się, gdy opuścimy The Realm. Outpost jest planetą tak mroźną (dosłownie), że nie zaplanowano tam żadnej wycieczki poza statek. O Botany Bay mówi się, że jest bardzo uroczym miejscem, i prawdę mówiąc chciałabym sama przekonać się, ile w tym prawdy. Niewykluczone, iż właśnie tam wyemigruję z Ziemi.

The Realm opisywana jest w folderach reklamowych jako planeta przepiękna i przebogata. Jej również chciałabym się przyjrzeć, lecz wyłącznie jako turystka. W każdym razie z pewnością nie jako potencjalna imigrantka. Co prawda kolonia ta ma opinię dobrze rządzonej, lecz w rzeczywistości panuje tam absolutna dyktatura. W Imperium Chicago nieraz

miałam okazję przekonać się, jak w praktyce wygląda ta forma rządów. Jest jednak jeszcze jeden, znacznie ważniejszy powód, dla którego nigdy nie poproszę władz The Realm o wizę (migracyjną). Zbyt dużo wiedziałam. Oficjalnie pan Sikmaa nie powiedział mi, co zawiera przesyłka, a ja o nic nie pytałam. Wolę jednak nie kusić losu.

Midway jest następną planetą, którą chcę jedynie zwiedzić, nie chcąc na niej zamieszkać. Dwa słońca na niebie to wystarczająco, by uczynić to miejsce osobliwym. Lecz wyjątkowo osobliwym czyni je dopiero papież, przebywający tam na wygnaniu.

Dowiedziałam się, iż to prawda, że nabożeństwa są tam odprawiane publicznie. Powiedział mi o tym kapitan van Kooten, a Jerry widział to ponoć nawet na własne oczy i twierdzi, że każdy może wziąć udział w mszy. Za nic nie trzeba płacić, lecz datki na dobroczynność są ponoć bardzo mile widziane i należą do dobrego tonu.

Kusi mnie, by to zobaczyć. Niczego bym przecież nie ryzykowała, a druga taka okazja może się już nie zdarzyć.

Oczywiście, będę chciała przyjrzeć się również Halcyonowi i Fiddler's Green. Obie planety muszą być wyjątkowe, w przeciwnym razie nie żądano by tak wysokich opłat. Będę tam jednak szukać przede wszystkim tego, o czym milczą fordery. Pamiętacie, co mówiłam o Edenie? Postąpiłabym bardzo głupio, prosząc Glorię, by zapłaciła górę pieniędzy za to, bym mogła wyemigrować do miejsca w którym życie okazałoby się nie do zniesienia, i z którego nie byłoby już powrotu.

Na Forest turysta nie znajdzie niczego ciekawego. Planeta owa nie ma w sobie żadnego powabu. Chcę jednak przyjrzeć się jej dokładnie, zanim odrzucę ją definitywnie jako miejsce, w którym ewentualnie mogłabym zamieszkać. Jest to najmłodsza z ziemskich kolonii, ciągle jeszcze pełna placów budów i nadal w pełni uzależniona od Ziemi. Ale być może właśnie tego potrzebowałam: przyłączyć się do pionierskich osadników i cieszyć się tą radością, jaką daje udział w budowaniu od podstaw zupełnie nowego świata.

Jerry zrobił kwaśną minę, gdy mu o tym powiedziałam. Twierdzi, iż powinnam przez jakiś czas zostać na tej planecie... i przekonać się na własnej skórze, że ci, którzy opisują uroki życia w dziewiczym lesie - albo nigdy nie próbowali tego sami, albo mocno przesadzają.

Sama nie wiem. Może rzeczywiście powinnam załatwić sobie bilet z prawem przerwy w podróży? Za parę miesięcy mogłabym powrócić na Ziemię tym samym statkiem lub jedną z jego siostrzanych jednostek. Muszę spytać kapitana.

Wczoraj w teatrze „Gwiezdny Pył” było przedstawienie holowizyjne - komedia muzyczna „Jankes z Connecticut i Królowa Guinevere”. Zapowiadało się przepyszne widowisko z romantyczną muzyką, pięknymi końmi i wielką pompą. Koniecznie chciałam to zobaczyć. Wymknęłam się więc zgrai swoich amantów i na salę weszłam sama. No, powiedzmy, że prawie sama. Nie próbowałam nawet uniknąć towarzystwa moich aniołów stróżów.

Ten mężczyzna - w myślach nazywałam go „numer trzy”, choć na liście pasażerów figurował jako „Howard J. Bullfinch z San Diego” - wszedł za mną i usiadł tuż za moimi plecami. Dziwne, jako że zazwyczaj wszyscy oni trzymają się ode mnie tak daleko, jak tylko pozwalają na to rozmiary pomieszczenia. Może obawiał się stracić mnie z oczu, kiedy przygasną światła? Nie wiem. Jego obecność za mną rozpraszała mnie, nie potrafiłam skupić się na sztuce. Gdy królowa zatopiła wreszcie szpony w Jan kęsie i powlokła go do swego

buduaru, ja, zamiast myśleć o uciechach wydobywających się z holotanku, usiłowałam posortować i przeanalizować wszelkie wonie, które do mnie docierały. Dla kogoś, kto siedzi w zatłoczonej sali teatralnej, nie jest to łatwe zadanie.

Gdy sztuka skończyła się i ponownie rozbłysły światła, dotarłam do bocznego przejścia między rzędami foteli dokładnie w tym samym momencie, co mój cień. Uprzejmie przepuścił mnie przed sobą. Uśmiechnęłam się i podziękowałam mu, po czym wyszłam głównymi drzwiami. Poszedł za mną. Za owymi drzwiami są cztery stopnie, po których schodzi się na korytarz. Udałam, że potknęłam się na jednym z nich. Przechyliłam się do tyłu i wpadłam wprost w jego ramiona.

- Najmocniej przepraszam - powiedziałam. - Upadłabym, gdyby nie pan. Czy w ramach rewanzu mogę zaprosić pana na drinka do baru „Pod Centaurem”? Oczywiście ja stawiani.

- Och, drobnostka. Nie ma czym zawracać sobie głowy.

- A jednak upieram się. Przy okazji wytłumaczy mi pan, dlaczego mnie pan śledzi, kto pana wynajął i jeszcze kilka innych spraw.

Zawahał się.

- To chyba jakaś pomyłka. Pani mnie z kimś myli.

- Nie, Mac. Z nikim cię nie myślę. Pójdiesz ze mną, czy wolisz raczej wytłumaczyć się przed kapitanem?

Na jego twarzy pojawił się tajemniczy - a może cyniczny - uśmiech.

- Pani słowa brzmią przekonywująco, choć popełnia pani błąd. Zgoda, lecz to ja zapłacę za drinki.

- W porządku. W końcu jesteś mi to winien. Zresztą nie tylko to.

Wybrałam stolik w samym rogu, dzięki czemu nikt nie mógł nas podsłuchiwać. Nie oznaczało to bynajmniej, że nie byliśmy podsłuchiwani przez jakieś Ucho. Lecz czyż można w ogóle uniknąć Ucha na pokładzie statku hiperprzestrzennego? Nie można.

Gdy podano nam drinki, odezwałam się niemalże szeptem:

- Potrafisz czytać z ruchu warg?

- Niezbyt dobrze - odrzekł, także szepcząc.

- W takim razie będziemy mówić tak cicho, jak to możliwe, i miejmy nadzieję, że

gwar zakłóci odbiór Uszom, które gdzieś tu z pewnością są zainstalowane. Mac, na początek odpowiedz mi na jedno pytanie: czy kiedykolwiek potem zgwałciłeś jeszcze jakąś bezbronną kobietę?

Zachwiał się na swoim siedzeniu. Każdy by się zachwiał, otrzymując dobrze wymierzony cios. Nie dał się jednak zbić z tropu. Najwyraźniej doceniał moją inteligencję, lecz sam również nie był w ciemnię bity.

- W jaki sposób rozpoznała mnie pani, panno Piętaszek?

- Zapach - odrzekłam - zapach przede wszystkim. Usiadłeś zbyt blisko mnie. Później, gdy wychodziliśmy z teatru, zmusiłam cię, byś się odezwał. Dałeś się też nabrać na numer z potknięciem i objąłeś mnie, gdy udawałam, że się przewracam. To wszystko. Czy jest tu jakieś Ucho skierowane w naszą stronę?

- Bardzo możliwe. Prawdopodobnie jednak nie nagrywa i w tej chwili nie jest raczej przez nikogo kontrolowane.

- Ale ryzyko istnieje. - Zastanowiłam się. Spacerować w tę i z powrotem wzdłuż promenady? W takim układzie każde Ucho miałoby spory problem bez bieżącego naprowadzania. Lecz równie dobrze mogło być naprowadzane automatycznie. Skąd pewność, że Mac nie miał przy sobie radioboi? Nawet ja sama mogłam ją bezwiednie nosić. Basen pływacki? Akustyka na basenie jest raczej zła, a więc dla mnie w tym przypadku dobra. Jednak, do cholery, potrzebowałam miejsca nieco bardziej odosobnionego.

- Zostaw swojego drinka i choć ze mną - powiedziałam.

Zabrałam go do swojej kabiny. Drzwi otworzyła nam Shizuko. Czasami mam wrażenie, że czuwa przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny.

- Shizuko - zapytałam - jakie mamy plany na dzisiejszy wieczór?

- Przyjęcie u płatnika, panienko. O dziewiętnastej.

- Rozumiem. Idź teraz na spacer. Masz wolne przez najbliższą godzinę.

- Nie zdążymy. Wrócę za trzydzieści minut.

- Powiedziałam: za godzinę!

- Tak, panienko - odrzekła pokornie. Zauważyłam jednak, że wcześniej zerknęła ukradkiem na Maca i że ten ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Gdy Shizuko zamknęła za sobą drzwi, spytałam półgłosem:

- Kto jest szefem; ty, czy ona?

- To sprawa dyskusyjna - odpowiedział. - Może „współpracujący ze sobą niezależni agenci” będzie trafniejszym określeniem.

- Rozumiem. Ona jest prawdziwym fachowcem, Mac. Wiesz, gdzie są tu zainstalowane Uszy, czy też będziemy musieli uciec się do jakichś sztuczek, aby zakłócić im odbiór? Nie chcesz chyba, by rozmowa o twojej plugawej przeszłości została gdzieś nagrana? Jeśli chodzi o mnie, to nie mam nic do ukrycia. Ostatecznie, byłam tylko niewinną ofiarą. Zależy mi jednak na tym, byś ty mógł mówić swobodnie.

Zamiast odpowiedzi wskazał palcem trzy miejsca: kanapę na końcu salonu, moje łóżko i drzwi do łazienki. Następnie dotknął swojego oka i wyciągnął palec w kierunku miejsca naprzeciw kanapy, w którym przepierzenie stykało się z sufitem.

Kiwnęłam głową na znak, że zrozumiałam, po czym ustawiłam dwa fotele w rogu salonu najbardziej odległym od Oka, które wskazał Mac. Zrobiłam to tak, by zejść z „linii wzroku” elektronicznego szpicla. Włączyłam terminal i wrzuciłam dysk z nagraniami chóru z Salt Lake City. Wątpiłam, by jakiegokolwiek Ucho było w stanie wyłowić nasze głosy z tej kakofonii dźwięków.

- Mac - zapytałam, gdy usiedliśmy - czy możesz podać mi jakiś powód, dla którego nie powinnam cię zabić od razu?

- Tak po prostu, nie wysłuchawszy mnie nawet?

- A niby po co miałabym urządzać przesłuchanie? Zgwałciłeś mnie, nie podlega to żadnej dyskusji. Daję ci jednak szansę. Czy jesteś w stanie wymyśleć przyczynę, dla której nie powinieneś zostać za swą zbrodnię skazany w trybie doraźnym?

- Skoro przedstawiasz to w taki sposób, to nie. Nie jestem w stanie podać takiej przyczyny.

Nie wyglądał na zbyt wystraszonego. Ludzie kiedyś wpędzą mnie do grobu.

- Irytujesz mnie, Mac. Nie widzisz, że nie chcę cię zabić i szukam jakiegoś rozsądnego powodu, by tego nie zrobić? Bez twojej pomocy nie dam sobie jednak rady. Powiedz, jak

udało ci się wplątać w tak brudną sprawę, jak zbiorowy gwałt na związanej, bezbronnej kobiecie?

Przez chwilę milczał i zastanawiał się. W końcu powiedział:

- Mogłbym twierdzić, że zrobiłem to wyłącznie dlatego, że gdybym odmówił udziału lub się sprzeciwiał, sam wydałbym na siebie wyrok.

- Czy to prawda? - spytałam, czując doń coraz większą pogardę.

- To także prawda, a właściwie jej część, która i tak nie ma znaczenia, bo prawdziwy powód był inny. Nikt mnie nie zmuszał. Sam chciałem to zrobić. Jest w tobie tyle seksu, że skusiłabyś nawet słupnika*...[*„Słupnik - asceta, średniowieczny pokutnik, odbywający swą pokutę przywiązany do słupa] albo zmusiła Wenus, by przedzierzgnęła się w Lesbos. Próbowałem wmówić sobie, że nie mogłem się wykręcić, lecz to kłamstwo. O'key, jeśli chcesz, pomogę ci upozorować moją śmierć na samobójstwo.

- Możliwe, że to nie będzie konieczne. - (Mogłabym skusić nawet słupnika? A cóż to, u licha, jest słupnik? Muszę sprawdzić. Zdaje się, iż miał to być komplement).

Mac upierał się.

- Na pokładzie statku nie ma dokąd uciekać. Gdy znajdą mojego trupa, będziesz miała kłopoty.

- Niech cię o to głowa nie boli. Zostałeś wynajęty, by stale mieć mnie na oku. Wiesz już, że zamierzam pozwolić ci, byś robił dalej, co do ciebie należy. Zanim jednak stąd wyjdiesz, chcę, żebyś odpowiedział mi na kilka pytań. Po pierwsze, jak udało ci się ująć cało z pożaru? Przyznam, iż byłam mocno zaskoczona, kiedy cię wywachałam. Myślałam, że dawno już nie żyjesz.

- Gdy podpaliliście farmę, już mnie tam nie było. Uciekłem wcześniej.

- Naprawdę...? Dlaczego?

- Z dwóch powodów. Zamierzałem wynieść się stamtąd natychmiast, gdy tylko dowiem się tego, po co mnie tam wysłano. Drugą przyczyną, dla której chciałem się ulotnić, byłaś ty.

- Ej, Mac, nie oczekujesz chyba, że uwierzę we wszystko, co mi powiesz. Czego miałeś się dowiedzieć?

- Do dziś nie mam pojęcia. Nigdy tego nie znalazłem. Wiem tylko tyle, że im, nam i twojemu szefowi chodziło o to samo. Ó coś, po co wybrałaś się na Ell-Pięć. Słyszałem jednak, jak cię przesłuchiwali, i przekonałem się, że o niczym nie wiedziałaś. Postanowiłem więc, że czas pryskać, i to szybko.

- Miałaś rację, byłam jedynie gołębiem pocztowym. A gołębie pocztowe nigdy nie wiedzą, o co toczy się wojna. Tracili tylko czas, torturując mnie.

- Torturowali cię?! - Do licha, jego zaskoczenie wyglądało szczerze.

- Próbujesz odgrywać niewiniątko? - odrzekłam ostrym tonem.

- Co? Nie, nie, jestem winien i dobrze o tym wiem. Winien gwałtu. Nie miałem jednak pojęcia, że cię torturowali. Przecież to idiotyzm. Metoda, której nie używa się już od wieków. Byłem tylko przy tym, jak cię normalnie przesłuchiowano. Potem zrobili ci zastrzyk z penthotalu i powtórzyłaś dokładnie tę samą historię. Uznałem więc, że mówisz prawdę, i wyniosłem się stamtąd tak szybko, jak mogłem.

- Im więcej mówisz, tym więcej prowokujesz pytań. Dla kogo pracowałaś, dlaczego to robiłaś, dlaczego zrezygnowałaś, do kogo należał ten głos, który wydawał ci rozkazy - chodzi

mi o człowieka, zwanego przez was „Majorom” - i dlaczego wszystkich tak bardzo niepokoiła przesyłka, którą przносиłam. Tak bardzo, że zorganizowano atak na farmę, poświęcono kilka istnień ludzkich i torturowano mnie, a nawet obcięto lewy cycek? Po co?!

- Naprawdę ci to zrobili?! - Ku mojemu zaskoczeniu twarz Maca pozostawała kamienna, dopóki nie wspomniałam, w jaki sposób potraktowano jeden z moich gruczołów mlecznych. Chyba jednak nigdy nie zrozumiem, co tak naprawdę kieruje mężczyznami.

- Nie przejmuj się tak. Został kompletnie zregenerowany. Pokażę ci go później, gdy odpowiesz na wszystkie moje pytania. Będziesz miał okazję porównać go z tym, który widziałeś, kiedy mnie gwałciliście. A teraz wróćmy do interesów. Mów.

Mac przyznał się do roli podwójnego agenta. Powiedział, że w tamtym czasie był oficerem wywiadu w quasi-militarnej organizacji i że został wynajęty przez Laboratoria Badawcze Muriel Shipstone. Dla nich właśnie, oraz pracując na własną rękę, penetrował organizację Majora. Gdy zaczął o tym mówić, przerwałam mu.

- Zaczekaj - powiedziałam - czy on zginął z innymi w czasie pożaru?

- Wydaje mi się, że tak - odrzekł - lecz jedynym człowiekiem, który wie coś na pewno, jest Mosby.

- Mosby? Franklin Mosby? „Poszukiwacze Inc.”?

- Mam nadzieję, iż nie ma braci. On jeden to i tak za dużo. Zgadza się, to on. Ale „Poszukiwacze Inc” to jedynie fasada. W rzeczywistości Mosby jest marionetką, za której sznurki pociąga Shipstone Unlimited.

- Chwileczkę, przecież mówiłeś, że ty również pracowałeś dla Shipstone. Dla Laboratoriów Badawczych Muriel Shipstone.

Mac spojrział na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy.

- Kpisz sobie ze mnie? Przecież cała ta awantura z Czerwonym Czwartkiem była wewnętrzną rozgrywką pomiędzy bossami poszczególnych kompanii Shipstone. Wszyscy to wiedzą.

- Czasami wydaje mi się, że do niedawna żyłam pod szklanym kloszem. W porządku, pracowałeś jako podwójny agent dla dwóch różnych kompanii Shipstone. Tylko dlaczego ja byłam kością, o którą walczone tak zażarcie?

- Tego właśnie miałem się dowiedzieć. Wszyscy wierzyli, że byłaś agentką Pasibrzucha Bald...

- Stop. Jeśli zamierzasz mówić o zmarłym doktorze Baldwinie, to racz nie używać tego okropnego przezwiska.

- Przepraszam. Sądono, że jesteś agentką System Enterprises, czyli doktora Baldwina. Fakt, iż udałaś się do jego głównej kwatery, potwierdzał te przypuszczenia.

- Chwileczkę, czy należałaś do tego gangu, który napadł na mnie, gdy pojawiłam się na farmie?

- Na moje własne szczęście nie. Zabiłaś dwóch z nich, a trzeci przeżył kumpli zaledwie o trzy godziny. Nikt nie wyszedł bez szwanku z jatki, którą tam urządziłaś. Jesteś prawdziwą tygrysią, panno Piętaszek.

- Mów dalej.

- Pasi... Doktor Baldwin zawsze uchodził za niezależnego i nigdy nie dawał się wciągnąć w żadne gierki. Kiedy zaczęto montować Czerwony Czwartek...

- Co, u licha, ma z tym wszystkim wspólnego Czerwony Czwartek?!

- Wszystko. Cokolwiek wtedy przносиłaś, odegrało to rolę zapalnika. Sądzę, że Rada

Ocalenia - to dla nich właśnie pracowały pistolety Mosby'ego - musiała wykonać pierwszy ruch, nie będąc dostatecznie przygotowana. Prawdopodobnie dlatego właśnie ich plan nie powiódł się. Wszystkie kwestie sporne wyjaśniono w końcu przy stole konferencyjnym i prawdopodobnie nikt już nigdy nie dowie się, o co tak naprawdę chodziło i czyje ręce są najbardziej brudne.

- Mac, czy to Mosby wynajął cię do tej roboty? Mam na myśli chodzenie za mną krok w krok na tym statku.

- Co takiego? Skądże! Tylko raz pracowałem dla tego sukinsyna i było to o raz za dużo. To zlecenie dostałem od agenta pracującego dla attache kulturalnego ambasady The Realm w Genewie. Nie należy ono do tych, których powinienem się wstydzić. Naszym zadaniem jest zapewnić ci bezpieczeństwo. I zapewniamy ci je. Możesz mi wierzyć.

- To musi być dla ciebie straszne, że nie możesz mnie powtórnie zgwałcić.

Nie odpowiedział nic.

- Masz jakieś specjalne instrukcje, dotyczące mojej skromnej osoby? I ilu jest was na tym statku? O ile się nie mylę, jesteś szefem. Czy tak?

Zawahał się.

- Chcesz, żebym ci wyjawiał sekrety mojego pracodawcy. W tym zawodzie tak się

nie

postępuje... O czym, jak sądzę, dobrze wiesz.

- Nie pleć bzdur, Mac. Wchodząc przez te drzwi dobrze wiedziałeś, że twoje życie zależy wyłącznie od tego, czy odpowiesz na wszystkie moje pytania. Przypomnij sobie, co spotkało tę bandę, która napadła mnie wtedy, na farmie doktora Baldwina. Pomyśl o tym i lepiej zacznij mówić.

- Nie musisz mnie straszyć. Tak, jestem szefem. Tylko Tilly nie podlega bezpośrednio mnie.

- Która to Tilly?

- Przepraszam, mam na myśli Shizuko. To jednak jest tylko jej pseudonim zawodowy. Pracując dla U CLA, nazywała się Matilda Jackson. Wszyscy czekaliśmy w Sky Hotel ponad dwa miesiące...

- O ile się nie mylę, „wszyscy” oznacza liczbę mnogą. Nazwiska, Mac; nazwiska figurujące na liście pasażerów. I nie próbuj wciskać mi kitu z pseudonimami. Za kilka minut wróci Shizuko.

Wymienił wszystkie. Żadnych niespodzianek. Były to te same nazwiska, które ustaliłam wcześniej. Niezgrabnie i niefachowo. Szef nigdy by nie pozwolił na coś takiego.

- Dobra. Mów dalej.

- „Dirac” odleciał bez nas. Już myśleliśmy, że z „Forwardem” będzie to samo.

Zaalarmowano nas zaledwie na dwadzieścia cztery godziny przed startem. Gdy weszliśmy na pokład, jakiś człowiek wręczył mi kolorowe holografie, na których byłaś ty, i powiedział, że mamy cię strzec bardziej niż oka w głowie. Gdy zobaczyłem te holografie, nogi się pode mną ugięły.

- Aż tak źle na nich wyszłam?

- Że co? Nie, to przez wzgląd na okoliczności, w których widziałem cię po raz pierwszy. Poza tym byłem pewien, że zginęłaś wraz z innymi w czasie tamtego pożaru.

Pewnie trudno w to uwierzyć, lecz martwiło mnie to. Przynajmniej trochę.

- Dzięki za troskę. Jak widzisz, jestem jednak cała i zdrowa. W porządku, jest was siedmioro z tobą jako szefem. Ta podróż z pewnością nie należy do najtańszych, Mac. Po co wynajęto dla mnie aż siedmioro opiekunów?

- To raczej ja mógłbym tobie zadać to pytanie. Jednak to nie moja sprawa dokąd i po co lecisz. Otrzymałem takie a nie inne instrukcje i po prostu trzymam się ich. Masz dotrzeć na The Realm w idealnej kondycji. Żadnych zadrapań, siniaków, ani nawet kataru. Gdy znajdziemy się na miejscu, na pokład zgłosi się oficer gwardii pałacowej i od tej pory będziesz stanowić jego kłopot. My jednak nie dostaniemy ani grosza z pieniędzy, które zarobiliśmy, zanim nie zostaniesz dokładnie zbadana. Jeśli coś będzie nie tak, możemy się pożegnać z zapłatą. Jeśli natomiast badania wykażą, iż jesteś zdrowa i nietknięta, otrzymujemy forszę, premię, bilet na drogę do domu i specjalne błogosławieństwo od samego Pierwszego Obywatela.

Zastanowiłam się nad tym, co mi powiedział. Na pozór wszystko się zgadzało. Pan Sikmaa musiał zapewnić odpowiednią opiekę „najcenniejszej przesyłce w galaktyce”, było to zupełnie zrozumiałe. Ale siedmioro ludzi pilnujących mnie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jedynie po to, bym nie potknęła się na schodach i nie skrzyła karku? Nie, coś tu śmierdziało.

- Mac, nie przychodzi mi do głowy nic więcej, o co chciałabym cię jeszcze zapytać, a Shizuko, to znaczy Tilly, wróci lada chwila. Porozmawiamy później.

- Dobrze. Powiedz, dlaczego nazywasz mnie Mac?

- To jedyne imię, jakim cię kiedykolwiek nazwano w mojej obecności. Mam na myśli

pewien zbiorowy gwałt, w którym oboje braliśmy udział. Nie uważasz chyba, iż jestem na tyle naiwna, by sądzić, że nazywasz się Howard J. Bullfinch? Więc niby jak miałabym się do ciebie zwracać?

- Ach, rzeczywiście. Podczas tamtej misji używałem imienia Mac. Zazwyczaj jednak wszyscy mówią do mnie Pete.

- Masz na imię Peter?

- No... niezupełnie. Percival. Ale nikt nie zwraca się do mnie w ten sposób.

Powstrzymałam się od głośnego śmiechu.

- Nie rozumiem, dlaczego, Pete. Imię Percival nosiło wielu odważnych mężczyzn, którzy cenili swój honor. Ale czas już kończyć. Zdaje się, że Shizuko stoi pod drzwiami i niecierpliwi się, by móc mnie wreszcie wykąpać. Jeszcze tylko jedno słówko, Mac. Wiesz, dlaczego ciągle jeszcze oddychasz?

- Nie.

- Ponieważ pozwoliłeś mi się wysiusiać, zanim przykułeś mnie do łóżka.

Na jego twarzy pojawił się nagle dziwny grymas.

- Oberwałem za to po zębach.

- O! A to niby z jakiej racji?

- Major chciał cię zmusić, żebyś zmoczyła łóżko. Wyobrażał sobie, że w ten sposób łatwiej będzie cię złamać.

- Cholerny amator. Zresztą, mniejsza z nim. Mam nadzieję, że trochę się przysmażył,

zanim poszedł do piekła. Ważne, że wtedy, gdy zaprowadziłeś mnie do łazienki, zdecydowałam, iż tli się jeszcze w tobie coś z człowieka.

Rozdział XXX

Outpost to jedna z mniejszych planet. Jego słońcem jest gwiazda typu G8, znacznie chłodniejsza od naszego Słońca, które astrofizycy określają jako G2. Nas jednak interesują wszystkie gwiazdy zaliczające się do typu G, czyli podobne do tej, która świeci w naszym układzie planetarnym. Niewykluczone, iż pewnego dnia możliwe stanie się zakładanie kolonii w pobliżu gwiazd innych typów. Tymczasem rozsądek nakazuje ludziom osiedlać się wokół gwiazd, których światło ma rozkład spektralny podobny do słonecznego i które nie emitują zbyt wiele śmiertelnościanego promieniowania. Nie ja to wymyśliłam - cytuję jedynie Jerry'ego. Pomiędzy Ziemią a The Realm znajduje się ponad czterysta gwiazd typu G (to z kolei słowa Jaime Lopeza), co powinno zająć ludzkość przez ładnych kilka najbliższych lat. Przypuśćmy, że wybraliśmy już gwiazdę typu G. Następnie trzeba znaleźć w jej pobliżu planetę, na której temperatura nie będzie ani zbyt niska, ani zbyt wysoka, ani nie ulegająca zbyt wielkim wahaniom. Ale to nadal nie wszystko. Grawitacja powierzchniowa na owej planecie musi być na tyle silna, by zapewnić utrzymanie atmosfery wokół niej. Atmosfera ta z kolei musi mieć odpowiedni skład, umożliwiający rozwój życia w formie podobnej do tej, która rozwinęła się na Ziemi. Nieznane przez nas formy życia mogą być fascynującym tematem, lecz najlepiej zostawić go autorom powieści fantastyczno-naukowych.

Outpost z ledwością spełnia wszystkie te warunki. Tlen znajdujący się w jego atmosferze nawet na poziomie morza rozrzedzony jest tak bardzo, że trzeba się tam poruszać powoli niczym na himalajskich szczytach. Planeta oddalona jest od swojego słońca tak bardzo, iż posługując się kategoriami ziemskimi można na niej wyróżnić jedynie dwie strefy klimatyczne: umiarkowaną chłodną i polarną. Jej oś ustawiona jest niemalże prostopadle do płaszczyzny elipsy, po której krąży, stąd pory roku na Outpost uzależnione są wyłącznie od jego położenia na owej elipsie. Pory roku, o których wspomniałam, to pora wzrostu oraz zima. Podczas pory wzrostu temperatura po obu stronach równika wynosi średnio około 20°C. Trwa to oczywiście bardzo krótko, po czym nastaje długa zima. To „oczywiście” wynika z jednego z praw Keplera, które dotyczy równych pól zakreślanych przez wektory wodzące w jednakowym czasie (wszystko to wyczytałam w „Daily Forward”). Jednak bardzo chciałam zobaczyć tę planetę z bliska, postawić na niej nogę. Dlaczego? Bo nigdy nie znalazłam się dalej od domu niż na Księżycu. A Księżyc to przecież prawie to samo, co dom. Outpost natomiast oddalony jest od Ziemi o ponad czterdzieści lat świetlnych. Macie pojęcie, ile to kilometrów? Proszę bardzo, sama to obliczyłam:

300.000 X 40,7 X 31.557.600

385.318.296.000.000

Możecie to sprawdzić i zaokrąglić: czterysta milionów milionów kilometrów.

Według harmonogramu lotu mieliśmy osiągnąć orbitę stacjonarną (jeden obrót trwał 22,1 godziny, co równało się długości doby na Outpost) o drugiej czterdzieści siedem czasu pokładowego. Punktualnie na trzecią zaplanowano start kapsuły ładowniczej. Na tę wycieczkę zgłosiło się raczej niewielu chętnych. Cóż, pora nie była zbyt popularna wśród większości pasażerów. Ja jednak z nieznanym mi rzeczy opuściłabym chętnie jedynie

Armageddon*.[*„Armageddon - według Biblii (Apok.,16,14-16) góra Megiddo, u której stóp rozciąga się dolina o tej samej nazwie, pole licznych bitew, miejsce, gdzie w Dniu Sądu Ostatecznego odbędzie się apokaliptyczny bój między narodami]

Zrezygnowałam z całkiem niezłe zapowiadającego się party i o dziesiątej leżałam już w łóżku z zamiarem złapania kilku godzin snu, zanim „wzejdą” pokładowe światła. Wstałam o drugiej, poczłapałam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Gdybym zostawiła je otwarte, Shizuko natychmiast znalazłaby się przy mnie. Nie wiem, jak to robiła, ale bez względu na porę, o której budziłam się i otwierałam oczy, Shizuko czekała już przy moim łóżku, gotowa na każde me skinienie.

Zamknęłam więc te drzwi... i zwymiotowałam. Dziwne. Nie byłam co prawda uodporniona na chorobę morską, ale jak dotychczas nie nękała mnie ona na pokładzie H.S. „Forward”. Gdy podróżowałam kapsułami Beanstalk, mój żołądek zawsze wywracał się na lewą stronę - to prawda. Lecz tutaj coś podobnego zdarzyło się tylko dwa razy: wtedy, gdy statek przekraczał barierę hiperprzestrzeni, oraz gdy wczoraj wrócił do normalnego wymiaru. Jednak z mostka ostrzegano, że niektórzy pasażerowie mogą przy tych manewrach odczuwać mdłości.

Czyżby była to wina sztucznej grawitacji? Nie miałam zielonego pojęcia. Kręciło mi się w głowie, lecz musiał to być efekt wymiotowania, bo wymiotowałam oczywiście tak potężnie, jakbym leciała jedną z tych piekielnych kapsuł Beanstalk.

Przepłukałam usta, umyłam zęby, ponownie przepłukałam usta i powiedziałam sama do siebie:

- Piętaszku, to całe twoje śniadanie. Nie pozwolisz przecież, by kaprysy twojego żołądka powstrzymały cię przed wzięciem udziału w wycieczce na powierzchnię Outpost. Nawiasem mówiąc przytyłaś ostatnio o całe dwa kilogramy. Czas już obciąć nieco dzienną dawkę kalorii.

Dawszy żołądkowi taką reprimendę i powierzwszy kontrolę nad nim mojej silnej woli, wyszłam z łazienki. Oczywiście Shizuko-Tilly czekała już pod drzwiami. Pozwoliłam jej, by ubrała mnie w ciężki, ocieplany kombinezon, i udałam się w kierunku przedziału startowego, gdzie czekała już kapsuła ładownicza. Shizuko podążała krok w krok za mną, dźwigając obszerne futro dla każdej z nas. Przyznam, iż na początku zamierzałam się z nią zaprzyjaźnić, lecz przekonawszy się, jaką naprawdę gra rolę, poczułam do niej niechęć. Sama nie wiedziałam, jak ją traktować, lecz szpieg z pewnością nie zasługiwał na zaufanie, a nawet przyjaźń, jaką zazwyczaj okazuje się służbie. Nie starałam się być dla niej szorstka. Po prostu w większości przypadków ignorowałam ją.

Przy śluzie stał pan Woo, asystent płatnika do spraw wycieczek poza statek, trzymając w ręku sporych rozmiarów kołonośnik.

- Przykro mi, panno Piętaszek, lecz pani nazwisko nie figuruje na mojej liście - powiedział, gdy do niego podeszłam.

- Na pewno zapisywałam się na tę wycieczkę. Proszę dopisać mnie teraz lub niech pan wezwie kapitana.

- Nie wolno mi tego zrobić.

- Taaak? Wobec tego siadam w przejściu do śluzy i urządzam pikietę.

Wolałabym

tego nie robić, panie Woo, lecz jeśli sugeruje mi pan, iż nie powinnam się tu znaleźć z

powodu bałaganu panującego w pańskich papierach lub błędu jakiegoś urzędnika, to nie pozostaje mi nic innego.

- Hmm... Pani wybaczy. Przypuszczam, że któryś z moich urzędników rzeczywiście musiał się pomylić. Nie mamy zbyt wiele czasu, więc proszę wejść i poprosić, by wskazano pani miejsce. Ja tymczasem sprawdzę nazwiska pozostałych uczestników wycieczki, a potem sprostuję tę pomyłkę.

Nie miał jednak żadnych obiekcji, gdy Shizuko weszła za mną, choć jej również nie było na tej głupiej liście. Weszliśmy prosto do długiego pasażu i po chwili znalazłyśmy się wewnątrz kapsuły. Jej wnętrze przypominało nieco wnętrze energobusa - z przodu podwójne fotele dla pilotów, a za nimi dwa rzędy siedzeń dla pasażerów. Ponad połowę bocznych ścian stanowiły potężne, grube szyby. Przez nie właśnie po raz pierwszy ujrzałam światło słoneczne, odkąd opuściliśmy Ziemię.

Mówiąc o świetle słonecznym, mam oczywiście na myśli słońce Outpost, ukryte płytko za mocno wygiętym z tej odległości łukiem horyzontu.

Obie z Shizuko znalazłyśmy sobie wolne siedzenia i pozapinałyśmy pasy, nie różniące się niczym od tych, których używano na SBS-ach. Wiedząc, że kapsuła jest antygravitatorowcem, zamierzałam zapiąć jedynie pas biodrowy, lecz mój skośnooki anioł stróż pochylił się nade mną bez słowa i pozapinał wszystko.

Po chwili przy wejściu pojawił się pan Woo. Przez chwilę wodził wzrokiem wzdłuż rzędów foteli. Wreszcie dojrzał mnie, podszedł i pochylił się ponad głową staruszka siedzącego pomiędzy mną a przejściem.

- Bardzo mi przykro, panno Piętaszek - odezwał się półgłosem - lecz nadal nie mam pani na swojej liście.

- Naprawdę? Co powiedział panu kapitan?

- Nie udało mi się go złapać.

- Trudno, to już pański kłopot. W każdym razie ja zostaję.

- Przykro mi, lecz to niemożliwe.

- Czyżby? A w jakież to sposób zamierza mnie pan stąd wyrzucić? I kto panu w tym

pomoże? Bo będzie pan musiał wywlec mnie stąd kopiającą i krzyczącą, a mogę pana zapewnić, iż potrafię kopać i krzyczeć.

- Panno Piętaszek, tak nie można!

Siedzący obok mnie staruszek dotychczas milczał cierpliwie, lecz najwyraźniej również zaczynał już mieć dość tego cymbała Woo.

- Młody człowieku, czy nie robisz z siebie przypadkiem idioty? Ta pani jest pasażerem pierwszej klasy. Nie raz widywałem ją przy stole w towarzystwie kapitana. Proszę więc zabrać swój głupi kołonośnik i poszukać sobie czegoś lepszego do roboty.

Pan Woo wyglądał przez chwilę tak, jakby mu kto dał w twarz. Nie mógł jednak zrobić nic innego, jak zostawić mnie w spokoju. Gdy tylko zamknął za sobą luk, nad fotelami rozbłysły czerwone lampki i rozległ się dźwięk syreny, a z głośników dobiegł nas głos pilota:

- Opuzczamy orbitę. Proszę przygotować się na wzrost przeciążenia.

Najwyraźniej nie miałam dobrego dnia.

Podróż na powierzchnię Outpost zajęła bez mała trzy godziny, które starano się nam umilić muzyką i wykładem na temat osobliwości tej planety. Jak na mój gust wykład ów był

jednak nieco nudnawy, a muzyka - zbyt hałaśliwa. Po wylądowaniu pozostaliśmy tam przez dwie godziny, lecz nikomu nie wolno było opuścić kapsuły ładowniczej. Pozwolono nam jedynie odpiąć pasy i przejść do pomieszczenia zwanego klubem. W rzeczywistości był to jednak bar, na którego jednym końcu podawano kawę i kanapki, drugi zaś stanowił coś w rodzaju tarasu widokowego. Stąd mogłam przyglądać się imigrantom wysiadającym z dolnego pokładu oraz tubylcom zajęтым rozładunkiem luku towarowego.

Dookoła rozciągały się niskie, łagodnie pofałdowane wzgórza pokryte grubą warstwą śniegu, spod którego wystawały skarłowaciałe, rzadkie krzewy. Nieco bliżej statku widać było niewielkie budynki. Większość z nich przypominała zwykłe szopy. Imigranci stłoczeni w pobliżu trapu najwyraźniej nie spieszyli się w ich kierunku. Towary ładowano na rząd płaskodennych wozów, przyczepionych do jakiejś maszyny, która wyrzucała z siebie kłęby dymu zmieszanego z parą. Dokładnie taką samą widziałam kiedyś na ilustracji w podręczniku historii. To jednak nie była ilustracja.

Jakaś kobieta stojąca obok mnie zapytała:

- Nie rozumiem, jak ci ludzie mogli podjąć decyzję, by się tu osiedlić?

Towarzyszający jej starszy pan zrobił minę mającą najprawdopodobniej oznaczać: „Cóż, wola boska”.

Ja także nie rozumiałam, jak można przeżyć siedemdziesiąt lat (ta kobieta miała co najmniej tyle) i nie dowiedzieć się, że nikt dobrowolnie nie „podejmuje decyzji” o osiedleniu się na Outpost. Owszem, można tu użyć słowa „decyzja”, ale w bardzo ograniczonym znaczeniu, dotyczącym wyboru pomiędzy deportacją na tę planetę a karą śmierci lub dożywocia.

Mój żołądek ciągle miał się nie najlepiej, więc nie ryzykowałam zjedzenia kanapki. Pomyślałam jednak, że filiżanka kawy może mu dobrze zrobić. Ba - byłam o tym nawet święcie przekonana... zanim jej nie powąchałam. Chwilę później byłam już w toalecie. Wierście mi, rzetelnie zasłużyłam na tytuł „Piętaszek-Żelazna Szczeka”. Wszystkie kabiny były zajęte i musiałam czekać. Czekałam więc, przez cały ten czas zaciskając szczęki niczym stalowe imadło. Upłynęły co najmniej dwa stulecia, nim dopadłam wreszcie do muszli klozetowej i zwymiotowałam, choć sama nie wiem czym. Zdecydowanie nie powinna byłam wąchać tej przeklętej kawy.

Podróż powrotna ciągnęła się w nieskończoność.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po wejściu na pokład „Forward”, było skontaktowanie się z jednym spośród moich adoratorów, młodszym chirurgiem pokładowym Jerryem Madsenem. Poprosiłam, by się ze mną spotkał - tym razem w roli lekarza. Wiedziałam, iż klinikę zamykano codziennie o trzeciej po południu. Po tej godzinie przyjmowano pacjentów wyłącznie w nagłych przypadkach. Wiedziałam jednak również, że Jerry bardzo chętnie zobaczy się ze mną, nie zważając na tę drobną przeszkodę. Powiedziałam mu, iż chcę tylko, aby przepisał mi te same pigułki, które przepisywał zazwyczaj starszym paniom z trzęsącymi się brzuchami - pigułki przeciw chorobie morskiej. Odrzekł, żebym przyszła do jego gabinetu. Wchodząc tam sądziłam, że będzie już miał przygotowaną receptę albo nawet pigułki.

On jednak bez słowa zaprowadził mnie do gabinetu zabiegowego i zamknął za sobą drzwi.

- Czy mam posłać po pielęgniarkę, panno Piętaszek? - zapytał. - A może wolałaby pani raczej, by zbadała panią kobieta? Mogę wezwać doktor Grację, choć prawdę mówiąc wolałbym jej nie budzić. Miała nocny dużur.

- Jerry, co ty pleciesz? - odrzekłam zaskoczona. - I od kiedy to przestałam być dla

ciebie Marjie? Mówiłam ci przecież, że potrzebuję jedynie garści tych pigułek od choroby morskiej. Tych malutkich, różowych.

- Proszę usiąść, panno Piętaszek... no dobrze, Marjie. Nie mogę przepisać ci ani tych pigułek, ani ich pochodnych. Młodym kobietom nie wolno ich podawać. Wyrażając się nieco bardziej precyzyjnie: nie wolno ich podawać kobiecie w wieku rozrodczym bez uprzedniego upewnienia się, że nie jest ona w ciąży. Ten lek mógłby spowodować uszkodzenie płodu.

- Och, możesz być spokojny, skarbuś. Nie jestem zapyłona.

- Ja jednak wolałbym to najpierw sprawdzić. Jeśli okaże się, iż jesteś ciąży, przepiszę ci inne środki, dzięki którym nie powinnaś odczuwać zbyt dotkliwie choroby morskiej.

- Posłuchaj, doktoru: a jeśli dałabym ci słowo, że nie robiłam tych rzeczy od trzech miesięcy i przez cały ten czas miałam regularne miesiączki?

- Hmm... Powiedziałbym wtedy: „Weź zlewkę i przynieś mi próbkę moczu”.

Pobrałbym ci także krew do zbadania. A jeśli okazałoby się to niezbędne, to również nieco śliny. Ożeniłem się kiedyś z kobietą, która „nie robiła tych rzeczy” nigdy przed ślubem.

- Jesteś cyniczny, Jerry.

- Po prostu troszczę się o twoje zdrowie, moja droga.

- Tak, wiem. Zaraz jeszcze urządzisz mi wykład o etyce lekarskiej i przysiędze Hipokratesa. W porządku, zgadzam się, byś zrobił mi te idiotyczne testy, skoro tak bardzo się upierasz. Jeśli wyniki będą pozytywne, będziesz miał obowiązek powiadomić Papieża Na Wygnaniu, iż zdarzył się cud. A ja postawię ci wówczas butelkę najlepszego szampana, jaki można dostać na tym statku.

Jerry dostał swoje próbki i dał inne pigułki: dwie niebieskie do połknięcia po jednej przed obiadem i przed kolacją oraz jedną żółtą, która miała mi pomóc w zaśnięciu.

- Nie są one tak silne jak te, o które prosiłaś, lecz działają prawie tak samo skutecznie, a w razie czego nie spowodują, że dziecko urodzi się ze stopkami na plecach lub czymś podobnym. Jutro zaraz po śniadaniu powiadomię cię o wynikach testów.

- Dopiero? Sądziłam, że współczesna medycyna pozwala na stwierdzenie ciąży niemalże na poczekaniu.

- By przekonać się, czy nie jest w błogosławionym stanie, twoja babka musiała sprawdzać, czy pas jej spódnicy nie robi się coraz ciaśniejszy. Ty jesteś szczęściarą. Miej tylko nadzieję, że nie trzeba będzie przeprowadzać wszystkich badań dwukrotnie. Niebieskie pigułki pozwoliły mi zjeść obiad, a dzięki żółtej spałam jak suseł. Po śniadaniu zostałam w swojej kabinie. Jerry zgłosił się przez terminal punktualnie.

- Gratuluję, Marjie! Jesteś mi winna butelkę szampana.

- C o?! Jerry, ty chyba kompletnie zwariowałeś!

- Niewykluczone - odrzekł z uśmiechem. - Przyjdź do mnie, to sama się przekonasz. Przy okazji ustalimy twoją dietę. Powiedzmy... o czternastej?

- Powiedzmy: natychmiast!

Jerry nie zwariował. Nie wdając się w szczegóły wyjaśnił mi, na czym polegały i czego dowodziły poszczególne testy. Cuda jednak się zdarzają - bez wątpienia byłam w ciąży. To właśnie dlatego moje piersi sprawiały wrażenie jakby pełniejszych, bardziej jędrnych. Jerry wręczył mi niewielką broszurkę, w której opisano, czego nie wolno mi robić, czego jeść, jak się kąpać, czego muszę unikać, czego się spodziewać i tak dalej. Podziękowałam mu i wysłałam. Nikt z nas dwojga nie wspomniał o możliwości aborcji. Jerry powstrzymał się też

od dowcipkowania na temat kobiet, które „nie robiły tych rzeczy”.

Tylko że ja naprawdę nie robiłam ich od z górą trzech miesięcy. Ostatnim mężczyzną, z którym poszłam do łóżka, był Burt. Zresztą w tym wypadku nie ma to i tak żadnego znaczenia. Zostałam przecież wysterylizowana. Co prawda zwrótnie, lecz efekt był dokładnie ten sam: nie miałam prawa zajść w ciążę!

Nie jestem jednak kompletną kretynką. Ochłonawszy nieco z wrażenia, szybko domyśliłam się kiedy, gdzie i jak się to stało. Gdy tylko wróciłam do kabiny BB, poszłam do łazienki, zamknęłam drzwi od wewnątrz, zdjęłam bluzkę i położyłam się na podłodze, po czym obiema dłońmi naciągnęłam skórę wokół pępka i napięłam mięśnie brzucha.

Po chwili miałam w ręku małą, nylonową kuleczkę.

Ostrożnie ułożyłam ją na dłoni i dokładnie się jej przyjrzałam. Nie miałam żadnych wątpliwości - była to ta sama kulka, którą nosiłam w swoim schowku, ilekroć nie znajdowała się w nim żadna przesyłka. Z pewnością nie był to pojemnik z zahibernowanym embrionem, nie był to w ogóle żaden pojemnik. Po prostu mała, miękka kuleczka. Spojrzałam na nią raz jeszcze i wepchnęłam z powrotem na miejsce.

A więc okłamano mnie. Pamiętam, że od samego początku ciekawiła mnie ludzka zygota, mogąca przetrwać w stanie hibernacji w temperaturze ludzkiego ciała. Jedyne zahibernowane zarodki żywych stworzeń, o których słyszałam, wymagały temperatury ciekłego azotu, albo nawet niższej. Doszłam jednak do wniosku, że to nie mój problem - nie jestem przecież biofizykiem. Skoro pan Sikmaa ufał swoim naukowcom, nie widziałam potrzeby dzielenia się z nim swoimi wątpliwościami. Miałam być jedynie kurierem. Moja odpowiedzialność ograniczała się do dostarczenia przesyłki. Nie obchodziło mnie, co się z nią stanie.

Jakiej przesyłki? Dobrze wiesz, Piętaszku, jakiej. Nie jakiejś tam w twoim pępku, lecz takiej, którą umieszczono nieco głębiej, wewnątrz twojego brzucha, i której wydobyć potrwa około dziewięciu miesięcy. A to oznacza, iż będziesz musiała przerwać swoje Wielkie Tournée na trochę dłużej, niż byś tego pragnęła, nieprawdaż?

Skoro potrzebowali matki do wynajęcia, dlaczego, do ciężkiej cholery, nie powiedzieli mi o tym?! Mogłabym przecież rozważyć również taką propozycję.

Chwileczkę.... No oczywiście! To przecież żona delfina uchodzić miała za matkę tego dziecka. A więc o to chodziło. Następca tronu, wolny od jakichkolwiek dziedzicznych wad, urodzony przez delfinę - bezdyskusyjnie przez nią! - w obecności czterech nadwornych lekarzy, trzech pielęgniarek i tuzina dworzan. Nie ty masz być matką, ty mieszańcu sztucznego pochodzenia, skundlony SIL-u ze sfalszowanym aktem urodzenia.

Nietrudno było w tej sytuacji domyśleć się, jak wyglądał oryginalny scenariusz: panna Marjorie Piętaszek, zdrowa turystka z Ziemi opuszcza kapsułę ładowniczą H.S. „Forward”, by móc nacieszyć oczy pięknem stolicy The Realm. Niestety - łapie jakiś paskudny wirus i musi zostać na kilka dni umieszczona w szpitalu. Przypadkowo do tego samego szpitala przywieziona zostaje delfina... Nie, to do kitu. Żona delfina to nie jakaś tam pierwsza lepsza plebejuszka. Nie mogłaby zostać pacjentką szpitala otwartego dla zwyczajnych turystów.

Hmm... Dobrze; wróćmy do momentu, kiedy leżę już w owym szpitalu: około trzeciej nad ranem wynoszą mnie stamtąd tylnym wyjściem; uszponą i owiniętą w prześcieradło. Na zewnątrz czeka już... pojazd zaopatrzenia, którym zawożą mnie do pałacu. Później wszystko idzie gładko i bez problemów. Najlepsi specjaliści na całej planecie układają mnie na stole operacyjnym. Tuż obok znajduje się taki sam stół, na którym leży już delfina. Rozkładają

szeroko moje uda, wyjmują z mojego brzucha zarodek, który zdążył się już zamienić w maleńki płód, i bez trudu umieszczają go w brzuchu delfiny. I to już prawie koniec. Dostaję jeszcze tylko swoje pieniądze (dużo więcej, niż się spodziewałam) i wracam na statek, by teraz już spokojnie móc się cieszyć urokami wspaniałej podróży. A może Pierwszy Obywatel zechce mi podziękować osobiście? Chociaż nie. Zrobi to raczej incognito, skoro... Dosyć tego, Piętaszku! Przestań śnić na jawie! Dobrze wiesz, co cię najprawdopodobniej czeka. Nie raz powtarzałaś w myślach fragment jednego z wykładów Szefa:

„Problem z misjami tego typu polega na tym, że natychmiast po ich wypełnieniu agenci zazwyczaj giną w niewyjaśnionych okolicznościach lub dzieje się z nimi coś innego, co skutecznie powstrzymuje ich przed mówieniem. Na zawsze. Dlatego bez względu na wysokość oferowanej zapłaty misji takich należy starannie unikać.”

Rozdział XXXI

Przez całą drogę na Botany Bay wałkowałam tę myśl pod czaszką, wciąż od nowa i od nowa, próbując znaleźć jakiś słaby punkt intrygi, w którą tak idiotycznie się wplątałam. Przypomniałam sobie przypadek J.F. Kennedy'ego. Jego domniemany morderca został zabity, nim ktokolwiek zdążył go porządnie przesłuchać. I tego dentystę, który zastrzelił Huey Longa - a kilka sekund później samego siebie. I wszystkich tych agentów z czasów Zimnej Wojny, żyjących dokładnie tak długo, by zdążyć wypełnić swoje tajne misje, po czym „przydarzał im się” spacer przed maską pędzącego pojazdu.

Obraz, który uparcie powracał mi przed oczy, był tak stary, że stał się już prawie mitem. Opuszczona plaża i kapitan piratów, pilnujący kilku ludzi ze swej załogi, zakopujących zrabowane skarby. Dół jest już gotowy. Wydaje się być jakby za duży dla skrzyń, które również leżą już na jego dnie. Pada kilka strzałów i ciała marynarzy, którzy ów dół kopali, pomagają go teraz wypełnić.

Powiecie, że wpadam w melodramatyczny ton. Nie przeczę. Ale macica, o którą tu chodzi, należy przypadkiem do mnie, a nie do kogokolwiek z was. Wszyscy mieszkańcy wszechświata doskonale wiedzą, iż ojciec obecnego Pierwszego Obywatela wspiał się na tron po niezliczonych trupach, a jego syn pozostaje na owym tronie jedynie dzięki temu, że jest jeszcze bardziej okrutny i bezwzględny niż jego świętej pamięci tatuś (niech mu ziemia lekka będzie).

Czy ma on zamiar złożyć mi wyrazy wdzięczności za przedłużenie dynastii? Czy raczej złoży moje kości w najgłębszym z pałacowych lochów?

Nie drwij z siebie, Piętaszku. Wiedzieć zbyt dużo jest największą z możliwych win. W sprawach dotyczących polityki nigdy nie było inaczej. Jeśli mieliby zamiar zachować się wobec ciebie fair, nie byłabyś teraz w ciąży. Nie masz więc innego wyjścia, jak przyjąć, iż gdy tylko królewski płód znajdzie się w królewskim łonie, staniesz się niewygodnym świadkiem i nikt nie będzie się z tobą cackał.

To, co musiałam zrobić, było oczywiste. Pozostawało tylko pytanie: jak?

Brak mojego nazwiska na liście uczestników wycieczki na Outpost przestał teraz wyglądać jak wynik niedbalstwa któregoś z urzędników.

Następnego wieczora podczas koktajlu zobaczyłam się z Jerrym. Jedynie pro forma spytałam, czy nie chciałby ze mną zatańczyć. Orkiestra grała klasycznego, wiedeńskiego walca, dzięki czemu nasze twarze były tak blisko siebie, iż mogłam mówić poufnym szeptem.

- Jak tam brzuszek? - zapytał.

- Niebieskie pigułki pomogły - zapewniłam go. - Jerry, kto jeszcze oprócz ciebie i

mnie wie?

- Jak dotychczas nikt. Byłem tak zajęty, że nie miałem czasu wpisać czegokolwiek do twojej karty zdrowia. Wszystkie notatki mam w swoim sejfie.

- Tak? A co z technikami laboratoryjnymi?

- Wszyscy mieli akurat nawał pracy, więc każdy test musiałem robić sam.

- To dobrze. Ale czy nie obawiasz się, że notatki, o których wspominałeś, mogą zostać zniszczone? Na przykład spalone?

- Na tym statku nigdy niczego nie palimy. Ci od wentylacji pourywaliby nam głowy. Wszystko, co niepotrzebne, wędruje prosto do dematerializatora. Nie przejmuj się tak, moja droga. Twój wstydlivy sekret jest u mnie bezpieczny.

- Jerry, jesteś moim przyjacielem. Wiesz co? Myślę nawet, że gdyby nie moja służąca, mogłabym posądzić ciebie o ojcostwo. Pamiętasz moją pierwszą noc na statku?

- Jakże mógłbym zapomnieć! Nie masz pojęcia, jak bardzo dręczyły mnie potem wyrzuty sumienia.

- Podróżowanie ze służącą nie jest moim pomysłem. Przydzieliła mi ją moja kochana rodzinka, a ta jędza przyssała się do mnie niczym pijawka. Ktoś mógłby pomyśleć, że rodzina po prostu mi nie ufa, bo wie, iż nie może. Tak samo, jak wiesz o tym ty. Nie przychodzi ci do głowy jakiś sposób, dzięki któremu Shizuko spuściłaby mnie z oka na przynajmniej godzinę czy dwie? Czuję, że mogłabym ci ulec... Ulec mężczyźnie, któremu powierzyłam swoją najgłębszą tajemnicę.

- Hmm... Muszę nad tym pomyśleć. Moja kabina nie jest odpowiednim miejscem. Trzeba przechodzić obok kabin dwóch tuzinów pozostałych oficerów. Gabinet też odpada... Uwaga! Nadchodzi Jimmy.

Tak, oczywiście. Staralam się w ten sposób zamknąć Jerry'emu usta. Ale byłam mu także naprawdę wdzięczna i uważałam, iż jestem mu coś niecoś winna. Skoro nadal chciał się ze mną przespać, ja również tego chciałam - Jerry jest naprawdę atrakcyjnym mężczyzną. Nie żenował mnie fakt, że byłam w ciąży, wolałam jednak zachować swój stan w tajemnicy (o ile na tym statku nie było już plutonu ludzi, którzy i tak o tym wiedzieli). Przynajmniej tak długo, dopóki nie zdecyduję, co robić dalej. Moje położenie nie było w końcu beznadziejne. Owszem - zdawałam sobie sprawę, że jeśli dotrę na The Realm, najprawdopodobniej umrę na chirurgicznym stole operacyjnym - cicho i nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń. Jeśli uważacie, że przesadzam, że takie rzeczy zdarzają się jedynie w powieściach sensacyjnych, to nie żyjemy na tym samym świecie i nie ma sensu, byście czytali dalej mój pamiętnik. Od wieków najbardziej konwencjonalnym i najpewniejszym sposobem pozbycia się niewygodnego świadka jest sprawienie, by przestał on oddychać.

Mnie jednak niekoniecznie musiało się to przydarzyć, choć wszystko wskazywało na to, że przydarzy się... jeśli dotrę na The Realm.

Po prostu zostać na pokładzie? Myślałam o tym... lecz w uszach ciągle brzmiały mi słowa Maca-Pete'a: „Gdy znajdziemy się na miejscu, na pokład zgłosi się oficer gwardii pałacowej i od tej pory będziesz stanowić jego kłopot...” Najwidoczniej wcale nie zamierzali czekać, aż zacznę udawać chorobę i sama oddam się pod ich troskliwą opiekę.

Ergo, muszę opuścić statek, zanim doleci on do The Realm - czyli na Botany Bay. Nie miałam wyboru.

Proste: wystarczy opuścić pokład, gdy się tam znajdziemy.

Tak, z pewnością. Zejść sobie w dół po trapie i pomachać na pożegnanie białą chusteczką.

To nie jest statek morski! „Forward” zbliżał się do każdej z planet co najwyżej na odległość jej orbity stacjonarnej. W przypadku Botany Bay oznaczało to około trzydzieści pięć tysięcy kilometrów. To dość daleko, jak na przechadzkę w kosmicznej próżni. Jedyнным sposobem dotarcia na Botany Bay było wzięcie udziału w wycieczce na jej powierzchnię w jednej z kapsuł ładowniczych. Tak samo, jak na Outpost.

Piętaszku, przecież nie pozwolą ci nawet wejść na pokład kapsuły. Wtedy, na Outpost, wdarałaś się tam niemalże przemocą. To ich zaalarmowało. Drugi raz ci się to nie uda. Dlaczego? Bo pan Woo albo kto inny znowu będzie stał przy wejściu do śluzy, trzymając w ręku listę, na której oczywiście z n o w u nie będzie twojego nazwiska. Tylko że tym razem oprócz niego będzie tam również stał jeden z agentów ochrony. I co wówczas zrobisz? Jak to: co? Rozbroję agenta, walnę jego głową w kretyński łeb pana Woo, przejdę nad ich nieprzytomnymi ciałami i spokojnie zajmę miejsce w jednym z foteli. Potrafisz to zrobić, Piętaszku. Jesteś świetnie wyszkolnym SIL-em, wiedzącym jak sobie radzić w takich sytuacjach.

A co będzie dalej? Kapsuła nie wystartuje o czasie. Będzie cierpliwie czekać na pochylni, dopóki nie pojawi się ośmiu uzbrojonych strażników, którzy albo brutalnie wywleką cię z kapsuły, albo wstrzykną ci jakiś środek uspokajający, co będzie nieco mniej drastyczną metodą. Tak czy owak, zanoszą cię do kabiny BB, gdzie pozostaniesz tak długo, aż zabierze cię stamtąd oficer gwardii pałacowej Pierwszego Obywatela. Oczywiście wcześniej obezwładnioną.

Tego problemu nie da się rozwiązać za pomocą twojej siły i zręczności.

Ten problem możesz rozwiązać jedynie za pomocą słodkich słówek, seksu i szczerze rozdawanych łapówek.

Czekaj! Czyż naprawdę nie można zabrać się do tego uczciwie?

No jasne! Idź prosto do kapitana, powiedz mu, co obiecał ci pan Sikmaa i jak okrutnie zostałaś oszukana, i zabierz ze sobą Jerry'ego, by mógł przedstawić swoją diagnozę. Powiedz, że się boisz i że postanowiłaś zostać na Botany Bay, dopóki nie wyląduje tam kapsuła jakiegoś statku, który zabierze cię na Ziemię omijając The Realm. Kapitan jest bardzo wyrozumiały, troskliwy i opiekuńczy - pokazywał ci nawet fotografie swoich córek. On cię

zrozumie! Zaopiekuje się tobą!

Co powiedziałyby na to Szef?

Zwróciłby ci uwagę, iż dostałaś przy stole miejsce właśnie obok kapitana. Dlaczego?

Przydzielono ci jedną z najbardziej eleganckich kabin na statku, choć na liście pasażerów znalazłaś się dosłownie w ostatniej chwili. Dlaczego?

W ostatniej chwili znalazły się też miejsca dla siedmiorga innych ludzi, którzy ani na chwilę nie spuszczaają cię z oka. Sądzisz, że kapitan o tym nie wie?

Ktoś skreślił twoje nazwisko z listy uczestników wycieczki na Outpost. Kto?

Kto był właścicielem Linii Hiperprzestrzennych? Trzydzieści procent należało do Korporacji Transportu Międzyplanetarnego, która z kolei stanowi własność niektórych kompanii Shipstone, a przez inne jest kontrolowana. Miałam też okazję dowiedzieć się, że jedenaście procent należy do trzech banków, mających swe siedziby na The Realm. Wnioski? Nie należało spodziewać się zbyt wiele po starym, poczciwym kapitanie van Kootenie.

Już słyszę, jak mówi:

„Och, nie sącę, apy szeczyfiście coś pani krosiło. Pan Sikmaa jest moim starym pszyjacielem. Tak - pszyszekłem mu, sze na moim statku nie pszytaszy się pani nic słego. Tlateko nie mokę posfolić pani na uciał f fycieczkach na cikię, nieucyfilisofane planety. Opiecuję jetnak, sze jak pęciemy fracac, pszekona się pani, sze tylko na Halcyonie farto pyto fysiąścś kapsuły. Ale teras musi pani pyć kszeczna ciefczynką i nie sprafiać mi jusz fięcej kłopotóf. Skota?”

Kto wie, może nawet sam wierzył w to, co mówił?

Niemalże na pewno wiedział, że nie jestem żadną Panną Bogacką.

Prawdopodobnie

powiedziano mu też, iż podpisałam kontrakt jako matka do wynajęcia (nie wiedział tylko dla kogo, choć mógł się domyślać) i mogę próbować oszukać klienta, który jest wpływowym człowiekiem. Tak, nie byłam w stanie udowodnić, iż to ja zostałam oszukana.

Nie oczekuj na pomoc ze strony kapitana, Piętaszku. Możesz liczyć wyłącznie na siebie.

Do naszego planowego przybycia na orbitę Botany Bay pozostały zaledwie trzy dni.

Nie było to zbyt wiele czasu, nie sądziłam więc, iż coś jeszcze może się zmienić. Nadal zastanawiałam się, co zrobić, lecz tak naprawdę to kręciłam się bez przerwy w kółko, wpadając na coraz to bardziej idiotyczne pomysły. Coraz więcej z nich dotyczyło tego, co zrobić, jeśli nie uda mi się opuścić statku na Botany Bay. Na przykład to:

„Niech mnie pan posłucha, kapitanie: zamykam się w swojej kabine i pozostanę tam tak długo, aż oddalimy się od The Realm. Jeśli rozkaże pan wyłamać drzwi, by oddać mnie w ręce gwardzistów Pierwszego Obywatela, ostrzegam, że potrafię sobie z nimi poradzić. Lecz wówczas będzie pan miał na pokładzie niejednego trupa.”

Żałosne i śmieszne. Wystarczyło przecież wpuścić przez otwory wentylacyjne trochę gazu usypiającego.

A może to?

„Kapitanie, czy był pan kiedykolwiek świadkiem aborcji dokonanej za pomocą igły i skalpela? Jeśli nie, zapraszam do siebie. Zapowiada się emocjonujące widowisko z dużą ilością krwi.”

Jeszcze bardziej bezsensowne. Co innego mówić o aborcji, a co innego zrobić to. Cóż winien ten płód w moim brzuchu, że znalazł się tam bez mojej wiedzy i zgody?

Musiałam przestać tracić czas na bezużyteczne rozmyślania i zacząć działać w sposób bardziej konstruktywny, zachowując się przy tym jak gdyby nigdy nic.

Kiedy biuro płatnika ogłosiło, że przyjmuje już zapisy na wycieczkę na Botany Bay, byłam jedną z pierwszych kandydatek. Zadałam mnóstwo niepotrzebnych pytań, poprosiłam o wszystkie broszurki na temat tej planety i zabrałam je do swojej kabiny, mówiąc, że przeczytam je i zastanowię się jeszcze. Po południu wróciłam i poprosiłam o wpisanie mnie na listę, płacąc gotówką za najlepsze i najdroższe miejsce w kapsule.

Przy obiedzie zagadnęłam kapitana, wpytując go o ciekawostki dotyczące Botany Bay i skarżąc się, że przed ostatnią wycieczką na Outpost jakiś niedbały urzędnik nie dopilnował, by na liście pana Woo znalazło się moje nazwisko. Poprosiłam również kapitana van Kootena, by zechciał tym razem sprawdzić ją osobiście - jakby kapitan gigantycznego

liniowca nie miał do roboty nic lepszego, jak biegać wokół spraw Panny Bogackiej. Nie zauważyłam, by drgnęła mu choćby powieka. Oczywiście, nie zabronił mi wziąć udziału w wycieczce. Sądziłam jednak, iż potrafił ukrywać swoje myśli równie dobrze jak ja. A ja nauczyłam się kłamać patrząc prosto w oczy, zanim jeszcze opuściłam wychowalnię. Wieczór (według czasu pokładowego) spędzałam w „Czarnej Dziurze” w towarzystwie swoich trzech amantów: doktora Jerry’ego Madsena, Jaime „Jimmy” Lopeza i Toma Udela. Tom jest na „Forward” pierwszym asystentem supercargo. Nie wiedziałam, co to właściwie oznacza. Spostrzegłam jedynie, że nosił na mundurze o jedną naszywkę więcej niż jego dwaj przyjaciele. Pierwszej nocy, którą spędziłam na statku, Jerry powiedział mi z namaszczeniem, że Tom jest „głównym dozorcą”.

Tom nie zaprzeczył. Dodał tylko:

- Zapomniałeś jeszcze o „naczelnym tragarzu mebli”.

Tej nocy, mniej więcej siedemdziesiąt dwie godziny przed planowym przybyciem na Botany Bay, dowiedziałam się wreszcie, co tak naprawdę robił Tom.

Na kapsuły ładownicze załadowywano właśnie towary przeznaczone do dostarczenia na Botany Bay.

- Ładownie jednej z kapsuł napełniliśmy jeszcze na Beanstalk - mówił „główny dozorca”. - Druga potrzebna była wcześniej na Outpost. Na Botany Bay musimy wysłać obie, więc ładownie tej drugiej napełniane są właśnie teraz. - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. - Trzeba się przy tym nieźle napocić.

- Dobrze ci to zrobi, Tom. Ostatnimi czasy sporo przytyłeś.

- Lepiej spójrz na siebie, Jaime.

Zapytałam o sposób, w jaki załadowuje się przedziały towarowe kapsuł ładowniczych.

- Czy ich luki nie są zbyt ciasne?

- Załadunek odbywa się trochę inaczej, niż myślisz. Chciałabyś się temu przyjrzeć?

Umówiliśmy się na następny rano tuż po śniadaniu.

Ładownie H.S. „Forward” są tak ogromne, że powodują raczej agorafobię niż klaustrofobię. Ładownie jego kapsuł ładowniczych również nie należą do małych. A jednak niektóre z pojedynczych ładunków są w stanie wypełnić całą ich przestrzeń.

Na Botany Bay dostarczano między innymi turbogeneratory Westinghouse - urządzenia wielkie niczym stodoła. Zapytałam, jak to możliwe, że potrafi je przemieścić zaledwie kilku ludzi. W odpowiedzi Tom uśmiechnął się tajemniczo.

- Czarna magia - odrzekł.

Czterech podległych mu ludzi naciągnęło na generator metalizowaną siatkę i przytwierdziło do niej skrzynkę o rozmiarach niewielkiego nesesera. Tom sprawdził, czy wszystko umocowane jest jak należy, po czym powiedział:

- O’key. Odpalajcie.

Jeden z nich - „odpalacz” - pomajstrował chwilę przy tej skrzynce... i żelazne monstrum drgnęło, unosząc się na jakiś metr w górę. Ów „neseser” był modułem antygravitacyjnym, podobnym do tych, jakich używano w energobilach, tylko nieco mniejszym.

Z niezwykłą ostrożnością, posługując się rękoma, linami i bosakami, dokerzy przemieścili kwitującą maszynę przez olbrzymie wrota ciśnieniowe i delikatnie ustawili na

podłodze ładowni. Nic dziwnego, że nie zauważyłam wcześniej owych wrót. Znajdowały się one na samej rufie kapsuły.

Kiedy uwolnione od sztucznej grawitacji urządzenie unosiło się w powietrzu, Tom zauważył, że miało ono nadal tę samą masę, zdolną zmiażdżyć człowieka równie łatwo, jak człowiek miażdży butem insekty.

- Bezpieczeństwo każdego z tych ludzi zależy od wszystkich pozostałych członków brygady. Muszą sobie nawzajem ufać. W zasadzie to ja jestem odpowiedzialny za przebieg załadunku, lecz nikt nie obwiniałby mnie za śmierć kogoś z nich.

Powiedział też, iż jego odpowiedzialność polegała jedynie na upewnieniu się, że cały ładunek umieszczony został zgodnie z planem i że jest należycie zabezpieczony. Do obowiązków Toma należało również dopilnowanie, by wrota ciśnieniowe oraz luki ładowni po obu jej stronach zostały szczelnie zamknięte po każdorazowym ich otwarciu.

Później oprowadził mnie jeszcze po części kapsuły przeznaczonej do przewozu migrantów.

- Tym razem zabieramy ich na Botany Bay więcej niż kiedykolwiek przedtem. Gdy opuścimy tę planetę, pokład trzeciej klasy będzie praktycznie pusty.

- Pewnie wszyscy to Azjaci? - spytałam.

- Nie. Jedynie jakieś dwie trzecie spośród nich. Pozostali to zbieranina z innych kontynentów, wszyscy jednak biegle władają angielskim. Botany Bay to jedyna kolonia, na której od imigrantów wymagana jest znajomość tego języka. Tamtejszy rząd usiłuje zapewnić, by wszyscy mieszkańcy mogli się bez trudu ze sobą porozumieć.

- Słyszałam coś o tym.

- Według władz miałyby to jakoby zmniejszać prawdopodobieństwo wybuchu jakiejś wojny. Może i tak... Lecz najbardziej krwawymi wojnami w dziejach ludzkości zawsze były wojny bratobójcze, a nie wywołane jakimiś niejasnościami językowymi.

Nie miałam na ten temat wyrobionego własnego zdania, toteż powstrzymałam się przed komentarzem. Opuściliśmy kapsułę przez luk pasażerski, który Tom zamknął, gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz. Wówczas zauważyłam, że zgubiłam szalik.

- Tom, nie widziałeś, gdzie go zostawiłam? Jestem pewna, że w przedziale dla migrantów miałam go jeszcze na sobie.

- Nie mam pojęcia, gdzie go posiałaś, ale zaraz poszukamy. - Odwrócił się i ponownie otworzył luk.

Szalik leżał dokładnie tam, gdzie go upuściłam: pomiędzy dwoma ławkami w przedziale dla migrantów. Podniosłam go, zarzuciłam Tomowi na szyję i przyciągnęłam jego twarz prowokacyjnie blisko swojej. Nie wytrzymał i pocałował mnie. Pozwoliłam mu nawet posunąć się nieco dalej, lecz nie nazbyt daleko. Był przecież na służbie.

Zasłużył sobie na moją wdzięczność, choć sam o tym nie wiedział. Luk, którym wychodziliśmy, miał zamek szyfrowy. Teraz wiedziałam już, jak go otworzyć.

Gdy powróciłam z inspekcji ładowni kapsuł ładowniczych, zbliżała się już pora lunchu. Shizuko jak zwykle była czymś zajęta (niektórym kobietom niemalże cały czas zajmuje przyglądanie się, jak są starannie wypielęgnowane i jak elegancko wyglądają inne kobiety).

- Nie idę dziś na lunch do salonu - powiedziałam do niej. - Zamierzam wziąć prysznic, ubrać się i zjeść tutaj.

- Zaraz coś zamówię. Czego panienka sobie życzy?

- Panienska życzy sobie tego, co zawsze. Przy okazji zamów też coś dla siebie.

- Dla mnie?!

- Co, ogłuchłaś? Tak, dla ciebie. To, że nie mam ochoty jeść w salonie, nie oznacza wcale, że muszę jeść sama. Nie dyskutuj więc, tylko zamów lunch dla nas obu.

Mówiąc to, byłam już w łazience. Słyszałam, jak Shizuko włącza terminal i pyta o menu, lecz gdy zakręciłam wodę, czekała już na mnie, trzymając wielki ręcznik kąpielowy w jednym ręku i drugi, nieco mniejszy, przerzucony przez ramię.

Kiedy odezwał się brzęczyk autokelnera, byłam już sucha i ubrana. Podczas gdy Shizuko opróżniała podajnik, ja przesunęłam niewielki stolik i dwa fotele w to samo miejsce, w którym nie tak dawno spowiadałam Pete-Maca. Odwróciwszy się i zobaczywszy, co robię, Shizuko zdębiała, lecz nie próbowała dyskutować. Zabrała się po prostu do ustawiania talerzy i układania sztuczków. Ja tymczasem włączyłam terminal i wrzuciłam dysk z ostrym, klasycznym rockiem.

Skończywszy odwróciłam się i podeszłam do Shizuko, by moje słowa mogły do niej dotrzeć poprzez hałaśliwą muzykę.

- Tilly, ustaw tu również swoje nakrycie. Nie chcesz chyba, bym siedziała przy stole sama.

- Jak sobie panienska życzy.

- I przestań wreszcie z tą „panienką”. Przedstawienie skończone. Włączyłam ten

jazgot, byśmy mogły rozmawiać swobodnie.

Nie wahała się dłużej niż trzy sekundy.

- W porządku, panno Piętaszek.

- Lepiej mów do mnie Marjie, bym ja nie musiała zwracać się do ciebie „panno

Jackson”. A najlepiej mów do mnie po prostu Piętaszek. To moje prawdziwe imię. Myślę, że obie możemy odpuścić sobie te „panny”. Przy okazji: rolę pokojówki wielkiej damy grasz perfekcyjnie, lecz dłużej nie ma potrzeby, byś udawała przede mną. Sama również potrafię wytrzeć się, wychodząc spod prysznic.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Ależ rola twojej łaziebnej podoba mi się najbardziej, panno Piętaszek. Marjie.

Piętaszku.

- Hmm... Dzięki. Zabierzmy się do jedzenia, nim wszystko wystygnie - powiedziałam, podsuwając jej półmisek z sukiyaki. - Przy stole konwersacja idzie znacznie łatwiej. Co z tego masz?

- Co mam z czego?

- Z tego, że mnie pilnujesz, by na The Realm oddać mnie w ręce kapitana gwardii pałacowej.

- Normalną stawkę, jaka wynika z kontraktu i zostanie wpłacona na konto mojego szefa. Ponoć dla mnie przewidziana jest premia, lecz w premie wierzę dopiero wówczas, gdy je wydaję.

- Rozumiem. Teraz posłuchaj mnie, Matyldo: urywam się na Botany Bay, a ty mi w tym pomożesz.

- Po pierwsze, mów mi Tilly, a po drugie, nic mi o tym nie wiadomo.

- A jednak. Pomożesz mi, bo ja zapłacę ci sumę znacznie większą niż ta, która widnieje na twoim kontrakcie.

- Naprawdę sądzisz, że tak łatwo przeciągnąć mnie na swoją stronę?

- Owszem, naprawdę. Nie masz innego wyjścia. - Pomiędzy nami leżała łyżka wazowa z chromowanej stali. Podniosłam ją i zgniotłam część, którą nalewa się zupę, tak jak zgniata się zużyta, papierową serwetkę. - Albo mi pomożesz, albo będę cię musiała zabić. I to raczej szybko. Co wolisz?

Wzięła do ręki okaleczoną łyżkę.

- Marjorie, po co zaraz tak strasznie dramatyzować. Chyba znajdziemy jakieś wyjście z tej sytuacji. - Mówiąc to jednocześnie zwijała rękojeść w spiralę za pomocą kciuka i palca wskazującego.

Przez chwilę wpatrywałam się jak urzeczona w to, co pozostało z łyżki.

- „Twoją matką była próbówka...”

- „...a ojcem skalpel był”. Można w takim razie powiedzieć, że jesteśmy siostrami.

Porozmawiajmy. Dlaczego chcesz uciec ze statku? Jeśli to zrobisz, mój szef pokaże mi, co to takiego Piekło.

- A ja będę martwa, jeśli tego nie zrobię.

Nie ukrywając niczego powiedziałam jej wszystko o zleceniu, jakiego się podjęłam, sposobie, w jaki zaszłam w ciążę, i dlaczego sądziłam, iż moje szansę przeżycia wizyty na The Realm są raczej nikłe.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś, by móc przypatrzeć się swojej misji z mojego punktu widzenia? Jeśli chodzi o cenę, myślę, że będzie mnie stać na tę, którą podasz.

- Nie jestem jedyną osobą, która cię pilnuje.

- Pete? Z nim poradzę sobie bez większego trudu. Pozostałych pięcioro można zignorować. Oczywiście o ile mi pomożesz. Tylko ty i Pete jesteście zawodowcami.

Pozostałych zatrudnił chyba jakiś ślepy bęcwał. Nie wiesz, kto?

- Pojęcia nie mam. Nie wiem nawet, kto wynajął mnie. Wszystko załatwił mój szef.

Możliwe jednak, że mogłybyśmy zapomnieć o pozostałych. Zależy, jaki masz plan.

- Pogadajmy o pieniądzach.

- Najpierw pogadajmy o planach.

- Hmm... Czy sądzisz, że poradziłabyś sobie z naśladowaniem mojego głosu?

Tilly popatrzyła na mnie i odrzekła:

- Czy sądzisz, że poradziłabyś sobie z naśladowaniem mojego głosu?

- Zrób to jeszcze raz!

- Zrób to jeszcze raz!

Westchnęłam z ulgą.

- W porządku, Tilly. Dasz sobie radę. Według „Daily Forward” jutro mamy

opuścić

nadprzestrzeń w pobliżu Botany Bay. Jeśli wszystko będzie tak, jak na Outpost, statek wejdzie na orbitę stacjonarną, skąd mniej więcej pojutrze o tej porze wyśle kapsuły ładownicze. Nastąpi to więc za około czterdzieści osiem godzin. Jutro zachoruję. Po prostu zemdleję. Moje serduszko nie wytrzyma podniecenia wywołanego perspektywą cudownie zapowiadającej się wycieczki na powierzchnię planety. Dokładny czas w moim planie zależy od tego, na którą godzinę zaplanowany zostanie start kapsuł. Z ustaleniem szczegółów muszę więc poczekać, aż przejdziemy - o ile dobrze to rozumiem - z nadprzestrzeni do normalnej przestrzeni i z mostku podadzą przypuszczalny czas wejścia na orbitę stacjonarną. O którejkolwiek godzinie to nastąpi, tej nocy przed wysłaniem kapsuł ładowniczych, mniej więcej o pierwszej, gdy korytarze są zazwyczaj puste - zniknę. Od tej chwili ty i ja to jedno. Nie pozwolisz nikomu wejść. Jestem zbyt chora, by przyjmować gości. Jeśli ktokolwiek wezwie mnie przez terminal, musisz pamiętać, by nie włączać wizji. Ja nigdy tego nie robię. Jeśli ktoś jednak będzie się upierał, by zobaczyć mnie choć na ekranie - śpię i nie wolno mnie budzić. Gdybyś grając moją rolę przypadkiem coś pokręciła albo poczuła się niepewnie, możesz zwalić wszystko na skutki działania lekarstw i osłabienia gorączką. Rano zamówisz śniadanie dla nas obu. Dla siebie to, co zwykle, oraz mleko, herbatę, sok pomarańczowy i tosty dla swojej chorej pani.

- Rozumiem, że zamierzasz ukryć się w kapsule ładowniczej. Ale luki tych kapsuł są zawsze zamknięte. Wiem to z całą pewnością.

- Niech sobie będą. To już mój problem, Til.

- Skoro tak uważasz... O'key, będę cię kryła, gdy stąd wybędziesz. Tak długo, dopóki będzie to konieczne i bezpieczne. Tylko co powiem później kapitanowi?

- A więc jednak kapitan również w tym siedzi. Tak przypuszczałam.

- Wie o wszystkim, ale rozkazy otrzymujemy od płatnika.

- No proszę: wszystko powoli zaczyna do siebie pasować. Hmm... Założmy, że zaaranżuję jakoś, byś została związana i zakneblowana, i że potem powiesz, iż ja to zrobiłam. Będzie to oczywiście nieprawda, bo mnie już tu nie będzie, a ty ciągle jeszcze będziesz musiała robić za nas obie. Tak długo, aż odlecą kapsuły ładownicze. Jest jednak pewien sposób.

- Hmm... Dzięki temu rzeczywiście miałabym alibi. Tylko kto będzie na tyle uprzejmy, by mnie związać i zakneblować?

- Pamiętasz naszą pierwszą noc na statku? Wróciłam do kabiny dość późno, przyprowadzając do kabiny jednego z oficerów. Podałaś nam wtedy herbatę i ciasteczka.

- Doktor Madsen. Liczysz właśnie na niego?!

- Tak. Z twoją pomocą, ma się rozumieć. Tamtej nocy dręczył go swego rodzaju głód. Tilly chrząknęła znacząco.

- Pamiętam. Język włókł mu się niemalże po dywanie.

- No właśnie. On nadal nie zaspokoił owego głodu. Jutro, gdy zachoruję, przyjdzie mnie zbadać. Będziesz tu, jak zwykle. Wyłączymy światło w sypialni. Jeśli doktor Jerry ma wystarczająco mocne nerwy - a sądzę, że ma - zgodzi się na każdą moją propozycję. A później na niewielką współpracę. - Spojrzałam jej w oczy. - Zgoda? Przyjdzie tutaj, gdy kapsuły będą już dość daleko i zwiąże cię. To proste.

Tilly usiadła i zamyśliła się na długą chwilę.

- Nie - odrzekła w końcu.

- Nie?

- Nie. Zrobimy to tak, by było rzeczywiście proste. I nikt nie będzie o niczym wiedział. Absolutnie nikt poza tobą i mną. Madsen mógłby się wygadać. Nie potrzebuję być związana. Wniesiemy tylko kilka poprawek do twojego scenariusza. Tuż przed odlotem kapsuł stwierdzisz nagle, że czujesz się już znacznie lepiej. Wstaniesz, ubierzesz się i wyjdiesz z kabiny. Nie powiesz mi, dokąd. Jestem przecież tylko skromną służącą; nigdy nie zwierzasz mi się ze swych planów. Nie wiem, może zmieniłaś zamiary i postanowiłaś jednak wziąć udział w wycieczce? Zresztą, co mnie to obchodzi. Moja odpowiedzialność ogranicza się do pilnowania cię tu, w kabinie. Nie muszę uganiać się za tobą po całym pokładzie. Pete również nie może chodzić za tobą non stop. Jeśli tylko uda ci się wydostać ze statku, najprawdopodobniej wszystko spadnie na kapitana. A ja nie zamierzam wylewać nad nim łez.

- Masz rację, Tilly, i to w każdym punkcie. Może rzeczywiście lepiej będzie, jeśli damy sobie spokój z załatwianiem ci alibi, mogącego cię równie dobrze pograżyć. Spojrzała na mnie uśmiechając się.

- Nie pozwolisz chyba jednak, by powstrzymało cię to od zabrania doktora

Madsena

do łóżka? Baw się dobrze! Jednym z moich obowiązków było trzymanie mężczyzn z dala od twojej sypialni... O czym, jak sądzę, dobrze wiesz.

- W każdym razie domyślałam się - przyznałam.

- Ale teraz przechodzę na drugą stronę barykady, więc nie będę się upierać. -

Roześmiała się nagle. - Może powinnam nawet zaproponować doktorkowi coś w rodzaju zadośćuczynienia? Na przykład rano, gdy przyjdzie zbadać swoją pacjentkę i przekona się, że nie ma jej w kabinie?

- Nie proponuj mu tego rodzaju premii, dopóki zajęta będziesz innym interesem. -

Rozśmieszyła mnie ta gra słów, więc zachichotałam głośno.

- Możesz być spokojna. - Tilly również się uśmiechnęła. - Gdy w grę wchodzi interesy, jestem poważnym partnerem. Zawsze. Czy uzgodniłyśmy już wszystko?

- Wszystko z wyjątkiem tego, ile ci jestem winna.

- Zastanawiałam się nad tym, Marjie. Znasz swoje możliwości dużo lepiej niż ja.

Pozostawiam więc tę sprawę tobie.

- Ależ ja nawet nie wiem, ile zaproponowano ci za tamtą robotę.

- Ja także. Szef mi nie powiedział.

Nagle poczułam, że robi mi się zimno.

- Tilly, czy ty jesteś... wolna?

- Już nie. A przynajmniej niezupełnie. Zostałam odsprzedana na dwadzieścia lat.

Zostało jeszcze trzynaście. Potem będę wolna.

- Ale przecież... O Boże! Tilly, uciekaj razem ze mną!

Położyła ręce na moich ramionach.

- Nie gorączkuj się. Dzięki tobie zaczęłam się nad tym zastanawiać. Między innymi dlatego właśnie nie chciałam zostać związana. Posłuchaj, Marjie: na liście pasażerów nie figuruję jako niczyja własność. Nawet nie jako SIL. Mogę więc bez przeszkód wziąć udział w wycieczce, jeśli tylko za nią zapłacę. A na to mnie stać. Kto wie, czy nie zobaczymy się prędzej, niż sądzisz.

- Tak! - Ucałowałam ją z entuzjazmem. Przyciągnęła mnie do siebie mocniej i poczułam, jak wsuwa język pomiędzy moje wargi... oraz dłoń pod moją suknię. Natychmiast przerwałam pocałunek i spojrzałam jej w oczy.

- Czy o to właśnie ci chodziło, Tilly?

- Do licha, tak! Od momentu, gdy zaczęłam cię po raz pierwszy kąpać.

Tego wieczora migranci mający pozostać na Botany Bay organizowali przedstawienie dla pasażerów pierwszej klasy. Od kapitana dowiedziałam się, iż przedstawienia te stały się już tradycją i że pasażerowie pierwszej klasy zwyczajowo zbierają podczas nich pieniądze dla kolonistów. Naturalnie kapitanowi wypadało zająć miejsce na widowni, lecz pozostali nie mieli takiego obowiązku. Mimo tego znalazłam się tam, i to właśnie obok kapitana van Kootena. Skorzystałam z okazji, by wspomnieć, iż nie czuję się najlepiej, i dodałam, że będę pewnie zmuszona odwołać swój udział w wycieczce. Gderałam na ten temat ładnych parę minut.

Kapitan poradził mi, bym w żadnym wypadku nie ryzykowała wyprawy na powierzchnię nieznaną planety, skoro mam najmniejsze choćby kłopoty ze zdrowiem. Stwierdził też, że straciłabym naprawdę niewiele. Botany Bay stanowiła dopiero drugą z planet, które mieliśmy odwiedzić i w jego opinii wcale nie zaliczała się do najciekawszych, ani nawet do ciekawych. Lepiej więc, bym była grzeczną dziewczynką i nie zmuszała go, by zamykał mnie w kabinie BB.

Odrzekłam, że jeśli mój żołądek nie przestanie robić mi wstrętów, zamykanie mnie w kabinie nie będzie konieczne. Miałam jeszcze świeżo w pamięci tę okropną wycieczkę na Outpost, której większą część spędziłam w toalecie. Byłoby głupotą narażać się po raz drugi na coś podobnego.

Przedstawienie było oczywiście amatorskie, lecz całkiem miłe. Kilka skeczów, lecz przede wszystkim chóralne śpiewy. Podobało mi się, lecz nie słuchałam zbyt uważnie. Bardziej niż samo przedstawienie moją uwagę skupiał na sobie jeden z jego uczestników - mężczyzna stojący w drugim rzędzie chóru. Miałam nieodparte wrażenie, że gdzieś już widziałam tę twarz.

Patrzyłam nań i w duchu besztalam samą siebie: „Piętaszku, czyżbyś rzeczywiście stała się prawdziwą, zobojętniałą dziwką, nie będącą stanie zapamiętać nawet twarzy faceta, z którym poszłaś do łóżka?”

Przypominał mi profesora Federico Farnese, tylko że ten tutaj nosił gęstą brodę, podczas gdy Freddie był gładko ogolony. Oczywiście to niczego jeszcze nie dowodziło. Upłynęło dość czasu, by zdążył zapuścić nawet dłuższą brodę - prawie każdy mężczyzna ma w swoim życiu okres, w którym ogarnia go brodomania. Doszłam do wniosku, że przyglądając mu się z tej odległości, nigdy go nie rozpoznam. Ponieważ zaś nie śpiewał solo, więc nie rozpoznam go również po głosie.

Zapach. Tak, lecz z trzydziestu metrów nie sposób wyłowić go spośród tuzina innych.

Korciło mnie, by na chwilę przerwać odgrywanie roli damy, wstać, podejść do sceny i zapytać po prostu: „Hej, ty! Czy nie jesteś przypadkiem Freddie? Czy nie poszedłeś ze mną do łóżka w maju tego roku?”

A jeśli odpowie: „Nie”?

Jestem jednak tchórzem. Wolałam powiedzieć kapitanowi, iż wydaje mi się, że

pośród migrantów dostrzegłam swojego starego służącego. Czy nie dałoby się tego sprawdzić? A jeśli tak, to jak mogłabym to zrobić?

Kapitan powiedział, bym napisała tylko na kartce jego nazwisko. Gdy to zrobiłam, wręczył ją płatnikowi, płatnik natomiast - swemu asystentowi. Ten zniknął na kilkanaście minut, a kiedy wrócił, zameldował, że na liście migrantów znajdowało się kilka włoskich nazwisk, ale żadne z nich nawet nie brzmiało podobnie do „Farnese”.

Podziękowałam wszystkim - i nagle przyszło mi do głowy, czy nie spytać przy okazji o nazwiska „Tormey” i „Perreault”. Zdecydowałam jednak, że byłoby to wyjątkowo głupie. Z pewnością nikt na scenie nie przypominał mi ani Betty, ani Janet - a przecież żadna z nich nie zapuściła sobie brody. Zasugerowałam się jakąś męską twarzą pokrytą gęstym zarostem, a przecież jeśli jakimkolwiek mężczyźnie choćby przykleić brodę - taką gęstą, jak nosił ten na scenie - to nie widać nic oprócz potarganych kłaków.

Tak. Wszystkie opowiadania doświadczonych matek i żon na temat kobiet w ciąży muszą być prawdziwe.

Rozdział XXXII

Była druga po pomocy czasu pokładowego. Przejście z nadprzestrzeni do normalnej przestrzeni nastąpiło tak, jak przewidywano, około jedenastej rano. Mieliśmy tak dobre współrzędne, iż na mostku spodziewano się, że „Forward” osiągnie orbitę stacjonarną wokół Botany Bay o siódmej czterdzieści dwie - kilka godzin wcześniej, niż zakładano przed opuszczeniem nadprzestrzeni. Nie powiem, by mnie to ucieszyło. Wyznaczenie startu kapsuł ładowniczych na wczesne godziny rane znacznie zwiększało ryzyko napotkania któregoś z pasażerów - bo najprawdopodobniej będą się wówczas włóczyć po korytarzach przez większą część nocy.

Nie miałam jednak wyboru. Poczytałam ostatnie przygotowania, ucałowałam Tilly na do widzenia, dając jej palcem znać, by nie hałasowała, po czym wyszłam z kabiny BB. Musiałam przejść trzy poziomy niżej i dostać się na rufę statku. Po drodze dwukrotnie zatrzymywałam się, aby uniknąć spotkania z nocnymi strażnikami, snującymi się leniwie po korytarzach. W pewnej chwiliomalże nie wpadłam na grupę jakichś spóźnionych pasażerów, wracających z nocnej balangi w „Czarnej Dziurze”. W końcu dotarłam jednak do krótkiego ślepego korytarza, który prowadził do śluzy oddzielającej statek od pochylni kapsuł ładowniczych.

Czekał tam na mnie Mac-Pete.

Podeszłam do niego szybko, uśmiechając się przyjaźnie. Palec jednej dłoni położyłam na swych ustach, dając mu znać, by był cicho. Drugą dłonią błyskawicznie uderzyłam go w głowę tuż za uchem. Nawet nie jęknął. Ułożyłam jego bezwładne ciało na podłodze obok drzwi i zabrałam się do rozpracowywania kombinacji cyfr zamka.

Po chwili odkryłam ze zdziwieniem, że nie jestem w stanie odczytać oznaczeń na tarczy, i to nawet pomimo mojego przystosowanego do widzenia w ciemności wzroku. Na

korytarzach paliły się jedynie nocne lampy, dające bardzo słabe i rozproszone światło, a w tym ślepo zakończonym pasażu nie było w ogóle żadnego oświetlenia. Po dwóch próbach luk pozostawał nadal zamknięty.

Przerwałam i zaczęłam się zastanawiać nad sytuacją. Może lepiej było wrócić do kabiny i przynieść latarkę? Moja co prawda od miesiący już spoczywała na dnie Missisipi, lecz Tilly najprawdopodobniej miała coś takiego. A jeśli nie? Wrócić tu i czekać, aż zapalą dzienne oświetlenie? Nie byłoby to zbyt rozsądne rozwiązanie. Na korytarzach natychmiast pojawi się mnóstwo pasażerów, a ja raczej nie tęskniłam za towarzystwem. Czy było jeszcze jakieś inne wyjście?

Sprawdziłam, co z Petem. Ciągle był nieprzytomny, lecz serce miał silne. „Masz szczęście, Pete - pomyślałam. - Gdybym uderzyła cię trochę silniej, pewnie już byś nie żył”. Zabrałam się do przeszukiwania kieszeni jego ubrania. Nie byłam zaskoczona, znajdując niewielką, punktową latarkę w kształcie wiecznego pióra. Praca Pete'a (czyli śledzenie mnie) zmuszała go niejako do noszenia przy sobie między innymi również takiego urządzenia, podczas gdy Panna Bogacka nie musiała zawracać sobie głowy podobnymi bzdurami.

Kilka sekund później drzwi były już otwarte. Przeciągnęłam Pete'a na drugą stronę niewysokiego progu i zamknęłam je za sobą, przekręcając tarczę raz w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara i raz w przeciwnym. Odwróciwszy się spostrzegłam, że powieki Pete'a drgnęły nieznacznie.

Kłopoty zaczęły się dopiero teraz. Pete ważył jakieś osiemdziesiąt pięć kilogramów, co jak na mężczyznę nie było zbyt wiele. Tylko że ja ważyłam o dwadzieścia pięć kilo mniej. Byłam też nieco niższa i znacznie szczuplejsza. Wiedziałam od Toma, iż sztuczna grawitacja na statku ustawiona została na poziomie 0.97, by była podobna do grawitacji panującej na Botany Bay. Pete dzięki temu nie ważył jednak o wiele mniej. Akurat w tej chwili marzyłam o zupełnym braku ciężenia lub zestawie antygravitacyjnym. Nie mogłam przecież zostawić za sobą Pete'a; obojętnie: żywego czy martwego. Udało mi się zarzucić go sobie na ramiona w taki sam sposób, jak robią to strażacy. Po chwili odkryłam sposób, by podtrzymując Pete'a lewą ręką i widząc drogę przed sobą, prawą ręką mieć wolną na wypadek, gdyby przy drzwiach próżniowych były psy. Włożyłam po prostu latarkę do ust niczym cygaro. Potrzebowałam jej światła, lecz jeśli bym musiała, potrafiłabym odnaleźć drogę nawet w zupełnych ciemnościach, pod warunkiem jednak, że nie taszczyłabym na plecach ciała nieprzytomnego mężczyzny.

Dotarłszy wreszcie do największej ładowni, cała złana byłam potem. Kiedy skierowałam cienki promień światła wprost przed siebie, zniknął on w mroku - olbrzymie pomieszczenie wydawało się nie mieć końca. Dostrzegłam jednak kapsułę ładowniczą, oświetloną nikłą poświatą lamp nocnych, palących się tutaj tak samo, jak na całym statku: od północy do szóstej rano. Odszukanie kryjówki, którą wybrałam poprzedniego dnia, nie nastąpiło większych trudności. Był nią olbrzymi turbogenerator Westinghouse.

Domyślałam się, że cała ta maszyna napędzana była jakimś gazem lub też po prostu parą wodną. Ów system z pewnością nie miał nic wspólnego z wynalazkiem Daniela Shipstone. Jednak z tego typu rozwiązaniami technicznymi, bardzo już przestarzałymi, można się jeszcze ciągle spotkać, szczególnie w niektórych koloniach, do których z różnych przyczyn nie dotarły jeszcze Napędy. Nie miałam pojęcia, jak działa większość z nich, lecz akurat teraz niewiele mnie to obchodziło. Interesował mnie jedynie fakt, iż część maszyny -

coś jakby obalony, ścięty czubek gigantycznej szyszki - leżała obok jej głównego korpusu. Wnętrze owej szyszki stanowiło niewielkich rozmiarów pustą przestrzeń, wystarczająco dużą, bym mogła się tam zmieścić; sama lub nawet z balastem, którego przecież nie mogłam się pozbyć.

W środku było całkiem przytulnie, bowiem pracujący przy załadunku robotnicy okryli całe to stalowe monstrum czymś w rodzaju szklistego brezentu, zanim przymocowali je do pokładu. Ja precyzyjnie się pomiędzy linami bez większego trudu, lecz wciągnięcie za sobą Pete'a wymagało ode mnie nie lada wysiłku. W końcu jednak i on znalazł się wewnątrz, choć nie obyło się bez kilku zadrapań na jego skórze.

Sprawdziłam, czy oddycha, i rozebrałam go do naga. Pomyślałam, że mogę się tu nawet zdrzemnąć, jeśli najpierw zabezpieczę się przed niespodziankami z jego strony.

Pete miał na sobie pasek, spodnie, koszulę, szorty, skarpetki, tenisówki i sweter.

Ściągnęłam z niego to wszystko i przy pomocy koszuli związałam mu ręce za plecami.

Podobnie zrobiłam z jego nogami, krępując je na wysokości kostek nogawkami spodni.

Następnie połączyłam więzy na nadgarstkach i kostkach, posługując się paskiem. Pozycja taka jest piekielnie niewygodna, lecz zniechęca nawet do m y ś l i o ucieczce.

Właśnie miałam zakneblować mu usta skarpetkami, gdy otworzył oczy.

- To niepotrzebne, panno Piętaszek. Lepiej porozmawiajmy - odezwał się cicho.

Przez chwilę milczałam.

- Byłeś prawie przez cały czas przytomny, nieprawdaż? Domyślałam się. Wolałam jednak tak długo taszczyć cię na plecach i udawać, iż o tym nie wiem, jak długo udawać będziesz ty. Doszłam do wniosku, że zdajesz sobie sprawę, iż jeśli będziesz mi sprawiał jakiegokolwiek kłopoty, urwę ci jaja i wepchnę ci je do gardła.

- Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju, choć nie aż tak drastycznego.

- Dlaczego nie? Miałam już okazję zaznajomić się z twoimi klejnotami, tylko że wtedy ja byłam związana. Mogę ci je teraz wyrwać, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

Mam rację?

- Mógłbym najpierw coś powiedzieć?

- Jasne, czemu nie? Ale jedno słowo wypowiedziane tonem głośniejszym niż szept, a zaknebluję cię twoim własnym interesem. - Wyciągnęłam rękę w kierunku jego krocza, by przekonać go, że mówię zupełnie serio.

- Och nie! Nie rób tego! Proszę! Płatnik wystawił dzisiaj podwójną wartość. Ja...

- Podwójną wartość?

- Zwykle od chwili, gdy zasypiasz, do momentu, gdy wstajesz, pilnuje cię tylko Tilly-Shizuko. Kiedy się budzisz, naciska guzik i wówczas ja zaczynam dyżur. Lecz od wczoraj płatnik, a może nawet kapitan, ma cię na oku. Sądzi, że możesz zechcieć opuścić statek na Botany Bay.

Uniosłam brwi w geście zdziwienia i powiedziałam z oburzeniem:

- Jak w ogóle ktokolwiek może myśleć o mnie w sposób tak nikczemny?!

- Sam nie wiem, skąd im to przyszło do głowy - przytaknął. - Tylko dlaczego znajdujemy się przypadkiem na pokładzie jednej z kapsuł ładowniczych?

- Przygotowuję się do małej wycieczki. A ty?

- Podejrzewam, że ja również. Przyszło mi na myśl, że jeśli zechcesz opuścić statek, to

najprawdopodobniej postarasz się zrobić to dziś w środku nocy. Nie miałem pojęcia, jak zamierzasz dostać się na pokład kapsuły, lecz nie lekceważyłem twego sprytu. Jak teraz widzę - słusznie.

- Dzięki. Kto pilnuje drugiej kapsuły? Jest tam ktoś w ogóle?

- Graham. Taki niski, rudawy gość. Może już go widywałeś.

- Aż za często.

- Wybrałem ten rewir, ponieważ właśnie tę kapsułę zwiedzałaś wczoraj z Tomem Udelem. Właściwie przedwczoraj - dodał.

- Nieważne. Pete, co się stanie, jeśli ktoś spostrzeże twoją nieobecność?

- Przede wszystkim nikt tego nie spostrzeże. Joe Głupek, to znaczy Joe Steuben, otrzymał instrukcje, by zmienić mnie dopiero po śniadaniu. Jak znam Joego, nie zrobi hałasu tylko dlatego, że mnie nie zastanie na miejscu. Siądzie po prostu na podłodze, oprze się plecami o drzwi i będzie spał, dopóki nie przyjdzie ktoś, kto zechce je otworzyć. Potem znowu usiądzie i będzie dalej spał, a kapsuły spokojnie odlecą na Botany Bay. Jeszcze później wróci do swojego pokoju i zaśnie, czekając, aż po niego przyjdę. Joe jest raczej konsekwentny, ale niezbyt bystry. Tak przynajmniej sędzę.

- Wygląda na to, Pete, że wszystko dokładnie przemyślałeś.

- Nie wziąłem tylko pod uwagę poobcieranych pleców i bólu głowy. Gdybyś poczekała i pozwoliła mi mówić, nie musiałabyś taszczyć mnie tu na własnych plecach.

- Nie próbuj czarować mnie słodkimi słówkami, bo i tak cię nie rozwiążę. Nie tędy ścieżka.

- Chyba „droga”?

- Ścieżka, droga, wszystko jedno. Tak czy owak, nie polepszysz swojej sytuacji

wytykając mi błędy językowe. Podaj mi choć jeden powód, dla którego nie miałabym cię zabić i zostawić tutaj. Kapitan miał rację: zamierzam opuścić statek. Nie zamierzam natomiast zawracać sobie głowy tobą.

- Jest jeden taki powód. Podczas rozładunku znajdą moje ciało i zaczną cię szukać.

- Tylko że ja będę już wtedy daleko, po drugiej stronie horyzontu. Zresztą, dlaczego miałiby mnie szukać? Nie zostawię przecież na twoich zwłokach odcisków palców. Jedyne niewielki siniak na karku.

- Motyw i sposobność. Na Botany Bay wszyscy cholernie ściśle trzymają się litery prawa, panno Piętaszek. Nie wątpię, że uda ci się opuścić statek, jeśli wmieszasz się w tłum migrantów. Lecz jeśli będziesz poszukiwana za morderstwo na pokładzie kapsuły, miejscowi wydadzą cię natychmiast.

- Powołani się na konieczność samoobrony przed znanym gwałcicielem. A niech cię lichy, Pete. I co ja mam teraz z tobą począć? Stanowisz dla mnie balast. Wiesz, że nie mogę cię zabić. Zabić z zimną krwią - to mam na myśli. Co innego, gdybyś mnie do tego zmusił. Jeżeli zostawię cię tutaj związanego... Niech pomyślę... Pięć i trzy, to osiem, plus dwie, zanim zaczną rozładunek... Razem to dziesięć godzin... I będę cię musiała zakneblować... a do tego robi się zimno...

- Właśnie. Mogłabyś przynajmniej okryć mnie swetrem.

- W porządku. Tylko czym ja cię później zaknebluję...?

- A oprócz zimna grozi mi martwica. Jeśli pozostanę w tej pozycji przez dziesięć godzin, skończy się na amputacji. Tutaj nie znają czegoś takiego, jak regeneracja. Zanim dotrę tam, gdzie przeszczepią mi nowe kończyny, będę wyglądał jak wór piachu. Wyrządzisz mi grzeczność, po prostu mnie zabijając.

- Cholera, próbujesz wzbudzić we mnie sympatię? A może litość?

- Sądzę, że nie udałoby mi się ani jedno, ani drugie.

- Słuchaj - powiedziałam. - Jeśli cię teraz rozwiążę i pozwolę ci się ubrać, byś nie musiał marznąć, to czy dasz się potem ponownie związać, nie stawiając oporu? Czy też będę cię musiała uspokoić, i to skuteczniej, niż przedtem? Wiesz chyba, że w razie czego ryzykujesz skruceniem karku? Widziałeś mnie już, gdy byłam zmuszona użyć siły, wtedy, na farmie doktora Baldwina.

- Nie widziałem. Słyszałem coś niecoś i mogłem się przyjrzeć efektom.

- To tak samo, jakbyś widział. Zapewne domyślasz się, dlaczego jestem tak szybka i silna. „Moją matką była próbówka...”

„...a mym ojcem skalpel był.” - dokończył za mnie. - Słuchaj, panno Piętaszek: nie musiałem dać ci się pokonać. Jesteś szybka, owszem. Ale ja też jestem szybki. Mam też dłuższe ramiona niż ty. Doskonale wiedziałem, do czego jesteś zdolna, lecz ty nie miałaś pojęcia, co ja mogę umieć. Miałem zatem przewagę, Siedziałam w pozycji lotosu, patrząc na jego twarz. Czułam, jak zaczyna mi się kręcić w głowie, i obawiałam się, że za chwilę zwymiotuję.

- Pete - odezwałam się tonem niemalże błagalnym - nie okłamywałbyś mnie, prawda?

- Zmuszony byłem kłamać przez całe życie - odrzekł - tak samo zresztą, jak i ty. Jednakowoż... - Przerwał i poruszył nadgarstkami. Do moich uszu dobiegł trzask rwanego materiału. Czy wiecie, ile są w stanie wytrzymać skruczone w powrót rękawy dobrej koszuli? Z pewnością znacznie więcej niż lina konopna tej samej grubości. Zresztą, sprawdźcie sami.

- Koszula nie jest mi tak bardzo potrzebna - powiedział, rozcierając nadgarstki. -

Wystarczy sweter. Wolałbym jednak nie niszczyć spodni. Nie mogę przecież paradować z gołym tyłkiem, nim dotrzemy gdzieś, gdzie będę mógł postarać się o nowe. Zresztą, tobie łatwiej będzie sięgnąć do supłów. Czy mogłabyś je rozwiązać, panno Piętaszek?

- Przestań z tą „panną”. A więc oboje jesteśmy SIL-ami... - odrzekłam, zabierając się za węzły. - Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

- Powinienem był. No cóż; tak się jakoś złożyło.

- W porządku. Do diabła, stopy masz jak z lodu! Poczekaj, rozetrę ci je trochę, dopóki krew nie zacznie normalnie krążyć.

Zdrzemnęliśmy się nieco - w każdym razie ja się zdrzemnęłam. Pete zbudził mnie, potrząsając delikatnie za ramię.

- Lepiej się obudź - szepnął. - Chyba zbliżamy się do lądowania. Zapalili jakieś światła.

Przez brezent do środka przedostawała się nikła poświata. Ziewnęłam.

- Zimno mi.

- Grymasisz. Byłaś zwinięta w kłębek niczym kot, więc nie zmarzłaś zbyt. Za to ja zmarzłem na kość.

- Dobrze ci tak. Zasłużyłeś sobie na to. Gwałciciel. Jesteś za bardzo kościsty, Pete. Trzeba cię koniecznie trochę podtuczyć. Przypomina mi to, iż nie jedliśmy jeszcze śniadania. A na myśl o jedzeniu... Cholera, zdaje się, że zaraz zwymiotuję.

- Ufff... Przeciśnij się za mną i zrób to przynajmniej do tamtego kąta. Nie tutaj, gdzie najprawdopodobniej będziemy musieli się położyć. I postaraj się zachowywać tak cicho, jak tylko to możliwe. Lada chwila ktoś może wejść do ładowni.

Brutal. Pozbawiony uczuć brutal. A właśnie, że nie zwymiotuję.

Czułam się całkiem nieźle - tuż przed wyjściem z kabiny połknęłam jedną z tych niebieskich pigułek. Zabrałam też ze sobą cały ich zapas, jaki dostałam od doktora Jimmy'ego. Miałam co prawda w żołądku motyla albo dwa, lecz nie były to wielkie motyle -

nie z tych, co to drą się: „Wypuść mnie stąd!”

- Pete, co robimy?

- Mnie pytasz? Cała ta ucieczka to twój pomysł, a nie mój.

- Owszem, ale ty jesteś wielkim, silnym, umięśnionym mężczyzną, który z pewnością chrapie, gdy śpi. Sądziłam, że przejąłeś dowodzenie i zaplanowałeś wszystko, podczas gdy ja się zdrzemnęłam. Czyżbym była w błędzie?

- Hmm... A jaki jest twój plan? Ten, który obmyśliłaś, nie spodziewając się, że będzie nas dwoje?

- A cóż ja mogłam zaplanować? Kiedy wylądujemy, będą musieli otworzyć luki; tak od przedziału dla migrantów, jak i od ładowni. Gdy już będą otwarte, prysnę przez którykolwiek z nich jak przerażony kot, stratumuję wszystko i wszystkich na swojej drodze i nie zatrzymam się, dopóki patrząc za siebie będę widziała kapsułę. Nie chciałabym nikogo skrzywdzić i mam nadzieję, że nikt nie będzie się starał zbyt usilnie mnie zatrzymać... Bo ja nie pozwolę się zatrzymać.

- To całkiem niezły plan.

- Tak sądzisz? Według mnie to żaden plan. Jedyne determinacja. Otwierają się luki, a ja nękam prześladowców błyskawiczną ucieczką.

- To dobry plan, bo nieskomplikowany. Nie ma w nim żadnych „jeśli” czy „gdyby”, które w praktyce mogłyby zawieść. Do tego masz z góry sporą przewagę nad ewentualnym pościgiem: oni nie ośmielą się ciebie zranić; choćby nawet drasnąć.

- Chciałabym być tego pewna.

- Jeśli ktokolwiek cię zrani, stanie się to wyłącznie przez przypadek. Wysłuchawszy całej twojej historii, rozumiem teraz, dlaczego otrzymane przeze mnie instrukcje były tak stanowcze. Oni nie chcą cię mieć „żywą lub martwą”. Chcą cię mieć idealnie wręcz zdrową. Szybciej pozwolą ci uciec, niż zrobią jakkolwiek krzywdę.

- W takim razie powinno się obyć bez kłopotów.

- Nie bądź taka pewna. Dzikiej tygrysy, którą jesteś, raz już dowiedziono, iż dysponując odpowiednią liczbą ludzi, można ją schwytać i obezwładnić. Wiemy o tym oboje. Jeśli odkryli już, że uciekłaś, a wątpię, by jeszcze tego nie zrobili - kapsuła wystartowała z ponad dwugodzinnym opóźnieniem...

- Co?! - Zerknęłam na chrono. - Rzeczywiście. Już dawno powinniśmy wylądować.

- Też mi się tak wydaje. Nie było jednak powodu, żeby cię budzić, dopóki nie zapalili świateł. Od tej chwili mają jakieś półtorej godziny, by upewnić się, że nie ma cię na górnym pokładzie pośród pasażerów pierwszej klasy, biorących udział w wycieczce. W tym samym czasie będą również musieli sprawdzić przedział dla migrantów. Oczywiście nie znajdą cię w żadnym z tych miejsc. Pozostanie więc tylko ładownia. Jest to naturalnie pewne uproszczenie, bo praktycznie tylko tak można się bawić w chowanego, mając do dyspozycji tyle miejsca, co w tej kapsule. Co zrobią później? Przeszukają jeszcze oba korytarze, po czym obstawią luk towarowy na tym poziomie oraz luk pasażerski na górnym pokładzie. I jeśli użyją wystarczająco dużo ludzi, a zrobią to z pewnością, i jeśli wszystkie wyjścia wyposażone są w sieci, liny i miotacze gazu, w co ani przez chwilę nie wątpię, to złapią cię bez trudu, nie narażając przy tym na zranienie, gdy będziesz próbowała wydostać się przez którykolwiek z luków.

- Masz rację, Pete - przyznałam. - Ale zanim mnie dostaną, kilku z nich pożegna się z życiem, a kilku następnych ze zdrowiem. Mogę się potem sama zabić, lecz za mojego trupa zapłacą wysoką cenę. Dzięki, że mnie ostrzegłeś.

- Nie muszą robić tego dokładnie tak, jak powiedziałem. Równie dobrze mogą najpierw w taki czy inny sposób przekonać cię, że nie masz po co zbliżać się do drzwi. Następnie wypuszczą wszystkich migrantów. Wiesz chyba, że wychodzą oni zawsze przez luk ładowni?

- Nie miałam pojęcia.

- A więc teraz już wiesz. Wyprowadzą ich na zewnątrz, sprawdzą, czy są wszyscy, a potem zatrzasną luk i wypełnią ładownię gazem usypiającym. Albo gazem łzawiącym, zmuszając cię, byś wyszła na wpół oślepiąca, trąc powieki jak małe dziecko.

- Brrr... Pete, czy ten statek naprawdę wyposażony jest w tego typu świństwa?

- Takie i jeszcze gorsze. Posłuchaj: kapitan „Forwarda” dowodzi swym liniowcem, oddalony o wiele lat świetlnych od cywilizacji, prawa i porządku, dysponując w razie konieczności obrony statku przed buntem jedynie kilkunastoma sprawnymi fizycznie ludźmi. Pewnie nie wiesz, że w celach na pokładzie czwartej klasy prawie za każdym razem przewożona jest banda gotowych na wszystko kryminalistów. To chyba oczywiste, iż nawet w kabinach znajdują się miotacze gazu. Ale głowa do góry. Ciebie już tu nie będzie, kiedy ich użyją.

- To zaczyna być interesujące. Mów dalej.

- Migranci zejdą do centralnej części ładowni. Jest ich znacznie więcej, niż to przewidują normy bezpieczeństwa: tylu, że większość z nich nie zna się nawet nawzajem. Skorzystamy z tego... oraz z bardzo, bardzo starej metody, którą posłużył się niegdyś Ulisses...

Oboje z Petem wciśnięci byliśmy w kąt między górną częścią turbogeneratorską a czymś w rodzaju kraty, przez którą mogliśmy obserwować wnętrze ładowni. Panował tu prawie idealny mrok. Z daleka dochodził do nas pomruk zbliżającego się tłumu migrantów.

- Nadchodzą - szepnął Pete. - Pamiętaj: wybierz kogoś, kto niesie mnóstwo bagaży. Będzie takich pełno. Ciuchy mamy w porządku; żadne z nas nie wygląda jak pasażer pierwszej klasy. Ale musimy koniecznie nieść jakikolwiek bagaż. Migranci zawsze są nimi obładowani; wiem o tym prosto ze źródła.

- Spróbuję zaproponować jakiejś kobiecie, że pomogę jej nieść dziecko - powiedziałam.

- Świetny pomysł, jeśli tylko ci się uda. Szszsz! Są tuż, tuż.

Byli rzeczywiście objuczeni jak muły. Za cenę biletu każdemu z migrantów wolno było zabrać wszystko, co uda mu się wcisnąć do nory, nazywanej na pokładzie trzeciej klasy „kabiną”.

„Wszystko, co nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa statku i jego pasażerów” - tak brzmiała definicja bagażu podręcznego, którą posługiwała się kompania. Lecz jeśli ktoś chce umieścić cokolwiek w przedziale bagażowym, musi płacić za to ekstra. Rozumiem, że kompania chce na wszystkim zarabiać, ale nie oznacza to wcale, że musi mi się to podobać. Dziś jednak przepis ów stanowił dla nas niemalże błogosławieństwo.

Gdy nas mijali, zaledwie kilkoro spojrzało w naszą stronę, nie zdradzając jednak najmniejszych oznak zainteresowania. Wszyscy jak jeden wyglądali na zmęczonych i

zajętych własnymi sprawami. Było pomiędzy nimi mnóstwo dzieci, z których większość płakała. Ci na czele szli dość szybko, lecz dalsi poruszali się wolno; tym wolniej, im więcej taszczyli bagaży i im więcej prowadzili lub nieśli na rękach dzieci. Wszyscy powłóczyli nogami i potykali się o siebie nawzajem.

Nagle z natłoku woni ludzkich ciał, od których czuć było potem, brudem, zmęczeniem i strachem, do moich nozdrzy przedarł się zapach tak krystalicznie czysty, jak temat ze „Złotego kogucika” Rimskiego-Korsakowa lub wagnerowska tetralogia.

- Janet! - to, co wydobyło się z mojego gardła, przypominało raczej skowyt.

Jakaś ciężarna kobieta powoli i jakby z niedowierzaniem odwróciła głowę w naszą stronę, po czym upuściła na podłogę ładowni dwie walizki, które niosła.

- Marjie !

Podbiegłam do niej i porwałam ją w ramiona. Jakiś brodaty mężczyzna powiedział:

- Mówiłem wam, że ona jest na tym statku! Mówiłem!

A Ian rzekł z niedowierzaniem:

- Przecież ty nie żyjesz...!

Oderwałam usta od policzków Janet tylko na moment, by wymówić tych kilka słów:

- Przeciwnie, żyję! I mam ci przekazać najgorętsze pozdrowienia od młodszego

oficera pilotażowego Pameli Heresford.

- Tej dziwki - stwierdziła Janet.

- Tylko spokojnie, skarbie - odrzekł Ian.

Betty przyglądała mi się przez dłuższą chwilę niczym duchowi.

- To ona! Naprawdę ona! - powiedziała wreszcie. - Cześć, kotuś! Świetnie cię znowu widzieć, słowo daję!

Nawet Georges nie zachowywał się jak prawdziwy Francuz, próbując delikatnie oderwać mnie od Janet.

Oczywiście przez tych kilka minut bez przerwy poszturchiwano nas i potracano.

Obładowani pakunkami migranci tłoczyli się przed nami, za nami i pomiędzy nami, niektórzy klnąc cicho pod nosem.

- Lepiej chodźmy - powiedziałam. - Możemy porozmawiać później.

Spojrzałam jeszcze na miejsce, w którym stał do niedawna Pete. Już go tam nie było.

Przestałam się więc o niego kłopotać. Pete sam potrafił dać sobie radę.

Janet nie była jeszcze w zaawansowanej ciąży, lecz pod sukienką na jej brzuchu rysowała się już delikatna okrągłość.

Chciałam pomóc jej nieść jedną z walizek.

- Nie - rzekła. - Z dwoma jest łatwiej. Dają równowagę.

Szłam więc, niosąc kosz z Kocią Mamą i wielki zwój brązowego papieru, który wzięłam od lana.

- Janet - spytałam - co stało się z kociętami?

- Korzystając z mojej protekcji - odrzekł za nią Freddie - i mając spore szansę na awans, zajmują się obecnie kontrolowaniem populacji gryzoni w Queensland. Ale powiedz mi, Helen, mój aniele, jak to się stało, że ty, która jeszcze wczoraj zasiadałaś po prawej ręce pana i władcy pewnego gigantycznego superliniowca, dziś znajdujesz się wraz z plebejskim motłochem na dnie tego dziurawego wiadra?

- Później, Freddie. Opowiem ci wszystko, gdy stąd wyjdziemy.

- Jasne. Urządzimy sobie libację w gronie przyjaciół i opowiesz nam wszystko po kolei. W międzyczasie trzeba nam jeszcze minąć Cerbera.

Po obu stronach luku stał jeden uzbrojony agent ochrony. W myślach zaczęłam klepać różaniec, kontynuując jednocześnie rozmowę z Freddim. Obaj ochroniarze spojrzeli na mnie, i obaj nie znaleźli chyba we mnie nic, co by ich zainteresowało. Możliwe, że umorusana twarz i potargane włosy stanowiły świetny kamuflaż. Dotychczas nikt nigdy nie widział mnie poza kabiną BB, zanim Shizuko nie zrobiła mnie na bóstwo, mające na aukcyjnym podium otrzymać najwyższą cenę.

Wreszcie znaleźliśmy się na niewysokiej rampie na zewnątrz kapsuły. Ustawiono tu stół, przy którym siedziało dwóch urzędników. Jeden z nich grzebał w papierach, a drugi wyczytywał nazwiska.

- Frances, Frederic J.! Wystąpić!

- Jestem - zawołał Freddie, przeciskając się zza moich pleców, by podejść do stołu. W tej samej chwili ktoś krzyknął: „Ona jest tam!” - a ja raczej gwałtownie postawiłam koszyk z Kocią Mamą i skierowałam się biegiem ku horyzontowi.

Słyszałam, jak za mną wybuchł nagle gwar podnieconych głosów, lecz niewiele mnie to obchodziło. Chciałam jedynie znaleźć się poza zasięgiem jakiegokolwiek sieci czy miotacza gazu tak szybko, jak tylko było to możliwe. Nie łudziłam się, że zdołam uciec przed bronią laserową, czy nawet przed pociskami zwykłych pistoletów, lecz o ile Pete miał rację, to nie one stanowiły prawdziwe zagrożenie. Po prawej stronie dostrzegłam jakąś wioskę, a daleko przed sobą - drzewa. Ukrycie się w ich gąszczu wydało mi się rozsądniejszym rozwiązaniem. Biegłam więc dalej prosto.

Obejrawszy się stwierdziłam, że prawie wszyscy zostali na miejscu i nie ścigali mnie. Nic dziwnego - potrafię przebiec kilometr w niecałe dwie minuty. A jednak dwoje ludzi pędziło moim śladem. Wydawało mi się nawet, że dystans między nimi a mną maleje. Zwolniłam więc, zdecydowana nawet zabić, jeśli okaże się to konieczne.

- Biegnij dalej - wycharczał Pete. - Tamci myślą, że biegniemy za tobą, by cię złapać.

Nie musiał powtarzać mi tego dwa razy.

Drugim uczestnikiem „pogoni” była Shizuko - moja przyjaciółka Tilly. Natychmiast, gdy zagłębiłam się w zarośla na tyle, by nie widzieć kapsuły, przystanąłam i zwymiotowałam. Pozostała dwójka nie kazała na siebie czekać. Widząc, co się dzieje, Tilly przytrzymała mnie za ramiona, a gdy skończyłam, otarła mi twarz, próbując nawet pocałować.

- Daj spokój - powiedziałam. - Nie pachnie mi z ust różami. Ale ty... Opuściłaś statek ubrana tak, jak teraz?

Miała na sobie trykot sprawiający, że wyglądała o wiele wysmuklej, bardziej zachodnio i zdecydowanie bardziej kobieco. W niczym nie przypominała już mojej „służącej”.

- Nie - odrzekła. - Przez cały czas nosiłam tradycyjne kimono i obi. Zrzuciłam je biegnąc. Trudno się w tym poruszać.

- Skończcie z pogaduszkami - powiedział z irytacją w głosie Pete. - Musimy się jak najszybciej stąd wynieść. - Podeszedł do mnie, chwycił z tyłu za włosy, odchylił moją głowę do tyłu i pocałował. - Kto dba o to, jak ci pachnie z ust? Ruszaj się!

Nie opuszczając zarośli, oddaliliśmy się od kapsuły. Szybko jednak przekonaliśmy się, że Tilly ma zwichniętą w kostce lewą nogę.

- Gdy rzuciłaś się do ucieczki, Matyllda była dopiero w połowie trapu, po którym schodzili pasażerowie pierwszej klasy. Skoczyła więc i musiała źle wylądować. Jesteś niezręczna, Tilly.

- Wszystko przez te cholerne japońskie buciory. Nie dają żadnej amortyzacji. Zabierz małą, Pete, i idźcie dalej sami. Ci szpicle ciągle jeszcze nie wiedzą, że uciekałam razem z wami.

- Nic z tego - odrzekł stanowczo Pete. - Trzymamy się razem, i tak zostanie. Mam rację, Piętaszku?

- Do diabła, to chyba jasne! Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! Chwyć ją z tamtej strony, Pete.

Poruszaliśmy się całkiem szybko jak na pięcionogi zaprzęg. Może nie biliśmy rekordów prędkości, lecz cały czas zwiększaliśmy dystans między nami a pogonią. Po jakimś czasie Pete zaproponował, że weźmie Tilly „na barana”.

- Zaczekajcie chwilę i bądźcie cicho - powiedziałam, nastawiając uszu. Żadnych odgłosów pościgu. Nic oprócz nieznanymi dźwięków wydawanych przez nieznaną las. Nawoływania ptaków? Skąd mogłam wiedzieć? Miejsce, w którym przystaliśmy, sprawiało dość osobliwe wrażenie: trawa, która niezupełnie była trawą, drzewa wyglądające na pozostałość po jakiejś innej epoce geologicznej, cholesterol mocno zmieszany z czerwienią... A może na tej planecie była jesień? Czy w nocy nie robi się zimno? W ciągu najbliższych trzech dni próby skontaktowania się z tubylcami byłyby raczej nierozsądne i niebezpieczne. Bez jedzenia i wody mogliśmy przetrwać te siedemdziesiąt dwie godziny, zanim „Forward” nie opuści orbity Botany Bay. Ale co będzie, jeśli wraz z nocą przyjdzie mróz?

- W porządku - powiedziałam. - Bierz ją na plecy. Ale będziemy się zmieniać.

- Piętaszku, nie możesz mnie taszczyć.

- Nie tak dawno taszczyłam Pete’a. Pete, powiedz jej. Myślisz, że nie poradzę sobie z taką małą japońską laleczką?

- „Japońska laleczka”?! Dobrze sobie! Jestem taką samą Amerykanką jak ty.

- Może nawet lepszą. Później ci to wyjaśnię. A teraz ładuj się.

Pete niósł ją jakieś dwieście metrów, potem ja pięćdziesiąt, następne dwieście znowu Pete i tak na zmianę. Miało to według niego być fifty-fifty. Mniej więcej po godzinie marszu znaleźliśmy się na drodze. Właściwie była to jedynie ścieżka przez zarośla, lecz widniały na niej świeże ślady kół oraz końskich kopyt. W lewo oddalała się ona od miasta i od kapsuły, poszliśmy więc w lewo. Shizuko maszerowała znowu na własnych nogach, opierając się mocno na ramieniu Pete'a.

Dotarliśmy do jakiejś farmy. Rozsądek nakazywał ukryć się gdzieś w pobliżu.

Bardziej jednak zaczynało wszystkim nam zależeć na łyku wody, więc zdecydowaliśmy się zaryzykować. Poza tym musieliśmy zrobić coś z kostką Tilly, zanim stanie się ona większa od jej głowy.

W bujanym fotelu na werandzie siedziała jakaś starsza, siwowłosa kobieta. Ubrana była skromnie, lecz schludnie i czysto. W jej rękach błyskały druty, a u nóg stał koszyk z wełną. Gdy nas ujrzała, popatrzyła chwilę i ruchem dłoni dała znać, byśmy się zbliżyli.

- Jestem pani Dundas - powiedziała - a wy przybyliście pewnie ze statku?

- Tak - odrzekłam. - Nazywam się Piętaszek Jones, a to są moi przyjaciele: Matilda Jackson i Pete.

- Pete Roberts, proszę pani.

- Podejdźcie bliżej i usiądźcie. Wybaczcie mi, że nie wstałam, by was powitać. Strasznie bołą mnie plecy. Jestem już stara. Uciekliście ze statku, prawda? Nie było sensu zaprzeczać.

- Zgadza się.

- To normalne, zdążyliśmy się już nawet przyzwyczaić. Co najmniej połowa z was

trafia najpierw tutaj. Z tego, co mówili w radio, wynika, że będziecie potrzebowali ukryć się na co najmniej trzy dni. Jeśli chcecie, możecie przeczekać tutaj. Goście zawsze sprawiają nam radość. Oczywiście macie też prawo udać się prosto do baraków przejściowych. Władze statku nie będą wam tam mogły nic zrobić. Ale wtedy prawnicy zamęczą was zadawanymi bez końca pytaniami. Zresztą po obiedzie sami podejmiecie decyzję. A tymczasem - czy nie napilibyście się po filiżance dobrej herbaty?

- Z przyjemnością! - przytaknęłam skwapliwie.

- To dobrze. Malcolm! Gdzież się podziewa ten chłopak? Malcolm!

- Co, mamusiu?

- Wstaw wodę na herbatę.

- Dobrze.

Pani Dundas odwróciła się w stronę Tilly.

- Co stało się z twoją stopą, moje dziecko?

- Obawiam się, że zwichnęłam ją w kostce, proszę pani.

- Widzę właśnie. Ty, Piętaszku, (tak masz na imię?) idź, poszukaj Malcolma i powiedz mu, by przyniósł mi największy garnek wypełniony potłuczonym lodem. Jeśli chcesz, możesz potem zaparzyć herbatę. A pan, panie Roberts, niech mi pomoże z tym fotelem. Będziemy

potrzebować jeszcze kilku rzeczy, by opatrzyć nogę tego biednego dziecka. Gdy ją nastawimy, trzeba ją będzie zabandażować. Matyldo, czy masz uczulenie na aspirynę?

- Nie, proszę pani.

- Mamooo!!! Woda się gotuje!

- Piętaszku, moja droga, zajmij się tym, proszę.

Nigdy nie zaparzałam herbaty z taką radością.

Rozdział XXXIII

Minęło dwadzieścia lat. Mam na myśli dwadzieścia lat według kalendarza Botany Bay, choć różnica jest niewielka. Dwadzieścia dobrych lat. Ten pamiętnik napisany został w oparciu o taśmy, które nagrałam przed śmiercią Szefa w Pajaro Sands, notatki sporządzone krótko po tym, jak tu przybyłam, oraz na podstawie „polisy ubezpieczeniowej”, sporządzonej przeze mnie w czasach, kiedy ciągle jeszcze obawiałam się ekstradycji.

Jednak z biegiem miesięcy i lat coraz mniej interesowano się moją osobą, aż wreszcie ci z The Realm zapomnieli o mnie zupełnie. Nic w tym zresztą dziwnego - nigdy nie byłam dla nich niczym więcej, jak tylko chodzącym inkubatorem. Sprawa mojej ekstradycji nabrała charakteru czysto akademickiego, gdy Pierwszy Obywatel oraz delfin i delfina zginęli od wybuchu podłożonej w kanapie potężnej bomby.

Właściwie pamiętnik ten powinien kończyć się w momencie przybycia na Botany Bay, jako że od tej chwili moje życie stało się normalne, pozbawione dramatycznych epizodów. O czymże miałyby pisać zwyczajna, wiejska gospodyni domowa? Ile jaj zniosły nasze kury ubiegłego lata? Mnie to interesuje, lecz nie sądzę, by mogło zainteresować was. Ludzie szczęśliwi nie piszą pamiętników. Zbyt pochłonięci są życiem.

Ale przeglądając wszystkie te taśmy i kartki papieru (i pozbywając się sześćdziesięciu procent słów), dostrzegłam kilka kwestii, o których uprzednio wspomniałam zaledwie, a które powinnam teraz wyjaśnić do końca. Sprawa karty kredytowej Visa, unieważnionej przez Janet: Zrobiła to, ponieważ zostałam zabita podczas eksplozji, która zatopiła „Marry Lou”. Georges dokładnie sprawdził informację o mojej śmierci. Wszędzie zapewniano go, iż nie przeżył nikt. Zadzwoił więc do lana i Janet właśnie wtedy, gdy mieli oni opuścić Winnipeg i wyjechać do Australii, ostrzeżeni przez agenta Szefa o grożącym im aresztowaniu. I Janet oczywiście unieważniła swoją kartę.

Najdziwniejszą rzeczą jest odnalezienie mojej „rodziny”. Georges mówi jednak, iż dziwne nie jest to, że oni tu są, lecz że jestem tu ja. Każde z nich zde gustowane było Ziemią, znudzone nią. Gdzież więc mieliby się udać? Wybór Botany Bay nie był żadnym wyborem - dla nich tylko ta planeta wchodziła w rachubę. Przypomina nieco Ziemię sprzed wieków - lecz z nowoczesną wiedzą i technologią. Nie jest ani tak prymitywna, jak Forest, ani tak oburzająco droga, jak Halcyon czy Fiddler's Green. Każde z moich przyjaciół sporo straciło na przymusowym upłynnieniu majątku, lecz zostało im dość, by lecieć na Botany Bay trzecią klasą, uiścić wszystkie opłaty należne kompanii oraz władzom kolonialnym i wciąż jeszcze mieć pieniądze na początek.

(Czy wiedzieliście, że tu, na Botany Bay, nikt nie zamyka drzwi na klucz? Wielu kolonistów nie wstawia nawet doń zamków. Mirabile visu!)

Według Georges'a jedynym zbiegiem okoliczności była moja obecność na tym samym statku, na który wsiedli oni, aby wyemigrować z Ziemi. A tak łatwo mogliśmy się minąć! Oni

najpierw spóźnili się na „Diraca”, a następnie ledwie zdążyli na „Forward”, gdyż Janet kategorycznie sprzeciwiała się wyruszeniu w podróż, nim nie urodzi dziecka. Oczywiście, gdyby wybrali inny liniowiec, wcześniej czy później i tak spotkałabym ich tutaj. Nasza planeta rozmiarami niewiele różni się od Ziemi, ale sama kolonia zajmuje ciągle niewielki jej skrawek i skupiona jest w jednym miejscu. Wszystkich tutaj ciekawi każdy nowy przybysz, więc nasze spotkanie byłoby nieuniknione.

Ale co stałoby się, gdyby nie zaproponowano mi owej zdradliwej misji? Zawsze można sobie „gdybać”, lecz sądzę, że odbywszy Grand Tournee w jakikolwiek inny sposób, w końcu i tak wybrałabym właśnie Botany Bay. W każdym razie było na to ponad pięćdziesiąt procent szans.

„Naszymi krokami kieruje przeznaczenie” - nie mam co do tego wątpliwości. Podoba mi się rola kolonialnej gospodyni domowej w ośmiogrupie. Nie jest to formalna S-grupa, gdyż na Botany Bay nie mamy wielu przepisów prawnych dotyczących małżeństwa i seksu. Cała nasza ósemka wraz z dziećmi mieszka w dużym, bezstylowym domu zaprojektowanym przez Janet i zbudowanym wspólnymi siłami. (Nie jestem stolarzem potrafiącym wyczarować z drewna przepiękne meble, ale przy okazji budowy stał się ze mnie niezły cieśla). Sąsiedzi nigdy nie zadawali wścibskich pytań o pochodzenie - gdyby ktokolwiek to zrobił, Janet zamieniłaby go w bryłę lodu samym tylko wzrokiem. Lecz na Botany Bay nikt nie wtyka nosa w nie swoje sprawy, a każde nowe dziecko jest tu przez wszystkich witane z prawdziwą radością. Miną stulecia, nim ktokolwiek zacznie mówić o problemie przeludnienia. Nikt z sąsiadów nigdy jednak nie zobaczy tego pamiętnika, ponieważ jedyną książką, jaką zamierzam opublikować, będzie poprawione wydanie mojej książki kucharskiej - d o b r e j książki kucharskiej, bo jej prawdziwymi autorami są Georges i Janet. Moim wkładem w to dzieło będzie jedynie suplement z kilkoma praktycznymi wskazówkami i poradami dla młodych gospodyń domowych. A i tę wiedzę zawdzięczam przede wszystkim Złociutkiej. Wracając jednak do pamiętnika: mogę tu bez obaw omówić kwestię pochodzenia naszych dzieci. Percival ożenił się ze mną, a Georges - z Matyldą. Sądzę, że ciągnęli losy. Oczywiście do dziecka, które nosiłam, również odnosiło się stare porzekadło o próbowni i skalpeli - porzekadło, którego na Botany Bay nigdy już więcej nie usłyszałam. Kto wie - być może Wendy skoligacona jest z rodziną królewską panującą niegdyś na The Realm? Nigdy jednak nie pozwolę, by nabrała co do tego najmniejszych choćby podejrzeń. Oficjalnie jej ojcem jest Percival. Co do owych koligacji, to wiem jedynie, że Wendy nie odziedziczyła żadnych chorób ani fizycznego kalectwa, a według Freddiego i Georgesa - również żadnych ukrytych wad genetycznych. Jako nastolatka nie była gorsza i bardziej nieznośna od swoich rówieśniczek. W razie konieczności zwyczajowa, umiarkowana porcja klapsów wystarczała, by przywrócić ją do porządku. Myślę, że teraz jest bardzo miłą, młodą dziewczyną i jestem z niej naprawdę dumna, ponieważ to jedyne dziecko zrodzone z mego ciała, choć właściwie nie ma pomiędzy nami tego, co niektórzy nazywają „wiązami krwi”.

Jedyna... Kiedy się urodziła, poprosiłam Georgesa, by przywrócił mi płodność. Zbadał mnie wspólnie z Freddim, po czym obaj zgodnie stwierdzili, że mogą to zrobić... na Ziemi. W New Brisbane było to niemożliwe. W każdym razie nie w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat. Więcej nie rozmawialiśmy na ten temat - a ja odkryłam, że czuję się w pewien sposób odprężona. Zrobiłam to raz i nie ma potrzeby, bym robiła to powtórnie. Mamy dzieci, psy i kręcące się bez przerwy pod nogami kocięta. Dziecko to dziecko; Tilly rodzi je niemalże co roku, podobnie jak Janet i Betty. I wszystkie są cudowne.

Wendy również jest już matką. Gdyby nie było to niemożliwe, powiedziałabym, iż popęd płciowy odziedziczyła po matce, czyli po mnie. Nie miała jeszcze ukończonych czternastu lat, gdy po raz pierwszy przyszła do domu i powiedziała:

- Mamusiu, jestem chyba w ciąży.

- Lepiej niech ci się nie wydaje - odrzekłam jej. - Idź do wujka Freddiego i poproś, żeby zrobił ci testy.

Wynik owych testów ogłosiła w czasie obiadu, który zamienił się w prawdziwą fiestę, gdyż zgodnie z tradycją panującą w naszej rodzinie, każdą oficjalną wiadomość o tym, że któraś z kobiet spodziewa się dziecka, trzeba było uczcić. Pierwsze takie święto miała więc Wendy w wieku niecałych czternastu lat, następną - gdy skończyła lat szesnaście oraz ostatnią - w ubiegłym tygodniu. Cieszy mnie, że robiła sobie przerwy, ponieważ to ja zajmowałam się wychowaniem swoich wnuków, wszystkich z wyjątkiem tego, który ma się dopiero urodzić i dla którego Wendy postanowiła wreszcie wyjść za mąż. Tak więc nigdy nie odczuwałam braku dzieci do niańczenia. Tym bardziej, że w domu mieliśmy cztery... teraz właściwie pięć... nie: sześć matek!

Pierwsze dziecko Matyldy ma doskonałego ojca. Jest nim dr Jerry Madsen - tak przynajmniej twierdzi Tilly, a ja jej wierzę. Wierzę również w to, że jej były właściciel przywrócił jej płodność, zamierzając przeznaczyć ją na coś w rodzaju rozplodowej klaczy, gdy nagle przytrafiła mu się okazja odnajęcia jej na cztery miesiące w charakterze mojego strażnika, za co zgarnął prawdopodobnie górę forsy. Tilly została więc pokorną „Shizuko”, towarzyszącą mi w charakterze przyzwoitki, a ja bezwiednie i mimo woli stałam się przyzwoitką dla niej. Och, gdyby się postarała, mogłaby za dnia posmakować trochę nocnego życia... Faktem jednak było, że niemalże całą dobę spędzała w kabinie BB, bym zastała ją tam za każdym razem, gdy wracałam.

A więc kiedy? Miała tylko jedną okazję - i skrzętnie ją wykorzystowała. Podczas gdy ja taszczyłam na plecach Percivala, a potem na wpół zamarznęta siedziałam w środku tego piekielnego turbogeneratorsa, moja „bona” baraszkowała w m o i m łóżku z moim lekarzem. Koniec końców, ów młodzieniec będący jej synem ma dobrych rodziców. Ironia losu: Jerry mieszka teraz w New Brisbane wraz ze swoją słodką żoną, której na imię Dian. Tilly jednak nigdy nie dała mu powodów do przypuszczeń, że ma on syna w naszym gospodarstwie. Czy jest to jeszcze jeden „zadziwiający zbieg okoliczności”? Ja tak nie uważam. „Lekarz medycyny” to jedna z profesji, której przedstawiciele nie muszą płacić kontrybucji, chcąc się tu osiedlić. Jerry chciał się ożenić i skończyć z tułaczką po całym kosmosie. Niby dlaczego miałby wybrać osiedlenie się na Ziemi, skoro miał okazję skorzystać z gościnności władz kolonialnych?

U Jerry’ego leczy się teraz przeważająca część mojej rodziny - to naprawdę dobry lekarz. Co prawda dwaj mężczyźni w naszym domu posiadają nawet tytuły „doktorów nauk medycznych”, lecz oni nigdy nie praktykowali w tym zawodzie. Obaj zajmowali się kiedyś inżynierią i chirurgią genetyczną oraz biologią doświadczalną, ale teraz są farmerami. Janet także wie, kto jest ojcem jej pierwszego dziecka - mianowicie obaj jej mężowie z tamtych czasów: Ian i Georges. Dlaczego obaj? Bo tak właśnie chciała Janet, a ona miewa zachcianki. Słyszałam kilka wersji, lecz wątpię, by Janet chciała wyróżnić któregokolwiek z nich, dając mu wyłączne prawo do ojcostwa jej pierwszego.

Pierwsze dziecko Betty niemalże z pewnością nie jest sprawką próbówki i skalpela. Możliwe nawet, że pochodzi z prawego łóża. Lecz Betty jest tak upartą „recydywistką”, że

bez trudu przekonałaby was, iż zaszła w ciążę podczas balu przebierańców. New Brisbane jest bardzo spokojnym miejscem, lecz ludzie w żadnym z gospodarstw odwiedzanych przez Betty z pewnością nie mogą uskarżać się na nudę.

O epidemii Czarnej Śmierci wiecie być może więcej niż ja. Ocalenie przed nią Luna City Gloria przypisuje mnie, bo jakoby w porę ją ostrzegłam. Tak naprawdę powinna jednak być wdzięczna Szefowi - moja krótka kariera wróżbitki, to pomysł jego autorstwa. Zaraza nigdy nie opuściła Ziemi - z pewnością dzięki staraniom, jakie podjął swego czasu - zresztą w samą porę - Szef... Chociaż raz, kiedy na starej planecie epidemia osiągnęła apogeum, rozgłośnia radiowa w New Brisbane podała, że władze nie zezwolą na lądowanie kapsuły ładowniczej, dopóki jej wnętrze nie zostanie uprzednio poddane działaniu absolutnej próżni. Był to wystarczający, a zarazem najprostszy sposób zabicia szczurów i myszy - a razem z nimi pcheł. Rozwścieczony kapitan statku przestał się pienieć, gdy po wszystkim znalazł jednak na pokładzie kilka padłych gryzoni.

Opłaty: Dostarczenie poczty z Botany Bay na Ziemię/Księżyc i z powrotem trwa zazwyczaj od czterech do ośmiu miesięcy - tyle czasu, ile upływa pomiędzy kolejnymi odwiedzinami statków Linii Hiperprzestrzennych. Nie jest to zbyt długo, jeśli wziąć pod uwagę dzielącą te planety odległość stu czterdziestu lat świetlnych. (Słyszałam kiedyś, jak jedna z turystek zapytała, dlaczego nie posługujemy się pocztą radiową...) Gloria uregulowała wszystkie opłaty należne ode mnie władzom kolonu tak szybko, jak tylko było to możliwe, oraz szczerze wyposażyła mnie w kapitał - testament Szefa dawał jej w tym zakresie swobodę decydowania. Nie wysyłała tu złota. Wszystko odbyło się poprzez zapisy księgowe na należącym do kolonii rachunku w Luna City, które uprawniały mnie do zakupu na Botany Bay sprzętu rolniczego lub czegokolwiek, co było mi potrzebne.

Lecz Pete posiadał na Ziemi bardzo mało, a Tilly, jako quasi-niewolnica, nie posiadała dosłownie nic. Ja zostawiłam tam resztę tego, co wygrałam na loterii, całą odprawę otrzymaną po śmierci Szefa i rozwiązaniu System Enterprises, a także trochę akcji i innych papierów wartościowych. Wszystko to oddałam towarzyszom mojej ucieczki. Władze kolonialne, zamiast deportować uchodźców... pozwalają im spłacać należności wobec kolonii w ratach.

Gdy Percival i Matilda dowiedzieli się, że przelałam swoje pieniądze na i c h rachunki, zrobili mi piekielną awanturę. Ja jednak krzyczałam jeszcze głośniejsze, i to wcale nie tylko dlatego, że wszystko wszak i tak zostawało w rodzinie. Przecież gdyby nie ci dwoje, zostałabym niemalże z pewnością pojmana i skończyłabym na The Realm. Martwa. Oni jednak nadal upierali się przy spłaceniu długu, jaki w swoim mniemaniu zaciągnęli. Poszliśmy na kompromis. Z pieniędzy, które mieli mi oddawać, oraz przy pomocy kilkoro spośród pozostałych członków rodziny utworzyliśmy Fundusz Dobroczynny, przeznaczony na pomoc uchodźcom oraz innym nowo przybyłym współmieszkańcom.

Przestałam rozmyślać o moim osobliwym, a według niektórych - haniebnym pochodzeniu. „Ludzkie dzieci rodzone są przez ludzkie matki” - powiedział mi dawno temu Georges. Nie kłamał - mam Wendy, by tego dowieść: jestem człowiekiem i należę! Wydaje mi się, że to wszystko, czego ktokolwiek może chcieć. Należę. Być „człowiekiem”.

Słowo daję, że ja należę! W ubiegłym tygodniu próbowałam wyliczyć sobie przyczyny, dla których ciągle brakuje mi czasu. Jestem sekretarzem Rady Miejskiej. Kieruję

pracą komisji programowej Stowarzyszenia Rodziców-Nauczycieli. Jestem drużynową dziewczęcej drużyny skautowej. Do niedawna byłam też prezesem Garden Club, a obecnie przewodniczę komitetowi budowy szkoły gminnej. Tak - ja należę.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Rozdział I.	3
Rozdział II.	8
Rozdział III.	14
Rozdział IV..	22
Rozdział V..	32
Rozdział VI.	37
Rozdział VII.	46
Rozdział VIII.	59
Rozdział IX..	67
Rozdział X..	73
Rozdział XI.	83
Rozdział XII.	90
Rozdział XIII.	97
Rozdział XIV..	107
Rozdział XV..	115
Rozdział XVI.	129
Rozdział XVII.	136
Rozdział XVIII.	146
Rozdział XIX..	155
Rozdział XX..	162
Rozdział XXI.	177
Rozdział XXII.	186
Rozdział XXIII.	190
Rozdział XXIV..	190